

BEZKRESNA PUSTYNIA, MORDERCZY UPAŁ, OKRUTNI „JEŹDZCY  
BEZ TWARZY” – KOLEJNE WYZWANIE DLA WILLA I JEGO PRZYJACIÓŁ.

JOHN FLANAGAN

# ZWIADOWCY

KSIĘGA 7

OKUP  
ZA ERAKA

*Światowy bestseller – już ponad 3 miliony sprzedanych egzemplarzy!*

**JOHN FLANAGAN**  
**Zwiadowcy 07 - Okup za Eraka**

# Zwiadowcy KSIĘGA 7

*Rangers Apprentice. Erak's Ransom*  
Tłumaczenie Stanisław Kroszczyński  
jaguar



*Dla Rachel Skinder*  
*(Mam nadzieję, że nie spadniesz z krzesła,*  
*kiedy się o tym dowiesz.)*

## ROZDZIAŁ 1

Strażnik, bacznie obserwujący okolicę, nie dostrzegł odzianej na czarno sylwetki skradającej się w ciemnościach ku Zamkowi Araulen.

Nadchodząca postać wtapiała się w materię nocy, utkaną z najmroczniejszej ciemności i jasnych plam, z cieni drzew i chmur wędrujących po niebie – oraz świetlistych przestrzeni rozjaśnionych sierpem księżyca. Postać przemieszczała się w rytmie wiatru pędzącego obłoki i kołyszącego gałęziami drzew.

Wartownik pełnił straż na przedmurzu potężnego zamczyska, opodal południowo-wschodniej wieży. Za posterunkiem rozpościerała się szeroka fosa; powierzchnię wody marszczył wietrzyk, więc odbijające się w czarnej toni gwiazdy drgały i migotały tysiącami światełek. Zamek otaczała rozległa równina, na której utworzono wspaniały park ze starannie przystrzyżonymi trawnikami, obsadzony owocowymi i ozdobnymi drzewami, które zapewniały cień w skwarne dni.

Zamek wznosił się na niewysokim wzgórzu. Parkowe zarośla i niewielkie altanki usytuowane wzdłuż stoków zapewniały dworzanom, przebywającym tu parami czy samotnie, miłe chwile wytchnienia. Zadbane jednak starannie, by owe oazy cienia oddzielić od siebie wolnymi przestrzeniami – żeby nie zdołał ukryć się pośród nich żaden większy oddział atakującego wroga. W ten sposób pogodzono potrzebę rozrywki mieszkańców zamku z wymaganiami dyktowanymi przez względy obronności, których w tych niespokojnych czasach żadną miarą nie należało lekceważyć. Niespodziewana napaść zdarzyć się mogła w każdej chwili.

Trzydzieści metrów w lewo od pozycji strażnika znajdowało się miejsce, które dworzanie upodobali sobie na pikniki pod gołym niebem. Stał tam stół, zrobiony ze starego wozu drabiniastego, oparty jedną stroną o pień ściętego drzewa, wokół zaś ustawiono proste drewniane ławy. Dla dopełnienia całości posadzono też małe drzewko zapewniające biesiadnikom cień w porze, gdy upał dokuczał najbardziej. Rycerze ze swymi damami chętnie ścigali do przytulnego zakątka, roztaczał się stąd bowiem piękny widok na zielone połacie parku, ciągnące się aż po linię horyzontu, gdzie ciemną smugą odcinała się puszcza. Popularności owemu miejscu przydawał zresztą fakt, że słońca nie brakowało tu przez cały rok – oczywiście, o ile pogoda sprzyjała.

Skradająca się postać zmierzała właśnie w tę stronę.

Jak nieuchwytny cień dała nura, znikając w plamie czerni – niewielkim zagajniku rosnącym czterdzieści metrów od piknikowego stołu – po czym padła na ziemię. Jeszcze jedno

badawcze spojrzenie dla oceny sytuacji i przybysz wychynął z cienia, pelzając twarzą w dół ku następnej kryjówce, za którą obral sobie już piknikowy stół.

Kimkolwiek była czarna postać skradająca się wśród mroku, bez wątpienia poczynala sobie z wprawą znamionującą niemale doświadczenie w takich podchodach. Każdy ruch wykonywany był nieskończenie powolnie; w przeciwnym razie strażnik kątem oka zdolalby coś dostrzec. W miarę jak cienie chmur przesuwały się po trawie, pelzająca sylwetka podążala wraz z nimi. Dopomagal jej ciemnozielony strój. Czerń odcinalaby się zbyt wyraźnie, podobnie jak jaśniejszy przyrodziewek; natomiast maskująca zieleń stapiala się z otoczeniem.

Pokonanie odległości dzielącej zagajnik od stołu zajęło temu, kto się skradal, cale dziesięć minut. Kilka metrów przed celem postać zamarla, bo strażnik poruszył się nagle -czujnie, jak gdyby zaalarmował go jakiś dźwięk – a może tylko intuicja podpowiedziala pełniącemu straż żołnierzowi, że coś zakłóca naturalny porządek rzeczy. Odwrócił się, spoglądał przez chwile uważnie w kierunku stołu, ale prześlepil nieruchomy, ciemny kształt w pobliżu.

Chwile potem uspokoił się. Przekonał samego siebie, że nie zagraza żadne niebezpieczeństwo. Potrząsnął głową, tupnął, przeszedł kilka kroków tam i z powrotem, przerzucił włócznię do lewej dłoni. Prawą ręką przetarł klejące się oczy. Był zmęczony, znudzony monotonną służbą i uznał, że z powodu zmęczenia coś zaczyna mu się roić.

Ziewnął, przyjął pozycję na „spocznij”, przenosząc ciężar ciała na jedną nogę. Otarł nos wierzchem dłoni. Nigdy nie pozwolilby sobie na tak niedbalą postawę podczas służby pełnionej w dzień. Jednak było już po północy, więc istniało niewielkie prawdopodobieństwo, by sierżant zechciał wygrzebać się z ciepłego łóża i robić inspekcję, a pozycja księżycy na nieboskłonie wskazywała, że strażnika czeka jeszcze godzina monotonnej warty.

Gdy czujność żołnierza znów zelzala, ciemna postać przepelzła ostatnie kilka metrów, by ukryć się w cieniu stołu. Przybysz uniósł się – bardzo, bardzo powoli – i w przykłęku dokonał oceny sytuacji. Strażnik przestąpił kilka razy z nogi na nogę, a potem niespiesznym krokiem odszedł kilka metrów, nie tak jednak daleko, by uniemożliwić skradającemu się spełnienie zamiarów. Zielony strój owej tajemniczej postaci przepasywał długi rzemień.

Teraz, gdyby ktoś obserwowal dalsze poczynania osoby w zieleni, przekonałby się, gdy rzemień został już rozwiązany, iż jest to w rzeczywistości długa proca. Pośrodku rzemienia umieszczono kawalek skóry wysklepiony tak, że tworzył coś w rodzaju płytkiej, miękkiej miseczki. W zagłębieniu owej miseczki tkwil gładki, ciężki kamień; postać uniosła się jeszcze trochę i, obracając tylko nadgarstkiem, wprawila kamień w ruch, najpierw powoli, potem stopniowo coraz szybciej i szybciej.

Strażnik uświadomił sobie, że z mroku dobiega dziwny dźwięk; niczym brzęczenie jakiegoś owada, może trzmieła albo bąka – pomyślał. Trudno stwierdzić, z której strony odgłos dochodził. Potem nagle przypomniał sobie: jeden z jego towarzyszy trzymający straż kilka dni wcześniej wspominal, że słyszał nocą właśnie coś takiego. I wyjaśnił, że to...

**DONG!**

Niewidoczny pocisk trafił prosto w grot jego włóczni. Siła uderzenia wyrwała broń z niezaciśniętej dłoni, oręż upadł na ziemię. Prawa ręka żołnierza instynktownie sięgnęła po rękojeść miecza, lecz nim zdążyła go dobyć, zza stołu po jego lewej stronie wysunęła się smukła sylwetka.

Miał już zakrzyknąć na alarm, ale postać zsunęła ciemny kaptur, odsłaniając burzę jasnych włosów.

–Spokojnie! To tylko ja – zawołał przybysz półgłosem, w którym najwyraźniej pobrzmiwało rozbawienie.

Nawet w ciemnościach i z odległości trzydziestu metrów dźwięczny głos i jasne włosy stanowiły nieomylny znak, że oto przed strażnikiem stoi księżniczka Cassandra, następczyni tronu Araluenu.

## **ROZDZIAŁ 2**

–Dość już tego, Cassandro – oznajmił uroczyście król Duncan.

–Gniewał się na nią, bez dwóch zdań. Maszerował nerwowo za stołem swego gabinetu w tę i z powrotem, a poza tym używał imienia Cassandra. Zazwyczaj bowiem mówił do niej „Cass” lub „Cassie”. Tylko wtedy, gdy naprawdę go zirytowała, zwracał się do córki pełnym imieniem.

A tego dnia był naprawdę rozgniewany. Miał przed sobą pracowity ranek. Na stole piętrzyły się całe stosy petycji i wyroków do rozpatrzenia, na audiencję czekali domagający się natychmiastowego posłuchania posłowie z Teutonii, tymczasem on musiał tracić cenny czas, który winien poświęcić sprawom wagi państwowej, na besztanie swej niesfornej córki z powodu skarg na jej niestosowne zachowanie.

Wyciągnęła przed siebie obie ręce w geście, który miał wyrażać zakłopotanie.

–Ojczy, ja tylko...

–Ty tylko skradłaś się nocą jak złodziej, chcąc podejść nieszczęsnego strażnika i śmiertelnie go wystraszyć za pomocą tej przeklętej procy! Co by się stało, gdyby kamień trafił w jego głowę, a nie we włócznię?

–Ale nie trafił i nic podobnego nie mogło się przydarzyć! – zauważyła. – Pociski z mojej procy uderzają tam, gdzie im każę. Celowałam w grot włóczni i w niego trafiłam.

Spojrzał chmurnie i wyciągnął dłoń.

–Oddaj – polecił, a gdy przechyliła głowę na bok, nie rozumiejąc, dodał: – Procę.

Oddaj mi tę procę.

Nim jeszcze powiedziała cokolwiek, dostrzegł zacięty wyraz jej twarzy.

–Nie – odrzekła.

Uniósł brwi z niedowierzaniem.

–Sprzeciwiasz mi się? Jestem, bądź co bądź, królem, nie zapominaj.

–Nie sprzeciwiam się. Po prostu nie oddam ci procy. Sporządziłam ją własnoręcznie, a zajęło mi to ponad tydzień. Poświęciłam niemało trudu, by sprawiała się jak należy. Potem miesiącami ćwiczyłam celność. Nie oddam ci jej, bobyś ją zniszczył... Wybacz. – To ostatnie słowo padło po krótkiej, ledwo dostrzegalnej pauzie.

–Jestem królem, ale także twoim ojcem – rzekł.

Skwitowała kwestię skinieniem głowy.

–Chylę czoła przed moim władcą i rodzicem. Ale jesteś rozgniewany. Gdybym teraz

oddala ci proce, po prostu bys ja zniszczyl, czyz nie?

Pokrecil glową, nie wiedząc, jaki sposob postępowania obrac wobec krnąbrnej latorośli.

Odwrócił się, wyjrzał na park przez wielkie okno swojego gabinetu.

–Nie mogę pozwolić, żebyś w mrokach nocy skradala się i straszyla wartowników – stwierdził. Zdal sobie sprawę, że z powodu nieszczęsnej procy ich rozmowa utknęła w martwym punkcie, uznał więc, że lepiej zmienić kierunek natarcia. Wiedział doskonale, jak uparta potrafi być jego córka. – Pomyśl o nich – ciągnął. – To zdarzyło się już trzeci raz.

Twoje

niemądre zabawy drażnią ich i męczą. Dowódca straży poprosił mnie dziś o posłuchanie, a

ja

wiem dobrze, na jaki temat chce ze mną rozmawiać. – Król zwrócił się znów ku niej. –

Otóż

stawiasz mnie w bardzo szczególnej sytuacji. Będę musiał tłumaczyć się przed sierżantem. Zdajesz sobie sprawę, jakie to dla mnie krępujące?

Widziała, że nie gniewa się już na nią aż tak bardzo.

–Przykro mi, ojcze – powiedziała, dostosowując się do narzuconej przez niego konwencji. Zazwyczaj mówiła doń po prostu „tato”. Jednak skoro była dziś Cassandra, to i

on

stał się „ojcem”. – Uwierz mi jednak, proszę: to nie są bezmyślne igraszki. Te „zabawy”,

jak

je nazywasz, są mi potrzebne, jak woda i powietrze.

–Potrzebne? – oburzył się. – Potrzebne? A to do czego? Miejże litość, przecież jesteś następczynią tronu, a nie jakąś obdartą wiejską dziewczuchą! Mieszkasz w zamku, którego strzegą setki strażników. Co ci strzeliło do głowy, żeby włóczyć się w ciemnościach i doskonalić się we władaniu bronią godną kłusownika?

–Tato! – W ferworze sporu zapomniała już o tym, że postanowiła zwracać się do niego jak przystało królownie wiodącej rozmowę ze swym koronowanym rodzicem. – Przypomnij sobie, co mi się dotąd przydarzyło. Gdy byłam w Celtii, napadli mnie wargale. Wszyscy żołnierze eskorty zginęli, a ja cudem umknęłam z życiem. Potem wpadłam w łapy żołdaków Morgaratha. Zostałam porwana do Skandii, gdzie musiałam przetrwać w górach, zdana sama na siebie. A przecież mogłam tam umrzeć z głodu. Zaraz potem brałam udział w bitwie. We wszystkich tych okolicznościach owe setki strażników niewiele uczyniły dla mej obrony, przyznasz?

Poirytowany Duncan machnął ręką.

–Zapewne, zapewne. Lecz...

–Nie ludźmy się – mówiła dalej Cassandra – czyha na mnie wiele niebezpieczeństw, bowiem, jako twoja córka, jestem celem dla twych wrogów. Chcę być w stanie się obronić - sama. Nie zamierzam polegać wyłącznie na innych. A prócz tego... – urwała, a król spojrział na nią uważnie.

–Cóż prócz tego? – ponaglił.

Odniósł wrażenie, że Cassandra waha się, czy mówić dalej, ale po chwili wzięła głęboki oddech i dokończyła:

–...Otóż prędzej czy później nadejdzie czas, kiedy będę musiała ci pomagać. Jako twojej córce przyjdzie mi dźwigać brzemię władzy wspólnie z tobą.

–Ależ oczywiście – i już to czynisz! Podczas ostatniego bankietu spisałaś się doskonale...

Cassandra jednak miała na myśli zupełnie inne sprawy.

–Nie chodzi mi o przyjęcia, bankiety, przyjmowanie oficjalnych poselstw oraz wyprawianie pikników. Mówię o rzeczach istotnych – o misjach dyplomatycznych sprawowanych w twoim imieniu, o pełnieniu roli twojej przedstawicielki, gdy przyjdzie rozstrzygać spory o międzynarodowym znaczeniu. Przecież tego oczekiwałbyś od swojego syna, gdybyś go miał!

–Jesteś moją córką – rzekł Duncan.

Na twarzy Cassandra pojawił się smutny uśmiech. Wiedziała, że ojciec darzy ją miłością, lecz zarazem zdawała sobie sprawę, że król, tak jak każdy władca, pragnąłby syna, który zapewniłby ciągłość dynastii i zadbał, żeby dokonania ojca nie obróciły się wniwecz.

–Tato, pewnego dnia zostanę królową. Jestem pewna, że nieprędko to nastąpi – dodała pospiesznie, na co Duncan uśmiechnął się, dając jej do zrozumienia, że i on tę nadzieję podziela. – Jednak kiedyś się to stanie, a wówczas i tak będę musiała sprostać tym zadaniom.

Tylko że wówczas będzie nieco za późno na pobieranie nauk.

Duncan w milczeniu przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Wiedział, jak silna jest wola jego córki, że Cassandra jest dziewczyną odważną, obdarzoną charakterem i inteligencją. Z pewnością nie zadowolili się rolą marionetkowej władczyni, nie pozwolili innym, by za nią podejmowali decyzje – lub wykonywali ciężką pracę.

–Zapewne – zgodził się znowu. – Zapewne masz słuszość. Powinnaś umieć sobie radzić w każdej sytuacji. Ale pobierasz przecież lekcje fechtunku u sir Richarda, uczysz się władać szablą. Po cóż ci jeszcze proca – i dlaczego chcesz uczyć się tej dość szczególnej dla

młodej damy umiejętności, jaką jest sztuka skradania się chyłkiem w ciemnościach?

W rzeczy samej, nieczęsto w owych czasach zdarzało się, by panny ze szlacheckich rodów pobierały lekcje szermierki. Cassandra już od kilku miesięcy ćwiczyła fechtunek pod okiem głównego pomocnika dowódcy szkoły rycerskiej, posługując się przy tym sporządzoną specjalnie dla niej lekką szablą.

–Cieszę się z lekcji – przyznała. – Ale nigdy nie osiągnę poziomu mistrzów, a tylko to mogłoby mnie ocalić, gdybym miała kiedyś zmierzyć się z mężczyzną uzbrojonym w ciężki miecz. – Widać było, że ta sprawa nie daje jej spokoju, bo opowiadała ojcu o swych rozterkach z przejęciem, niemal ze łzami w oczach. – Z łukiem sprawy mają się tak samo. Trzeba wielu lat ćwiczeń, by posługiwać się nim choć w miarę poprawnie, a ja nie mam aż tyle czasu. Tymczasem proca jest narzędziem dobrze mi znanym. Nauczyłam się z niej strzelać jeszcze jako dziecko. Dzięki procy przetrwałam w Skandii. Postanowiłam więc, że zawsze będzie mi towarzyszyć i dopóty będę rozwijać moje umiejętności w tej dziedzinie, dopóki nie zyskam prawdziwej biegłości.

–Powiedzmy, że rozumiem. Ale czy nie możesz strzelać raczej do tarczy? Chyba nie musisz napastować dla wprawy moich strażników.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

–Przyznaję, nie postąpiłam wobec nich ładnie, ale Geldon zawsze powtarza, że najlepiej jest ćwiczyć w sytuacjach zbliżonych do stanów rzeczywistego zagrożenia.

–Geldon? – brwi Duncana uniosły się i zbliżyły ku sobie.

Geldon był zwiadowcą w stanie spoczynku, któremu przydzielono komnaty na Zamku Araluen. Od czasu do czasu pełnił rolę doradcy Crowleya, dowódcy Korpusu Zwiadowców. Cassandra zaczerwieniła się, bo zdała sobie sprawę, że powiedziała więcej, niż zamierzała.

–Owszem, poprosiłam go o kilka wskazówek, jeśli chodzi o dyskretne poruszanie się – wyznała i dodała pospiesznie: – Ale on o niczym więcej nie wie. Ani o procy, ani o tym, jak wprowadziłam jego rady w życie.

–Jeszcze z nim pogadam – zapewnił Duncan, choć nie miał wątpliwości, że córka mówi prawdę. Geldon nie byłby tak szalony, żeby namawiać królową na równie nierozważne poczynania, jak napaść na królewskich strażników!

Usiadł, przez chwilę oddychał głęboko, czekając aż gniew minie. Gdy przemówił, jego głos brzmiał już całkiem spokojnie, przekonująco:

–Cass, proszę, przemyśl to. Twoje ćwiczenia mogą cię narazić na niebezpieczeństwo, ale nie tylko ciebie. Mogą zagrozić całemu zamkowi.

Przechyliła głowę na bok, nie pojmując, do czego ojciec zmierza.

–To proste. Skoro strażnicy już wiedzą o twoich podchodach, mogą zignorować hałasy czy poruszenia, które w innych okolicznościach wydałyby im się podejrzane.

Niewykluczone na przykład, że dostrzegą w mroku czyjąś ciemną sylwetkę i uznają, że to tylko ty. Tymczasem wyobraź sobie, że wrogi agent zapragnie dostać się do zamku. Czy chciałabyś mieć na sumieniu śmierć jakiegoś strażnika?

Cassandra spuściła wzrok, bowiem zdała sobie sprawę, że ojciec ma rację.

–Nie – westchnęła cicho.

–Może też zdarzyć się coś wręcz przeciwnego. Otóż któregoś nocy strażnik spostrzeże podejrzanego osobnika próbującego go podejść i nie przyjdzie mu na myśl, że to tylko ty. Możesz zginąć, nim zdążysz wyprowadzić go z błędu.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymała ją ruchem ręki.

–Wiem, wiem. Sądzisz, że jesteś na to zbyt zręczna. Niewykluczone jednak, że nie doceniasz umiejętności naszych żołnierzy. A teraz pomyśl: jeśli jednak tak się stanie, jaki los czeka nieszczęsnego zabójcę? Życzyłabyś sobie, aby do końca życia ktoś miał na sumieniu mimowolne zabójstwo następczyni tronu?

–Chyba nie – odparła, przygnębiona.

Duncan wiedział już, że jego słowa zapadły w serce córki.

–W takim razie stanowczo życzę sobie, żebyś zaprzestała owych niebezpiecznych gier. – Znów chciała zaprotestować, ale uprzedził ją: – Skoro uparłaś się, żeby ćwiczyć podchody, niech Geldon opracuje dla ciebie program nauki. Jestem pewien, że zechce się tym

zająć. Zresztą o wiele trudniej będzie ci podejść zwiadowcę, niż przysypiających na warcie strażników.

Evanlyn popatrzyła nań szeroko otwartymi oczyma, a w następnej chwili rozpromieniła się, bo oto do świadomości królowej dotarło, że ojciec nie tylko nie ukarze jej i nie skonfiskuje



ukochanej procy, lecz że za jego zgodą będzie pobierać nauki u jednego z największych mistrzów sztuki zwiadowczej, jakich znało królestwo Araluenu.

–Dziękuję, tato – w jej głosie brzmiała radość. – Porozmawiam z nim jeszcze dzisiaj. Jednak Duncan potrząsnął głową.

–Na to przyjdzie czas później. Dziś potrzebuję twojej pomocy. Trzeba przygotować wizytę – oficjalną wizytę. Chcę, żebyś ustaliła, kto ma nam towarzyszyć. A przy tym z pewnością powinnaś zaopatrzyć się w nowe stroje, zarówno podróżne, jak i w suknie, bo

nie

możesz się pokazać w tych portkach i obszarpanej tunice. Mówisz, że chcesz mi

dopomagać,

więc masz okazję. Zorganizuj wszystko.

Skłoniła głowę, marszcząc z lekka czoło na myśl o przygotowaniach, jakie ją czekają, o wszystkich szczegółach, których trzeba będzie dopilnować. Oficjalna królewska wizyta

wymagała udziału wielu ludzi i stosownej oprawy. Zdała sobie sprawę, że przez następnych parę tygodni będzie miała mnóstwo mozolnej pracy. Dobrze chociaż, że nie muszę oddawać ojcu procy – pomyślała.

–Dokąd się udajemy? – spytała. – I kiedy? – Przecież trzeba będzie zaplanować noclegi po drodze.

–Za trzy tygodnie – odpowiedział król. – Zostaliśmy zaproszeni do Zamku Redmont na ślub, który odbędzie się czternastego dnia przyszłego miesiąca.

–Redmont? – powtórzyła. Ta nazwa wyraźnie wzbudziła jej zainteresowanie. – A któż to w Redmont się żeni?

### ROZDZIAŁ 3

Halt przeczesał palcami potargane włosy, studiując listę gości.

–Na brodę Gorloga! – odezwał się, używając przy tym skandyjskiego powiedzonka, które sobie przyswoił. – Ilu ich tu jest?

Lady Pauline spoglądała na niego pogodnie.

–Dwieście trzy osoby – odpowiedziała.

Raz jeszcze zerknął na listę, nie mogąc uwierzyć.

–Dwieście trzy? – powtórzył, a ona przytaknęła. Potrząsnął głową, położył arkusz pergaminu na blacie stołu. – W takim razie trzeba kogoś skreślić – oznajmił.

Pauline przyjrzała się w skupieniu spisowi gości, zastanawiając się nad słowami Halta.

–Owszem, możemy skreślić trzy osoby – stwierdziła.

–Mam wrażenie, że mój ślub może się obejść bez ambasadora Iberionu oraz jego głupiutkich córek.

Sięgnęła po pióro i rzeczywiście skreśliła z listy trzy ostatnie imiona, po czym uniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie do narzeczonego.

–Widzisz? To bardzo proste. Twoje życzenie zostało spełnione.

Halt sięgnął znów po pergamin.

–Ale... zostaje jeszcze dwieście osób. Czy naprawdę potrzeba aż dwustu ludzi, żeby wziąć ślub?

–To nie oni biorą ślub, tylko my dwoje, mój drogi – sprostowała, udając, że nie pojęła sensu jego słów. Skrzywił się. Zazwyczaj, gdy na twarzy Halta pojawiał się taki grymas, należało się mieć na baczności. Jednak lady Pauline nie lękała się ani trochę. Popatrzyła mu tylko w oczy, a on uświadomił sobie, że żadne groźne miny nic tu nie pomogą. Skupił się więc na liście.

–No tak... Król oczywiście musi zostać zaproszony – zaczął.

–Oczywiście, że musi – wpadła mu w słowo. – Jesteś jednym z najważniejszych jego doradców.

–No i Cassandra – to znaczy Evanlyn. Nie, dobrze powiedziałem: księżniczka Evanlyn. Bez wątplenia. Ale kim są ci wszyscy inni? W królewskiej świcie wypisanych jest chyba z piętnaście osób!

–Siedemnaście – poprawiła go lady Pauline. – Bądź co bądź, król nie może podróżować bez osobistego orszaku. Trochę nie wypada, żeby on i Cassandra ot, tak wskoczyli sobie na konie i pojawili się, mówiąc: „Witajcie, jesteśmy. Przybyliśmy na wasz ślub. Gdzie nas posadzicie?”. Z królewską wizytą wiąże się mnóstwo kwestii protokolarnych.

–Ha, protokół! – parsknął pogardliwie Halt. – Zawracanie głowy!

–Mój drogi – rzekła na to mistrzyni dyplomacji – gdy prosileś mnie o rękę, nie sądziłeś chyba, że wymkniemy się cichaczem do lasu, zaprosimy kilkoro najbliższych przyjaciół i będzie po wszystkim?

Halt zawahał się.

–No, nie... Oczywiście, że nie.

Bowiem w istocie rzeczy tak właśnie myślał. Prosta ceremonia, dobrane grono przyjaciół, skromny lecz smaczny poczęstunek, a potem on i Pauline będą żyli długo i szczęśliwie. Doszedł jednak do wniosku, że akurat w tej chwili nie byłoby – hm -dyplomatycznie się do tego przyznać.

Już od tygodni na zamku i w lennie Redmont nie mówiono o niczym innym jak o zaręczynach mrukliwego zwiadowcy i pięknej lady Pauline.

Wiadomość wzbudziła powszechne zdumienie, a przede wszystkim, ku rozkoszy miejscowych plotkarzy oraz plotkarek, dostarczyła tematów do niezliczonych dyskusji. Jakże niedobrana para! – powiadano, choć obydwójce narzeczonych cieszyło się wielkim szacunkiem. Tak więc wieść gruchnęła niczym grom z jasnego nieba i stanowiła przedmiot niekończących się roztrząsań w sali jadalnej Zamku Redmont.

Byli jednak tacy, którzy utrzymywali, że nowina wcale ich nie zaskoczyła. Zaliczał się do nich baron Arald.

–Zawsze wiedziałem! – powtarzał każdemu, kto tylko chciał słuchać. – Zawsze wiedziałem, że między tymi dwojgiem coś iskrzy! Już całe lata temu wiedziałem! Pewnie dużo wcześniej, niż im samym to przyszło do głowy – wiedziałem!

Bo też i rzeczywiście, ten czy ów wspominał czasem, że ponoć w dawnych czasach Halta z Pauline łączyło coś więcej niż przyjaźń. Jednak większość dworzan uznawała pogłoski za bezpodstawne plotki. Ani od Halta, ani od Pauline nie słyszano nigdy na ów temat choćby słowa. I nic dziwnego: któż bowiem pilniej strzeże swoich oraz cudzych sekretów niż zwiadowcy i dyplomaci?

Nadszedł jednak dzień, w którym Halt zdał sobie sprawę, że czas upływa, a życie mija... Will, jego uczeń, odbywał już ostatni rok szkolenia. Za kilka miesięcy ukończy naukę i otrzyma srebrny Liść Dębu – odznakę pełnoprawnego zwiadowcy. Oznaczało to, że wkrótce opuści Redmont, następnie zaś obejmie stanowisko w innym lennie. Halt uświadomił sobie, że wówczas, gdy zabraknie ożywienia, jakie wprowadzał Will ze swoją młodzieńczą energią, w jego życiu zapanuje trudna do wypełnienia pustka. A im częściej o tym myślał, tym częściej tak jakoś się działo, że szukał towarzystwa lady Pauline.

Ona również coraz bardziej tęskniła, pragnąc dzielić z kimś swe samotne dotąd życie. Życie wypełnione pracą i obecnością wielu ludzi, lecz samotne, gdyż – właśnie z racji pełnionych obowiązków – musiała wobec tych ludzi zachowywać dystans. Także Halt jako zwiadowca, któremu powierzono niejeden sekret lenna i całego królestwa, z mało kim mógł mówić o swych zadaniach i wypełnianych misjach; do tych nielicznych zaliczała się właśnie lady Pauline. Tak więc łączyło ich o wiele więcej, niż mógłby przypuszczać ktoś niezorientowany; potrafili w razie potrzeby wzajemnie służyć sobie radą i pomocą – a przy tym rzeczywiście między nimi istniało coś, co można nazwać nicią porozumienia... ciągnącą się z dawniejszych czasów, kiedy oboje byli młodszy.

Mówiąc prościej, lady Pauline darzyła Halta uczuciem od wielu, wielu lat. Czekala w milczeniu i cierpliwie, wiedząc, że pewnego dnia poprosi ją o rękę.

Wiedząc też przy okazji, że gdy do tego dojdzie, ten zamknięty w sobie i w gruncie rzeczy niezwykle nieśmiały mężczyzna będzie ze wszech sił opierał się takiemu wystawieniu swej osoby na widok publiczny, jakim był uroczysty ślub.

–Kto to jest? – syknął, spostrzegłszy imię osoby, o której istnieniu nie miał dotąd pojęcia. – Lady Georgina z Sandalhurst? Dlaczego ją zapraszamy? Ja jej nie znam. Dlaczego zapraszamy ludzi, których nie znamy?

–Zapewne, ty jej nie znasz. Za to ja, owszem, i to aż za dobrze – odpowiedziała Pauline. W głosie jej pobrzmiwała swoista stanowczość, którą Halt we własnym interesie powinien

nauczyć się doceniać. – To moja ciotka. Podstarzała i mocno uciążliwa osoba, ale muszę ją zaprosić.

–Nigdy przedtem o niej nie wspominałaś – zarzucił narzeczonej Halt.

–Owszem. To dlatego, że za nią nie przepadam. Jak już mówiłam, to dość uciążliwa osoba.

–W takim razie po co ją zapraszać?

–Zapraszamy ją dlatego – wyjaśniła lady Pauline – że ciotka Georgina od dwudziestu lat z hakiem suszy mi głowę tym, że nie wyszłam za męża. „Biedna Pauline! – powtarzała w kółko przez cały ten czas. – Zostanie starą panną! Dworskie obowiązki wypełniły całe jej życie! Nigdy nie znajdzie męża, który się nią zaopiekuje!” Mam jedyną w życiu okazję, by udowodnić jej, że się myliła i nie zamierzam z niej zrezygnować.

Halt zmarszczył groźnie brwi. Istniały na tym świecie rzeczy, które wprawiały go w większy gniew niż fakt, że ktoś ośmielił się krytykować jego ukochaną, jednak w tej chwili żadna z takowych nie przychodziła mu na myśl.

–Zgoda – stwierdził. – Tylko pamiętajmy, żeby podczas wesela posadzić ją wśród największych nudziarzy.

–Słuszna myśl – przyznała lady Pauline, na drugiej kartce czyniąc stosowną notatkę. – Będzie pierwszą kandydatką do „stołu nudziarzy”.

–Stół nudziarzy? – zdziwił się Halt. – Mam wrażenie, że nigdy dotąd nie słyszałem takiego określenia.

–Na każdym weselu musi być specjalny stół dla nudziarzy – wyjaśniła cierpliwie narzeczona. – Sadza się przy nim razem wszystkich nieznośnych, zrzędlivych pryków i niech się kiszą we własnym sosie, niech zanudzają się wzajemnie i nie zwracają głowy pozostałym gościom.

–A czy nie byłoby prościej zaprosić tylko tych, których się lubi? – spytał Halt. – Pomijając oczywiście ciotkę Georginę, bo masz wszelkie powody, by ją zaprosić. Po co jednak sprowadzać sobie na głowę jeszcze innych nudziarzy?

–To kwestie rodzinne – stwierdziła lady Pauline, dopisując tymczasem jeszcze dwa imiona osób do listy opatrzonej nagłówkiem „Stół Nudziarzy”. – Trzeba zaprosić wszystkich krewnych oraz powinowatych, a w każdej rodzinie jest mniej lub więcej takich postaci. Tego się nie da uniknąć, gdy ktoś organizuje ślub.

Halt usiadł w rzeźbionym fotelu, nieco bokiem, przewiesiwszy nogę przez podłokietnik.

–Zawsze mi się wydawało, że wesele urządza się po to, żeby było wesoło – mruknął.

–I tak też jest. Temu właśnie służy wiekopomny wynalazek, jakim jest stół przeznaczony dla „specjalnych” gości – uśmiechnęła się. Już miała dodać, że z Halta istny szczęściarz, bowiem nie ma żadnej rodziny, którą musiałby zaprosić, lecz w porę ugryzła się

w język. Halt nie widział nikogo ze swych krewnych od ponad dwudziestu lat; czuła, że w głębi ducha ten fakt go smuci. – Rzecz w tym – mówiła dalej, porzucając kwestię spraw rodzinnych – że skoro obecny ma być sam król we własnej osobie, cała uroczystość przybiera

formalny charakter. Niektórych po prostu trzeba zaprosić – szlachtę, rycerzy i ich damy, lokalnych dygnitarzy, wójtów, burmistrzów i im podobnych. Nigdy by nam nie wybaczyli, gdybyśmy pozbawili ich szansy otarcia się o majestat władcy.

–Prawdę mówiąc, mało dbam o to, czy któryś z nich zechce mi cokolwiek wybaczyć – zauważył. – Przez wszystkie te lata w większości wylazili ze skóry, żeby mnie unikać. Lady Pauline pochylila się, dotknęła lekko jego ramienia.

–Halt, miej na uwadze, że dla niektórych będzie to jedno z najważniejszych wydarzeń w całym życiu. Prawdę mówiąc, w tej krainie niewiele się dzieje. Czy doprawdy chciałbyś

ich

pozbać odrobiny blichtru i rozrywki, jakże pożądanego urozmaicenia monotonnej egzystencji? Bo ja z pewnością nie.

Westchnął, zdawszy sobie sprawę, że Pauline ma słuszość. Uświadomił też sobie, że może zbyt się opiera. Przyszło mu do głowy, że perspektywa uroczystego, ceremonialnego ożenku może nie być dla Pauline tak odstręczająca jak dla niego. Nie bardzo rozumiał, lecz jeśli tego pragnęła, nie miał zamiaru stawać na przeszkodzie spełnieniu jej życzeń.

–Nie. Oczywiście, masz rację.

–A powiedz mi teraz – podjęła, z wdzięcznością przyjmując do wiadomości jego kapitulację – czy wybrałaś już sobie drużbę?

–Rzecz jasna będzie nim Will – odparł od razu.

–A nie Crowley? Przecież to twój najlepszy przyjaciel. – Nawet jeśli Halt nie dysponował niezbędnym w takich sprawach wyczuciem, Pauline doskonale wiedziała, jak istotną sprawą jest przydział oficjalnych ról podczas ceremonii.

Halt zmarszczył brwi.

–W rzeczy samej. Ale Will to co innego, jest dla mnie prawie jak syn.

–No tak. Oczywiście. Ale musimy też znaleźć jakąś rolę dla Crowleya.

–Może poprowadzić pannę młodą do ceremonialnego stołu – zaproponował Halt. Pauline zastanowiła się, przygryzając koniuszek pióra.

–Wydaje mi się, że baron Arald chciałby to uczynić. Hm. Nielatwa decyzja -zastanowiła się nad nią jeszcze przez kilka chwil, po czym rozstrzygnęła: – Zrobimy tak: Crowley przyprowadzi mnie, a Arald poprowadzi ceremonię ślubną. Załatwione! – poczyniła dwie kolejne notatki na arkuszu pergaminu.

W państwie Araluen ceremonia ślubna miała charakter państwowy, nie kościelny. Było więc rzeczą normalną, by przewodniczył jej zwierzchnik lenna, jako przedstawiciel korony. Halt odkaslnął, starając się ze wszystkich sił zachować kamienną twarz.

–Ale czy przypadkiem protokół nie wymaga, aby uczynił to król, skoro zaszczyci nas swą obecnością? – spytał z udawaną troską.

Dopiero wtedy Pauline uprzytomniła sobie ten fakt, a przy okazji nie uszło jej uwagi, jak Halt jest z siebie zadowolony. Niewinny wyraz jego oblicza tylko to potwierdzał.

–Do licha! – odezwała się. Nie zabrzmiało to jednak dostatecznie siarczyście, toteż postanowiła posłużyć się jego ulubionym powiedzonkiem: – Na zęby Gorloga! – dodała, nerwowo postukując palcami w blat stołu.

–Chyba na brodę? – podpowiedział życzliwie.

–A co, czyżby sławny Gorlog stracił uzębienie? – spytała kąśliwie, a potem w przypływie natchnienia oznajmiła: – Już wiem. Poprosimy króla Duncana, by zechciał być Patronem wydarzenia. I kłopot z głowy!

–A na czym polega rola takiego Patrona? – zainteresował się Halt.

Machnęła niedbale ręką.

–Jeszcze nie wiem. Dopiero co wymyśliłam specjalną funkcję. Ale Duncan nie zorientuje się i nie będzie miał nic przeciwko temu. Ma pojęcie o protokole mniej więcej takie

jak i ty. Będzie niejako wielkim mistrzem całej ceremonii, nadając jej blasku swym majestatem. Uczyni nam w ten sposób wielki zaszczyt, a odpadnie mu zaprzękanie sobie głowy formalnościami, więc będzie zadowolony. Tak, to brzmi całkiem nieźle – mruknęła. – Zapiszę, żeby nie zapomnieć.

Tak też zrobiła, czyniąc zarazem w pamięci notę, że trzeba będzie zapoznać królewskiego kanclerza z protokolarną innowacją. Nie przewidywała jednak trudności w tej mierze, bowiem ona i lord Anthony znali się z dawien dawna.

–Kto zostaje? Nie zapomnieliśmy o kimś?

–Horace? – odpowiedział Halt. Przytaknęła od razu.

–Uczynimy zeń weselnego herolda – oznajmiła i szybko zapisała.

–Czy i tę funkcję wymyśliłaś na poczekaniu? – spytał Halt.

–Skądże znowu – oburzyła się. – To prastara tradycja. Wiesz, ktoś musi oznajmiać: „Družba pana młodego? Proszę na prawo. Druhá panny młodej? Proszę na lewo”. To właśnie należy do obowiązków herolda.

Halt zmarszczył czoło.

–Cały czas mam wrażenie, że jeszcze o kimś zapomnieliśmy... Pauline uderzyła się otwartą dłonią w czoło.

–Gilan! – zawołała. – Będzie niepokieszony, jeśli nie otrzyma jakiejś oficjalnej roli. Halt westchnął ciężko. No tak, jasne. Dzielny, lojalny, zawsze w dobrym humorze – Gilan, jego poprzedni uczeń. Zdecydowanie należała mu się jakaś funkcja.

–A nie mogę mieć dwóch družbów? – upewnił się.

–W zasadzie, czemu nie. Tylko że i ja wtedy będę musiała wystarać się o jeszcze jedną družnę. Zdecydowałam już, że towarzyszyć mi będzie Alyss.

–No cóż – podsunął Halt, zadowolony, że coraz lepiej radzi sobie z takimi zawilóściami – dzięki temu i Cassandra będzie miała jakieś zajęcie.

Jednak ku swemu zaskoczeniu urodziwe oblicze Pauline zachmurzyło się. Wiedziała doskonale, że Alyss, jej przyboczna, z pewnością nie będzie zachwycona, jeśli królewna Cassandra usiądzie przy tym samym ślubnym stole, co ona i Will. Lepiej trzymać je od siebie z dala przez ten wieczór, niech następczyni tronu zasiada, jak obyczaj nakazuje, u stołu królewskiego Patrona ceremonii.

–Nie – stwierdziła po chwili. – Tak być nie może. Jest królewną oraz następczynią tronu, więc odwracałaby uwagę wszystkich od panny młodej.

–O, nie! Na to nie ma zgody! – przyznał jej rację Halt.

–Może młoda Jenny się nada, rzecz jasna, o ile pan Chubb zechce jej na to pozwolić. To nie jest zły pomysł, bądź co bądź wychowywała się razem z Willem i Alyss.

Poczyniła jeszcze jedną notatkę i sięgnęła po następny arkusz papieru. Lista stawała się coraz dłuższa. Tyle spraw do uporządkowania... Nagle coś przyszło jej na myśl. Nie podnosząc wzroku, spytała:

–Udasz się do balwierza, prawda?

**Halt przesunął dłonią po włosach, znów przeczesując je palcami. Rzeczywiście, trochę za długie – pomyślał.**

**–Przytnę je – zapewnił, sięgając odruchowo drugą dłonią ku rękojeści noża. Tym razem Pauline uniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.**

**–Zamkowy balwierz zrobi to lepiej – wycedziła i w tej oto chwili Halt zdał sobie sprawę, że pewne swobody, którymi od tylu lat cieszył się bez żadnych ograniczeń, zostaną mu odmówione – kto wie, czy nie na zawsze.**

**–W takim razie pójdę do balwierza – zgodził się.**

## ROZDZIAŁ 4

–Opuścić żagiel – polecił Erak, oberjarl Skandii, a w tej chwili kapitan okrętu „Wilczy wicher” i dowódca łupieżczej wyprawy.

Svengal wraz z kilkoma żeglarzami stali już gotowi przy maszcie. Na dany rozkaz zwolnili fały podtrzymujące potężny nok rei i zaczęli opuszczać ją na pokład. Gdy wielki prostokątny żagiel opadł na deski, trzech inni wojownicy zebrali go szybko, składając starannie w równe fałdy, by schować płachtę do przeznaczonej na ten cel skrytki w przedniej części pokładu.

Reję tymczasem obrócono ostrożnie, starając się unikać zbędnych odgłosów, tak że leżała teraz wzdłuż osi okrętu w zagłębieniu między pokładami, na których zasiadali wioślarze. Zazwyczaj Skandianie mało sobie robili z hałasu towarzyszącego takiej operacji, jednak tym razem zachowali szczególną ostrożność, zależało im bowiem na dyskrecji.

Okręt siłą rozpędu wciąż jeszcze płynął; siedzący u steru Erak skierował jego dziób w stronę odległego już zaledwie o trzydzieści metrów arydzkiego wybrzeża.

–Do wiosel – nakazał tym samym przyciszonym głosem. Po czym dodał: – Tylko, na Torraka, po cichu.

Przyszło mu do głowy, że jedną z nieocenionych zalet skandyjskiej religii jest wielość bogów, półbogów i pomniejszych demonów, których imiona można przywoływać dla przydania mocy rzuconemu rozkazowi. Rośli wioślarze z przesadną niemal ostrożnością sięgnęli po drzewca wiosel i umieścili je w dulkach biegnących wzdłuż obu burt. Ich ruchom towarzyszyły nieliczne tylko stłumione stuki oraz skrzypnięcia, lecz Erak i tak zgrzytnął zębami ze złości. Choć ta część arydzkiego wybrzeża zazwyczaj była opustoszała, zawsze mogło się zdarzyć, że w zasięgu słuchu znajdzie się jakiś samotny pasterz lub jeździec, który nie omieszka powiadomić, kogo trzeba, że skandyjski wilczy okręt płynie w stronę miasta Al Shabah.

Wiedział, że niemało ryzykuje, posuwając się tak blisko linii brzegowej, ale było to jednak mniejsze zło. Przez całą noc płynęli kursem na południowy-zachód, niesieni

niezmiennym północnym wiatrem zawsze o tej porze roku dmącym w stronę lądu, aż dotarli na wody wielkiej zatoki; w jej zachodnim krańcu znajdował się cypel, a na nim wznosiło się Al Shabah. Erak wiedział, że w zatoce, na tle ciemnej masy lądu, z miasta jego okręt stanie się niewidoczny. Tak więc, gdy słońce zacznie wschodzić, co miało nastąpić za około czterdzieści minut, jego okręt wciąż pogrążony będzie w cieniu, podczas gdy położone na zachód od jego pozycji miasto i cypel znajdą się w pełnym świetle.

Istniała też druga możliwość, mógł skierować okręt ku Al Shabah od strony otwartego morza, nie groziło mu wówczas, że ktoś zauważy „Wilczy wicher” płynący wzdłuż wybrzeża. Jednak wtedy znacznie łatwiej byłoby go dostrzec z miasta. Nawet nocą sylwetka okrętu odznaczałaby się jako czarny cień na stalowoszarej powierzchni morza. A w miarę zbliżania się do celu widać by go było z każdą chwilą coraz lepiej.

Nie, tak bezpieczniej: opuścić żagiel i skradać się tuż przy brzegu, mając za sobą dla osłony masyw rzucający głęboki cień.

Cóż, próżne rozmyślenia. Klamka zapadła, decyzja została powzięta. Erak nie zwykł trwonić daremnie czasu na roztrząsanie własnych decyzji, gdy już wkrótce miało przyjść do walki.

–Gotować się do opuszczenia wiosel – padł rozkaz rzucony szeptem.

Wioślarze siedzący najbliżej Eraka przekazali go swym towarzyszom i już po chwili oczy



wszystkich wojowników wlepione były w dowódcę. Uniósł dłoń, a potem opuścił ją z wolna i pióra wiosel zanurzyły się w odmętach; „Wilczy wichur” ruszył w kierunku obranego celu. Erak poczuł, jak drzewce wiosła sterowego zadrgało pod jego dłonią, gdy wąski kadłub okrętu znów nabral prędkości. Niskie fale chlupotały, rozbijając się o dębowe burty, dziób prul odmęty, wznosząc po obu stronach smugi fosforyzującej bieli.

Dobrze było znów poczuć ten dreszcz oczekiwania, znów siedzieć u steru.

Życie oberjarla miało swoje zalety i Erak wcale nie zamierzał temu przeczyć. Otrzymał piątą część wszystkich łupów, jakie podlegli mu wojowie zwozili na swych okrętach do Hallasholm, a on bogacił się i nie musiał w tym celu nawet kiwać palcem. Mile korzyści, bez wątpienia, jednak Erak był przecię urodzonym morskim rozbójnikiem, a nie poborcą podatków czy administratorem. Spędził kilka lat, niemal nie opuszczając Wielkiego Dworu w swej stolicy, zarzucony przez hilfmanną Borsę stosami papierzyk – kwitów oraz rachunków – toteż wynudził się do wszelkich istniejących granic i tęsknił za jakąś godziwą rozrywką. O ile Ragnak, jego poprzednik, z chciwym błyskiem w oku przeglądał listy płatników, licząc dochody uzyskane z podatków wnoszonych przez dowódców wypraw i właścicieli gospodarstw, o tyle Erak, jako wojownik z krwi i kości, czuł się trochę nieswojo,

gdy w jego kufrach gromadziły się stosy złota, podczas gdy on sam pozostawał bezczynny. A na dodatek odczuwał znacznie więcej sympatii wobec tych, którzy starali się uchylać od skrupulatnego płacenia podatków, niż wobec oberjarla wraz z jego hilfmannem, którzy jak sępy czyhali na pieniądze swych ludzi.

Aż wreszcie pewnego dnia cisnął na kolana siedzącego obok Borsy cały stos rejestrów, wyciągów, rachunków, raportów o zbiorach oraz inwentarzy dotyczących dóbr poszczególnych jarli, tudzież wykazy zdobytych przez nich łupów, po czym oznajmił zarządcy, że wybiera się na wyprawę.

–Może to już ostatnia w moim życiu – westchnął do osłupiałego hilfmanną. – Oszaleję, gdy dalej przyjdzie mi sterczeć za tym stołem. Trzeba znów wyruszyć na morze.

Borsa, choć niechętnie, ale musiał się z decyzją pogodzić. On sam nigdy nie czuł pociągu do wojaczki. Sensem istnienia hilfmanną było zarządzanie, i był w tym bardzo sprawny. Zresztą nigdy nie potrafił pojąć, dlaczego ci potężnie zbudowani, szorstcy w obejściu morscy wojownicy ani się kwapili, by dzielić jego pasję do studiowania liczb i tropienia skrzętnie skrywanych dochodów. Wszelako współplemieńcy z zasady nie chcieli zaprzętać sobie głowy rachunkami. Nawet Ragnak we wczesnych latach swych rządów wybierał się co jakiś czas na łupieżcze eskapady. Dopiero później, gdy z wiekiem stał się leniwy oraz skąpy, bardziej niż grabieżami przejmował się liczeniem swych bogactw i dogładaniem, by wciąż rosły.

Zaraz potem Erak posłał po Svengala, dawniej swego zastępcę, który przejął teraz ster „Wilczego wichru” i powiadomił go, że obejmuje dowództwo na jeszcze jedną wyprawę.

Kto inny zapewne odczułby taką degradację jako bolesne upokorzenie, lecz Svengal był zachwycony. Obu wojowników łączyła serdeczna przyjaźń, a przy tym Svengal zdawał sobie sprawę, że Erak przewyższa go w żeglarskim kunszcie.

I tym sposobem znaleźli się u wybrzeży arydzkich, płynąc ku małemu kupieckiemu miasteczku zwanemu Al Shabah.

Był to jeden z handlowych portów, w którym statki wpływające na Morze Spokojne zaopatrywały się w zapasy żywności, drewno i liny. Poza tym miasto nie odznaczało się niczym

szczególnym. Zbudowano je na wysokim cyplu okolonym wąskim pasem plaży; ze znajdującej się od północnej strony przystani do miasta prowadziły schody. O tej porze roku zaczynał się sezon handlowy i coraz więcej statków płynęło na Morze Spokojne, wioząc na swych pokładach towary z wysp położonych na Oceanie Bezmiernym.

Po drodze zaś zawijały do Al Shabah lub innych portów, by uzupełnić zapasy wody pitnej i żywności oraz naprawić szkody poczynione przez sztormy.

Gdy wypływały w dalszą drogę, zostawiały w mieście wielką obfitość złotych monet i złotego kruszcu. Raz na jakiś czas, w odpowiedzi na sekretną wiadomość, z położonej w głąb lądu stolicy, zwanej Mararoko, przybywała zbrojna karawana, by zawieźć nagromadzone bogactwa do skarbcza emirikira. Erak wiedział, że pierwsza w tym roku karawana ma się pojawić za dwa tygodnie. Oczywiście, że zrozumiących przyczyn wieść tę utrzymywano w najwyższej tajemnicy. Skoro nie wiadomo było, czy złoto zostało zabrane już z miasta, czy jeszcze nie, zmniejszała się groźba napaści na Al Shabah. Żaden pirat przy zdrowych zmysłach nie narażałby życia dla wątpliwej nadziei, że złoto wciąż jeszcze spoczywa w miejskim skarbcu – ryzykując, że dawno je stamtąd wywieziono. Tak więc tajemnica i niepewność stanowiły dla miasta najlepsze zabezpieczenie – zwłaszcza że w przeciwnym razie jego mieszkańcy musieliby przez cały rok utrzymywać liczny, kosztowny garnizon.

Jednak tajemnice mają to do siebie, że dają się odkryć. Erak tydzień wcześniej zapłacił całe czterdzieści srebrnych rojali zdrajcy, który wyjawił mu datę przybycia karawany.

Miasta strzegł na stałe nieliczny garnizon złożony z nie więcej niż czterdziestu ludzi. Czterdziestu ospałych, otyłych arydzkich mieszczuchów, którzy od dwudziestu lub więcej lat nie słyszeli szczęku oręża, nie zdoła oprzeć się trzydziestu krwiożerczym, żądnym złota i opętanym szalem bojowym Skandianom nacierającym na nich niczym bestie z piekła.

\*\*\*

Przebijając wzrokiem ciemności, Erak dostrzegł już jaśniejszą plamę wąskiej, piaszczystej plaży ciągnącej się u stóp cypla. Widział też białe budowle wznoszące się w górze. Zauważył również, że w mieście nie palą się żadne światła. Żadnych latarni ani nawet pochodni, by oświetlić drogę niewątpliwie czuwającym tam patrolom. Wzruszył ramionami. Całkiem rozsądne postępowanie – przyznał w myśli. Płonąca pochodnia zapewnia strażnikowi poczucie bezpieczeństwa, światło dodaje mu animuszu, ale oślepia w ciemnościach i sprawia, że – poza rozświetlonym kręgiem w promieniu kilku metrów – nie widać nic.

Ha, tym słuszniej postąpił, gdy postanowił podpłynąć z opuszczonym żaglem, wzdłuż lądu. Słyszał już cichy, rytmiczny chlupot drobnych fal przy brzegu. Płynnym ruchem wiosła sterowego obrócił okręt pod kątem czterdziestu pięciu stopni do linii brzegowej. Podniósł wolną rękę, co stanowiło umówiony sygnał dla wioślarzy; szesnaście wiosel wynurzyło się, ociekając wodą. Ten i ów stęknął niemal bezgłośnie z wysiłku. Drzewca uniosły się do pionu, a następnie ułożono je pieczołowicie wzdłuż wioślarskich ław. Jedno

czy drugie stuknęło przy tym głośno, tym donioślej, że załomotało pośród panującej ciszy. Erak spiorunował wzrokiem winnych tego niedbalstwa. Jeszcze z nimi pogada – ale później, kiedy będzie mógł w pełni dać upust swojemu niezadowoleniu.

Rozległ się przeciągły chrzęst, Erak poczuł pod stopami wibrowanie pokładu, gdy stępka zaryła w piachu. Czterech wojowników czekało już na dziobie z linami, by skoczyć do płytkiej wody i zacumować okręt.

**–Tylko po cichu, wy tam! – napomnił ich Svengal szeptem.**

**Uczynił to w samą porę, bowiem wojowie już mieli skoczyć z pluskiem; opamiętali się w ostatnim momencie. Opuścili się bezgłośnie na linach, które ponieśli następnie ze sobą, brodząc po kolana w wodzie. Zaraz potem Erak usłyszał chrzęst ich stóp na piachu. W następnej chwili dwie solidne kotwice zatknięte w ziemię unieruchomiły okręt, po czym czterej wojownicy dobyli zza pasów topory, gotowi stawić pierwszy opór napastnikowi, gdyby ten znieacka się pojawił.**

**Erak zerknął ku górze, w stronę miasta. Wciąż nikt nie uderzył na alarm, żadnych patroli. Pobielone wapnem domy w bladym świetle przedświtu wyglądały niemal upiornie, jakby w mieście nie było żywej duszy.**

**Teraz na ład schodzili następni wojownicy, inni ostrożnie podawali tarcze oraz topory wojownikom znajdującym się na dole, ci następnie przenosili je i z nie mniejszą pieczołowitością układali na plaży. Przedtem tarcze osłonięto ciemną tkaniną, aby były mniej widoczne, kiedy wisiały na nadburciach; teraz wojownicy zdzierali te zasłony, w pogotowiu czekając rozkazu.**

**Erak podał tarczę oraz topór jednemu z ludzi stojących na dole, po czym również on opuścił się na dół. Nie minęła krótka chwila, gdy już dzierzył w dłoniach oręż i ruszał ku stojącym w szeregu, gotowym do ataku trzydziestu wojownikom. Przy okręcie miało pozostać tylko czterech zbrojnych, tych samych, którzy wyskoczyli jako pierwsi z linami.**

**Erak, czując rozkoszny dreszcz bojowego zapachu, mimo woli uśmiechnął się. Och, tak. Tego właśnie mu było trzeba, i to od dawna!**

**–Pamiętajcie – odezwał się do swoich ludzi – starajcie się zachowywać jak najciszej. Patrzcie, gdzie stąpacie. Nie życzę sobie, żeby któryś się poślizgnął i zjechał na sam dół, w dodatku razem z wszystkimi, którzy będą szli za nim. Naszym zamiarem jest dotrzeć jak najdalej niepostrzeżenie. Jeśli szczęście będzie nam sprzyjać, a na razie wszystko na to wskazuje, znajdziemy się w mieście, nim straż zdąży podnieść alarm.**

**Przerwał, spojrzawszy po brodatych obliczach wojowników; kilku z nich skinęło ochoczo głowami. Mówił dalej:**

**–Za to kiedy już nas zauważą, nie ma co się patyczkować. Podnosimy taki krzyk, żeby umarli wstali z grobów i ruszamy do ataku. Niech im się wydaje, że napada wielka armia, która wybije ich co do nogi.**

**Nieraz zdarzało się, Erak znalazł to z własnego doświadczenia, że na sam dźwięk bojowych wrzasków Skandian obezwładniającego strach paraliżował zaspanych strażników. Bywało i tak, że napadnięci porzucali swe stanowiska i broń, by czmychnąć w noc.**

**Zerknął ku górze. Do uspiętego, milczącego miasta prowadziła stroma, kręta ścieżka. Wskazał ją wojom żeleźcem topora.**

**–Tędy wiedzie nasza droga – oznajmił i oparłszy tarczę o ramię, wydał komendę, uświęcone wielowiekową tradycją bojowe wezwanie: – A młócić mi porządnie, chłopaki!**

## ROZDZIAŁ 5

Ścieżka okazała się wąska, nierówna, a przy tym piekielnie stroma. Jednak Skandianie, mimo potężnego wzrostu i masy, pieli się po niej w ślad za wodzem bez trudu, niczym kozice. Czasem ten czy ów stęknął z wysiłku, bywało też, że jakiś kamyk potoczył się w dół, trącony butem jednego z wojów, lecz poza tym pospieszna wspinaczka odbywała się bez zbędnych hałasów. Rażnym truchtem zbliżali się do Al Shabah.

Wszystko to kwestia kompromisu – przyszło na myśl Erakowi. Poprzednio wybrał mniejsze ryzyko, podplywając wzdłuż wybrzeża; teraz również trzeba było zachować rozsądne tempo, by przez zbyt ni pośpiech nie zdradzić swojej obecności oraz nie zaalarmować przedwcześnie obrońców. Zarazem, im więcej czasu zajmie im dotarcie do celu, tym większe prawdopodobieństwo, że zostaną zauważeni, a jeśli utracą przewagę wynikającą z zaskoczenia, walka będzie o wiele cięższa. Gdyby jednak poruszali się prędzej, siłą rzeczy narobiliby hałasu, więc ktoś i tak by ich usłyszał.

Należało tedy znaleźć złoty środek, co w tym wypadku sprowadzało się do miarowego truchtu – wolniejszego niż bieg, szybszego niż marsz.

Ich buty z miękkiej foczej skóry dudniły głucho na piasku i kamieniach, czyniąc przy tym więcej hałasu, niżby Erak sobie życzył, lecz wedle jego oceny odgłos stóp nie powinien być słyszalny w mieście, nawet jeśli znajdował się tam ktoś, kto czujnie nastawiał ucha.

W pewnej chwili jeden z ludzi, tuż za Erakiem, stracił równowagę, zachwiał się i, wymachując rozpaczliwie rękami, balansował na samej krawędzi stromego urwiska opadającego wprost do morza. Szczęściem topór miał zatknięty za pas, bo w przeciwnym wypadku zapewne ścialby nim kilka głów swoich towarzyszy.

Wydał mimo woli stłumiony okrzyk, a spod jego stóp posypały się kamienie, turlając się po zboczu. Jeszcze ułamek sekundy i on także runąłby w dół, lecz żelazny uchwyt dłoni pochwycił go za kołnierz baranicy. Ocalony przez oberjarla wojownik znów poczuł pewny grunt pod nogami.

–Na wszystkich bogów! Wielkie dzięki, dowódco... – zaczął, ale resztę słów w ustach pechowca stłumiła wielka dłoń.

Erak potrząsnął towarzyszem, przysuwając swą gniewną twarz do jego oblicza.

–Zamknij pysk, Axelu! – rozległ się wściekły szept. – Jeśli postanowiłeś skrócić sobie kark, zrób to po cichu, bo inaczej sam ci go skręcę.

Axel, jeden z wioślarzy, nawet jak na Skandianina był wyjątkowo roslym mężczyzną. Pośród skandyjskich wojów ci zasiadający u wiosel nie cieszyli się opinią tęgich myślicieli, jednak nie przeszkodziło to Axelowi skonstatować oczywistego wszak faktu, że jeśli już raz kark sobie skręci – po cichu czy nie – Erak nie będzie musiał czynić tego powtórnie. Już miał zwrócić uwagę wodzowi na ów logiczny wniosek, ale w porę się powstrzymał. W gniewie logika nieraz zawodziła oberjarla i bywał wówczas skory do posługiwania się ciężką pięścią dla rozstrzygnięcia sporu. Axel, choć potężnej postury, nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w bitkę z Erakiem.

–Wybacz, dowódco. Ja tylko... – wymamrotał, ale Erak znów nim potrząsnął.

–Milczeć! – syknął. Zerknął niespokojnie ku górze, by przekonać się, czy okrzyk wioślarza i lawina spadających kamieni nie wzbudziły podejrzeń obrońców.

Wszyscy Skandianie czekali przez kilka minut w całkowitej ciszy. Jednak uśpione miasto

milczało, nie dochodził zeń żaden odgłos, toteż napięcie pośród napastników wkrótce zelżało.

Erak bez słowa wskazał przed siebie i znów ruszył naprzód, truchtem pod górę. Gdy od szczytu dzieliło ich już tylko parę metrów, dał znak ludziom, by się zatrzymali, po czym skinął na Svengala. Resztę dystansu przebył, czolgając się, Svengal pełził tuż za dowódcą. Gdy osiągnęli szczyt zbrocza, Erak wyjrzał ostrożnie. Wreszcie, nie widząc powodu do niepokoju, uniósł się nieco, żeby lepiej rozpoznać teren. Jego towarzysz uczynił to samo; teraz dwaj potężni Skandianie na klęczkach dokonywali oceny sytuacji.

Miasto Al Shabah wznosiło się jakieś czterdzieści metrów przed nimi, otoczone niskim glinianym murem, nie sięgającym dwóch metrów wysokości. Nawet jeśli strzegli go strażnicy, takie ogrodzenia nie stanowiły dla Skandian poważniejszej przeszkody. Pokonywali je sprawnie i szybko w prosty sposób: dwóch wojowników ustawiało się pod ścianą, trzymając na wysokości pasa drzewce starego wiosła. Pozostali wskakiwali na nie z rozpędu, po jednym, następnie ci dwaj stojący pod murem wyrzucali ich w górę – a towarzysze kolejnym skokiem znajdowali się już na szczycie. Wymagało to niezłej koordynacji, jednak Skandianie od dzieciństwa ćwiczyli się w umiejętności pokonywania przeszkód tą metodą.

Jednak tym razem nie było potrzeby niczego pokonywać.

Na murach nie dostrzegli strażników. Co więcej, po prawej stronie znajdowała się zwieńczona łukiem brama. Podwoje stały otworem, nikt nie pilnował.

–Aż za łatwo – skrzywił się Svengal. Jego dowódca zmarszczył brwi.

–I mnie się tak zdaje – stwierdził. – Gdzie się podziały straże? Nikt nie stoi na czatach? Svengal wzruszył ramionami. Choć nie widzieli strażników, obaj nadal rozmawiali przyciszonymi głosami.

–Cóż, bywa i tak. Bądź co bądź, zaszliśmy ich od kuchennych drzwi – zauważył. –

Wartownicy, o ile są tu w ogóle jakieś straże, pewnie czuwają od strony morza.

Spodziewają

się, że jeśli dojdzie do napaści, to właśnie stamtąd.

Erak w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

–Może i tak – przyznał. – Czekaj tu, a ja przyjrzę się wszystkiemu z bliska.

Przebiegł skulony przez otwartą przestrzeń dzielącą go od murów. W każdej chwili spodziewał się groźnego okrzyku: „Stój!”. Dzwonu bijącego na alarm. Ale nie, Al Shabah wciąż trwało pogrążone w ciszy. Dopadł muru, przemknął pod nim aż do bramy. Jednym płynnym ruchem wydobyl z za pasa potężny topór, przerzucił go do prawej ręki, a potem z szybkością zdumiewającą u tak potężnie zbudowanego mężczyzny dał susa w otwór bramy. Rzucił błyskawiczne spojrzenie na prawo, potem na lewo, z bronią gotową do uderzenia, tarczą wzniesioną dla osłony.

Cisza.

Za bramą zaczynała się wąska ulica, utworzona przez domy o płaskich dachach. Bielone ściany ziały czernią nielicznych okien. Wszystkie drzwi solidnie zamknięto. Martwa cisza. I bezruch. Jakby mieszkańcy Al Shabah opuścili miasto.

Erak wahał się przez kilka chwil. Ta cisza nie podobała mu się. Nawet u tylnej bramy powinien stać strażnik, choćby jeden. Być może jednak Svengal miał rację, Arydzi strzegli strony miasta zwróconej ku morzu. Wszyscy czatownicy wyteżali wzrok, wypatrując nadpływających okrętów. Albo, kto wie, może zgnuśniali od bezczynności. Minęło już ponad

dwadzieścia lat od ostatniej napaści Skandian. Mieszkańcy nadbrzeżnych miast czuli się bezpiecznie, ufając, że obroni ich tajemnica. Czego mieli się obawiać – skoro nikt nie wie, czy miejski skarbiec pełen jest złota, czy też skrzynie pozostają puste? Wszakże to tylko szczęśliwy traf sprawił, że Erakowi trafił się ów przekupny Aryda, który zechciał mu zdradzić tak pilnie strzeżony sekret.

Potrząsnął głową. Wódz doszedł do wniosku, że zamiast dzielić włos na czworo, czas czym prędzej brać się do dzieła. Co się z nim dzieje, czyżby przez te lata, gdy nie wyściubił nosa z Hallasholm, stał się mazgajem, marudnym jak stara baba? W mgnieniu oka podjął decyzję. Cofnął się do bramy i dał znak Svengalowi oraz innym, by doń dołączyli.

Znów rozległ się tupot butów na piasku, lecz miasto nadal było jakby martwe. Svengal popatrzył pytająco na dowódcę.

–Dokąd teraz?

Erak wskazał drogę ostrzem topora.

–Tą ulicą, bo chyba prowadzi w dobrym kierunku. Miejcie topory w pogotowiu i oczy otwarte.

Ruszył przodem, reszta oddziału za nim, w dwóch szeregach. Szli ostrożnie, rozglądając się wokół. Co chwilę dwaj idący na ostatku odwracali się, by sprawdzić, czy nieprzyjaciel nie podąża za nimi; wszyscy spoglądali na dachy domów po obu stronach ulicy, ale nigdzie nie było widać ani śladu wroga.

Uliczka skręcała nieco ku środkowej części miasta, aż wreszcie wyprowadziła ich na prostokątny plac, którego cały jeden bok zajmował większy budynek. Erak domyślił się, że w nim właśnie mieści się oficjalna siedziba miejskiego urzędu – zaraz, jak to u nich zwie się taka budowla? Tak, już sobie przypomniał: khadif. Odpowiednik ratusza a zarazem urzędu celnego w miastach Północy.

Na ten sam plac wychodziło jeszcze kilka innych wąskich ulic. Budynki tworzące trzy pozostałe pierzeje rynku – zapewne sklepy, gospody i zajazdy – przyozdobione zostały od frontu kolumnadami i gankami dającymi podczas skwarnych dni tak pożądaną w tych okolicach cień. Erak odruchowo spojrział na wschód; niebo rozjaśniało się już różowymi smugami. Także wzdłuż frontowej ściany khadifu ciągnęła się kolumnada. Był to jedyny piętrowy budynek w zasięgu wzroku, także o płaskim dachu, lecz ukrytym za ozdobną attyką, która miała mu przydawać dodatkowego splendoru.

Pośrodku placu wznosiła się niewielka fontanna. Nie tryskała wodą, choć jej sadzawka była pełna.

Erak wyszedł na plac, a jego wojownicy za nim. Gdy tylko znaleźli się na rozleglejszej przestrzeni, utworzyli romboidalną formację, na czele której maszerowali oberjarl, Svengal i Axel. Kilku Skandian zawarczało toporami w powietrzu, gdy tak przemierzali rynek, kierując się ku piętrowej budowli. Wciąż jednak w mieście panowała głucha cisza. Rozjaśniało się, ich postacie rzucały teraz długie cienie o fantastycznych kształtach. Erak wszedł po marmurowych schodach prowadzących do potężnych, podwójnych wrót khadifu. Otaksował je wzrokiem. Solidne – stwierdził. Twarde drewno, mosiężne okucia, porządny, mocny zamek. Tyle że Skandianie dysponowali własnymi kluczami do takich drzwi. Skinął na dwóch co roślejszych wioślarzy.

–Rąbać – polecił krótko, wskazując wrota.

Obaj wyszczerzyli się w uśmiechu. Jeden ze wskazanych odłożył na chwilę topór, splunął w dłonie, po czym pochwycił drzewce oburącz. Erak cofnął się, by dać mu miejsce na porządny zamach.

–Stać!

Rozkaz rozbrzmiał echem pośród kompletnej ciszy, więc zaskoczeni Skandianie odwrócili się gwałtownie. W jednej z bocznych uliczek pojawiła się jakaś postać krocząca w ich stronę. Kilku ze Skandian zakłęło szpetnie. Erak zmrużył oczy. Poczul paskudny ucisk w żołądku. Słusznie uważał, że brak strażników był podejrzany...

Nowo przybyły był mężczyzną smukłym oraz wysokim, strojnie odzianym na zwykłą modłę arydzkich wojowników. Długą białą koszulę i szerokie spodnie, bez wątpienia z kosztownej tkaniny, zakrywał okuty metalem skórzany kaftan. U boku wisiała długa, krzywa szabla, na ramieniu niósł okrągłą tarczę, także wykonaną z metalu – przypuszczalnie z mosiądzu. Erak zauważył, że pośrodku tej tarczy znajduje się długi, ostry kolec. Zatem broń służyła nie tylko do obrony, lecz również do ataku. Stroju dopełniał szpiczasty hełm, wciśnięty na zwój cienkiego materiału owiniętego wokół głowy. Przypuszczalnie miało to służyć ochronie skóry przed poparzeniem od rozpalonego w słońcu metalu.

Do wypolerowanego, lśniącego hełmu przymocowano kolcze osłony chroniące kark oraz szyję, co wraz z kosztowną zbroją pozwalało wnioskować, że osobnik zalicza się do oficerów wysokich rangą.

Już po chwili tą samą uliczką nadciągnął oddział żołnierzy, którzy nadbiegli truchtem w dwóch szeregach i natychmiast zajęli pozycje po obu stronach swojego dowódcy. Na oko zgromadziło się ich co najmniej czterdziestu. Widząc arydzkich wojowników, Skandianie poruszyli się niespokojnie.

–Czekać! – warknął na nich przez zęby oberjarl, po czym rzekł półgłosem do Svengala: – Mają przewagę liczebną.

–Lecz nie nazbyt wielką – zauważył Svengal, który także przeliczył przeciwników. – Myślę, że nasi chłopcy bez większego trudu dadzą radę tym strojnisiom.

W przeciwieństwie do Eraka nie zadał sobie trudu, żeby zniżyć głos, więc jego słowa doszły uszu arydzkiego oficera. Ujrzeni krzywy uśmiech na brodatym obliczu. Aryda podniósł do ust srebrną świstawkę. Zagwizdał.

Rozległ się łomot, któremu wtórował zgrzyt ciężkich bali wleczonych po kamieniach; na oczach Skandian ulice prowadzące do placu zostały w mgnieniu oka zablokowane potężnymi przegrodami ukrytymi dotąd w ścianach domów.

–Nie zauważyłem ich – rzekł półgłosem Erak do Svengala. Minęli przecież jedną z tych ukrytych barier, gdy wchodzili na plac, lecz najwidoczniej zbyt byli zaprzątnięci przyświecającym im celem, by dostrzec zagrożenie.

–Wygląda na to, że utknęliście w pułapce – stwierdził Aryda.

Erak wyprostował się. Podniósł tarczę, jego ludzie uczynili to samo.

–Wy także – odparł.

Tamten tylko znów się uśmiechnął, w ciemnej, zarośniętej twarzy zaśniły białe zęby.

–Czyżby? – zdziwił się. – A ilu to łuczników przywozicie ze sobą?

Znów uniósł świstawkę, zagwizdał raz jeszcze, tym razem dłużej, przeciągle. Erak usłyszał jakieś odgłosy dobiegające z góry, a już w następnej chwili na dachach domów po

wszystkich trzech widocznych stronach placu zaroilo się od łuczników. Nie wątpił, że więcej ich jeszcze kryło się na płaskim dachu khadifu. Nawet nie licząc tych, których nie widział, naliczył około setki, a każdy dzierzył krótki refleksyjny łuk z założoną na cięciwę strzałą wymierzoną w grupkę Skandian.

Erak przyjrzał się łucznikom i twarz skandyjskiego wodza od razu przybrała ponury wyraz. W polu bitwy zlekceważyłby ich może, bowiem łuczników wyposażono w broń o krótkim zasięgu, lecz tutaj, w zamkniętej przestrzeni miejskiego placu, skąd nie było ucieczki, strzały z takiej broni stanowiły śmiertelne zagrożenie.

–Żeby mi żaden ani drgnął – polecił. Jeden fałszywy ruch, a zasypałby ich deszcz morderczych pocisków.

Axel, wojownik z krwi i kości, który wciąż stał u boku Eraka, wydał z siebie groźny pomruk. Nawet groźba stu grotów wymierzonych w jego pierś nie zdołała ostudzić kipiącego w Skandianie bojowego zapалу. Instykt berserkera podpowiadał mu, że oto pora, by uderzyć, przec na oślep przed siebie, siać zniszczenie i śmierć.

–Dowódcu, wszystkich nas nie dostaną – odezwał się. – Przynajmniej z tym gogusiem możemy się uporać.

Wysoki Aryda uśmiechnął się na te słowa i sięgnął niedbale do rękojeści krzywej szabli. Erak nie dał się zwieść pozorom; po kocich ruchach tamtego zorientował się, że pod wyszukany strojem kryje się groźny przeciwnik.

–Milcz, Axelu – już nie po raz pierwszy tego poranka uciszył podwładnego.

Aryda tymczasem postąpił krok do przodu. Spojrzał ku górze, w stronę swych łuczników i uczynił ruch ręką. Strzelcy na ten sygnał opuścili łuki, lecz uwadze Eraka nie uszedł fakt, że pozostali w gotowości, ze strzałami założonymi na cięciwy.

–Możemy uniknąć rozlewu krwi – stwierdził Aryda głosem głębokim, dźwięcznym.

Przemawiał spokojnie, tonem rozsądnej perswazji: – Tylko o jednego człowieka nam chodzi, inni nas nie interesują. Wydajcie go nam, a reszta będzie mogła odejść wolno.

–A o kogóż to wam idzie? – spytał Erak, chociaż miał wrażenie, że zna już odpowiedź.

–O Eraka. Tego, którego zwą oberjarlem – usłyszał słowa Arydy. Niewiele myśląc, Axel postąpił krok do przodu, unosząc groźnie topór.

–Nim go dostaniecie, będziecie musieli zmierzyć się z nami wszystkimi! – zawołał wyzywająco. Erak westchnął ciężko i potrząsnął głową z irytacją.

–Świetnie się spisaleś, Axelu – stwierdził. – Dzięki tobie wie teraz na pewno, że tu jestem.



## ROZDZIAŁ 6

Bez wątpienia – stwierdził w myśli baron Arald, a stwierdzeniu towarzyszyło poczucie słusznej dumy i satysfakcji – będzie to ślub roku. Ba, kto wie, może i wydarzenie na miarę całych dziesięcioleci.

Zabawa trwała w najlepsze i już teraz wszelkie oznaki pozwalały stwierdzić, iż przyjęcie uda się nad podziw. Przy jednym ze stołów zasiadło ośmioro gości, którzy przechodzili samych siebie, starając się prześcignąć pozostałych w sztuce gładzenia, marudzenia oraz powtarzania w kółko tego samego. Inni przybyli zerkali na nich z ukosa i obchodzili „stół nudziarzy” szerokim łukiem, błogosławiąc w duchu przemyślność gospodarzy, którzy w ten prosty sposób oszczędzili reszcie weselnych gości jakże uciążliwego towarzystwa.

Nie obeszło się wszelako bez gorzkich łez i wykrzyczanych na głos wyrzutów, kiedy bogdanka jednego z młodszych kadetów szkoły rycerskiej sir Rodneya przyłapała swego lubego w ciemnym korytarzu na czułym pocałunku z całkiem innym dziewczęciem. Cóż to jednak za wesele bez jakiejś awantury – Arald uśmiechnął się do siebie pod wąsem. Rozglądał się z upodobaniem po udekorowanym wnętrzu sali biesiadnej Zamku Redmont, śledził oczami wykwintny tłum odświętnie przyodzianych gości, pośród których podwładni pana Chubba uwijali się jak w ukropie, roznosząc zdumiewającą rozmaitość wyszukanych przysmaków: pieczone mięsiwa i dziczyznę, tace wybornie przyrządzonych warzyw, pikantne przekąski (specjalność zamkowej kuchni) oraz zdumiewające dzieła sztuki kulinarnej -niedoścignione w smaku wypieki – wprost rozplywające się w ustach. A przecież – co baron stwierdził z wielkim zadowoleniem – czas na owoce i desery dopiero nadejdzie!

Część ceremonialna uroczystości potoczyła się doskonale, przy czym baron uznał, iż stało się tak w niemalym stopniu dzięki niemu, bowiem on sam doskonale się spisał w przyjętej roli. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dźwięczne brzmienie jego głosu, gdy wypowiadał uroczyste rotę ślubnej przysięgi, przydało akurat w sam raz powagi oraz patosu doniosłej ceremonii.

Jak przystało na wytrawnego mówcę, za jakiego uważał się nie bez podstaw, baron uderzył też w lżejszy ton. Szczególnie zadowolony był z kilku trafnych wzmianek o długo tajonym przez minionych dwadzieścia lat uczuciu łączącym Halta oraz lady Pauline – którego nie dostrzegali nikt oprócz samego wielmoży. Pozwolił sobie przy tym na jeden czy drugi żarcik, wspominając o „celnych strzałach Amora” oraz „miłości skrywanej pod kapturem”, lecz – ku jego rozczarowaniu – nikt nawet się nie uśmiechnął. Cóż, zapewne poczucie humoru barona okazało się jednak zbyt subtelne dla mas.

Pauline, rzecz jasna, wypadła olśniewająco w roli panny młodej.

Pod względem wykwintnych manier i dobrego smaku nie miała sobie równych pośród dam królestwa; gdy ukazała się oczom zebranych w odrzwiach sali audiencyjnej, dało się słyszeć stłumione zbiorowe „ach”, pełne podziwu i zachwytu.

Oczywiście, przywdziała białą suknię, która jednak w kroju nawiązywała do noszonego przez nią na co dzień eleganckiego stroju kurierki. Ha, prostota, pomyślał baron. Oto klucz do prawdziwej elegancji. Zerknął przy tym cokolwiek niespokojnie na swój wyszywany, aksamitny, fioletowy kaftan w okolone srebrnymi koronkami złote i jasnobłękitne romby. Przyszło mu na myśl, że strój ten odbiega poniekąd od owej szlachetnej prostoty... Ale zaraz odrzucił precz tę myśl. Rosłemu mężczyźnie nie zaszkodzi nieco ozdób -uznał.

Musiał jednak przyznać, że Pauline prezentowała się wyśmienicie. Platynowe włosy upięła

nad czołem, na jej szyi widniał prosty złoty naszyjnik... I sunęła przejściem między ławami niczym prawdziwa bogini. Jej towarzyszki stanowiły godną tak pięknej oblubienicy świętę: smukła i wysoka Alyss miała na sobie suknię tego samego kroju, lecz w odcieniu bladego błękitu. Jej jasne włosy opadały swobodnie na ramiona. Druga z dziewcząt, Jenny, nie mogła rywalizować z tymi dwiema pod względem postury i elegancji, jednak ona także emanowała właściwym sobie wdziękiem. Niewysoka, o krągłych kształtach, z szerokim i przyjaznym uśmiechem na twarzy, jakby przemierzała w podskokach korytarz między ławami, podczas gdy jej towarzyszki sunęły z godnością. Tak – stwierdził baron – Jenny samą swą obecnością sprawia, że każda ceremonia nabiera ciepła i żywości. Jasnożółta suknia była odpowiednia dla pogodnego charakteru dziewczyny.

Co do pana młodego i jego družbów, Crowley naprawdę się popisał. Oczywiście, wszyscy zachodzili w głowę, jak też ubierze się Halt na tę uroczystość. Bądź co bądź od niepamiętnych czasów widywano go wyłącznie w maskującym stroju – zieleniach, brązach oraz szarościach zwiadowczego płaszcza. Ożywienie wśród plotkarzy stało się jeszcze większe, gdy rozeszła się pogłoska, iż kilka dni przed ślubem mrukliwy zwiadowca ni mniej,

ni więcej, tylko odwiedził zamkowego balwierza, by ten przyciął mu włosy oraz brodę.

Wkrótce Crowley wyjawiał długo skrywaną tajemnicę. Zaprezentował bowiem mundur galowy korpusu zwiadowców, którego uroczysta inauguracja miała odbyć się właśnie z okazji ślubu Halta – przyodzieją go pan młody, Crowley, Gilan i Will.

Zgodnie ze zwiadowczą tradycją, strój utrzymany był w tonacji zieleni, ciemnej, liściastej. Zamiast brązowych pludrów i bezrękawników oraz płaszczy z kapturami, każdy zwiadowca nosił związaną w pasie tunikę bez rękawów, nałożoną na białą, jedwabną koszulę. Tuniki wykonano z najcieńszej skóry, barwiąc je na ten sam zielony kolor. Na lewej piersi widniał wyszyty symbol dębowego liścia – srebrną nicią dla Halta, Gilana i Crowleya, miedzianą dla Willa.

Całości dopełniały zielone spodnie i brązowe, sięgające kolan wysokie buty, a u pasa spinającego tunikę zawiesili czarne pochwy wykładane srebrem: wszyscy oprócz Halta umieścili w niej broń używaną na co dzień, jednak pan młody otrzymał w podarunku ślubnym od Crowleya dwa piękne, nowe noże, również świetnie wyważone i wykonane z wielką precyzją, ale o rękojeściach wykładanych srebrem.

–Wiem dobrze, że nie nadają się do codziennego użytku, bo zbyt rzucają się w oczy, ale przydadzą ci się teraz i potem, w co uroczystszych okolicznościach – stwierdził dowódca Korpusu Zwiadowców, wręczając dar przyjacielowi.

Crowley wpadł na jeszcze jeden znakomity pomysł. Znakiem szczególnym wszystkich zwiadowców był maskujący płaszcz, który pozwalał im wtapiać się w otoczenie, gdy zachodziła taka potrzeba – okrycie doskonale spełniające swą rolę podczas tajnych misji, lecz zupełnie nieodpowiednie jako wzbogacenie galowego uniformu. Zamiast płaszczy maskujących Crowley wyposażył więc zwiadowców na stosowne okazje w płaszcze paradne nawiązujące do odzieży polowej, lecz krótsze, uszyte z matowego atlasu, przyozdobione zielono-brązowo-szarym wzorem, a główny widoczny motyw stanowiły wyszyte srebrną nicią cztery stylizowane strzały. Płaszcz ów nosiło się na lewym ramieniu, a sięgał tylko do pasa. Symbolizował tedy zarówno emblematyczny płaszcz zwiadowców, jak i kolczan ze strzałami, który wszyscy członkowie elitarnej jednostki nosili na ramieniu. Wszyscy dworacy stwierdzili zgodnie, że zwiadowcy

prezentują się doskonale i urodziwie w nowych mundurach. Otóż to – pomyślał baron Arald – prostota oraz wykuint – i znów ogarnęły go wątpliwości w kwestii jego własnego stroju.

Zwrócił się zatem do swej pięknej małżonki, rudowłosej lady Sandry, siedzącej obok niego. Wskazał niedbałym gestem na swój barwny kaftan.

–Moja droga – odezwał się – czy nie sądzisz, że to może lekka przesada?

–Przesada, mój drogi? – powtórzyła, skrywając uśmiech. Machnął niecierpliwie dłonią.

–No wiesz... Zbyt barwnie... Zbyt wzorzyście. Wystroilem się jak paw, nie uważasz?

–Czy tak ci się zdaje, mój panie? – spytała.

–Hm. Nie, skądże znowu. Ale może jednak...

–Wszak jesteś, panie, baronem Redmont – odparła, przywoławszy na oblicze wyraz powagi.

Wielmoża pokiwał w zastanowieniu głową, przyjrzał się raz jeszcze swojemu odzieniu i uspokojony słowami małżonki, stwierdził:

–No tak. W rzeczy samej. Oczywiście. Masz słuszność, moja droga. Jak zwykle. Bądź co bądź z moją pozycją wiąże się określony prestiż i wypada dbać o zachowanie pozorów.

Tak mi się zdaje. Ot, co: prestiż. A prestiż wymaga nieco splendoru. Tak więc nie mam

sobie nic do zarzucenia pod tym względem, to pewne.

Lady Sandra musiała się szybko odwrócić, nagle miała coś wielce pilnego do oznajmienia osobie siedzącej u jej drugiego boku. Tymczasem Arald, zadowolony, iż nie popełnił niestosowności w doborze szat, powrócił do rozmyślań o wydarzeniach mijającego dnia.

Gdy zakończyła się oficjalna ceremonia, tłum zgromadzonych gości przeszedł z sali audiencyjnej do komnaty jadalnej, gdzie wszyscy zajęli miejsca – wyznaczone z wielką starannością, stosownie do wieku i rangi.

Oczywiście, miejsce centralne zajmował stół państwa młodych; obok, po jego lewej stronie, ustawiono stół, przy którym zasiadał Arald, lady Sandra, sir Rodney oraz cała reszta oficjeli z Redmont. Król, jako dostojny Patron i wielki mistrz ceremonii, zajmował osobny stół, przy którym towarzyszyła mu królowa Cassandra i inni dworzanie.

Weselnicy ustawili się za krzesłami – najpierw państwo młodzi i świadkowie, potem król ze swiątą, a następnie dworzacy Aralda. Król Duncan dał wszystkim znak, by zasiedli; rozległ się hurgot krzesel na kamiennej posadzce. Sam Duncan nie siadał. Gdy rumor ustał, monarcha przemówił, a jego głęboki głos docierał bez trudu nawet do najdalszych zakątków sali.

–Szlachetne panie, szlachetni panowie – zaczął. Lecz zorientowawszy się, że we wszystkich drzwiach prowadzących do refektarza aż roi się od wpatrzonych sług zamkowych,

a także ciurów, uśmiechnął się z lekka i dodał: –...oraz wielce mi drodzy domownicy naszego

zaczęło gospodarza – tu przez salę przeszedł pomruk rozbawienia. – Mam zaszczyt

powitać was wszystkich, gdyż powierzono mi odpowiedzialną rolę Patrona tej radosnej ceremonii.

Arald pochylił się nieco do przodu, by lepiej słyszeć króla przemawiającego po drugiej stronie sali. Nastawił ucha, bowiem miał nadzieję, że teraz wreszcie wyjaśni się, na czym polega owa funkcja Patrona uroczystości, o której jako żywo dotąd nigdy nie słyszał. Zagadka

ta nurtowała go już od kilku tygodni.

–Przyznać muszę – ciągnął Duncan – że z początku nie bardzo wiedziałem, jakie są obowiązki honorowego Patrona. Zwróciłem się tedy po radę do mego niezastąpionego kanclerza, lorda Anthony'ego, a więc do człowieka, któremu nieobce są najzawilsze

meandry

protokołu, także etykiety.

Tu wskazał na swego doradcę, który skłonił się z wielką powagą.

–Dowiedziałem się od niego otóż, że obowiązki Patrona określone są jasno i przejrzysto – wyciągnął z rękawa skrawek pergaminu. – Jako honorowy Patron

ceremonii,

mam... – tu urwał i zerknął na notatkę – „przydawać celebrze monarszego *decorum*”. To

chyba

nie wymaga wyjaśnień.

Odczekał chwilę, aż umilknie szmer głosów; nikt oczywiście nie miał pojęcia, co właściwie znaczy owo *decorum* i jakim sposobem monarcha go przydaje – zapewne samą swą koronowaną obecnością. Wszyscy jednak zgadzali się co do tego, że brzmi to nadzwyczaj godnie. Lady Pauline pochyliła głowę, by skryć uśmiech. Halt dostrzegł właśnie coś bardzo interesującego w belkach sklepienia. Duncan przemawiał tymczasem dalej.

–Drugim z moich zaszczytnych obowiązków jest... – Zerknął znów na trzymaną w dłoni karteczkę, udając, że nade wszystko pragnie uniknąć najdrobniejszej choćby

pomyłki,

cytując protokolarne kodeksy –...sprawić jak najkosztowniejszy prezent państwu młodemu!

Lady Pauline drgnęła nerwowo. Spojrzała w stronę lorda Anthony'ego, który odpowiedział jej spojrzeniem całkowicie pozbawionym wyrazu. A potem, bardzo powoli, zmrużył jedną z powiek. Ten fragment król oczywiście dodał z własnej inicjatywy i sam wymyślił, ale Anthony darzył Paulinę i Halta wielką sympatią, toteż sam chętnie poczyniłby taki dopisek i z całego serca popierał tę myśl – zwłaszcza biorąc pod uwagę szczególne zasługi, jakie zwiadowca położył dla całego kraju i osobiście dla samego króla.

–Lecz nie dość tego! – ciągnął dalej król Duncan. – Spoczywa na mnie jeszcze jeden niebagatelny obowiązek. Który teraz właśnie bardzo chętnie spełniam. Mam bowiem uroczysto ogłosić rozpoczęcie weselnej uczy. A więc – panie Chubb, do dzieła!

Po czym zasiadł przy wtórze okrzyków aplauzu.

–Podobał mi się twój toast – powiedziała Alyss do Willa, gdy ze stołu sprzątno właśnie pozostałości po deserach.

–Mam nadzieję, że nie wypadł najgorzej – mruknął Will, nieprzekonany.

Jako drużba pana młodego wznosił puchar ku czci Halta i lady Pauline. Alyss uznała za oznakę dojrzałości fakt, iż potrafił przemówić szczerze, w dodatku bez skrępowania, publicznie wyrażając swe uczucia wobec Halta jako mistrza, jako mentora, a zarazem jako przyjaciela. Szkolona w krasomówstwie członkini służb dyplomatycznych potrafiła docenić słowa płynące prosto z serca, równocześnie przecież pozbawione taniej czułościowości. Podczas tego przemówienia zdarzyło jej się spojrzeć na Halta i zauważyła, że groźny zwiadowca ukradkiem ociera łzę rogiem serwety.

–Poszło ci dużo lepiej, niż myślisz – zapewniła go. Lecz widząc uśmiech pojawiający

się na twarzy Willa, trąciła chłopaka łokciem. – Co takiego?

– Tak sobie pomyślałem, że nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Halta w tańcu weselnym z Pauline. Jakoś nigdy nie słyszałem, by był szczególnie zręcznym tancerzem.

To

może być niezły widok, założę się, że straszny z niego niezdara!

– O, doprawdy? – zdziwiła się uprzejmie. – A ciekawam, jak ty sobie poradzisz?

– Ja? – Popatrzył na nią, zdziwiony. – Ja nie zamierzam tańczyć! Przecież to taniec weselny, pan młody i panna młoda tańczą go sami.

– Przez jedno okrążenie wokół sali – sprostowała. – Potem dołączają do nich drużbowie, najpierw jedna para, a następnie druga.

Will zareagował, jakby go giez ukąsił. Wychylił się co prędzej, by zwrócić się przed nosem Jenny do siedzącego po jego lewej stronie Gilana.

– Słuchaj, wiedziałeś, że my też mamy tańczyć? – spytał.

Gilan przytaknął radośnie.

– Ależ oczywiście! Jenny i ja ćwiczyliśmy ten taniec przez ostatnie trzy dni, prawda, Jen?

Jenny popatrzyła na niego z uwielbieniem w oczach i skinęła tylko głową. Jenny zakochała się po uszy. Gilan był wysoki, zabójczo przystojny, pełen uroku, ujmujący i obdarzony poczuciem humoru. Temu wszystkiemu towarzyszył dodatkowo jakże pociągający nimb tajemnicy wiążącej się z jego statusem zwiadowcy. Jenny знаła dotąd tylko jednego zwiadowcę, czyli ponurego brodacza, Halta. No, i oczywiście jeszcze Willa. Tylko że jego znała od maleńkości i jakoś nie kojarzył jej się z żadnymi romansowymi sekretami. Natomiast Gilan był po prostu cudowny! Obiecała sobie, że nie pozwoli, by ktokolwiek go jej odebrał przez całą resztę wieczoru.

Gdy orkiestra odegrała pierwsze takty „Na zawsze razem”, tradycyjnego tańca weselnego, Willa ogarnęła panika. Halt i Pauline powstali z siedzisk, goście również unieśli się i zaczęli bić brawo, spoglądając, jak ruszają ramię w ramię, schodzą z podwyższenia i kierują się ku wolnej przestrzeni pozostawionej dla tancerzy.

– No nie, ja nie będę tańczył – rzucił Will przez zaciśnięte zęby. – Przecież nie umiem.

– Musisz – wyjaśniła mu przymilnie Alyss. – Miejmy nadzieję, że szybko się uczysz.

Popatrzył na nią. Wiedział już, że nie ma ucieczki.

– No cóż, przynajmniej nie będę osamotniony – zauważył. – Halt także nieźle się zblądnił.

Nie przyszło mu jednak do głowy, że lady Pauline nigdy by nie dopuściła do czegoś podobnego na swym ślubie. Poprosiła więc o pomoc zaprzyjaźnioną damę i oto lady Sandra we własnej osobie zgodziła się udzielić zwiadowcy kilku niezbędnych lekcji. Małżonce barona, doskonalej tancerce, uczynienie zeń wprawnego tancerza zajęło zaledwie kilka godzin. Miał przecież doskonale wycucie równowagi i znakomitą koordynację ruchów. Teraz on i Pauline sunęli po parkiecie jakby przez całe życie nie robili niczego innego. Zebrani najpierw oniemieli ze zdumienia, potem rozległ się głośny aplauz.

Will poczuł na swym ramieniu rękę Alyss. Pociągnęła go, by wstał.

– Naprzód, niezdaro – ponagliła drużbę.

Will zdawał sobie sprawę, że żadnym sposobem się nie wyłga. Zszedł przed nią po

schodkach, po czym podał dziewczynie ramię. Tylko co dalej? Tego nie wiedział.

–Ręka tu – nauczyła go. – Nie ta, głupcze. A teraz druga ręka, tak... Gotów?

Zaczynamy lewą nogą, na trzy. Jeden. Dwa... A co on tu wyprawia?

Patrzyła nad jego ramieniem w stronę głównego wejścia do sali, gdzie zapanowało dziwne ożywienie. Ośrodkiem tegoż była rosła, niechlujna postać brodacza, który spierał się zawzięcie z próbującymi go powstrzymać sługami. Po futrzanej kamizeli i rogatym hełmie nietrudno było zorientować się, że nowo przybyły jest Skandianinem. Coraz więcej gości zaczęło odwracać się w tamtą stronę, toteż Horace ruszył co prędzej ku wejściu, by zorientować się, w czym rzecz. Jednak już po kilku krokach zatrzymał się, zdumiony, bowiem rozpoznał przybysza, a w tej samej chwili także Will zorientował się, kim jest nieoczekiwany gość.

–To Svengal – stwierdził młody zwiadowca.

## ROZDZIAŁ 7

Gdy tylko Horace dotarł do spierającej się grupki, niezwłocznie położył kres zamieszaniu, zapewniając sługi i strażników, że Skandianin jest przyjacielem, więc raczej nie zamierza dokonać jednoosobowej napaści na Zamek Redmont. Will tymczasem spoglądał uważnie; Horace powiedział coś szybko do Svengala, po czym odprowadził go do bocznej komnaty. Nim jednak to uczynił, odwrócił się na moment, pochwycił spojrzenie Willa i dał mu znak, żeby do nich dołączył.

Gdy goście zgromadzeni w sali zorientowali się, że nie zagraża im niebezpieczeństwo, a incydent został zażegnany, napięcie zelzało. Muzykanci, którzy przestali grać, gdy pojawił się Svengal, podjęli teraz melodię, a oczy wszystkich znów zwróciły się ku nowożeńcom. Halt i lady Pauline stali jeszcze pośrodku parkietu, nie wiedząc, co się dzieje, więc Will podszedł do nich szybkim krokiem:

–Tańczcie dalej – rzekł półgłosem. – Ja zajmę się sprawą.

Halt skinął z wdzięcznością głową. Nie życzył sobie, by coś zakłóciło pogodny przebieg tego tak ważnego dla Pauline dnia.

–Dowiedz się, czego chce – polecił. Will wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Może przywiózł ci weselny podarek?

Halt rzucił niespokojnie okiem w stronę drzwi, za którymi zniknął niespodziewany gość.

–Ruszaj – powiedział.

Will, wciąż ubawiony własnym żartem, odszedł. Po drodze, mijając Alyss, wziął ją za rękę.

–Chodź ze mną – powiedział i poprowadził ją ze sobą. Dostrzegł pytające spojrzenie Gilana; wysoki zwiadowca zamierzał właśnie sprowadzić Jenny z podium. Will wskazał mu ruchem głowy Halta i Pauline, po czym bezgłośnie, poruszając tylko ustami, przekazał mu wiadomość: „Zachowuj się naturalnie. Tańcz”.

Gilan skinął głową na znak, że rozumie. Oczywiście, chodziło o to, żeby wszystko odbywało się dalej, jak gdyby nigdy nic, bez zakłóceń.

Ta wymiana informacji między dwoma młodymi zwiadowcami nie umknęła uwadze Pauline; zauważyła też, jak Will dyskretnie przeciska się między stolami, prowadząc ze sobą Alyss. Od czasu do czasu zatrzymywał się, by z uśmiechem odpowiedzieć na pytania zadawane mu przez gości, bez wątpienia uspokajając ich i zapewniając, że nic szczególnego się nie stało, a kompetentne osoby sprawują pieczę nad biegiem wypadków. Lady Pauline stwierdziła z uznaniem, że chłopak zareagował szybko i bez wahania przyjął na siebie odpowiedzialność, wyręczając Halta.

–Twój czeladnik wydorósł – stwierdziła, zwracając się do świeżo poślubionego małżonka, gdy znów ruszyli w płasy.

Teraz także Gilan i Jenny przemierzali parkiet tanecznym krokiem, po chwili dołączyli do nich również Duncan z Cassandrą, a następnie baron oraz lady Sandra. To zaś było sygnałem dla pozostałych, którzy ruszyli tłumnie, by w ten sposób uczcić nowożeńców. Nie minęło parę minut, a już wszyscy zapomnieli o znużonym podróży przybyszu, którego nagle pojawienie się niespodziewanie przerwało weselny obrządek.

Król Duncan manewrował tak, by zbliżyć się do Halta oraz Pauline, Cassandra z lekkością i wdziękiem dotrzymywała mu kroku.

–Halt? Wiesz może, co się dzieje? – spytał półgłosem monarcha.

–Will poszedł, żeby się wywiedzieć – odparł Halt, a usatysfakcjonowany król skinął głową.

–Informujcie mnie na bieżąco – rozkazał, po czym wraz z Cassandrą odpłynął w tańcu, lecz niemal natychmiast jego miejsce zajął baron Arald i lady Sandra, choć wielmoża uczynił to z nieporównanie mniejszą gracją, bo parł poprzez tłum tańczących niczym dzik przez zarośla, a może raczej okryty fioletowo-błękitno-złotą kapą rumak bojowy, czyniący sobie przejście pośród bitewnego zgiełku... Cóż, lady Sandra nigdy nie zdołała wpoić małżonkowi pewnych zasad stanowiących wyższe arkana tanecznej sztuki.

–Halt? – spytał baron, gdy znalazł się obok swego zwiadowcy. – Co się stało?

–Will sprawdza – odpowiedział Halt, a baron skinął głową.

–To dobrze. Informujcie mnie na bieżąco.

Oddalił się wraz z baronową, a Halt rzucił znaczące spojrzenie swojej partnerce -musiał przy tym unieść nieco wzrok, bowiem lady Pauline była naprawdę wysoką kobietą.

–Ha, na bieżąco! Niech no najpierw do mnie ktoś przybieży z wieściami...

\*\*\*

Gdy znajdowali się już blisko wejścia, Alyss zatrzymała się.

–Czy nie lepiej, bym wróciła do stołu? – spytała. – Skandianin mnie nie zna, a może poczuje się swobodniej, gdy w pobliżu nie napotka obcych. Łatwiej będzie się z nim dogadać,

nie uważasz?

Jako kurierka i urodzona dyplomatka wykazała się właściwym sobie taktem; Will uznał, że dziewczyna ma słuszość. Niewątpliwie wydarzyło się coś niezwykłego, w przeciwnym razie Svengal nie dokonałby tak dramatycznego wtargnięcia oraz nie domagałby się posłuchania. Skinął więc głową, po czym na krótką chwilę ujął jej dłoń obiema rękami.

–Może i racja – powiedział. – Zresztą lepiej będzie wyglądać, gdy choć jedno z nas powróci do stołu.

Uściskał dłoń dziewczyny i wypuścił ją. Obdarzyła go uśmiechem, odwróciła się, za chwilę wtopiła się w tłum. Will spoglądał jeszcze przez moment w ślad za nią, później zaś wszedł do niewielkiej komnaty, a właściwie sieni, do której Horace zaprowadził Svengala.

Skandianin siedział, przygarbiony, na ławie.

–Willu – rzekł ze zbolalym obliczem, powstając sztywno, by uścisnąć dłoń zwiadowcy. – Przykro mi, że przybywam nie w porę, psując zabawę.

Will zerknął na Horace'a.

–Co się stało? – spytał. Sądząc po wyglądzie Svengala, jego przygarbionych plecach i niewesołej minie, dobre wiadomości nie wchodziły w grę.

Horace machnął ręką.

–Pomyślałem, że zaczekam na ciebie. Bez sensu jest powtarzać dwa razy to samo. A co słyhać na sali? – Szybkim ruchem głowy wskazał ścianę dzielącą ich od sali balowej.

–Wszystko w porządku, znów zapanował spokój. Załatwiłeś wszystko sprawnie, zanim większość ludzi w ogóle zdążyła się zorientować. Dobra robota!

Horace zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć, że to przecież drobiazg, a Will zajął się tymczasem Svengalem.

–Wyglądasz na znużonego – zwrócił się do Skandianina. – Nic ci nie jest?

Bowiem Svengal, gdy tylko przywitał się z Willem, opadł od razu z powrotem ciężko na



ławę. Skrzywił się boleśnie.

–Bywało lepiej – stwierdził. – Spędziłem całe dwa dni i większość zeszłej nocy na jednym z tych waszych przeklętych koni. Całą drogę z Araluenu! Nie czuję nóg. I pleców też!

–stęknął.

–Z Araluenu? – zainteresował się Horace. – A co tam robileś?

–Przypłynęliśmy „Wilczym wichrem” w górę rzeki, tak jak ostatnim razem. Pomyślałem sobie, że tam przede wszystkim należy was szukać.

Will i Horace spojrzeli po sobie.

–Musiałeś wzbudzić nie lada sensację – zauważył Will. – Oględnie mówiąc.

Co prawda Araluen oraz Skandia związane były traktatem pokojowym, ale i tak nieoczekiwany widok wilczego okrętu w samym sercu kraju z pewnością wywołał panikę.

–Zawiesiliśmy na maszcie sztandar Evanlyn – wyjaśnił Svengal. – Zachowaliśmy go z czasów ostatniej wyprawy do Araluenu. Macie tu coś do picia?

Przepraszającym gestem Will uniósł obie dłonie.

–Wybacz. Zapewne nie pogardzisz też czymś do zjedzenia! – zawołał. Svengal pokiwał poważnie głową.

–No, owszem. Przydałoby się wziąć coś na ząb. Już dawno nic nie jadłem.

Will przywołał pazia, który stał przy drzwiach. Chłopiec wsunął głowę i aż otworzył usta ze zdziwienia na widok potężnego Skandianina, który wyszczerzył się doń w uśmiechu.

–Przynieś no nieco wina... nie, zaczekaj! – Will zatrzymał chłopaka, który już zamierzał pobiec, by spełnić polecenie zwiadowcy. Paź cofnął się kilka kroków. – Przynieś też talerz jakiejś strawy. Duży talerz. Właściwie nie, tacę. Dużo mięsiwa, mnóstwo chleba.

O

zieleninie i warzywach możesz zapomnieć. – Wiedział, że Skandianie mają w głębokiej pogardzie warzywa, które wedle ich mniemania pozbawione były jakichkolwiek

odżywczych

wartości.

–A wino przynieś w karafce – dodał Horace. – Nie żaden tam kieliszeczek. I pospiesz się!

–Tak jest, panowie – odpowiedział paź. Zniknął, jakby go zdmuchnęło.

–Cóż, teraz wyjaśnij nam – zaproponował Will – co sprowadza cię tutaj i to w samym środku wesela Halta?

–O weselu to akurat nic nie wiedziałem – rzekł Svengal. – Spędziliśmy wiele miesięcy na morzu. Teraz jestem tutaj, bo potrzeba nam pomocy. Jedyne na was możemy liczyć.

–My? Możemy liczyć? To znaczy kto konkretnie? – spytał Horace.

–Erak i ja. Choć tak naprawdę to tylko Erak. Powiedział mi, żebym się wybrał do Araluenu i odnalazł ciebie – no i Halta.

–Pragniesz powiedzieć, że przysłał cię do nas z Hallasholm, czy tak? – próbował uściślić Will. Wiedział, że Erak przekazał dowództwo własnego okrętu Svengalowi – po tym, jak objął urząd oberjarla. Jednak Svengal potrząsnął głową.

–Nie, jest w Arydii – padła odpowiedź. – Został pojmany przez Arydów, którzy uwięzili go dla okupu.

–Co takiego? – Głos Willa zabrzmiał jakoś piskliwie, wyżej, niż chłopak zamierzał. Urwał,

opanował się. – Co, u diabła, Erak robił w Arydii?

–Urządziliśmy sobie wyprawę – wyjaśnił Svengal. – Znudziło mu się przesiadywanie w jednym miejscu i wysłuchiwanie gadaniny Borsy przez cały dzionek.

–Nietrudno mi to sobie wyobrazić – stwierdził Will. Nadal czuł urazę do hilfmann, który skazał go na pracę podwórzowego niewolnika, co – zważywszy na surowość skandyjskiej aury zimą – równało się niemal wyrokowi śmierci.

–Mniejsza z tym. – Horace przywołał druha do rzeczywistości. – Svengalu, opowiadaj dalej.

Lecz właśnie tę chwilę wybrał paż, by pojawić się z tacą, na której piętrzyły się kurze udka i kotlety wieprzowe, całości zaś dopełniał jagnięcy udziec. Nie zabrakło tam też sporej karafy z winem. Svengal zerknął łakomie na stojącą przed nim tacę.

–Ależ jasne, jedz – zwrócił się do niego Horace.

Skandianin jednym haustem wypił trzecią część zawartości karafy, a potem pochwycił jagnięcą nogę, z której odgryzł od razu taki kawał, że mogłaby się tym z powodzeniem posilić niewielka rodzina. Przeżuwał przez chwilę, połknął mięsiwo, zamknął oczy z błogim wyrazem twarzy, czując, jak jedzenie i napitek sprawiają, iż krew znowu raźniej krąży w jego skandyjskich żyłach.

–Chyba rzeczywiście był głodny – zauważył Will półgłosem.

Svengal wyjaśnił, że ostatnie dwa dni spędził na końskim grzbiecie, a nie ten akurat sposób podróżowania Skandianie lubili najbardziej. Po tym, jak rzucił się na jedzenie, nietrudno było się domyślić, że nie zatrzymywał się nawet na posiłki. Wreszcie wilk morski przełknął ostatni kawałek jagnięciny, następnie upił kolejny wielki haust wina. Otarł tłuszcz oraz resztki napoju z bokobrodów wierzchem wielkiej jak bochen chleba dłoni, a potem beknął tak donośnie, że obudziłby nieboszczyka.

–Chyba mu smakowało – skomentował Horace.

Will westchnął ciężko, zniecierpliwiony.

–Svengalu – sapnął – opowiesz nam wreszcie, jak doszło do pojmania Eraka? I jak tobie udało się uciec? No i przede wszystkim, co wam strzeliło do głowy, żeby wyruszyć aż do Arydii? No i...

Svengal uniósł zatłuszczoną dłoń, by go powstrzymać.

–Zaraz, zaraz. To już trzy pytania, na razie wystarczy. No więc tak: Erak się nudził.

Chciał znów wypłynąć na morze. No i wypłynął, postanowił urządzić sobie jeszcze jeden, ostatni wypad. – Zamilkł, zastanawiając się przez krótką chwilę. – Ściślej mówiąc, to on tak gadał, że to niby ostatni raz ma być, ale ja raczej wątpię. Myślę, że...

–Do rzeczy! – zawołali Will i Horace zgodnym chórem.

–Hmm... No tak, wybaczcie. Tak więc, jako się rzekło, wybraliśmy się na wyprawę.

–Ale dlaczego aż na tak daleką, przecież Arydia to istny koniec świata. – Horace nie posiadał się ze zdziwienia.

Svengal rzucił mu urażone spojrzenie.

–No, owszem, niby całkiem daleko. Tylko że ostatnimi czasy tutaj nam łupić nie wolno, jak może pamiętacie. Musimy wybierać się w odleglejsze krainy na poszukiwanie zdobyczy.

–Aha, no tak. Czyli to nasza wina – stwierdził Will. – Trudno. Mów dalej, Svengalu.

–Otóż, tak czy inaczej, postanowiliśmy uderzyć na miasto zwane Al Shabah. To taka handlowa miejscina, w której zaopatrują się statki kupieckie, no i doszliśmy do wniosku – a raczej Erak doszedł – że trafimy tam dużo złota. Bo rzecz w tym, że...

–Svengalu – przerwał mu Will. – Niewątpliwie mieliście stosowne powody, żeby napaść na El Shibah... Czy jak tam to miasto się nazywa...

–Al Shabah – poprawił go Svengal, zerkając z ukosa na kurze udko, do którego ręka sama mu się wyciągała...

–Dobrze, już dobrze. Opowiedz po prostu, co się zdarzyło, zgoda?

–No cóż. Wylądowaliśmy przed świtem i jak doszliśmy do Al Shabah – nie było tam nikogo, pustka. Żadnych straży, żadnych czujek. Wleźliśmy sobie do miasta i dopiero potem zorientowaliśmy się, że już tam na nas czekają. Zgromadzili ponad setkę żołnierzy, i to nie byle chłystków, a zawodowych siepaczy. Zazwyczaj takich miast strzegą tylko mieszcuchy z pospolitego ruszenia. A więc jak mówiłem: czekali na nas. Nawet wiedzieli, że jest z nami Erak. Zawołali go po imieniu i wiedzieli, że jest oberjarłem. Mówili, że tylko o niego im chodzi, reszta z nas może sobie odpłynąć.

–Zaraz, zaraz. Wyjaśnijmy to sobie. Złapali was wszystkich w pułapkę? Całą załogę okrętu? – Horace przyglądał mu się ze zmarszczonymi brwiami.

Svengal skinął głową.

–Tak, tylko że potem nas puścili, żebyśmy pojechali po okup. Nawet oddali nam broń, co prawda dopiero jak już znaleźliśmy się na pokładzie. Jeden taki powiedział, że nam się przyda, żeby nas piraci nie napadli, jak będziemy płynęli z okupem. – Svengal parsknął niewesołym śmiechem. – Niezłe, co?

–Ile ma wynosić ten okup? – spytał Will.

–Osiemdziesiąt tysięcy rojali.

Obaj młodzieńcy gwizdnęli przeciągle.

–Niem mało srebra – stwierdził Horace. Svengal wzruszył ramionami.

–Cóż, bądź co bądź Erak jest oberjarłem.

Will rozmyślał nad tym, co właśnie usłyszał z ust Svengala. Było coś, czego wciąż jeszcze nie rozumiał.

–Svengalu, osiemdziesiąt tysięcy to sporo grosza. Jednak Erak zdołałby tyle zdobyć, prawda? Bądź co bądź, jak sam powiedziałeś, jest oberjarłem. Dlaczego po pieniądze przybywasz do nas?

–Bo tak kazał mi Erak. Przecież gdybym płynął do Skandii, potrwałoby to prawie rok, a potem drugi rok z powrotem do Arydii... – zawiesił głos.

Will pokiwał głową.

–No tak, to ma sens – oznajmił. – Jestem pewien, że król Duncan zgodzi się pożyczyć te pieniądze. Erak uratował życie jego córki, więc... – Teraz on urwał, bo zorientował się, że Svengal chciał powiedzieć coś jeszcze, że pragnie wyrazić do końca myśl, tylko nie bardzo wie, jakich słów użyć. – Tak? – ponaglił morską wilka, a olbrzym westchnął ciężko.

–No, bo jest jeszcze jedno. Erak nie chciał, żebym przywiózł do Skandii wieść, że go pojmano – wyznał. – Na dobrą sprawę, to jest pewien, że zdradził go jeden z naszych.

## ROZDZIAŁ 8

–Zdradził go? – powtórzył król Duncan. – Dlaczegoż mieliby go zdradzić podlegli mu rodacy? Wedle wieści, jakie mnie dotąd dochodziły, Erak jest lubianym i szanowanym oberjarlem. Nie mówiąc już o tym, że to przecież właśnie oni sami zgodnie wybrali Eraka.

Działo się to rankiem następnego dnia. Nawet przestronny gabinet barona Aralda sprawiał wrażenie zatłoczonego, nieczęsto bowiem gościło tam aż tylu zebranych. Oprócz króla i jego córki za stołem zasiedli lord Anthony, Crowley, Halt i Pauline, baron Arald oraz sir Rodney, Horace, Gilan, Will, a także Alyss. Oczywiście baron ustąpił monarsze honorowe miejsce za stołem. Svengal, wycieńczony drogą przebytą z Zamku Araulen, wciąż jeszcze odsypiał podróż. Gdy Will poznał powód nieobecności Svengala, przyszło mu na myśl, że nieszczęsny jarl skutki dwóch dni spędzonych w siodle może odczuwać jeszcze dość długo –jako niedoświadczony jeździec Svengal przebudzi się cały zeszywniały, a boleć go będą wszystkie mięśnie.

Poprzedniego wieczoru, kiedy Will zrelacjonował wieści przywiezione przez Svengala, postanowiono odłożyć dyskusję na temat nowin do godzin porannych. Tak więc wesele odbywało się bez dalszych przeszkód, zresztą zgodnie z postanowieniem lady Pauline, ta bowiem uważała – co stwierdziła kilka tygodni wcześniej podczas rozmowy z Haltem – że uroczystość ma wielkie znaczenie dla wielu przybyłych i w przypadku niektórych stanowi jedyną być może w życiu okazję, by otrzeć się o królewski majestat. Zatem za rzecz wysoce niewłaściwą należałoby uznać psucie im tej przyjemności.

–Niech się bawią – powiedziała. – Sprawa nie jest tak pilna, żeby nie mogła poczekać do jutra rana.

Słyszając słowa małżonki, Halt uśmiechnął się z uznaniem. Dokonała trafnej oceny sytuacji, bez wątpienia – baron Arald wiedział, co czyni, powierzając Pauline odpowiedzialną funkcję w służbach dyplomatycznych.

Pauline miała też inny powód, by odwlec naradę. Choć nie uznała za stosowne, by o nim wspominać. Otóż wiedziała doskonale, że nieprędko uda jej się znów nakłonić Halta do zatańczenia z nią, toteż chciała w pełni wykorzystać szczególną okazję. Ani myślała zważać na byle przeszkodę – w postaci nieroztropnego skandyjskiego oberjarla, który głupio dał się pojmać Arydom. Kwestia stosownych priorytetów oraz właściwej perspektywy, ot co – stwierdziła w duchu.

Tak więc tańce i biesiada trwały nadal. A potem, tuż przed północą, przed wejście do sali zajechał otwarty powóz, do którego zaprzężono dwie białe klacze. Nowożeńcy ruszyli na czele orszaku przez wielką komnatę, po czym, przy wtórze wiwatów, wsiedli do powozu. Oprócz gości weselnych okrzyki na cześć państwa młodych wznosiło też kilkuset wieśniaków, dla których baron urządził wielki festyn pod gołym niebem, ufundowawszy w tym celu dwa woły, które upieczono nad ogniem, oraz wiele beczek piwa.

Kmiecie utworzyli szpaler wzdłuż ulicy wiodącej do zamkowej bramy, a inni czekali poza obrębem murów, za opuszczonym mostem zwodzonym i podniesioną kratą, po obu stronach drogi prowadzącej z boczem zamkowego wzgórza w stronę lasu. I tutaj nie zabrakło entuzjastycznych okrzyków oraz kwiatów sypanych pod koła powozu. Halt, który przez całe życie robił wszystko, żeby unikać rozgłosu, przemieszczać się niepostrzeżenie i działać w ukryciu, znalazł się nagle w samym centrum uwagi tłumu, co stanowczo mu nie odpowiadało. Tak, zdecydowanie nie przypadało mu do gustu, kiedy wszyscy patrzyli się na niego, a on nie

mógł skryć się pod swym płaszczem, toteż odruchowo przygarbił się, próbując zapaść się w pluszowe poduszki siedzisk. Tymczasem lady Pauline siedziała prosto i pozdrawiała wiwatujący tłum skinieniami dłoni niczym udzielna władczyni. Jako że na wszystkich weselach zgromadzeni kierują uwagę przede wszystkim na pannę młodą, wysiłki Halta, by pozostać niezauważonym – szczęśliwie nie wywołały szczególnego zainteresowania...

–Dokąd teraz pojedą? – spytała kowalowa, nie zwracając się do nikogo konkretnego, kiedy powóz ze stukotem kół oddalił się już nieco.

Jakaś jejmość stojąca obok – jedna z tych, co to zawsze znają odpowiedzi na wszystkie pytania, z niezachwianą pewnością udzieliła wyjaśnień:

–Słyszałam, że głęboko, głęboko w sercu lasu czeka już na nich rozkoszna siedziba, specjalnie w tym celu wybudowany pałac. Cały ukwiecony, a w środku przyozdobiony drogimi tkaninami, i tam spędzą tę noc – wyobraźnia poniosła ją, gdy oczami duszy ujrziała owo miłosne gniazdko nowożeńców, więc dodała tonem zwiastującym niezachwianą pewnością: – Co więcej, mają tam specjalnie wytresowane ptaki śpiewające na drzewach i śnieżnobiałe łanie, które paść się będą na polance, by cieszyć oko panny młodej.

Rzeczywistość przedstawiała się jednak o wiele bardziej prozaicznie: powóz zatrzymał się przy małym domku w lesie, gdzie Halt i Pauline spędzili nieco czasu, czekając, aż tłum się rozejdzie. Potem zaś wsiedli do innego powozu, ciągniętego przez zwykłe szkapy i powrócili na zamek, do komnat przydzielonych im przez barona Aralda. Dzięki temu nie musieli wstawać o świcie, by zdążyć na poranne spotkanie poświęcone wydarzeniom, które sprowadziły do zamku Svengala.

–Erak cieszy się sporą popularnością – stwierdził Will, odpowiadając na pytanie króla

–ale istnieje nieliczna grupka niezadowolonych, którzy pragnęliby pozbyć się oberjarla.

Grupka nieliczna, lecz hałaśliwa i sprzeciwiająca się rządowi Eraka wyjątkowo zaciekle.

–Domyślam się, że nasz traktat odegrał tu niejaką rolę? – odezwał się Crowley.

Kiedy Halt poprowadził Skandian do zwycięstwa nad najeźdźczymi siłami

Temudżeinów, skorzystał z nadarzającej się okazji, by po bitwie zawrzeć traktat, na mocy którego między oboma krajami zapanował pokój. Wobec tego samowolne, indywidualne wyprawy poszczególnych jarłów na Araluen były przez oberjarla „niemile widziane”. W praktyce oznaczało to tyle, co „surowo zabronione”.

–W rzeczy samej, traktat nie ułatwia sprawy – przyznał Will. – Frakcja sprzeciwiająca się Erakowi posługuje się nim jako argumentem, by siać niezgodę. Jednak sedno problemu leży gdzie indziej.

–Skoro działa tam stronnictwo sprzeciwiające się władzy Eraka – zauważyła lady Pauline – należy przypuszczać, że mają swojego własnego kandydata na przywódcę. Kto to może być? Czy wiemy?

–Wiemy – wyjawił Will zgromadzonym. Choć zarówno on, jak i Horace wspólnie wysłuchali wieści Svengala, postanowili, że to Will dokona podsumowania w trakcie narady. Jednym z elementów szkolenia zwiadowców było bowiem kształcenie ich w sztuce zwięzłego, rzeczowego relacjonowania faktów. – Przeciwnikom Eraka przewodzi niejaki Toshak, dawny poplecznik Slogora.

Gdy wymówił imię Slogora, napotkał od razu spojrzenie Cassandry – której, jako żywo, nie było ono obce. Slogor nie szczędził wysiłków, by doprowadzić do egzekucji aralueńskiej

księżniczki, kiedy Cassandra wraz z Willem przebywała pośród Skandian. I to ona odkryła zawiązany przezeń spisek, zdradę, jakiej dopuścił się wobec swych rodaków, próbując zaprzedać ich Temudżeinom.

Alyss zauważyła wymianę porozumiewawczych spojrzeń między Willem a jasnowłosą księżniczką. Zacisnęła z lekka usta, lecz dyplomatyczne szkolenie pod kierunkiem lady Pauline nie poszło na marne – natychmiast zapanowała nad wyrazem twarzy, nim ktokolwiek zdołał to zauważyć.

–Poplecznik Slogora? – powtórzył król. – Lecz przecież on już nie żyje. O ile się nie mylę, Erak po zakończeniu działań wojennych skazał zdrajcę na śmierć, nieprawdaż?

–Próbowałam go nakłonić do zmiany zdania – wtrąciła Cassandra. – Wydawało mi się to zbyt okrutne, a poza tym czułam się... odpowiedzialna. No i miałam wrażenie, że dałoby się lepiej rozwiązać tę kwestię.

Król potrząsnął głową.

–Nie, moja droga. To było posunięcie drastyczne, ale i niezbędne. Slogor zdradził własny kraj w czasie wojny. Nie wolno pozwalać, by tacy ludzie unikali sprawiedliwej kary. Zasłużył na to, co go spotkało, więc nie masz powodu, by się obwiniać.

–Królowa miała jednak po części słuszość, próbując ocalić Slogora – odezwał się Halt. Gdy spojrzenia wszystkich zwróciły się ku niemu, wyjaśnił: – Często tak się zdarza, że godny pogardy osobnik, który poniósł gwałtowną śmierć, przeistacza się w męczennika. Gdy minie nieco czasu, współplemieńcy zapominają o jego niecnym postępkach, zaczynają go zaś widzieć w innym świetle. Niektórzy uznają winowajcę za ofiarę, a wówczas już tylko krok, by uczynić sobie z niego sztandarową postać dla dalszych niecnym knowań.

Will ciągnął dalej:

–Takie też mniej więcej jest wedle słów Svengala zdanie Eraka. Toshak, przywódca buntowników, nie dba wcale o to, co się stało ze Slogorem. Tamten potrzebny mu jest tylko jako symbol, instrument dla realizacji własnych celów. A chodzi mu – krótko mówiąc – o to,

by przejąć stanowisko oberjarla.

Król z wolna pokiwał głową. Wszystko układało się w spójną całość.

–I dlatego Erakowi zależało, żeby Svengal nie pojawił się w Skandii z wiadomością o pojmaniu obecnego wodza, bo oznaczałoby to dla rodaków rządzącego oberjarla wydatek osiemdziesięciu tysięcy rojali na okup za jego uwolnienie. Istnieje obawa, że dojdą do wniosku, iż prędzej i taniej będzie wybrać nowego oberjarla.

Sir Rodney, jak dotąd, przysłuchiwał się rozmowie bez słowa. Teraz jednak zmarszczył brwi w zamyśleniu, po czym zadał pytanie:

–Zapewne w Hallasholm istnieje grupa, która chce się pozbyć Eraka, ale nie dysponujemy dowodami, że pojmanie oberjarla nastąpiło za ich sprawą, prawda? Z tego co wiemy, równie dobrze Erak mógł mieć zwykłego pecha – a Arydom sprzyjało szczęście.

–Nie można tego wykluczyć, sir Rodney – przyznał Will. – Jednak istnieją dalsze poszlaki. Otóż przed porą wypraw grabieżczych podejmujący je skandyjscy kapitanowie uzgadniają między sobą, którym z nich jakie terytoria przypadną w udziale, a kwestie sporne

rozstrzygane są przez losowanie. Wszyscy jarlowie wiedzieli, dokąd uda się Erak, więc

również Toshak został poinformowany, że okręt Eraka znajdzie się u arydzkiego wybrzeża.

–Nie zmienia to faktu – zabrał głos Crowley – że Rodney poczynił słuszną uwagę. Być może tylko szczęśliwym trafem Arydom udało się zwabić Eraka w zasadzkę. Być może doszło do ich uszu, iż u arydzkich wybrzeży kręci się wilczy okręt. W konsekwencji przygotowali się na spotkanie najeźdźcy, a przy tym postarali się podstawić mu fałszywego informatora, od którego Erak kupił mylące wieści o liczbie żołnierzy w mieście. Nie istnieje niezbity dowód na współudział Toshaka.

–Poza jednym – zauważył Horace. Uznał, że Will został zaatakowany ze wszystkich stron i nie zaszkodzi mu trochę wsparcia. – Nie przygotowali się na spotkanie załogi jakiegoś tam skandyjskiego okrętu. Dobrze wiedzieli, że na pokładzie tego właśnie okrętu przypląwa Erak, wiedzieli, że jest oberjarlem. Mogli zdobyć takie informacje tylko od któregoś ze Skandian.

Zarówno Rodney jak i Crowley skinęli głowami w milczeniu. Wywodowi nie dawało się zaprzeczyć. Cassandra tymczasem spoglądała z niepokojem na ojca; zdawało jej się, że dyskutanci odchodzą od właściwego tematu.

–Ale pożyczmy Erakowi te pieniądze, prawda, ojcze? – spytała.

Król spojrział na córkę. Owszem, zamierzał to uczynić, choć nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji. Osiemdziesiąt tysięcy to bądź co bądź, niemało srebra. Prawda, że była to suma, którą zdołałby bez zbytniego uszczerbku wyłożyć. Ale zarazem szło o dość pokaźną kwotę. Osiemdziesięciu tysięcy nikt nie wyrzuca, ot tak sobie, za okno.

–Dam głowę, że Erak jest w stanie zwrócić pożyczkę, wasza wysokość – stwierdził Halt. Na własny użytek postanowił już, że nawet gdyby przypadkiem król Duncan nie zgodził

się na udzielenie pożyczki, on sam wybierze się do Arydii i wyrwie Eraka z łap porywaczy.

–Ależ tak, tak. – Duncan machnął ręką, wciąż rozważając zawilości sprawy. – Z pewnością. W dodatku ostateczna suma okupu przypuszczalnie wyniesie mniej. Arydzi poczuliby się urażeni, gdybyśmy się choć trochę nie potargowali.

–Zawdzięczam Erakowi życie, ojcze – rzekła Cassandra cicho, lecz stanowczo. Coś w tonie jej głosu uzmysłowiło Duncanowi, że córka obawia się, czy aby król nie waha się przed

udzieleniem pomocy Erakowi. Nim jednak zdążył się odezwać, dodała: – Nie tylko wtedy, gdy pomógł uciec mnie i Willowi. Również później, kiedy Słagor wyjawiał, kim jestem, i starał się doprowadzić do uśmiercenia mnie, Erak był gotów walczyć w mojej obronie. Duncan uniósł dłoń, by uciszyć córkę. Dotarło doń, że królowa mówi coraz bardziej podniesionym głosem, a nie chciał dopuścić do sporu z nią akurat teraz, wobec tak licznego zgromadzenia.

–Cassie, nie lękaj się, zamierzam zapłacić ten okup. Jednak sposób przeprowadzenia całej operacji, to zupełnie inna kwestia.

Od razu spostrzegł, że choć uspokoił córkę stanowczym zapewnieniem, Cassandra nie pojmuje, na czym polegać może trudność. Wyjaśnił zatem:

–Przede wszystkim nie uśmiecha mi się pomysł załadowania osiemdziesięciu tysięcy rojali – czy też jaka okaże się w końcu suma – na okręt i posłanie okupu do Arydii drogą morską. Wiąże się z tym zbyt wielkie niebezpieczeństwo, pieniądze łatwo mogłyby

przepaść... Na morzu zdarzają się sztormy, okręty niekiedy toną, czasem dochodzi do pirackich napadów. Ryzyko uważam za zbyt duże.

Lord Anthony zakaszlał przeprasząco.

–Wasza wysokość, zawsze można skorzystać z usług Rady Sylezjańskiej – wtrącił, na co Duncan skinął głową.

–To właśnie miałem na myśli, mój drogi Anthony.

Rada Sylezjańska stanowiła coś na kształt kartelu, kupczącego raczej pieniędzem niż towarami. Władcy i książęta deponowali u nich pieniądze, a Sylezjanie płacili od nich odsetki. Z obrotu powierzonymi środkami czerpali podstawowe zyski, lecz podejmowali się też chętnie dostarczenia każdej sumy, już to wypłacając ją z własnych zasobów, już to przewożąc na własną odpowiedzialność, gdy nie dysponowali stosownymi środkami w kraju docelowym. Od każdej takiej transakcji Rada pobierała stosowny procent, gwarantując w zamian, iż wskazana suma dotrze bezpiecznie do adresata. Sylezjanie zapewniali tym samym możliwość przekazywania znacznych funduszy w sposób, który pozwalał uniknąć ryzyka powiązanego z wysyłką złota lub gotówki w długą i niebezpieczną podróż po morzach. Koszty strat, jakie mogłyby powstać po drodze, pokrywały właśnie opłaty ponoszone przez nadawcę i odbiorcę.

–Czy Arydzi sygnowali umowy z Sylezjanami? – zwrócił się Duncan do swego kanclerza.

Lord Anthony zmarszczył czoło, wytyżając pamięć.

–Wątpię, wasza wysokość. Nie widziałem ich na żadnych listach sygnatariuszy.

–W takim razie musimy uzgodnić z Radą, by dokonali przewozu gotówki. A to znaczy, że ktoś będzie musiał wynegocjować z Arydami warunki, określić ostateczną sumę okupu oraz podpisać umowę, w której Arydzi zobowiążą się do wypłacenia Sylezjanom ich honorarium.

Jak już wspomnieliśmy, zazwyczaj opłaty ponosiły obie strony – ci co wysyłali, i ci, co dostawali pieniądze.

–Mogę to załatwić, wasza wysokość – zaoferował się czym prędzej Halt.

Jednak król potrząsnął głową.

–Nie. Obawiam się, że nie możesz. Istnieją przeszkody natury protokolarnej. A także praktycznej, sprawa wymagać będzie bowiem prowadzenia negocjacji. Do tego zaś potrzeba

kogoś wysokiego rangą, pieczętującego się koronną pieczęcią. Idzie tu przecież o okup, który

ma być wpłacony za osobę władcy, w dodatku z koronnych funduszy, więc może się tym zająć tylko ktoś z królewskiej rodziny. Krótko mówiąc, powinienem się tam udać osobiście. Halt wzruszył ramionami – nie miał nic przeciwko temu. Jednak Duncan dodał zatroskanym tonem:

–Tyle że w chwili obecnej jest to niemożliwe. Mam być mediatorem rozmów pokojowych między czterema z sześciu hibernijskich królów. Te rokowania spełzną na niczym, jeśli nie dopilnuję ich osobiście.

–W takim razie niech wasza wysokość powierzy pieczęć mnie, a ja się tam udam w imieniu króla. Zawsze zdołamy wyjaśnić, że jestem jakimś dalekim kuzynem – zaproponował



**Halt, który nigdy nie darzył tego typu ceregieli wielkim poważaniem.**

**Duncan westchnął ciężko i spojrzal wymownie na Crowleya.**

**–Crowleyu, czyżbyś przez ostatnie dwie dekady nigdy nie znalazł ani jednej wolnej chwili, aby wyjaśnić temu dzikusowi, w jaki sposób działa system królewskich pieczęci?**

**Crowley uniósł brwi. Coś podpowiadało mu, że Halt nie raz i nie dwa w ciągu ostatnich dwudziestu lat używał rozmaitych pieczęci, także koronnych, i to z dużą znajomością rzeczy, wiedział jednak doskonale, że tym razem nie mogło być o tym mowy.**

**–Posługiwanie się pieczęcią koronną to przywilej, który przysługuje tylko członkom rodziny królewskiej – pouczył Halta lord Anthony. – Gdybyś ty jej użył, wszelkie przeprowadzone przez ciebie negocjacje byłyby nielegalne, a dokonane w ich drodze uzgodnienia nie posiadałyby wagi prawnej. Czyli, innymi słowy, należałoby je uznać za nieistniejące. Gdyby takowe nadużycie wyszło na jaw, zajęłoby nam lata, nim Araluen odzyskałby wiarygodność w oczach przedstawicieli innych krajów. Nie możemy sobie na to pozwolić.**

**Halt parsknął tylko w odpowiedzi, dając wyraźnie do zrozumienia, co sądzi o podobnych formalnościach uniemożliwiających skuteczne działanie. Lady Pauline położyła dłoń na jego ręce, by przywołać małżonka do porządku; spojrzal na nią i uśmiechnął się przepraszająco.**

**–A czy w takim razie wasza królewska mość nie zechciałby udzielić mi pisemnego pełnomocnictwa, upoważniającego do działania w imieniu władcy i podbitego koronną pieczęcią?**

**–Gdyby chodziło o inny kraj, choćby Teutonię lub Gallię, tak właśnie bym uczynił – odparł Duncan. – Jednak, niestety, o ile Arydzi posługują się wspólną mową, to ich pismo żadną miarą nie przypomina naszego. Nie mamy tu nikogo, kto potrafiłby je odczytać, a tym**

**bardziej napisać stosowny dokument alfabetem arydzkim; mało też prawdopodobne, by ktokolwiek u nich potrafił czytać nasze litery. Tak więc pełnomocnictwo upoważniające cię do podejmowania decyzji w moim imieniu miałoby dla nich nie większą wagę, niż zwykły świstek, tyle że podbity moją pieczęcią. – Duncan umilkł, przygryzając dolną wargę. – Nie, będę musiał sam tam pojechać – odezwał się po chwili. – Lecz sprawa musi poczekać, aż uporam się z tymi przekłętymi Hibernijczykami. Oczywiście, nie ciebie miałem na myśli – dodał z uśmiechem, zwracając się do Halta, ponieważ przodkowie zwiadowcy wywodzili**

**się z tej właśnie zwaśnionej krainy.**

**Halt potrząsnął głową.**

**–Miło mi, że jestem wyjątkiem, wasza królewska mość. Jednak musi istnieć jakieś inne wyjście – nie dawał za wygraną.**

**–Istnieje, a nawet widzicie je na własne oczy – oznajmiła Cassandra. – Ja pojedę.**

## ROZDZIAŁ 9

Spojrzenia uczestników narady zwróciły się na księżniczkę. Przez chwilę panowała cisza, w której zgromadzeni rozważali jej słowa. Potem odezwał się król:

–Nie pojedziesz. To wykluczone.

–Dlaczego? Dlaczego wykluczone? – gdy to mówiła, jej policzki zaczerwieniły się, lecz panowała nad gniewem, choć z wielkim trudem. Starła się wypowiadać słowa wolno, spokojnie. – Nasza rodzina, nasz kraj, my wszyscy zaciągnęliśmy dług honorowy wobec Eraka. Za jego sprawą Skandianie stali się naszymi sprzymierzeńcami. Nie widzę więc przeszkód, bym negocjowała jego uwolnienie.

–Dlatego, że... – Król zawahał się przez moment, z czego skorzystała, wchodząc ojcemu w słowo:

–Sam powiedziałeś, że trzeba tu kogoś, kto dysponuje prawem do używania koronnej pieczęci, kogoś z królewskiej rodziny. Jakoś nie widzę pośród zgromadzonych nikogo innego. Dlaczego nie miałabym cię zastąpić? – Umilkła, ale zaraz podjęła z jeszcze większym przejęciem: – Ojcze, właśnie o tym rozmawialiśmy kilka tygodni temu. Pewnego dnia zostanę królową. Jeśli teraz nie zacznę podejmować choć części stosownych obowiązków, nigdy nie będę gotowa do wypełniania zadań prawdziwej władczyni – takiej, z której mógłbyś być dumny.

–Nie pojedziesz, Cassandro, i na tym koniec. Połóżmy kres tej dyskusji, bo jest ona dla mnie przykra.

Od razu zdała sobie sprawę, że to żaden argument i zrozumiała, co się za tym kryje.

–Jest dla ciebie przykra, ponieważ wiesz, że nie masz racji. Zawdzięczam Erakowi życie. Mam więc obowiązek i prawo dopomóc w jego ocaleniu.

Oblicze króla ściągnął gniew. Cassandra zrozumiała, że trafiła w czuły punkt. Nie istniała żadna racjonalna przyczyna, dla której nie miałyby się podjąć takiej misji. Jego zastrzeżenia miały naturę czysto osobistą. I, nietrudno je zrozumieć, nie przydawało to jednak słuszności monarszemu zakazowi.

–Kłopot w tym, Cassandro – rzekł król, również starając się zachować spokój – że jesteś...

–Dziewczyną – przerwała.

Cierpliwie pokręcił głową.

–Nie to zamierzałem rzec. Chciałem powiedzieć, że jesteś niedoświadczona i młoda. Nigdy dotąd nie prowadziłaś takich rokowań.

–Negocjowałam traktat ze Skandianami – odparła, a on potrząsnął głową niczym niezdarny niedźwiedź, którego drażni mały piesek usiłujący kąsać go w łapy.

–Wówczas był przy tobie Halt, który służył ci radą – zaproponował, na co ona odpowiedziała natychmiast, nie dając mu ani chwili do namysłu. Wiedziała, że musi wykorzystać chwilową przewagę, by mieć choćby cień szansy na wygraną w tym sporze:

–Teraz także mógłby mi doradzać – stwierdziła. Spojrzawszy na Halta, spytała: – Halt, czy zgodziłbyś się mi towarzyszyć?

–Ależ oczywiście, że tak, wasza wysokość – oświadczył zwiadowca. W przeciwieństwie do króla, nie widział żadnego rozsądnego powodu, dla którego Cassandra nie

miałaby udać się na tę wyprawę. W Skandii wykazała się pomysłowością oraz odwagą, a

podczas bitwy z Temudżeinami dowiodła, że potrafi zachować zimną krew w obliczu wroga,

kiedy do końca spokojnie komenderowała grupą łuczników, choć srodzy konni wojownicy zdobywali już jej pozycję. Nie wątpił, że dziewczyna dałaby sobie radę.

–Halt! – warknął król, spoglądając gniewnie na starego przyjaciela.

Lecz w tej chwili do rozmowy wtrącił się lord Anthony:

–W istocie rzeczy, wasza wysokość, pomysł ów nie pozbawiony jest pewnych zalet.

Otóż społeczność arydzka praktykuje matriarchat. Dziedziczenie odbywa się tam w linii żeńskiej. Nie będą więc mieli nic przeciwko temu, żeby rozmawiać z kobietą... Czego nie

da się powiedzieć o wielu innych krajach. To zaś sprawia, że królowna spełnia wszystkie wymogi, by pełnić rolę królewskiej wysłanniczki.

Król zerwał się z krzesła. Ciężkie siedzisko o wysokim oparciu chwiało się przez chwilę, by z głośnym stuknięciem powrócić do równowagi.

–Będę wdzięczny, jeśli zechcecie wszyscy trzymać się od tej sprawy z dala! – warknął.

–Tu idzie o kwestie rodzinne. Rzec odbywa się między mną a moją córką i nikogo z was

nie powinno to obchodzić! Czy wyraziłem się dość jasno?!

Ostatnie słowa właściwie wykrzyczał, po czym w sali na kilka chwil zapadła niezręczna cisza. Potem zaś przemówił baron Arald:

–Nie, wasza wysokość. Sądzę, że jego królewska mość się myli – stwierdził stanowczo.

Wściekle spojrzenie króla zwróciło się ku niemu, ale Arald wytrzymał je bez zmrużenia

oka.  
–Baronie, to nie twoja sprawa. Rozumiesz?

Arald pokręcił głową.

–Nie, panie. Nie rozumiem. A nawet przeciwnie, jestem przekonany, że to moja sprawa. To sprawa nas wszystkich.

–Jestem królem, mości panie Araldzie, i ja powiadam, że to moja osobista sprawa.

Will spoglądał na barona z niemalym podziwem. Owszem, był świadkiem, jak postawny rycerz dawał przykłady odwagi podczas bitwy, ale to było coś innego. Teraz bowiem wykazywał się odwagą, o którą znacznie trudniej – śmiało przemawiać zgodnie z nakazem sumienia.

–Wasza wysokość, te dwa stwierdzenia sobie przeczą. Skoro jesteś królem, twoja sprawa nie może być osobista. Bowiem co tyczy się ciebie i twej rodziny, panie, jest sprawą

całego kraju. W przeszłości zdarzało ci się, panie, powiadać, że cenisz moją radę...

–Lecz nie w tej chwili! – rzucił gniewnie król.

Arald wzruszył ramionami.

–Jeśli wasza wysokość ceni moją radę tylko wtedy, gdy się zgadza ze zdaniem króla, to znaczy, że nie ceni jej wcale – wypalił.

Król drgnął, jakby Arald go uderzył. A przecież zdawał sobie sprawę, że rycerz ma

słuszność. Jednak mimo tego...

–Araldzie, nie rozumiesz mnie. Nie masz dzieci. Cassandra jest moją córką, a taka wyprawa będzie niebezpieczna...

Cassandra prychnęła lekceważąco, ale Arald rzucił jej szybkie spojrzenie, by ją uciszyć, a potem rozłożył szeroko ręce.

–Bez wątpienia, wasza wysokość. Równie niebezpieczna jak wojna z armią Morgaratha, gdy stanąłeś na czele naszych wojsk. Równie niebezpieczna jak starcie z kalkarami, w którym wzięliśmy udział Rodney, ja, Halt i młody Will. Taka jest bowiem cena, jaką płacimy za naszą uprzywilejowaną pozycję. Mamy do niej prawo z tej właśnie racji, że

gdy nadejdzie czas, stawiamy czoło niebezpieczeństwu. Twoja córka, królu, nie stanowi wyjątku. Wiedziała o tym już wtedy, kiedy razem z Willem zniszczyła most Morgaratha, przez co dostała się do niewoli.

Król był wciąż jeszcze całkiem młody, lecz wspomnienie dawnych straszliwych czasów sprawiło, że przygasł i zgarbił się, jakby nagle przybyło mu lat. Wtedy przeżył najcięższy okres w życiu. Bez wątpienia. Z wolna opadł na krzesło. Arald ciągnął dalej, łagodniejszym już tonem:

–Masz słuszność, królu: nie mam dzieci, więc nie mogę w pełni zrozumieć, co czujesz. Tylko że i twoja córka ma rację. Pewnego dnia zostanie królową i zapragnie rządzić,

ciebie biorąc za wzór. Oczywiście, że przedsięwzięcie jest ryzykowne, ale Cassandra ma i na to wzgląd. Godzi się z ryzykiem, więc ty także musisz.

Król Duncan potoczył spojrzeniem po zebranych. Cassandra patrzyła mu prosto w oczy, gotowa dalej się spierać. Na twarzy Aralda malowała się stanowczość oraz wielka powaga. Oblicza Halta i Crowleya, skryte w cieniu kapturów, pozostawały nieprzeniknione. Horace z Willem wyraźnie nie bardzo wiedzieli, jak mają się zachować, najwidoczniej czuli się niezręcznie, stając się świadkami starcia się tak silnych emocji, choć w oczach Willa, który wpatrywał się w barona, dawał się dostrzec nieklamany podziw. Rodney kiwał głową; widać było, że zgadza się z każdym słowem Aralda, tymczasem Gilan przyglądał się nad wyraz pilnie własnym paznokciom. Rysy Anthony'ego wyrażały ubolewanie, ale też i determinację. Alyss starała się ukryć swe uczucia, jednak nietrudno było odgadnąć, że czuje się równie skrępowana, jak młodzieńcy.

Tylko Pauline zachowała całkowity spokój. Nic w wyrazie jej twarzy nie wskazywało, by zgadzała się ze słowami barona. A więc być może tylko na nią król mógł liczyć jako na sojuszniczkę w tym sporze.

–Panowie, Cassandro, Alyss. Chciałbym prosić was wszystkich, byście pozostawili mnie sam na sam z lady Pauline – odezwał się.

Rozległ się gwar głosów i stukot odsuwanych krzeseł; dziesięcioro uczestników narady opuściło komnatę, pozostawiając króla oraz kurierkę samych. Gdy zamknęły się za nimi drzwi – ostatni wyszedł Will – Duncan zwrócił się do siedzącej naprzeciwko wysokiej kobiety:

–Co mam czynić, Pauline? Jak przemówić im do rozsądku? Musisz mi dopomóc. – Starał się, by jego słowa utrzymane były w pojednawczym tonie łagodnej perswazji.

–Wasza wysokość – odpowiedziała spokojnie Pauline – jeśli to z tej przyczyny zostałam poproszona o rozmowę w cztery oczy, to równie dobrze mogłam wyjść razem z innymi. Zgadzam się z Araldem, a wasza królewska mość się myli.

–Przecież to tylko młoda dziewczyna... – zaczął.

–Jest w tym samym wieku, co Alyss. A ją przecież wysłałeś już na kilka niebezpiecznych wypraw. Czy życie twojej córki, panie, cenniejsze jest od życia mojej asystentki?

–Moja córka jest następczynią tronu! – rzucił gniewnie; Pauline uniosła brew.

–A więc jej obowiązki wobec królestwa przerastają obowiązki zwykłej sieroty, jaką jest Alyss. Baron ma słuszość. Ci, którzy cieszą się większymi przywilejami, obarczeni są też większymi obowiązkami. Cassandra swą pozycją ustępuje tylko tobie, najjaśniejszy panie – pod jednym i pod drugim względem.

Duncan wstał i zaczął przechadzać się po komnacie. Pauline siedziała nadal, wodząc za nim wzrokiem.

–Najjaśniejszy panie, kiedy powierzyłeś mi odpowiedzialne stanowisko w służbach dyplomatycznych, czy wahałeś się, biorąc pod uwagę, że jestem kobietą?

–Oczywiście, że nie – odpowiedział. – Byłaś najlepszą osobą na to stanowisko.

Skinęła głową w odpowiedzi na ten wyraz uznania.

–Jesteś pierwszym w historii władcą, królu, który powierzył ważne funkcje kobietom, nie lękając się tego, że za sprawą twojej decyzji, mogą im grozić od czasu do czasu rozmaite niebezpieczeństwa.

–Ponad wszystko cenię tych, którzy sumiennie wypełniają swoje obowiązki – odparł król. – Czy to kobieta, czy mężczyzna.

Skwitowała jego słowa gestem dłoni, jakby chciała powiedzieć: „otóż to”.

–A więc docenń zdolności, jakie posiada twoja córka, panie. To wyjątkowa i niezwykła młoda osoba. Kobieta, która nie będzie szydełkować przy kominku, podczas gdy mężczyźni podejmują niebezpieczną misję. Dowiodła tego i to niejednokrotnie. Już dokonała więcej, więcej też widziała niż większość ludzi w całym swym życiu. Jej woli działania, żądy przygód – nie zdołasz powstrzymać, panie. Ja osobiście, kiedy widzę, jaką odwagą i charakterem odznacza się twoja następczyni, królu, dzięki składam za to Opatrzności. Bo wasza wysokość jest dobrym władcą. A ona będzie dobrą królową. Tylko musisz dać jej szansę, najjaśniejszy panie.

Król Duncan, pokonany argumentacją kurierki, znów się przygarbił. Na jego twarzy pojawił się smętny uśmiech. Uniósł dłonie w geście poddania, po czym zajął swoje miejsce u stołu.

–Nie wiem, z jakiej racji sądziłem, że staniesz po mojej stronie – zwrócił się do lady Pauline, która odpowiedziała mu uśmiechem.

–Wszyscy zgodnie стоимy po twej stronie, królu – odpowiedziała. – Tylko ty się sprzeciwiasz. – Umilkła, ale zaraz potem spytała łagodnym głosem: – Czy mam przywołać pozostałych?

Skinął głową.

–Po co pytasz? Przecież to wy wszyscy podejmujecie decyzję, nie ja.

\*\*\*

Wszyscy spoglądali ciekawie na lady Pauline, próbując odgadnąć, co zdarzyło się, gdy czekali w przedsionku. Na próżno – wytrawna mistrzyni dyplomacji jak mało kto potrafiła ukrywać własne myśli i uczucia, toteż żadne z nich nie wiedziało, czy oraz jakie postanowienia zostały powzięte.

Duncan siedział z łokciami opartymi o blat i twarzą zasłoniętą dłońmi; zbierał myśli. Gdy ustąpiło poruszenie i ucichł stukot krzeseł, uniósł głowę, by spojrzeć na swych doradców.

–No, dobrze – rzekł po dłuższej chwili. – Postanowilem. Cassandra poprowadzi negocjacje z Arydami...

Królewska córka krzyknęła cicho, zaskoczona, ale czym prędzej opanowała się – w obawie, by jej królewski ojciec nie zmienił zdania. On tylko spojrział na nią i skinął głową. Następnie znów zwrócił się do wszystkich zebranych:

–Halt, ty pojedziesz razem z nią jako główny doradca. Pomóż mojej córce w prowadzeniu negocjacji. I ochraniaj ją.

–Tak, panie – rzekł spokojnym tonem Halt.

–Willu, ty wyruszasz także, to oczywiste – stwierdził król. – Już wcześniej strzegłeś jej bezpieczeństwa, więc ponownie czyni swą powinność.

–Tak, panie – odparł skromnie Will, ale jego twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Spodziewał się, że będzie mógł towarzyszyć swemu mistrzowi, ale nie miał pewności. A potem wydarzyło się coś jeszcze lepszego:

–Horace, na wypadek gdyby oni dwaj nie dali rady – pojedziesz tam jako osobisty strażnik odpowiedzialny za bezpieczeństwo Cassandry. Zrozumiano?

–Tak jest, wasza wysokość! – zawołał rażno Horace, po czym wymienili z Willem porozumiewawcze spojrzenia.

Will rzekł półgłosem:

–Jak za dawnych dobrych czasów – a Horace przytaknął.

Cassandra obdarzyła obu radosnym uśmiechem i przysunęła się trochę bliżej do nich.

Za to Alyss, która trzymała się z lekka na uboczu, spochmurniała.

–Doskonale. Oprócz was trzech zamierzam przydzielić księżniczce stosowną eskortę.

Powiedzmy: dwudziestu zbrojnych z gwardii królewskiej. – Król urwał, gdy Halt uniósł dłoń.

–Tak?

–Panie, nie będą nam potrzebni, bo... – zaczął, ale król mu przerwał:

–Proszę, nie czuj się urażony, Halt. Musisz jednak zdać sobie sprawę, że przede wszystkim, skoro już zdecydowałem się posłać córkę na tę wyprawę, która wcale mnie nie zachwyca, zamierzam zapewnić jej stosowną świtę i ochronę. Mam wrażenie, że wy trzej to za mało.

–Zgoda, wasza wysokość. Nie zapominajmy jednak o trzydziestu uzbrojonych po zęby Skandianach, którzy także będą nam towarzyszyć. To przecież najlepsi wojownicy na świecie.

Horace mruknął potakująco, nim zdążył się powstrzymać, i czym prędzej ugryzł się w język, a następnie przeprosił, bowiem nieopatrznie przerwał rozmowę samego króla z jego doradcą. Król spojrział na niego, potem na Halta.

–Ufasz im? – spytał, nie owijając w bawełnę. Halt przytaknął:

–Powierzyłbym Skandianom własne życie, wasza królewska mość. Duncan przeczesał w zamyśleniu palcami brodę.

–Ja nie o twoje życie się martwię.

–Ja także powierzyłabym im swoje – wtrąciła spokojnym głosem Cassandra. Halt dodał jeszcze:

–Wymogę na Svengalu, by on i jego ludzie złożyli przysięgę, że będą bronić królowy. Gdy tak się stanie, ktoś, kto chciałby skrzywdzić Cassandrę, musiałby najpierw zatłuc wszystkich trzydziestu – zapewnił.

Duncan zastanowił się, postukując palcami w stół.

–Niech i tak będzie – zgodził się w końcu. – Jednak dla pewności... – rozejrzał się po pokoju – Gilan, ty także pojedziesz.

–Tak jest, panie! – zawołał ochoczo Gilan. Perspektywa wspólnej wyprawy w towarzystwie Halta i Willa bardzo mu się uśmiechała. Tym razem jednak to Crowley zmarszczył brwi.

–To wbrew zasadom, wasza wysokość – zaprotestował. – Stare porzekadło głosi: „Jeden bunt, jeden zwiadowca”.

Rzeczywiście, tak powiadano, a wzięło się to od pewnego wydarzenia, które przeszło do legendy. Otóż w pewnym niewielkim lennie lud powstał przeciwko okrutnemu i skąpemu władcy; setki poddanych otoczyły jego dwór, grożąc, że go spalą wraz z mieszkańcami. Przerażony wielmożna wezwał pomoc, a w odpowiedzi przysłano mu jednego, jedyne go zwiadowcę. Na widok samotnej zakapturzonej postaci ów szlachcic, przeciw któremu wszczęto bunt, zakrzyknął z niedowierzaniem: „Jeden zwiadowca? Tylko jeden człowiek?” „Jeden bunt, jedna sprawa do załatwienia, a więc jeden człowiek” – odparł zwiadowca. Jednak tym razem król Duncan nie zamierzał ustąpić.

–Powiedzmy, że utworzyłem nowe powiedzenie – odparł. – „Jedna córka, dwóch zwiadowców”.

–Dwóch i pół – poprawił Will.

Król nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok pełnej animuszu twarzy młodzieńca.

–Nie pomniejszaj swej roli – rzekł. – Dwóch i trzy czwarte.

## ROZDZIAŁ 10

Następnego dnia trzej zwiadowcy, a także Horace i Svengal wyruszyli w drogę do Zamku Araluen.

Halt ucałował na pożegnanie swą nowo poślubioną żonę, czemu towarzyszyły szerokie uśmiechy pozostałych towarzyszy. Lady Pauline potraktowała rozstanie ze stoickim spokojem. Kiedy przyjęła oświadczyzny Halta, wiedziała przecież, iż ich wspólne życie wciąż przerywać będą pilne zadania i podejmowane z dnia na dzień wyprawy. Choć akurat tym razem – pomyślała z odrobiną goryczy – byłoby całkiem miło, gdyby konieczność rozstania nastąpiła, powiedzmy, choćby kilka dni później.

Alyss stała obok niej, także machając na pożegnanie pięciu jeźdźcom oddalającym się krętą drogą od Zamku Redmont. Pauline zerknęła z ukosa na swą protegowaną i nie mogła powstrzymać nikłego uśmiechu na widok jej oblicza.

–Czemu jesteś taka ponura? – spytała pozornie od niechcienia.

Alyss spojrzała na nią i skrzywiła się.

–Znowu wyjeżdża. Znowu z nią – wypaliła dziewczyna, a lady Pauline nie musiała pytać, kogo ma na myśli. Alyss i Will widywali się często w ciągu minionego roku, o czym mentorka młodej adeptki dyplomacji nie mogła nie wiedzieć. Zaprzyjaźnili się bardzo, zbliżyli do siebie. A teraz wyraźnie Alyss nie przypadło do gustu, że Will wyrusza na wyprawę oraz że znowu spędzi niemało czasu u boku Cassandry. Alyss zdawała sobie sprawę,

że ucznia zwiadowcy i księżniczkę łączy coś szczególnego. Nie wiedziała tylko, na ile szczególne były to więzy. – Nawet zastanawiałam się, czy nie zdołałabym wynaleźć jakiegoś

powodu, żeby wyruszyć z nimi – dodała, trochę z żalem w głosie.

–Żeby mieć ich na oku?

–No właśnie. Myślę, że mogłam zgłosić się na ochotnika jako towarzyszka dla niej i ktoś, kto mógłby służyć radą w sprawach dyplomatycznych. Wiesz przecież, że jestem dobrą negocjatką.

–To prawda. – Pauline zastanowiła się przez chwilę nad tym pomysłem. – Prawdę mówiąc, to całkiem niezła myśl i może warto było zgłosić taką propozycję. Wsparłabym ciebie. Dlaczego się powstrzymałaś?

Alyss odwróciła wzrok, spoglądając na oddalających się jeźdźców. A przynajmniej, pomyślała Pauline, wypatrując pośród nich jednej drobnej postaci.

–Z dwóch powodów. Uznałam, że Will oraz Halt i cała reszta nie potrzebują mieć na głowie jeszcze jednej kobiety, której będą musieli strzec. Gdybym się tam znalazła, mogłoby to oznaczać osłabienie ochrony Cassandry. A przecież ona jest, bądź co bądź, następczynią tronu.

–A drugi powód? – spytała Pauline.

Alyss uśmiechnęła się z niejakim przekąsem.

–Obawiałam się, że ulegnę pokusie i dzielę ją wiosłem przez łeb – wyznała. – A to niekoniecznie sprzyjałoby mojej dalszej karierze.

Pauline roześmiała się.

–No tak, bądź co bądź, jest następczynią tronu – powtórzyła za swą uczennicą.

Jeźdźcy znikli tymczasem pośród drzew. Pauline wzięła Alyss pod ramię i zeszły



razem z parapetu muru obronnego.

–Na twoim miejscu nie martwiłabym się ząadto – stwierdziła. – Nie da się zaprzeczyć, że istnieje silna więź między Willem i księżniczką. To naturalne po tym, co razem przeszli... – Ton jej głosu wskazywał, że ma też coś więcej do powiedzenia. Alyss wychwyciła to, oczywiście.

–Ale? – spytała.

–Ale Will dokonał wyboru już kilka lat temu, kiedy dano mu możliwość pozostania na dworze, a on postanowił jednak zostać zwiadowcą. Wie dobrze, iż los zwiadowcy niewiele ma wspólnego z życiem dworskim. Królowna i zwiadowca to nie byłaby dobrana para. Sprawy uległyby dalszym komplikacjom w przyszłości, kiedy Cassandra zostanie królową.

–Tymczasem zdarza się – zauważyła Alyss – że zwiadowca oraz kurierka biorą ślub, czyż nie?

Lady Pauline pozwoliła sobie na porozumiewawczy uśmiech.

–Zaiste. Rzecz jasna, kurierka musi pogodzić się z tym, że jej zwiadowca często i niespodziewanie wyrusza na dalekie wyprawy.

–Lepiej niech zwiadowca pogodzi się z tym, że ja również pełnić będę misje, takie czy inne, z dala od niego – dodała Alyss, rezygnując już z mówienia o sobie samej w trzeciej osobie.

Pauline poklepała ją lekko po ramieniu.

–Prawidłowe rozumowanie – pochwaliła asystentkę.

\*\*\*

–Dlaczego nie pozwoliłeś mi wyruszyć razem z tamtymi? – spytała Cassandra, mniej więcej po raz dwudziesty.

Znajdowali się w komnatach przeznaczonych im przez barona w Redmont; królowna pospiesznie upychała szaty do skórzanych sakw podróźnych. Duncan uniósł brwi, patrząc, jak po macoszemu jego córka traktuje drogocenne jedwabie i atłasy.

–Może lepiej, żebyś zostawiła to służbie? – zaproponował, zauważywszy, że nigdy nie uda jej się zapakować tych wszystkich sukien, płaszczy, szat wierzchnich i spodnich oraz szali. Cassandra machnęła niecierpliwie ręką.

–O tym właśnie mówię. Przecież nic by się nie stało, gdyby to oni spakowali bagaże, a ja bym pojechała razem z Willem i Horace'em.

–I pozbawiła mnie tym samym ostatnich kilku dni w twoim towarzystwie – uzupełnił dobrodusznie Duncan, a ona natychmiast pożałowała swojej niecierpliwości. Wiedziała, że ojciec martwi się jej wyprawą do Arydii, wcale nie udawał, że tak nie jest. Wiedziała też, że będzie się o nią niepokoił bez ustanku, od chwili jej wyjazdu, aż do dnia, kiedy powróci cała i zdrowa.

Teraz, gdy o tym rozmyślała, zdała sobie sprawę, że będzie jej brakować jego spokoju i kojącej obecności, opiekuńczego ciepła. Owszem, spierali się co jakiś czas, lecz w niczym nie zmieniało to faktu, że darzyli się wzajemnie głęboką miłością.

Podeszła do ojca i objęła go za szyję, przyciągając ku sobie.

–Wybacz, tatusiu – rzekła cicho. – I ja się cieszę, że spędzimy razem te kilka dni.

–Tamci i tak muszą przygotować okręt – przypomniał jej. – To, że zostajesz w tyle i wrócisz razem ze mną, nie opóźni waszego wyjazdu.

Poklepał ją po ramieniu. Czuł, że do oczu napływają mu łzy. Będzie za nią tęsknił. I będzie się o nią martwił. Ale nade wszystko wiedział, że będzie z niej dumny: z jej odwagi, poczucia obowiązku i hartu ducha.

–Będiesz w przyszłości wspaniałą królową – powiedział.

\*\*\*

Svengal leżał na ziemi i jęczał. Uda bolały go nieznośnie, pośladki tak samo. Mięśnie łydek paliły żywym ogniem. A teraz, kiedy runął z grzbietu kucyka, wałąc się ciężko na ziemię, uderzył ramieniem, które także odtąd będzie go bolało. Przez krótką chwilę próbował znaleźć choćby jedną część ciała, która nie przyprawiałaby go o cierpienie, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Niestety. Otworzył oczy. Pierwsze, co ujrzał, to pysk podstarzałego kucyka, na którym jechał jeszcze przed chwilą. Zwierzę spoglądało na niego z wyraźnym zaciekawieniem.

„Co też ci przyszło do głowy, żeby wyprawiać takie dziwne brewerie?” – zdawało się pytać.

Stopniowo do świadomości Svengala docierało, że zwrócone na niego są także inne pary oczu. Najpierw pochwycił spojrzenia trzech zwiadowczych koni, a potem trzech zwiadowców siedzących w siodłach. Zarówno mężczyźni, jak i ich wierzchowce spoglądali z tym samym, lekko rozbawionym zainteresowaniem. Tylko Horace oraz jego wielki rumak zdawali się patrzeć na niego z odrobiną współczucia.

–Wiecie co? Nigdy chyba nie pojmę – odezwał się Halt – jak ci ludzie dokonują tego, że stąpają pewnym krokiem po pokładzie okrętu, który kołysze się kilka metrów w górę i kilka metrów w dół, na wszystkie strony. A gdy tylko posadzić któregoś z nich na łagodnego starego kucyka, tak poczciwego, jak konik na biegunach, to od razu próbują z niego zeskoczyć.

–Wcale nie próbowałem zeskoczyć – oburzył się Svengal. Przetoczył się z wolna na bok i dźwignął na kolana. Mięśnie całego ciała zaprotestowały gwałtownie. – Och, na wielkiego błękitnego wieloryba, dlaczego wszystko mnie boli?! – stęknął, a potem powrócił do przerwanej myśli: – Dlaczego ta bestia uparła się, żeby mnie zrzucić?

–Zrzucić cię? – powtórzył Gilan, kryjąc uśmiech. – Czy ktoś z was słyszał, żeby Guzdrała kogoś zrzucił?

Will i Halt potrząsnęli głowami. Trzeba niestety przyznać, że Halt odczuwał w skrytości ducha zgoła niegodną, a złośliwą satysfakcję. Podczas napaści Temudżeinów znalazł się na pokładzie wilczego okrętu wysłanego, by upewnić się co do zdrady Slogora. Svengal zaliczał się do tych członków załogi, których najbardziej bawiła reakcja żołądka Halta na kołysanie fal morskich. Halt miał dobrą pamięć, zwłaszcza gdy chodziło o drwiny z jego osoby.

–Zapewniam was, że wierzgnął – upierał się Svengal. Wyprostował się – o tyle, o ile – i znów stęknął. Wciąż jeszcze był nieco zgięty w krzyżu. – Czulem to wyraźnie.

–Nie wierzgnął, tylko skręcił w lewo – wyjaśnił Gilan.

–Znienacka – sprecyzował Svengal.

Zwiadowcy wymienili pełne niedowierzania spojrzenia.

–Guzdrała nigdy nie robi niczego znienacka – poinformował Skandianina Halt. – A przynajmniej w ciągu ostatnich piętnastu lat jego życia nie zdarzyło mu się to ani razu.

–Właśnie dlatego nazwaliśmy go Guzdrała – uzupełnił Will. Svengal rzucił mu jadowite spojrzenie.

–Ja bym go tak nie nazwał – stwierdził kąśliwie. Trzej zwiadowcy znów spojrzeli po sobie.

–Co to, to owszem. Przyznam, że tego ranka usłyszeliśmy wszyscy wiele innych, jakże kwiecistych określeń – stwierdził Gilan i zwracając się do Halta, spytał: – A tak przy okazji, kto to jest Gorlog? Naprawdę ma rogi, kły i skołtunioną grzywę?

–To bardzo przydatna postać – odparł Halt. – Można powoływać się na niego za pomocą wszystkich tych oraz innych jego cech. Jego istotą jest urozmaicenie tudzież wielość atrybutów. Z Gorlogiem nie ma miejsca na nudę.

Podczas tej beztroskiej wymiany uwag Svengal zerkał kątem oka na swój topór bojowy, zawieszony u siodła Guzdrały. Nie był tylko pewien, czy ma ochotę porąbać nim kucyka, czy trzech zwiadowców, tak wyraźnie ubawionych jego udręką.

Horace uznał, że sprawy zaszły zbyt daleko. Zsunął się z siodła Kickera i pochwycił wodze Guzdrały, by przyprowadzić go do obolałego Skandianina.

–Nie stać was na ani trochę współczucia, prawda? – rzucił. Trzej zwiadowcy raz jeszcze spojrzeli po sobie.

–Współczucia? – zdziwił się radośnie Gilan.

Horace machnął na nich ręką i zwrócił się do Svengala:

–No, wsiadaj. Podsadzę cię.

Złożył dłonie w strzemień, by pomóc Svengalowi powrócić na siodło. Skandianin cofnął się o krok, trzymając się ręką za obolały krzyż.

–Pójdę pieszo – oznajmił.

–Nie możesz iść aż do samego Zamku Araluen. – Horace starał się przemówić Svengalowi do rozsądku. – To kawał drogi, sam wiesz. Nie ma co, pora wsiadać. Najlepsza rzecz, jaką może zrobić człowiek, który spadł z siodła, to wsiąść z powrotem. – Odwrócił się

w stronę zwiadowców. – Mam rację?

Trzy zakapturzone głowy przytaknęły. W tej chwili towarzysze przypominali Horace'owi trzy szaro-zielone sępy.

–Mam wsiąść? – spytał Svengal. – Na to coś? Horace skinął zachęcająco głową.

–Chcesz powiedzieć, że najlepszą rzeczą, jaką mogę zrobić po tym, jak ten potwór z piekła rodem rzucił się na wszystkie strony, skakał i wierzgał, gruchocząc mi wszystkie kości, jest wsiąść i dać mu możliwość, by znów się nade mną pastwił?

–Mniej więcej, tak. No, nie ma co zwlekać. Podsadzę cię.

Nieszczęsny Svengal podszedł na sztywnych nogach i postawił prawą stopę na złożonych razem dłoniach Horace'a. Wiedział, że następny ruch, czyli rozpaczliwy skok w górę, wymagający użycia mięśni całego ciała, będzie bolał jak wszyscy diabli. Spojrzał w oczy Horace'a. Szczere, pełne zachęty. Bez śladu kpiny.

–A ja cię miałem za przyjaciela – rzekł z goryczą.

## ROZDZIAŁ 11

–Teraz w dół! – zakomenderował Svengal. – Wolniej, chłopaki! Pomału! Jeszcze trochę... Olafie, trochę do góry! I w lewo! Wolniej! Jeszcze trochę... Dobra, jest!

Zawieszony na wielkiej płóciennej plachcie przeciągniętej pod brzuchem, Wyrwij pokazał białka ślepi, gdy powędrował w górę, a potem, kołysząc się, nad pokład okrętu i w dół, do jednej z zagród dla koni sporządzonych na pokładzie „Wilczego wichru”.

Na pierwszy rzut oka wilczy okręt przywodził na myśl raczej otwartą łódź, tyle że wielkich rozmiarów. Will jednak wiedział, że to tylko pozory. Środkowa, zakryta pokładem część kadłuba kryła trzy oddzielone wodoszczelnymi grodziami komory, co zapewniało okrętowi możliwość utrzymania się na powierzchni, nawet gdyby woda zalala jedną z nich. Te same, szczelnie zamknięte, komory służyły też jako ładownie, w których gromadzono dobra zdobyte przez załogę podczas łupieżczych wypraw. Teraz jedno z tych pomieszczeń przystosowano dla potrzeb trzech koników zwiadowców oraz bojowego wierzchowca Horace'a. Zdjęto deski pokładu i urządzono tam cztery niewielkie zagrody. Dokonano tego szybko, nad wyraz sprawnie; najwidoczniej Skandianie nie pierwszy raz dokonywali takich przeróbek.

Zagrody, jako się rzekło, były dość ciasne, ale dzięki temu przy sztormowej pogodzie wierzchowcom nie groziło, że upadną lub boleśnie poobijają się o ściany. Dodatkowo, aby zapewnić im bezpieczeństwo na wypadek burzy, przygotowano te same plachty, których użyto do transportu koni.

Will wsunął się do zagrody. Odwiązał plachtę umocowaną pod brzuchem Wirwija. Przymocował wodze konika do pierścienia umieszczonego w przedniej ścianie zagrody. Abelard parsknął na powitanie zza ściany. Wyrwij spoglądał niespokojnie na swojego pana.

„No, więc czemu to miało służyć? My, konie, lepiej czujemy się na ziemi niż w powietrzu” – zdawał się pytać z wyrzutem. Will uśmiechnął się do zwierzaka, poklepał po pysku i dał mu pół jabłka.

–Dobry konik – powiedział. – Nie martw się, nie spędzisz tu zbyt wiele czasu.

Tymczasem załoga rozbierała już prymitywny dźwig skonstruowany do przetransportowania koni na pokład okrętu. Operacja przebiegła bez przeszkód. Ponieważ najbardziej nerwowym z koni był Kicker, od niego zaczęto. Istniała bowiem obawa, że może spanikować na widok swych pobratymców przemierzających przestworza, z kopytami zwisającymi w próżni. Halt uznał, że jeśli Kicker nie będzie wiedział, co go czeka, istnieje większe prawdopodobieństwo, że zachowa się grzecznie. Na każdego z wierzchowców ładujących w zagłębienu pokładu czekał już jego opiekun z krzepiącymi słowy oraz smakołykiem. Will podrapał jeszcze Wyrwija za uchem, potem wspiął się na pokład.

–Widać, że macie w tym wprawę – rzekł do Svengala. Jako że Skandianie z zasady nie dosiadali koni, istniało tylko jedno wyjaśnienie...

–Zdarza się, od czasu do czasu, że po jakimś wybrzeżu wałęsają się porzucone konie. Nie można ich przecież pozostawić własnemu losowi, więc zabieramy je na pokład, aby poszukać im dobrego domu.

–Porzucone konie? – zdziwił się Will.

Svengal był istnym ucieleśnieniem niewinności.

–A jakże. Zresztą nikt nigdy nie domagał się ich zwrotu – stwierdził. – Nawiasem mówiąc, po tym, co słyszałem o Halcie i koniach Temudżeinów, na twoim miejscu nie

robyłbym z tego powodu zamieszania.

Wiele lat wcześniej, Halt „nabył” w dość szczególny sposób kilka rozplodowych koni należących do stad Temudżeinów. Obecne wierzchowce zwiadowców cechowały się zdumiewającym podobieństwem do tamtych. I przykro powiedzieć, ale Halt wcale nie kwapił się, by je zwrócić tam, skąd niewątpliwie pochodziły.

–Co prawda, to prawda – przyznał Will. Rozejrzał się po pokładzie. – Wygląda na to, że jesteśmy już prawie gotowi do drogi.

Cassandra wraz z ojcem zbliżali się właśnie ku przystani w otoczeniu niewielkiej świątyni przyjaciół i oficjeli. Duncan otoczył córkę ramieniem. Na jego twarzy wciąż malowała się nieukojona troska. Król nadal nie był pewien, czy mądrze postępuje, posyłając córkę na tę wyprawę. Natomiast Cassandra podekscytowana była czekającą ją przygodą. Z radością myślała o swobodzie, jaką się będzie cieszyć, nareszcie wyzwolona od krępujących zasad dworskiej etykiety. Zazwyczaj musiała ubierać się w strojne szaty; teraz miała na sobie rajtuzy, buty do kolan, wełnianą koszulę i spięty pasem skórzany kaftan sięgający do pól uda. Uzbrojona była w sztylet i lekką szablę. Jej bagaż nosło dwóch służących. Pobyt w Skandii nauczył Cassandrę, że można obyć się bez wielu rzeczy, a ich nadmiar tylko zawadza w podróży.

Rozpromieniła się na widok Willa i Horace'a opartych o reling okrętu; obaj młodzieńcy powitali ją radosnymi uśmiechami.

Svengal, z lekkością zaskakującą u tak potężnie zbudowanego mężczyzny, wstąpił na reling, po czym zeskoczył, ruszając na spotkanie króla i królowy. Przyłożył zaciśniętą pięść do czoła w skandyjskim pozdrowieniu. Duncan odpowiedział skinieniem głowy.

Trzeba wspomnieć, że Skandianie nie odznaczali się kwiecistością wymowy oraz nie zaprzęтали sobie głowy nadmiarem formalności. Z tej to przyczyny Svengal zastanawiał się, jak powinien zwracać się do króla. Jego rodakom obce były takie zwroty, jak „mój panie”, „wasza wysokość” czy „wasza królewska mość”, ponieważ wskazywałyby na niższą pozycję mówiącego, a na to nie mogli pozwolić mieszkańcy Północy. W swoim kraju zadowalali się zwrotami odpowiadających funkcji, czy też pozycji rozmówcy. Innymi słowy, do jarła mówiono „jarlu”, a Eraka nikt nigdy nie tytułował w jakiś szczególny sposób, do niego zwracano się po prostu „oberjarlu”. Tak więc Svengal uznał, że skoro jego władca nie ma nic przeciwko temu, także aralueński władca nie powinien czuć się urażony.

–Królu – rzekł – Skandia jest ci wdzięczna za pomoc, jakiej nam udzieliliś.

Duncan powtórnie skinął głową. To stwierdzenie raczej nie wymagało odpowiedzi. Svengal spojrział teraz na szczupłą, jasnowłosą dziewczynę u boku władcy.

–Wiem też, że nielatwo ci, królu, posłać własną córkę na taką wyprawę.

–Nie przeczę, kapitanie, że trudno mi się z tym pogodzić – przyznał Duncan. Svengal uniósł dłoń uroczystym gestem.

–Dlatego pragnę złożyć ci przysięgę. Przysięgę sternika, królu. Czy wiesz, co ona oznacza?

–Wiem, że żaden Skandianin nigdy takowej nie złamie – odrzekł Duncan.

–To prawda, królu! Oto więc moja przysięga, która wiąże mnie i wszystkich moich ludzi. Przymierzamy, że będziemy bronić twojej córki, królu, jakby była jedną z naszych. Dopóki choć jeden z nas pozostanie przy życiu, nie dopuścimy, by stała jej się krzywda.

Załoga Svengala, jak jeden mąż, zakrzyknęła gromko na potwierdzenie tych słów. Duncan spojrział po twarzach wojowników zgromadzonych na burcie od strony nabrzeża: pokryte szramami i ogorzałe, okolone niechlujnymi warkoczami. Prawie wszyscy nosili rogate szyszaki. Duncan był roslym mężczyzną, lecz Skandian jakby stworzono na inną miarę, na miarę olbrzymów. Zwalistej budowy, potężnie umięśnieni i uzbrojeni po zęby wojownicy... A na ich obliczach dostrzegł coś jeszcze – niezłomne postanowienie oraz determinację, by dotrzymać przysięgi, którą złożył właśnie ich dowódca. Po raz pierwszy od kilku dni poczuł się nieco raźniej. To prawda, ci ludzie nigdy nie opuszczą jego córki w

potrzebie. Będą walczyć w jej obronie aż po kres.

Odezwał się nieco głośniejszym głosem, by jego odpowiedź usłyszał nie tylko Svengal, lecz i cała jego załoga:

–Dziękuję wam, dzielna załogo „Wilczego wichru”. Wierzę, że moja córka nie mogła znaleźć się w lepszych rękach.

W głosie króla slychać było szczerłość, toteż i te słowa Skandianie przyjęli donośnym okrzykiem.

–Jeszcze tylko o jedno was proszę. Zanim dotrzecie wszyscy do Al Shabah, bezpieczniej będzie, jeśli Cassandra będzie podróżować incognito. Postanowiła tedy od tej chwili przyjąć na powrót imię, pod którym większość z was ją знаła, a mianowicie Evanlyn. Will trącił Horace'a łokciem.

–Wyśmienicie. Ciągłe nie mogę się przyzwyczaić do tego, że tak naprawdę ma na imię Cassandra. W dodatku język staje mi kolkiem w gębie za każdym razem, kiedy przypomina mi się, że jest księżniczką.

Horace zaśmiał się niefrasobliwie. Ani imię, ani królewskie pochodzenie Cassandry-Evanlyn jemu osobiście w niczym nie przeszkadzały. Widywał ją codziennie, przebywając na stałe w stolicy kraju, toteż zdążył przywyknąć do nowego tytułu i imienia dawnej towarzyszki wędrówek.

Evanlyn raz jeszcze uściskała swojego ojca. Już wcześniej pożegnali się czule i wylewnie w zaciszu królewskich komnat... Spojrzała w stronę sztandaru powiewającego na maszcie – lopotał tam jej osobisty proporzec, przedstawiający pikującego czerwonego jastrzębia.

–W takim razie tymczasem trzeba go zdjąć – stwierdziła.

Jeden z członków załogi poluzował fał, by opuścić banderę. Ojciec zwrócił się półgłosem do Evanlyn:

–Tylko tym razem dopilnuj, żeby go oddali. Nie jestem pewien, czy wypada, żeby banda rzezimieszków żeglowała pod twoim proporcem.

Uśmiechnęła się i dotknęła dłonią ojcowskiego policzka.

–Masz rację. Mogłoby to nie sprzyjać mojej reputacji.

Odwróciła się, lekkim krokiem wstąpiła na trap; ponieważ pozbawiony był barierki, Axel podał jej rękę, by królownie łatwiej było zachować równowagę.

–Dziękuję – powiedziała.

Skandianin skinął głową, zaczerwienił się jak burak, wymamrotał pod nosem coś niezrozumiałego i czmychnął czym prędzej na rufę, dołączając do swych towarzyszy.

–Jeszcze coś? – spytał Svengal, a wówczas Halt wskazał ręką na wschód.

–Odplywajmy.

**–Tak jest! W górę wiosła! – Głos Svengala zagrział teraz niczym grom, jak to zwykle bywało, kiedy Skandianie wydawali komendy. Wioślarze, którzy zdążyli już zasiać**

**w ławach, unieśli trzymetrowe drzewca do pionu. – Zwolnić cumy, odbijać! – padł następny rozkaz.**

**Wciągnięto na pokład liny mocujące dotychczas dziób oraz rufę „Wilczego wichru” do pomostu przystani. Jednocześnie trzech wioślarze, posługując się przy tym długimi drągami, odepchnęli okręt, który zaczął dryfować z prądem. Odległość między burtą a nabrzeżem zwiększała się z każdą chwilą; Svengal wygrzmiał następną komendę:**

**–Opuścić wiosła! – Zadudniły drewniane drągi i szesnaście wiosel znalazło się w dulkach nadburcia, pióra wiosel skierowały się w stronę dziobu, zawisając tuż nad wodą, gotowe do pierwszego uderzenia. – Cała naprzód! – rozkazał Svengal, chwytając drzewce wiosła sterowego.**

**Pióra wiosel pograżyły się w wodzie, a wioślarze pociągnęli drzewca ku sobie. „Wilczy wichur” wyrwał do przodu, wiosło sterowe ożyło w dłoniach Svengala. Siedzący na dziobie marynarz, który nadawał rytm, rzucił komendę do następnego uderzenia wiosel. Przed dziobem okrętu utworzyła się już spieniona fala.**

**Wyruszyli wreszcie w drogę.**

## ROZDZIAŁ 12

Podczas żeglugi z biegiem rzeki nie wydarzyło się nic szczególnego, jeśli nie liczyć tych kilku razy, kiedy wieśniacy lub podróżni podążający wzdłuż brzegu zatrzymywali się jak wryci na widok okrętu Skandian płynącego sobie najspokojniej w świecie środkiem ich krainy. Raz i drugi jeźdźcy spinali konie ostrogami i odjeżdżali galopem, najpewniej by podnieść alarm.

Will uśmiechał się na myśl o mieszkańcach wiosek gromadzących się w pośpiechu za obroną palisadą lub w jednej z wież wybudowanych w tym celu i czekających na atak, który nigdy nie nadejdzie.

Co prawda Skandianie nie napadali na Araluen już od trzech lat, lecz wspomnienie ich dawniejszych najazdów wciąż pozostało żywe w przybrzeżnych okolicach. Nielatwo było zapomnieć o stuleciach gwałtu i grabieży. Owszem, ten i ów słyszał o traktacie pokojowym, lecz cóż traktat – ot, skrawek papieru. Za to wilczy okręt płynący rzeką, to była twarda rzeczywistość, której nie należało pochopnie lekceważyć.

Aż wreszcie „Wilczy wicher” wypłynął z osłoniętych wód rzeki i skierował się na południe wodami Wąskiego Morza. Na południu bardziej domyślić się było można niż zobaczyć linię gallijskiego wybrzeża – cienką, ciemną kreskę na horyzoncie. Równie dobrze mogłyby to być gromadzące się tam chmury. Pokład wilczego okrętu unosił się i opadał na łagodnej fali. Evanlyn, Will oraz Horace stali na dziobie okrętu, czując jego kołysanie pod stopami.

–Trochę lepiej niż ostatnio – zauważył Will.

Evanlyn uśmiechnęła się:

–O ile mnie pamięć nie myli, mniej więcej to samo mówiłeś ostatnim razem. „Jeśli dalej tak pójdzie, to będzie w sumie całkiem nieźle”, czy coś w tym rodzaju.

Will zaśmiał się.

–Skąd mogłem wiedzieć, co mnie czeka?

Horace zerknął ciekawie na nich oboje.

–Z czego się śmiejecie? – spytał.

Evanlyn stała, opierając się łokciem o reling tam, gdzie zaczynała się krzywizna tworząca dziób. Z zamkniętymi oczami rozkoszowała się słonym wiatrem rozwiewającym jej włosy.

–Jak przyjemnie! – westchnęła, a potem w odpowiedzi na pytanie Horace'a dodała: –No cóż, całkiem niedługo po tym, jak Will wypowiedział owe wiekopomne słowa, trafiliśmy w jedną z najstraszliwszych burz, nawet Erak i Svengal niewiele takich przeżyli.

–Fale były ogromne – stwierdził Will – naprawdę ogromne. – Pokazał palcem piętrzący się nad nimi maszt, na który załoga wciągała właśnie wielki prostokątny żagiel. – Dwa albo i trzy razy wyższe niż to.

Horace popatrzył z niedowierzaniem na pień potężnej sosny, z którego uczyniono maszt, a potem z uprzejmym, ale sceptycznym uśmiechem na swojego przyjaciela. Przecież to rzecz znana, że gdy ludzie opowiadają o przeżytych sztormach lub bitwach, przejawiają skłonność do niejakej przesady.

Evanlyn dostrzegła zwątpienie na twarzy Horace'a, więc pospieszyła Willowi w sukurs.

–Tak, Horace. To prawda! – potwierdziła. – Były naprawdę ogromne. Myślałam, że już po nas.

–Ja nie myślałem, tylko raczej miałem co do tego najzupełniejszą pewność – uzupełnił Will. Horace zmarszczył brwi, znów popatrzył na maszt. Will mógł koloryzować, ale Evanlyn –



to co innego...

–Zaraz... – odezwał się. – Przecież to by znaczyło, że bałwany były większe nawet od okrętu. – Ów fakt wydawał mu się nie do pojęcia, tymczasem oboje jego rozmówcy przytaknęli z ożywieniem.

–No, przecież mówię! – zawołał Will. – Tak naprawdę, to wpływaliśmy na nie, wspinaliśmy się.

–My, jak my – poprawiła go Evanlyn. – My właściwie trwaliśmy, przywiązani do masztu, żeby nas nie zmyło z pokładu. I całe szczęście – dodała, wspominając, jak bezsilni okazali się oboje wobec potęgi wodnej masy.

Horace rozejrzał się, zaniepokojony. Dotąd łagodne kołysanie wydawało mu się nawet przyjemne, ale wobec tego, co właśnie usłyszał...

–No cóż, miejmy nadzieję, że tym razem obędzie się bez podobnych przygód – powiedział.

Will wzruszył niebale ramionami.

–Co tam, nie przejmuj się. „Wilczy wicher” da sobie radę w każdej sytuacji. To doskonały okręt.

Powiedział to z przekonaniem starego wygi morskiego, który niejedną już burzę przeszedł. W jego głosie pobrzmiwała zarazem pewność siebie kogoś, kto wypytał dokładnie Svengala poprzedniego wieczoru i wiedział, że o tej porze roku sztormy zdarzają się wyjątkowo rzadko. Uznał jednak, że na razie nie ma potrzeby informować o tym Horace'a. Bawił się wyśmieniem, patrząc, jak niepokój ogarnia jego rosłego przyjaciela, który nagle zabrał się do obserwowania horyzontu i wypatrywania pierwszych oznak nadchodzącej burzy.

–Wiesz, te sztormy potrafią się rozpętać w mgnieniu oka – rzucił od niechcienia Will.

Evanlyn spojrziała na niego z wyrzutem. Chłopak zrobił niewinną minę, a ona potrząsnęła głową z dezaprobatą, widząc, że chce nastraszyć przyjaciela.

–Jak się ciebie słucha, można by pomyśleć, że całe życie spędziłeś na pokładzie okrętu – stwierdziła. Will wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Evanlyn wyjaśniła, zwracając się

do Horace'a: – Jest też coś, co Will skrzętnie przemilczał, a mianowicie fakt, że o tej porze

roku takie wielkie sztormy właściwie się nie zdarzają.

Tę informację Horace przyjął do wiadomości z ulgą, natomiast Will nie dawał za wygraną:

–No właśnie. „Właściwie”. Czyli nigdy nic nie wiadomo – stwierdził ponurym głosem.

–Otóż to – odparowała. – Nie wiadomo, a zwłaszcza ty nie masz o tym pojęcia. Właśnie dlatego wczoraj tak gorliwie wypytywałeś Svengala, czy przypadkiem nie grożą nam takie sztormy, jak wtedy, w drodze do Skandii.

–I co powiedział Svengal? – spytał Horace, który dopiero teraz zorientował się, że Will go nabiera.

–Stwierdził, że nigdy nic nie wiadomo – powtórzył Will śmiertelnie poważnym tonem.

Evanlyn westchnęła, zniecierpliwiona.

–Niezupełnie – zaprzeczyła, machnąwszy ręką na słowa Willa, po czym rzekła do Horace'a: – Ściślej mówiąc, zapewnił, że przez całą drogę morze pozostanie spokojne jak sadzawka.

Horace rzucił szybkie spojrzenie Willowi, który przybrał pozę urażonej niewinności. Nie po raz pierwszy Horace zdał sobie sprawę, jakie to podstępne bestie z tych zwiadowców.

–Aha. Czyli nic nam nie grozi – stwierdził, a Evanlyn przytaknęła z uśmiechem. Will pokręcił głową, niezadowolony.

–To już nie można zażartować? – rzekł do księżniczki, niby z wyrzutem w głosie, ale mimo woli uśmiechając się od ucha do ucha. W istocie był uradowany, że oto znów podróżuje w towarzystwie Evanlyn.

Ich drogi rozeszły się po powrocie ze Skandii, a Will wiedział, że jego decyzja, by pozostać w szeregach zwiadowców, odrzuciwszy stanowisko w królewskich wojskach rozpoznania, rozczarowała ją, a nawet uraziła. Przecież zaszczytną funkcję porucznika zaproponowano mu wyłącznie dzięki wstawiennictwu Evanlyn u króla, bowiem dziewczyna taki właśnie sposób wymyśliła, aby zatrzymać Willa na Zamku Araluen. Gdy odmówił, poczuła się przezeń odrzucona, toteż potem, gdy jeszcze kilka razy zdarzyło im się spotkać podczas jakichś oficjalnych okazji, odnosiła się do niego chłodno, z wyniosłym dystansem. Jednak teraz, w atmosferze szorstkiej swobody panującej na okręcie, kiedy powróciło tak wiele wspomnień wspólnie przeżytych przygód, wszystko znów było jak dawniej, a niewidzialne bariery przestały ich dzielić.

\*\*\*

–Dobrze się czujesz? – Gilan zadawał to pytanie Haltowi już po raz trzeci, a Halt udzielił mu tej samej odpowiedzi, co poprzednio:

–Wszystko w porządku – oznajmił stanowczym głosem.

Jednak Gilan widział wyraźnie, że jego dawny mistrz i nauczyciel jest w wyjątkowo złym humorze. Jego twarz zastygła w gniewnym grymasie, a dłonie zaciskały się tak mocno na relingu, że ich knykcie aż zbieleły.

–Jesteś pewien? Dziwnie jakoś wyglądasz. – Rzeczywiście, na obliczu Halta zagościła niezwykła bladość, dostrzegalna nawet pomimo brody i cienia kaptura. – Czy coś cię trapi?

–A, owszem. – Gniewna maska zwróciła się ku niemu. – Coś mnie trapi. Otóż wyobraź sobie, że jakiś głupiec bez przerwy wypytuje mnie, jak się czuję. Byłoby lepiej...

Urwał nagle i Gilan nie dowiedział się, co byłoby lepiej lub dla kogo, dostrzegł tylko, że Halt mocniej zacisnął zęby. Młody zwiadowca nie zauważył jednak, że Halt przerwał swą wypowiedź właśnie wtedy, gdy fala mocniej niż zwykle zakolysała „Wilczym wichrem”. Spoglądał więc z niepokojem na dawnego mistrza. Przez całe lata Halt stanowił dlań postać nieomal nadludzką. Żadne trudy nie mogły go zmóc. Był wszystkowiedzący. Najwspanialszy wojownik, jakiego Gilan kiedykolwiek poznał.

Halta tymczasem cechowała, poza wszystkim innym, także szczególna podatność na chorobę morską.

Owa dolegliwość zawsze dokuczała mu przez kilka pierwszych godzin żeglugi. Halt wiedział, że to tylko kwestia stanu umysłu, że kiedy pokład kołysał się na wszystkie strony, jakaś prymitywna część jego mózgu nie była w stanie pojąć, jakim sposobem coś tak wielkiego i solidnego jak okręt może być równie chwiejne i niestabilne.

W gruncie rzeczy zdawał sobie doskonale sprawę, że pogoda jest całkiem znośna. A jednak początek każdego rejsu na bardziej otwartych wodach dotykał go wyjątkowo nieprzyjemnie; istniało ryzyko, że kolejna fala, większa od pozostałych, zakolysze okrętem

silniej, gwałtowniej i dojdzie do najgorszego. Wiedział zarazem, że kiedy przywyknie do bezustannego ruchu, ciągłego wznoszenia się i opadania pokładu, wznoszenia się i opadania... wówczas zapanuje nad żołądkiem oraz nad nerwami. Tylko że ten moment jeszcze nie nadszedł. Musiała minąć niejedna godzina, nim wróci dobre samopoczucie. Tymczasem - stwierdził ponuro w myślach – najlepiej uczynię, trzymając się jak najbliższej burty. Byłoby łatwiej, gdyby Gilan dał mu święty spokój, ale jakoś nie mógł się zdobyć na to, żeby go po prostu odprawić. Nie chciał urazić uczuć swego młodego towarzysza. Na coś takiego, pomimo całej swej zapalczywości, mrukliwości oraz ponurego usposobienia, Halt nigdy nie potrafiłby się zdobyć.

Obok nich pojawił się Svengal – rosły, zwalisty, jowialny. Oddychał pełną piersią, rozkoszując się morskim powietrzem. Svengal czuł się najlepiej właśnie na morzu, co w tej chwili wydawało się Haltowi przejawem braku piątej klepki.

–Ach, jak wspaniale! Nie ma to jak świeże, słone powietrze. Nic tak nie dodaje sił, no nie? – zagrmiał Skandianin. Halt zerknął na niego podejrzliwie. Svengal gapił się niewzruszenie na spienione fale. – Nie ma nic lepszego na świecie – stwierdził. Odetchnął głęboko jeszcze kilka razy, ostentacyjnie nie zwracając uwagi na stan, w jakim Halt się znajdował, a potem odezwał się beztroskim tonem do Gilana: – Wiesz co? Jest coś, czego nigdy nie potrafię zrozumieć.

Nietrudno było odgadnąć, że Svengal zechce rozwinąć zaczęłą myśl, toteż Gilan nie uznał za stosowne odpowiedzieć; uniósł tylko brwi.

–Otóż nie pojmuję, jak to się dzieje, że ktoś jest w stanie wytrzymać cały dzień na grzbiecie jednej z tych wierzgających, brykających, podskakujących, rzucających się na wszystkie strony bestii z piekła rodem, i to bez najmniejszego trudu... – wskazał kciukiem za

siebie, w stronę końskich zagród. – Ale wystarczy, że ktoś taki znajdzie się na pokładzie jednego z najlepszych okrętów, jakie kiedykolwiek wybudowano, na niemal zupełnie spokojnym morzu, no i co się wtedy dzieje? Gdy tylko ciut, ciut zakolysze, przewracają się takiemu bebechy!

Wyszczерzył się do Halta, dobrze pamiętając, jak zwiadowca go potraktował po upadku z kucyka podczas podróży do Zamku Araluen z Zamku Redmont.

–Halt? – spytał Gilan, który wreszcie uświadomił sobie, w czym rzecz. – Cierpisz na chorobę morską, tak?

–Nie – uciął zwięźle Halt, obawiając się wypowiedzieć więcej niż tę jedną sylabę.

–Nie, skądże znowu – podjął Svengal. – Tylko trochę zbladł, bo pewno nie jadł śniadania. Zgadza się? Głód ci dokucza?

–Nie – odparł Halt i tym razem zdołał wykrztusić jeszcze dwa słowa: – Jadłem śniadanie.

–E tam, pewnie tylko kromkę chleba i łyk wody. – Svengal machnął lekceważąco ręką.

–Dorosły mężczyzna potrzebuje wypełnić sobie żołądek czymś pożywnym – perorował, zwracając się do Gilana, który spoglądał z zaciekawieniem i pewną dozą niedowierzania

na swego mistrza. – Pętko kielbasy każdemu dobrze zrobi. Albo kawał wieprzowiny. Ja tam najbardziej lubię ziemniaki. Ale są też tacy, którzy wolą kapustę. No i trzeba rzec, że kapusta

**dobrze robi na wewnątrzności. Zwłaszcza, jak się ją zajada z pysznym, tłustym bekonem.**

**Halt stęknął cicho, wyciągnął palec w stronę Svengala i wybełkotał kilka słów, których nikt nie zrozumiał.**

**Svengal zmarszczył czoło i przysunął się bliżej.**

**–Przepraszam, bo nie dosłyszałem? – spytał wesolo.**

**Halt, trzymając się kurczowo poręczy, stanął na palcach, by znaleźć się bliżej ucha wielkiego Skandianina i z wielkim wysiłkiem wykrztusił:**

**–Pożycz mi...**

**–Pożyczyć? Co mam ci pożyczyć? – zainteresował się Svengal. Halt uczynił jakiś gest, ale Svengal nie zrozumiał.**

**Halt zebrał się w sobie, skupił i powiedział wyraźnie:**

**–Hełm. Pożycz mi swój hełm.**

**–Ależ oczywiście, jasne. Trzeba było od razu mówić – powiedział Svengal i zaczął odpinać pasek utrzymujący jego wielkie, rogate nakrycie głowy. W następnej chwili jednak**

**znieruchomiał, dostrzegłszy na udręczonej i pobladłej twarzy Halta cień złośliwego, mściwego uśmiechu. Svengal przypomniał sobie inny pożyczony hełm, na innym okręcie i w innych okolicznościach. Cofnął się szybko, bo Halt już wyciągał rękę po jego szyszak. – O, nie! Znajdź sobie inny kubek! – warknął.**

## ROZDZIAŁ 13

Po dwóch dniach na morzu Halt szczęśliwie zapanował nad żołądkiem. Nie powstrzymało to jednak kąśliwych zaczepek Svengala, który uparcie wypytywał zwiadowcę o zdrowie przy każdej możliwej okazji i częstował wyszukanymi kąskami z zapasów zgromadzonych w ładowniach okrętu.

–Może kurze udko? – dopytywał się z niewinnym uśmiechem. – Trochę tłuste, ale może jednak? Dobrze ci zrobi.

–Svengalu – tłumaczył Halt dziesiąty już raz. – Przeszło mi. Czy to do ciebie nie może dotrzeć? Nie cierpię już na chorobę morską. I choćbyś nie wiem jak się starał, nie doprowadzisz mnie do wymiotów.

Svengal nie był przekonany. Znał siłę woli Halta i był pewien, że zwiadowca dzięki niej panuje nad sobą, a tymczasem jego wnętrzności w każdej chwili gotowe są się zbuntować. Wystarczy tylko trochę je podrażnić.

–Jeśli kurczak nie przypada ci do gustu, to mam świetny krem z mielonych kasztanów, w którym mógłbyś to udko sobie zanurzyć – zasugerował z nadzieją w głosie.

–W porządku – zgodził się wreszcie Halt. – Daj mi tę kurzą nogę. I sos także się przyda – i piklowane ogórki, skoro już o tym mowa. A, i przynieś mi jeszcze porządny kufel

ciemnego piwa, jeśli masz takowe.

Svengal ucieszył się, bo był pewien, że Halt nadrabia miną. Nie minęło parę minut, a wszystkie zamówione potrawy znalazły się na małym składanym stoliku obok stanowiska sternika. Przyglądał się, zaciekawiony, jak Halt wbija zęby w kurczaka, a potem przeżuwa powoli i polyka. Jurgen, jeden z wioślarzy, napełnił kubek ciemnym piwem. Stał obok, gotów na dalsze polecenia, trzymając antałek w pogotowiu.

–I jak? Wszystko w porządku? – Svengala wciąż nie opuszczała nadzieja, ale Halt tylko skinął głową.

–Może być. Trochę żyłasty i za suchy, ale poza tym całkiem, całkiem, niczego sobie. Jednym potężnym haustem opróżnił kubek pełen napoju – a wiedział, że spija ulubiony trunek Svengala, którego zapasy były już na ukończeniu. Wyciągnął rękę z kubkiem w stronę Jurgena.

–Jeszcze – polecił zwięźle. Skandianin odkorkował beczulkę, struga brązowego, pieniącego się piwa popłynęła do naczynia. Halt wypił znowu, tym razem także prawie do dna. Otarł usta wierzchem dłoni. – Całkiem niezłe. Naprawdę, całkiem smaczne – oznajmił

znów wyciągnął kubek w stronę Jurgena. Uśmiech na twarzy Svengala zbladł, kiedy obserwował, jak ulubiony przysmak znów splywa do naczynia zwiadowcy. Żarty żartami, pomyślał, ale ten psikus coraz mniej mi się podoba.

–Ile beczulek jeszcze nam zostało? – spytał marynarza.

–To już ostatnia, skirlu – usłyszał odpowiedź. Jurgen potrząsnął antałkiem, żeby przekonać się, ile jeszcze płynu chlupocze w środku, a wyćwiczone ucho Svengala podpowiedziało mu, że pojemnik jest już tylko w połowie pełny. Albo raczej już w połowie pusty, poprawił sam siebie i poczuł, że ogarnia go niepokój. Halt tymczasem wytrąbił trunek

do dna i zażądał:

–Dolej mi jeszcze.

–Nie! – Okrzyk Svengala powstrzymał Jurgena, który zdążył już nachylić się z beczką i utoczył zwiadowcy pół kubka. – Dostyc tego!

Jurgen skinął głową, skrywając uśmiech pod wąsem. Lubił Svengala, ale – jak każdy Skandianin – przepadał też za rubasznymi żartami. Musiał przyznać, że ten Aralueńczyk, choć tak mizernej postury, zgrabnie wystawił kapitana do wiatru.

–Na pewno? – spytał niewinnym tonem. – Ale dlaczego? Przecież widać, że mu smakuje?

Halt w odpowiedzi mruknął z uznaniem i odgryzł kawałek wysmarowanego sosem kurzego udka.

–Smakuje mu, smakuje. Aż za bardzo! – odparł Svengal, rzucając Haltowi gniewne spojrzenie. – Są tacy, którzy nawet w żartach nie znają miary. I posuwają się za daleko!

–I ja to zauważyłem, zaiste, nie przeczę. – Halt uśmiechnął się złośliwie. – W takim razie powiedz, czy skończyliśmy już raz na zawsze z pytaniami o moje zdrowie i stan mojego żołądka?

–Owszem – mruknął ponuro Svengal. – Przecież to tylko z troski o ciebie, nic więcej.

–Jestem wzruszony do głębi dobrocią twego serca – oznajmił Halt z kamienną twarzą. Spojrzał za burtę; po lewej stronie ciągnęła się biała linia plaży, piaszczyste wybrzeże Iberionu.

–Sądziś, że to dobre miejsce, żeby zabrać konie na brzeg? – spytał. Chodziło o to, że gdyby Wyrwij, Abelard, Blaze i Kicker spędziły zbyt wiele czasu w przymusowym bezruchu, ich mięśnie zeszywniałyby i osłabły. Już wcześniej rozmawiał ze Svengalem, tłumacząc, że co kilka dni należy wysadzać je na brzeg, aby zapewnić zwierzętom możliwość ćwiczenia mięśni.

Svengal rzucił tylko okiem w stronę brzegu, po czym stwierdził rzeczowo:

–Pewnie. Miejsce tak samo dobre, jak każde inne. Nie ma w pobliżu żadnych większych osad, których mieszkańcy mogliby sobie pomyśleć, że chcemy ich napaść. – Wziął do połowy napełniony kubek piwa podany mu przez Halta. – Dzięki.

–Nie ma za co – odpowiedział Halt z uśmiechem. – Prawdę mówiąc, niezbyt mi smakowało.

Svengal rzucił mu groźne spojrzenie.

–Tylko się nie zdziw, jeśli zostawię cię na brzegu razem z twoimi bezcennymi wierzchowcami – burknął. – Dalej nie rozumiem, do czego ci są potrzebne. Płyniemy do Al Shabah, żeby zawrzeć umowę w sprawie okupu, a potem wracamy. I koniec.

–Miejmy nadzieję, że tak się stanie – rzekł Halt. – Jednak w życiu zwykle tak się zdarza, że kto spodziewa się nieoczekiwanego, ten dobrze na tym wychodzi. Zrozum, zwiadowca bez swojego konia, to jak Skandianin bez swojego okrętu.

–Może i tak – przyznał Svengal, po czym zerknął na wiatrowskaz – lekką i długą chorągiewkę zawieszoną u szczytu masztu. Stwierdził, że nie ma potrzeby przestawiać żagla, więc naparł tylko na drzewce wiosła sterowego. Dziób okrętu skręcił w stronę widniejącej w oddali plaży.

\*\*\*

Po godzinie „Wilczy wicher” zarył łagodnie kadłubem w piasek, czemu towarzyszył charakterystyczny, posuwisty zgrzyt.

Znów wzniesiono i umocowano linami prowizoryczny dźwig, po czym konie zostały przeniesione nad burtą i postawione w płytkiej wodzie. Wyrwij spoglądał z wyrzutem na Halta. Bardzo chwalił sobie minione dwa dni, podczas których kołysał się z boku na bok w wygodnej, wybitej słomianymi poduchami zagrodzie, spożywał regularne posiłki, drzemał sobie w słoneczku i ogólnie rzecz biorąc, błogo leniuchował, wędrując wraz z okrętem, czyli pierwszy raz w życiu to nie on wiózł, lecz był wieziony. Nie pierwszy za to raz miał odmienne zdanie niż Halt co do tego, jak długo koń powinien wypoczywać, ile jablek wolno mu zjeść albo jak intensywnego treningu tak naprawdę mu trzeba.

A jednak miło było poczuć pod kopytami twardą ziemię, zwłaszcza że spędził na pokładzie nie aż tak wiele czasu, by doznać nie milego odczucia, które Skandianie zwali „bujaniem łądu”, a które polega na tym, że komuś przywykłemu już do ciągłego kołysania wydaje się, iż stały łąd szaleje pod jego stopami, przyprawiając o zawrót głowy.

Wyrwij zadrzał na całym ciele, rozgrzewając mięśnie na koński sposób – od uszu i krótkiej grzywy, aż po zmierzwiony ogon. Potem już stał cierpliwie, kiedy Will zakładał mu uzdę. Siodłaniem wierzchowców nie zamierzali się kłopotać. Ćwiczebną przebieżkę mogli równie dobrze odbyć na oklep. Evanlyn przyglądała się tym przygotowaniom z odrobiną zazdrości. Czterej przyjaciele dosiedli koni, natomiast nie zabrano na pokład wierzchowca dla niej. Nie było takiej potrzeby. W razie konieczności zawsze można kupić konia w Al Shabah. Tymczasem Kicker oraz trzy konie zwiadowców zostały w specjalny sposób wyszkolone. Żaden wierzchowiec zakupiony na miejscu nie posiadałby takich umiejętności i nie byłby równie wytrzymały, jak one. Tak więc, gdyby zwiadowcy lub Horace mieli potrzebować koni, to właśnie tych, a nie jakichkolwiek innych.

– Nie forsujcie zwierząt przez pierwszych kilkaset metrów – rzekł Halt do towarzyszy. – Będą chciały od razu biec, ale my musimy uważać, żeby się nie nadwerężyły.

No i rzeczywiście, choć Wyrwij z początku nie był wcale zachwycony przerwą w morskiej podróży, to gdy tylko stanął na suchej ziemi, od razu miał chęć popędzić przed siebie. Choćby po to, żeby pokazać Abelardowi i Blaze'owi – no i tej wielkiej, tępej, muskularnej szkapie – kto tu z nich wszystkich jest najszybszy.

Rwał się więc do biegu, gdy odjeżdżali od wybrzeża, kierując się na północ. Jednak Will ścigał wodze, z początku pozwalając mu tylko na wolny trucht, dopiero potem na niespiesznego klusa, z którego przeszedł w swobodny galop.

Czterej jeźdźcy galopowali obok siebie plażą wzdłuż brzegu, a każdy z koni rwał do przodu, uparcie próbując skłonić swego pana, by ten pozwolił mu wysforować się przed resztę. Każdy z wierzchowców mniemał, że jest najsmiglejszym spośród swych pobratymców, szybszym od wiatru. Zwierzęta zerkwały na siebie, parszając i rzucając reszcie wyzwania. Postawą każdy demonstrował wyższość wobec czworonogich towarzyszy... i tylko silne, pewne dłonie jeźdźców dzierżących wodze nie pozwalały im popędzić przed siebie niby burza.

Wyrwij czuł, jak krew żywo krąży w jego żyłach, a sztywność nóg znika. Był w swoim żywiole, w jego ciele tętniło życie. Do tego właśnie został stworzony. Czegóż więcej mógł pragnąć? Mokry piach pod kopytami był stabilny, choć i nie nazbyt twardy. Pachnące solą powietrze pieściło nozdrza, z rozkoszą wciągał je w płuca. Tymczasem Will poluzował

nieco wodze, więc Wyrwij wydłużył kroku i przez kilka chwil biegł przed innymi – zanim ich jeźdźcy nie pozwolili przyspieszyć także swoim wierzchowcom. Gdy znów się zrównali, Will powstrzymał Wyrwija, który chciał biec coraz prędzej, coraz prędzej – i cztery konie znów pełnym galopem gnały obok siebie.

Stojąca wysoko na pokładzie dziobowym Evanlyn przyglądała im się, przysłaniając oczy dłonią. Oddalali się coraz bardziej, ona zaś czuła się nieswojo, gdyż pozostawiono ją w tyle, poza głównym nurtem wydarzeń, do czego jako księżniczka i następczyni tronu absolutnie nie przywykła. Co prawda Horace szarmancko zaproponował, by siadła na końskim grzbiecie za nim, lecz odmówiła. Przecież to nie to samo! Nie chciała wozić się jako pasażerka, wolałaby zaznać radości przejażdżki z przyjaciółmi na równych prawach.

Svengal oparł się o reling obok niej, także przyglądając się jeźdźcom.

–Naprawdę nie mam pojęcia, jak wy to robicie – mruknął półgłosem.

Gdy przyglądał się, jak Aralueńczycy wsiadają na koń i odjeżdżają, a wszystko odbywało się tak płynnie, jak gdyby każdy z nich tworzył z dosiadanym zwierzęciem jedną całość, przyszło mu na myśl, że musi to być niesłychanie przyjemne, a zarazem zdał sobie sprawę, że tej umiejętności nigdy, ale to przenigdy nie zdoła opanować. On sam na końskim grzbiecie czuł się jak zarzucony tam niezdarny worek, kurczowo usiłował trzymać się łąku siodła, a w każdej chwili groził mu upadek na ziemię.

Evanlyn dostrzegła po wyrazie twarzy, co dzieje się w myślach Skandianina, więc poklepała go po dłoni.

–To wcale nie takie trudne. Wystarczy nieco wprawy – powiedziała. – Mogłabym cię nauczyć.

Potrząsnął głową.

–Właśnie nabywanie wprawy wcale mi się nie uśmiecha – stwierdził mrukliwie i odruchowo potarł pośladek, którego mięśnie wciąż jeszcze zachowały wspomnienie jazdy do Redmont i z powrotem.

–Dowódco! – zawołał Axel, który pełnił wachtę na rei. Svengal spojrział w górę. Zobaczył, że jego podwładny wskazuje ręką na północ. – Mamy towarzystwo!

Svengal zmrużył oczy. Rzeczywiście, daleko na północy, na niewielkich wzgórzach wznoszących się nieco z tyłu, w głębi łądu, ujrzał błysk słońca na metalu – helmie lub tarczy. Dała się też zauważyć maleńka z tej odległości chmurka pyłu. A więc jeźdźcy – skonstatował w myśli. I to niemały oddział. Wzruszył ramionami. Cóż, nie było w tym nic dziwnego. Choć tutejsza część wybrzeża nie odznaczała się zbyt wielkim zaludnieniem, przemierzały ją przecież iberiońskie patrole, a widok wilczego okrętu u wybrzeża siłą rzeczy musiał wzbudzić ich zainteresowanie. Według oceny skirła tubylczych jeźdźców dzieliła od ich pozycji mniej więcej godzina jazdy. Starczy więc czasu, by przywołać z powrotem czterech Aralueńczyków, załadować konie na pokład, wreszcie odpłynąć. Tak czy siak, im szybciej się z tym uporają, tym lepiej.

–Daj sygnał – polecił stojącemu opodal wojownikowi, dzierżącemu w pogotowiu barani róg.

Tamten uniósł instrument do ust, wziął głęboki wdech, odtrąbił dwa długie sygnały, czyli umówiony znak nakazujący powrót.

Oddaleni o trzy kilometry jeźdźcy usłyszeli niosący się szeroko ponury dźwięk. Halt



**ściągnął wodze, inni uczynili to samo. Rozejrzał się, ale z tej wysokości nie mógł dostrzec nadjeżdżających wojsk. Wiedział jednak, że Svengal nie wszcząłby alarmu bez przyczyny.**

**–Pora wracać – stwierdził. – Niech teraz pokażą, co...**

**Nim zdołał dokończyć zdanie, Will i Wyrwija pędzili już jak wystrzeleni z procy, Blaze tuż za nim, a Horace na Kickerze w tyle, z wolna nabierając prędkości, bowiem ciężki bojowy rumak potrzebował nieco więcej czasu, by przejść do pełnego galopu.**

**–...potrafią – dokończył Halt, do samego siebie.**

**Musnął Abelarda kolanem, a doskonale wyszkolony konik popędził jak strzała. Halt wiedział, że bez trudu prześcignie Kickera, lecz ma raczej nikle szanse na dogonienie Blaze'a oraz Wyrwija.**

**W szczególności Wyrwija.**

## ROZDZIAŁ 14

Wybrzeże arydzkie widniało w oddali po stronie sterburty jako cienka, brązowa linia. „Wilczy wicher” przecinał gładko fale. Na pokładzie panowała niezwykła cisza, jako że załoga mogła wreszcie zrezygnować z wiosła, postawiwszy wielki prostokątny żagiel. Przez minione cztery dni wiatr stale wiał od wschodu, prosto w dziób okrętu i w kierunku przeciwnym do ich kursu. Jednak tego dnia, piętnastego dnia żeglugi, kiedy wstało słońce, kierunek wiatru zmienił się na południowy. Svengal nakazał wciągnąć reję i ustawić ją pod kątem czterdziestu pięciu stopni do wiatru. Okręt popłynąłby z jego kierunkiem, ale dzięki panującemu nad żaglem i sterem Svengalowi dziób wciąż wskazywał kierunek wschodni. Przeciwstawne siły wiatru dmącego w żagiel i oporu tworzonego przez stępkę oraz wiosło sterowe niezmiennie kierowały „Wilczy wicher” we właściwą stronę. Choć pod naporem masy powietrza okręt wykazywał tendencję do zbaczania na północ, i tak poruszał się ku wschodowi z większą prędkością, niż gdyby popychały go wiosła. Svengal jako doświadczony wilk morski, starał się w miarę możliwości oszczędzać siły swoich ludzi.

–Na razie popłyniemy tym kursem, chociaż trochę spycha – wyjaśnił Haltowi. – Będziemy się tego trzymać, póki nie znajdziemy się bliżej Al Shabah.

Halt skinął tylko głową. Svengal wiedział, co robi, więc zwiadowca nie zamierzał spierać się z nim w dziedzinie, którą tamten opanował do perfekcji; pod względem żeglarskich umiejętności ufał rosłemu Skandianinowi nie mniej niż Erakowi.

Halt, Evanlyn i Svengal spotkali się na rufowej części pokładu, by omówić plany dotyczące prowadzenia negocjacji. Horace znajdował się w zagrodzie Kickera, gdzie, przykucnięty, starał się wydłubać kamyk, który ugrzązł w kopycie jego rumaka podczas ostatniego wypadu na brzeg.

Will stał samotnie na samym dziobie okrętu, z brodą opartą na rękach. Już któryś raz podczas tej podróży rozmyślał, zastanawiając się nad tym, co też niesie mu przyszłość.

Niepokoił się, choć wcale nie negocjacjami i uwolnieniem Eraka. Był pewien, że wszystko pójdzie gładko i zakończy się powodzeniem. Przecież u boku Evanlyn będzie Halt, potrafiący służyć jej radą i pomocą oraz ostrzeżeniem przed możliwymi pułapkami.

No i właśnie w tym rzecz – zdał sobie sprawę. Większą część minionych pięciu lat on sam spędził pod opieką Halta, ufając jego ocenie, a także podążając za jego radami. Tak samo uczynią oni wszyscy, kiedy dotrą wreszcie do Al Shabah i wysiądą na brzeg, aby uwolnić Eraka. Obecność Halta, jego przenikliwość, wszechstronne umiejętności, a także wrodzona zdolność rozwiązywania wszelkich problemów zapewniała Willowi ogromne poczucie bezpieczeństwa. Był całkowicie przekonany, że nie ma takiej rzeczy, której Halt nie zdołałby zrobić, żadnej trudności, której nie potrafiłby pokonać.

Tymczasem wkrótce, o czym Will nie mógł nie pamiętać, nadejdzie czas, kiedy przyjdzie mu opuścić bezpieczną przystań, wypływając samotnie na szerokie wody. Innymi słowy, za trzy miesiące czekał go ostateczny test, później zaś ocena, końcowy egzamin, który miał zdecydować, czy spełnia wszystkie wymagania, jakie stawiano samodzielnemu zwiadowcy.

Przez ostatni rok perspektywa końcowego sprawdzianu ciążyła Willowi bardzo. Z jednej strony ów sprawdzian miał się stać ukoronowaniem lat nauki, ostatnią poprzeczką, jaką trzeba przeskoczyć, zanim otrzyma się srebrny liść dębu – odznakę oznaczającą przynależność do Korpusu Zwiadowców. Już od dawna nie mógł się doczekać dnia, w którym to wreszcie nastąpi.

Teraz do świadomości Willa dotarło również, że pasowanie na zwiadowcę nie oznacza wcale końca jego trudów. Przeciwnie, oznaczało dopiero początek nowego, zapewne o wiele dłuższego życiowego etapu. Dopiero teraz zdawać mu przyjdzie rzeczywisty egzamin. Egzamin, który nie skończy się dopóty, dopóki Will pozostanie w szeregach zwiadowców. Będzie musiał podejmować decyzje dotyczące życia i śmierci – a czasem nie starczy czasu, by dokładnie je rozważyć. Od zwiadowcy oczekuje się światłej rady i przywódczych umiejętności; Willa ogarnęły nagle wątpliwości, czy zdoła sprostać czekającym go odpowiedzialnym zadaniom. Uświadomił sobie, że nie jest jeszcze gotów. Czuł, że brzemień odpowiedzialności go przerasta. Nigdy nie stanie się taki jak Halt – spokojny, opanowany, doświadczony.

Człowiek, który miał rację zawsze i w każdym względzie.

Cóż, nie był Haltem. Był sobą. Młodym, impulsywnym żółtodziobem. Przedtem właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiał i nie wiedzieć czemu, wydawało mu się, że nawet gdy uzyska upragniony srebrny liść, on i Halt nadal będą sobie mieszkali w zacisznym małym domku na skraju puszczy. Dopiero ślub Halta uprzytomnił Willowi, że te czasy już się skończyły. Halt przeniósł się już do apartamentów zamkowych wyznaczonych jemu i lady

Pauline, choć z domku nadal zamierzał korzystać, traktując go jako bazę wypadową do działań podejmowanych na terenie lenna Redmont.

W pierwszej chwili, gdy Will się dowiedział o przeprowadzce Halta, nawet się ucieszył. Miło pomyśleć, że otrzymał chatkę do swojej prawie wyłącznej dyspozycji. Będzie mógł zapraszać przyjaciół i częstować ich upichconymi przez siebie potrawami. Na przykład Horace'a, kiedy ten odwiedzi Redmont, co zdarzało mu się od czasu do czasu. Albo Alyss.

Otóż to, Alyss. O, tak. Jakże miło posiedzieć przy kominku w przytulnym wnętrzu domku, jeśli młodemu zwiadowcy towarzyszy piękna, wysoka, jasnowłosa dziewczyna, gawędzić z nią o tym i o owym; wspominać dawne czasy oraz omawiać najnowsze wiadomości. Alyss została już pełnoprawną kurierką, a jej mistrzyni, lady Pauline, wyznaczała podopiecznej samodzielne misje. Alyss też lubiła przesiadywać w jego towarzystwie i słuchać, jak gra na mandoli, kiwając głową w rytm muzyki.

W przeciwieństwie do Halta – tu Will uśmiechnął się do siebie – Halta, który stękał i pomrukiwał, gdy tylko Will wydobyl instrument ze skórzanego pokrowca.

Wszystko to bardzo piękne, ale przecież jego życie zupełnie nie tak się potoczy! Nie będzie już mieszkał w tej chatce; ani z Haltem, ani bez niego. Wkrótce znajdzie się daleko od Zamku Remont. Gdy tylko zda sprawdzian i zostanie wyzwolony z terminu, wyznaczą mu jakieś zupełnie inne lenno, jedno z pięćdziesięciu składających się na królestwo Araluen. Być może znajdzie się całe setki kilometrów od znajomych ludzi i miejsc. A gdy już się tam pojawi, przyjdzie mu podejmować istotne decyzje, bowiem tego właśnie będą odeń oczekiwać mieszkańcy nowego lenna. Trzeba im służyć ochroną, pomocą oraz radą.

Krótko mówiąc, będą myśleli, że jest kimś takim, jak Halt.

Tymczasem Will wiedział, aż nazbyt dobrze, że żadną miarą nie dorównuje swojemu nauczycielowi. Uświadamiając sobie ów fakt, westchnął ciężko.

–Cóż za radosny dźwięk – odezwał się wesół głos za jego plecami. Will drgnął, zaskoczony. Owszem, pogrążył się w myślach, ale mimo wszystko nikt nie powinien bez wiedzy zwiadowcy podejść do niego niepostrzeżenie tak blisko. Nikt, oprócz Gilana. No i rzecz jasna Halta, ale przede wszystkim Gilana. Młody zwiadowca potrafił, jeśli zechciał,

poruszać się zupełnie bezszelestnie. Nawet pośród członków Korpusu cieszył się niemałą sławą jako mistrz w sztuce krycia się i podchodów.

Gilan oparł się o reling obok Willa, przyglądając mu się ciekawie.

–Coś cię trapi? – spytał cicho.

Gilan wiedział z doświadczenia, że istnieją pytania, których czeladnik nie śmie zadać swojemu mistrzowi. Zdawał też sobie sprawę, że jako były uczeń Halta jest w stanie zrozumieć większość rozterek nurtujących w tej chwili Willa. Prawdę mówiąc, Gilan domyślał się, z jakiego to powodu Will westchnął.

–Nie... No, właściwie chyba tak... Owszem, tak – odpowiedział Will.

Gilan uśmiechnął się szeroko.

–Mogę więc wybrać spośród tych trzech odpowiedzi. Przyznaję, że wyczerpałeś nimi wszystkie możliwości.

Will próbował odpowiedzieć uśmiechem, lecz skrzywienie warg wypadło raczej blado.

–Gili – odezwał się po chwili – powiedz mi: kiedy miałeś wkrótce otrzymać srebrny liść, czy myślałeś wtedy, że... – zawahał się, nie wiedząc, w jakie słowa ująć swe pytanie i spróbował inaczej: – Chodzi mi o to, czy nie czuleś się tak jakby... odrobinę...

Chciał powiedzieć „niedojrzały”, lecz to określenie wydawało mu się zupełnie nieodpowiednie w odniesieniu do Gilana. Will szanował go niemal tak samo jak Halta. Gilan, jak wszyscy zwiadowcy, był doskonałym lucznikiem, ale – w przeciwieństwie do większości z nich – także wytrawnym szermierzem. Jako jedyny z pięćdziesięciu pozostających na służbie zwiadowców oprócz standardowego zestawu wyposażenia nosił także miecz. Ponadto, zaliczał się do prawdziwych ekspertów w dziedzinie bezszelestnego przemieszczania się. No, a przede wszystkim cieszył się niemałym poważaniem pośród zwiadowców, także tych o wiele starszych. Will niejednokrotnie słyszał rozmowy Crowleya z Haltem dotyczące przyszłości Gilana w Korpusie i wiedział, że zdaniem ich obu, Gilana czeka świetna kariera. Słowo „niedojrzały” stanowiłoby obelgę, gdy mowa o kimś tak wszechstronnie uzdolnionym i sprawnym jak Gilan.

Willowi jakoś nie przyszło na myśl, że może przed Gilanem rysowały się tak świetne perspektywy właśnie dlatego, iż swego czasu terminował u Halta.

Gilan tymczasem przyglądał się zmieszanemu młodemu człowiekowi. W końcu uznał, że czas mu dopomóc:

–Chciałeś powiedzieć „nieprzygotowany”? – podpowiedział, a Will uznał to określenie za najwłaściwsze, w każdym razie mniej obraźliwe niż to, którego o mało nie użył.

–Tak! Właśnie o to mi chodziło! Czy nie czuleś się nieprzygotowany do tego wszystkiego?

Nim Gilan odpowiedział, kilkakrotnie pokiwał głową. Jego uśmiech stał się jakby nieco bardziej zadumany – Gilan cofnął się myślami w dość już odległą przeszłość, gdyż całe lata temu przeżywał dokładnie takie same rozterki, jakie teraz nie dawały spokoju Willowi.

–Cóż, rok przed egzaminem byłem przekonany, że wiem już wszystko.

–No, pewnie. Jasne – przytaknął Will. To oczywiste, że Gilan musiał być gotów do egzaminu o wiele wcześniej niż większość zwiadowczych czeladników. A w następnej chwili Will uświadomił sobie, że rok temu też tak mu się wydawało – że umie i wie już wszystko, czego mu trzeba. Odwrócił się, by spojrzeć na wysokiego zwiadowcę.

–A potem – ciągnął Gilan – gdy od sprawdzianu dzieliły mnie tylko tygodnie, zdałem sobie

sprawę, jak niewiele potrafię.

–Ty? – spytał Will. – Przecież ty jesteś...

Gilan uniósł dłoń, by go uciszyć.

–Dopiero wtedy zacząłem się zastanawiać, co pocznę bez Halta, bez jego wskazówek. Jak sobie poradzę, kiedy nie będzie go w pobliżu, kiedy nie naprawi kolejnych błędów,

które

popelnię? W rezultacie trząsałem się jak galareta. Wydawało mi się, że nie podolam.

Przecież

nie potrafię stać się Haltem! Przecież niemożliwe, żeby ktoś inny okazał się tak mądry,

tak

przenikliwy i, powiedzmy to sobie otwarcie, tak piekielnie przebiegły, jak on! Nie dawało

mi

to więc spokoju... Czy mniej więcej tak właśnie teraz się czujesz?

Will ze zdumieniem pokręcił głową.

–Ależ tak, nie potrafiłbym tego lepiej ująć! Jakim cudem zdołałbym dorównać kiedykolwiek Haltowi? Czy w ogóle ktokolwiek jest w stanie mu dorównać?

Znów poczuł, jak cięży mu brzemie niedojrzałości, aż się pod nim przygarbił. Gilan objął młodzieńca ramieniem.

–Willu, już choćby fakt, że roztrząsaszesz tę sprawę, dowodzi, iż podchodzisz poważnie do swoich obowiązków. Nadajesz się, spokojna głowa. Pamiętaj, nikt nie oczekuje od

ciebie,

żebyś stał się Haltem. Przecież Halt to legenda. Nie słyszałeś? Ma trzy metry wzrostu i

dusi

niedźwiedzie gołymi rękami...

Will nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Rzeczywiście, Halt w królestwie Araluenu cieszył się reputacją nieomal taką, jak ujął to w żartobliwych słowach Gilan. Ci, którzy miewali z Haltem do czynienia po raz pierwszy w życiu, zazwyczaj przeżywali nie lada zaskoczenie, widząc przed sobą kogoś tak niepokażnej postury.

–Do trzech metrów nie urośniesz, z niedźwiedziami też radzę ostrożnie. Legendzie nie sprostasz. Za to powinieneś pamiętać, że zostałeś wyszkolony przez najlepszego z najlepszych. Miałeś wielkie szczęście, że towarzyszyłeś mu przez ostatnich pięć lat, zatem mogłeś na co dzień obserwować, jak postępuje w rozmaitych sytuacjach. Możesz mi wierzyć, że – chcąc nie chcąc – nauczyłeś się od niego więcej niż wiele. Kiedy zostanie ci przydzielone lenno, wkrótce zdasz sobie sprawę, jak wiele potrafisz.

–Lecz co się stanie, jeśli popelnię błąd? – Will wciąż pozostawał nieprzekonany.

Gilan roześmiał się głośno.

–Błąd? Jeden błąd? Nie licz na tyle szczęścia. Będziesz popelniał błąd za błędem.

Dziesiątki błędów! Ja popelnilem ich cztery czy pięć od razu pierwszego dnia. No więc jasne,

że będziesz popelniał błędy. I będziesz się na nich uczył, żeby ich nie powtarzać. Kiedy narobisz bigosu, nie próbuj udawać, że wszystko w porządku. A przede wszystkim nie

próbuj

oszukiwać samego siebie i wmawiać sobie, że tak właśnie należało postąpić. Do pomyłki

**należy się przyznać, zwłaszcza przed samym sobą, a potem uczynić wszystko, by ją naprawić.**

**Uczymy się przez całe życie. Wszyscy, nawet Halt – dodał poważnym tonem.**

**Will skinął głową w podzięcie. Teraz poczuł się trochę lepiej.**

**–Ale nie mówisz tego wszystkiego tylko po to, żeby mnie podnieść na duchu, prawda?**

**–spytał na wszelki wypadek.**

**Gilan potrząsnął głową.**

**–O, nie. Jeżeli mi nie wierzysz, spytaj Halta, niech ci opowie o niektórych z moich, hm, potknięć. Uwielbia mi o nich przypominać. A teraz chodźmy do nich, przekonamy się, o czym tak zawzięcie rozprawiali.**

**Wciąż otaczając ramieniem młodszego towarzysza, poprowadził go na rufę. Halt zerknął na nich, pochwycił spojrzenie Gilana i przyszło mu do głowy, że chyba wie, jakiej treści rozmowę odbyli jego dwaj uczniowie.**

**–Gdzieście się podziewali? – spytał niedbale.**

**–Podziwialiśmy widoki – odparł Gilan. – Doszliśmy jednak do wniosku, że może przyda się wam rada dwóch najtęższych głów na tym pokładzie.**

**Halt nie rzekł nic, ale jego uniesione brwi starczyły za nader wymowną odpowiedź.**

## ROZDZIAŁ 15

„Wilczy wicher” przepłynął obok falochronu zamykającego port Al Shabah. Żagiel został zrzucony, zwinięty i schowany, okręt szedł na wiosłach. Na szczycie masztu widniała chorągiew Evanlyn – długa na cztery metry, falowała z wolna na wiejącej od brzegu bryzie, ukazując czerwonego jastrzębia na białym polu.

Nawet gdyby znak jastrzębia nie został rozpoznany, sama długość chorągwi i jej kształt – była szeroka u drzewca i zwężała się, tworząc na końcu rozdwojenie w kształcie jaskółczego ogona – wskazywał nieomylnie, iż statek wiezie na swym pokładzie przedstawiciela rodziny panującej, co najmniej ambasadora, a może i osobę królewskiej krwi. Svengal rozkazał wciągnąć banderę, kiedy znajdowali się jeszcze w odległości kilometra od brzegu, dając w ten sposób do zrozumienia, że okręt nie ma wrogich zamiarów.

Zalogi kilkunastu statków kupieckich zakotwiczonych w zatoce lub przycumowanych do pomostu chwyciły jednak za broń, gotowe na odparcie ataku ze strony Skandian. Żeglarze w portach tej części świata, jak zresztą w większości pozostałych, wiedzieli aż nazbyt dobrze, czego się mogą spodziewać po Skandianach. Królewska chorągiew na maszcie ich okrętu nie dawała dostatecznej rękojmi, pozwalającej uspokoić podejrzenia.

Smukły, wąski, groźnie wyglądający „Wilczy wicher” minął pierwsze z zakotwiczonych statków, tak właśnie jak wilk przemyka obok stada tłustych, wystraszonych owiec.

–Widzę, że zebrał się komitet powitalny – stwierdził Halt.

Na głównym pomoście biegnącym wzdłuż brzegu zatoki zgromadziło się około pięćdziesięciu ludzi; zbroje i oręż połyskiwały w promieniach słońca. Na maszt wciągnięto zieloną banderę, co było powszechnie przyjętym sygnałem, że zezwala się statkowi na wplynięcie do portu.

Svengal naparł na drzewce steru i skręcił dziób okrętu w tamtą stronę. W rytm komend rzucanych przez siedzącego na dziobie wiosłarza „Wilczy wicher” zbliżał się do przystani.

–Chyba już pora przebrać się w bardziej stosowny strój – uznała Evanlyn.

Znikła pod pokładem w maleńkiej, trójkątnej kabinie na rufie. Było tam tak ciasno, że ledwie mogła stać wyprostowana, ale przynajmniej miała do dyspozycji osobne pomieszczenie, które zapewniało odrobinę intymności. Wyszła po kilku minutach. Skórzany kubrak zastąpiła dłuższym kaftanem uszytym z ciemnoczerwonej satyny pokrytej wyszukany haftem oraz znakiem czerwonego jastrzębia. Szeroki skórzany pas, jak zauważył kątem oka Will, ozdabiała plecionka z rzemyka.

Poza tym Evanlyn pozostała w spodniach i wysokich butach oraz białej jedwabnej koszuli, którą nosiła pod kaftanem. Jasne włosy, pospiesznie uczesane i spięte, zakryła czerwonym kapeluszem o wąskim rondzie, przystrojonym pojedynczym jastrzębim piórem.

Założyła też naszyjnik, którego Will nigdy dotąd nie widział. Ozdobę wykonano z szarych, matowych kamieni, wszystkich tej samej wielkości. Nie sprawiały wrażenia klejnotów, ani nawet kamieni półszlachetnych. Wyglądem przypominały raczej marmur. Uznał, że to pewnie coś w rodzaju talizmanu noszonego na szczęście.

Evanlyn wygładziła kaftan, wyrównała kilka zmarszczek tam, gdzie pas ścisnął go zbyt mocno. Odkasznąła nerwowo.

–Jak wyglądam? – spytała Halta. Skinął głową z uznaniem.

–Odpowiednie połączenie stroju dworskiego i praktycznego – pochwalił. Odpowiedziała mu

przelotnym uśmiechem. Widać było, że jest zdenerwowana.

–Z początku przemawiać będzie Svengal, a także ja. Bo najpierw pojawią się tylko pomniejszej rangi urzędnicy, komendant portu oraz temu podobni – rzekl. – Twoja kolej nadejdzie, kiedy spotkamy się z wakirem. Na razie wystarczy, że przybierzesz arogancką minę i spoglądać będziesz na wszystkich z góry.

Uśmiechnęła się na te słowa, po czym zdała sobie sprawę, że rozradowane oblicze nie odpowiada dopiero co wygłoszonym instrukcjom zwiadowcy, więc natychmiast zadarła głowę i uniosła brwi. Teraz spoglądała na niego władczo, kierując wzrok wzdłuż linii nosa.

–No, jak? – spytała. Wydało jej się, że pod kapturem zwiadowcy dostrzegła coś na kształt uśmiechu.

–Doskonale. Myślałby kto, że mam do czynienia z jakąś księżniczką.

–Nie rozśmieszaj mnie, bo każę cię wychłostać – oznajmiła wyniośle. Halt pokiwał głową.

–Jesteś aż nazbyt pojętna – stwierdził.

Tymczasem okręt przybijał już do nabrzeża. Svengal, który potrafił manewrować w porcie nie gorzej niż na pełnym morzu, zbliżył się szybko i dopiero w ostatniej chwili

wykrzyknął komendę, po której wiosłarze naporli na drzewca w przeciwnym kierunku, dzięki czemu okręt wytracił niemal całą prędkość.

–Wiosła! – wrzasnął. Ociekające wodą pióra uniosły się, najpierw wiosła ustawiono do pionu, a potem z głośnym łomotem ułożono je na pokładzie.

Okręt płynął siłą bezwładu jeszcze przez kilka metrów. Znajdowali się teraz pod kątem około trzydziestu stopni do pomostu. Jeden z członków załogi rzucił z dziobu linę. Arydzki robotnik portowy chwycił ją zręcznie.

Po kilku sekundach następna cuma wyleciała w powietrze, tym razem od strony rufy. Ją również pochwycono. Teraz „Wilczy wichur” poruszał się tylko dzięki sile mięśni ludzi ciągnących liny. Skandianie wywiesili wiklinowe odbojniki, by uchronić burtę przed zderzeniem z twardym, kamiennym pomostem. Obie cumy owinięto na pacholkach, mocując okręt; kołysał się już tylko leciutko, czemu towarzyszyło skrzypienie wikliny.

Reling „Wilczego wichru” znajdował się około metra poniżej górnej powierzchni pomostu. Evanlyn chciała ruszyć w kierunku burty, ale Halt powstrzymał ją półgłosem:

–Najpierw muszą nas zaprosić na brzeg! Na razie czekaj, nie ruszaj się z miejsca oraz wyglądaj dostojnie.

Zbrojni, których oglądali przedtem z daleka, ustawili się obecnie w dwóch szeregach wzdłuż nabrzeża, twarzami do okrętu. Tarcze trzymali w pogotowiu, dłonie czekały, oparte o rękojeści szabel. Przed szereg wystąpił oficer, od razu ruszając w stronę przybyłych. Svengal rozpoznał go.

–Ten strojny kogucik schwytał nas w zasadzkę na rynku – oznajmił – jak mu się zdawało – szeptem.

Halt spojrzał krzywo na Svengala.

–Na pewno miło mu słyszeć taki komentarz – mruknął.

Wysoki arydzki wojownik zatrzymał się kilka kroków od krawędzi pomostu. Halt przyglądał się uważnie. Szybko doszedł do wniosku, że jest to człowiek, z którym należy się liczyć. Biła odeń pewność siebie; Halt wyczuł, że ów osobnik niełatwo dałby się zwieść. Stał przed nimi człowiek świadomy własnych czynów i ich konsekwencji, który dokładnie wie, o co



mu idzie. I bez zmruczenia oka gotów jest usunąć ze swej drogi każdego, kto zechciałby mu się przeciwstawić.

Aryda pozdrowił ich na pustynny sposób, dotykając prawą dłonią ust, potem czoła i znowu ust. Gest ten wywodził się ze znanego Haltowi starego powiedzenia, popularnego pośród tutejszych plemion: „Posilimy się razem. Razem rozważymy problemy. Omówimy je wspólnie”.

Grzeczność oraz protokół wymagały, by odpowiedzieć takim samym gestem, lecz Skandianin o tym nie wiedział. Machnął ręką w nieudolnej parodii pełnego wdzięku powitania Arydy.

–Powróciłeś zatem, przybyszu z Północy. – Słowa te wypowiedział głos głęboki, nawykły do rozkazywania, a przy tym spokojny. No i – znamionujący obycie. Właściciel głosu opanował sztukę wysławiania się w sposób donośny, lecz bez krzyku.

–Wróciłem po oberjarla – wyjaśnił prostodusznie Svengal.

Nie należał do ludzi dbających o wykwintne formy, nie owijał spraw w bawelnę. Aryda uśmiechnął się.

–Svengal, nieprawdaż?

Svengal popatrzył na niego spode łba.

–Zgadza się. Tak. Ale ja nie wiem, z kim mam do czynienia. – Czuł się niezręcznie, bowiem tamten stał wyżej, więc Skandianin, pomimo słusznego wzrostu, musiał spoglądać nań w górę. Swoją drogą zastanawiał się, skąd Arydzi znają jego imię. Uznał, że pewnie dowiedzieli się od Eraka, bowiem podczas poprzedniego spotkania nie doszło do prezentacji. Svengal oraz cała załoga trzymeni byli w odosobnieniu. Pozbawieni zostali kontaktu z Erakiem aż po dzień, w którym ich uwolniono. Właśnie wtedy oberjarl poinstruował Svengala, jak ma postąpić w sprawie okupu.

–Moi ludzie zwą mnie Seley el'then – przedstawił się Aryda. – Cudzoziemcom łatwiej skrócić to imię do „Selethen”. Jestem kapitanem Gwardii Arydzkiej.

–Aha... Miło mi – odrzekł zmieszany Svengal. Pamiętał ten jakże wytworny zwrot z dawno minionych lat młodości, kiedy usiłowano wbić mu do głowy zasady dobrego tonu. Miał wrażenie, że użył właściwej frazy. Twarz Selethena pozostała nieprzenikniona, ale Will dałby głowę, że dostrzegł w ciemnych oczach błysk rozbawienia.

–Nie spodziewaliśmy się was z powrotem tak prędko – rzekł Selethen. Wskazał długą chorągiew powiewającą na wietrze. – Ani też pod takim znakiem. To chyba niemożliwe, byś zdążył dopłynąć do swego kraju i znów tutaj? Czyja to chorągiew wisi na maszcie twojego okrętu?

Halt uznał, że czas już, by ktoś udzielił Svengalowi wsparcia. Skandianin był mistrzem żeglugi i nieustraszonym wojownikiem, natomiast jego umiejętności w dziedzinie negocjacji ograniczały się do wymachiwania toporem i wrzasku: „Dawać wszystko, co macie”. A tym razem koniecznie należało wykazać się subtelniejszym podejściem do sprawy...

–Kapitan Svengal zalicza się do przyjaciół rodziny królewskiej Araluenu – rzekł, wystąpiwszy krok do przodu. Mówiąc to, zsunął z głowy kaptur, tak, że jego twarz i rysy wychynęły z cienia. – Chorągiew, którą widzisz, kapitanie, to sztandar królewskiej rodziny Araluenu. Należy zaś do tu obecnej mej pani.

Sklonił się w kierunku Evanlyn, która czyniła wszystko, by przybrać wygląd zarazem obojętnej i wzgardliwej. Aryda zerknął na nią bystro, toteż uznała, że wyniosłe potrząśnięcie

głową będzie w sam raz. Uczyniła to, a Selethen znów skierował spojrzenie na Halta.

–A twoja pani jest...? – zawiesił głos pytająco.

–Moja pani jest gotowa negocjować warunki uwolnienia oberjarla z twoim przywódcą – Halt gładko wszedł mu w słowa. – Bowiem Erak także pozostaje w przyjaźni z królewską rodziną Araluenu.

Uznał, że najlepiej się stanie, jeśli arydzki kapitan na razie pogрузy się w domysłach co do prawdziwej tożsamości i pozycji Evanlyn. Mogło to zadziałać na ich korzyść, a poza tym nie widział powodu, by przedstawiać królową byle oficerowi.

Selethen zamilkł na kilka sekund. Wyraźnie nie takiego obrotu spraw się spodziewał. Jednak jego twarz starannie skrywała zaskoczenie, choć przecież równocześnie dokonywał błyskawicznej oceny sytuacji. Przeciwnie, malował się na niej wyraz niczym niezmaconego spokoju. Po chwili odezwał się znowu:

–Ubolewam nad tym, ale wakir jest dziś zajęty – rzekł, po czym zwrócił się powtórnie do Svengala: – Jak już mówiłem, nie spodziewaliśmy się tak rychłego waszego powrotu. Chyba że... – urwał.

–Chyba że co? – zainteresował się Svengal.

Aryda przepaszającym gestem rozłożył dłonie.

–Chyba że spotkałeś po drodze swoich współplemieńców i powróciłeś tu, aby odbić swojego oberjarla siłą – dokończył.

Svengal mruknął gniewnie.

–Nic podobnego nie przyszło mi na myśl.

Teraz każdy z pewnością zauważył uśmiech na ciemnej twarzy Selethena.

–Dałbym głowę, że przyszło. Mimo wszystko, jak już wspomniałem, zorganizowanie spotkania z wakirem w tak krótkim czasie jest niemożliwie. Postaram się go powiadomić,

ale

nastąpi to nie wcześniej niż jutro.

Halt skinął głową.

–Zaczekamy do jutra – zawahał się. – A może moglibyśmy spotkać się tymczasem z oberjarlem Erakiem?

Nim dopowiedział zdanie do końca, Selethen już kręcił przecząco głową.

–Niestety, tego również nie da się zrobić. Pragnąłbym natomiast zaoferować damie wygodną kwaterę; może w niej odpocząć do jutra. Mamy tu gospodę, która z pewnością zapewnia więcej wygód niż okręt skandyjskich piratów.

Wskazał spory piętrowy budynek wznoszący się opodal nabrzeża. W przeciwieństwie do topornych, masywnych portowych magazynów ustawionych wzdłuż brzegu, ten budynek wyposażono w szerokie drzwi, a piętro zaopatrzone w okna i nawet w balkony.

–Znajdzie się tam dość miejsca dla twojej pani oraz jej najbliższej świty – oznajmił. – Obawiam się jednak, że załoga okrętu będzie musiała pozostać na pokładzie.

Z jego spokojnego tonu łatwo dawało się wywnioskować, że ta obawa nie spędza mu bynajmniej snu z powiek. Halt wzruszył ramionami. Trudno się dziwić, żadne miasto nie życzyłoby sobie jako gości trzydziestu po zęby uzbrojonych Skandian. Co więcej, był przekonany, że arydzcy żołnierze zgromadzeni na przystani pozostaną na straży przez całą noc, by mieć na nich oko.

–Jak dla mnie, może być – stwierdził burkliwie Svengal. On także wcale nie miał zamiaru pozostawiać w porcie pustego okrętu, pozbawionego obrońców – zwłaszcza że chodziło o port wrogi. Wolał, by jego ludzie pozostali na pokładzie „Wilczego wichru”. Każdy Skandianin, schodząc na brzeg, zawsze pamiętał o swym okręcie, jako że w ich łupieżczym rzemiośle najczęściej morze było jedyną drogą ucieczki.

–Zechciejcie, proszę, pójść za mną. – Arydzki kapitan wskazał im gospodę i już miał się odwrócić, kiedy powstrzymał go ostry głos Evanlyn:

–Kapitanie Seley el'then! Czy aby o czymś nie zapomniałeś?

Odwrócił się, nie tylko pod wrażeniem władczego tonu, lecz także faktu, iż od pierwszego razu bezbłędnie zapamiętała jego imię w pełnym brzmieniu. Skłonił się nisko.

–Tak, pani? – spytał.

Evanlyn podeszła do burty, ukazując mu dłoń z wielkim sygnetem na serdecznym palcu.

–Zechcesz zapewne przekazać moją pieczęć swojemu wakirowi, nim zgodzi się ze mną spotkać?

I tym razem bezbłędnie wymówiła obce słowo, dodając tytułowi wakir lekki gardłowy przydźwięk. Selethen skłonił się powtórnie i wyciągnął z sakwy u pasa małe pudełeczko, w jakim przechowuje się czasem pierścienie. Wykonano je z lśniącego hebanu. Uchylił wieczko.

–Oczywiście, pani – zgodził się i podał puzderko Haltowi, który przekazał je z kolei Evanlyn. Księżniczka przycisnęła herb do miękkiego wosku, pozostawiając wyraźny odcisk sylwetki jastrzębia. Zatrzasnęła wieczko, oddała puzderko Haltowi. Zwiadowca wręczył je Selethenowi, ten zaś schował niewielki przedmiot na powrót do sakwy. – Czy teraz zechcecie udać się do swoich kwater? – spytał Aryda.

Halt z Gilanem wspięli się na pomost, a Selethen cofnął się o kilka kroków, by im to umożliwić. Odwrócili się, obaj wyciągnęli ręce do Evanlyn, która podążyła zręcznie ich śladem. W następnej chwili do świty dołączył Will oraz Horace. Potem na brzeg wyszedł jeszcze Svengal, nie omieszkawszy jednak przedtem udzielić Axelowi kilku słów instrukcji, streszczających się do tego, by nie wpuszczał na pokład nikogo obcego.

Selethen zmierzył wzrokiem trzy okryte szarozielonymi płaszczami postacie, uzbrojone w potężne długie łuki zarzucone na ramię.

Dziwne, pomyślał. Muszę się wywiedzieć o nich czegoś więcej.

Rzucił półgłosem rozkaz; grupka dziesięciu żołnierzy oddzieliła się od oddziału pełniącego straż na nabrzeżu i ruszyła przodem ku gospodzie w charakterze zbrojnej eskorty. Gdy Horace mijal Selethena, obaj wojownicy wymienili spojrzenia; każdy z nich rozpoznał podobnego sobie. Selethen docenił szerokie bary, wąskie biodra i sprężysty krok, a także długi miecz u boku Aralueńczyka.

Co do tego cudzoziemca nie ma dwóch zdań, pomyślał Selethen. Bylby z niego groźny przeciwnik.

W tej samej chwili Horace omiół wzrokiem smukłą, lecz masywną budowę Arydy, rzuciwszy też okiem na długi zakrzywiony miecz u boku Selethena.

Nielatwa byłaby z nim sprawa, pomyślał.

Obaj mieli słusność.

## ROZDZIAŁ 16

Gospoda w istocie okazała się wygodna. Co prawda ludzie Selethena pozostali na straży, ale gościom pozwolono opuścić budynek, gdyby przyszła im ochota odbyć spacer. Zapowiedziano jednak, by nie oddalali się zbyt daleko.

Podano jedzenie oraz napoje – czyli soki owocowe, a także wodę. Posiłek smakował doskonale. Składał się z serwowanego na zimno pieczonego ptaka, zielonej sałaty przyprawionej cytrynowym sosem o wyrazistym smaku oraz świeżego pieczywa. Horace oderwał nogę ptaka i wepchnął do ust spory kawałek podplomyka.

–Całkiem niezłe – stwierdził zadowolony. – Jak na więźniów, dobrze nam się wiedzie.

–Nie jesteśmy więźniami – przypomniał mu Halt. – Jesteśmy posłami, pełniącymi dyplomatyczną misję.

–Wciąż o tym zapominam – przyznał Horace, odrywając kolejny kawałek podplomyka. Halt cofnął się szybko, by uniknąć okruszków, które się przy tym posypały.

Młody rycerz zainteresował się tymczasem leżącym przed nim na talerzu

rozcłonkowanym

ptakiem. Przyjrzał się jego kawałkom. – Nie ma więcej nóg? – spytał, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

–Kiedy pojawią się kury o czterech nogach – stwierdził Will – Horace będzie wreszcie w siódmym niebie.

Horace uznał pomysł za wyśmienity.

–Czworonogie kury? – stwierdził. – Niegłupia myśl. Trzeba pogadać z mistrzem Chubbem, na pewno go to zainteresuje.

Znalazł drugą nogę. Nie tracąc czasu, wbił w nią zęby. Gilan przyglądał się młodemu rycerzowi z niejakim zainteresowaniem.

–Nie przypominam sobie, żeby tak się obżerał, kiedy byliśmy razem w Celtii – skomentował.

Horace zaśmiał się.

–Bo w Celtii nie mieliśmy zbyt wiele do jedzenia – rzekł. – A poza tym czułem się trochę onieśmielony i załęknioty, gdyż znalazłem się w kompanii tajemniczych, groźnych zwiadowców.

–Wygląda na to, że już się ich nie lękasz? – spytała Evanlyn.

Przecięła brzoskwinę na pół. Owoce mają tu naprawdę doskonale – pomyślała. – Może wynika to z tutejszego gorącego klimatu.

–Ani trochę – oznajmił Horace. Teraz się śmiał, ale swoją drogą doskonale pamiętał czasy, kiedy naprawdę czuł się bardzo niepewnie w obecności zwiadowców – najpierw podczas wyprawy z Gilanem i Willem do Celtii, a potem podczas wędrówki przez Gallię,

gdy

towarzyszył Haltowi. Aż dziw, że teraz zaliczali się do jego najbliższych przyjaciół. – Od tamtej pory nabrałem rozumu. Halt okazał się niegroźny jak małe kocię – dodał.

Will oraz Gilan parsknęli, usiłując powstrzymać wybuch śmiechu. Halt uniósł z lekka jedną brew, spoglądając na rozbawionego młodzieńca.

–Małe kocię, tak? – powtórzył.

Svengal przysłuchiwał się tej wymianie zdań z wielkim zainteresowaniem. Teraz

przyłaczył się, wtrącając rubasznym tonem:

–Chyba raczej wyleniały stary kocur – zawołał.

Miażdżące spojrzenie Halta natychmiast spoczęło na potężnej postaci Skandianina, który jednak wcale nie poczuł się zdruzgotany.

–Jak widzę, wszystkim tu bardzo wesoło – rzekł Halt. – Cóż, ja idę spać.

I wycofał się z pola bitwy, starając się ocalić resztki godności. Nie wypadł zbyt przekonująco.

\*\*\*

Śniadanie podano następnego ranka na wewnętrznym dziedzińcu gospody, godzinę po wschodzie słońca. Powietrze było wciąż rześkie od morskiej bryzy, lecz wyczuwało się już zapowiedź upalnego dnia.

Trzej zwiadowcy ku swej radości odkryli, że pośród talerzy z kromkami chleba, pokrojonymi na plasterki owocami, konfiturami z owoców i dzbankami z sokiem, znalazł się też imbryk pełen aromatycznego, czarnego napoju.

–Kawa! – stwierdził Gilan z uznaniem. Od razu napelnił kubek. Nie zabrakło też brązowego cukru dla osłody, nasypał go więc sobie szczerze. Halt oraz Will także nie omieszkali poczęstować się kawą. Patrząc na nich, Evanlyn pokręciła głową z niedowierzaniem.

–Gdyby ktoś chciał schwytać was trzech w pułapkę – stwierdziła – na przynętę wystarczyłby zwykły dzbanek kawy.

Will przytaknął:

–A jakże. Z przyjemnością dalibyśmy się skusić – przyznał, po czym zauważył: – Ta kawa jest naprawdę wyśmienita.

–Nic dziwnego – stwierdził Halt, odchylając się w krzesło i kładąc obute stopy na niskim stoliku. – To właśnie Arydzi jako pierwsi nauczyli się ją przyrządzać. Jak wam się spało?

Prawdę rzekłszy, wszyscy mieli za sobą noc raczej niespokojną, bo odwykli już od łóżek, które nie kołysały się rytmicznie. Jednak materace były miękkie, a sypialnie chłodne i dobrze przewietrzane. Rozmawiali właśnie o zjawisku, które Svengal nazwał „bujaniem lądowym”, czyli odczuciach, jakie towarzyszą zwykle zejściu na ląd po dłuższej żegludze, kiedy na dziedzińiec wszedł jeden ze służących i skłonił się przed Haltem.

–Przybył kapitan Seley el'then, panie.

–Poproś – polecił Halt, zdejmując nogi ze stołu. Wstał, by powitać arydzkiego oficera. Tak jak poprzednio, Selethen uczynił dłonią gest powitalny, dotykając nią ust, czoła i znowu ust.

–Witaj, pani. Witajcie, panowie. Czy zadbano o was należycie?

Halt odpowiedział takim samym ruchem dłoni i wskazał kapitanowi siedzisko.

–Ależ tak, kapitanie. Posiłki są doskonałe, a łóżka wygodne. Może zechcesz poczęstować się kawą? – zaproponował, lecz Selethen pokręcił głową.

–Niestety – wyraził swe ubolewanie – czekają na mnie obowiązki – i dodał, zwracając się do Svengala: – Twoi ludzie dostali śniadanie, zapewniam. Nie musisz tego sprawdzać.

Svengal skinął głową. Wieczorem poprzedniego dnia udał się na okręt, by upewnić się, czy jego podwładni zostali odpowiednio nakarmieni. Miał oczywiście własne zapasy na pokładzie, ale uważał, że skoro jego wojownicy przybyli do Arydii z oficjalnym poselstwem, należą im się darmowe posiłki.

–Dziękuję – mruknął.

Selethen przemówił teraz do Halta i Evanlyn:

–Jego jasność wakir będzie zaszczycony, jeśli zechcecie go odwiedzić o dziesiątej godzinie – oznajmił.

Evanlyn spojrzała niepewnie na Halta, który dyskretnym ruchem dłoni dał jej znak, żeby zabrała głos.

–To nam odpowiada – stwierdziła księżniczka.

Selethen skłonił się z uśmiechem.

–Zaprowadzę was – powiedział. – Powrócę tu piętnaście minut przed dziesiątą. Proszę, bądźcie wtedy gotowi.

Evanlyn nie odpowiedziała, tylko odwróciła wzrok z obojętnym wyrazem twarzy. No tak, uświadomił sobie Will. Królowom nie wydaje się rozkazów.

–Będziemy gotowi – zapewnił Halt.

Raz jeszcze wymienili gest arydzkiego pozdrowienia z Selethenem, który cofnął się kilka kroków tyłem, nim odwrócił się i odszedł. Obserwując to wszystko, Horace stwierdził z podziwem, że Halt doskonale potrafi odnaleźć się w takich sytuacjach. Podzielił się tym wrażeniem z Willem, gdy obaj powrócili do wspólnie zajmowanego pokoju. Zdziwił się nieco, gdyż odpowiedź jego przyjaciela zabrzmiała nad wyraz ponuro:

–No, właśnie. Jest niezrównany, prawda? – rzekł Will. – Zawsze wie, co zrobić i co powiedzieć.

Horace popatrzył na Willa ze zdumieniem, zastanawiając się, czemu jest w takim złym humorze. Nie mógł wiedzieć, że Will porównywał siebie samego do nauczyciela, a porównanie to nie wypadło dla niego najlepiej. Will znów rozpamiętywał kwestię, czy kiedykolwiek zdoła sprostać wymaganiom, jakie stawiane są przed pełnoprawnymi zwiadowcami.

\*\*\*

Kwadrans przed zapowiedzianym przybyciem Selethena Halt wezwał Willa i Gilana do swojego pokoju.

Zaciekawieni, o co też może mu chodzić, poszli za nim. Jak się okazało, rzecz dotyczyła nieoczekiwanej, a bardzo przydatnej zmiany w ich wyposażeniu.

–Zostawcie tu wasze płaszcze – polecił Halt. On także wyzbył się standardowego okrycia. – Te, które zwykle nosimy, uszyto z myślą o klimacie panującym w Araluenie, nie tutaj, w Arydii. Co więcej, nie ma tu zbyt wiele lasów i zieleni.

Słusznie, pomyślał Will. Płaszcze pokryte zielono-szarym wzorem zapewniały idealny kamuflaż w rodzimym krajobrazie, gdzie żyzne ziemie porastała bujna roślinność -tymczasem tutaj znaleźli się na terenach niemal pustynnych, wypalonych słońcem. Mało tego, ciężkie wełniane płaszcze stanowczo nie sprawdzały się w arydzkich skwarach. Stanowiły jednak część zwiadowczego uniformu, toteż Will niechętnie pozbywał się swojego.

Halt otworzył tymczasem pakunek, który przyniósł z okrętu. Wyjął z niego poskładane okrycie i podał je Gilanowi.

Był to płaszcz, zwiadowczy płaszcz z kapturem. Jednak Will zauważył, że zamiast zielonoszarego wzoru, do którego był przyzwyczajony, ten zabarwiono na różne odcienie jasnego brązu. Gdy zaś Halt podał mu drugie takie samo okrycie, zdał sobie sprawę, że płaszcz wykonany został nie z wełny, a z grubego płótna.

**–Letni sort – wyjaśnił Halt. – Nie grzeje tak podczas upału i znacznie lepiej się sprawdza, kiedy trzeba skryć się w tutejszych piaskach.**

**Gilan zarzucił już swój płaszcz na ramiona. Przyjrzał mu się. Był pod wrażeniem, bowiem okrycie okazało się znacznie wygodniejsze niż ciężki i zbyt ciepły płaszcz, który odwiesił na oparcie krzesła. Will także przywdział swój; i od razu poczuł się w nim swobodnie.**

**–Skąd je wzięłeś? – spytał.**

**Halt zerknął na niego porozumiewawczo.**

**–Wiesz, bywaliśmy już w tych okolicach – stwierdził. – Gdy Crowleya doszła wieść, że wybieramy się do Arydii, dopilnował, by kwatermistrze z Zamku Araluen zadbali o stosowny ekwipunek dla nas.**

**Odczekał chwilę, bo Gilan z Willem próbowali przejrzeć się w małym lusterku zawieszonym na ścianie. Mościli się w nowym okryciu i przyglądali się sobie wzajemnie, oswajając się z nowym zabarwieniem uniformu oraz próbując sobie wyobrazić, jak ten strój będzie się prezentował w charakterze maskowania na tle skalistej pustyni otaczającej Al Shabah.**

**–Dosyć tego dobrego, moje panie – rzekł. – Pokaz mody uważam za skończony. Czas udać się na spotkanie z wakirem.**

## ROZDZIAŁ 17

Aralueńska delegacja w eskorcie kilkunastu arydzkich wojowników podążała za Selethenem ku centralnej części miasta, gdzie znajdował się khadif, oficjalna rezydencja wakira.

W miarę jak oddalali się od przystani i kojącego podmuchu rześkiej morskiej bryzy, robiło się coraz goręcej. Powietrze było suche i rozpalone, toteż trzech zwiadowcy cieszyli się, że mają do dyspozycji lepsze okrycia.

Trzej zwiadowcy, Horace i Evanlyn patrzyli wprost przed siebie, jak przystało na uczestników oficjalnego poselstwa. Tymczasem Svengal, za nic mając pozory, rozglądał się ciekawie dookoła, próbując zorientować się w topografii miasta. Co prawda zbliżali się do centralnego placu z przeciwnej strony, niż zdarzyło mu się to uczynić kilka tygodni wcześniej pod dowództwem Eraka, ale i tutaj domy wyglądały tak samo. Uliczka była wąska i kręta, budynki pobielone wapnem, wszystkie podobne do siebie, o płaskich dachach. Od czasu do czasu w oknach lub na balustradach balkonów pojawiały się zaciekawione brązowe twarze, bez wątpienia zwabione łoskotem stóp o wybrukowaną nawierzchnię.

Przyglądając się mijanym domom, Svengal stwierdził, że w ich ścianach jest niewiele okien czy drzwi balkonowych wychodzących na ulicę. Zrozumiał teraz, że podobnie jak w ich gospodarstwie, życie toczyło się wewnątrz, na ocienionym centralnym dziedzińcu, gdzie mieszkańcy mogli znaleźć wytchnienie od palących promieni słońca.

Po jakimś czasie znaleźli się na otwartej przestrzeni rynku. Wychodząc z wąskiej ulicy na wyłożony kamiennymi płytami plac, Svengal zauważył drewniane zapory umocowane w ścianach po obu stronach. Najwyraźniej znajdowały się tu na stałe. Szkoda, że nikt z naszych nie zauważył ich poprzednim razem – pomyślał – bo może wówczas zdalibyśmy sobie sprawę, do czego służą.

Selethen poprowadził ich przez plac. Fontanna, którą Svengal zauważył już podczas poprzedniej bytności, tryskała teraz wodą, czemu towarzyszył dźwięczny plusk.

Swoją drogą, wcale ciekawe, że już sam dźwięk cieknącej wody zdaje się dawać ochłodę w panującym skwarze, stwierdził. Już miał podzielić się swą obserwacją z pozostałymi, kiedy nagle zauważył – co przedtem uszło jego uwadze – jak uroczyste i oficjalne stroją miny. Przyszło mu więc do głowy, że może to nie najstosowniejsza pora na beztrioskie pogawędki.

Znaleźli się teraz w chłodnym cieniu tarasu za kolumnadą. Tym razem potężne wrota z mosiężnymi okuciami były otwarte. Selethen stanął z boku, wskazując im gestem, by szli przodem. Jego podwładni stanęli na baczność po obu stronach drzwi, tworząc szpaler.

Evanlyn przekroczyła bramę jako pierwsza, krok za nią postępował Halt, następnie, ramię w ramię, Gilan, Will oraz Horace; Svengal, który nieco się zagapił, pospieszył, by nie zostać w tyle i o mało nie wpadł na Horace'a.

–Nieźle się tu urządzili – stwierdził.

Horace uśmiechnął się w odpowiedzi.

Po oślepiającym blasku, jaki panował na zewnątrz, nim oczy przywykły do półmroku, we wnętrzu wydawało się całkiem ciemno. Panował tu także miły chłód.

Znaleźli się sami w obszernej sali, najwyraźniej było to pomieszczenie audiencyjne. Po bokach otwierał się widok na kolejne komnaty i galerie na piętrze, z których prowadziły jakieś



drzwi, zapewne do dalszych pomieszczeń. Centralna komnata wznosiła się na dwie kondygnacje, aż po dach, w którego sklepieniu urządzono otwory wpuszczające do wewnątrz światło. Nie padało ono bezpośrednio, lecz sączyło się do środka z zaciemionych, przeszklonych świetlików.

Ściany pokrywała wszechobecna biel, natomiast podłogę wyłożono ozdobną mozaiką, w której dominował jasny błękit. Chłodna barwa wzmagala wrażenie kojącego chłodu.

Naprzeciwko wejścia znajdowało się niewysokie podwyższenie i to właśnie tam wakir przyjmował hołdy oraz delegacje. Pośrodku stało wysokie drewniane krzesło, misternie rzeźbione, pokryte bogatymi złoceniami. Po bokach stały niskie ławeczki przeznaczone dla gości.

Evanlyn postąpiła kilka kroków, po czym zatrzymała się, czekając na dalszy rozwój wypadków. Patrzyła wprost przed siebie, wiedząc, że byłoby błędem, gdyby w tej chwili zwróciła się do Halt o radę. Z pewnością obserwowano ich, nie mogła więc okazać braku pewności siebie, to bowiem groziło osłabieniem jej pozycji w trakcie rozmów. Wiedziała zresztą, że gdyby Halt pragnął jej coś podpowiedzieć, zdołałby to uczynić w dyskretny sposób. Tymczasem zatrzymał się tylko krok za nią, po jej prawej stronie. Inni zatrzymali się także.

Obok pojawił się Selethen. Rzekł półgłosem:

–Wakir przybędzie za chwilę.

Wskazał gestem podium, dając w ten sposób znak, żeby tam zaczekali, aż wakir raczy się pojawić.

–Postoimy tutaj – odparła Evanlyn czystym, doniosłym głosem. – A gdy się zjawi, dołączymy do niego.

Halt wyraził aprobatę niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy. W grę wchodziła kwestia protokołu, a co więcej – godności. Jeszcze na okręcie rozważali kwestię tutejszej hierarchii. Wakir był miejscowym władcą, którego władzy podlegała cała prowincja Al Shabah, a jego suweren, emrikir, władał całą krainą. Tym samym posiadał rangę tożsamą z rangą barona w królestwie Araluen. Jako że Al Shabah zaliczało się do ważniejszych miejscowych prowincji, także wakir Al Shabah miał niepoślednie znaczenie, porównywalne do rangi barona Aralda.

Jednakże Cassandra, jako księżniczka krwi, górowała pozycją nad jakimkolwiek lokalnym wielmożą. Nie uchodziło więc żadną miarą, by czekała, stojąc, na zwlekającego z przybyciem wakira. Rzecz jasna, jako osobistość dowodząca poselstwem, winna była okazać mu niejakię uszanowanie. Nie uchodziło na przykład, by nalegała na jego przybycie do gospody.

Zatrzymała się więc w pół drogi, tuż za wejściem do sali audiencyjnej, by nie narazić na szwank własnej godności, a zarazem dać dowód uszanowania wobec cudzoziemskiego dostojnika. Halt zerknął na arydzkiego kapitana. Odniósł wrażenie, że on także z uznaniem przyjął odpowiedź królowy. Wyglądało, że jest świadkiem swoistej rozgrywki stanowiącej dla Evanlyn sprawdzian pewności siebie i jej poczucia własnej wartości. I że prawdopodobnie nie na tym koniec owej próby.

–Powiadomię jego jasność – oznajmił Selethen.

Tym razem Halt był pewien, że gdy wysoki wojownik odchodził, na jego ciemnej twarzy widniał dyskretny uśmiech. Zniknął w jednych z wielu bocznych drzwi. Prawdopodobnie prowadziły do kularów i galerii biegnących wzdłuż budynku, a także do rozmaitych gabinetów

oraz pomieszczeń zajmowanych przez ludzi wakira.

Teraz, gdy zostali sami, uznał, że nastąpiła odpowiednia chwila, by utwierdzić Evanlyn w przekonaniu, iż zachowała się odpowiednio.

–Dobrze rzecz rozegrałaś – rzekł półgłosem.

Odwróciła się do niego tylko odrobinę, nie na tyle, by spojrzeć w kierunku zwiadowcy, ale zdołał ujrzeć z półprofilu jej dyskretny uśmiech.

–Nie bardzo wiedziałam, jak mam postąpić – odparła szeptem.

–Ufaj swojemu instynktowi – poradził. Przyszło mu na myśl, że dziewczyna wypada w tej roli znacznie lepiej, niż jej się wydaje. Bądź co bądź, spędziła niemal całe swoje życie u boku Duncana, a przy tym jest bystra i pojętna. – Kiedy ogarną cię wątpliwości – dodał – stań się wyniosła i pompatyczna.

–Nie rozśmieszaj mnie, Halt – mruknęła. – Wyłażę ze skóry, żeby godnie wypaść, a ty sobie kpisz.

–Świetnie sobie radzisz – zapewnił.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi po lewej stronie, w odległym kącie komnaty i wkroczyło przez nie kilku mężczyzn. Ten, który szedł na ich czele, z pewnością był wakirem.

Will spodziewał się ujrzeć kogoś o bardziej okazałej prezencji. Jak dotąd miał do czynienia tylko z Selethenem i jego żołnierzami. Wszyscy smukli i wysocy, sprawiali wrażenie groźnych, dumnych wojowników. Tymczasem sam wakir wyglądał niczym urzędnik – jak hilfmann – pomyślał, wspominając znienawidzonego doradcę na skandyjskim dworze.

Wakir był o dobrą głowę niższy od wszystkich członków swej świty. Selethen, który jako zwykły kapitan gwardii podążał na szarym końcu, przerastał go o półtorej głowy. Mało tego, wakir odznaczał się dość okazałą tuszą. Nie, do licha, poprawił się w myślach Will. On jest po prostu tłusty jak prosię! Widać to było aż nadto wyraźnie, pomimo obszernej szaty, jaką przywdział ów dostojnik. Jego twarz pod zbyt wielkim turbanem zdawała się ulepiona z miękkiej gliny – przez rzeźbiarza, który tworzył w zbyt dużym pośpiechu, a zamiast nosa przykleił pośrodku niewyrobiałą grudę mało szlachetnej materii. Wakir rozejrzał się wokół, raczej niepewnie, ujrzał aralueńską delegację, podrapał się po plecach i zajął miejsce na rzeźbionym w wyszukane wzory tronie. Zaraz też musiał poprawić się i sięść płyciej, bo jego krótkie nogi nie sięgały ziemi. W przeciwnym razie dyndałyby, niczym nogi dziecka, jakieś pięć centymetrów nad polerowanymi deskami wyniesienia.

–Istny olbrzym, no nie? – mruknął Horace.

–Zamknij się – odpowiedział uprzejmie Halt.

–Jak dzieci, jak dzieci! – Evanlyn udzieliła im kpiącej, choć prawie bezgłośnie nagany. Will patrzył na nią z prawdziwym podziwem. Stała wyprostowana, pewna siebie.

Zachowywała się w nader przecież niezręcznej sytuacji zupełnie tak, jakby prezencję miała we krwi, jakby z mlekiem matki wyssała zdolność przeprowadzania wszelkich dworskich rozgrywek. W następnej chwili zdał sobie sprawę, że przecież właśnie urodzenie przygotowało ją do tej roli. Dopiero wtedy w pełni zrozumiał sens słów wypowiedzianych wcześniej przez Halta: „Myślałby kto, że mam do czynienia z jakąś księżniczką”. Przez

chwilę nie mógł oprzeć się gorzkiej refleksji, iż – w przeciwieństwie do niej – on sam czuje się w wypełnianej aktualnie roli zupełnie nie na miejscu. Ale wtedy Evanlyn postąpiła w stronę podium, zatem bez zwłoki pospieszył, by nadążyć za pozostałymi.

Odgłos ich kroków na wyłożonej kaflami podłodze odbijał się echem od nagich ścian, gdy zmierzali ku tronowi wakira. Evanlyn zatrzymała się znów tuż przed prowadzącymi na nie stopniami, czekając, by ją zaanonsowano.

Selethen wystąpił; znalazł się teraz między nią a wakirem.

–Wasza jasność, oto księżniczka Cassandra, następczyni tronu Araluenu. Księżniczko, oto jego jasność Aman Sh'ubdel, wakir oraz władca prowincji Al Shabah.

Evanlyn schyliła głowę w pokłonie. Co prawda lord Anthony zapewniał ją, że wedle ścisłych nakazów protokołu w takiej sytuacji kobieta winna dygnąć, ale odparła mu na to, że prędzej skona.

–Wasza jasność – rzekła, nie unosząc głowy jeszcze przez kilka sekund, a potem spojrziała na niego.

Wakir gestem dał znać, by podeszła, a kiedy wstąpiła na niski podest, powiedział:

–Zechciej usiąść, o pani.

Evanlyn zamarła w pół kroku.

–Jestem księżniczką krwi i następczynią araluńskiego tronu, wasza jasność. Z tej racji należy się do mnie zwracać słowami „wasza wysokość” albo, jeśli to nie odpowiada obyczajom Arydii, „księżniczko Cassandro”. Tak wystarczy.

Dzielna mała, pomyślał Halt, choć jego twarz pozostała równie nieprzenikniona jak zawsze.

Odpowiedź wyraźnie wprawiła wakira w zakłopotanie. Zerknął nerwowo na bok, akurat w stronę Selethena. Czyżby szukał oparcia w kapitanie swej straży? – zdziwiła się w duchu Evanlyn. Kusilo ją, żeby zerknąć ukradkiem na arydzkiego wojownika i przekonać się, jak na to zareagował, ale dobre maniery, no i protokół, nakazywały, by nie spuszczać wzroku z dostojnego wakira.

–Cóż, tak... Zwykle przejęzyczenie, nic więcej, dostojna księżniczko... wasza wysokość. – Tłuścioch wyraźnie się zaplątał. Machnął ręką, by zbyć gestem nietakt. –  
Bardzo

proszę, niech wasza wysokość siądzie obok mnie.

Przez ułamek chwili Evanlyn walczyła z przemożną chęcią wybuchnięcia śmiechem, bo oto wyobrazila sobie, jak wciska się obok grubasa na jego rzeźbiony tron... A może miała sięść mu na kolanach? Jednak bez trudu zachowała kamienną twarz, zdając sobie tylko mimochodem sprawę, że ów jakże niestosowny przyływ wesołości wypływał tylko z jej

zderzenia oraz z wewnętrznego napięcia. Zresztą moment wahania wyszedł jej tylko na dobre, bowiem wakir uznał je za kolejną oznakę wskazującą, iż królowna czuje się urażona. Wstał więc czym prędzej z krzesła. Will skrył uśmiech, widząc jak niezdarnie to uczynił. Krótkonogi władca Arydów musiał najpierw przesunąć swój tłusty tyłek ku krawędzi siedziska, a potem dosłownie zeskoczyć na podłogę. Ponieważ przez całe życie Will był niższy od większości osób ze swego otoczenia, należy mu wybaczyć, iż przejawiał pewną małostkowość, ciesząc się, gdy także inni zmagali się z problemem wzrostu...

–Wasza wysokość! Proszę, proszę siadać! – powtórzył wakir, na co Evanlyn skinęła wyniośle głową. Podeszła do bogato zdobionego fotela, który Selethen podsunął jej uniożonym

gestem. Siadła z gracją, a wakir skłonił się niezdarnie i wspiął się z powrotem na swój tron,

wierząc tylko, by usadzić się na nim w miarę wygodnie. Znow zerknął na bok, nerwowo oblizal wargi.

Evanlyn uznała, że czas przejść do rzeczy.

–Przybywamy tu, by omówić kwestię okupu za naszego przyjaciela, Eraka, oberjarla Skandii – oznajmiła, głosem czystym i donośnym. – Jak rozumiemy, wyznaczono określoną sumę?

–Zaiste – odpowiedział wakir. – Żądana suma, to... – i znow zawał się, znow spojrzal na bok. Evanlyn ledwo dostrzegalnie zmarszczyła brwi. To dziwne, pomyślała, jak niepewnie czuje się ten człowiek we własnej siedzibie.

–Osiemdziesiąt tysięcy srebrnych rojali. – Aryda wypowiedział te słowa pospiesznie, lecz zarazem tonem butnym, pewnym siebie, stojącym w jawnej sprzeczności z jego niedawnym skonfundowaniem, całkiem tak jakby ktoś go w tym żądaniu nagle utwierdził.

Evanlyn potrząsnęła niedbale głową.

–To za dużo – stwierdziła.

Wakir drgnął niespokojnie, zaskoczony.

–Za... Za dużo? – powtórzył bezmyślnie, a Evanlyn tylko skinęła lekko głową.

Pamiętała doskonale nauki Anthony'ego. „Będą spodziewać się targów – zapewniał kanclerz. –

Dla nich to wręcz obelga, jeśli wasza wysokość nie będzie próbowała się targować”.

–Owszem. Możemy zaproponować pięćdziesiąt tysięcy – oznajmiła spokojnym tonem Evanlyn.

Wakir chwycił się rękami za głowę.

–Pięćdziesiąt tysięcy? Ależ to... – urwał, więc Evanlyn uprzejmie dokończyła za niego:

–Tak, to właśnie nasza propozycja.

Wakir mimowolnym gestem sięgnął do podbródka, ugniatając dłonią zwisający fałd skóry. Jego oczka przybrały chytry wyraz.

–Niewiele dajecie, zaiste niewiele, wasza wysokość. A skąd ja mam wiedzieć, czy choćby i tyle możecie zapłacić? Skąd ja mam wiedzieć, czy jesteście upoważnieni do rozmów?

–Posiadacie moją pieczęć – odpowiedziała krótko Evanlyn. Widziała przecież, że puzderko, które oddała poprzedniego dnia Seletenowi, leży na bocznym stoliku obok tronu wakira. Dostojnik sięgnął po nie, otworzył zatraskiwane wieczko i zerknął do środka.

–No, tak, tak. Pieczęć. No właśnie – rzekł, przyglądając jej się ze wszystkich stron.

–Ta pieczęć dowodzi, że jestem księżniczką Cassandrą, następczynią tronu Araluenu – stwierdziła z naciskiem Evanlyn, a Halt, który miał ucho wyczułone na takie niuanse, odniósł wrażenie, że słyszy w jej głosie coś na kształt powątpiewania.

Wakir znow zaczął bawić się swoim podbródkiem.

–Może tak, może i tak. Ale przecież to jasne, taka pieczęć może należeć... – rozejrzał się po sali i machnął ręką –...do kogokolwiek – dokończył.

Evanlyn siedziała przez kilka sekund bez ruchu, lecz jej umysł pracował intensywnie. Wiedziała, że w każdym kraju przechowywany jest oficjalny rejestr pieczęci; wiedziała także z całą pewnością, iż Arydia znajduje się na liście krajów, z którą Araluen wymienił stosowną informację. Nim opuściła ojczyznę, Duncan z Anthonym zapewnili ją, że podczas ostatniej

wymiany pieczęci, która miała miejsce nie dalej jak sześć miesięcy wcześniej, zgodnie z rutynową procedurą obok pieczęci monarchy wysłano również i jej pieczęć. Wakir powinien o tym wiedzieć. A skoro nie wie, może to znaczyć tylko jedno...

Wstała gwałtownie z siedziska i zwróciła się do swoich pięciu towarzyszy:

–Idziemy – zakomenderowała ostrym tonem.

Nie wahala się już ani chwili i nie czekała na nich. Nic nie rozumiejąc, zerwali się z miejsc, by podążyć za nią. Obcaszki butów księżniczki stuknęły głośno o kamienne płyty podłogi. Will obejrzał się przez ramię i ujrzał, że wakir znów wstał z tronu, że wykonuje jakieś gesty w kierunku Selethena. Kapitan, nie zwracając na to uwagi, ruszył za nimi.

–Księżniczko Cassandro! Zaczekaj, proszę.

Evanlyn zatrzymała się, po czym odwróciła w jego stronę gniewnym ruchem.

–Mam poczekać? – spytała, on zaś zbliżył się do niej, czyniąc rękami błagalny gest. –

Dlaczego miałabym czekać i na co? Na dalsze obelgi? Nie wiem, kim jest ten człowiek, ale

z

pewnością nie tym, za kogo się podaje. Nie będę tracić czasu na pogawędki z oszustem.

Zaczekam w gospodzie, ale tylko do następnego przypływu. Jeśli do tej pory nie zjawi się prawdziwy wakir, opuszczamy Arydię.

Selethen zawahał się, po czym nagle na jego twarzy zagościł uśmiech – uśmiech przepraszający.

–Proszę o wybaczenie, wasza wysokość – rzekł, a następnie zwrócił się do pulchnego osobnika na podwyższeniu: – Dziękuję ci, Amanie. Zrobiłeś, co mogłeś.

Falszywy wakir wyraźnie był z siebie niezadowolony.

–Wasza jasność zechce wybaczyć. Ona mnie zaskoczyła.

Podejrzenia zostały teraz ostatecznie potwierdzone, choć i tak Evanlyn była już całkiem pewna swojej racji. Uniosła brwi, spoglądając na kapitana.

–Wasza jasność? – powtórzyła, a on wzruszył ramionami.

–Aman jest moim rachmistrzem – wyjaśnił. – Jak wasza wysokość z pewnością już odgadła, to ja jestem wakirem Al Shabah. A teraz może wrócimy na miejsca i zaczniemy poważne rozmowy.

Evanlyn nie była przekonana, kusilo ją, żeby unieść się, okazując urażoną godność, lecz zaraz pomyślała o Eraku, dla którego przecież każda chwila opóźnienia oznaczała konieczność znoszenia niewygód i oczekiwanie w niepewności.

–Niech więc tak się stanie – zgodziła się łaskawie. Ruszyła z powrotem ku wyniesieniu. Czterej Aralueńczycy oraz Svengal za nią. Gdy kroczyli przez salę audiencyjną,

Horace pochylił się w stronę Willa i szepnął mu do ucha:

–Niech mnie. Dobra w tym jest, nie?

## ROZDZIAŁ 18

Selethen zaprowadził ich do mniejszej komnaty, sąsiadującej z salą audiencyjną. Na jej środku stał niski stół, wokół którego rozłożono grube, wygodne poduszki. Zwieńczone łukiem nieprzeszkłone okna wychodziły na zacienioną werandę; wielki wachlarz, najwyraźniej poruszany ręką niewidocznego sługi, falował miarowo nad ich głowami, więc przez cały czas chłodził ich powiew powietrza.

Selethen dał znak, by posłowie usiedli. Will zdał sobie sprawę, że prawdziwy wakir nie wybrał dla siebie uprzywilejowanego miejsca, lecz siadł na tym samym poziomie, co jego goście. W komnacie pozostało dwóch żołnierzy, którzy zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Na sygnał dany przez jednego z nich, przez drugie drzwi weszli do środka służący, którzy ustawili na stole misy owoców, a także dzbanek z kawą i maleńkie filiżanki. Evanlyn skryła uśmiech, widząc, jak oczy trzech zwiadowców zabłysły, gdy ujrzeli tę akurat część poczęstunku.

–Błagam o wybaczenie mi tej maskarady – odezwał się Selethen. Sprawiał wrażenie z lekka rozbawionego zaistniałą sytuacją, przynajmniej tak się Willowi zdawało. Natomiast Evanlyn nie podzielała jego wesołości.

–Czy wasza jasność naprawdę uznał przedstawienie za konieczne? – spytała chłodnym tonem.

Selethen skłonił się.

–Obawiam się, że tak, wasza wysokość – oświadczył. Evanlyn chciała coś rzec, ale uprzedził ją: – Proszę, niech wasza wysokość zechce zrozumieć. Musiałem zyskać pewność,

czy mam do czynienia z kimś, kto posiada uprawnienia niezbędne do prowadzenia rozmów.

Owszem, spodziewałem się ujrzeć obecnego tu Svengala – skinieniem głowy wskazał Skandianina, który usiłował usadowić się wygodnie na poduszce, krzyżując nogi – ale oczekiwałem, że zjawi się z okupem dopiero za parę miesięcy. Tymczasem poselstwo z Araluenu, które przybyło tak rychło, najwidoczniej wspierając go, stanowiło dla mnie prawdziwe zaskoczenie. Podejrzywałem, że kryje się w tym jakiś fortel.

Zerknął znów w stronę Svengala.

–Bez obrazy – dodał, a Skandianin tylko wzruszył ramionami. Gdyby zdołał wymyślić jakikolwiek podstęp dający szansę na uwolnienie Eraka, z pewnością by go wypróbował.

–Okazałam moją pieczęć – zaoponowała Evanlyn – która stanowi dowód wystarczający.

Nie zadawała pytania, raczej stwierdzała fakt. Selethen skłonił się znowu.

–O tak. Rzecz jasna, pieczęć rozpoznałem. Nie wiedziałem jednak nic o osobie, która się nią posługuje. Wszak pieczęć można ukraść albo nawet sfalszować. Jeśli przychodzi mi prowadzić rozmowy z młodą kobietą, musiałem najpierw upewnić się, że mam do czynienia

z

prawdziwą księżniczką. Dlatego też kazałem Amanowi podszyć się pode mnie.

Przypuszczałem, że prędzej czy później zorientujecie się, iż nie jest on prawdziwym wakirem.

Gdybyście coś knuli, staralibyście się robić dobrą minę do złej gry – zresztą jego gra rzeczywiście nie była zbyt udana. Natomiast tylko prawdziwa księżniczka i następczyni tronu,

miałaby dość odwagi tudzież godności, by z miejsca zdemaskować mój podstęp i wyjść. Jak uczyniła to wasza wysokość.

Uśmiechnął się do Halta.

–Twoja księżniczka odznacza się niemałą siłą charakteru. Byłaby z niej wspaniała Arydka.

–Jest wspaniałą Araluenką – odpowiedział Halt, a wakir pokłonił się w odpowiedzi. Potem zatarł dłonie i zaśmiał się ochoczo:

–W takim razie, czy możemy przejść do sedna sprawy? – zaproponował.

\*\*\*

Targi ciągnęły się przez resztę przedpołudnia. Selethen oczywiście z początku upierał się przy sumie wyjściowej, czyli osiemdziesięciu tysiącach rojali. Evanlyn w odpowiedzi zaproponowała czterdzieści pięć tysięcy. Kiedy zaskoczony wakir przypomniał jej, że nie dalej jak tego samego ranka mówiła o pięćdziesięciu tysiącach, Evanlyn odparła, że próbowano ją oszukać i postawiono w uwłaczającej jej godności sytuacji, toteż owe pięć tysięcy Selethen stracił niejako na własne życzenie.

Następnie Selethen stwierdził, że utrzymanie Eraka i niezbędnej w tym celu eskorty wojskowej pociągnęło już za sobą znaczne wydatki, które obciążyły finanse jego prowincji.

–Ci żołnierze potrzebni są gdzie indziej – wyjaśnił. – Bandy Tualegów bezustannie napadają na nasze wioski.

Halt drgnął na wzmiankę o plemienu pustynnych rabusiów. Wiadomości, jakie posiadał o Arydii, pochodziły sprzed ponad roku. Według nich, z Tualegami uporano się skutecznie, zatem nie stanowili liczącego się zagrożenia. Tymczasem, jeśli wierzyć słowom wakira, znów stali się groźni. Ale choć to fakt godny odnotowania – stwierdził w myśli -należy brać pod uwagę, że być może Selethen posługuje się nim wyłącznie jako argumentem przetargowym.

Evanlyn wyraziła ubolewanie i współczucie z powodu kosztów poniesionych przez Arydów. Jednak z tonu jej głosu jasno wynikało, że problem arydzkich wydatków nie napawa księżniczki szczególną troską. Zaraz potem gładko przeszła do innej kwestii – mianowicie kosztów swojej wyprawy do Arydii i utrzymania świty.

–Mało które poselstwo zabiera ze sobą aż trzech zwiadowców – stwierdziła. – W mojej ojczyźnie istnieje wielkie zapotrzebowanie na posiadane przez nich umiejętności.

Na dźwięk słowa „zwiadowcy” Selethen zmrużył nieco oczy. Od początku wiedział, że zakapturzeni mężczyźni nie są zwykłymi dworakami. Z jednej strony wyglądem oraz ubiorem przywodzili na myśl prostych ludzi lasu, łuczników czy myśliwych. A z drugiej -znamionowała ich pewność siebie, a ten starszy, główny doradca królowej, przemawiał stanowczym tonem, na jaki nie poważałby się zwykły strzelec. Czyli przybyli doń zwiadowcy. Owszem, słyszał już o nich. Nawet do niego dotarły plotki o aralueńskich zwiadowcach, rozgłaszane przez żeglarzy, którzy odwiedzali ten kraj. Pogłoski były niejasne i z całą pewnością przesadzone, lecz jednak dostatecznie interesujące, by przyjrzeć się tym trzem ze wzmożoną ciekawością.

Chociaż myśli wakira błędziły tymi właśnie torami, nie przerywał rozmowy o kosztach i poniesionych wydatkach; teraz postanowił nadmienić o koniecznym odszkodowaniu:

–Nie zapominajmy, że wasz przyjaciel i sojusznik przybył do nas w celach rabunkowych – stwierdził. – Zamierzał okraść skarbiec Al Shabah – celowo posłużył się określeniem „przyjaciel i sojusznik”, dając w ten sposób do zrozumienia, że kto wie, czy

królestwo Araluenu w taki lub inny sposób nie udzieliło mu na grabież cichego przyzwolenia.

Zyskiwał w rezultacie moralną przewagę. – Z tego powodu należy nam się zadośćuczynienie.

Tu Evanlyn nie bardzo mogła się spierać, bowiem prawdzie słów Selethena zaiste trudno było zaprzeczyć. Stwierdziła więc tylko, że przecież nic w ostatecznym rezultacie nie zostało zrabowane, ale i tak musiała podnieść ofertę do pięćdziesięciu pięciu tysięcy. Tę rundę wygrał więc Selethen; dając do zrozumienia, jak wielkie ustępstwo czyni, stwierdził, że mógłby wziąć pod uwagę – tylko wziąć pod uwagę, nic więcej – sumę siedemdziesięciu ośmiu tysięcy.

To oczywiście w żaden sposób nie zadowalało Evanlyn, więc spierała się dalej. Zauważyła przy tym, że targowanie się najwyraźniej sprawia wakirowi przyjemność. Co więcej, szybko zdała sobie sprawę, że i ona nieźle się przy tym bawi. W dodatku jej rozmówca okazał się człowiekiem pełnym uroku oraz wdzięku. Trudno było się na niego gniewać... No i musiała przyznać, że – na swój egzotyczny, trochę niepokojący sposób – jest nad wyraz przystojny.

W końcu doszli do czegoś na kształt porozumienia. Suma wynosiła teraz sześćdziesiąt sześć tysięcy, czterysta i osiem srebrnych rojali, zabezpieczonych listem gwarancyjnym Rady Sylezjańskiej. Dziwna końcówka – czterysta osiem rojali – wynikała stąd, że Selethen nie mógł się pogodzić z koniecznością opłacenia prowizji Sylezyjan, więc wyliczył sobie, że tyle właśnie będzie ona wynosić. Po opłaceniu usług finansistów miała mu więc pozostać okrągła suma, nieco niższa niż z początku zakładał, ale za to nie musiał niepokoić się, czy srebro otrzyma, bowiem taki list wart był tyle samo, co kruszec. A jednak wciąż kręcił głową, wyrzekając na prowizję.

Napisał uzgodnioną sumę na kawałku pergaminu i wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

–Potrzebuję godziny do namysłu – stwierdził.

Wstał, podał rękę Evanlyn, by jej dopomóc unieść się. Choć była smukła i zwinna jak kot, ale przyjęła jego dłoń. Kiedy to uczyniła, spostrzegła, nie bez skrywanej skrzętnie satysfakcji, że oblicze Horace'a spochmurniało. Cóż, adoratorów nigdy dość – stwierdziła. Tymczasem Will zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na to, że przytrzymała rękę Selethena odrobinę dłużej, niż nakazywała grzeczność. No tak, ale przecież zwiadowców szkoli się właśnie w ukrywaniu uczuć. Pewnie w środku aż kipi od zazdrości – uznała.

Pozostali także się podnieśli. Svengal stęknął, dźwigając swe masywne ciało.

–Każe was odprowadzić do gospody – oznajmił Selethen. – A za godzinę zjawię się z odpowiedzią.

Wiedziała, że tylko gra na zwłokę, by nie wyglądało, iż tak bardzo mu się spieszy. W gruncie rzeczy już się zgodził. Wcześniej, w gospodzie, Halt wytłumaczył jej, że takie odwlekanie ostatecznej decyzji należy u południowców do dobrych obyczajów i jest nieodzowną częścią wszystkich targów.

Uśmiechnęła się, skinęła głową.

–Dziękuję, wasza jasność. Będę czekała na decyzję.

\*\*\*

I znów zasiedli przy stole na dziedzińcu gospody. Svengal nie mógł się nadziwić:



–Po co tyle zachodu z tym wszystkim? – spytał. – Przecież my wiemy, że zgodzą się na tę sumę i oni wiedzą, że się zgodzą. I wiedzą, że my wiemy... Nie można tego tak po prostu powiedzieć, a potem mieć sprawę z głowy?

–Kiedy to jest coś w rodzaju komplementu – wyjaśnił Halt. – W ten sposób dają do zrozumienia, że targi były tak bardzo ostre, że nie mogą od razu wyrazić zgody. Muszą choć dla zachowania pozorów udawać, że się wahają. Oni przywiązują ogromną wagę do takich subtelności.

Svengal parsknął pogardliwie. Jak większość Skandian, był zwolennikiem bardziej bezpośredniego podejścia. Dyplomatyczne niuanse i zawilości mało go interesowały. Gilan zaśmiał się.

–Podobało mi się, jak dał do zrozumienia, że mogliśmy mieć coś wspólnego z napaścią Eraka.

Halt skinął głową.

–Mówisz o tym, jak nazwał go naszym „przyjacielem i sojusznikiem”, tak? To było rzeczywiście udane zagranie.

Svengal jednak wyrzekał na niepotrzebną stratę czasu, a w dodatku wynudził się w pałacu setnie oraz porządnie wymęczył, starając się zachowywać, jak należy. Teraz miał ochotę dla odmiany z kimś się pokłócić.

–No, bo, że tak powiem, trochę racji on jednak ma. To wszystko przecież wasza wina. Może nie całkiem, ale po trosze – stwierdził.

Halt pochylił się w jego stronę, unosząc brwi.

–Nasza wina?

Svengal machnął ręką.

–Ano, owszem. Tak się upieraliście, żeby już na was nie napadać, więc musimy szukać szczęścia dalej. Inaczej wcale by nas tu nie było.

–Pozwolę sobie zaoponować – oburzyła się Evanlyn. – Chyba nie zamierzasz nas obwiniać z tego powodu, że Erak ma zwyczaj lądować zniecka na brzegu i wymachuje toporem, starając się zgarniać wszystko, co zdoła unieść? – Skończywszy zdanie, od razu doszła do wniosku, że mogło zabrzmieć trochę zbyt obcesowo, więc dodała z lekką przepraszającym tonem: – Bez urazy, rzecz jasna.

Svengal wzruszył ramionami.

–Jaka tam uraza. To by się nawet całkiem dobrze zgadzało, bo Erak właśnie taki jest. Nie w tym rzecz, tylko...

Nie dowiedzieli się jednak, w czym mianowicie rzecz, bowiem wtedy właśnie pojawił się służący i oznajmił nadejście Selethena. Sam wakir pojawił się za krótką chwilę. Zwrócił się do wszystkich z uśmiechem:

–Zgoda – oznajmił, a choć wszyscy się jej spodziewali, jednak odetchnęli z ulgą.

–Doskonale, wasza jasność – rzekła Evanlyn. – Mam w kufrze list gwarancyjny Rady Sylezjańskiej. Wystarczy tylko wpisać uzgodnioną sumę i przypieczętować. Możemy uczynić to od ręki.

Selethen skłonił się dwornie.

–Ależ nie ma pośpiechu, uczynimy tak, kiedy wasza wysokość uzna za stosowne złożyć podpis.

Na szczęście nie miał kłopotu ze zrozumieniem treści listu, bowiem tego typu dokumenty wystawiane przez Radę Sylezjańską znano powszechnie, a choć Aralueńczycy i Arydzi posługiwali się innymi alfabetami, obie nacje używały tego samego systemu liczb. Tak więc wpisana suma mówiła sama za siebie, podobnie jak pieczęć i podpis Evanlyn.

–Jestem pewien, że Erak by się zgodził – stwierdził Halt.

–Kiedy możemy go zobaczyć i przekazać mu dobrą wiadomość? Selethen zawahał się.

–No... No tak. Przywieziemy go, tak – zapewnił po krótkiej chwili.

–Dzisiaj? – spytał Halt i znów w głosie tamtego usłyszał jakąś dziwną nutę.

–Cóż, od razu się nie da, transport musi potrwać nieco dłużej – stwierdził. Halt zerknął podejrzliwie.

–Dłużej? To znaczy jak długo? – spytał, cedząc wyrazy.

Selethen odpowiedział mu najbardziej rozbajającym ze swych uśmiechów, który zresztą nie zrobił na Halcie najmniejszego wrażenia.

–Osiem dni. Może dziesięć – poinformował.

Evanlyn z Haltem wymienili niespokojne spojrzenia.

–A gdzie on tak naprawdę przebywa? – spytała królowna, zwracając się do Selethena. Will zwrócił uwagę na zmuszający do odpowiedzi, rozkazujący ton jej głosu. Selethen chyba też to odczuł, bo jego uroczy uśmiech jakby nieco przybladł.

–W fortecy, w Mararoku – odpowiedział. – Cztery dni drogi w głąb lądu.

## ROZDZIAŁ 19

–A kiedy wasza jasność zamierzała łaskawie podzielić się z nami tą wiadomością? – Halt przemawiał spokojnie, ale w jego głosie pobrzmiwała twarda nuta.

Selethen wzruszył ramionami.

–Zamierzałem to powiedzieć natychmiast po zakończeniu rozmów o okupie. Trzy dni temu, kiedy doniesiono mi po raz pierwszy, że wasz okręt nadpływa, kazałem oberjarla wywieźć z Al Shabah. Istniała przecież całkiem uzasadniona obawa, że nie dojdziemy do porozumienia i, przewidując taką okoliczność, chciałem, żeby więzień znalazł się w

miejscu,

gdzie jego wierna załoga nie zdoła go odnaleźć... Jeśli przyjdzie jej do głowy dokonać znieścacka napaści, by uwolnić dowódcę siłą – zerknął na Svengala. – Bez obrazy, rzecz

jasna.

Skandianin wziął głęboki wdech, a potem bardzo, bardzo powoli wypuścił powietrze z płuc.

Widać było, że ze wszystkich sił stara się nad sobą panować.

–Z tą obrażą to tak, że któregoś dnia wreszcie się wścieknę na wszystkich, którzy mi powtarzają „bez obrazy”. Bo kiedy my, Skandianie, obrażamy się, w ruch idzie topór, ni mniej, ni więcej. A gdy już do tego dojdzie, nikomu nie będzie do śmiechu!

–W takim razie proszę o przyjęcie jak najszczerzych wyrazów ubolewania. – Selethen skłonił się nisko. – Przepraszam z całego serca. Zresztą, tak czy inaczej, skoro już doszliśmy do porozumienia, zaraz wyślę wiadomość do Mararoka z poleceniem, by jak najprędzej przywieziono oberjarla do Al Shabah. To znaczy, jak tylko otrzymam list gwarancyjny.

–O, nie. Co to, to nie – odparowała natychmiast Evanlyn. – Nie oddam lekką ręką prawie siedemdziesięciu tysięcy rojali dopóty, dopóki nie przekonam się na własne oczy, że towar, za który tyle płacę, jest nieuszkodzony – o mało nie dodała „bez urazy” pod adresem

Svengala, bowiem nazwała jego władcę „towarem”. Jednak w świetle ostatniej wypowiedzi

Skandianina uznała, że lepiej się powstrzymać.

I tak oto znaleźli się w impasie. Selethen nie zamierzał sprowadzić Eraka z powrotem na wybrzeże, o ile wprawdzie nie otrzyma pieniędzy. Evanlyn nie zamierzała mu zapłacić, dopóki nie przekona się, że Erak pozostaje cały i zdrowy. Żadne nie miało zamiaru ustąpić.

Wreszcie ciszę przerwał Will.

–W takim razie może pojedziemy po niego do Mararoka? – zaproponował Selethenowi. – Wtedy królowna przekona się, że Erak miewa się dobrze i tam będzie mogła

przekazać dokument.

Charakterystyczne, pomyślał, że zarówno Evanlyn jak i Selethen natychmiast spojrzeli na Halta, by przekonać się, co on sądzi o pomysle.

–Myśl chyba dobra – stwierdził. Zresztą rzeczywiście, wyglądało to na jedyny możliwy kompromis. Co więcej, podróż w głąb łądu pozwoliłaby doświadczonemu zwiadowcy lepiej poznać Arydię, bo bardzo niewielu Aralueńczyków zapuściło się dalej niż kilometr od brzegu, a Halt, jak zawsze, pamiętał o konieczności gromadzenia strategicznych

informacji. – Spodziewam się, że wasza jasność jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo podczas tej podróży?

–Weźmiemy ze sobą eskortę, pięćdziesięciu moich ludzi – zapewnił wakhir.

–I moją załogę – wtrącił natychmiast Svengal. – Przysięgaliśmy, że będziemy bronić królowny do ostatniej kropli krwi.

Na to jednak Selethen nie zamierzał się zgodzić.

–Nie ma mowy – uciał. – Nie pozwolę, by zbrojny oddział Skandian maszerował przez Arydię.

–Ale ich jest tylko trzydziestu – rzekł niewinnym tonem Svengal. Selethen skrzywił się.

–Trzydziestu Skandian – stwierdził – to jak mała armia.

Svengal tylko uśmiechnął się skromnie. Teraz Selethen zwrócił się do Halt:

–Nie pozwolę na wędrówkę Skandian przez Arydię – powtórzył.

Halt pokiwał głową z namysłem.

–Svengalu, on niestety ma rację. Przecież nie zgodziłbyś się, żeby stu arydzkich wojowników paradowało sobie po Skandii, prawda?

Svengal przygryzł wąsa, musiał w tym względzie przyznać Haltowi rację. Zwiadowca spostrzegł, że Skandianin gotów jest dać za wygraną, więc dodał:

–Osobiście sądzę, że nas pięciu oraz Selethen i pięćdziesięciu zbrojnych to dość, by zapewnić królownie bezpieczeństwo.

Evanlyn odkaszlnęła dyskretnie; wszyscy spojrzeli na nią.

–Myślę, że królowna – rzuciła kpiącym tonem – wolałaby takie rozmowy na jej temat, podczas których nie traktuje się jej jak nieobecnej. – Uśmiechnęła się do Svengala: –

Chętnie

zwolnię twoich ludzi z przysięgi, na ten krótki czas naszej podróży do Mararoka.

Po czym spytała Selethena:

–A zatem, kiedy możemy wyruszyć?

\*\*\*

Ruszyli już następnego ranka, przed świtem. Selethen wyjaśnił, że Arydzi najchętniej podróżują w godzinach przedpołudniowych, bo wówczas słońce nie pali jeszcze z całą siłą. Żaden z Aralueńczyków nie widział powodu, by się z nim w tym względzie spierać.

Przez kilometr albo dwa jeźdźcom towarzyszyła jeszcze morska bryza. W chłodnym, rześkim powietrzu posuwali się szybko. Selethen dostarczył Evanlyn konia – zwierzę tutejszej rasy cenionej przez arydzkich wojowników. Koń był wyższy od koni zwiadowców, smuklejszy, o cieńszych kościach i gładkiej sierści, podczas gdy konie zwiadowców pokrywały zmierzwione kudły. Pysk miał krótki, o bystrym, sympatycznym wyglądzie. Przyglądając się zwierzęciu, Halt stwierdził, że najwyraźniej wyhodowano go do szybkiego biegu na krótkich dystansach, choć z pewnością odznaczał się też wytrzymałością na skwar i pustynny klimat.

Arydzki przywódca zaproponował Horace'owi podobnego wierzchowca, ale młody rycerz postanowił nie rozstawać się z Kickerem.

–On mnie zna, ja go znam, obaj wiemy, czego się po sobie spodziewać – odmówił z uśmiechem.

Gdy zmierzali w głąb lądu, po jakimś czasie nad niskimi wzgórzami od wschodniej strony pojawiła się wąska smuga pomarańczowego światła. Morski wiatr już nie wiał, bo oddalili się

dość znacznie od wybrzeża, lecz powietrze wciąż jeszcze pozostawało chłodne. Selethen ostrzegał ich, że nocą na pustyni jest naprawdę zimno, co tym bardziej może zaskoczyć nieprzygotowanych podróżnych, że dni są niezwykle upalne.

–Sądziłem, że na pustyni powinno zalegać mnóstwo piachu – rzekł Horace do Willa. Krajobraz, który przemierzali, był raczej kamienisty, piasku zaś ani śladu.

Selethen dosłyszał i pospieszył z wyjaśnieniem:

–Piachu nie zabraknie, gdy dotrzemy do Martwej Doliny – powiedział. – Nadal znajdujemy się na przybrzeżnych równinach. Potem ciągną się piaszczyste wydmy, przez dobre trzydzieści kilometrów. Dopiero później dojedziemy do wyżyn i będziemy musieli się na nie wspiąć, bowiem Mararoko położone jest o kilkaset metrów wyżej.

–W takim razie zwiedzimy spory kawałek kraju – ucieszył się Horace.

Trzej zwiadowcy wymienili szybkie spojrzenia. Poprzedniej nocy Halt wezwał Willa i Gilana do swojego pokoju.

–Trafia nam się doskonała sposobność, żeby lepiej poznać Arydię – stwierdził. – Na naszych aralueńskich mapach widnieją tylko okolice wybrzeży, reszta to biała plama.

Will i Gilan słuchali go uważnie. Obu wpojono zwiadowczą tradycję obsesyjnego wręcz gromadzenia informacji, a znajomość topografii danego kraju może okazać się im niezbędna – gdyby kiedyś doszło do konfliktu z Arydią.

–Zwracajcie uwagę na wszystkie charakterystyczne elementy krajobrazu – klify, wzgórza, skalne wieżyce, studnie. Zwłaszcza na studnie. Podczas odpoczynków wszystko zapisujcie. Każdego wieczora będziemy porównywali notatki, w ten sposób zdołamy je ujednolicić, a potem narysować mapę trasy przebytej w ciągu danego dnia. Macie obaj

swoje

kompasy? – spytał.

Obaj jego uczniowie przytaknęli. Kompasy, jakimi posługiwali się zwiadowcy, były namagnesowanymi stalowymi igłami umieszczonymi w zamkniętym pojemniku w taki sposób, że obracały się zgodnie z kierunkiem pola magnetycznego Ziemi. Wynalezione zostały przez Skandian, ale zwiadowcy przejęli tę innowację na własny użytek i każdy z nich dysponował takim przyrządem.

–Skoro macie, to używajcie – nakazał Halt. – Postarajcie się jednak, żeby Selethen nie połapał się, co robimy.

Jednak Selethen niełatwo dawał się zmylić. Nie umknęła jego uwadze porozumiewawcza wymiana spojrzeń między trzema zwiadowcami, toteż postanowił bacznie się im przyglądać. Co prawda ich kraje oddalone były od siebie i nie dzielił ich żaden konflikt, lecz któż mógł przewidzieć, co przyszłość przyniesie?

Lśniące oko słońca uniosło się teraz nad krawędzią horyzontu – wielka czerwona kula wstępująca na niebo. Jak zauważył Will, o tej porze dnia ruch słońca nie dawał się precyzyjnie określić. W jednej chwili zaledwie wyglądało zza horyzontu, a w następnej już paliło żywym ogniem. Nawet teraz czuło się narastający żar rozpraszający ostatnie wspomnienie po chłodzie nocy.

–To mi się nie podoba – stwierdził półgłosem Svengal.

Dosiadał mocno zbudowanego roboczego konia, bo smukłe arydzkie rumaki były zbyt delikatne, by dźwigać jego zwaliste ciało podczas tak długiej podróży. Selethen spojrzal na

niego z zaciekawieniem, a Skandianin wskazał wschodzące słońce.

–Kiedy mamy taki wschód na morzu, czym prędzej szukamy przystani – stwierdził. Wakir przytaknął.

–Na pustyni jest podobnie. Czerwony wschód słońca często oznacza zbliżającą się burzę. Ale nie zawsze – dodał, zwracając się do Evanlyn.

Nim nastał świt, jechali w zbitej grupce, a ludzie Selethena stworzyli otaczający ich pierścień. Teraz, gdy widzialność stała się lepsza, wakir dmuchnął w mały srebrny gwizdek, co oznaczało komendę dla żołnierzy do zajęcia dziennych pozycji. Pięciu jeźdźców pocwałowało naprzód, aż wysforowali się około kilometra przed resztę – tak że znajdowali się w zasięgu wzroku, a mogli na czas przestrzec przed grożącym atakiem. Jechali równolegle, lecz utrzymując między sobą odległość mniej więcej kilkuset metrów – by widzieć się wzajemnie.

Kolejnych pięciu ruszyło w przeciwnym kierunku i utworzyło podobną straż tylną. Pozostałych czterdziestu, uformowanych w dwa rzędy, jechało po obu stronach grupy dowodzenia, w odległości około stu metrów. Selethen może sobie na to pozwolić – pomyślał Halt – bo zmierzamy równiną, na której nie ma dróg, ale nie ma też żadnych przeszkód.

Co więcej, takie uformowanie żołnierzy uniemożliwiałoby im prowadzenie rozmów, które by ich rozpraszały. Zauważył, że jeźdźcy jadący obok nich odwróceny są twarzami na zewnątrz i badają wzrokiem horyzont.

Trącił Abelarda kolanem, by zrównał się ze śnieżnobiałym ogierem Selethena.

–Spodziewamy się kłopotów? – spytał, ruchem głowy wskazując otaczających ich żołnierzy. Selethen wzruszył ramionami.

–Na pustyni zawsze warto się spodziewać kłopotów, wtedy czasem udaje się ich uniknąć. Halt skinął z uznaniem głową.

–Mądrze powiedziane – stwierdził. – Któż jest autorem tej maksymy? Selethen pozwolił sobie na błądy uśmiech.

–Pewien wielki mędrzec – powiedział. – A mianowicie: ja. Rozejrzał się. Zauważył w tej chwili, że najmłodszy z trzech zwiadowców, który przyglądał się przed chwilą intensywnie pewnemu cechującemu się charakterystycznym kształtem wzgórzu na horyzoncie, teraz sporządza notatki na skrawku pergaminu. Niezbyt mu się to podobało,

ale

nie widział też sposobu, żeby chłopaka powstrzymać.

Zdał sobie sprawę, że Halt zadaje mu kolejne pytanie.

–Mówiłeś coś o Tualegach – przypomniał zwiadowca. – Ale doszły mnie słuchy, że udało wam się nad nimi zapanować?

Selethen potrząsnął głową.

–Nikt nie jest w stanie nad nimi zapanować, przynajmniej nie na dłuższą metę. To diabły wcielone. A tak w ogóle, co o nich wiesz?

Halt machnął ręką.

–Że to koczownicy. Bandyty. Zabójcy – powiedział.

Selethen ponuro skinął głową.

–Wszystko to prawda. Choć nie cała. My nazywamy ich Zapomnianymi przez Boga albo Jeźdźcami Błękitnej Zaslony. Gardzą prawdziwą religią, oddają cześć diabłom oraz demonom. Jedyne ich zajęcie to mordowanie, rabowanie i grabienie. Kłopot tylko, że pustynię znają jak

własną kieszeń, potrafią uderzyć i zniknąć, nim zdążymy ich uderzenie odparować. Nie znają honoru ani litości. Jeśli nie jesteś jednym z nich, nie uważają cię za ludzką istotę. Twoje życie nie jest dla nich nic warte.

–Jednak zdołaliście ich pokonać? – dopytywał się Halt.

–Owszem. Zawarliśmy pakt z Bedulinami. – Widząc, że Halt gotów jest zadać następne pytanie, Selethen wyjaśnił: – To także pustynni koczownicy. Wojownicy.

Kochają swobodę, są niezwykle dumni. Niełatwo się z nimi porozumieć, ale to ludzie honoru. A przy tym znają pustynię nie gorzej niż Tualegowie. Otóż zawarli z nami tymczasowy układ, dzięki czemu udało nam się Tualegów poskromić.

–Szkoda, że nie dało się takiego układu przekształcić w trwały sojusz – zauważył Halt. Selethen zerknął na niego podejrzliwie.

–W rzeczy samej. Ale, jak mówiłem, Bedulinowie są dumni i niezależni.

Przypominają jastrzębie. Można ich użyć do polowania, jednak w gruncie rzeczy zawsze polują wyłącznie dla siebie. Zresztą chyba już pora, żebym znów zaczął z nimi rozmawiać,

bo ostatnimi czasy Tualegowie na powrót podnoszą głowy.

Halt zauważył, że wakir coraz częściej spogląda w stronę horyzontu, w kierunku południowym. Idąc za jego spojrzeniem, dojrzał tam cienką czarną linię.

–A jednak kłopoty? – spytał.

Selethen uśmiechnął się kwaśno.

–Owszem. Choć przynajmniej Tualegowie na razie nam nie grożą. Rzadko przemieszczają się w grupkach liczniejszych niż dziesięć osób. Pięćdziesięciu wojowników nie ośmielą się napaść.

–Z pewnością – przyznał Halt. – Jednak, czy nie twierdziłeś, że mędrzec powinien zawsze spodziewać się kłopotów? – Odruchowo musnął palcem cięciwę długiego łuku przewieszzonego przez ramię. Selethen zauważył ruch, ale jego uwagę pochłaniało to, co działo się na południowym horyzoncie. Cienka czarna linia stała się obecnie o wiele grubsza. I zbliżała się do nich. Sięgnął za połę koszuli po gwizdek.

–Chyba czas przywołać przednią oraz tylną straż – stwierdził. – Niedługo będziemy mieli poważne kłopoty z widocznością.

Tymczasem zbliżył się do nich Svengal. Wyciągnął rękę w stronę nadciągającej burzy.

–Widzieliście? – spytał, na co Selethen odpowiedział skinieniem głowy. – Kiedy coś takiego trafi się na morzu, pełne jest wiatru, bałwanów i deszczu tak gęstego, że nie da się oddychać. A co nadciąga w tej chmurze?

–Piasek – rzekł Selethen. – Dużo piasku.

## ROZDZIAŁ 20

Gdy wezwani dźwiękiem gwizdka żołnierze tylnej i przedniej straży zbliżyli się, Selethen sprawdził, czy cudzoziemcy dobrze owinęli głowy kefiami, które wręczył im, kiedy opuszczali Al Shabah. Były to pustynne nakrycia głowy – w zasadzie prostokątne płaty tkaniny, które składało się na pół, w trójkąt, a następnie zakrywało nimi głowę, tak że rogi owego trójkąta zwisały po bokach i z tyłu, zapewniając ochronę przed słońcem. Utrzymał je zawiązany kawałek liny z wielbłądziej wełny.

Pokazał im, jak zasłonić nos i usta.

–To wam się przyda – zapewnił. – Kiedy piasek uderzy, odbierze oddech.

Will spojrział na południe. Cienka, mroczna linia, którą widział tam kilka minut wcześniej, stała się teraz grubym pasmem ciągnącym się przez połowę horyzontu... W istocie rzeczy wyglądało to tak, jakby horyzont znacznie się przybliżył. Spojrział na północ, by się upewnić. Istotnie, na południu burza piaskowa przesłaniała horyzont, stąd doznawane wrażenie... Nadchodząca chmura miała barwę brudnobrązową, u podstawy niemal czarną. Teraz już dostrzegali, że wznosi się na setki metrów w powietrze, przesłaniając niebo. W mgnieniu oka burza stała się granicą ich świata.

Selethen uniósł się w strzemionach, szukając wzrokiem jakiegoś schronienia.

–Tam! – zawołał. – Tam jest *wadi*. Jej brzeg zapewni nam jako taką osłonę.

Ruszył w stronę płytkiego koryta wyschniętej pustynnej rzeki wyłobionego w twardym skalistym podłożu. Zbocza wznosiły się na zaledwie trzy metry, lecz mogły zapewnić podróżnym przynajmniej namiastkę schronienia. Podążyli co prędzej za wakirem. Zatrzymał się kilka metrów przed krawędzią, by puścić ich przodem.

–Na Boga! – krzyknął Horace. – Spójrz, jak szybko się to porusza!

Brązowa ściana wirującego piachu zasłaniała teraz od południowej strony całe niebo. Pędziła ku nim jak wiatr. W następnej chwili Will uzmysłowił sobie, że przecież to jest wiatr, nic innego jak zwały piasku niesione wiatrem.

Pochwycił niespokojne spojrzenie Evanlyn. Wiedział, że w tej chwili oboje myślą o tym samym, o potężnej burzy, która zwała się na nich, gdy jako więźniowie znajdowali się przed laty na pokładzie „Wilczego wichru”. Próbował uśmiechnąć się, chciał dodać jej odwagi, ale w tej właśnie chwili pierwszy podmuch burzy uderzył w nich z całą mocą - niewiarygodnie gorący, niosąc ze sobą miliony niewidocznych ziarenek piasku.

Wyrwij szarpnął się niespokojnie, gdy poczuł uderzenie na pysku i bokach. Will ściał jednak mocno wodze. Zazwyczaj wystarczyło tylko trzymać je w dłoni, ale Will wiedział, że w takiej sytuacji wierzchowiec będzie czuł się pewniej, mając świadomość, że kieruje nim silna ręka.

–Spokojnie, malutki – powiedział. – To tylko piasek.

A wicher wokół nich był niczym wyjąca wniebogłosy żywa istota. Robiło się coraz ciemniej. Ku swemu zaskoczeniu Will stwierdził, że Evanlyn, znajdująca się w odległości zaledwie pięciu metrów, stała się tylko niewyraźnym cieniem w półmroku. Sylwetki pozostałych towarzyszy też zaczęły znikać w tumanie piaskowej burzy.

Selethen zbliżył się do nich; skupili się wokół, żeby usłyszeć, co ma im do powiedzenia. Spłoszone konie rżały nerwowo. Odsłonił twarz, by zawołać, przekrzykując wycie wichury:

–Zjedźcie na dół. Na dno koryta rzeki. Potem zsiądźcie z koni i odwróćcie je zadami



do wiatru. Starajcie się zasłonić głowy, jak tylko się da. A potem...

W tym momencie przerwał mu potężny atak kaszlu, bo zachłysnął się piaskiem. Skulił się, czym prędzej zasłonił twarz; już tylko ruchem dłoni dał im znak, żeby jak najprędzej szukali schronienia.

Przodem ruszył Halt. Will z przerażeniem stwierdził, że jeśli nie podaży natychmiast za swym mistrzem, za chwilę po prostu straci go z oczu. Widział też zamazane sylwetki Gilana, Horace'a, Evanlyn i Svengala. Gdzieś dalej arydzcy żołnierze Selethena stali się już tylko cieniami pośród burzy – i także kierowali się w stronę zagłębienia.

Ten z cieni, który był Haltem dosiadającym Abelarda, nagle jakby zapadł się pod ziemię – należało z tego wnioskować, że schronił się już w korycie wyschniętej rzeki. Jednak ów widok nieoczekiwanie sprawił Wyrwija w panikę, bowiem konikowi wydało się, że grunt zaledwie kilka kroków przed nim jest niepewny. Zarżał przenikliwie, wspiął się na zadnie nogi, po czym opadł i zarył się czterema kopytami, nie zamierzając postąpić ani kroku naprzód. Zawrodość wicheru zagłuszało kojące słowa jego pana i wprawiało zwierzę w tym większe przerażenie. Nigdy dotąd Wyrwijowi nie zdarzyło się nie posłuchać rozkazu Willa, teraz jednak stał jak wryty, pewien, że gdzieś w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Przecież widział na własne oczy, jak Halt i Abelard znikli, a więc jego obowiązkiem jest ustrzec

swojego jeźdźca przed takim samym losem! Stał więc, niewzruszony i uparty, opuścił tylko łeb pod naporem szalejącej wichury.

Will ujrzał, że mija go sylwetka Horace'a; rozpoznał przyjaciela tylko po tym, że dosiadał on wyjątkowo rosłego wierzchowca, Kicker był o wiele wyższy od Wyrwija. Potem minął go jeszcze ktoś, już nie wiedział kto. Choć wydawało się to nie do wiary, sytuacja wciąż się pogarszała. Wiatr był niczym powietrze buchające z paleniska, a prócz gorąca dawały się we znaki miliony unoszących się w powietrzu drobinek piasku, które klęły boleśnie, chłoszcząc każdą nieosłoniętą część ciała. Ostre ziarenka wciskały się pod ubranie: pod kefie zasłaniające twarze, w buty, za kołnierze; we wszystkie zagłębienia skóry – do oczu, uszu i nozdrzy. Will zaniósł się niepohamowanym kaszlem.

Od razu zorientował się, że przez to wdycha więcej piasku, niż jest w stanie wykrztusić. Lecz nic nie mógł na to poradzić.

Wiedział, że nie wolno mu tu zostać, ale przecież też nie zostawi Wyrwija na pastwę losu. Powinien zsiąść i poprowadzić konika za uzdę, w nadziei, że widok idącego przed nim pana uspokoi nieszczęsne zwierzę na tyle przynajmniej, żeby zechciał za nim pójść. Zaciśnął więc dłoń na wodzach, zsunął się na ziemię. W zwykłych okolicznościach ufał Wyrwijowi, wiedział, że będzie stał spokojnie – nie ucieknie podczas zsiadania, teraz jednak jego wierzchowiec był bezbrzeżnie przerażony piekielnym wichrem.

Wsunął prawe ramię pod szyję Wyrwija, zaczął go głaskać i przemawiać do konika, w drugiej dłoni wciąż mocno dzierżąc wodze. Poskutkowało: Wyrwij, choć niechętnie, postąpił kilka kroków naprzód.

–Chodź, maleńki. Wszystko będzie dobrze. To tylko piasek – starał się przemawiać uspokajającym tonem, ale zdumiał się na dźwięk własnego głosu, bowiem usłyszał coś jakby suche, chrapliwe rżenie. Nie przypuszczał zresztą, by koń mógł go słyszeć, ale przynajmniej dzięki dotykowi ręki i temu, że Wyrwij czuł jego bliskość, zdołał nad nim zapanować.

Pochylił się, krocząc przed siebie i ciągnąc konika. Próbowal zorientować się, gdzie grunt

zacznie opadać, ale widział tylko powierzchnię ziemi pośród kłębow piachu. Obejrzał się, żeby spojrzeć na pysk Wyrwija. Konik zaciskał wargi z całej siły, chroniąc je przed wiatrem. Piasek i pył oblepiły mu powieki.

Do diabła, gdzie jest to zagłębienie? Brnął dalej naprzód, wciąż zmagając się z oporem Wyrwija. Pociągnął mocno za wodze, koń znów uczynił kilka kroków do przodu. Chłopak zdawał sobie sprawę, że wiedziony naturalnym instynktem Wyrwij odwróciłby się ogonem do wiatru, by chronić przed piaskiem chloszczącym oczy oraz nozdrza. Musiał jednak prowadzić go pod wiatr, bowiem tam znajdowało się schronienie, gdyż tylko brzegi wyschłego rzecznego koryta mogły im zapewnić bezpieczeństwo. Obawiał się w dodatku, że burza nie osiągnęła jeszcze swego apogeum.

Wszechobecny piach oślepił też i jego, toteż na krótką chwilę zdjął rękę z szyi Wyrwija, by otrzeć oczy. Próżny wysilek. Z trudem łapał oddech, widział coraz gorzej... Znów pociągnął za wodze i ruszył przed siebie z pochyloną głową, w ciemność.

I wtedy poczuł próżnię pod stopą.

Zachwiał się na krawędzi zagłębienia, wykonał gwałtowny wymach wolną ręką, próbując odzyskać równowagę, ale tylko trafił dłonią Wyrwija w nozdrza – konik szarpnął się rozpaczliwie w tył, przerażony, oślepiiony oblepiającym oczy piaskiem, nie wiedząc, skąd tak nagle padł cios.

Pod wpływem szarpnięcia Will wypuścił wodze z ręki. Rozpaczliwym rzutem ciała zdołał powstrzymać upadek i runął plecami na ziemię, tuż przy brzegu zagłębienia. Tymczasem jednak ogłuszony wyciem wichru, wystraszony uderzeniem w nos, a nade wszystko oszolomiony nagłym zniknięciem swojego pana koń odruchowo odwrócił się zadem do wiatru, próbując jednocześnie odnaleźć Willa pośród piaskowej burzy. Lecz jego zmysły, zazwyczaj nieomyłne, tłumił teraz piach, wycie wichru oraz buchający żar. Wciąż usiłując wypatrzeć Willa, postąpił krok, potem drugi, rżąc na cały głos i przyzywając pana. Ale z każdym krokiem oddalał się od zbrocza wadi.

Will zerwał się na nogi. Próbował zawołać Wyrwija po imieniu, jednak zdołał wydać z siebie tylko chrapliwe stęknięcie. Zdawało mu się – choć może to było wyłącznie złudzenie – że nie tyle widzi, co wyczuwa obecność zwierzęcia, zaledwie kilka metrów od siebie. Ruszył chwiejnym krokiem w tamtą stronę, przecież tam mógł znajdować się jedynie Wyrwij. Lecz niewyraźny kształt, zaledwie cień majaczący w mroku, oddalał się, po chwili młody zwiadowca stracił go z oczu. Postąpił jeszcze krok, teraz wiatr wiał mu w plecy.

–Wyrwij! – próbował wołać. Jednak nawet on sam nie usłyszał własnego wezwania, zagłuszonego tryumfalnym jazgotem burzy. Wyciągnął przed siebie rękę, lecz nie wyczuł nic

prócz pędzącego w powietrzu piasku.

A potem pośród koszmaru ogarnęło go cudowne uczucie ulgi, bowiem ujrzał cień wylaniający się z mrocznego chaosu.

–Wyrwij! – wykrztusił. Jednak w tej samej chwili poczuł dłoń chwytającą go za kołnierz, ktoś pociągnął go w swoją stronę.

Z trudem rozpoznał tego człowieka: oto stał twarzą w twarz z Selethenem.

–Na... ziemię! – krzyknął wakir, usiłując zmusić go, by przyklęknął.

Will szarpał się w żelaznym uścisku jego dłoni.

**–Koń... – zdołał wycharczeć. – Mój koń...**

**–Zostaw... go! – Selethen wypowiedział to powoli i z naciskiem, tak żeby jego słowa słyhać było pośród burzy. Wciąż nie wypuszczając z ręki kołnierza Willa, zmusił swojego wierzchowca, by ten położył się na boku, z głową osłoniętą własnym ciałem. Wyszkolone i przywykłe do życia na pustyni arydzkie konie mogły w razie potrzeby zapewnić w ten sposób prowizoryczną osłonę swoim jeźdźcom. W następnej chwili Will poczuł stopę podcinającą mu nogi i obaj wraz z Selethenem runęli na ziemię. Aryda zmusił go do ukrycia się za końskim tułowiem.**

**–Wyrwij! – jęknął Will, wyschnięte gardło paliło go żywym ogniem. Selethen zmagał się tymczasem ze swoim płaszczem, usiłując zarzucić go na ich głowy dla osłony przed piaskiem. Pochylił się, mówiąc prosto do ucha Willa:**

**–Zginiesz, nic nie wskórasz! – krzyknął. – Nie ma sposobu, żeby go teraz odnaleźć. Możesz tylko zginąć, nic więcej! On już odszedł, nie możesz mu pomóc! Zrozumiałeś?**

**Otępiały z bólu Will zdał sobie sprawę, że Selethen ma rację. Nie istniała żadna szansa, by odnaleźć Wyrwija w oślepiającej, wirującej masie piachu. Na myśl o losie biednego zwierzęcia – samotnego i przerażonego w tym piekle – opanował go bezsilny szloch, który wstrząsnął całym jego ciałem.**

**Jednak łzy nie pociekły z oczu. Bezlitosny żar i dławiący piach odmówiły mu nawet tej nędznej pociechy.**

## ROZDZIAŁ 21

Burza minęła. Will nie miał pojęcia, jak długo pastwiła się nad nimi, z pewnością przez całe godziny. W końcu jednak ucichła.

Kiedy wciąż jeszcze szalała, jej wycie zagłuszyło wszystkie jego zmysły, jedynym zaś wrażeniem pozostawał świdrujący, nieustanny ryk wichru. Kiedy wreszcie zapadła cisza, chłopak zdał sobie sprawę z jeszcze innego odczucia. Coś bardzo ciężkiego zaległo mu na nogach i tułowiu, a także na płaszczu zakrywającym głowy jego i Selethena. Poczul, że wakir poruszył się, także walcząc z ciężarem. Dopiero w tej chwili zrozumiał, że obu zasypał przygnany wiatrem pustynny piasek.

Usłyszał kaszel Selethena, który zdołał uwolnić róg tkaniny. Żółty, brązowawy piach sypnął się na nich kaskadą. Will przewrócił się na plecy, odsunął płaszcz z twarzy.

Spojrzał w dół, ale nie ujrzał ani nóg, ani reszty ciała. Tylko piaszczysty pagórek. Usiadł z wysiłkiem, strzepując piasek rękami. Obok niego Selethen robił właśnie to samo.

Nagle ziemia za nim poruszyła się. Drgnął, zaskoczony i obejrzał się w samą porę, by ujrzeć, jak koń Selethena przewraca się na brzuch, po czym z trudem dźwiga się na nogi. Ogier zwałił przy okazji na nich całą górę piachu. Potem otrzepał się, obsypując ich znowu pyłem.

Will przeczołgał się na plecach ku pustej przestrzeni pozostawionej przez konia; poczul, że jego nogi wyzwalają się spod przygniatającego ciężaru. Szarpnął raz jeszcze i był już wolny. Wstał z trudem.

Poniżej, w łożysku rzeki, inni robili to samo. Widział rząd piaszczystych wzgórków, które falowały coraz energiczniej, jakby poruszone jakimś lokalnym trzęsieniem ziemi, aż zaczęły się wyłaniać spod nich postacie. Ci, którzy schronili się w łożysku pustynnej rzeki, ucierpieli mniej niż on oraz Selethen. Ich także przysypał piasek, lecz nie tak grubą i ciężką warstwą. Lecz oni także musieli włożyć sporo wysiłku, by się spod przyzmy wydostać. Natomiast konie, które stały zadami do wiatru, wyszły na tym znacznie lepiej, bo piasek sięgał im co najwyżej do pęcin.

Spojrzał na twarz Selethena. Cała pokryta była skorupą z drobnutkiego, żółtego piasku. Oczy, zaczerwienione i podrażnione, przypominały otwory w jakiejś groteskowej masce. Will zdał sobie sprawę, że z pewnością sam też nie lepiej wygląda. Wakir znużonym gestem sięgnął po bukłak z wodą przytroczony do końskiego siodła, zwilżył róg kefiru i zaczął delikatnie ścierać nim piasek z oczu swojego wierzchowca, jednocześnie przemawiając do niego łagodnym głosem. Widok konia ufnie poddającego się zabiegom swojego pana, na nowo uświadomił Willowi, co się wydarzyło. Zaczął gorączkowo rozglądać się dookoła, wbrew wszelkiej nadziei spodziewając się, że ujrzy jeszcze jeden piaszczysty wzgórek, wzgórek, spod którego wyłoni się kudłata postać Wyrwija. Ale na próżno.

Wyrwij przepadł.

Odszedł i zaginął gdzieś pośród bezkresnej pustyni. Will postąpił kilka kroków, chciał przywołać konia jego imieniem, ale nie zdołał wydobyć dźwięku z gardła, wyschłego i obolałego od piasku. Poczul dotyk ręki na ramieniu. Odwrócił się: Selethen podał mu bukłak. Napelnił wodą usta, przeplukał je i wypluł. Kolejny łyk ciepłej wilgoci spłynął do jego spragnionego gardła.

Uświadomił sobie, że Selethen jeszcze nie ugasił pragnienia, więc oddał mu bukłak. Wakir upił kilka łyków, po czym odjął od ust skórzane naczynie.

–Nic... ci... nie jest? – spytał urywanym głosem.

Will potrzęsnał głową i wskazał za siebie, na pustynię.

–Wyrwij – jęknął boleśnie. Potem nie był już w stanie powiedzieć ani słowa. Usłyszał odgłos kroków brnących przez piach. Odwrócił się i zobaczył Halta, który z trudem wspiął się

na brzeg suchej rzeki. Również jego twarz oblepiona była żółtym piachem, a oczy i powieki zaczerwienione.

–Nic ci nie jest? – powtórzył pytanie Selethena. Rzucił okiem na prawo, na lewo, potem rozejrzał się szybko i twarz zwiadowcy przybrała zaniepokojony wyraz. – Gdzie Wyrwij? – spytał.

Will spuścił głowę, czując, jak oczy pieką go, jak domagają się łez, lecz nadaremnie. Tak jak i przedtem, jego ciało odmówiło wydzielenia bezcennej wilgoci.

–Przepadł – jęknął tylko. Nie potrafił zmusić się, by wypowiedzieć choćby jedno słowo więcej. Wskazał kolistym ruchem pustynny horyzont.

–Przepadł? – powtórzył zdumiony Halt. – Co to znaczy? Jak to możliwe?

–Koń spłoszył się, więc uciekł z wiatrem – wyjaśnił Selethen. Will spoglądał na Halta z rozpaczą w oczach.

–To moja wina! – wykrztusił. – Puściłem wodze! To moja... To moja wina!

Poczuł, że Halt obejmuje go ramionami. Ale w tej chwili nie było dla Willa żadnej pociechy. Nikt nie potrafił ulżyć cierpieniu chłopca. Jego koń, jego ukochany Wyrwij, przepadł. I to z jego winy, bo to on, Will, wypuścił wodze z ręki. Nie zdołał dopomóc swojemu czworonożnemu przyjacielowi, kiedy ten najbardziej pomocy potrzebował, kiedy ogarnął go bezrozumny strach i bardziej niż kiedykolwiek dotąd wyczekiwał pomocy, wsparcia.

Aż wreszcie nadeszły lzy, rzeźbiąc tunele w żółtym piasku oklejającym jego twarz; ukrył oblicze w ramieniu Halta, a wreszcie wybuchnął płaczem. Gdzieś w oddali słyszał głosy przyjaciół gromadzących się wokół, zadawane pytania i tę straszną, potworną, nieodwołalną odpowiedź, której udzielił im Halt.

–Wyrwij przepadł.

Dwa słowa. Dwa słowa, które sprawiły, że natychmiast wszyscy umilkli. Gilan, Horace i Evanlyn wiedzieli doskonale, jak wiele ten mały konik znaczy dla Willa. Wiedzieli, jak szczególna więź łączy zwiadowcę i jego wierzchowca. A Svengal co prawda nie mógł w pełni tego pojąć, ale domyślił się, że tak właśnie czułby się skandyjski szyper, gdyby stracił swój ukochany okręt, więc ubolewał wraz z pozostałymi.

Jak przez mgłę Will słyszał wyrazy niedowierzania, że wydarzyło się coś aż tak okropnego. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że zwiadowca i jego wierzchowiec to znacznie więcej niż tylko zwierzę oraz dosiadający go jeździec. Zwiadowca nawiązywał przyjaźń ze swoim koniem od pierwszych dni wspólnie pobieranej nauki, koń i człowiek razem kształtowali nabywane umiejętności.

Tylko Selethen patrzył na nich i nie rozumiał. Jak wszyscy Arydzi, kochał konie, ale wiedział też, że w okrutnej pustynnej krainie takie straty są nieuniknione. Zwykle złamanie nogi, brak wody, słoneczny żar, wygłodniałe lwy i piaskowe kobry czające się tam, gdzie zachowało się choć trochę wilgoci lub cienia, także mogły uśmiercić konia w jednej chwili. Straty godne pożałowania, ale trzeba było się z nimi godzić. Spojrzał na słońce; dawno już

minęło południe.

–Odpocznijemy tu przez kilka godzin – oznajmił. – Wyruszymy dalej, kiedy nieco się ochłodzi.

Rozkazał ludziom rozpaść ogień i przyrządzić kawę. Wątpił, czy po tym, co przeszli, ktokolwiek miałby teraz chęć na posiłek. Wiedział jednak, że kawa niejednemu przywróci siły. Tymczasem starszy zwiadowca odprowadził swojego ucznia na bok, znajdując skrawek cienia pod brzegiem wadi. Tam obaj usiedli.

Księżniczka oraz młody rycerz chcieli do nich podejść ze słowami pociechy, ale Halt dał znak dłonią, żeby się nie zbliżali. Nie teraz.

Selethen wiedział, że chłopak z pewnością jest wycieńczony. Tak zresztą, jak i wszyscy pozostali. Pustynna burza wywiera na organizmie bolesne piętno. Mięśnie, nerwy, a także umysł aż do końca pozostają w najwyższym napięciu. Strach paraliżuje, wysysa siły, zwłaszcza dzieje się tak w przypadku kogoś, kto nigdy dotąd jeszcze nie przeżył piaskowego kataklizmu. Burza piaskowa to potężny wysiłek zarówno fizyczny, jak i emocjonalny.

Gilan udał się do żołnierzy, którzy rozpalili tymczasem ognisko. Poczekał, aż kawa będzie gotowa, a potem zaniósł pełny kubek skulonemu biedakowi siedzącemu obok mistrza. Przykucnął obok i podał napój.

–Proszę – rzekł cicho. – Wypij to.

Will, bez reszty pogrążony w rozpaczy, pokręcił tylko głową. Gilan nie dał za wygraną. Podsunął kubek jeszcze raz, trącając nim dłoń chłopaka.

–Wypij – powiedział. – To ci doda siły, a będziesz jej potrzebował, jeśli mamy odnaleźć Wyrwija.

Halt, zaskoczony, wlepił w niego wzrok.

–Co ty powiedziałeś? – spytał, ale Gilan tylko wyjaśnił:

–Ja z nim pojedę – oznajmił. – Odnajdziemy Wyrwija.

Dopiero teraz Will podniósł głowę i wziął naczynie od Gilana. Gdy młody zwiadowca spojrział w oczy chłopaka, dostrzegł w nich nikłą iskierkę nadziei. Maleńką, ale jednak.

Halt zerwał się na równe nogi, ujął Gilana pod ramię i odciągnął go na kilka kroków.

–O czym ty mówisz? – spytał półgłosem. – Wyrwij przepadł. Nie żyje. Gilan potrząsnął głową.

–Tego nie wiemy. Może tylko się zgubił, skąd możesz wiedzieć, że nie żyje?

Halt zdesperowanym gestem wskazał mu piętrzące się wokół góry przywianego piasku.

–Jakim cudem zdołałby ujść z życiem? Czy nie zauważyłeś, że mieliśmy tu potężną burzę piaskową? – spytał.

Gilan spokojnie skinął głową.

–Zauważyłem. I przeżyłem ją. Blaze także. Wydaje mi się, że dokonujesz nieco zbyt pospiesznego osądu. Zakładasz z góry, że Wyrwij nie żyje, a tymczasem nasze konie to twarda rasa.

Halt musiał się zgodzić.

–No, dobrze. Przyjmijmy, że masz słuszość. Założmy, że żyje. Tylko że zaginął bez śladu. I Bóg jeden raczy wiedzieć, gdzie może się znajdować.

–Zaginął – powtórzył Gilan. – Tak, a co zagubione, to można odnaleźć. Musimy spróbować. Gdyby zgubił się Abelard, tak właśnie byś uczynił – dodał, a Halt, który właśnie

miał powiedzieć, że przecież nie istnieje żadna nadzieja na powodzenie takiego przedsięwzięcia, urwał w pół słowa. – Ja z nim pojedę. Daj nam dwa dni. Albo znajdziemy

w

tym czasie Wyrwija, albo dołączymy do was w Mararoku.

–Gil, nie. Ty nie pojedziesz. Ja pojedę sam.

Obaj odwrócili się, zaskoczeni dźwiękiem głosu Willa. Przekonanie brzmiące w jego słowach zdziwiło ich nie mniej niż sama wypowiedź chłopaka. Will, który jeszcze kilka chwil temu trwał pogrążony w skrajnej rozpacz, ujrzał teraz promyk nadziei. I zamierzał za nim podążać.

–Nie możemy zbyt osłabić eskorty Evanlyn. Wszyscy przysięgliśmy królowi, że będziemy jej bronić – przypomniał. – A z nas wszystkich ja jestem najmniej potrzebny, więc pojedę sam. A poza tym – dokończył – to ja go zgubiłem i ja muszę go odnaleźć.

–Nie bądź śmieszny! – rzucił Halt. – Jesteś jeszcze chłopcem!

Ubrudzona, poplamiona łzami twarz Willa przybrała zacięty wyraz – gdy spojrzał prosto w oczy swemu nauczycielowi, człowiekowi, którego szanował i podziwiał bardziej niż wszystkich innych. Chciał coś powiedzieć, ale Gilan uciszył go ruchem ręki.

–Willu, zanim się odezwiesz, daj nam chwilę. Proszę cię – rzekł.

Will zawahał się, bo na twarzy Halta ujrzał determinację nie słabszą od jego własnej. Gilan skinął głową na potwierdzenie swych słów i Will ustąpił. Odszedł, usiadł pod zboczem wadi.

–Halt, posłuchaj – odezwał się Gilan. – Zastanów się, czy gdyby zginął Blaze, a ja postanowiłbym udać się na jego poszukiwanie, czy próbowałbyś mnie powstrzymać?

–Ależ oczy... – odpowiedział odruchowo Halt, lecz zamilkł, bowiem uprzytomnił sobie, czego o mało nie powiedział. – Oczywiście, że nie – poprawił się. – Ale ty już jesteś zwiadowcą, a Will to wciąż jeszcze chłopiec.

Gilan odpowiedział z uśmiechem:

–Halt, czy czegoś przypadkiem nie przeoczyłeś? Przez te wszystkie lata Will stale rósł. Dorastał. Nie jest już tym chuderlawym piętnastolatkiem, którego wzięłeś pod swe skrzydła. Stał się pod każdym względem dojrzałym zwiadowcą, pod każdym – oprócz jednego, który liczy się najmniej.

–To nadal czeladnik – upierał się Halt. Gilan potrząsnął głową.

–Naprawdę wydaje ci się, że nie przejdzie ostatecznego sprawdzianu? – spytał. – W jego przypadku chodzi o zwykłą formalność, a ty doskonale o tym wiesz. Już teraz umie więcej i jest bystrzejszy od kilku pełnoprawnych zwiadowców, których potrafiłbym bez trudu wymienić.

–Tak, ale jest za młody, żeby... – Halt znowu urwał. Wiedział, że to, co powiada Gilan, jest najczystsza prawda. A raczej część jego umysłu posługująca się logiką przyjmowała to do wiadomości. Jednak gdzieś w głębi serca chciał chronić swojego ukochanego ucznia i oszczędzić mu niebezpieczeństw. A kto wie, co może grozić samotnemu wędrowcowi na pustyni? Gilan tymczasem położył dłoń na ramieniu Halta. Dziwnie się czuł, udzielając rad komuś, kto zarówno kiedyś, jak i teraz był dla niego niezrównanym mistrzem.

–Zawsze wiedziałeś, że nadejdzie taka chwila, kiedy przyjdzie ci go wypuścić spod swych skrzydeł. Nie możesz sterczeć przy nim i troszczyć się o wychowanka przez resztę jego życia.

**Nie po to wyszkoliłeś go na zwiadowcę. Pamiętasz, jak próbowałeś mi matkować?**

**Halt rzucił dawnemu uczniowi ostre spojrzenie. Gilan, nadal z uśmiechem, odpowiedział na jego niewypowiedziane pytanie:**

**–Ależ tak. Podczas kilku ostatnich miesięcy mojego terminu starałeś się chronić mnie jak kura chroni swoje pisklą – rzekl. – Pamiętasz niedźwiedzia-ludojada, którego musieliśmy**

**wytropić? Robiłeś wszystko, żebym został w Redmont, pod takim albo innym pretekstem.**

**Halt zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie dawne czasy. Czyżby rzeczywiście tak postępował? Musiał przyznać, że całkiem możliwe... I gdy teraz myślał o Willu, nie potrafił nie zgodzić się z Gilanem. Ten chłopak – a właściwie młodzieniec – bez dwóch zdań za kilka miesięcy zostanie przyjęty do grona zwiadowców. Umie wszystko, co powinien umieć. Sprawdzian będzie wyłącznie czczą formalnością, niczym więcej.**

**–Halt, zawierzyłbyś mu własne życie? – przerwał jego rozmyślania Gilan. Halt spojrzął mu w oczy.**

**–Tak – odparł spokojnie.**

**Gilan znów poklepał go po ramieniu.**

**–A więc pozwól, żeby decydował o swoim – powiedział.**



## ROZDZIAŁ 22

Will wybrał dla siebie konia spośród dziesięciu luzaków prowadzonych przez eskortę. Wybór padł na deresza – najmniejszego spośród arydzkich koni. Wskazał go właściwie bezwiednie, dopiero później zdał sobie sprawę, że chyba kierował się przede wszystkim wielkością zwierzęcia, by czuć się swobodniej na jego grzbiecie.

–Na imię ma Strzała – wyjął mu arydzki żołnierz opiekujący się końmi. I dotykając palcem potężnego łuku zawieszzonego na ramieniu Willa, dodał z uśmiechem: – Wszystko się

zgadza. A przy tym dokonaleś dobrego wyboru. Widać, że masz oko do koni.

–Dziękuję – bąknął Will, chwytając za uzdę wierzchowca. Schylił się, sprawdził popręg. Dawno już go nauczono, że nie należy nigdy polegać na innych, jeśli chodzi o siodło,

w którym jeździec ma zasiąść. Aryda, zamiast okazywać urazę, skinął głową z aprobatą.

U siodła zawieszono dwa bukłaki pełne wody, prócz tego w jukach spoczywał mały namiot i zwinięty koc. Należący do Willa sprzęt obozowy przepadł w burzy razem z Wyrwijem.

Przyprowadził Strzałę do grupki swych przyjaciół, którzy czekali, by życzyć mu szczęścia na drogę. Koń przez chwilę opierał się, chciał wrócić do swych towarzyszy. Zarżał. Jednak potem, gdy Will pociągnął stanowczo za wodze i przemówił doń kilka słów, ruszył posłusznie za nim.

Horace bez słowa uściśnął dłoń Willa, a potem przytrzymał konia za uzdę, podczas gdy Will żegnał się z resztą. Evanlyn objęła go ze łzami w oczach.

–Powodzenia, Willu – szepnęła chłopcu do ucha. – Uważaj na siebie. Wiem, że go znajdziesz.

Gilan potrząsnął mocno dłonią Willa, patrząc przyjacielowi w oczy. Na jego twarzy malowała się troska.

–Znajdź go, Willu. Naprawdę, wolałbym jechać z tobą.

Will potrząsnął głową.

–Tę kwestię już omówiliśmy – przypomniał. Nie chciał się rozwodzić nad całą sprawą. Przecież jeśli Evanlyn zorientuje się, że wyrusza sam ze względu na jej bezpieczeństwo, będzie się gwałtownie sprzeciwiać. A sprzeciw księżniczki krwi nie był czymś łatwym do zlekceważenia, zwłaszcza w tak trudnej chwili.

Potem przyszła kolej na Svengala. Ten, jak przystało na Skandianina, obdarzył szczupłego młodzieńca niedźwiedzim uściskiem.

–Trzymaj się, chłopie – powiedział. – Znajdź swego konia i wracaj do nas.

–Dzięki, Svengalu. A wy postarajcie się nie tracić czasu, jak najszybciej doprowadźcie do uwolnienia Eraka. Jestem pewien, że bardzo się niecierpliwi.

Na poznaczonej bliznami twarzy wielkiego Skandianina pojawił się szeroki uśmiech.

–Myślę, że pilnujący go strażnicy będą nam wdzięczni, kiedy wreszcie pozbędą się naszego oberjarla – stwierdził.

Teraz przyszedł czas na pożegnanie Halta. Gdy nadeszła stosowna chwila, żaden nie wiedział, co powiedzieć. Uczeń uściśnął więc tylko mocno siwobrodego zwiadowcę. Dopiero wtedy Will odzyskał głos.

–Halt, ja wrócę. I wrócę z Wyrwijem.

–Oczywiście. Macie wrócić obaj, to rozkaz!

Choć Halt przemawiał surowym tonem, Willowi zdawało się, że głos mistrza jakby się załamał. Ale nie, na pewno tylko mu się tak wydawało. Halt miałby się wzruszyć? Ten ponury, chmurny, beznamiętny Halt? Nigdy w życiu.

Will oraz jego mentor poklepywali się przez chwilę wzajemnie po plecach – jak to czynią mężczyźni, którym brak słów, by wyrazić uczucia. Tymczasem nadszedł Selethen. Wakir najpierw przyjrzał się wierzchowcowi, zlustrował wyposażenie przytroczone do siodła, po czym skinął aprobująco głową. Następnie wręczył Willowi zwój pergaminu.

–To jest mapa okolicy z zaznaczonymi studniami, charakterystycznymi punktami, a także drogą do Mararoka... – zawahał się. Sporządził dla młodego zwiadowcy wierną kopię

własnej mapy; zdawał sobie sprawę, jak ważny strategiczny dokument przekazuje w ręce cudzoziemca. – Mam twoje słowo, że nie przerysujesz jej ani w inny sposób nie zanotujesz zawartych na niej danych?

–Uroczyście daję słowo, że nic takiego nie zrobię – zapewnił Will.

Tylko pod tym warunkiem Selethen zgodził się dostarczyć mu mapę.

–Jesteś pewien, że nie zgubisz kierunku? – upewnił się jeszcze Selethen. Will dotknął kamizelki, w której wewnętrznej kieszeni spoczywał bezpiecznie ukryty kompas. Iгла magnetyczna nie była znana Arydom. Wędrując przez pustynię, posługiwali się gwiazdami oraz skomplikowanymi tablicami określającymi ruch, wysokość i pozycję słońca w

godzinach

dziennych o różnych porach roku.

–Dam sobie radę. Dzięki, Selethenie.

Aryda skinął głową. Nadal był zdania, że niepotrzebnie robi się tyle zachodu o zwykłego konia. Uznał jednak, że widać Aralueńczycy bardziej przywiązują się do swoich wierzchowców.

–Możliwe, że twój koń pobiegł przed siebie, pędzony wiatrem. To znaczyłoby, że kierował się nieco na północ od północnego wschodu. – Rozwinął mapę i wskazał kierunek.

–

Będziesz więc jechał przez Czerwone Wzgórza. Spójrz. – Pokazał mu pasmo górskie uwidocznione na mapie. – Po drugiej stronie wzgórz są dwie studnie. Konie potrafią

wyczuć

wodę z wielkiej odległości. Jeśli twój złapał jej zapach, może znajdować się w pobliżu którejs

z nich. Do tej powinieneś dotrzeć jutro po południu.

Ponieważ Arydzi posługiwali się innym zapisem, nieznanym Willowi i reszcie Aralueńczyków, wszystkie elementy na mapie zostały zaznaczone za pomocą rysunków.

–O ile się nie mylę i jeśli twój koń znajdzie wodę, raczej będzie się jej trzymać.

Gdybyś jednak tam go nie znalazł, to już nie wiem, co ci doradzić – rzekł Selethen, a Will w

milczeniu przyjrzał się mapie. Potem podniósł wzrok i spojrzał w stronę północy. Selethen dodał: – Nocą zawsze rozpalaj ognisko. Na pustyni są lwy, ogień je odstrasza. Zresztą,

kiedy

któryś pojawi się w pobliżu, łatwo się zorientujesz. – Spojrzał na deresza. – Strzała ci o tym

powie i to nie zwlekając, bowiem drapieżnik polować będzie przede wszystkim na nią.

–Czy jeszcze czegoś powinienem się wystrzegać? – spytał Will.

–Owszem. Węzy. Szczególnie groźna jest kobra piaskowa. Jak większość żywych istot na pustyni szuka wilgoci i cienia. Dzięki swojemu ubarwieniu jest na piasku niemal niewidoczna – dopóki nie podniesie głowy. Ale kiedy to się stanie, masz co najwyżej dwie sekundy, nim zaatakuje.

–A co mam uczynić, jeżeli mnie ukąsi? Selethen pokręcił wolno głową.

–Nic. Po prostu umrzesz – rzekł.

Will skrzywił się, bo nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Uścisnął dłoń Selethena, zwinął mapę i wsunął ją za kamizelkę.

–Dziękuję ci, Selethenie. Zobaczymy się znów za kilka dni. Selethen dotknął dłonią ust, czoła, znowu ust.

–Jeśli Opiekun Podróżnych na to pozwoli – rzekł poważnym tonem.

Will odwrócił się do pozostałych towarzyszy i z trochę wymuszonym uśmiechem odebrał Horace'owi wodze Strzały.

–Pora ruszać – stwierdził. – Piaskowe kobry już nie mogą się doczekać.

Wskoczył lekko na siodło. Skierował Strzałę na północ, opuszczając niewielkie obozowisko na dnie wyschniętej rzeki. Gdy oddalił się o sto metrów, spojrzął za siebie – i od razu pożałował. Uczuł, że na widok przyjaciół smutek ściska go za gardło i serce. Evanlyn, Horace, Gilan oraz Svengal machali mu na pożegnanie. Halt stał bez ruchu, nieco oddalony od pozostałych. Patrzył w ślad za odjeżdżającym uczniem.

Patrzył w tamtą stronę jeszcze długo po tym, jak koń i jeździec rozplynęli się w rozedrganym powietrzu pustyni.

\*\*\*

–Halt, powinniśmy ruszać. Selethen twierdzi, że i na nas już czas.

Gilan dotknął ramienia dawnego nauczyciela. Od chwili, kiedy Will wyjechał na poszukiwanie Wyrwija, Halt stał bez ruchu w tym samym miejscu i wpatrywał się w dal, jakby błagał los o pomyślną podróż dla swego czeladnika.

Na dźwięk słów Gilana drgnął, opuszczając w końcu zajmowane stanowisko. Był nieco zaskoczony i trochę więcej niż nieco wzruszony, kiedy przekonał się, że Gilan tymczasem osiadł dla niego Abelarda, ale i tak z ciężkim sercem ruszył ku miejscu, gdzie czekały na nich konie.

Abelard i Blaze – jak mu się zdawało – także odczuwali nieobecność Wyrwija. Gdyby chodziło o inne konie, być może uznałby to wrażenie za wytwór własnej fantazji, ale przecież chodziło o wierzchowce zwiadowców – łączyły je więzy niemal tak samo silne jak ich jeźdźców. A w dodatku Abelard oraz Wyrwij przez dobre pięć lat przebywały niemal nieustannie w swoim towarzystwie. Halt wyczuł niepokój wierzchowca. Abelard najchętniej ruszyłby galopem na północ, gdzie – jak mu się zdawało – mógłby odnaleźć utraconego towarzysza. Halt poklepał zwierzę po miękkich nozdrzach i rzekł łagodnym głosem:

–Will go znajdzie, koniku. Bądź spokojny.

Mówiąc te słowa, Halt zdawał sobie sprawę, że sam bardzo pragnąłby w nie wierzyć. Martwił się i niepokoił o Willa, w niemalym stopniu dlatego, że jego uczeń wyruszył na wędrówkę po kraju, o którym on, Halt, sam niewiele wiedział. W zwykłych okolicznościach

niejedno zdołałby mu doradzić i ostrzec przed niebezpieczeństwami, jakie czyhają na drodze. Tym razem jednak chłopak rozpoczynał prawdziwą podróż w nieznane.

Wskoczył na siodło, spojrzął po towarzyszach. Dostrzegł na ich twarzach ten sam niepokój i wątpliwości, toteż zdał sobie sprawę, że jeśli nie z innej racji, to choćby na ich użytek, musi pokazać, że jest dobrej myśli.

–Słuchajcie, też mi się to nie podoba – odezwał się do nich. – Ale spójrzmy prawdzie w oczy: Will dysponuje wieloma atutami. A mianowicie – jest dobrze uzbrojony. Dobrze wyszkolony. Ma niezłego wierzchowca. Doskonale potrafi orientować się w terenie, a w dodatku dysponuje kompasem oraz mapą Selethena. Dlaczego miałyby mu się nie udać?

Podniósł ich nieco na duchu, uświadamiając im, jak wiele przemawia na rzecz Willa. Każde bez wahania zaufałyby mu w trudnej sytuacji. Dzięki temu, kiedy Selethen dał sygnał do wymarszu, towarzysze Halta opuścili teren obozowiska w znacznie lepszych nastrojach.

Jednak zwiadowca, kierując Abelarda w stronę przeciwną do tej, w którą udał się Will, wciąż nie mógł się wyzbyć wrażenia, że pominął w swoich kalkulacjach jakiś bardzo istotny czynnik.

## ROZDZIAŁ 23

Will, po paru godzinach drogi, spędził noc na pustyni. Wyruszył o bladym świcie. Wkrótce dotarł do Czerwonych Wzgórz, które dostrzegł na horyzoncie już wieczorem poprzedniego dnia.

W przyszłości Halt nieraz miał czynić sobie gorzkie wyrzuty z powodu wielkiego niebezpieczeństwa, na jakie wystawił Willa. Powtarzał sobie, że powinien był je przewidzieć, czy raczej powinien był w porę zdać sobie sprawę z zagrożenia.

Halt po wielokroć roztrząsał ten temat. I – jak to zwykle bywa, kiedy jest już po wszystkim – z kryształową wręcz przejrzystością jako oczywisty jawił mu się fakt, że przecież spędził długie, długie lata w okolicach Redmont – czyli Czerwonej Góry. Nazwano ją tak z powodu koloru skał, na których wznosiły się potężne mury zamku, zbudowane z tego samego kamienia. W popołudniowym świetle mieniły się czerwoną barwą – była to bowiem skała żelazista, zawierająca znaczne ilości rudy żelaza.

Halt wiedział doskonale, że Willa czeka wędrówka przez obszar zwany „Czerwonymi Wzgórzami”. Dlaczego – i to właśnie spędzało mu sen z powiek – uszedł jego uwadze tak oczywisty łańcuch skojarzeń? Czerwone skały i ruda żelaza; Redmont i Czerwone Wzgórze...

Otóż, w rzeczy samej, wzniesienia te kryły w sobie potężne złoża kruszcu, tak bogate, że ruda nadawała im charakterystyczne rdzawe zabarwienie. Kłopot w tym, że kiedy Will wędrował pośród nich – a niektóre z pagórków składały się niemal całkowicie z czystej rudy – igła magnetyczna jego kompasu ulegała odchyleniu, przyciągana przez masy żelazistej skały, odwracając się niezgodnie z kierunkiem pola magnetycznego Ziemi.

Selethen rzecz jasna wiedział o znajdujących się tam złożach żelaza. Arydzi na wzgórzach właśnie najczęściej się w nie zaopatrywali, zwłaszcza że pokłady były łatwo dostępne, jako że znajdowały się blisko powierzchni. Pozwalało to uniknąć drażenia głębokich sztolni, co byłoby uciążliwe i niebezpieczne. Ale z drugiej strony, Arydzi nie znali sekretu posługiwania się kompasem, a trzech zwiadowcy dołożyli wszelkich starań, by ta tajemnica pozostała niewyjawiona. Selethen nie mógł więc wiedzieć, że zmylona żelazista

skałą igła kompasu Willa wyprowadzi młodego wędrowca na manowce. Obaj – Halt i Selethen, każdy z osobna – byli w posiadaniu kluczowych informacji, a gdyby Will wiedział tyle, co oni, niewykluczone, że dotarłby bezpiecznie do studni.

Zapewne wkrótce Will samodzielnie zdałby sobie sprawę z zagrożenia – ale tylko pod warunkiem, że ani na chwilę nie spuszczałby kompasu z oka. Zauważyłby wówczas, że od czasu do czasu igła odchyła się gwałtownie w tę czy inną stronę. Nie tak jednak go wyszkolono: tego by tylko brakowało, żeby zwiadowca przemierzał obcy, nieznan sobie kraj wpatrzony w igłę magnetyczną!

Will poczynił sobie całkiem inaczej. Ściągał wodze wierzchowca i unosił kompas do oka, po czym czekał, aż igła się ustabilizuje. Następnie przekręcałznaczony karbami pierścień kompasu, tak by igła wskazywała literę N oznaczającą północ. Potem, spoglądając przez karby pierścienia, odnajdywał kierunek północno-wschodni (podczas gdy igła wciąż wskazywała północ). Wyszukiwał jakiś leżący opodal tej linii charakterystyczny element krajobrazu, odległy o pięć czy dziesięć kilometrów, ten zaś służył mu jako drogowskaz w dalszej wędrówce – i tak czynił dopóty, dopóki do niego nie dojechał. Wtedy powtarzał pomiarowe czynności, na nowo wyznaczając kierunek jazdy.

Niestety, za każdym razem, kiedy to robił, oddalał się coraz bardziej od właściwego kursu, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, że się błąka.

Gdyby przebywał w Araluenie, być może z błędu wyprowadziłyby go pozycja słońca na niebie – ale przecież wiedział, że znajduje się o wiele dalej na południe. Tutaj słońce wydawało się poruszać po nieboskłonie inną trajektorią, toteż – tak jak go nauczono – przede wszystkim ufał kompasowi. I, ufny jego wskazaniom, błędził coraz bardziej.

Kiedy przebył wreszcie Czerwone Wzgórza, kompas powrócił do normalnego zachowania, a igła znów zaczęła pokazywać właściwy kierunek. Jednak wówczas szkoda była już nie do naprawienia, Will znajdował się bowiem o całe mile od miejsca, w które, jak mu się zdawało, powinien zawędrować.

Zgodnie ze wskazówkami Selethena, odpoczął w środku dnia. Nie dawało się wyszukać choćby skrawka cienia, gdyż słońce paliło, padając niemal bezpośrednio z góry, a wokół nie rosło ani jedno drzewo; gdzieniegdzie spotkać było można co najwyżej kolczaste, bezlistne krzaki. Młody zwiadowca rozstawił więc swój malutki jednoosobowy namiocik i w nim schronił się przed słońcem, nie opuszczając skrzydeł, by umożliwić przepływ powietrza. Co prawda w południe pustynne powietrze stało właściwie w bezruchu.

Strzała musiała niestety pozostać w palących płomieniach słońca, ale znosiła upał dzielnie – wszak jej końscy przodkowie przywykli do słońca od niezliczonych pokoleń.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami w namiocie, Will rozłożył mapę Selethena i przyglądał się jej, pewnie już po raz dziesiąty tego dnia.

Zaznaczył punkt, z którego wyruszył, a potem palcem wyznaczył linię prowadzącą na północny-wschód, przez Czerwone Wzgórza i jałową, spieczoną słońcem równinę, gdzie się teraz znajdował. Biorąc pod uwagę przebyty dystans, określił punkt na mapie.

–Powiniennem trafić... tutaj – rzekł do siebie. Zmarszczył brwi, przypominając sobie, co widział tego przedpołudnia. Jeśli rzeczywiście dotarł w zakładane miejsce, przecież powinien był po drodze minąć wznoszące się na wschodzie od jego marszruty charakterystyczne wzgórza o płaskim szczycie.

Owszem, około godziny wcześniej widział podobny kształt, przynajmniej tak mu się wydawało, lecz majaczył on w oddali i na dodatek po zachodniej stronie.

Czyżby tak bardzo zboczył z kursu? Potrząsnął głową. Nadzwyczaj starannie określał swoją pozycję oraz pieczołowicie dobierał punkty orientacyjne, w stronę których się kierował. Owszem, trudno wykluczyć, że odszedł od obranego kierunku o kilkaset metrów. Może nawet o pół kilometra, choć gdy odbywał szkolenie dotyczące orientacji w terenie, nigdy nie zdarzyło mu się popełnić aż tak dużego błędu.

Wzgórza o płaskim szczycie musiały być oddalone o pięć lub sześć kilometrów na zachód od miejsca, w którym teraz się znajdował. W zamyśleniu postukał palcem o pergamin. No cóż, pomyślał, na tej pustyni zapewne wznosi się niejedno wzgórze o płaskim szczycie. Tak, z pewnością. Być może to, które Selethen zaznaczył, zmieniło swój kształt pod wpływem nieustającego działania wiatru. Zwinął mapę, odłożył ją. Bez wątplenia stąd całe nieporozumienie, przekonywał w myśli siebie samego. Po prostu nie zauważył tego pagórka i tyle. Gdy znów wyruszy w drogę, będzie musiał uważniej wypatrywać zaznaczonych na mapie szczegółów krajobrazu – ściany skalnej z licznymi jaskiniami oraz wiszącej skały. Tak, trzeba będzie zwrócić na nie szczególną uwagę.

Kilka następnych godzin spędził w ogłupiającym, niezdolnym upale. Nie miał pojęcia, jakim sposobem wytrzymał to jego koń, pozbawiony jakiejkolwiek osłony. W rzeczywistości Strzała, dla której nie pierwszozną były tak skrajne warunki, zdołała znaleźć odrobinę cienia, jaki dawał niski krzew. Z głuchym stęknieniem legła na boku, kryjąc w największej głębi kiepskiego cienia łeb, by chronić wrażliwą skórę wokół oczu, nozdrzy i pyska.

Słońce znalazło się w najwyższej pozycji, a potem zaczęło zniżać się w stronę zachodniego horyzontu. Znużony Will wyczołgał się z namiotu. Trudno by mu było powiedzieć, że odpoczął, gdyż upał kompletnie go wycieńczył. Oba bukłaki z wodą przechował w namiocie; gdyby pozostały na zewnątrz, woda ogrzałaby się do niezdolnie

wysokiej temperatury. Ponadto znaczna jej część wyparowałaby przez skórę, która przecież nie jest idealnie szczelna.

Do siodła przytroczono składane skórzane poidło; odwiązał je teraz i rozłożył. Strzała usłyszała charakterystyczny dźwięk, dźwignęła się na nogi, otrzepała z piasku. Koń podszedł do Willa, który ostrożnie napełniał naczynie. Will ze zdumieniem zauważył, że zwierzę nawet nie próbowało się napić, dopóki nie podstawił poidła pod jego pysk.

Gdy Strzała zaczęła hałaśliwie chleptać, Will poczuł, że mimo woli oblizuje usta. Zaschło mu w nich zupełnie, nie mógł już się doczekać, kiedy sam ugasi pragnienie. Nauczono go jednak, że przede wszystkim należy zadbać o wierzchowca, toteż odczekał cierpliwie, aż Strzała skończy pić i dopiero wtedy uniósł bukłak do ust. Wypił długi łyk, jeszcze przez chwilę nie połykał wody, tylko odczekał, aż nawilży mu język i dziąsła, po czym pozwolił jej spłynąć powoli do gardła. Woda była niemal gorąca, od bukłaka zaś przejęła gorzkawy, skórzasty posmak. Jednak w tej chwili smakowała mu niczym najwspanialszy nektar. Gdy przełknął ostatnie krople, poczuł przemożną pokusę, by napić się jeszcze raz, ale powstrzymał się i zatkał bukłak korkiem.

Spore wrażenie zrobił na nim fakt, że Strzała opróżniła swoje naczynie, a potem odeszła o krok czy dwa. Każdy inny koń, nawet Wyrwij, domagałby się następnej porcji. Pustynny trening Arydów, pomyślał Will. Sięgnął do sakw przy siodle, nasypał do naczynia kilka garści ziarna, zastanawiając się przy tym, co może dziać się z Wyrwijem, gdzie jest i czy nic mu nie grozi. Podsunął pojemnik pod pysk Strzały i nasłuchiwał przez chwilę chrzęstu wydawanego przez końskie zęby.

Will zjadł kilka daktyli oraz kawałek podplomyka. Pieczywo już całkiem sczerstwiało, ale zmusił się, żeby przełknąć kilka kęsów. Nie był ani trochę głodny, co przypisał morderczemu upałowi, lecz wiedział, że należy coś zjeść.

Upił kolejny łyk wody. Na dźwięk wyciąganego korka Strzała podniosła łeb, a Will dostrzegł niemy wyrzut w wielkich, wilgotnych oczach.

–Przyzwyczajony jesteś. A ja nie – rzekł do konia. Na Strzale to tłumaczenie nie zrobiło większego wrażenia. Wetknęła pysk do poidła, żeby wyszukać jęzorem resztki ziarna, jakie mogły tam pozostać.

Will spojrzął na słońce. Uznał, że zostało mu jeszcze około godziny do chwili, kiedy trzeba będzie rozłożyć obozowisko na noc. Już teraz cień chłopca przybrał dziwaczny, wydłużony kształt, falujący przed nim na nierównym gruncie. Owszem, wiedział, że Selethen nie tylko rozpocząłby, ale i skończył dzienny marsz w ciemnościach. Jednak orientujący się według gwiazd Arydzi nie musieli rozglądać się za charakterystycznymi punktami krajobrazu

i podążać za wskazaniem kompasu, toteż w czasie wędrówki nie było im potrzebne światło dzienne.

Tymczasem Will z konieczności pilnował magnetycznej igły, a w dodatku wypatrywał punktów zaznaczonych na mapie. Przypomniawszy sobie wzgórze o płaskim szczycie i poczuł, że zaczynają go ogarniać wątpliwości. Nie, to przecież niemożliwe, żebym je przegapił -pomyślał.

Osiadł Strzałę, spakował namiot, koc, zebrał resztę rzeczy, po czym przytroczył je starannie do siodła.

–Czeka nas jeszcze godzina drogi – powiadomił Strzałę. Koń ani nie był zachwycony tą wiadomością, ani też nie okazał niezadowolenia, tylko stał spokojnie, czekając, aż Will wskoczy na jego grzbiet. Nim ruszyli, Will znów wydobyl kompas. Tym razem za punkt orientacyjny miała mu służyć wysoka na kilka metrów piaskowo-solna iglica, połyskująca w promieniach zniżającego się ku zachodowi słońca. Cmoknął językiem, koń ruszył przed siebie.

Im bardziej słońce zniżalo się nad horyzontem, tym gorzej widoczny stawał się krajobraz po zachodniej stronie, wreszcie dawalo się odróżniać już tylko zarysy skał i gór. W pewnym momencie miał wrażenie, że dostrzega urwiska – chociaż wydały mu się trochę zbyt niskie. Nie potrafił określić, czy w ścianie znajdują się otwory jaskiń, bowiem zbocze pograżyło się w głębokim cieniu. Spoglądał na nie teraz prawie prosto pod słońce, zatem nie był w stanie dostrzec takich szczegółów. Chociaż może to i jest miejsce, które widnieje na mapie. I nie sposób wykluczyć, że jaskinie tam są, choć ich nie widać. Na pewno są, muszą być, pomyślał.

Jednak znów poczuł ogarniające go wątpliwości. A jeżeli się myli?

Gdy czerwona słoneczna kula zawisła tuż nad horyzontem, postanowił zatrzymać się na noc. Musiał jeszcze nazbierać chrustu na ognisko, a do tego potrzebował światła dziennego. Spętał kopyta Strzały, podszedł do zbocza pagórka porośniętego niskimi, suchymi krzakami. Prawą ręką dobył dłuższego z noży. W lewej trzymał luk; użył go, by narobić jak najwięcej hałasu, uderzając w gałęzie, jak to czynili ludzie Selethena. Chodziło o to, że w cieniu pustynnych zarośli często czaiły się piaskowe kobry, należało więc je wypłoszyć przed wsadzeniem ręki w potencjalnie śmiertelną pułpkę.

Tu jednak ich nie spotkał, toteż bez trudu zebrał wystarczającą ilość opału. Przesycone żywicą gałęzie pustynnych krzewów wyschły na wiór, miał więc pewność, że będą palić się długo, dając sporo ciepła, nim obrócą się w popiół.

Przygotował ognisko, ale na razie nie rozpałał go jeszcze. Teraz, gdy najważniejsze zadania zostały już wykonane, rozsiadł Strzałę i złożył cały dobytek na kupkę. Zerknął na niebo, potem na namiot, leżący obok siodła i zwiniętego posłania.

–Niepotrzebny – stwierdził wreszcie.

Rozłożył cienki materacyk oraz koc, by usiąść. Skrzywił się, albowiem jeden z niezliczonych pustynnych kamyków wbil mu się boleśnie w kość ogonową. Zadowolili się kolejnym łykiem wody i garścią daktyli. Spostrzegł pełne wyrzutu spojrzenie Strzały, wstał zatem, stękając, gdyż w zmęczonych kolanach poczuł ciężar własnego ciała. Nakarmił i napoił wierzchowca.

Słońce tymczasem znikło, a wraz z nim panujący przez cały dzień skwar. Will wiedział, że wkrótce na pustyni zapanuje lodowaty chłód. Sprawdził pęta na kopytach Strzały, wrócił na posłanie. Był zmęczony. Gorąco minionego dnia wysało z niego siły, niczym jakaś wroga moc. Stawało się coraz ciemniej, na niebie pojawiły się gwiazdy.



Leżał na plecach, z ramieniem pod głową i przyglądał się niebu. Coraz to nowe gwiazdy rozbłyskiwały na nieboskłonie. Zazwyczaj był to widok przyjazny, jakby powitanie ze strony ciemności niosących kojący odpoczynek. Ale nie tym razem. Tej nocy, tak jak i poprzedniej, myśli chłopca błądziły przy Wyrwiju, zagubionym gdzieś w bezlitosnej pustyni. Pamiętał też o swych towarzyszach, którzy wędrowali teraz w przeciwnym kierunku niż on. Zateśknął za wesołymi pogawędkami przy ognisku i gęstą, słodką kawą. Obliznął usta.

Nawet widok gwiazd nie niósł już żadnej pociechy. Tutaj świeciły gwiazdy obce, zimne, obojętne i okrutne. Nie układały się w żadną ze znanych mu konstelacji, choć kiedy uniósł się na lokciu, dostrzegł jedną czy dwie z nich – zawisły tuż nad północnym horyzontem.

Strzała poruszyła się niespokojnie, a w oddali Will usłyszał niski, kaszlący pomruk. Wiedział, że to odgłos wydawany przez lwa. Nie żaden majestatyczny, grzmiący ryk, tylko właśnie ów gardłowy kaszel. Żeby upewnić się ostatecznie, spojrzął na konia. Strzała stała wyprostowana, nastawiła uszu i wytrzeszczyła oczy.

–Trzeba rozpalić ognisko – Will rzekł do konia. Wstał z trudem i zabrał się do krzesania ognia. Po kilku minutach palił się już mały, jasny płomyczek. Przyprowadził Strzałę; spętane zwierzę z trudem kuśtykało, ale Will nie mógł pozwolić sobie, żeby zdjąć postronki. Gdyby spłoszony koń uciekł na pustynię, Will straciłby wszelkie szanse.

–Spokojnie, spokojnie – odezwał się do wierzchowca. Rzeczywiście, po kilku minutach Strzała uspokoiła się – położyła uszy i opuściła łeb; najwyraźniej przestała się obawiać.

Will umościł się, podciągnął koc pod brodę. Przyzwyczajony do spania, gdy tylko nadarzy się okazja i we wszelkich możliwych okolicznościach, niemal natychmiast zapadł w drzemkę.

Obudził się gwałtownie na odgłos przerażonego rżenia Strzały. Przez sekundę lub dwie miał okropne poczucie, że nie wie, gdzie się znajduje. Jednak w następnej chwili odzyskał pełnię świadomości. Zerwał się na nogi z łukiem w jednej, a strzałą w drugiej ręce, sondując wzrokiem panujące dookoła ciemności.

Znów usłyszał ten obmierzły, gardłowy kaszel; tym razem złowrogi odgłos rozległ się chyba bliżej. Poprawił ogień, dorzucił kilka gałęzi i usiadł, opierając plecy o siodło, z łukiem na kolanach.

Owinął ramiona pledem; pogodził już się z myślą, że musi zachować czujność, podczas gdy każdy mięsień jego ciała domagał się wypoczynku oraz długiego, głębokiego snu.

–Taki los – mruknął Will. Czekala go długa, zimna, ciężka noc.

## ROZDZIAŁ 24

Jak słusznie przewidział Will, Selethen zrywał swój oddział na nogi jeszcze przed świtem. Budzili się w środku nocy, rozpalali ogniska, arydzcy żołnierze sporządzali kawę i piekli podplomyki na węglach. Selethen zwrócił uwagę, że odkąd przed dwoma dniami młody zwiadowca opuścił ich szeregi, w zachowaniu Aralueńczyków coś się zmieniło. Nie żartowali już i nie śmiali się przy ognisku, gdy pili poranną kawę. Pozostawali przygnębieni i wyraźnie niepokoił się o swojego towarzysza.

Ujawniało się to zwłaszcza w reakcjach trojga młodszych jego przyjaciół, bo Halt – jak zwykle małomówny i mrukliwy – zachowywał kamienną twarz. Jednak Selethenowi wydało się, że starszy zwiadowca, doradca królowy przejawia teraz jeszcze większą skłonność do uporczywego milczenia. Niewątpliwie młody Will był ulubieńcem wszystkich i brakowało im jego towarzystwa.

Nie znaczyło to jednak, by dwaj starsi zwiadowcy mniej gorliwie obserwowali otaczający ich krajobraz. Selethen nie wątpił, że starają się zapamiętać wszystkie mijane charakterystyczne punkty oraz prawdopodobnie zapisują je, żeby odtworzyć potem mapę drogi wiodącej z Al Shabah do Mararoka. Will co prawda przyrzekł, że nie skopiuje otrzymanej od Selethena mapy, jednak dwóch pozostałych jego towarzyszy nie wiązała żadna przysięga. Wakirowi niezbyt się to podobało, lecz niewiele mógł zrobić, by ich powstrzymać.

Przez pierwsze kilka godzin, gdy zdążali w ciemnościach, utrzymywali zwarty szyk. Potem, kiedy słońce wschodziło w pełni blasku, arydzka eskorta na rozkaz dowódcy formowała strażę przednią oraz tylną, a pozostali żołnierze tworzyli strażę boczne, jadące równolegle do grupy środkowej.

Drugiego dnia, kilka godzin po wschodzie słońca, natrafili na ślady karawany przemierzającej tę drogę przed nimi – oddziału, który zabrał Eraka z Al Shabah do Mararoka. Rzecz jasna wszelkie wcześniejsze ślady zatarła piaskowa burza; dzięki temu mogli stwierdzić, że ich poprzednicy wędrowali tą samą trasą dwa dni wcześniej i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

–Jadą wolniej niż my – stwierdził Halt. Wiedział, że Selethen wysłał Eraka z regularną karawaną, jakie przemierzały ten trakt, wioząc towary z przybrzeżnych portów do położonego

w głębi łądu miasta. Kupcom zawsze towarzyszyła zbrojna eskorta, toteż rzeczą rozsądną było skorzystać z nadarzającej się okazji. Jednak ciężko obciążone muły i wielbłądy siłą rzeczy spowalniały wędrowkę.

Gilan zsunął się z siodła. Uklęknął, by przyjrzeć się śladom na twardej ziemi. Odnalazł słabe odciski kopyt tu i tam – tropy dla niewprawnego oka niemal niewidoczne. Dały się też zauważyć bardziej oczywiste ślady przemarszu karawany, a mianowicie kupki nawozu. Gilan rozdlubał jedną z nich; posługując się patykiem, sprawdził, czy jest wilgotna wewnątrz. Był to jeden ze zwiadowczych sposobów na ustalenie, jak świeży jest dany trop; inny sposób polegał na ocenianiu, na ile zdążył wyschnąć sok w gałęzi złamanej przez przechodzące zwierzę. Brakowało mu jednak obycia z tak gorącym i suchym klimatem, jaki panował na arydzkiej pustyni, a to komplikowało zadanie.

–Trudno powiedzieć – stwierdził Gilan.

Halt wzruszył ramionami.

–Tutaj nawóz musi wysychać o wiele prędzej niż u nas, na północy. Wiemy, że nie może być starszy niż sprzed dwóch dni, bo wszystkie wcześniejsze ślady starła burza piaskowa.

Gilan skinął głową.

–No tak, masz rację. Muszę jednak powiedzieć, że gdybym je zobaczył w naszym kraju, ocenilibym je na co najmniej trzy, a raczej cztery dni. Chyba warto zapamiętać, ta wiedza jeszcze nieraz może nam się przydać.

Wyprostował się, otrzepał piasek z kolan, wskoczył z powrotem na siodło Blaze'a. Zerknął w stronę Selethena i spostrzegł, że wakir także zatrzymał swojego konia, żeby poprawić troki mocujące posłanie z tyłu za siodłem. Wierzchowiec Arydy zwrócony był teraz pod kątem czterdziestu pięciu stopni do kierunku podróży; Gilan nie miał cienia wątpliwości, że wakir spod swojej kefirki uważnie obserwuje poczynania zwiadowców.

–Patrzy na nas – rzekł półgłosem, a Halt ledwo dostrzegalnie skinął głową, nie spoglądając w stronę Selethena.

–Obserwuje nas nieustannie. Chyba działamy mu na nerwy.

–Czyżby zorientował się, że sporządzamy mapę trasy?

–Jestem pewien, że tak – zapewnił go Halt. – Mało co umyka jego uwadze. I założę się, że zachodzi w głowę, jak by nam w tym przeszkodzić.

Kiedy ruszyli dalej, Selethen akurat uporał się z trokami. Spiał ogiera kolanami i wysforował się do przodu.

–Co o nim sądzisz? – spytał Gilan.

Tym razem Halt spojrział na wysokiego arydzkiego wojownika, ważąc w myślach odpowiedź. Gilan wiedział, że próbuje dokonać zwięzłego podsumowania zarówno tego, co wie, jak i swoich odczuć wobec arydzkiego wakira. Po chwili Halt odezwał się:

–Przypadł mi do gustu – stwierdził. – Większość tutejszych urzędników tylko patrzy, jak by się obłowić na łapówkach. Przekupstwo w tym kraju jest bardziej regułą niż wyjątkiem. On nie jest taki.

–To żołnierz, nie polityk – zauważył Gilan. Jak często zdarza się w przypadku ludzi obeznanych z wojaczką, żywił nieufność wobec oficjalnych przedstawicieli władzy czy urzędników. Wolął mieć do czynienia z ludźmi, którzy na własnej skórze doświadczyli, jak smakuje walka na śmierć i życie. Uważał, że wojowników częściej cechuje pewna szorstka, lecz szlachetna uczciwość.

Halt przyznał mu rację.

–Jest żołnierzem i to dobrym. Przyjrzyj się tylko, jak sformował swój oddział. Na pierwszy rzut oka ktoś mógłby pomyśleć, że brniemy przez tę pustynię niczym stado rozproszonych krów. A w rzeczywistości nikt nie zdołałby zbliżyć się do nas niepostrzeżenie, bo wszyscy jego ludzie pełnią jednocześnie rolę obserwatorów.

–Podwładni wyraźnie go szanują – dodał Gilan. – Nie musi wrzeszczeć ani się wściekać, żeby spełniano jego rozkazy.

–Tak. Odkąd wędrujemy razem, chyba nie słyszałem, żeby podniósł głos. Zazwyczaj to znak, że zdaniem żołnierzy dowódca wie, co robi.

Umilkli na kilka minut. Obaj przyglądali się okrytym białym płaszczem plecami wysokiej postaci jadącej samotnie dwadzieścia metrów przed nimi.

–Ale zbyt towarzyski to on nie jest – zaśmiał się cicho Gilan. Starał się podtrzymać rozmowę z Haltem, żeby odwrócić uwagę swojego dawnego nauczyciela od myśli na temat Willa, który znikł gdzieś wśród niezmiernych pustkowi. Halt zrozumiał to i był mu wdzięczny. Rozmowy z Gilanem rzeczywiście zapewniały mu chwilę wytchnienia od bezustannej troski o chłopca, który tak wiele dla niego znaczył. Mimo woli westchnął głęboko.

Gilan rzucił mentorowi szybkie spojrzenie.

–Nic mu się nie stanie. To znaczy Willowi – dodał.

–Mam nadzieję, zastanawiam się tylko...

Nim jednak Gilan zdołał dowiedzieć się, nad czym konkretnie zastanawia się Halt, nagle poruszenie z przodu kolumny skierowało myśli starszego zwiadowcy na inny tor. Ku nim zbliżała się chmura pyłu; dostrzegli jednego z żołnierzy wyprzedzających grupę i jadących w przedniej straży – jak stwierdził Gilan, gdy wśród kłębow kurzu zdołał dostrzec sylwetkę nieco wyraźniej.

–Oho – rzekł półgłosem. Spiał Abelarda kolanami, przyspieszył, żeby zrównać się z Selethenem.

Gilan zmierzał tuż za nim.

–Posłaniec? – spytał. Selethen potrząsnął głową.

–To jeden z jadących przodem. Musieli wypatrzeć coś na drodze – odpowiedział. Żołnierz podjechał już blisko, a dostrzegłszy wysoką postać wakira skręcił lekko, ruszając mu na spotkanie.

–Widać sępy – rzekł nagle Gilan.

Podczas gdy dwaj pozostali patrzyli na galopującego ku nim jeźdźca, bystre oczy młodego zwiadowcy wypatrzyły też szybujące w oddali ptaki. Halt spojrział na niebo, ale nie miał tak doskonałego wzroku jak Gilan. Co prawda wydało mu się, że widzi czarne punkciki krążące przed nimi wśród błękitu, ale może to tylko złudzenie, spowodowane słowami Gilana?

Wszelkie wątpliwości rozwiał jeździec, który zatrzymał konia, wzbijając potężną chmurę piasku.

–Wasza jasność, sępy przed nami – zameldował. Selethen nie odezwał się. Jego ludzie byli dobrze wyszkoleni, zatem wiedział, że zaraz usłyszy więcej. – Posłałem Iqbal z dwoma

ludźmi naprzód, żeby dokonali rozpoznania – dodał żołnierz. – Tymczasem nakazałem przedniej straży, by się zatrzymała.

–Doskonale – pochwalił go Selethen. – Na razie zmierzamy naprzód, aż się z nią zrównamy. Do tego czasu może zjawi się już Iqbal i dowiemy się czegoś więcej. Wracaj na stanowisko – polecił.

Żołnierz pozdrowił wakira pospiesznie, po czym zawrócił konia i odjechał galopem w kłębow kurzu. Selethen zerknął na obu zwiadowców.

–Ostrożności nigdy dosyć. Sępy mogą oznaczać czyjąś śmierć na naszej drodze. I nie wiadomo, czy zabójcy nie czają się jeszcze opodal.

Halt skinął głową, przyznając mu rację. To jasne, że wędrówka przez pustynię niesie ze sobą liczne niebezpieczeństwa. A Selethen jest zbyt dobrym żołnierzem, żeby pchać się na oślep tam, gdzie może im coś grozić.

–Sporo tych sępów – stwierdził po chwili Gilan. – To może znaczyć, że śmierć zebrała obfite żniwo.

–Właśnie tego się obawiam – odpowiedział Selethen.

\*\*\*

Jego przewidywania okazały się uzasadnione. Na pole bitwy dotarli po godzinie. Trudno zresztą mówić o bitwie, rozegrane tu starcie należało nazwać raczej masakrą. Ciała koni, mułów, wielbłądów i ludzi leżały rozrzucone na pustyni, kształty bez życia pośród czerniejących plam krwi, która wsiąkła w piach.

Oto, co pozostało z kupieckiej karawany, za którą podążali. Wszyscy, co do nogi, wytraceni.

Na widok nowo przybyłych ociężałe sępy porzuciły ucztę, wzbijając się niespiesznie w powietrze. Halt kazał Evanlyn i Horace'owi pozostać w tyle. On oraz Gilan zsiadli z koni, by wraz z Selethenem przyjrzeć się zwłokom.

Ludzi, a także zwierzęta zabito, lecz nie dość na tym: zwłoki rąbano i sieczono w bezrozumnym szale. Nie znaleźli pośród nich ani jednego ciała, które nosiłoby ślad tylko jednej śmiertelnej rany. Juki z towarami rozcięto, rozsypując ich zawartość na ziemię. Nie pozostało jednak nic, co miałoby większą wartość. A potem do dzieła przystąpiły sępy.

–Jak sądzisz, kiedy to się stało? – spytał Halt.

Twarz Selethena, zazwyczaj beznamiętna, pociemniała teraz od bezsilnego gniewu.

–Nie dalej, jak dziś rano – odpowiedział przez zaciśnięte zęby. Gilan, który klęczał przy jednym z ciał, skinął głową potwierdzająco. – Większe drapieżniki, takie jak lwy, czy hieny i szakale, jeszcze ich nie dostały – wyjaśnił Selethen. – Te żerują nocą, toteż wszystko

musiało się wydarzyć po dzisiejszym świcie. A sępy wciąż jeszcze się gromadzą.

Halt oddalił się, by zbadać dokładniej ponurą scenerię. Selethen spojrział w niebo na krążące czarne ptaki, unoszone prądami gorącego powietrza.

–Czy domyślasz się, kto to uczynił? – spytał Gilan, a Selethen spoglądał przez chwilę na niego w milczeniu, starając się zapanować nad sobą.

–Tualegowie – rzucił krótko, jakby wypluwał to słowo. – To widać na pierwszy rzut oka... – wskazał okaleczone ciała. – Kto inny pastwilby się nad martwymi? Kto by zabijał zwierzęta tylko po to, żeby je zabić? – zawiesił głos. – Ale jednego nie mogę pojąć. W eskorcie jechało dwudziestu żołnierzy. Tualegowie musieli mieć znaczną przewagę, a zazwyczaj polują mniejszymi stadami. Co ich skłoniło, żeby napadać na karawanę?

–Może ktoś im za to zapłacił – rzekł Halt, który właśnie dokonał oględzin sceny mordu. Wakir spojrział na niego, nie rozumiejąc.

–Co? A kto miałby im płacić? – warknął.

–Ten, kto przedtem zdradził Eraka – odpowiedział spokojnie Halt. – Rozejrzyj się dobrze. Tutaj nie ma po nim ani śladu. Ten, kto wymordował twoich ludzi, zabrał oberjarla ze sobą.

## ROZDZIAŁ 25

Błędy popełnione przez Willa zaczęły się sumować. A w miarę, jak nakładały się na siebie, groziło mu coraz większe niebezpieczeństwo.

Z pierwszego popełnionego błędu wciąż jeszcze nie zdawał sobie sprawy. Polegał on na tym, że przez znaczną część drugiego dnia, wędrując pośród Czerwonych Wzgórz, kierował się mylnymi wskazaniem kompasu, przez co znalazł się daleko na wschód od zamierzonego kursu. Kiedy ustął wpływ pokładów żelaza na igłę magnetyczną i kompas znów zaczął pokazywać północ, było już za późno. Najpierw jeszcze przez jakiś czas oddalał się od wyznaczonej trasy, a teraz, choć wędrował już we właściwym kierunku, jechał do niej równolegle i to w odległości wielu kilometrów.

Drugi błąd był zgoła innej, bo psychologicznej natury. Otóż Will wmawiał sobie, że widzi elementy krajobrazu, których szukał. Nie zdołał co prawda dostrzec wzgórza o płaskim szczycie, ale przekonał samego siebie, że z pewnością je minął, nie zwracając na wzniesienie uwagi, a to dlatego, iż bez wątpienia kształt wzgórza zmienił się pod wpływem pogody i teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej niż lata temu, kiedy powstała mapa Selethena.

Uskok terenu, który spostrzegł późnym popołudniem, tak naprawdę w niczym nie przypominał urwiska. Ponieważ jednak bardzo chciał uwierzyć, że właśnie urwisko zobaczył, zdołał sobie wmówić, że naprawdę je zobaczył. Nie dostrzegł ani jednej jaskini, a przecież rysunek na mapie wyraźnie wskazywał, że powinno ich tam być pełno. Nie przejął się zbyt, bo zdołał sobie wyperswadować, iż jaskinie są niewidoczne, gdyż znalazły się w cieniu, a on patrzy na rzekome urwisko pod światło zachodzącego słońca.

Krótko mówiąc, Will oszukiwał samego siebie. Nie znaczy to jednak, że uwierzył samemu sobie bezkrytycznie. Przeciwnie, wątpliwości nie dawały mu spokoju, toteż rozstrzygające znaczenie miał mieć trzeci charakterystyczny element krajobrazu, który określił na swój użytek mianem „wiszącej skały”. Chodziło o wielki głaz znajdujący się na szczycie drugiego, mniejszego. Czegoś takiego nie mógł przecież przeoczyć ani pomylić z inną skalną formacją.

Oczywiście, o ile „wiszący” głaz nie spadł tymczasem na ziemię – stwierdził ponuro.

Spieszno mu było ujrzyć tę skałę, bowiem jego zapasy wody wyczerpywały się nieodwołalnie. Pierwszy bukłak opróżnił, a w drugim została tylko połowa zawartości. Próbował ograniczyć racje płynu, ale żar słoneczny do tego stopnia wysysał zeń siły, że po prostu musiał pić, bo inaczej padłby bez przytomności.

Pocieszał się, że gdy już wreszcie ujrzy skałę i określi dokładnie swoją pozycję, skończą się też problemy z wodą. Kilka kilometrów od wiszącej skały zaznaczono na mapie niewielkie zagłębienie w wyschniętym łóżysku sezonowej rzeki. Wystarczy rozgrzebać piasek na głębokość mniej więcej metra i zaczekać, aż woda wypełni wykopany dół. Owszem, pewnie będzie błotnista i niesmaczna. Lecz zdatna do picia! A kiedy napelni już bukłaki i ustali z całą pewnością swe położenie, będzie mógł skierować się ku jednej ze studzien.

Musi, po prostu musi w ciągu najbliższych godzin wypatrzeć wiszącą skałę -powtarzał sobie. Jeżeli nie, to znaczy, że zablądził i nie ma dla niego ratunku. Jeśli jej nie znajdzie, nie znajdzie też wody – wtedy po prostu zginie z pragnienia. Tymczasem nie pozostawało mu nic innego, jak wierzyć mapie oraz kompasowi, no i ufać, że prędzej lub później spostrzeże jednak ów dziwny głaz. W tej chwili nie miał już wyboru.

Przyjęte rozumowanie doprowadziło do ostatniego i najpoważniejszego z popełnionych

przez Willa błędów. Nie mogąc doczekać się, kiedy zobaczy wiszącą skalę i upewni się, że podąża właściwym kursem, nie przerwał podróży, gdy nastąpiły najgorętsze godziny dnia.

Wiedział, że doświadczeni wędrowcy pustyni, tacy jak Selethen, nigdy tego nie czynią. Jednak również tutaj znalazł argument przemawiający za postępowaniem wbrew zasadom. Przecież Selethen potrafił orientować się w terenie według położenia gwiazd i niepotrzebne mu było światło dzienne, żeby zauważać punkty orientacyjne. Mógł więc sobie pozwolić na wypoczynek w środku dnia. Tymczasem Will pilnie potrzebował wody, wytłumaczył więc sobie, iż kilka godzin spędzonych w upale tak bardzo mu nie zaszkodzi.

Jechał uporczywie pośród palącej spiekoty, która wyniszczała go w zastraszającym tempie, w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej na niebie. Powietrze rozgrzało się tak potwornie, że niemal paliło w gardło i płuca, kiedy je wdychał. Mogło się zdawać, że żar wyprażył tlen z powietrza, w rezultacie Will walczył o każdy oddech.

Nie tylko gorąco, lecz też oślepiające światło stało się nieustającą torturą. Will mógł spoglądać przed siebie tylko przez kurczowo zmrużone oczy.

Niosąca go Strzała wlokła się naprzód ze zwieszonym łbem. Willa ogarniało przerażenie, kiedy widział, jak szybko wierzchowiec traci siły. Nie zdawał sobie sprawy, że jego organizm jest w o wiele gorszym stanie.

–Pora, żebyś się napił, koniku – wychrypiał, z trudem wydobywając głos przez zaschnięte gardło.

Zsunął się z siodła; poruszał się niezdarnie, ociężale. Gdy dotknął stopami gruntu, stracił równowagę i, chwiejąc się, przeszedł parę kroków oparty o koński bok. Strzała zatrzymała się z łbem zwieszonym niemal do samej ziemi. W następnej chwili wierzchowiec przeniósł ciężar ciała na lewą stronę, jakby chciał dać wytchnienie prawej przedniej nodze. Will stał na ziemi dopiero od kilku sekund, ale już czuł, jak przez podeszwy butów rozżarzony piasek pali go żywym ogniem. Dla niczym nieosłoniętych kopyt nieszczęsnego zwierzęcia musiała to być istna męka – pomyślał.

–Zaraz się tym zajmę – rzekł do konia. – Tylko najpierw napijmy się.

Przez dłuższą chwilę nie mógł sobie poradzić z trokami mocującymi do siodła skórzane poidło, a gdy już tego dokonał, upuścił je na ziemię. Zaśmiał się, lecz śmiech ugrzązł mu w opuchniętym gardle.

–Dobrze przynajmniej, że poidło było puste! – zwrócił się do Strzały, na co koń nic nie odpowiedział. Will skupił się, sprawdził, czy naczynie stoi równo, na płaskiej powierzchni – i ostrożnie odkorkował bukłak. Okazał się rozpaczliwie lekki. Zaczął powoli nalewać; na ten dźwięk głowa Strzały zwróciła się w jego stronę i z gardła konia dobył się charczący odgłos.

–Wolnego, mój dzielny rumaku – rzekł, a potem zaśmiał się na myśl, że rozmawia z koniem. – Choć prawdę mówiąc, wcale nie jesteś moim koniem – mówił dalej. – Ale dobre z ciebie konisko, nie powiem.

Jakaś część jego umysłu zżymała się na fakt, że oto żartuje i gawędzi sobie z koniem. Dziwne uczucie – tak jakby stał obok i patrzył na samego siebie oraz na Strzałę, krytycznie obserwując własne zachowanie. Otrząsnął się z całkowicie absurdalnej myśli i podstawił poidło wierzchowcowi.

Powtórzyła się znana mu już dobrze sytuacja; patrząc na pijącego konia, czuł przeraźliwe pragnienie. Chociaż nie, poprzedniego dnia odczuwał coś innego: dźwięki zdawały się wtedy

nabrzmiałe, gumiate, a dzisiaj miał w ustach tylko suchość, nic więcej, nie napływała już do nich ślina, nawet taka gęsta i lepka jak przedtem.

Strzała wypila wszystko i na próżno szukała językiem resztek wody w szwach skórzanego wiadra. Will zdążył przywyknąć do tego, że koń ze stoickim spokojem przyjmuje swój los i taką ilość wody, jaką dostanie. Jednak tym razem Strzała uniosła łeb i wyciągnęła go w stronę buklaka przewieszzonego przez ramię Willa, domagając się kolejnej porcji. Był to jeszcze jeden sygnał alarmowy, znak wskazujący, w jak strasznym stanie się znaleźli. Koń tak bardzo potrzebował wody, że poszły w niepamięć wszelkie reguły zachowania wpojone mu podczas tresury.

Will odepchnął pysk spragnionego zwierzęcia.

–Przykro mi, koniku – powiedział, a właściwie niewyraźnie wybelkotał. – Później.

Teraz on sam upił dwa łyki, wciąż jeszcze pamiętając, by trzymać długo wodę w ustach, zanim ją przelknie. Następnie, zmagając się z przemożną chęcią, by jednym haustem opróżnić cały buklak, odjął go od ust, zakorkował i położył naczynie w nędznym cieniu rzucanym przez kolczasty krzew.

Uniół lewą przednią nogę Strzały, żeby jej się przyjrzeć. Koń wydał z siebie dziwny pomruk i poruszył się niezdarnie. Nie było tam widocznej rany, jednak gdy chłopak dotknął dłonią miękkiego środka kopyta, poczuł, jak bardzo jest rozpalone. Rozgrzany żarem bijącym z nieba pustylny piasek musiał palić żywym ogniem niechronione niczym kopyta Strzały. Dopiero teraz, kiedy Will stał na ziemi i pomimo butów na nogach czuł, jak jest gorąca, w pełni zdał sobie sprawę z ogromu cierpienia nieszczęsnego zwierzęcia. Poczul się winny, bo przecież kiedy siedział na grzbiecie Strzały, koń męczył się w dwójnasób.

Odczepił koc przymocowany do siodła, a następnie pocałował go na pasy i prostokąty. Kawalkami owinął kopyta konia, tak by od podłoża oddzielało je kilka warstw, następnie umocował je pasami. Wiedział, że gdy zapadnie noc, koń zmarznie bez okrycia, ale jeśli okuleje, znajdzie się w jeszcze gorszej sytuacji.

Wydawało się, że teraz Strzała cierpi mniej, bo nie przechylała się już na boki. Will ujął konia za uzdę i poprowadził kilka kroków, patrząc uważnie pod jego kopyta. Stwierdził z ulgą, że pomysł okazał się chyba dobrym rozwiązaniem.

Will cofnął się po buklak i zarzucił go na ramię. Już miał wspiąć się na grzbiet Strzały, ale powstrzymał się. Poklepał łagodnie wierzchowca po szyi.

–Pójdę trochę pieszo – rzekł. – Jak dotąd, to ty odwalalaś całą robotę.

Wyjął kompas i sprawdził kurs, szukając nowego punktu orientacyjnego. Wybrał znów spiczastą skalę połyskującą kryształkami soli. Odbłyśki światła razily go w oczy, ale dzięki nim łatwiej było utrzymać kierunek. Ruszył naprzód.

Strzała ze zwieszonym łbem wlokła się za nim. Teraz jej kopyta wydawały dziwnie stłumiony odgłos.

Kolejny błąd. Nie mogąc już znieść skwaru, Will zdjął płaszcz i przerzucił go przez siodło Strzały. Podwinął też rękawy; przez kilka chwil zdawało mu się, że odczuwa ulgę. Było to jednak złudzenie. Płaszcz, podobnie jak obszerne stroje Arydów, przeciwdziałał utracie wilgoci. Bez niego odwodnienie organizmu następowało jeszcze szybciej niż przedtem.

Co więcej, odsłonięte ramiona szybko poczerwieniały i wkrótce pokryły się bąblami. Ale nim to nastąpiło, Will stracił zdolność logicznego myślenia. Jego organizm przestał normalnie



funkcjonować. Myśli zaczęły się plątać i traciły ze sobą związek. Zwiadowcy nadal nie udało się wypatrzyć tej przekłetej, upragnionej wiszącej skały. Przecież musiała gdzieś tu być, a on musiał ją znaleźć. Już niedługo – powtarzał sobie. – Niedługo. Stracił poczucie czasu; spodziewał się odnaleźć kamień po godzinie podróży lub co najwyżej dwóch. Tymczasem wędrował już od ponad czterech godzin.

Niedługo po tym, jak minęło południe, zwrócił się do swojego wierzchowca:

–Nie widziałas tu gdzieś wiszącej skały? – spytał. Strzała spojrziała na niego obojętnie.

Will zmarszczył brwi. – Nie chcesz rozmawiać, co? – stwierdził. – Pewnie ci zaschło w gardle.

A może się na mnie obraziłaś, bo dałem ci za mało wody? Taki stary koń, a fochy stroi...

Powinnaś mieć końskie zdrowie!

Zaśmiał się chrapliwie z własnego dowcipu i znów przez chwilę miał to samo dziwne uczucie, że stoi obok i widzi siebie samego idącego z koniem przez pustynię. Przypomniawszy sobie o bukłaku przewieszonym przez ramię.

–Muszę się napić – powiedział do Strzały.

Woda to przecież dodatkowe obciążenie. Im więcej jej wypije, tym mniej będzie miał do dźwigania. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Zaraz łatwiej będzie mu się szło.

Upił potężny łyk i drugi, a potem zdał sobie sprawę, że Strzała patrzy na niego z wyrzutem. Zrobiło mu się wstyd, więc zakorkował bukłak i ruszył przed siebie.

Wtedy nagle do głowy przyszła mu zupełnie nowa myśl. Selethen dał mu fałszywą mapę. Nie było żadnych urwisk z jaskiniami. Ani wzgórze o płaskim szczycie. To oczywiste, wakiir nie powierzyłby mu tak cennego dokumentu! Dlaczego zrozumiał to tak późno? Ten bydlak posłał go na pustynię ze sfalszowaną mapą po pewną śmierć.

–Oszukał nas – rzekł do konia. – Ale ja mu jeszcze pokażę. Teraz musimy być już blisko tego miejsca, gdzie można dokopać się do wody. Znajdziemy je, a potem wrócę i wepchnę mu tę mapę do plugawego, załganego gardła.

Zmarszczył czoło. Zaraz, ale jeżeli mapa jest sfalszowana, to nigdzie w pobliżu nie ma żadnego źródła. Myślał intensywnie. Nie, tu gdzieś musi być woda. Na pewno jest! Nagle zrozumiał: no tak, to przecież oczywiste!

–Nie może być całkiem fałszywa! To byłoby za łatwe. Przecież wtedy od razu byśmy się zorientowali. To dopiero podły spryciarz!

Skoro ten problem już rozwiązał, uznał, że może sobie pozwolić na to, aby dać Strzale trochę cennej wody. Nie mógł jednak zdobyć się na wysilek, jakiego wymagało odtroczenie i rozłożenie skórzanego poidła. O ileż prościej nalać wody na dłoń ułożoną w kształt miseczki. Zachichotał cicho, kiedy połaskotał go w rękę wielki jęzor konia. Większość życiodajnego płynu oczywiście wylała się i natychmiast wsiąkła w rozpalony piasek. Ale to nieważne. Zaraz dotrą do tego zagłębienia z wodą i będą jej mieli pełno, pełno...

–Zaraz będzie mnóstwo picia – powiadomił konia.

Zatkał bukłak. Stał obok Strzały, chwiejąc się na nogach. No tak – pomyślał – jeżeli nie napije się jeszcze, może mu nie starczyć sił, żeby dotrzeć do źródła. Umrze tylko dlatego, że nie napił się wody, wody... Tej wody, którą jeszcze przecież ma. To byłaby skrajna głupota. Haha z pewnością byłby tego samego zdania – uznał. To przeważało szaleńczo; wyciągnął korek i wypił resztę. Zataczając się, ruszył przed siebie.

**–Za mną, koniku – zawołał na Strzałę; jego słowa rozbrzmiały niczym chrapliwe krakanie wrony.**

**Przewrócił się. Próbując złagodzić upadek poparzył dłonie, a teraz nie miał już siły, żeby wstać. Uniósł tylko głowę, a wtedy – o cudzie! – nareszcie ją zobaczył.**

**Ujrzał wiszącą skałę, zupełnie taką samą jak na rysunku Selethena! Była oddalona o zaledwie kilkaset metrów i nie mógł pojąć, dlaczego wcześniej jej nie zauważył. Zaraz za nią będzie woda, tyle wody, ile tylko zdoła wypić.**

**Nie był w stanie się podnieść. Ale przecież może się tam doczołgać. Zaczął więc pełznąć w stronę tej pięknej wiszącej skały.**

**–Nieźle to urządzili! Jak to się dzieje, że ona nie spadnie? – nie mógł wyjść z podziwu.**

**A potem dodał, chichocząc: – Pocziwy, stary Selethen! To mi dopiero mapa!**

**Spojrzał za siebie. Strzała stała na szeroko rozstawionych nogach, ze zwieszonym łbem. Dlaczego ten głupi koń nie idzie za nim?**

**–Rusz się, Strzało! – zawołał. – Tam jest mnóstwo wody! No, już! Tylko do tamtej skały! Tej pięknej, cudownej wiszącej skały! Rany, jak oni to zrobili? Rusz się, to zobaczysz!**

**Nie zdawał sobie sprawy, że wydaje z siebie tylko niezrozumiałe, chrypiące belkot. Płyn, którego odrobinę wypił przed chwilą, nie był w stanie zrównoważyć odwodnienia, jakiego doznał jego organizm przez minionych pięć godzin.**

**Czołgał się dalej po gorącym piasku, kalecząc dłonie o ostre kamienie. Zostawiał za sobą krwawe ślady – które wysychały w mgnieniu oka. Strzała spoglądała obojętnie na jego wysiłki. Nie postąpiła za nim ani kroku. Po co miałyby się wysilać?**

**Nie było tam żadnej wiszącej skały, a Will pełzał w kółko, mrużąc coraz ciszej pod nosem.**

## ROZDZIAŁ 26

Selethen rzucił Haltowi szybkie spojrzenie. Zmarszczył brwi.

–Kto by im zapłacił za coś takiego? – spytał. – Kto, dlaczego i po co?

Halt zdawał sobie sprawę, że Arydę opanował gniew z powodu śmierci tak wielu jego ludzi, a nietrudno było się domyślić, że uczucie wściekłości dodatkowo spotęgowała zapiekła nienawiść do plemienia Tualegów. Sytuacja stała się delikatna, a nawet niebezpieczna, Halt musiał więc starannie dobierać słowa. Przyszło mu na myśl, że im więcej dowie się o tym, co tu się stało, tym łatwiej będzie przekonać Selethena, że nie rzuca słów na wiatr. Rzekł więc półgłosem do Gilana:

–Rozejrzyj się. Może uda ci się odtworzyć przebieg wypadków.

Młody zwiadowca skinął głową, po czym odszedł. Dopiero wtedy Halt odpowiedział na pytanie Selethena.

–Moim zdaniem, za tą masakrą stoi ów człowiek, który zdradził Eraka. Ten sam, który ci go sprzedał – uściślił.

–Czyli Toshak. – Svengal, który tymczasem podszedł do nich, nie zamierzał owijać niczego w bawełnę. Dotąd szukał ciała swojego oberjarla, ale – nie znalazłszy trupa – doszedł do takiego samego wniosku, jak Halt. – To całkiem do niego podobne.

Selethen spoglądał na przemian na Halta i na Svengala. Jego gniew nie minął, ale prócz tego Aryda nagle stał się podejrzliwy.

–Kto to jest Toshak? – rzucił wzgardliwie. – Nigdy o nim nie słyszałem. I dlaczego miałby zapłacić Tualegom za porwanie waszego oberjarla?

–Z tej samej przyczyny, która skłoniła go, by dopuścić się zdrady wobec Eraka. Po prostu pragnie się go pozbyć – wyjaśnił Halt; ujrzał, że Selethen chce właśnie zadać następne pytanie, lecz ciągnął dalej, nie dając tamtemu dojść do głosu. – Chodzi o politykę – rzekł. – Skandyjskie rozgrywki polityczne. Otóż niewielka grupa Skandian chce usunąć z drogi Eraka i przejąć władzę.

Dostrzegł pierwszy błysk zrozumienia w oczach Arydy. Także w jego kraju podobne intrygi były na porządku dziennym, więc wyjaśnienie przedstawiało się całkiem zadowalająco. Nie został jednak do końca przekonany.

–Powtarzam, że o Toshaku, czy jak mu tam, nigdy nie słyszałem. O ile dobrze rozumiem, jest Skandianinem, takim jak ty? – pytanie skierował do Svengala, który skrzywił się paskudnie.

–Jest Skandianinem. Ale wcale nie takim, jak ja.

Selethen skinął głową, przyjmując informację do wiadomości. Gniew Svengala, bez wątplenia szczery i nie mniejszy od wściekłości wakira, stanowił najbardziej przekonujący argument na rzecz słów Halta. Aryda dopatrzył się jednak pewnej luki w rozumowaniu zwiadowcy:

–Skoro ów Toshak chce się pozbyć waszego przywódcy, dlaczego miałby zadawać sobie tyle trudu? Najpierw doprowadzić do tego, abyśmy ujęli Eraka, a potem namówić Tualegów do jego porwania? Nie prościej byłoby go zwyczajnie zabić?

Lecz zanim Selethen zdążył dokończyć pytanie, Halt już kręcił przecząco głową, jakby z góry wiedział, co Aryda ma do powiedzenia.

–Potrzeba mu czasu – wytłumaczył. – Jak wspominałem, przeciwnicy Eraka są nieliczni. Ogromna większość Skandian jest zadowolona z rządów obecnego oberjarla.

Tak

więc Toshak oraz jego poplecznicy muszą grać na zwłokę. Starają się podsycać nastroje niezadowolenia, które nieuchronnie narastają pod nieobecność władcy i dopiero potem zamierzają je wykorzystać. Śmierć oberjarla na nic by im się nie przydała. Skandianie od

razu

wybraliby nowego władcę, a zostałby nim prawdopodobnie któryś z przyjaciół Eraka.

Może

nawet obecny tu Svengal.

–Niech bogowie bronią! – zawołał przerażony Svengal.

Halt pozwolił sobie na niewesoły uśmiech skierowany w stronę rosłego Skandianina.

–Tymczasem, kiedy Erak przebywa w niewoli, gdzieś daleko od Skandii, a w dodatku można twierdzić, iż stało się to za sprawą jego własnej nieudolności, czas działa na korzyść Toshaka oraz jego popleczników, pozwalając im za pomocą niby przypadkiem rzucanych słów stopniowo wpajać rodakom przekonanie, że Erak nie nadaje się do sprawowania władzy. Szczególnie, jeśli ze strony tych, którzy go pojmali, pojawi się żądanie wysokiego okupu. Skandianie nie lubią rozstawać się z pieniędzmi.

–To prawda – przyznał Svengal. – Właśnie dlatego mój władca kazał mi udać się z prośbą o pomoc przede wszystkim do Araluenu.

Selethen spoglądał na nich. Skinął głową, choć nadal nie był przekonany. Choć zastanawiał się przecież, dlaczego Svengal powrócił w towarzystwie cudzoziemców. Jak

dotąd wakirowi podano jedyny powód, mianowicie przyjaźń między Aralueńczykami a Erakiem. Teraz usłyszał o wiele istotniejsze wyjaśnienie i zrozumiał, dlaczego mogli chcieć się zaangażować w tę sprawę. W każdym razie szybkie rozwiązanie problemu byłoby niewątpliwie korzystne dla Eraka – i dla nich. Im dłużej przebywał w niewoli, tym łatwiej było jego przeciwnikom siać ferment, dążąc do przejęcia władzy. Erak zaś był władcą przyjaznym Aralueńczykom, którzy z racji wiążącego obie nacje sojuszu mieli wszelkie powody, by zadbać o utrzymanie rządzącego oberjarla na skandyjskim tronie.

–W miarę upływu czasu spiskowcom zapewne udałoby się stworzyć odpowiednie warunki, by wysunąć własną kandydaturę na oberjarla; przypuszczalnie miałby nim zostać Toshak we własnej osobie – dodał Halt. Tym razem Svengal skomentował domniemanie tylko

gniewnym pomrukiem.

Selethen zaczął przechadzać się tam i z powrotem, poskubując brodę i rozważając przytoczone przez Halta argumenty. Nagle zatrzymał się:

–Zapewne, to możliwe... Ale... – zawiesił głos.

Ale... Halt czekał, nie zamierzał bowiem podsuwać argumentów swojemu rozmówcy, choć – podobnie jak Selethen – potrafiłby dostrzec także odmienne wyjaśnienie przyczyn rzezi, do jakiej doszło w miejscu, gdzie się właśnie znajdowali. Jednak wakir nie poruszył jeszcze tej kwestii, a zamiast tego zadał inne pytanie:

–Powiadasz, że za tym wszystkim stoi Toshak, twój współplemieniec. Że to jakoby on zdradził waszego przywódcę? – zwrócił się do Svengala. Wilk morski skinął ponuro głową,

więc Selethen ciągnął dalej: – A jednak ja nigdy o nim nie słyszałem. Wieści na temat nadciągających Skandian otrzymałem od pewnego rybaka z małej przybrzeżnej wioski. Właściwie bardziej przemytnika niż rybaka, jeśli chodzi o ścisłość – poprawił się. – To człowiek, który krąży niepostrzeżenie swą łodzią po przybrzeżnych wodach. Wypatrzył

wasz

okręt i doniósł mi o nim.

Svengal nie odezwał się, ale Halt już miał gotową odpowiedź:

–Przecież ze Skandianinem byś nie rozmawiał. Gdyby Toshak choć spróbował się zbliżyć, zasypalibyście go gradem strzał, nim zdążyłby dać do zrozumienia, że chce negocjować, a nie rabować. Jasne więc, że potrzebował pośrednika. Przy czym w miarę nietrudno mu było porozumieć się z przemytnikiem. Całkiem prawdopodobne, że to ten sam człowiek, który sprzedał Erakowi fałszywe informacje, podpowiadając mu, że w Al Shabah jest złoto, a nie ma jeszcze żołnierzy.

–Owszem, to już brzmi całkiem rozsądnie – jednak wszyscy słyszeli, że w głosie Selethena ciągle brzmi powątpiewanie. – Nadal nie można wykluczać drugiego, zupełnie odmiennego wyjaśnienia...

Kolistym ruchem ręki wskazał krwawe pobojuwisko, obraz śmierci i zniszczenia. Halt czekał spokojnie. Niech już wreszcie sam to powie, pomyślał. Nie będę mu podpowiadał, bo wówczas drugie wytłumaczenie może mu się wydać bardziej wiarygodne.

–Otóż niewykluczone, że uczynili to Skandianie Toshaka albo raczej opłaceni przez niego Tualegowie. Owszem. Może jednak istnieć inna przyczyna, dla której nie znaleźliśmy tu ciała Eraka. Został po prostu odbity. Kimkolwiek byli ludzie, którzy wymordowali moich żołnierzy, uczynili to, aby go uwolnić. Kto wie, może już zmierza ku wybrzeżu, gdzie czeka na niego inny okręt.

–I sądzisz, że mając takie zamiary, oddalibyśmy się dobrowolnie w twoje ręce? – zdziwił się Halt.

–Sądzę, że mogliście uknuć taki właśnie obosieczny plan działań – stwierdził Selethen. – Prowadzicie ze mną rozmowy, a jednocześnie drugi oddział Skandian przygotowuje się do odbicia wodza. Jeśli im się powiedzie, zaoszczędzicie sześćdziesiąt sześć tysięcy srebrnych rojali. Jeśli nie, możecie robić dobrą minę do złej gry i udawać, że nic nie wiecie o tym, żeby ktoś próbował odbić waszego przyjaciela.

Przez kilka chwil Halt milczał. Wiedział już dawniej, że knowania i spiski stanowiły dla Arydów chleb powszedni. Dlatego owo rozumowanie, choć nader pokrętne, wydało się Selethenowi wiarygodne. Halt wiedział, że od następnych słów, jakie wypowie, zależy powodzenie całej misji. Podczas gdy zbierał myśli, starając się tak sformułować argumenty, by odzyskać zaufanie Selethena, Horace postąpił krok naprzód. Kiedy Halt i Svengal rozmawiali z Selethenem, Horace z Evanlyn zbliżyli się, by przysłuchiwać się trwającej wymianie zdań. Teraz młody rycerz uznał, że czas, by i on zabrał głos.

–Jedno pytanie... – rzekł.

Oczy wszystkich zwróciły się na młodzika. Halt uniósł dłoń, by go powstrzymać. Finezyjne rozumowanie, subtelności negocjacji, lawirowanie pośród zawitych argumentów... nie należały do najmocniejszych stron tego żółtodzioba. Horace był człowiekiem prostolinijnym, który nie bawił się w podchody i walił prosto z mostu.

–Horace – rzekł ostrzegawczym tonem Halt – to raczej nie najlepszy moment...

Ale teraz Horace podniósł rękę. Na jego twarzy malowała się determinacja. Halt zdawał sobie sprawę, że Horace oburzony jest podejrzeniem, jakoby ukartowali równie podły i dwulicowy podstęp. Zwiadowca obawiał się, że urażone poczucie godności może podyktować mu zbyt pochopne słowa. Jednak młody rycerz nie zamierzał się wycofywać.

–Mam pytanie do wakira – oznajmił.

Stojąca obok Evanlyn także się zaniepokoiła. Żeby tylko Horace wszystkiego nie popsul – pomyślała. Tymczasem Selethen dał znak Horace'owi: niech mówi dalej. Teraz nie było już odwrotu.

–Jak brzmi twoje pytanie?

–Skąd mogliśmy wiedzieć? – spytał Horace. Zabrzmiało to niemal wyzywająco.

Selethen skrzywił się, bo nie od razu zrozumiał.

–Skąd mogliście wiedzieć... Ale o czym? – zdumiał się.

Horace zaczerwienił się, częściowo z oburzenia, lecz też dlatego, że znalazł się oto w centrum uwagi wszystkich. Nigdy tego nie lubił. Jednak miał poczucie, że to, co ma do powiedzenia, jest ważne i powiedziane być musi.

–No, tak. Skąd mogliśmy wiedzieć, że Erak będzie podróżował z tą karawaną? Przez chwilę nikt nie rozumiał, o co mu chodzi. Selethen rozłożył bezradnie ręce.

–Przecież wam o tym powiedziałem – przypomniał.

W następnej chwili przysłuchujący się tej wymianie zdań Halt poczuł nagły przypływ serdecznych uczuć wobec młodego rycerza. A jednak – pomyślał – czasem lepiej jest wyłożyć kawę na ławę niż bawić się w zawiłą argumentację.

Horace skinął głową.

–Powiedziałeś nam, ale dopiero wieczorem, a następnego dnia opuściliśmy Al Shabah. Dowiedzieliśmy się tego dopiero wtedy, gdy porozumienie co do okupu zostało już zawarte. Nie wcześniej. Wiesz dobrze, że przedtem byliśmy przekonani, iż Erak przetrzymywany jest w Al Shabah. Mieliśmy więc zaledwie osiem godzin – jakim sposobem w tak krótkim czasie zdolalibyśmy zorganizować drugi oddział Skandian, którzy wyruszyliby

na pustynię, odnaleźliby Tualegów, a następnie przekupiliby ich, żeby ci zatrzymali karawanę, o której dopiero co usłyszeliśmy?

–Czy ja wiem... Mogliście... – rzekł niepewnym tonem Selethen; Horace nie zamierzał ustąpić.

–Wiesz doskonale, że tamtej nocy żadne z nas nie opuściło gospody. Jak więc mielibyśmy tego dokonać? Doprawdy, Halt wiele potrafi, ale do czegoś takiego nawet on nie byłby zdolny.

Halt uznał, że czas już znowu przejąć inicjatywę. Horace wypowiedział się i to nader trafnie. Teraz należało wykorzystać przewagę – nim chłopak palnie coś głupiego.

–On ma słuszość, Selethenie, a ty w głębi duszy zdajesz sobie z tego sprawę – rzekł. Wakir znów spoglądał na niego i Halt wiedział, że czas zakończyć rozgrywkę, raz na zawsze. Teraz Selethen albo przyzna im rację, albo opowie się definitywnie przeciwko nim.

Powoli, ważąc każde słowo, dokończył:

–Wszelako, pomijając już fakt, iż, dysponując równie krótkim czasem, żadnym sposobem nie bylibyśmy w stanie zorganizować odbicia Eraka... Czy naprawdę wierzysz, Selethenie, że bylibyśmy zdolni do aż takiej obludy?

Selethen chciał przemówić, ale potem zawahał się. Spojrzał po twarzach cudzoziemców. Młody rycerz, Horace i stary morski rozbójnik, Svengal – ot, wojownicy, prostoduszni i brzydzący się kręctwem. Wiedział, że każdy z nich byłby nadzwyczaj groźnym przeciwnikiem na polu bitwy. Owszem, lecz obaj walczyliby uczciwie.

A księżniczka? Czy następczyni tronu tak wielkiego królestwa zniżyłaby się do podłego podstępu? Podczas negocjacji przemawiała śmiało i otwarcie. To raczej on, Selethen, zachował się jak krętać – pomyślał z niechęcią. Po pierwsze, to przecież on kazał swemu słudze podawać się za siebie, po drugie zaś, jak słusznie zauważył Horace, nie wyjawił im, że Erak opuścił już wcześniej Al Shabah.

Pozostawał jeszcze Halt. Choć mieli w swym gronie następczynię tronu, to bez wątpienia on stał na czele przybyszów. Stary wyga, przebiegły strateg. Jednak Selethen miał zarazem poczucie, że to człowiek z gruntu szlachetny i uczciwy. Niski, siwobrody zwiadowca budził w nim instynktowną sympatię.

Było rzeczą oczywistą, iż pozostali darzyli go szacunkiem oraz zaufaniem. W dodatku – co może najważniejsze – lubili Halta. Horace i Svengal, choć obydwaj szczerze prostoduszni, nie wyglądali na głupców. Horace zresztą właśnie dowiódł, że nie jest w ciemną bitwę.

Selethen przygryzł w zamyśleniu wargę, rozważając pytanie zadane przez Halta. Wreszcie odpowiedział:

–Nie. Nie sędzę.

Halt miał ochotę odetchnąć z ulgą, ale wiedział, że popełniłby błąd. Zatem tylko skinął głową, tak jakby ani przez chwilę nie żywił wątpliwości, jak brzmić będzie odpowiedź Selethena.

–W takim razie, przejdźmy do rzeczy – zaproponował. – Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

–Cóż, gdy dotrzemy do Mararoka, wyślę za nimi oddział – odparł Selethen. – Choć nie na wiele się to zda.

Z gorzkiego doświadczenia wiedział, jak działają Tualegowie. Dokonują zuchwalej napaści, a potem znikają na bezdrożach. Arydzi zamieszkiwali przede wszystkim miasta. Nie potrafili tropić śladów, nie znali tajemnic pustyni. Tymczasem dla Tualegów pustynia stanowiła dom, znali tutaj każdy kamień. Bez trudu potrafili kryć się w jej bezkresie. O, tak. Selethen wyśle oddział w pościg, ale wykona w ten sposób tylko pusty gest. Po dwóch albo trzech dniach żołnierze zgubią trop bandy Tualegów i powrócą, zakurzeni, zmęczeni, przygnębieni. Zawsze tak się działo. Co innego, gdyby wyruszyło z nimi kilku Bedulinów, wówczas mieliby jakieś szanse. Bedulinowie, myśliwi i tropiciele, znali tajniki pustynnych pustkowi nie gorzej niż Tualegowie, ich zaprzysięgli nieprzyjaciele. Właśnie dzięki porozumieniu zawartemu z Bedulinami udało mu się pokonać Tualegów kilka lat wcześniej. Jednak ci dumni i niezależni koczownicy odeszli swoją drogą, gdy tylko Tualegowie ponieśli klęskę. Nie zamierzali wysługiwać się Arydom ani nikomu innemu.

–Czy nie lepiej, żebyśmy od razu wyruszyli za nimi w pościg? – spytał Halt.

Selethen uśmiechnął się, słysząc równie naiwne pytanie.

–Na jedno wychodzi. Tak czy inaczej, rozpląną się w powietrzu, znikną na pustyni. Zawsze tak robią.

–W takim razie ruszymy ich śladem i odnajdziemy napastników. Zawsze tak robimy - odezwał się dźwięczny głos.

Powrócił Gilan. Zjawił się właśnie, dokonawszy oględzin pobojuwiska – w samą porę, by usłyszeć ostatnie słowa Selethena.

Halt odwrócił się do towarzysza.

–Dowiedziałeś się czegoś?

Gilan przystąpił do zwięzłej relacji, wskazując ręką kolejne miejsca, o których mówił:

–Ukryli się za tymi skałami na wschodzie – wyjaśnił. – Osiemdziesięciu albo dziewięćdziesięciu ludzi. Większość na koniach, ale niektórzy na wielbłądach. Od północy nastąpił atak pozorowany, przeprowadzony przez około dziesięciu jeźdźców. Wypadli galopem na karawanę, udali, że atakują, a potem rzucili się do ucieczki. Kiedy eskorta złamała szyk i puściła się w pogoń za nimi, główny oddział uderzył z tyłu.

Selethen spojrział na młodego zwiadowcę ze zdumieniem i podziwem.

–I dowiedziałeś się tego wszystkiego wyłącznie ze śladów na ziemi?

Gilan skinął poważnie głową.

–Już ci mówiłem, my zawsze tak postępujemy – odpowiedział. – A więc? Gonimy ich, czy dajemy nogę do Al Shabah?

Umyślnie odezwał się zaczepnym tonem. Chciał sprowokować wakira, który przecież niczego bardziej nie pragnął niż rzetelnego pretekstu, by puścić się w pościg za Tualegami i nauczyć ich raz na zawsze, kto rządzi w tym kraju. Domysły Gilana okazały się słuszne. Selethen dokonywał właśnie pospiesznej oceny sytuacji. Być może nadarzyła mu się szansa, której potrzebował.

–Mają przewagę liczebną – zauważył.

–Ale my dysponujemy przewagą, wynikającą z zaskoczenia – zaproponował Halt. –

Przecież nie spodziewają się pościgu, który wyruszyłby za nimi tak prędko, prawda?

Selethen nadal się zastanawiał. Osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu albo i stu Tualegów, jak twierdzi ten młody zwiadowca. On zaś miał do dyspozycji pięćdziesięciu doświadczonych, doskonale wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy. Do tego jeszcze Aralueńczyków. Był pewien, że Horace i Svengal warcą są co najmniej kilku ludzi i to każdy z nich. Tak naprawdę, im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej miał ochotę ujrzeć, jak Svengal wyrąbuje sobie toporem drogę pośród tualeskich bandytów. Ponadto obaj zwiadowcy zbrojni byli w potężne długie luki, które nosili na ramieniu. Gotów był iść o zakład, iż nie służą im one dla próżnej ozdoby. Przeciwnie, spodziewał się, że ci dwaj mężczyźni w kapturach są w stanie przysporzyć nieprzyjacielowi niemałych strat. Pozostawał tylko jeden problem. Jeśli ma ścigać bandytów, potrzebny mu jest każdy żołnierz, nie może sobie pozwolić na choćby najmniejsze uszczuplenie swych sił.

–A co z księżniczką? – spytał.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli odeśle ją z powrotem do Al Shabah, będzie musiał zapewnić następczyni aralueńskiego tronu odpowiednią eskortę, a wówczas przewaga liczebna wroga zwiększy się jeszcze bardziej.



**–Księżniczka postanowiła wam towarzyszyć – oświadczyła Evanlyn stanowczo.**

**Selethen spojrzał pytająco na Halta, unosząc brwi. Halt uśmiechnął się nieznacznie.**

**Zdarzyło mu się już widzieć Evanlyn w ogniu bitwy. I wiedział, że potrafi posługiwać się szablą noszoną u pasa. Podczas podróży do Arydii ćwiczyła z Horacem oraz Gilanem, przy czym całkiem nieźle dawała sobie radę, choć przecież obaj zaliczali się do doskonałych fechtmistrzów. Zapewne, nie zdołałaby im dorównać, lecz Halt znał niewielu, którzy potrafiliby to o sobie powiedzieć. Toteż wiedział, że Evanlyn nie stanie się im ciężarem. Ba, może się okazać, że obecność dzielnej dziewczyny w taki czy inny sposób przeważy szalę zwycięstwa na ich korzyść.**

**–Księżniczka będzie nam towarzyszyć – stwierdził.**

## ROZDZIAŁ 27

Obudził go dojmujący chłód pustynnej nocy.

Leżał twarzą do ziemi, trzęsąc się od zimna; noc jak pijawka ssła ciepło z jego ciała. To niesprawiedliwe, pomyślał. Potworny skwar za dnia i niemal mróz nocą sprzysięgły się, by pozbawić go resztek siły – bowiem nieopanowane drzenie pochłaniało ostatnie zasoby energii, jakimi jeszcze dysponował.

Will spróbował unieść głowę, ale na próżno. Jednak po chwili z najwyższym trudem zdołał przewrócić się na plecy. Spoglądał teraz w lśniące gwiazdy na bezchmurnym niebie. Jakie piękne, pomyślał. Tylko że obce. Chciał spojrzeć na północ, gdzie ujrzałby znajome konstelacje swej ojczyzny – daleko, tuż nad horyzontem. Jednak na to zabrakło mu już siły. Przyjdzie mu tu leżeć i umierać, a nieprzyjazne gwiazdy będą przyglądały się obojętnie jego agonii.

Jak smutno.

W jego myślach zapanowała teraz przedziwna klarowność, jakby ziaęb ostudził gorączkę minionego dnia, rozpraszając uludy. Beznamiętnie analizował sytuację, w jakiej się znalazł. Wiedział, że wkrótce umrze. Jeśli nie tej nocy, to z pewnością następnego dnia. Nie przeżyje potwornego skwaru, jaki przyniesie ze sobą dzień. Wyschnie na wiór, na popiół, który potem rozwieje pustynny wiatr.

Ogarnął go bezbrzeżny smutek. Chciało mu się płakać, ale w jego ciele dawno już zabrakło wilgoci na taki luksus jak łzy. Teraz, gdy znów mógł myśleć jasno, ogarnęło go rozdrażnienie. Pragnął zrozumieć, w którym momencie popełnił błąd. Nie chciał umierać w niewiedzy. Przecież zrobił wszystko, jak trzeba – przynajmniej tak mu się wydawało. A jednak popełnił błąd. Fatalny, śmiertelny błąd. To smutne, że musiał umrzeć. I nie dawało mu spokoju, że nie pojmuje, dlaczego.

Przez chwilę zastanawiał się, czy Selethen rzeczywiście dał mu fałszywą mapę. Pamiętał, że minionego dnia przyszło mu to do głowy. Jednak niemal od razu uznał takie przypuszczenie za niedorzeczne. Selethen to człowiek honoru. Ocalił mu życie podczas burzy piaskowej, uprzytomnił sobie. Nie, to nie jego wina, stwierdził Will. Ja sam popełniłem błąd, choć teraz już nigdy nie dowiem się, jaki.

Przyszło mu do głowy, że Halt nie byłby z niego zadowolony. I zapewne ta świadomość dręczyła go najbardziej. Przez pięć lat starał się, jak mógł, by zyskać uznanie w oczach szpakowatego, mrukliwego zwiadowcy, który stał się dla niego jak ojciec. Jeśli Halt okazywał zadowolenie, nie miało znaczenia, co myśli o nim ktokolwiek inny, ktokolwiek na całym świecie. Gdy Halt skinął głową z uznaniem lub uśmiechnął się, co zdarzało się nader rzadko – Will traktował to jako najwyższą nagrodę. A teraz on zawiódł i nigdy już się nie dowie, jak do tego doszło. Nie chciał umierać, wiedząc, że Halt nie byłby z niego zadowolony. Z samą śmiercią zdołałby się pogodzić, ale nie z tym.

Jakiś duży czarny cień przesunął się obok niego, zasłaniając kawałek nieba. Przez chwilę ogarnął go strach, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to Strzała. Przecież nie spętał konia na noc. Zwierzę odejdzie i zginie, pożarte przez drapieżniki. Znów spróbował wstać, ale wycieńczone ciało odmówiło posłuszeństwa. Zdołał tylko unieść głowę na centymetr czy dwa, a potem jego głowa opadła bezwładnie na twardą, kamienistą ziemię.

Teraz myśli Willa powędrowały ku Wyrwijowi. Miał nadzieję, że gdzieś, nie wiadomo gdzie, jego ukochany wierzchowiec znalazł schronienie. Może ktoś się nim zaopiekował, napił i

nakarmił? Ale dosiąść go i tak nie zdoła – pomyślał. Zachichotał w duchu, bezgłośnie, wspominając, jak Wyrwij w mgnieniu oka zrzucił każdego niewtajemniczonego jeźdźca, który usiłował zasiać na jego grzbiecie.

Strzała zaczęła się oddalać; Will przez chwilę zastanawiał się, dlaczego odgłos końskich kopyt w zetknięciu z ziemią brzmi tak dziwnie, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież obwiązał je kawałkami koca dla ochrony przed gorącym podłożem. Jeden z nich musiał spaść, bo Strzała maszerowała w dziwacznym rytmie – trzy stłumione stuknięcia, a potem jedno dźwięczne, kiedy nieosłonięte kopyto uderzało o ziemię.

Odwrócił głowę, by spojrzeć w ślad za ciemnym kształtem odchodzącym w dal.

–Strzała, wracaj – powiedział. A właściwie tylko tak mu się wydawało, bowiem z jego ust dobył się zaledwie cichy, chrapliwy jęk. Koń zignorował ten nikły odgłos. Szedł dalej, w poszukiwaniu jakiejś paszy, która zawierałaby choć odrobinę wilgoci. Will spróbował przywołać go jeszcze raz, ale nie zdołał wydobyć z siebie dźwięku. Musiał pogodzić się z tym, że już nie jest w stanie zrobić. Obce gwiazdy spoglądały, a on patrzył na nie.

Nie lubię ich, stwierdził w myśli.

Gwiazdy jakby przygasały, świeciły coraz słabiej. Przedziwne, pomyślał. Zazwyczaj gwiazdy palą się jasno aż do chwili, gdy wszędzie słońce. Nie zdawał sobie sprawy, że gwiazdy płoną takim samym światłem, jak zawsze. To on przygasał, nie one. Leżał bez ruchu, ledwo oddychając.

Lew przeszedł kilka metrów od niego. Koń, osłabiony i odwodniony, usiłował wtedy uwolnić się od owiniętych wokół kopyt strzępów koca, które mu przeszkadzały. Nie wyczuł obecności wielkiego drapieznika aż po ostatnią sekundę. Zdażył wydać z siebie tylko przeraźliwe śmiertelne rzenie, które w następnej chwili zdławiły potężne szczęki drapieżcy.

Później Willowi wydawało się, że słyszał ten odgłos, ale nie był tego pewien. W rzeczywistości jego umysł, pogrążający się w niebyt, odnotował ostatni krzyk ginącego konia, lecz ciało było już zbyt słabe, by choćby drgnąć.

Strzała umierała krótko. A umierając, ocaliła Willowi życie.

\*\*\*

Poczuł parszczący oddech konia tuż przy swej twarzy, a potem delikatny pysk, który go trącał, miękkie wargi i szorstki, wielki jęzor oblizujący jego dłoń.

Przez jedną cudowną chwilę Willowi wydawało się, że to Wyrwij. Potem jednak przypomniał sobie, że Wyrwij przepadł gdzieś, zgubił się na pustkowiu. Pomyślał, że to pewnie Strzała powróciła. Nie miał siły otworzyć oczu. I nie chciał. Nawet przez powieki do jego oczu przebijało się palące światło, zabójczy blask słońca. O ileż łatwiej leżeć z zamkniętymi oczami. Koń zasłonił teraz jego twarz swoim cieniem i Will był mu za to wdzięczny.

Spróbował jednak otworzyć oczy, ale pozostały jak zaklejone w opuchniętej, spalonej słońcem twarzy. Dziwiło go trochę, że jeszcze żyje, ale wiedział, że to tylko kwestia czasu. A może nawet jest już martwy? Jeśli tak, z pewnością nie czuł się jak w niebie. Strzała – czy to ona? – znów trąciła chłopaka pyskiem, jakby próbując go obudzić. Will pamiętał, że Wyrwij zachowywał się tak samo. Może wszystkie konie tak samo postępują. Nie chciał się obudzić i z pewnością nie pragnął otworzyć oczu. Zbyt wielki wysiłek.

Zabawne, pomyślał, kilka godzin temu zdołałem przewrócić się na plecy. A teraz nie jestem w stanie nawet podnieść powiek.

Łatwiej będzie usnąć i odejść podczas snu.

Usłyszał gdzieś blisko siebie chrzęst stóp na piasku i kamieniach. Dziwne, bo nie przypominał sobie niczyjego towarzystwa, przecież ostatnio wędrował sam. Wszak wyruszył samotnie... Potem pod jego głowę wsunęła się dłoń i uniosła ją, jakby opierając o czyjeś kolano. Westchnął. Jedyne, czego pragnął, to by zostawiono go w spokoju.

Ale potem poczuł coś niesamowitego. Nie do wiary. Chłodna strużka wody spłynęła do jego suchych, spękanych ust. Otworzył je chciwie, by wpuścić jak najwięcej tego cudownego, zbawczego płynu. Nieco cieczy znów zwilżyło wargi Willa. Spróbował unieść się, spróbował sięgnąć po bukłak, żeby przytrzymać go przy ustach. Czyjaś ręka powstrzymała go.

–Spokojnie – odezwał się głos. – I pomału. Nie za wiele naraz.

Znów nieco wody spłynęło do spierzchłych ust Willa, a potem do gardła. Zakrztusił się, a jednocześnie wiedział, że woda jest zbyt cenna, by ją wypluć.

–Spokojnie, mówię – odezwał się ten sam głos. – Wody nie zabraknie. Bez pośpiechu.

Will posłusznie opuścił głowę. Pozwolił nieznajomemu sączyć ją pomału do ust.

Kimkolwiek był ów człowiek, z pewnością nie zdawał sobie sprawy, że Will umiera z pragnienia! Gdyż w przeciwnym razie pozwoliłby przecież wodzie płynąć wartkim strumieniem do wysuszonego gardła, aż życiodajny płyn wypełniłby po same brzegi całe jego jestestwo! Nie rzekł jednak nic. Był zbyt wdzięczny swemu dobroczyńcy, za żadną cenę nie chciałby go urazić – albowiem kto wie, czy tamten nie zmieniłby zdania i nie odszedł z bezcennym bukłakiem?

Usłyszał tuż obok ciche, niespokojne rżenie i znów dalby głowę, że to Wyrwij, nim powróciła pamięć. Nie, Wyrwija już nie ma.

–Nic mu nie będzie – odezwał się głos. Willowi wydawało się, że głos przemawia do konia. To miło ze strony Strzały, że się o niego niepokoi, pomyślał. Przecież znali się niezbyt długo. Poczul mokrą szmatkę delikatnie ocierającą mu oczy, zwilżającą wyschnięte powieki. Nieco wody pociekło po policzkach, więc co prędzej wyciągnął język, by schwytać spływające krople, zbyt cenne, by miały się zmarnować.

–Spróbuj otworzyć oczy – polecił głos, więc posłusznie, choć z najwyższym trudem, uniósł powieki.

Ujrzał smugę światła i pochylony nad sobą ciemny kształt. Zamrugał, choć kosztowało go to niemal wysiłku. Jednak gdy znów otworzył oczy, widział już wyraźniej. Dostrzegł twarz: ciemną twarz. Oblicze brodatego mężczyzny. Mężczyzny, który miał na głowie żółto-białą kefię. Twarz o wielkim, haczykowatym nosie, który w dodatku kiedyś musiał zostać złamany, więc w dodatku był to nos krzywy. Przez chwilę skupił się tylko na nim, a potem zamrugał znów i spojrzał, tym razem prosto w oczy nieznajomego.

Oczy były ciemne, prawie czarne. Głęboko osadzone. A nad nimi gęste brwi. Twarz wyrazista, mocna, chociaż nie piękna. Wszystko przez ten ogromny, haczykowaty nos.

–Ale wielki nochal – wychrypiał i natychmiast zdał sobie sprawę, że mówiąc coś takiego, popełnił straszliwy nietakt. Chyba oszalałem, pomyślał. Jednak na twarzy pojawił się uśmiech. Zęby wydawały się zdumiewająco białe wobec ciemnej brody i skóry.

–Innego przy sobie nie mam – powiedział tamten. – Może jeszcze wody?

–Proszę! – stęknął Will, a cudowny płyn znów wypełnił jego usta.

Potem zaś, cuda nad cudami, w jego polu widzenia pojawiło się inne oblicze, odepchnęło brodacza, przez co o mało nie rozlał wody. Na chwilę twarz Willa znalazła się w słońcu;

zabójczy blask zmusił go do zamknięcia oczu i intensywnego mrugania. Kiedy znów padł cień, Will otworzył oczy.

–Wyrwij? – wykrztusił, nie mogąc uwierzyć. Tym razem, kiedy koń zarżał cicho na dźwięk swojego imienia, wątpliwości zniknęły. Naprawdę stał nad nim Wyrwij, trącał go pyskiem, podszczypywał wielkimi, miękkimi wargami i starał się być tak blisko niego, jak tylko się dało.

Trącił ramię Willa. Wielkie ślepia spoglądały w półprzymknięte oczy Willa. „Widzisz, w jakie kłopoty się pakujesz, gdy nie ma mnie przy tobie?” – mówiły. Brodaty mężczyzna popatrzył na konia, a potem na spaloną twarz cudzoziemca.

–O ile rozumiem, wy dwaj dobrze się znacie – stwierdził.

\*\*\*

Był półprzytomny, jednak zdawał sobie sprawę, że ktoś kładzie kojący, chłodny balsam na poparzoną skórę jego twarzy i ramion. Wciąż dostawał wodę, ile tylko zapragnął -pod warunkiem, że pił powoli. Tego już się nauczył. Gdy próbował pochłaniać wodę zbyt prędko, odbierano mu ją. Gdy pił niespiesznie, nikt mu pić nie zabraniał. Zajmowało się nim kilka osób, ale miał świadomość, że Wyrwij cały czas znajduje się w pobliżu. Świadomość Willa czasem odpływała, by powrócić znów, a za każdym razem, gdy odzyskiwał przytomność, przez chwilę ogarniał go lęk, że to tylko sen, że Wyrwij wcale się nie odnalazł. Potem znowu oddychał z ulgą na widok dobrze znajomego, zatroskanego pyska.

Jakby to działo się we śnie, odnotował mimochodem fakt, że umieszczono go na noszach. Leżał, nie całkiem w poziomie; nosze nachylnono pod kątem mniej więcej trzydziestu stopni. Pomyślał, że pewnie umocowano je z tyłu za jakimś koniem. Jednak kiedy ruszyli i poczuł dziwny, powolny rytm kroków ciągnącego zwierzęcia, doszedł do wniosku, że nosze ciągnie nie koń, lecz wielbłąd. Odnotowywał wrażenie dotąd nieznanego, kiedy długonogi garbus wprawiał jego nosze w ruch, nie mówiąc już o tym, że wlokące się po ziemi drągi podskakiwały na nierównościach terenu.

Ktoś troskliwie nakrył jego twarz chustą, by osłonić ją przed skwarem. Usnął, choć trzęsło nim niemilosiernie. Nie miał pojęcia, w którym kierunku jadą i nie obchodziło go to wcale. Żył, a Wyrwij znajdował się w pobliżu, siedł tuż obok niego, pragnąc ustrzec swojego pana przed wszelkim możliwym niebezpieczeństwem.

Nie wiedział, czy wędrowali pół godziny, czy może pół dnia. Potem wyjaśniono mu, że jazda na noszach trwała niewiele ponad półtorej godziny, nim dotarli do obozowiska jego wybawcy. Wtedy został przeniesiony na posłanie w cieniu palm. Przez liście sączyło się łagodne światło. Pomyślał, że jeszcze nigdy dotąd nie było mu tak dobrze. Skóra na twarzy i ramionach piekła potwornie, ale wcierano w nią jakiś cudowny, łagodzący cierpienie balsam.

Wyrwij stał w pobliżu, pełniąc straż.

–Już dobrze – zwrócił się do Wyrwija. Z ulgą stwierdził, że jego głos brzmi teraz prawie zupełnie zwyczajnie. Był jeszcze trochę zachrypnięty, ale przynajmniej mógł już formułować dające się zrozumieć słowa. Przeżyłem, pomyślał. Mam końskie zdrowie.

Uśmiechnął się, trochę zawstydzony, na wspomnienie swoich rozmów z wierzchowcem, który niósł go przez pustynię. Zdawało się, jakby to działo się wiele miesięcy temu.

Zastanawiał się, co też może się dziać ze Strzałą. Nie widział arydzkiego konia, gdy odzyskał przytomność. Miał nadzieję, że Strzała się nie zgubiła.

–Muszę przestać gubić konie – rzekł sennie. – To zły zwyczaj.

I usnął.

\*\*\*

Will obudził się z głębokiego, orzeźwiającego snu. Leżał na plecach i spoglądał w górę, na palmy.

Znajdował się w dużej oazie. Słyszał płynącą w pobliżu wodę i krzątanie się wielu ludzi oraz ich głosy. Gdy rozejrzał się, ujrzał mnóstwo niewysokich namiotów. Oaza i obozowisko rozciągały się na kilkaset metrów w każdą stronę. Pośrodku znajdował się spory staw, dalej widać było inne, nie brakło również studni. Mieszkańcy obozowiska zacierali w różne strony, dźwigając naczynia pełne wody; inni rozniecali ogień lub oporządzali konie czy wielbłądy, przepędzali stada kóz. Sądząc po rozmiarach obozowiska, musiało ono liczyć kilkuset mieszkańców, a wszyscy odziani byli w długie, zwiewne szaty. Mężczyźni nosili kefie, a kobiety długie chusty udrapowane na głowach, tak by chroniły głowę i kark, nie zasłaniając twarzy.

–Obudziles się.

Głos rozległ się z tyłu, za nim, więc odwrócił się, żeby zobaczyć, kto do niego mówi. Spostrzegł niską, szczupłą kobietę, może koło czterdziestki. Uśmiechała się. Przyniosła płaski koszyk pełen owoców, pieczywa oraz mięsa, a także butelkę wody. Z wdziękiem przyklękła obok i postawiła koszyk, po czym gestem dała mu znak, żeby się częstował.

–Powinieneś się posilić – oznajmiła. – Jestem pewna, że od dłuższego czasu nic nie jadłeś.

Spoglądał na nią przez chwilę lub dwie. Owalna twarz o regularnych rysach i jasnokawowej karnacji wyrażała niewątpliwie przyjazne uczucia. W ciemnych oczach połyskiwała iskierka wesołości. Kiedy uśmiechała się, tak jak teraz, twarz stawała się wręcz piękna. Ubrana była w żółtą szatę i takąż chustę na głowie. Gdy Will przyglądał się tej kobiecie, przyszło mu na myśl, że jej troskliwość ma w sobie coś ciepłego, matczynego.

–Dziękuję – powiedział. Sięgnął po owoc, ugryzł go, poczuł spływający sok.

Wspaniałe uczucie, bo dobrze pamiętał, jak jeszcze bardzo niedawno jego język był suchy i

opuchnięty. Przypominał sobie niejasno, że ktoś niejednokrotnie przytykał mu do ust szyjkę

bukłaka oraz zachęcał: „Pij, tylko powoli”. Pił więc, przez sen, wspomnienie zaś o tym jawiło

się na kształt sennego marzenia. Choć teraz zdał sobie już sprawę, że wszystko zdarzyło się

naprawdę. Jego wybawiciele, nie budząc Willa, zadbali jednak, żeby dostarczyć jego organizmowi niezbędną ilość wody.

Upił kolejny łyk. Miał ochotę spytać, gdzie się znajduje, ale nagle pytanie owo wydało mu się strasznie blahe. Zamiast tego wskazał więc ruchem ręki rozciągające się wokół obozowisko.

–Co to za ludzie? – spytał.

Uśmiechnęła się do niego.

–Jesteśmy ludem pustyni, Bedulinami z plemienia Horesh – wyjaśniła. – Na imię mam Sulejma. – Uczyniła ten sam gest, który przedtem widział u Selethena. Uniosła dłoń do ust, do czola, a potem znów dotknęła ust. Nie czuł się na siłach, by odpowiedzieć tym samym, więc

tylko skłonił się; w siedzącej pozycji wyszło to dość niezgrabnie.

–Witaj, Sulejmo. Mam na imię Will.

–Witaj w naszym obozowisku, Willu – odrzekła.

Podczas gdy rozmawiali, nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo zgłodniał. Sięgnął do koszyka po wyborny podplomyk. Znalazł tam też kawałki zimnego pieczonego mięsa; owinął jeden z nich podplomykiem, odgryzł spory kęs. Mięso smakowało wyśmienicie; idealnie wypieczone, zachowało swą soczystość – wraz z lekko dymnym posmakiem od ognia, a przy tym zostało delikatnie przyprawione smakowitymi ziołami. Pogryzł je i połknął, po czym –

nie zwlekając – oderwał następny spory kawałek płaskiego chleba. Od razu wetknął go sobie do ust, razem z drugim plastrem mięsa. Przeżuwał łapczywie.

–Chyba nic poważnego nie dolega młodemu człowiekowi, który okazuje tak dobry apetyt – stwierdziła Sulejma z uśmiechem.

Zaniepokoił się, sądząc, że może uchybił dobrym manierom, skoro rzucił się tak chciwie na jedzenie. Sulejma zaśmiała się, dała znak, żeby się nie przejmował.

–Jedz, jedz. Jesteś wygłodniały – rzekła. – Kto je z takim zapalem, pochlebia mi jako kucharce.

Jadł więc, dalej bez skrępowania, a kiedy zaspokoił wreszcie głód, strzepnął okruszki z kolan. Znów się rozejrzył.

–Gdzie jest ten mężczyzna, który mnie znalazł?

Wskazała ręką w kierunku środkowej części obozowiska. Zdał sobie sprawę, że ułożono go nieco na uboczu, przypuszczalnie po to, by zapewnić mu niczym niezakłócony odpoczynek.

–Ten mężczyzna to Omar ib'n Talud – powiadomiła go. – Z pewnością zajęty jest jakimiś sprawami wielkiej wagi. Jest naszym aszejkiem.

Ujrzała pytanie w jego oczach, więc wytłumaczyła:

–Aszejk to tytuł naszego przywódcy. Stoi na czele Bedulinów plemienia Horesh. A także jest moim mężem – dodała. – I dobrze wie, że nasz namiot wymaga naprawy oraz że przydałoby się też wytrzepać dywan. Właśnie dlatego jestem pewna, iż zajęty jest bardzo ważnymi sprawami.

Na jej ustach pojawił się filuterny uśmieszek. Will zrozumiał, że aszejk może sobie być wodzem swojego ludu, ale, jak żonaci mężczyźni na całym świecie, podlega władzy najwyższej, czyli sprawowanej przez małżonkę.

–Chciałbym wyrazić mu swoją wdzięczność – powiedział.

–Jestem pewna, że z przyjemnością przyjmie twoje podziękowania.

## ROZDZIAŁ 28

Tualegowie znajdują się na tej robocie – stwierdził Gilan, gdy on i Halt zasiedli z powrotem w siodłach. Selethen czekał na grzbiecie swojego wierzchowca, by dowiedzieć się, co zwiadowcy zdołali wywnioskować ze śladów.

Tego popołudnia już pięciokrotnie zgubili trop pozostawiony przez tualeski oddział. Za każdym razem musieli zsiadać z koni i wypatrywać nikłych, niedostrzegalnych dla niewprawnego oka znaków wskazujących, w którym kierunku wrogowie się udali.

Halt mruknął coś niezrozumiałego na znak zgody i znów ruszyli przed siebie. Pierwszego dnia Tualegowie parli naprzód, nawet nie próbując zmylić pościgu. Jednak potem zaczęły zacierać ślady, do czego wyznaczono niewielki oddział jadący w tyle. Jeźdźcom zamykającym oddział Tualegowie wyznaczali zadanie maskowania wszelkich znaków wskazujących, że główne ich siły zaczęły stopniowo zmieniać kierunek jazdy. Rzecz jasna, nie zdołali zlikwidować do końca śladów przemarszu, lecz tylko tropiciele klasy Halta lub Gilana potrafili dostrzec to, co pozostało.

–Tak właśnie się działo, za każdym razem, gdy usiłowaliśmy ich ścigać – rzekł Selethen. – Najpierw przez jakiś czas ślady były wyraźne, a potem po prostu znikaly.

–Rzecz zrozumiała – zauważył Halt. – Aby skutecznie zacierać trop, potrzebne im światło dzienne, tak samo jak nam, by go znaleźć, zresztą maskowanie śladów to czasochłonne zajęcie. Pierwszego dnia starali się po prostu jak najbardziej oddalić. Następnie, kiedy zyskali już znaczną przewagę dystansu nad ścigającymi, zaczynali kluczyć i zacierać ślady – spojrzał na Selethena. – Wtedy właśnie wasi tropiciele gubili się w poszukiwaniach, aż w końcu dawali za wygraną – dokończył.

Selethen skinął ponuro głową.

–Ale przynajmniej dzięki tym dodatkowym środkom ostrożności muszą poruszać się wolniej – wtrącił Gilan.

Halt skinął głową.

–Teraz Tualegom pozostaje wędrówka w świetle dziennym, bo inaczej straciliby pewność, że skutecznie zatarli trop. W dodatku nie zmierzają prosto do celu, lecz obrali okrężną drogę. Spodziewam się, że w tej chwili wyprzedzają nas ledwie o pół dnia, nie więcej.

Przyspieszenie pogoni okazało się możliwe również dlatego, że zwiadowcy zdołali dowiedzieć się kilku rzeczy, które ułatwiły im pracę. Szybko zorientowali się, że Tualegowie – być może zbyt zadufani w sobie przez świadomość, że jak dotąd zawsze udawało im się unikać arydzkiego pościgu, kiedy poprzednio umiejętnie kluczyli i zostawiali fałszywe ślady - postępowali według dość ściśle określonego schematu. Po kilku godzinach Gilan z Haltem zdołali ów schemat odtworzyć, dzięki czemu mogli po prostu nie zważać na fałszywe tropy i jechali prosto, by w jakiejś chwili odnaleźć trop właściwy, który nieodmiennie pojawiał się kilka kilometrów dalej. Zorientowali się również, że gdy przeciwnik zostawiał ślad fałszywy, wkładał znacznie mniej wysiłku w jego zatarcie. Zatem, jak zauważył Gilan, Tualegowie całkiem zręcznie radzili sobie z myleniem pościgu – ale jednak brakowało im finezji w tej mierze.

Oczywiście, dodatkowym ułatwieniem dla Halta i Gilana było to, że pracowali we dwóch. Gdy natrafiali na mylny trop, Gilan na wszelki wypadek podążał za nim przez krótki czas, podczas gdy Halt prowadził Arydów właściwą, niezmienną drogą. Co więcej, sprzyjało im padające pod małym kątem światło poranka lub późnego popołudnia, ponieważ wtedy znacznie



łatwiej ujawniały się nierówności nienaturalnego pochodzenia, pozostawione w cienie warstwie piasku pokrywającej pustynię.

Za każdym razem, gdy stosowali przyjętą taktykę, odnajdywali właściwy ślad kilka kilometrów dalej, a wówczas Gilan wracał, by na powrót przyłączyć się do oddziału. Szczęśliwie, teren był płaski, więc utrzymywali kontakt wzrokowy na duże odległości.

Jak stwierdził Halt, dzięki przyjętej taktyce, znaleźli się o pół dnia drogi bliżej do Tualegów. Jednak wciąż pozostawali zbyt daleko z tyłu. Spojrzał na słońce, osłaniając oczy dłonią. Zbliżało się już południe, co znaczyło, że należy z konieczności przerwać pościg i poszukać schronienia przed skwarem.

–Sądzę – odezwał się do Selethena – że dziś po południu moglibyśmy we trzech wysforować się naprzód. Dzięki temu będziemy przemieszczać się szybciej, zostawiając przy tym wyraźne znaki dla reszty oddziału, który podąży za nami. Chciałbym zbliżyć się na tyle, by jutrzejszej nocy Gilan zdołał rzucić okiem na Tualegów.

Selethen nie oponował. Przeciwnie, propozycja jak najbardziej przypadła mu do gustu. Kiedy wędrowali całym oddziałem, siłą rzeczy poruszać się mogli tylko tak prędko, jak pozwalał na to najpowolniejszy z koni. Wszystko zresztą trwało tym dłużej, że wciąż należało się zatrzymywać, bo Halt i Gilan wyszukiwali następne ślady. Ciągłe postoje wpływały demobilizująco na żołnierzy – choć zostali dobrze wyszkoleni, jednak każdorazowe wyruszenie w drogę zajmowało oddziałowi nieco czasu. Wciąż okazywało się, że w kopycie któregoś z koni utkwiał kamień, że trzeba poprawić popręgi lub lepiej przytroczyć ekwipunek do siodła, że ktoś chciał jeszcze napić się wody z bukłaka... Zwłoka nie trwała więcej niż parę minut, ale w sumie opóźniała przemarsz.

–Jeszcze kilka kilometrów – oznajmił – i odpoczniemy. A po południu pojedziemy we trzech przodem.

Zmiana, jaka nastąpiła w ich wzajemnych relacjach, nie uszła uwagi Halta. Wakir, tak z początku podejrzliwy, zaufał zwiadowcom do tego stopnia, że zezwolił im na pełnienie roli przewodników całego oddziału. A teraz nie obawiał się wyruszyć wraz z nimi samotrzeć, oddając się niejako w ich ręce.

Ze swej strony wakir czuł narastającą satysfakcję na myśl o możliwości zadania tualeskim koczownikom dotkliwego ciosu. Przeciwnik oczywiście wiedział, że Aryda nie posiada do dyspozycji bedulińskich tropicieli, więc – jak to przewidział brodaty zwiadowca -wróg czuł się całkiem bezpiecznie. Jeśli Selethenowi wraz z jego żołnierzami uda się w ciągu najbliższych kilku dni zaatakować znienacka Tualegów, ci na przyszłość będą wystrzegać się zbyt zuchwałych napaści. Zorientują się bowiem, iż nie wolno im już, tak jak czynili dotychczas, polegać na swej umiejętności znikania pośród piasków pustyni. Tualegowie nie będą mieli pojęcia, jakim sposobem zdołano ich wytropić, a Selethen zamierzał dopilnować, by nigdy się tego nie dowiedzieli.

Prawdziwym podziwem napawała go umiejętność tropienia śladów, jaką wykazywali ci dwaj przybysze z północy. Niejednokrotnie, gdy spostrzegli jakiś znaczący ślad, pokazywali mu, czego należy szukać: nieznaczące wyrzucenie na gładkim piasku; miejsce, w którym końskie kopyto otarło się o kamienisty grunt; nitka z szaty lub koca przytroczonego do siodła na gałęzi rosnących tu wszędzie ciernistych krzaków... Drobiazgi, których sam nigdy by nie zauważył. Tymczasem ich wprawne oczy czytały w nich z taką łatwością, jak gdyby wydarzenia

zostały zapisane na ziemi wielkimi literami. Nie był też pewien, czy postąpił słusznie, decydując się jechać samotnie z nimi. Z początku kusilo go, by zabrać ze sobą jednego czy dwóch żołnierzy. Odrzucił jednak ten pomysł. Postanowił okazać przybyszom zaufanie, co więcej, chciał, aby zdali sobie z tego sprawę.

Tymczasem Gilan znów zeskoczył z siodła i wybiegł kilka kroków naprzód, wpatrując się w ziemię. Jego gniadosz podążał za swym panem krok w krok. Chodziło o to, by oszczędzić na czasie, bo dzięki współpracy z konikiem Gilan nie musiał cofać się pieszo, by znowu go dosiąść. Młody zwiadowca tropił ślady Tualegów tak gorliwie – i skwapliwie – że przywoził Selethenowi na myśl gończego ogara.

–W tę stronę – zawołał Gilan, wskazując nieco na lewo, więc arydzki oddział skierował wierzchowce we wskazanym przezeń kierunku.

\*\*\*

Przeczekawszy najupalniejsze godziny dnia, jak ustalono przed postojem, Selethen oraz obaj zwiadowcy pojechali przodem. Za każdym razem, gdy kierunek marszu tropionych przeciwników się zmieniał, rysowali na ziemi wielką strzałę. Jeśli grunt był zbyt twardy, układali podobny znak z kamieni.

Już po pierwszych dwóch godzinach stało się jasne, że w samej rzeczy poruszają się szybciej niż żołnierze Selethena. Chmura pyłu wznoszona przez kopyta ich koni stała się ledwo widoczna na horyzoncie. Spoglądając na nią, Halt zmarszczył brwi.

–Warto o tym pamiętać, kiedy znajdziemy się w bezpośredniej bliskości wroga – stwierdził. – Mogliby zorientować się przedwcześnie, że ktoś depcze im po piętach.

Wędrowali aż po późne popołudnie, kiedy słońce znajdowało się tuż nad horyzontem, rzucając zbyt słabe światło, by mogli nadal wypatrywać śladów. Selethen zwrócił uwagę, że zwiadowcy przyspieszyli, oderwawszy się od głównego oddziału i jechali teraz klusem, a od czasu do czasu nawet galopem – gdy ślady stawały się wyraźniejsze. Krępe koniki, których dosiadali, wyraźnie nic sobie nie robiły z tego, że muszą teraz biec, a nie iść powolnym truchtem jak poprzednio. Jego wierzchowiec także bez trudu znosił zwiększone tempo, lecz był to rumak pełnej krwi, wywodzący się od najznakomitszych koni wyhodowanych przez Arydów. Selethen powziął myśl, że wiele koni, których dosiadali jego żołnierze, nie dotrzymałoby kroku kudłatym wierzchowcom zwiadowców. Owszem, te ostatnie prezentowały się nader skromnie w porównaniu z jego pięknym ogierem, lecz za to były niezwykle wytrzymałe i zdumiewająco szybkie. Przypuszczalnie na krótkim dystansie jego własny koń, Pan Słońca, zdołałby je przegonić. Jednak nawet on nie potrafiłby utrzymać znacznej prędkości tak długo, jak te beczułkowate i gęsto owłosione, niepozorne koniki.

Uznał, że warto będzie dowiedzieć się o tych zwierzętach czegoś więcej, bo przyszło mu na myśl, iż dzięki posiadaniu wierzchowców tak doskonale sprawujących się w forsownym marszu, arydcy jeźdźcy zyskaliby cenny atut.

Gdy zatrzymali się na noc, główny oddział znajdował się daleko poza zasięgiem wzroku.

Rozsiodłali konie, napoili je i nakarmili, po czym rozłożyli obozowisko. Selethen zabrał się za zbieranie chrustu na niewielki ogień. Halt i Gilan chcieli mu dopomóc, lecz powstrzymał ich:

–Wy pracowaliście przez cały dzień – oznajmił. – Ja byłem tylko zbędnym obciążeniem.

Dostrzegł nieco zaskoczone spojrzenie, jakie tamci dwaj wymienili między sobą i w

skrytości ducha ucieszył się, że może w ten sposób zyskał nieco ich szacunku. Wystarczająco dobrze znał się na ludziach, by wiedzieć, że poważanie takich jak oni można zyskać sobie, tylko dzieląc z nimi ciężką pracę, a nie próbując się ponad nich wywyższyć. Ogień wkrótce zapłonął, rzucając wokół jasny krąg światła. Wiedział, że będzie widoczny ze sporej odległości. Teraz, w ciemnościach, ciągnącemu w tyle oddziałowi nietrudno będzie ich odnaleźć.

–I na to też trzeba koniecznie zwrócić uwagę, gdy się przybliżymy do Tualegów – stwierdził Halt. – W promieniu pięciu czy sześciu kilometrów ogień stanie się widoczny jako

jasny punkt. A zanim wzejdzie księżyc, lunę na niebie da się dostrzec z jeszcze większej odległości.

Trzy godziny po zapadnięciu ciemności, gdy zjedli już posiłek, do ich obozowiska dotarł główny oddział. Podczas gdy żołnierze przygotowywali się do odpoczynku, jedli, pili kawę i rozmawiali półgłosem, Selethen, jak przystało na dobrego dowódcę, przechadzał się między nimi. Zatrzymywał się przy każdym ognisku, przyklękał na jedno kolano i rozmawiał ze swymi ludźmi o wydarzeniach minionego dnia, oszacowując przebyty dystans oraz wypytyując, czy nic nie dolega im lub ich wierzchowcom.

Tymczasem do ogniska zwiadowców dosiadł się Svengal wraz z dwójką pozostałych Aralueńczyków. Rozkoszowali się aromatyczną arydzką kawą, przyglądając się jednocześnie z uznaniem Selethenowi. Wiedzieli, że wakir jest zmęczony i zapewne marzy o chwili, kiedy będzie mógł wyciągnąć się wygodnie na cieplej jeszcze ziemi, by także uraczyć się smakowitym napojem. Jednak arydzki dowódca nie spoczął, dopóki nie dokonał inspekcji całego oddziału, tu i ówdzie wymieniając żarty ze starymi towarzyszami broni, gdzie indziej udzielając rad lub rzucając słowo zachęty młodym rekrutom.

Aż wreszcie wysoka, odziana w białą szatę postać – ku niejakiemu ich zdziwieniu -zbliżyła się do grupki cudzoziemców.

–Czy mogę do was dołączyć? – spytał Selethen. Halt uczynił zapraszający gest.

–Ależ prosimy.

Horace chciał się dźwignąć na nogi, żeby podać mu kubek kawy, ale Selethen machnął ręką.

–Sidar się tym zajmie – rzekł. Rzeczywiście, jeden z żołnierzy zadbał już o potrzeby swojego dowódcy i zbliżał się właśnie z naczyniem w ręce. Selethen podziękował mu, usiadł i

odetchnął głęboko.

Upił porządny łyk, po czym znów westchnął z ulgą, jaką daje upragniona chwila odpoczynku po długim, ciężkim dniu – kiedy obolale, zmęczone wysiłkiem mięśnie zaznają wreszcie wytchnienia.

–Co byśmy poczęli bez kafay? – spytał, używając arydzkiej nazwy napoju, od której zresztą wywodziło się też aralueńskie jego określenie.

–Zwiadowcy z pewnością działaliby niewiele – stwierdził Horace, co wszyscy skwitowali pełnym zrozumienia uśmiechem. Selethen już wcześniej zauważył, że zakapturzeni wojownicy przejawiają nie mniejsze niż Arydzi zamiłowanie do tego napoju.

Zresztą wysoki rycerz również nim nie gardził, tylko Skandianin kręcił nosem, wspominając z

utęsknieniem ciemne piwo ze swych rodzinnych stron. Jego zdaniem, żaden inny napitek nie

był godniejszym ukoronowaniem dnia.

–Ja tam nie pojmuję, jak można wytrzymać bez piwa – stwierdził. – Dobre jest na głowę i uspokaja pod wieczór, a jakże.

Evanlyn obdarzyła go uśmiechem.

–Tęsknisz za ojczyzną, Svengalu? – spytała.

Rosły pirat spoglądał na nią przez chwilę, rozważając odpowiedź.

–Prawdę rzekłszy, wasza wysokość – odparł – nie jestem stworzony do tego klimatu.

Svengal uparcie zwracał się do Evanlyn słowami „wasza wysokość”. Wielokrotnie zwracała mu uwagę, żeby nazywał ją Evanlyn lub Cassandra. Nie klóciłoby się to z nakazami protokołu, ponieważ byli wszak towarzyszami podróży uczestniczącymi we wspólnej wyprawie. Jednak Svengal upierał się przy swoim. Podejrzewała więc, że chodziło tu z jego strony o dość niewybredną kpinę z dworskich tytułów, a zarazem podkreślenie odrębności skandyjskich obyczajów. Skandianie nie uznawali dziedziczości tronu, bowiem w ich przekonaniu nikt nie nadawał się do sprawowania rządów tylko i wyłącznie z racji swego urodzenia. Od niepamiętnych czasów wybierali rządzących nimi władców, kierując się zaletami i popularnością kandydatów. A kiedy przypominała sobie niektórych monarchów, jakich musiał cierpieć Araluen w swej historii, odnosiła wrażenie, że kto wie, czy Skandianie nie wymyślili jednak tego wszystkiego lepiej.

–I do jazdy konnej też nie jesteś stworzony – zauważył Horace. – Może i serce cię boli z tęsknoty za ojczyzną, ale podejrzewam, że całkiem inna część ciała dużo bardziej...

Svengal mruknął gniewnie i poprawiał się w siedzącej pozycji po raz dwudziesty, na próżno usiłując znaleźć wygodniejsze miejsce.

–Co tu kryć – przyznał – przekonałem się, że są tam takie mięśnie, o których istnieniu dotąd nie wiedziałem.

Selethen zaśmiał się; dobrze czuł się pośród tych pogodnie przekomarzających się cudzoziemców.

Nie po to jednak tu przyszedł. Odkaszlnął dyskretnie i zauważył, że Halt natychmiast zwrócił na to uwagę.

–Chcesz coś powiedzieć, Selethenie? – spytał Halt. Już od dawna nie zwracali się do wakira jego tytułem czy też pełnym uszanowania „wasza jasność”. Selethen pochylił się i wygładził piasek przed sobą.

–Prawdę mówiąc, owszem. Otóż, kiedy rozmawiałem z moimi ludźmi, jeden z nich zwrócił mi uwagę na pewien interesujący fakt.

Dobyl zza pasa krzywy kindżał i narysował nim na piasku znak X.

–Zalóżmy, że to oznacza naszą dzisiejszą pozycję – rzekł, a potem dorysował zakrzywioną, zygzakowatą linię. – By tu dotrzeć, podążaliśmy za Tualegami, którzy starali się

nas zmylić, kluczyli i zawracali – teraz zerknął na Halta – i tym samym stracili sporo czasu, co

pozwoili nam się do nich zbliżyć.

Halt skinął głową. Cekał, aż Aryda wyjawi, do czego zmierza.

–A jednak, lawirując, skręcając i odbijając w tę lub tamtą stronę, Tualegowie wciąż wracają do jednego podstawowego kierunku – nakreślił prostą linię wiodącą od punktu wyjścia, do ich obecnej pozycji. – Jeśli utrzymają go nadal, dotrą tutaj – zaznaczył kolejny punkt.

–A co to za miejsce? – spytała Evanlyn.

Selethen podniósł na nią wzrok.

–Studnie Khor-Abash – powiedział. – Najlepsze źródło wody w promieniu dwustu kilometrów.

Horace wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami w znaki na piasku.

–Sądzisz, że potrzebują wody? – spytał.

Selethen spojrział mu w oczy. Jego odpowiedź zabrzmiała nader poważnie:

–Na pustyni woda jest zawsze potrzebna. Podróżny, który nie jest głupcem, nigdy nie zaniedbuje okazji, by uzupełnić jej zapasy.

–A czy mogą znaleźć wodę gdzie indziej? – spytał Halt.

Selethen zaznaczył sztyletem inny punkt na piasku.

–Są jeszcze studnie Orr-San – rzekł – ale mniejsze i nie tak pewne. Zdarza się, że wysychają. Poza tym znajdują się czterdzieści kilometrów dalej na zachód. Jeśli Tualegowie zmierzają tam, gdzie mi się wydaje, to byłoby zbyt daleko od obranego przez nich kursu.

–A jak sądzisz, dokąd się wybierają? – zainteresował się Halt. Jego towarzysze nie odzywali się, słuchali tylko uważnie.

–Gdzieś tutaj – ostrze noża znów dźgnęło piasek. – Na północ. Tędy ciągnie się Masyw Północny – narysował linię prowadzącą od wschodu do zachodu. – Są tam góry, wzgórza, urwiska, ślepe kaniony. No i kilka miast, w których mogą się schronić.

Halt zmarszczył brwi.

–Wydawało mi się, że Tualegowie są nomadami?

Selethen skinął głową.

–Owszem, są. Lecz atakują arydzkie miasta. Tualegowie zdobywają je i zajmują na miesiąc, czasem sześć tygodni. Potem znów kierują się na pustynię lub udają się w góry.

Halt w zamyśleniu podrapał się po brodzie, przyglądając się nakreślonym przez Selethena znakom na piasku.

–O ile więc masz rację i rzeczywiście kierują się ku tym studniom, moglibyśmy zaprzestać śledzenia ich i ruszyć na skróty, czy tak? Jeśli szczęście nam dopisze, kiedy przybędą, będziemy już tam na nich czekać.

Selethen spokojnie patrzył mu w oczy. Przytaknął.

–Rzecz jasna istnieje ryzyko, że się mylę. Skoro jednak wędrują w tym kierunku – dodał – to trudno mi sobie wyobrazić, by zmierzali gdzie indziej.

Halt zastanawiał się jeszcze przez chwilę. Spojrzął po twarzach towarzyszy. Bądź co bądź Erak był ich przyjacielem, a jeśli postąpią zgodnie z sugestią Selethena, może się okazać, że zgubią bezpowrotnie jego trop. Każde z nich, po kolei, w milczeniu skinęło głową. Halt znów spojrział na Selethena.

–Tak tedy uczynimy – oświadczył.

## ROZDZIAŁ 29

Will odgarnął zakrywający go koc, a Sulejma pomogła mu wstać z umoszczonego pod drzewami legowiska.

Jeszcze przez chwilę podtrzymywała chłopca pod ramię, bo chwiał się, lecz zaraz potem stanął pewniej. Przestało mu się kręcić w głowie. Stwierdziła z uznaniem, że jej podopieczny jest na najlepszej drodze do wyzdrowienia.

–Zdrowemu, silnemu ciału wystarczy nieco wypoczynku, aby dojść do siebie – powiedziała. – A teraz chodź. Czas, abyś się spotkał z potężnym Omarem.

I znów w jej słowach wyczuwało się lekki ton rozbawienia. Will zdał sobie sprawę, że stoi boso, a jego butów nie było widać nigdzie w pobliżu. Gdzieś także znikł zwiadowczy płaszcz. Spostrzegła, że się rozgląda, więc uspokoiła go:

–Twojemu dobytkowi nic nie zagraża – rzekła. Zauważyła, że poszukuje czegoś jeszcze, lecz szybko odgadła: mały konik sterczał przecież u boku młodzika przez cały dzień i

całą noc. – Koń przebywa z resztą stada. Został nakarmiony oraz napojony – wyjaśniła. –

Co

prawda niełatwo dał się namówić, żeby poniechać pełnienia straży u twego łoża.

Will uśmiechnął się, zadowolony. Przez chwilę znów obawiał się, że tylko śnił i że Wyrwija wcale tu nie ma. Uspokoił się, wskazał ręką na nagie stopy.

–Gdzie zostały moje buty? – spytał. – Potrzebuję ich.

Ale Sulejma uśmiechnęła się tylko. Poprowadziła gościa ku środkowi obozowiska.

–Piasek jest miękki.

Rzeczywiście, miała rację. Piasek pod jego stopami, nie rozgrzany jeszcze przez palące promienie słońca, był chłodny i miękki. Szedł obok niej; trzymała go lekko pod ramię na wypadek, gdyby zasłabł lub się zatoczył. Uprzytomnił sobie, że twarz oraz ramiona nadal go pieką, choć już nie tak dotkliwie, jak przedtem. Spojrzał w dół, ujrzał, że czerwona, poparzona skóra na jego przedramieniu lśni od tłuszczu.

–To maść, której nasi ludzie używają od pokoleń. Za dzień lub dwa twoje rany się zagoją – rzekła.

–Dziękuję. – Skłonił się, a ona odpowiedziała uśmiechem. Poczul przyływ sympatii wobec tej pogodnej, promieniującej ciepłem kobiety. Szczęściarz z aszejka Omara, pomyślał.

Gdy szli przez obozowisko, zauważył, że ludzie zatrzymują się, by go sobie obejrzeć - zwłaszcza dzieci. Kilka razy doszło jego uszu słowo „cudzoziemiec”, które ktoś rzucił za nim półgłosem. Trudno jednak się dziwić, z pewnością nieczęsto widywali obcoplemieńców. Na twarzach najpierw wykwiwały uśmiechy, później zaś pozdrawiano go znanym już gestem; na uśmiechy odpowiadał uśmiechem, po czym chylił czoło w pozdrowieniu.

–Wasz lud jest bardzo przyjazny – stwierdził.

Sulejma zmarszczyła brwi.

–Hm, nie zawsze – powiedziała. – W zasadzie staramy się trzymać we własnym gronie. Jednak wszyscy są szczęśliwi, gdy kogoś uda się ocalić przed dzikim Panem Niebios – wskazała palcem na niebo; zdał sobie sprawę, że tym mianem określa słońce. Nic dziwnego,

dla tych ludzi stanowiło ono nieustanne śmiertelne zagrożenie.

Znaleźli się teraz w samym środku obozowiska. Dostrzegł grupę kilku mężczyzn siedzących w kręgu. Wszyscy mieli na głowach kefie w żółto-białą kratę, takie same, jaką nosił jego wybawca. Sulejma pociągnęła go lekko za ramię.

–Musimy poczekać – stwierdziła. – Jak mówiłam, zajęci są sprawami najwyższej wagi.

Rzekła to tonem poważnym, niemal czolobitnym. Zatrzymali się więc oboje w odległości kilku metrów. Wszyscy mężczyźni siedzieli nachyleni, wpatrując się w sporych rozmiarów kamień. Will przypuszczał, że odbywają jakieś nabożeństwo, choć nie było słyhać słów modlitwy.

Nagle, jak jeden mąż, odchylił się do tyłu, głośno wyrażając swe rozczarowanie:

–Odleciała! – zawołał jeden z nich, a Will rozpoznał jego głos. – Prawie dołączyła do szczytu i odleciała, przekłeta!

Spojrzał pytająco na Sulejmę, która zaśmiała się z przekąsem:

–Uwierzyłbyś? Dorośli mężczyźni, a cały świat im przesłania zakład o to, która mucha pierwsza dolezie na szczyt kamienia!

–Zakład? – zdziwił się. – Myślałem, że oni się modlą.

Uniosła brwi.

–Jak dla nich, to prawie na jedno wychodzi. Bedulini gotowi są założyć się o wszystko, to prawie jak religia. – Poprowadziła go teraz ku mężczyznom; krąg rozerwał się i

większość z nich zbierała się już do odejścia. – Aszejku Omarze! – zawołała kobieta. –

Twój

gość się obudził.

Omar odwrócił się i powitał ich szerokim uśmiechem. Will rozpoznał tę twarz oraz wielki, haczykowaty nos. Aszejk postąpił ku nim z rozpostartymi ramionami. Chciał pochwycić przedramiona Willa w powitaniu, lecz jego żona syknęła ostrzegawczo:

–Uważaj, głupcze! Jest poparzony!

Aszejk zdał sobie sprawę z błędu, którego o mało nie popełnił, toteż nie dotknął Willa, lecz wznosił obie ręce w geście przypominającym błogosławieństwo.

–Ależ tak, jasne! Oczywiście! Proszę, chodź ze mną, zasiądziemy razem. Wyjaw mi swoje imię. Ja jestem...

–On już wie, kim jesteś – przerwała mu małżonka. – Jesteś potężnym aszejkiem Omarem, który pasjonuje się wyścigami much. On ma na imię Will.

Omar zaśmiał się rubasznie. Will odniósł wrażenie, że tego rodzaju docinki są u nich na porządku dziennym. Aszejk znów zwrócił się do Willa:

–Dobrze cię widzieć w zdrowiu. Kiedy cię znaleźliśmy, było już prawie po tobie!

Siądźmy razem, a ty opowiesz mi o swoich sprawach. – Zerknął na Sulejmę. – Ukochana żono, czy przyniesiesz nam kawy?

Sulejma uniosła brew i spojrzała pytająco na Willa.

–A czy ty pijesz kawę, Willu?

Na samą myśl ślinka napłynęła mu do ust – najlepsza oznaka, że oto dawny Will powrócił do świata żywych.

–O tak, z wielką chęcią – zapewnił. Skłoniła się z wdziękiem.

–W takim razie, przyniosę wam kawy.

Odeszła tanecznym krokiem, z wysoko podniesioną głową. Omar z uśmiechem spoglądał za nią. Następnie skierował swą uwagę na Willa, wskazując mu stos poduszek.

–A zatem, na imię masz Will – rzekł, gdy usiedli ze skrzyżowanymi nogami.

–Tak mnie wołają – potwierdził Will i dodał: – Chcę ci podziękować za uratowanie życia, aszejku Omarze.

Bedulin machnął ręką.

–Życie uratował ci tamten koń, którego dosiadałeś. Ba, uratował cię dwukrotnie.

–Strzała! – wykrzyknął Will. No właśnie, co się z nią stało? Przecież nie widział jej od czasu, gdy zabrano go z pustyni. – Gdzie jest? I co ten koń takiego zrobił?

Uśmiech Omara zniknął.

–On nie żyje, Willu. Nocą pożarł go lew. Wtedy ocalił cię po raz pierwszy, bo lew rzucił się na niego. Widzieliśmy ślady drapieżnika, przeszedł tuż obok. Najwyraźniej koń ruszał się i z tej przyczyny lew zauważył jego, a nie ciebie. Ty leżałeś już nieprzytomny.

–Nie żyje... – powtórzył Will ze smutkiem. Strzała była dobrym koniem. Omar ze współczuciem pokiwał głową. Potrafił zrozumieć ból człowieka, który stracił wierzchowca.

–Po raz drugi ocalił ci życie rano – ciągnął. – Sępy zaczęły się gromadzić, aby pożreć to, co pozostawił z niego lew. Ujrzeliśmy je i zbliżyliśmy się, by sprawdzić powód sępiego zgromadzenia. I wtedy cię znaleźliśmy. – Uśmiechnął się, powróciwszy do weselszego tematu.

Will skłonił się.

–Jeszcze raz pragnę wyrazić ci moją wdzięczność.

Tak jak i przedtem, Omar niedbale machnął ręką.

–Na pustyni to rzecz zwyczajna. Mało tego, ponoć ocalenie bliźniego w kłopotach przynosi szczęście. – Nagle przypomniał sobie o czymś i jego twarz ożywiła się. – Mamy twoją broń! – powiedział. Odwrócił się, wołając w stronę niskiego, lecz szerokiego namiotu wznoszącego się kilka metrów dalej. – Ahmudzie! Przynieś oręż cudzoziemca!

Parę sekund później z namiotu wyłonił się kilkunastoletni chłopak. Przyniósł ze sobą noże Willa w podwójnej pochwie, jego luk oraz kolczan. Obok nich położył też zwiniętą mapę i kompas w skórzanym pokrowcu. Will wstał, przypiął pochwę do pasa. Uzmysłowił sobie, że tego właśnie mu brakowało, żaden zwiadowca nie czuł się w pełni sobą, gdy pozbawiony był swego wyposażenia. Omar przyglądał mu się uważnie, a potem sięgnął po nienapięty luk.

–Takiego jeszcze nigdy nie widziałem – oznajmił. – Musi mieć potężną siłę rażenia!

–W rzeczy samej – przyznał Will. Szybkim ruchem umocował drzewce między prawym i lewym podudziem, po czym, posługując się mięśniami pleców, zgął je i nałożył pętlę cięciwy na gryf, tak że znalazła się w wycięciu na zakończeniu łączyska. Podał luk Omarowi, który sprawdził naciąg, skrzywił się lekko i z powrotem wręczył luk Willowi.

–Pokaż – polecił krótko, podając mu strzałę wydobytą z kolczana.

Will nałożył ją na cięciwę i rozejrzał się za odpowiednim celem. W odległości pięćdziesięciu metrów dostrzegł grupkę chłopców grających małą skórzaną piłką. Odbijali głowami, stopami i tułowiem, starając się utrzymać ją w powietrzu i podając sobie wzajemnie tak, by nie spadła na ziemię. Już miał poszukać innego, bezpieczniejszego miejsca dla swego popisu, lecz coś nagle przyciągnęło jego wzrok. Najmniejszy z chłopców, najwyżej ośmioletni, stracił kontrolę nad piłką; odbił ją, ale ta potoczyła się na bok, aż ugrzęzła pod płaskim głazem.



**Malec ze śmiechem pobiegł za nią, wylądował na czworakach, sięgnął.**

**Will w mgnieniu oka naciągnął luk, wycelował i wystrzelił. Jego strzala jak błyskawica przemknęła przez obozowisko. Wbiła się pod glaz, zaledwie kilka centymetrów od dłoni chłopca. Mały cofnął się gwałtownie, wrzeszcząc z przerażenia. Jego towarzysze także podnieśli krzyk, rozglądając się w panice, by zobaczyć, skąd nadleciała strzala.**

**Żylasta pięść rąbnęła Willa w szczękę. Zachwiał się i upadł, wypuszczając luk z ręki. Twarz Omara wykrzywiła niepohamowana wściekłość.**

**–Bezmyślny głupcze! Myślisz, że mi zaimponujesz, narażając życie mojego wnuka? Mogłeś go zabić!**

**Dłoń Omara sięgnęła po masywną rękojeść potężnego kindżału zatkniętego za pas. Oszołomiony uderzeniem, Will próbował wstać, ale potężny kopniak Omara powalił go znów na ziemię. Słyszał, że dzieciak wciąż krzyczy w oddali; teraz jednak towarzyszył mu cały chór głosów: okrzyków zaskoczenia, gniewu i lęku.**

**Usłyszał też metaliczny odgłos klingi dobywanej z pochwy. A potem ponad zgiełk wybił się głos Sulejmy, przenikliwy, naglący:**

**–Omarze, stój! Popatrz na to!**

**Aszejk odwrócił się od leżącej w pyle postaci. Jego żona wracała właśnie z kawą i przechodziła obok bawiącego się wnuka, toteż była świadkiem całego zajścia. Natychmiast przyklęka i sięgnęła pod glaz. Nie bez wysiłku wyszarpnęła strzałę Willa... Na jej kolczastym grocie tkwił zewłok metrowej długości piaskowej kobry. Strzala przeszła przez sam środek głowy węża, zabijając go na miejscu.**

**Jeszcze sekunda, a gad zaatakowałby chłopczyka. Kindżał wypadł z dłoni Omara, który dopiero teraz zdał sobie sprawę, co tak naprawdę się wydarzyło i co on sam uczynił. Zmartwiał z przerażenia, przykucnął, by pomóc Willowi wstać.**

**–Wybacz! Błagam, wybacz mi! Sądziłem...**

**Will wciąż nie mógł złapać tchu, kiedy Sulejma podbiegła do nich, potrząsając martwym wężem nadzianym na strzałę.**

**–Co robisz, przekłety głupcze? – zawołała. – Ten chłopak ocalił Fajsala!**

**Omar zdołał tymczasem dźwignąć Willa na nogi, po czym zaczął gorączkowo otrzepywać go z piasku, jakby mógł w ten sposób naprawić swój błąd. Przecież o mało nie pozbawił życia tego młodzika, który właśnie uratował jego wnuka przed niechybną śmiercią.**

**–Wybacz mi! – powtarzał jak opętany. Jednak Sulejma odepchnęła go od młodego cudzoziemca.**

**–Idź precz! – krzyknęła ostrym głosem. Cisnęła na ziemię strzałę oraz martwego gada, w dłonie ujęła szczękę Willa i ostrożnie poruszyła nią, nasłuchując. – Nic ci nie jest? – spytała.**

**Usiłował się uśmiechnąć, ale natychmiast tego pożałował, bo dolna część twarzy bolała go okropnie.**

**–Tochę boli – przyznał. – Ale nis mi nie jes.**

**Przypadła do stojącego u wejścia namiotu dzbana z wodą. Zanurzyła w nim rąbek szala, po czym przyłożyła chłodny okład do szczęki Willa. Omar, nie posiadając się ze wstydu, próbował ją udobruchać.**

**–Przykro mi! – powiedział. – Myślałem, że... Nie dała mu dokończyć.**

**–Ty? Myślałeś? Od kiedy to zdarza ci się myśleć? Chciałeś zabić tego chłopaka!**

Widziałam dobrze, miałeś nóż w ręce!

Will ujął jej dłonie i odsunął delikatnie od swej twarzy. Poruszył szczęką, by upewnić się, że nie jest złamana.

–Już dobrze – uspokoił ją. – Nic nikomu się nie stało. Oberwałem odrobinę i tyle.

Zwykle nieporozumienie.

–No właśnie! – wtrącił pospiesznie Omar. – Nieporozumienie. Sulejma spiorunowała go wzrokiem.

–On ocalił życie Fajsalowi – rzuciła. – A co ty zrobiłeś, ty...?

Omar chciał coś powiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że nie ma nic na swoje usprawiedliwienie i słowami nie zdoła poskromić gniewu żony.

Opuścił bezradnie ręce. Wiedział, że postąpił głupio, działał pochopnie, pod wpływem impulsu. Ale czy można mu było się dziwić? Przecież wszystko wskazywało na to, że zadufany w sobie obcy chciał za wszelką cenę popisać się strzeleckimi umiejętnościami i nastraszyć jego wnuka, narażając życie malca. Dopiero teraz do świadomości Omara dotarło, jak w rzeczy samej doskonałym strzelcem jest ten cudzoziemiec. Nigdy dotąd nie widział, by ktoś szył z łuku tak celnie. Zerknął znów na żonę, dostrzegł gniew w jej oczach, gotowy znów wybuchnąć ze zdwojoną siłą i zrozumiał, że nic, co mógłby powiedzieć, nie zdoła tego gniewu załagodzić.

Niezręczne milczenie przerwał Will.

–Pamiętaj, że on dopiero co ocalił mi życie. – Uśmiechnął się trochę krzywo do aszejka. – Powiedzmy, że rachunki zostały wyrównane.

Wyciągnął rękę do Bedulina, który uściskał ją pospiesznie.

–Widzisz? – Omar zwrócił się do żony. – Nie ma mi za złe. Pomyliłem się i tyle!

Widząc, że Will także chce jak najprędzej zażegnać nieporozumienie, Sulejma uspokoiła się nieco. Uśmiechnęła się nawet, choć jej usta nadal pozostały ściśnięte, gdy patrzyła, jak tamci dwaj trzymają się za ręce.

–No, dobrze – po czym zwróciła się, do Willa: – Ale musisz nam powiedzieć, co możemy zrobić, żeby wyrazić naszą wdzięczność.

Wzruszył ramionami.

–I tak już zrobiliście dla mnie bardzo wiele. Teraz proszę was tylko o dzień lub dwa, żebym mógł odzyskać siły, a potem o nieco żywności, wody i mojego konia. Pokażcie mi, w którym kierunku muszę jechać, żeby dotrzeć do Mararoka i nie będę wam już więcej sprawiał

kłopotu.

Ale aszejk na jego słowa zmarszczył brwi.

–Twojego konia? – zdziwił się. – Przecież mówiłem ci, że twój koń nie żyje. Pożarł go lew.

Will z uśmiechem potrząsnął głową.

–Nie, nie o tym koniu mówię. Chodzi mi o Wyrwija. Tego małego, kudłatego konika, którego miałeś przy sobie, gdy mnie znalazłeś. To jest mój koń.

Jednak teraz z kolei aszejk potrząsnął głową. Przykro mu było spierać się z cudzoziemcem, ale musiał przecież trzymać się faktów.

–To nie jest twój koń – rzekł. – To nasz koń.

## ROZDZIAŁ 30

Teraz, skoro postanowili wyruszyć prosto do studni Khor-Abash, nie było już sensu, żeby Gilan, Halt i Selethen jechali przodem.

Przed świtem następnego ranka cały oddział zwinął obozowisko. Z początku powędrowali szerokim zakolem na zachód, by później skierować się bardziej w północną stronę, kursem obranym przez Tualegów. Uczyniono tak, by nie natknąć się przypadkiem na oddział rabusiów, zbaczając z obranej trasy dla zmylenia pogoni.

Ponieważ nie musieli już tropić tualeskich śladów, mogli na nowo przemieszczać się rytmem najkorzystniejszym z punktu widzenia prędkości, to jest wyruszać przed świtem, korzystając z chłodu nocy, wypoczywać podczas najupalniejszych godzin, a potem jechać dalej na północny zachód jeszcze po zachodzie słońca, dzięki czemu każdego dnia zyskiwali godzinę lub dwie. W ten sposób stopniowo doganiali nieprzyjaciela. Kiedy drugiego dnia po tym, jak porzucili tualeski trop, oddział rozłożył obóz na noc, pojawił się w nim jeden z wywiadowców Selethena i złożył wakirowi meldunek. Ten wysłuchał uważnie, a potem podszedł do swych aralueńskich towarzyszy. Na jego twarzy malował się uśmiech satysfakcji.

–Mieliśmy słuszność – stwierdził. – Mój człowiek potwierdza nasze domysły: oddział Tualegów podąża w tym samym kierunku, co my, równolegle. Ich obozowisko znajduje się

w tej chwili dziesięć kilometrów na południowy wschód od nas. – Spojrzał znacząco na małe, ukryte w zagłębieniu ziemi ognisko – jedyne, na które pozwolił. Wiedział, że jego światło będzie widoczne z odległości co najwyżej dwóch kilometrów. – Wyraźnie są przekonani,

że nikt ich nie ściga. Nie kryją się z ogniem.

Halt w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

–Zapewne w zwykłych okolicznościach już dawno zrezygnowałbyś z pościgu, nieprawdaż?

Arydzki przywódca przytaknął skinieniem głowy.

–Tak właśnie. Wygląda na to, że tym razem bandyci zbyt zaufali swojej umiejętności zacierania śladów.

–A zbyt ufność we własne możliwości bywa rzeczą niebezpieczną – podsumował Halt. Zwrócił się do młodszego zwiadowcy, który wypoczywał, oparty o siodło, jak zwykle

z kubkiem kawy w dłoni. – Gil – powiedział – jak sądzisz, czy dałbyś radę przyjrzeć się dzisiejszej nocy ich obozowisku?

Gilan uśmiechnął się i dopił ostatni łyk napoju.

–Już nie mogłem się doczekać, kiedy o to spytasz – stwierdził. Zerknął na zniżający się ku zachodowi sierp księżyca. – Zajdzie za jakieś pół godziny. To znaczy, że mogę wyruszać od razu.

–Człowiek Selethena twierdzi, że ogniska tamtych widać z odległości mniej więcej czterech kilometrów. Kiedy je ujrzysz, zostaw Blaze'a i dalej idź pieszo. Wracając, nie zapomnij zacierać za sobą śladów, poza tym... – Halt urwał, bo Gilan spoglądał na niego ze szczególnym, pobłażliwym uśmiechem na twarzy. – Wybacz – powiedział. Jeśli znał kogokolwiek, kto nadawałby się do takiego zwiadu, tą osobą był właśnie Gilan. – Nie muszę ci

tego mówić, prawda? – dokończył, a później zaśmiał się cicho z własnej skłonności do prawienia nauk.

–Raczej nie – przyznał Gilan. – Ale zawsze dobrze sobie przypomnieć podstawy naszego rzemiosła. Na co, twoim zdaniem, powinienem zwrócić szczególną uwagę? Halt zastanawiał się przez chwilę, wreszcie wzruszył ramionami.

–Tylko na to, co oczywiste. Spróbuj wypatrzyć Eraka. Sprawdź, jak go pilnują. Gdyby przypadkiem udało się go wykraść po kryjomu, byłoby to lepsze od otwartej bitwy. No, i oczywiście spróbuj ich policzyć. Dobrze byłoby wiedzieć, ilu ich tak naprawdę jest. Poza tym – cóż, sam się przekonasz, czego jeszcze zdołasz się dowiedzieć.

–Dobra, załatwione. – Gilan zarzucił siodło na ramię i już miał skierować się w stronę, gdzie uwiązane były na noc ich konie, gdy Horace wstał pospiesznie, otrzepując piasek z kolan.

–Chwileczkę, zaczekaj. Może przyda ci się towarzystwo? – spytał.

Gilan zawahał się. Nie chciał obrazić młodego rycerza.

–Lepiej, żeby wybrał się tam samotnie. – Halt wybawił go z opresji. – Potrafi poruszać się bezszelestnie, a ty nie.

Horace nie zamierzał oponować.

–Wiem o tym. Ale mógłbym zostać w tyle razem z Blazem – i mieć oko na wszystko. Nawet mnie nikt nie dosłyszy z odległości czterech kilometrów.

–Tego nie byłbym taki pewien – odrzekł Halt z kamienną twarzą i zerknął na Gilana. – Ale to dobry pomysł. Nie zawadzi, żebyś miał kogoś w odwodzie.

–Z pewnością – zgodził się Gilan, zadowolony, że nie musi obrażać młodego wojownika odmową. – A w towarzystwie zawsze raźniej. Zatem – na koń!

Horace podniósł z ziemi swoje siodło i obaj ruszyli w stronę wierzchowców.

\*\*\*

–Tutaj się rozstaniemy – powiedział Gilan do Horace'a. Jego towarzysz skinął głową; obaj zsiadli z koni. Horace przywiązał wodze Kickera do kolczastego krzaka. Gilan tylko rzucił swoje na ziemię, jak to było w zwyczaju zwiadowców. – Zostań – polecił Blaze'owi. Wiedział, że gniadosz nie odejdzie od wyznaczonego miejsca dalej niż dziesięć metrów w tę czy tamtą stronę.

Obaj z Horace'em spoglądali na południowy wschód.

–Pewni siebie, co? – odezwał się Horace. Nawet z tej odległości luna ognisk tualskiego obozowiska była wyraźnie widoczna na niebie ponad horyzontem.

–A jakże – przyznał mu rację Gilan. – Morał z tego płynie taki: nigdy nie zakładajmy, że udało nam się wymknąć pogoni, dopóki nie zyskamy całkowitej pewności.

Zdjął z ramienia łuk, położył go razem z kolczanem na ziemi. Tylko zawadzałby, niepotrzebny podczas tej wyprawy. Odpasał też miecz; teraz za całe uzbrojenie miał wyłącznie saksę oraz krótki nóż do rzucania, a choć i nimi nie zamierzał się posługiwać, w rękach zwiadowcy te dwa ostrza oznaczały najzupełniej wystarczające wyposażenie.

–Czy mam poluzować popręg Blaze'a? – spytał Horace.

Gilan odpowiedział bez wahania:

–Nie. Zostaw tak, jak jest. Kicker też niech będzie w pogotowiu. Może się zdarzyć, że jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli, będziemy chcieli zniknąć stąd jak najszybciej.

Horace popatrzył na niego z zaciekawieniem. Wiedział, że młody zwiadowca w dziedzinie

krycia się i bezszelestnego poruszania cieszy się wśród swoich towarzyszy opinią jednego z najlepszych, niewykluczone, iż po prostu najlepszego. Powiadano, że Gilan umiałby podkraść się do czuwającego strażnika, skraść jego pas oraz buty, a tamten tylko by się zastanawiał, dlaczego spodnie mu spadły i czemu marznie w stopy. Horace wiedział, że to przesada, ale nie taka znów wielka.

–Spodziewasz się kłopotów? – spytał.

Gilan położył mu dłoń na ramieniu.

–Zawsze należy się ich spodziewać – odpowiedział. – Możesz mi wierzyć, jeśli spodziewasz się kłopotów niesłusznie, nie spotka cię rozczarowanie. A jeśli słusznie, pozostajesz w gotowości. Wtedy łatwiej sobie z kłopotami poradzisz.

Czasem dziwnie się czuł, udzielając tego typu rad komuś, kto był pasowanym rycerzem i cieszył się opinią cenionego fechmistrza. Jednak Gilan nie zapominał równocześnie, że Horace jest jeszcze bardzo młody, choć już tak wiele w swoim życiu dokonał.

–Zobaczymy się za parę godzin – oznajmił i zniknął w mroku.

\*\*\*

Gilan poruszał się szybko, bezgłośnie stąpając po twardym gruncie. Gdy dotarł do krawędzi pierwszego grzbietu dzielącego go od tualeskiego obozu, zerknął jeszcze za siebie, w stronę, gdzie czekał w pogotowiu wysoki wojownik i dwa konie, a potem przycupnął, położył się na ziemi – po czym cicho przetoczył się przez krawędź. Chodziło o to, by ewentualny obserwator nie wypatrzył jego sylwetki na tle nieba. Gdyby zaś przypadkiem spoglądał w stronę skradającego się, powinien dojrzeć jedynie jakiś niski, nieokreślony kształt, który przez krótką chwilę zakłócił linię horyzontu i zaraz znikł w ciemności.

Gdy Gilan zyskał już pewność, że nikt go nie dostrzeże, ruszył dalej w kierunku ognisk.

Zdawał sobie sprawę, że widoczny drogowy znak utworzony z płomieni może stać się potencjalnym zagrożeniem również dla niego. Zbyt duża pewność siebie – jak już była o tym mowa tego dnia – może przyczynić się do zguby nawet najwytrawniejszego wygi. Zachowywał się więc tak, jakby wokół krążyły tuziny wartowników, czujnych i uważnych, kryjących się w ciemności tuż poza zasięgiem jego wzroku; wartowników, których w dodatku ostrzeżono, że będzie próbował się przekraść obok nich.

\*\*\*

Minęła godzina, nim Gilan dotarł do obozowiska Tualegów. Jak poprzednio, padł na ziemię przed ostatnią krawędzią grzbietu wzgórza, lecz nie przetoczył się przez nią, tylko wysunął zaciemioną kapturę głowy.

Gdy tylko spojrzął znad krawędzi, w duchu, a więc rzecz jasna bezgłośnie, aż gwizdnął z wrażenia. Obóz był znacznie większy, niż Gilan się spodziewał. Podążali za oddziałem liczącym osiemdziesięciu ludzi. Tymczasem tutaj było ich co najmniej dwustu, ognisk także ujrzał znacznie więcej, niż oczekiwał – i również dlatego ich blask widoczny był z tak daleka.

Do oddziału dołączyła druga grupa współplemieńców, która zapewne wyszła mu na spotkanie. Nieistotne zresztą, jak do tego doszło; rzecz w tym, że nieprzyjaciel dysponował obecnie niemal czterokrotną przewagą liczebną, a więc bezpośrednie starcie z nim w ogóle nie wchodziło w grę.

Stwierdziwszy, co trzeba, zaczął rozglądać się za Erakiem. Wkrótce go spostrzegł. Rosła postać oberjarla była świetnie widoczna. Jak należało się spodziewać, Skandianin przebywał w

samym środku obozowiska – czyli tam, gdzie najtrudniej byłoby dotrzeć śmiałkowi, jeśli poważaliby się na tak szalone ryzyko. Tualegowie zostawili więźnia na otwartym powietrzu, natomiast sami schronili się w małych, niskich namiotach, podobnych do tych, których używali arydzcy żołnierze.

Erak musiał więc radzić sobie w chłodzie nocy, mając do dyspozycji tylko koc. Poruszył się właśnie, by przybrać wygodniejszą pozycję na kamienistej ziemi. I wtedy Gilan zobaczył łańcuchy. Zmrużył oczy, próbując zorientować się, do czego przykuto Eraka. W następnej chwili spostrzegł, że nie do jednego, lecz do dwóch leżących obok wielbłądów. Potrząsnął głową, bo nie wyglądało to dobrze. Nawet podczas tego krótkiego pobytu w Arydzie zdołał poznać upór garbatych zwierzaków. Umieszczając Skandianina między dwoma z nich, praktycznie uniemożliwiono mu jakąkolwiek próbę ucieczki. W dodatku nerwowe bestie zaraz narobiłyby hałasu, gdyby ktoś próbował majstrować przy łańcuchach.

Nie było więc szans na bezpośrednie starcie, brakowało również sposobu, żeby zakraść się i uwolnić Eraka, jak stwierdził Gilan. Im dłużej się zastanawiał, tym oczywistsze się stawało, że sytuacja jest bez wyjścia.

Nie wiedział, co właściwie wzbudziło jego czujność oraz jak to się stało, że spostrzegł nieznacznym ruch. Właściwie bardziej wyczuł go, niż dojrzał – tuż poza obrębem swojego pola widzenia. Coś lub ktoś poruszało się po tej samej krawędzi, na której leżał Gilan. Cokolwiek jednak mogło to być, znajdowało się jakieś czterysta czy pięćset metrów na lewo od jego pozycji, tam gdzie krawędź zakręcała. Spojrzał w tamtą stronę, ale w mroku niczego nie zobaczył. Popatrzył więc nieco obok, by wykorzystać zdolność oka polegającą na tym, że kiedy patrzymy na coś bezpośrednio, lepiej spostrzegamy szczegóły, natomiast w peryferiach pola widzenia łatwiej jest nam wykryć ruch – zwłaszcza, gdy światło jest kiepskie. Stara sztuczka... I teraz już miał pewność.

Ktoś poruszał się, zresztą nawet dość gwałtownie. Właśnie dlatego Gilan go zauważył. Ludzka sylwetka znikła za krawędzią grzbietu. Znów spojrzał bezpośrednio w tamto miejsce, ale nie ujrzał już niczego. Czyżby wartownik? Chyba nie. Nie było powodu, żeby wojownik pełniący straż przy obozowisku ukrywał się tak skrętnie. Poza tym posterunki wartowników znajdowały się dużo bliżej namiotów – to była pierwsza rzecz, jaką Gilan sprawdził, zbliżając się do obozowiska. Nie miało sensu ustawiać strażnika w tamtym miejscu. Czyżby skradło się jakieś nocne zwierzę, nie człowiek? Możliwe, lecz Gilan w to wątpił. Zwiadowców szkolono, by ufali swojemu instynktowi – a ich instynkty trenowano tak, by można im było zaufać.

Zdaniem Gilana, wszystko wskazywało, że ktoś jeszcze obserwował obóz Tualegów.

## ROZDZIAŁ 31

Will poczuł, że krew uderza mu do twarzy.

–Wasz? Wasz koń? – Jego głos zabrzmiał nieco wyżej, niż Will miał to w zamiarze. –

O czym ty mówisz? Przecież wiesz, że to mój koń.

Sulejma spojrzała znacząco na męża, ale aszejk rozłożył tylko bezradnie ręce. Nie był zachwycony takim stanem rzeczy, ale naprawdę nic nie mógł zrobić.

–Owszem, był twój – przyznał. – Ale teraz jest nasz. Tak postępujemy tu, na pustyni.

–To znaczy, że kradniecie konie? – zdumiał się Will i natychmiast ujrzał, jak zakłopotanie na twarzy mężczyzny ustępuje miejsca rozgniewaniu.

–Puszczam płazem tę obelgę, bo nie znasz naszego prawa i obyczajów – rzekł. – Ale radzę ci, nie mów tak więcej.

Sulejma postanowiła wmieszać się do rozmowy.

–Ale, Omarze, z pewnością mógłbyś uczynić wyjątek... – zaczęła, lecz Omar nie pozwolił jej mówić dalej.

–Nie moją rzeczą jest czynić wyjątki – odrzekł, po czym zwrócił się do Willa; widział, że ten drobny chłopak nie posiada się od gniewu. – Musisz zrozumieć, że tak nakazuje nasze

prawo – ciągnął. – Ten koń należał do ciebie, nikt nie przeczy.

–Przecież to oczywiste! – zawołał Will. – U siodła wisiał zapasowy kołczan pełen takich samych strzał, jak ta – wskazał leżącą na ziemi strzałę, która dopiero co przebiła głowę piaskowej kobry. Zrobił to z rozmysłem, by przypomnieć Omarowi, że przecież właśnie przed chwilą uratował życie jego wnuka.

–Tak. Co do tego nie ma wątpliwości. W dodatku, kiedy cię znaleźliśmy, widać było, że koń cię zna. Jednak to wszystko nie ma nic do rzeczy. Z pewnością pozwoliłeś mu uciec, tak czy nie?

To stwierdzenie było niespodziewanym ciosem dla Willa, który wciąż winił się za to, że wypuścił wodze Wyrwija z ręki.

–Nie... To znaczy, w pewnym sensie, może i tak. Ale to wydarzyło się podczas burzy piaskowej i nie byłem w stanie...

Omar przerwał teraz jemu:

–Wedle naszego prawa, jeśli ktoś wypuści konia, a ten ucieknie, koń już do niego nie należy. Właścicielem staje się człowiek, który zwierzę odnajdzie. A tego konia znalazł Hassan ib'n Talouk. Koń błąkał się po pustyni, wycieńczony, ledwo żywy z pragnienia. Hassan uratował go, zaopiekował się nim, a teraz to jest jego koń.

Will potrząsnął głową. W głosie chłopca pobrzmiwała gorycz.

–Nie mogę w to uwierzyć. O mało nie zginąłem, szukając Wyrwija, a ty mi mówisz coś takiego... Że ten Hassan ib'n Talouk stał się jego właścicielem dlatego, że go znalazł?

–To właśnie ci mówię – potwierdził Omar.

–Omarze, mamy wobec tego młodego człowieka dług wdzięczności – wtrąciła błagalnym tonem Sulejma. – Przecież chyba możesz coś zrobić?

Omar pokręcił głową.

–Owszem, mamy wobec niego dług wdzięczności. Uratował naszego wnuka. A my uratowaliśmy mu życie, jeśli jeszcze pamiętasz. Nasze rachunki zostały wyrównane, sam to

przyznał. – Omar czuł dużą przykrość, tak stawiając sprawę, lecz jako przywódca musiał strzec plemiennych praw. – Posłuchaj mnie, gdybym ja znalazł konia, z radością bym mu go zwrócił. Ale zwierzę znalazł Hassan, nie ja. A Hassanowi bardzo ten koń przypadł do gustu, jest nim zafascynowany i chce go zachować.

–Przecież nigdy nawet nie zdoła go osiąść! – krzyknął Will. Konie zwiadowców szkolono w ten sposób, żeby nikt i nigdy nie zdołał ich ukraść. Obcy jeździec, nim pierwszy raz dosiadł któregoś z nich, musiał wypowiedzieć tajne hasło, które koń rozpoznawał.

–Owszem, zauważyliśmy to. Widać kryje się za tym jakiś sekret, który trzeba znać, żeby móc na tym koniu jeździć. Ale tym gorzej dla ciebie, bo – zdaniem Hassana – koń staje się przez to jeszcze cenniejszy. Na pewno nie zechce go oddać.

–W takim razie kupię go od niego! – oświadczył Will.

Omar uniósł brwi.

–Kupisz? A niby za co? Kiedy cię znaleźliśmy, nie miałeś przy sobie pieniędzy. Czyżbyś w ciągu ostatnich paru godzin nagle został bogaczem?

–Będę wam winien te pieniądze. Dam słowo. Zapłacę. Wymień cenę! – Wiedział, że Evanlyn z pewnością zgodzi się spełnić jego obietnicę. Ale Omar znów tylko pokręcił głową.

–Jak nam zapłacisz? Jakim sposobem nas odnajdziesz na pustyni? Jesteśmy nomadami, Willu. Dziś tu, jutro tam. Poza tym nie kupczymy obietnicami. Kiedy handlujemy,

bierzemy złoto i srebro, tu i teraz. Od razu. A czy ty masz złoto lub srebro? Nie, nie masz nic

–odpowiedział na własne pytanie stanowczym tonem. Potem jego głos nieco zmiękł: – Posłuchaj, nasze prawo głosi, że kiedy natrafimy na człowieka, który umiera na pustyni, musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by go ocalić. Przecież mogliśmy pojechać dalej i zostawić cię na pewną śmierć. Jednak nasze prawo powiada inaczej. Dzięki niemu żyjesz. Otóż nasze prawo głosi także, iż blakający się bez swego pana koń staje się własnością

znalazcy. Nie możesz korzystać z jednego prawa, a zaprzeczać drugiemu.

–Omarze, to wprost śmieszne i aż wstyd mi ciebie słuchać – rzuciła gniewnie Sulejma.

–Porozmawiasz z Hassanem. Powiesz mu, że musi oddać Willowi konia. Jesteś aszejkiem i możesz to zrobić.

Usta Omara ściągnęły się w cienką linię.

–Kobieto, czy ty nie rozumiesz? Właśnie dlatego, że jestem aszejkiem, uczynić tego nie mogę. Nie mogę nakazać Hassanowi, by zrezygnował z czegoś, co w myśl prawa mu przysługuje. Jeśli bym to zrobił, jak mógłbym na przyszłość domagać się od innych, od kogokolwiek, by przestrzegał prawa? Prawo zabrania kradzieży, zabrania bezpodstawnych

napaści. Co będzie, gdy któryś z moich ludzi poderżnie gardło drugiemu i zabierze mu cały dobytek? Co uczynię, jeśli rzeknie mi wtedy: „Wybacz, aszejku, ale sądziłem, że nasze prawa

już nie obowiązują. Przecież sam kazałeś Hassanowi oddać konia, choć należał mu się zgodnie z prawem”.

–W takim razie poprosisz go, żeby to zrobił – zażądała, ale on tylko jeszcze raz potrząsnął



głową.

–Nie zrobię tego. Nie wystawię na szwank jego godności – albo własnej, gdyby odmówił. Wiem, że on chce zachować tego konia. Nie ma w tym nic zdrożnego. Nie będę próbował sprawić, żeby czuł się winny z tej tylko przyczyny, iż postępuje zgodnie z prawem.

Sulejma odwróciła się od niego, rozgniewana, nie odzywając się więcej, ale jej postawa i skrzyżowane na piersiach ramiona mówiły same za siebie. Willa tymczasem zaczęło ogarniać poczucie beznadziejności.

–Może mógłbym porozmawiać z Hassanem? – spytał, panując ze wszech sił nad gniewem i zmuszając się, by przemawiać spokojnym głosem.

Omar zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

–Nie widzę przeszkód – oświadczył. – Ale ostrzegam cię, nic ci z tego nie przyjdzie.

\*\*\* Hassan okazał się młodym mężczyzną, który liczył sobie niewiele ponad dwadzieścia lat, o milej twarzy porośniętej niezbyt gęstym zarostem, który wyraźnie dopiero starał się wyhodować. Miał oczy ciemne, wesole i w innych okolicznościach Will prawdopodobnie od razu zapalałby do niego sympatią.

Jednak w tej chwili nienawidził go z całego serca.

Gdy znaleźli się przy koniach, młody Bedulin czesał właśnie sierść Wyrwija. Omar i Sulejma towarzyszyli Willowi, lecz nie tylko oni – rozmowę zasłyszal ten czy ów, wieść szybko rozeszła się po obozowisku i teraz dołączył do nich cały tłumek gapiów. Niejeden zwrócił uwagę, że Will wyruszył na rozmowę z Hassanem w pełnym rynsztunku, z wielkim nożem u pasa i potężnym długim łukiem przerzuconym przez ramię.

Jego uszu doszedł czyjś szept; gdy szedł przez obozowisko, ktoś podzielił się ze współplemieńcem zasłyszana wieścią: „Podobno cudzoziemiec chce walczyć z Hassanem o konia!” Im bardziej Will się nad tym zastanawiał, tym bardziej wydało mu się to dobrym pomysłem, a być może nawet jedynym rozwiązaniem problemu.

Na widok Willa Wyrwij zarżał radośnie. Już wcześniej rozpoznał kroki swojego dawnego pana. Hassan podniósł wzrok znad swej roboty i uśmiechnął się przyjaźnie, po czym wykonał arydzki gest pozdrowienia.

–Dzień dobry, aszejku Omarze. – Zerknął na Willa, rozpoznał gniew na jego twarzy, ale nie wiedział, co go spowodowało. – Widzę, że cudzoziemiec przyszedł już do siebie. Cieszę się.

Wyrwij chciał podejść do swojego pana, lecz Hassan powstrzymał go, ściągając zdecydowanym ruchem wodze. Konik wierzgnął, zaskoczony i zarżał cichutko, żałośnie. Na ten odgłos serce Willa ścisnęło się.

–Hassanie – rzekł Omar – to jest Will. Willu, przedstawiam ci Hassana ib'n Talouka. Hassan powtórzył grzecznościowy gest powitania. Will odpowiedział mu sztywnym skinieniem głowy. Hassan znów dostrzegł w tym ruchu gniew i zmarszczył lekko brwi, wciąż nie mogąc pojąć, co trapi cudzoziemca.

–Widzę, że odzyskałeś już siły, Willu – powiedział. – Cieszę się z tego.

Zastanawiał się, co sprowadziło cudzoziemca w to miejsce. Przecież to nie Hassan znalazł go na pustyni. Przyłączył się wtedy do aszejka tylko dlatego, że kudłaty konik, którego znalazł parę dni wcześniej, ruszył w ślad za Omarem, gdy ten postanowił sprawdzić, co spowodowało nagromadzenie się sępów. Potem Hassan zrozumiał, że zwierzę musiało wyczuć

zapach swojego dawnego właściciela.

Bowiem nie ulegało wątpliwości, że ten mały konik należał poprzednio do znalezionego przez nich młodego człowieka, który umierał na pustyni. Tyle że Hassan nie miał żadnych wyrzutów sumienia względem tego, by zachować Wyrwija. Nawiasem mówiąc, oczywiście, nie znalazł tego imienia, toteż nadał konikowi swoje własne – Ostatnie Światło Dnia – ponieważ znalazł go właśnie o zachodzie słońca. Prawo pustyni głosiło jednoznacznie, iż dobro znalezione należy do znalazcy; stosowano je powszechnie pośród Bedulinów, którzy bez szemrania godzili się z powstałymi w ten sposób stratami oraz bez najmniejszych oporów czerpali korzyści z tej zasady. Hassanowi nawet do głowy nie przyszło, że Will zechce kwestionować jego prawa.

Czekał cierpliwie, a cudzoziemiec starał się zapanować nad gniewem. Wreszcie Will odezwał się spokojnym tonem:

–Hassanie, proszę. Chciałbym odzyskać mojego konia.

Hassan zmarszczył brwi. Zerknął na Omara, licząc, że ten wyjaśni mu, o co chodzi, lecz aszejk odwrócił wzrok. Odpowiedział więc cudzoziemcowi z przyjaznym uśmiechem.

–Ale to już nie jest twój koń. To mój koń. – Zerknął znów na Omara. – Aszejku, nie powiedziałaś mi, co głosi prawo?

Omar poruszył się niespokojnie.

–Owszem, wytłumaczyłem. Ale w cudzoziemskich krajach inne panują obyczaje.

Hassan zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

–W takim razie cieszę się, że jesteśmy tutaj, w naszym kraju, a nie tam. Bo ten konik przypadł mi do gustu. – Hassan widział jednak, że Omar z jakichś powodów jest niezadowolony, a Sulejma aż kipi od gniewu. – Aszejku Omarze – rzekł więc – czy chcesz, żebym oddał tego konia cudzoziemcowi?

Omar nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Wiedział, że ten młodzieniec darzy go niemałą estymą, a może nawet uwielbieniem. Gdyby Omar odpowiedział, że owszem, życzy sobie, by Hassan oddał wierzchowca, Hassan uczyniłby to – z szacunku dla aszejka. I właśnie dlatego Omar nie zamierzał tak postąpić. Nadużyłby tym samym swojego autorytetu. Koń należał do Hassana, to oczywiste. A Hassan nie wywodził się z majątnej rodziny. Miną całe lata, nim będzie mógł pozwolić sobie na własnego wierzchowca.

–Nie, o to cię nie proszę – rzekł wreszcie i zaplótł ramiona na piersi. Sulejma rzuciła mu gniewne spojrzenie, lecz nie odezwała się ani słowem.

Hassan spojrział na Willa.

–Przykro mi – rzekł i zaczął znów czesać końską grzywę.

–Zapłacę ci za niego! – rzucił Will.

Hassan przerwał swe zajęcie i znów na niego popatrzył.

–Masz złoto? – spytał.

Will potrząsnął głową.

–Nie mam, ale je zdobędę. Daję ci słowo.

Hassan znów uśmiechnął się grzecznie. Nie chciał być nieuprzejmy, ale ten cudzoziemiec po prostu nic nie rozumiał. Ktoś musi mu wreszcie wyjaśnić, jak się załatwia sprawy tutaj, na pustyni.

–Za słowa nic nie sprzedam – odparł. Czemu ten cudzoziemiec jest taki nachalny? Ale

skoro już tu się pojawił, Hassan uznał, że może uzyskać od niego odpowiedź na pytanie, które

nie dawało mu spokoju. – Czy tego konia można dosiąść? – spytał ciekawie. Za każdym razem, kiedy próbował wskoczyć na grzbiet wierzchowca, ten natychmiast zrzucił go z siebie. Z tego powodu Hassan był posiniaczony na całym ciele.

Will skinął głową.

–Ja mogę go dosiąść.

Hassan podszedł kilka kroków i podał Willowi wodze. Chciał przekonać się, czy to naprawdę możliwe.

–Pokaż – powiedział.

Will wsunął stopę w strzemień i bez trudu znalazł się na siodle. Hassan odczekał chwilę. Mniej więcej w tym momencie konik powinien już przeistoczyć się w wierzgającego, skaczącego, wijącego się diabła. Ale nie, ani drgnął, tylko nastawił uszu.

Gdy Will znalazł się na grzbiecie Wyrwija, poczuł przemożną pokusę, by ruszyć z kopyta, galopem, i po prostu uciec. Bedulini jakby wyczuli tę myśl, bo zacieśnili krąg wokół niego i teraz już szansa przepadła. Poza tym nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, nie posiadał mapy, a kompas pozostał w namiocie Omara. Omar jednoznacznym gestem wskazał mu za pomocą kciuka ziemię. Will niechętnie zsiadł z konia. Hassan równie wymownym ruchem wyciągnął rękę – Will wetknął w nią wodze Wyrwija.

–A więc jest sposób, by dosiąść tego konia – stwierdził Hassan. – Będziesz musiał mi go zdradzić.

Uśmiechnął się, w nadziei, że cudzoziemiec po prostu pogodzi się z tym, co nieuniknione. Jednak na twarzy młodzieńca nie malowało się nic prócz gniewu i uporu.

–Nigdy go nie dosiądziesz – zapewnił Will.

Hassan wzruszył ramionami, spojrzał pytająco na Omara. Najlepiej by było, gdyby aszejk położył kres tej nieprzyjemnej i krępującej rozmowie.

–Znajdę jakiś sposób – rzekł, pewny siebie. Był wybornym jeźdźcem i doskonale znał się na koniach. Spozrzegl, że Will podjął ostateczną decyzję:

–Jeśli nie chcesz się zgodzić, żebym za niego zapłacił, chcę walczyć z tobą o niego – oznajmił Will.

Hassan aż cofnął się o krok, zdumiony takim nieokrzesaniem i brakiem dobrych manier. Przez zgromadzony tłumek przeszedł szmer, więc pewnie dlatego Omar zdecydował się wreszcie wkroczyć.

–Nie będzie tu żadnych bijatyk! – uciął i rzucił Willowi gniewne spojrzenie. – Tak żeś to sobie obmyślił? Że odejdziesz pięćdziesiąt kroków i zastrzelisz go z łuku, nim zdoła do ciebie podejść? To nie jest walka. To morderstwo!

Will spuścił wzrok. Omar miał rację. Jednak powodowała nim rozpacz z powodu utraty ukochanego Wyrwija. Odnaleźć go i potem znów stracić – to nie do zniesienia. Po głowie chodziło mu coś, co powiedziała Sulejma i w żaden sposób nie mógł tego czegoś pochwycić, było tuż poza jego zasięgiem. Jest jakiś sposób – pomyślał – gdyby tylko udało mi się...

–A zresztą, jeśli nie zdołam na nim jeździć, posłuż mi do noszenia juków. Jest na to dość krzepki – dodał Hassan.

To przepeliło miarę. Myśl o tym, że Wyrwij, bystry, wrażliwy, wspaniały wierzchowiec,

dożyje swych dni dźwigając toboły, była zbyt okropna. W tej samej chwili Will przypomniał sobie, o czym mówiła Sulejma, i zrozumiał, że istnieje jedno, jedyne desperackie wyjście.

–Założę się z tobą o niego – rzucił. – Założę się, że prześcignę na jego grzbiecie najlepszego z waszych koni, nawet jeśli będę miał przeciw sobie najlepszego z waszych jeźdźców.

Teraz pośród gapiów zapanowało prawdziwe ożywienie. Omar nie wahał się ani przez chwilę. Jak słusznie zauważyła jego żona, żaden prawdziwy Bedulin nie oprze się pokusie zawarcia zakładu. A poza tym cudzoziemiec znalazł wyjście z impasu, w jakim wszyscy się znaleźli.

–Na jakich warunkach? – spytał Omar.

Will zastanowił się szybko, wziął głęboki wdech i zaproponował:

–Jeśli wygram, zabiorę Wyrwija z powrotem. Jeśli twój człowiek wygra, zdradzę Hassanowi tajemnicę, w jaki sposób można go dosiąść. I uznam, że ma do niego wszelkie prawa.

Omar rozejrzał się po otaczającym ich kręgu twarzy. W oczach wszystkich dostrzegł wyczekiwanie i zainteresowanie. Taki zakład sprawiał, że w żyłach każdego Bedulina krew płynęła żwawiej. Ba, niektórzy z przyglądających się już zaczęli zawierać zakłady, co do tego, czy Omar przyjmie wyzwanie. Spojrzał znów na Willa: na jego twarzy malowała się determinacja kogoś, kto postawił wszystko na jeden rzut kości.

–Hassanie? – spytał.

Młody Bedulin ochoczo pokiwał głową.

–Pod warunkiem, że to ja stanę do wyścigu – powiedział. – A ty pozwolisz mi dosiąść twojego konia. Niech się ściga Piaskowy Wicher.

Omar skinął głową. Hassan zaliczał się do świetnych jeźdźców, a należący do Omara, Piaskowy Wicher, był zdecydowanie najsmiglejszym koniem Bedulinów.

–Zakład stoi – oznajmił.

## ROZDZIAŁ 32

–Opowiadasz, że nie widziałeś, kto to taki? – upewnił się Halt, gdy Gilan zakończył sprawozdanie z wykonanego zwiadu.

–Nawet nie jestem pewien, czy to był ktoś. – Młody zwiadowca potrząsnął głową. – Może trafiłem na jakieś zwierzę?

–Ale tak nie sądzisz, prawda? – spytał Halt.

–Nie, nie sądzę – odparł Gilan. – Chociaż pewności mieć nie mogę. Zastanawiałem się, czy nie zbadać śladów w tamtym miejscu, jednak nie wiedziałem, czy ów „ktoś” oddalił się, czy może nadal przebywa w okolicy. Poza tym nie potrafiłbym wykluczyć, że ma ze sobą towarzyszy. Gdyby wywiązała się walka, wszystko by się wydało, gdyż Tualegowie z pewnością dosłyszeliby odgłosy starcia. Pomyślałem więc, że lepiej wrócić i zdać wam relację.

–Tak... Owszem, postąpiłeś słusznie – stwierdził Halt, rozważając wnioski, jakie wypływały z zasłyszanych wieści. – Selethenie, czy domyślasz się, kto mógł obserwować Tualegów? – spytał.

–Nie wykluczam, że gdzieś w pobliżu koczuje jedno z wędrownych plemion bedulińskich. Jeśli tak jest rzeczywiście, bez wątpienia zechcieliby mieć na oku swoich zaprzysięgłych wrogów.

–A czy istnieje szansa, że zechcą ich zaatakować? – spytał Halt. Jednak odpowiedź wakira rozczarowała go:

–Nie przypuszczam. Zazwyczaj nie szukają zwady, a oddział złożony z dwustu Tualegów to zbyt groźny przeciwnik...

–Tego się obawiałem – stwierdził Halt.

Selethen poważnie skinął głową.

–Niestety. Jeśli to Bedulini obserwowali Tualegów, najprawdopodobniej po prostu zejdą im z drogi i będą się starali trzymać od nich jak najdalej.

–Myślisz, że on ciebie widział? – spytał Halt.

Gilan pokręcił głową.

–Jestem pewien, że nie. Ja dostrzegłem go tylko dzięki temu, że zbyt gwałtownie się poruszył.

–Oczywiście zatarłeś za sobą ślady? – spytał na wszelki wypadek.

–Oczywiście – odparł Gilan. – Nie martw się, naprawdę nie ma tam żadnego znaku mojej bytności.

Halt podjął już decyzję:

–Doskonale. W takim razie zdrzemnijmy się parę godzin, a potem ruszymy, jak zwykle, przed świtem.

Selethen i Aralueńczycy udali się do swoich namiotów, by jak najlepiej wykorzystać kilka godzin dzielących ich jeszcze od pobudki.

\*\*\*

Pech chciał, że o ile Gilan nie pozostawił po sobie żadnych śladów, ów nieznany mu obserwator nie wykazał się taką zręcznością, czy też może umiejętnościami. Pech tym gorszy, że wycofując się po dokonaniu oględzin tualeskiego obozowiska, w odległości zaledwie dwustu metrów minął miejsce, gdzie arydzcy żołnierze rozłożyli na noc swoje namioty.

Godzinę po tym, jak Selethen wydał rozkaz do wymarszu, tualescy wywiadowcy,

podążając tropem odkrytym opodal swego obozu, natrafili na ślady pozostawione przez wędrujący arydzki oddział. Udali się więc za nim, wędrując tym tropem tak długo, aż udało im się ujrzeć Arydów. Następnie, zatoczywszy szeroki krąg, by samemu pozostać niezauważonymi, powrócili do swoich i zameldowali dowódcy o zbrojnym oddziale podążającym tym samym kursem, równoległe do nich.

Po krótkiej naradzie oddział Tualegów rozdzielił się na dwie części, z których jedna odczekała jakiś czas, po czym powędrowała na południowy zachód, by zająć od tyłu żołnierzy Selethena.

Wówczas przyspieszyli marszu i zaczęli zbliżać się do niespodziewających się niczego Arydów. Halt i Gilan, którzy oczekiwali, że jeśli należy obawiać się jakichkolwiek kłopotów, to nadejdą one z północnego wschodu, nie mieli pojęcia, że stu konnych wojowników dogania ich od strony południowej. Nie wiedzieli też, że druga część tualeskiego oddziału przyspieszyła i zmieniła marszrutę, kierując się na lewo, by po jakimś czasie zająć im drogę.

Łowcy stali się zwierzyną.

Jak co dzień zatrzymali się przed południem. Dzięki temu Tualegowie mogli zamknąć pułapkę, którą przygotowywali od wielu godzin.

Kiedy upłynęła najupalniejsza część dnia, przed wyruszeniem w dalszą drogę Aralueńczycy omawiali sytuację, zastanawiając się, czy istnieje jakakolwiek możliwość, by uwolnić Eraka. Owszem, pod osłoną ciemności którykolwiek z obu zwiadowców z pewnością zdołałby się dostać do obozowiska Tualegów. Kłopot polegał na tym, jak niepostrzeżenie wyprowadzić stamtąd oberjarla.

–Właśnie dlatego trzymają go na otwartej przestrzeni, to oczywiste – stwierdziła Evanlyn. – Jeśli ucieknie, każdy, kto spojrzy w tamtą stronę, natychmiast zauważy jego brak.

–A do tego trzeba by wymyślić jakiś sposób, żeby szybko i bezgłośnie odciąć go od tych wielbłądów – wtrącił Horace.

–Może tylko od jednego – zasugerował Svengal. – Gdyby udało się przeciąć jeden łańcuch, zdołałby pewnie uciec, dosiadając drugiego zwierzęcia.

–Tylko że trochę by się rzucił w oczy – zauważył Gilan. – Połączenie Skandianina i wielbłąda to widok raczej niecodzienny oraz z pewnością źródło straszliwego zamieszania. Potem już w żaden sposób nie zdołalibyśmy uniknąć walki z dwoma setkami Tualegów.

Halt siedział trochę na uboczu, przysłuchując się w milczeniu rozmowie przyjaciół, którzy wysuwali kolejne propozycje – i po kolei je odrzucali. Większość z przedstawianych możliwości już rozważył. Zawsze jednak istniała szansa, że przypadkowo rzucona przez kogoś uwaga stanie się zalążkiem pomysłu, w ostatecznym rezultacie dostarczając rozwiązania problemu. Jednak na razie nic takiego nie usłyszał. Jednak doświadczenie wielu lat nauczyło go, że jeśli czeka się odpowiednio długo, prędzej lub później pojawia się nieoczekiwana sposobność.

–Halt, nic nie mówisz – Horace zwrócił się do siwobrodego zwiadowcy. – Czy masz jakieś...? – umilkł nagle, spoglądając teraz już nie na Halta, lecz na pasmo wzgórz za nim, odległe o około stu pięćdziesięciu metrów. – Dobry Boże – rzekł zmienionym głosem. – Skąd

oni się tu wzięli?

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Wypoczywali na dnie rozległej kotliny, osłonięci przed

wzrokiem tualeskich wywiadowców. Jednak problem polegał na tym, że te same pasma wzgórz, które dawały im osłonę, zarazem przesłaniały widok. Rzecz jasna, Selethen wystawił warty poza obrębem wzgórz, jednak nie na wiele się to zdało. Później ujrzeli ciała zabitych wartowników, których Tualegowie zdołali podejść niepostrzeżenie. Żołnierze zginęli w mgnieniu oka, nie zdążyli wydać nawet okrzyku, który ostrzegłby ich towarzyszy.

Jednak na razie spoglądali, osłupieni, na szereg zbrojnych jeźdźców, który wyłonił się właśnie zza wzgórz, oskrzydłając ich z tego kierunku, w który nasi podróżni mieli się udać.

Halt zaklął z cicha i szybko odwrócił się za siebie. Tak jak się tego obawiał, tam również pojawili się zbrojni. Arydzi i Aralueńczycy znaleźli się w potrzasku, między dwoma oddziałami, z których każdy liczył co najmniej stu jeźdźców. Teraz także inni dostrzegli nieprzyjaciela; arydzcy wojownicy biegali na wszystkie strony, wykrzykiwali głośno, pokazując sobie nadciągające z obu stron oddziały jeźdźców. Głos Selethena wznosił się nad pozostałe i w jednej chwili zapanował spokój, panika została zażegnana tak prędko, jak się pojawiła. Wakir uformował swoich żołnierzy w obronny krąg, wewnątrz którego znalazły się ich wierzchowce. Czworo Aralueńczyków i Svengal, pochwyciwszy broń, stanęło u boku arydzkiego przywódcy.

Selethen przeklinał w duchu własną krótkowzroczność. Nie dalej jak zeszłej nocy rozprawiał o zbytnej pewności siebie Tualegów, a oto już dziś sam dał się schwytać w śmiertelną pułapkę złudnego poczucia bezpieczeństwa. Tymczasem jeźdźcy pustyni byli przebiegli i nieprzewidywalni. Należało zakładać możliwość, że zorientują się, iż ktoś podąża ich tropem. Nie mógł wiedzieć, że stało się to wyłącznie za sprawą przypadku. Jednak nawet gdyby znał powody kłopotów, nie zmieniłoby to stanu rzeczy. Dobry dowódca powinien brać pod uwagę również nieszczęśliwy traf.

Gdy Halt oraz pozostali dołączyli do niego, skinął tylko głową. Nie było sensu czynić sobie wyrzutów. Teraz jedyne, co mogli zrobić, to opracować jak najlepszy plan obrony.

–Walczymy pieszo? – spytał Halt. Aryda skinął głową.

–Tak. Nie ma sensu dosiadać koni i próbować ataku. Tamtych jest zbyt wielu.

–Poza tym czekałaby nas szarża pod górę – zauważył Horace. – A to oznaczałoby dodatkową przewagę dla wroga. Lepiej niech wróg przyjdzie do nas, zaczekamy.

Selethen spojrział na niego uważnie. Jak na tak młodego wojownika, Horace w lot dokonał nader trafnej oceny sytuacji. Wakir zdawał sobie sprawę, że większość mniej doświadczonych jego żołnierzy zdecydowałaby się na atak. Horace dostrzegł to spojrzenie i domyślił się jego znaczenia. Cóż, pomyślał, miałem dobrych nauczycieli. Dobył miecza, czemu towarzyszył złowrogi metaliczny świst.

Svengal przyjrzał się formacji utworzonej przez arydzkich żołnierzy. Złączyli tarcze; każdy z nich dzierzył w dłoni lekką lancę, którą zazwyczaj posługiwali się, walcząc konno. Ponadto uzbrojeni byli w krzywe szable, przeznaczone do zmagania w bezpośrednim starciu.

–Mur obronny z tarcz – rzekł z aprobatą. – Dobra robota.

Była to podstawowa taktyka defensywna stosowana przez Skandian, toteż natychmiast poczuł się jak u siebie w domu. Zakręcił na rozgrzewkę potężnym bojowym toporem, ciężkie żeleźce ze świstem przecięło powietrze. Zamierzał pozostać w tyle, lecz niech no tylko pojawi się luka w pierwszej linii obrony, natychmiast ją wypełni. Każdego tualeskiego rozbójnika, który zdoła się przebić, czekała niemiła niespodzianka.

Horace spojrział na niego i odgadł zamiary Skandianina.

–Dobra myśl – stwierdził spokojnie. Podszedł, by stanąć ramię w ramię z niedźwiedziowatym towarzyszem broni.

Svengal wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Gdy my dwaj ruszymy do walki, reszta naszych będzie mogła sobie odpocząć – stwierdził chępliwym tonem.

Gilan i Halt również stanęli obok siebie, lecz w samym środku kręgu utworzonego przez mur z tarcz. Evanlyn spoglądała na nich z niepokojem, serce tłukło się w jej piersi. Byli tacy spokojni, a tymczasem księżniczce po prostu trzęsły się ręce. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna wydobyć z ukrycia procy, ale szybko doszła do wniosku, że na długi dystans łuki zwiadowców spiszą się znacznie lepiej. Przyjęła więc zapasową tarczę, którą zaoferował jej Selethen i poluzowała szablę w pochwie. Na razie nie ma potrzeby jej wydobywać, stwierdziła. Przelknęła nerwowo ślinę.

Halt przywołał ją półgłosem:

–Evanlyn, chodź do nas. – Gdy podeszła, wskazał ku jeźdźcom zachodzącym ich od tyłu. – Gilan i ja rozpoczniemy ostrzał od frontu. Ty miej na oku Tualegów za nami. Kiedy zbliżą się na pięćdziesiąt metrów, daj znać. Wtedy zmienimy kierunek ostrzału.

–Tak – powiedziała. Zaszło jej w ustach i obawiała się powiedzieć więcej, bo nie była pewna własnego głosu.

–Tylko głośno, jeśli można prosić – rzekł Gilan, uśmiechając się do niej. – Za chwilę zapanuje tu straszliwy zgiełk.

Był tak beztroski, niczym się nie przejmował. Widząc zachowanie Gilana, jej również łatwiej przychodziło uporać się z mdlącym uczuciem lęku ściskającym żołądek. Podszedł do nich Selethen.

–Najpierw spróbują pójść na całość – zapowiedział. Frontalny atak z całym impetem. Będą chcieli nas rozbić.

–A to może okazać się trudniejsze, niż im się wydaje – odpowiedział Gilan, sprawdzając naciąg łuku.

Selethen zerknął na niego. Ha, wkrótce się przekonasz, na ile celnie strzelają ci zakapturzeni cudzoziemcy. Przeczynał, że nie czeka go w tym względzie rozczarowanie.

–Mam propozycję, czy mógłbyś wyznaczyć czterech ludzi do pomocy Svengalowi i Horace'owi? – spytał Halt. – Posłużyliby jako odwody, jeśli atakującym uda się przerwać linię naszej obrony.

–Dobra myśl – zgodził się Selethen. Co prawda nieprzyjaciół dysponował miazdzącą przewagą, mając na każdego z jego ludzi czterech wojowników, ale wakiir nie wątpił, że tego dnia poleje się mnóstwo tualeskiej krwi. Zawołał po imionach czterech żołnierzy, którzy natychmiast podbiegli. Pozostali zwarli szyk, tak że od razu znikły wyrwy powstałe w obronnym kręgu.

–Tylko każ im, żeby zostawili mi trochę miejsca na rozmach – zażądał Svengal.

Evanlyn zauważyła, że zwalisty Skandianin wprost nie posiada się z radości, jakby czekała go nie krwawa jatka, a biesiada w dobranym gronie przyjaciół. Nareszcie, zniósłszy skwar i piach, przemógłszy udręki konnej jazdy, Svengal znalazł się w swoim żywiole. Mimo woli uśmiechnęła się na tę myśl.

Halt dostrzegł ruch jej warg. Dzielna mała, pomyślał.



**Brzek uprząży dotarł do nich, jeszcze nim byli w stanie dostrzec ruch. Lecz wkrótce potem oba szeregi jezdnych zaczęły widocznie się ku nim zbliżać.**

**–Oto nadjeżdżają – stwierdził spokojnie Horace.**

## ROZDZIAŁ 33

–Tutaj będziemy zawracać – wyjaśnił Wyrwijowi Will.

Miejsce to oznaczono wysokim słupem wbitym w ziemię. O dziwo, konik przyjrzał się znakowi z wyraźnym zainteresowaniem.

Will objechał słup, po czym spojrział w stronę oazy. Z tej odległości nie było widać obozowiska, zasłoniętego przez wyniesienia terenu, ale Will wiedział, że stąd od mety dzieli go dystans czterech kilometrów. Tak więc osiem kilometrów, cztery w jedną, cztery w drugą stronę. Z początku domagał się dwunastu kilometrów, potem dziesięciu. W końcu musiał jednak przystać na trasę wyścigu długości zaledwie ośmiu kilometrów. Mógł tylko mieć nadzieję, że starczy im dystansu, by wytrzymałość Wyrwija zdołała przemóc chyżość Piaskowego Wichru. Wiedział jednak, że szanse są wyrównane.

Bez wątpienia arydzki koń Bedulinów był szybszy – na krótki dystans. Przez pierwszy kilometr albo dwa z pewnością pozostawi Wyrwija w tyle. Potem jednak zwiadowczy konik zacznie go doganiać, podczas gdy arydzki ogier stopniowo utraci początkowy impet, Wyrwij zaś wciąż będzie parł naprzód z tą samą prędkością.

–Wygramy na ostatnim odcinku – powiadomił Wyrwija. Postanowił przejechać trasę wyścigu po to, by koń się z nią zaznajomił, a także by samemu wypatrzeć dziury i inne przeszkody, które mogłyby im zagrozić.

Wyrwij potrząsał łbem. Cicho zarżał. W takich razach Will nigdy nie był pewien, czy jego wierzchowiec odpowiada tylko na głos swojego pana, czy... Często wydawało mu się, że Wyrwij rozumie każde jego słowo i wyraża swoją aprobatę lub niezgodę.

Albo też i przegramy na ostatnim odcinku, pomyślał Will. Tego jednak nie powiedział głośno, na wypadek gdyby rzeczywiście Wyrwij tak doskonale pojmował ludzką mowę, jak niekiedy mu się wydawało, bowiem nie chciał osłabiać jego bojowego zapału. Liczył, że po nawrocie, na drugiej połowie trasy Wyrwij nadrobi to, co straci podczas pierwszej. Potem zaś, kiedy zrówna się z bedulińskim koniem i jeźdźcem, rozpocznie się właściwy wyścig.

Wierzchowce takie jak Wyrwij czy Piaskowy Wicher nienawidzą przegrywać, nie znoszą widoku innego konia biegnącego przed nimi. Will wiedział, że gdy Wyrwij spróbuje biegu łeb w łeb z Piaskowym Wichrem, tamten zmusi się do większego wysiłku – aby za wszelką cenę pozostawić cudzoziemskiego przybłędę w tyle. Wyrwij ze swej strony wyteży wszystkie siły, by przegonić rywala. Wówczas wszystko będzie zależało od jeźdźców – losy gonitwy rozstrzygnie to, czy ścigający się pozwolą swoim wierzchowcom ruszyć naprzód pełną parą we właściwym momencie.

Zbyt prędko – a impet i prędkość wyczerpią się przed linią mety. Zbyt późno – a zabraknie czasu, by nadrobić straty. Każdy z jeźdźców będzie musiał starać się, by skłonić przeciwnika do podjęcia pochopej decyzji, zbyt wczesnego finiszu. Dobór właściwej chwili oznaczał zwycięstwo, błąd – klęskę. Will zmarszczył brwi w zamyśleniu. Owszem, obserwował Hassana, który także dokonał inspekcji trasy na grzbiecie Piaskowego Wichru, ale nie potrafił domyślić się, co kryje w zanadrzu beduliński jeździec.

Drogę w stronę oazy pokonał, idąc obok Wyrwija. W pewnej chwili pysk konia trącił jego ramię, wybijając go z zamyślenia – prawdę mówiąc, Wyrwij o mało go nie przewrócił.

Przestań się zamartwiać, zdawał się mówić wierny wierzchowiec. Znam się na swojej robocie, nawet jeśli ty nie masz pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

–Tylko nie gnaj do przodu zbyt wcześnie, nic więcej – ostrzegł go Will. Wyrwij parsknął i potrząsnął łbem, jakby lekceważąco. Szli wolnym krokiem w stronę oazy. Will miał przynajmniej tę przewagę nad Hassanem, że dosiadał Wyrwija codziennie od wielu lat, obaj znali się na wylot. Natomiast Hassan należał co prawda do grona wybornych jeźdźców, ale tylko tyle. Młody Bedulin nie był przecież zżyty z wierzchowcem, którego miał osiąść podczas zawodów.

Gdy znów pojawili się w obozowisku, przyglądał im się tłumek zaciekawionych gapiów. Był wczesny ranek; wyścig miał się odbyć po południu tego samego dnia, gdy miną najgorętsze godziny. Wiedział, że Bedulini zawarli mnóstwo zakładów dotyczących wyścigu. Nie sposób było nie usłyszeć rozmów prowadzonych w obozowisku, choć Will starał się udawać, że spekulacje jego zupełnie nie dotyczą. Wiedział więc, że w większości zakłady wcale nie polegały na obstawianiu zwycięzcy wyścigu, lecz chodziło w nich także o to, jaką przewagę zyska Piaskowy Wichur nad Wyrwijem. Bedulini dobrze znali pięknego arydzkiego ogiera, którego miał osiąść Hassan. Wyglądało na to, że żaden z miejscowych nie daje kudlatemu konikowi o beczulkowatym tułowiu żadnych szans.

Will co prawda głęboko wierzył w możliwości Wyrwija, lecz wobec tak powszechnego zwątpienia, trudno mu było zachować pogodę ducha. A przecież musiał wierzyć w to, że mogą zwyciężyć i że zwyciężą! Perspektywa przegranej przedstawiała się po

prostu zbyt strasznie, by w ogóle brać ją pod uwagę. Teraz wydawało mu się, że postąpił lekkomyślnie, ryzykując nieodwołalną utratę Wyrwija. Jednak kiedy później w ciągu dnia roztrząsał – po wielokroć! – to zagadnienie, kiedy zastanawiał się usilnie, jak inaczej mógł postąpić, nie znalazł żadnej odpowiedzi. Nie dostrzegał innej drogi, jeśli miał odzyskać Wyrwija, musiał postawić wszystko na jedną kartę.

Te rozmyślania trapiły go przez długie, upalne godziny oczekiwania. A potem słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, cienie palm zaczęły się wydłużać, i wydłużać – aż nadszedł czas.

Gdy Will prowadził Wyrwija przez oazę do linii startu, na jego twarzy malowała się zaciętość i determinacja. Hassan już czekał tam w siodle pięknego rumaka bułanej maści, opodal linii nakreślonej w piasku. Tak jak Will, który pozostawił w namiocie swój płaszcz, ubrany był tylko w koszulę, spodnie i wysokie buty, a głowę okrył kefią. To nakrycie miało podczas wyścigu osłaniać twarze jeźdźców od piasku i kurzu. Powitał gestem Willa, gdy ten wraz z Wyrwijem zbliżał się do linii startu. Will odpowiedział skinieniem głowy. Nie odezwał się. Nie mógł zdobyć się na to, by życzyć Hassanowi szczęścia. Przeciwnie, wprost marzył o tym, by jego rywala prześladował jak najstraszliwszy pech. Gdyby Hassan spadł z grzbietu Piaskowego Wichru na pierwszych pięćdziesięciu metrach i złamał nogę, Willowi wcale nie byłoby go żal. Jednak swobodna, odprężona postawa młodego Bedulina na grzbiecie tańczącego Piaskowego Wichru, który już nie mógł doczekać się wyścigu, nie wskazywała, by miało dojść do jakiegoś wypadku. Przeciwnie, Hassan siedział mocno, niczym przyklejony do siodła, jakby on oraz jego wierzchowiec stanowili jedną istotę.

Will wsunął stopę w strzemię, po czym znalazł się na grzbiecie Wyrwija.

–No i tak, koniku – szepnął. Wyrwij potrząsnął łbem. Will zasłonił jednym krańcem kefii twarz, potem za pomocą drugiego umocował starannie chustę. Teraz przez wąską szparę

świeciły tylko jego oczy. Całą resztę twarzy miał zakrytą; Hassan uczynił to samo ze swoją zasłoną.

Piaskowy Wicher niecierpliwie przebierał kopytami, wzbijając małe obłoczki kurzu. Wyrwij stał obok, rozłożywszy ciężar równo na wszystkie cztery nogi i ani drgnął. Różnica między oboma wierzchowcami była aż nazbyt widoczna: jeden tańczył, gotów do zrywu - śmigły, chyży, o lśniącej sierści. A drugi? Toporny, ociężały, kudłaty. Znow więc pieniądze poszły w ruch, przechodząc z rąk do rąk; zawarto kolejne zakłady, ostatnie tuż przez rozpoczęciem wyścigu.

-Jeźdźcy, jesteście gotowi? - Omar postąpił ku nim.

Hassan uniósł ramię.

-Jestem gotów, aszejku! - zawołał. Bedulini wydali okrzyk na jego cześć; pomachał im ręką w odpowiedzi.

-Gotów - odpowiedział Will. Kefia stłumiła jego głos, musiał dokonać wysiłku, by wydobyć choć słowo ze ściśniętego od niepokoju gardła. Odpowiedziała mu cisza, ani jednego wiwatu. O ile wiedział, nikt nie obstawiał zwycięstwa przybysza. Różnice zdań dotyczyły wyłącznie rozmiarów jego klęski, a to przecież żaden powód, żeby wznosić okrzyki.

-Zbliżcie się do linii. Ale pamiętajcie, jeśli któryś z was przekroczy ją przed sygnałem, będzie musiał zawrócić i przekroczyć ją raz jeszcze.

Dla Hassana nastąpiła trudna chwila, bo podniecony i niespokojny Piaskowy Wicher ani myślał ustać w miejscu. Bedulin musiał więc trzymać się w odległości metra czy dwóch od linii. Will musnął bok Wyrwija kolaniem; konik podszedł do samej narysowanej na piachu kreski.

-Stój, koniku - rzekł Will półgłosem. Wyrwij w odpowiedzi zastrzygł uszami. Stał jak wryty. Przednie kopyta znieruchomiały zaledwie kilka centymetrów od linii. Jeden z Bedulinów, którego zadaniem była obserwacja pozycji startowej, przykucnął i przyjrzał się im uważnie, a potem wyprostował się, stwierdziwszy, że Wyrwij nie przekroczył przed czasem wyznaczonej granicy. Nie spuszczał jednak wzroku z kopyt Wyrwija. Widząc to, Will musnął swojego wierzchowca czubkiem stopy.

-Cofnij się, koniku - polecił. Nie chciał ryzykować, bo obawiał się, że nadgorliwy i nieżyczliwy mu sędzia może okazać się stronniczy. Wyrwij posłusznie postąpił krok w tył. Kilku Bedulinów zasepiło się. Tego konia naprawdę dobrze wyszkolono. Czyżby o czymś nie wiedzieli...?

-Jeźdźcom nie wolno przeszkadzać sobie wzajemnie. Jeśli któryś z was dopuści się nieuczciwości, oznaczać to będzie jego natychmiastową przegraną.

Skinęli obaj głowami na znak zgody; teraz wszystkie ich myśli kierowały się ku rozciągającej się przed nimi przestrzeni, którą prowadziła trasa wyścigu. Wytyczonego szlaku pilnowali wyznaczeni przez Omara ludzie; mieli doglądać, by wszystko odbyło się zgodnie z regułami.

-Waszym zadaniem jest dojechać do słupa, okrążyć go i powrócić tutaj. Linia startu jest zarazem linią docelową - oznajmił Omar. Była to czysta formalność, bowiem zasady ustalono wcześniej, a przy tym obaj doskonale znali trasę, zapoznawszy się z nią wcześniej tego dnia. - Sygnał do wyścigu daje odgłos rogu Tarika. Gdy usłyszycie granie, wolno wam

zaczynać.

Tarik, jeden z plemiennej starszyny, postąpił do przodu, dzierżąc wielki mosiężny róg. Potrząsnął nim w górze, by wszyscy ujrzeni ów instrument. Nieco wcześniej zapoznano Willa z jego brzmieniem.

–A więc w twoje ręce, Tariku i niech spełni się wola boża – zawołał śpiewnie Omar. Oznajmiał w ten sposób, przy użyciu tradycyjnej formuły, że następnym dźwiękiem, jaki się rozlegnie, będzie odgłos rogu dający znak do startu. Pośród tłumu zapanowała pełna wyczekiwania cisza. Jakieś dziecko chciało zadać pytanie, Omar spojrzał gniewnie w jego stronę, a matka czym prędzej uciszyła pociechę. Omar dał znak Tarikowi; starzec uniósł do ust wielki mosiężny instrument, którego czasza kształtem przypominała dzwon. Will przyglądał mu się w napięciu. Widział, jak pierś Bedulina wzniosła się, gdy ten zaczerpnął powietrza. Znajdujący się obok i nieco w tyle Hassan z pewnością wpatrywał się w starca niczym jastrząb czyhający na zdobycz.

Zacisnął dłonie na wodzach, zmusił się, by rozluźnić mięśnie nóg oplatających tułów Wyrwija. Tego by tylko brakowało, żeby konik opacznie odczytał jakieś nerwowe drgnienie i przedwcześnie ruszył do biegu.

Teraz!

Powietrze zadrżało od basowego, metalicznego buczenia rogu; ścisnął Wyrwija kolanami. Jakby w oddali usłyszał okrzyk „Jaaa!” Hassana, którym młody Bedulin ponaglił Piaskowy Wichera do biegu. Podekscytowani widzowie ryknęli jednym głosem – a potem nagle umilkli, zdumieni.

Wyrwij wystrzelił do przodu niczym strzała, na przestrzeni kilku metrów przechodząc z zupełnego bezruchu w pełny galop i nawet w prawie cwał. Niespokojny Piaskowy Wichera, który wciąż tańczył i brykał, pozostał w tyle, wspinając się na zadnie nogi oraz potrząsając łbem. Hassan tłukł piętami o jego boki, ale bulany ogier dopiero po kilku krokach ruszył galopem w pogoń za Wyrwijem.

Tłum, który oniemiał na chwilę, widząc nieprawdopodobne wprost przyspieszenie, jakie osiągnął Wyrwij ze stojącej pozycji, znów zaczął wznosić okrzyki, zagrzewając Hassana i Piaskowy Wichera do walki.

Nawet Will, który dobrze znał możliwości Wyrwija, czuł się trochę zaskoczony tym, że od razu zyskali nad rywalem tak dużą przewagę. Wiedział, że wkrótce Piaskowy Wichera ich dogoni i wyprzedzi. Kiedy już się rozpędzi, z pewnością przez kilometr albo dwa będzie biegł szybciej niż Wyrwij. Zwiadowca żywił jednak nadzieję, że zaskoczony tak nieoczekiwanym przebiegiem wydarzeń na starcie Hassan zechce jak najszybciej nadrobić stratę, więc będzie się starał forsować swojego wierzchowca, tracąc przy tym nieco z cennego zapasu siły – której trzeba mu będzie najbardziej na ostatnich kilometrach wyścigu.

Słyszał w tyle okrzyki wznoszone przez Bedulinów. Nieco bliżej na kamienistym podłożu rozlegało się dudnienie kopyt Piaskowego Wichru. Wyrwij biegł z postawionymi uszami, a jego nogi pracowały równomiernie, wzbijając w powietrze kłęby piasku oraz kurzu.

Will dotknął szyi kudłatego wierzchowca.

–Spokojnie, koniku. Oszczędzaj się.

Wyrwij w odpowiedzi nieznacznie potrząsnął łbem – jednak nie za mocno, żeby nie stracić rytmu i równowagi. W następnej chwili Will poczuł, że Wyrwij jakby nieco odpuścił, minimalnie

zwolnił. Dobrze. Kopyta Piaskowego Wichru łomotały teraz bliżej w tyle. Will stwierdził, że arydzki koń jest szybki jak wiatr; nie na próżno nosił swoje imię.

Tymczasem Hassan pędził kilka metrów za rywalem. I niepokoił się nie na żarty. Dotąd nie przypuszczał, że cudzoziemski koń może okazać się aż tak szybki. Nic w jego wyglądzie oraz budowie nie wskazywało, że potrafi z miejsca ruszyć pełnym galopem. Bo nawet teraz, gdy Piaskowy Wicher doganiał konika, wszystko działo się o wiele wolniej, niż Hassan by sobie życzył. Ponaglił więc rumaka, niech ten wysili się nieco bardziej; dopiero wówczas odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie zrównał się z cudzoziemcem siedzącym na kudłatym siwku. Jeździec ani spojrzał, ale Hassan spostrzegł, że koń przez krótką chwilę lypał okiem w jego stronę.

Jak wspominaliśmy, szybkie wierzchowce nie znoszą, gdy inny koń wysuwa się na prowadzenie. A to bez wątpienia był rączy wierzchowiec – nie tak prędko jak Piaskowy Wicher, ale o wiele szybszy, niż się początkowo wydawało. Hassan wiedział z doświadczenia, że często koń, którego przegania rywal, załamuje się i poddaje – albo przeciwnie, desperacko usiłuje odzyskać prowadzenie i przedwcześnie traci siły. Teraz nadeszła odpowiednia chwila, by wysforować się do przodu, a potem już nie pozwolić się dogonić cudzoziemcowi. Uderzył wodzami o szyję Piaskowego Wichru, a bułanek przyspieszył jeszcze, zyskując kilka metrów. Pędził tak właśnie, jak wicher, coraz bardziej oddalając się od Wyrwija.

Will poczuł, że Wyrwij zaczyna wrywać się do przodu i po raz pierwszy w życiu ściągnął mocno jego wodze. Wyrwij parsknął gniewnie. Chciał pokazać temu bedulińskiemu piękniśowi, co znaczy prawdziwy wyścig. Posłuchał jednak Willa, wbrew własnemu instynktowi, który nakazywał mu pędzić z całych sił.

–Jeszcze nie, koniku – usłyszał głos Willa. – Przed nami długa droga.

Minęli w pędzie znak wyznaczający połowę dystansu do słupa. Rozległy się okrzyki arbitrów, czuwających tam nad prawidłowym przebiegiem wyścigu. Rzecz jasna, okrzyki na cześć Piaskowego Wichru, który wysunął się teraz prawie na czterdzieści metrów przed Wyrwija. Arydzki koń biegł w pięknym stylu i doskonałym rytmie, wyciągając długie nogi. Will uznał, że czterdzieści metrów to dość. Dał Wyrwijowi znak, by przyspieszył nieco, a konik natychmiast posłuchał. Cudowny, kochany Wyrwij, pomyślał Will. Wiedział, że jego wierzchowiec może tak biec przez cały dzień. Ciekawe, czy Piaskowy Wicher też to potrafi.

Nadrobili jakieś pięć czy dziesięć metrów, gdy Hassan na Piaskowym Wicherze objechał dookoła drewniany słup. Hassan, który dysponował teraz znaczną przewagą, pozwolił koniowi odrobinę zwolnić, wiedząc, że może sobie pozwolić, by nieco oszczędzać jego siły przed finiszem.

Pomachał Willowi, gdy mijali się, jadąc w przeciwne strony. Will nie odpowiedział mu, a Hassan uśmiechnął się do siebie pod kefią. Nic dziwnego, pomyślał. On także, gdyby przegrywał, nie odpowiedziałby na takie pozdrowienie.

Teraz Wyrwij okrążył słup, ślizgając się nieco, gdy zawracał, by ruszyć w pościg za Piaskowym Wicherem. Odległość między nimi zmniejszyła się trochę, bo Omara ogier szerzej wziął zakręt, ale teraz znów zaczęła rosnać. Dzielilo ich od siebie około trzydziestu metrów.

–Wyrwij, teraz! Naprzód! – wrzasnął Will, a jego koń zebrał wszystkie siły, wytrzymałość oraz odwagę – i przyspieszył. Will widział Piaskowy Wicher przez chmurę kurzu i wzbijanego kopytami piasku – gnał jak pustynna burza. Jego boki lśniły od potu, wznosiły się i opadały z wysiłku. Stopniowo, cierpliwie, Wyrwij zaczął skracać odległość dzielącą go od bedulińskiego

wierzchowca. Gdy byli o dwa kilometry od mety, oba konie gnały obok siebie, pysk w pysk, na przemian wysuwając się na prowadzenie, tracąc je i znów odzyskując. Żaden z nich nie mógł osiągnąć decydującej przewagi nad drugim.

Will zdawał sobie sprawę, że wkrótce nadejdzie decydująca chwila, kiedy trzeba będzie ruszyć do ostatecznego ataku. Wiedziały o tym oba konie, zresztą jego rywal także. Teraz najważniejszą rzeczą było ów moment uchwycić – nie za wcześnie, bo wówczas koń opadłby z sił przed dotarciem do mety; nie za późno – bo to oznaczałoby nieuchronną przegraną.

Biegące bok w bok konie lpywały na siebie oczami, wzajemnie kontrolowały swoje ruchy. A potem Wyrwij wysforował się do przodu i Will nie mógł go powstrzymać, bo oznaczałoby to utratę prędkości, na co już teraz nie mogliby sobie pozwolić. Wyrwij zdecydował za nich, wyczuł chwilę i postąpił tak, jak uważał za słuszne. Najpierw wyprzedził Piaskowy Wicher o długość szyi, potem o długość całego swego ciała, biegnąc prędzej niż kiedykolwiek za pamięci Willa. W jego umyśle rozbrzmiewał teraz tylko tętent końskich kopyt. A potem... Potem usłyszał, jak Hassan krzykiem popędza Piaskowy Wicher i,

rzuciwszy okiem za siebie, ujrzał, że ogier znów zaczyna ich doganiać. Nie do wiary, ale niemal zrównał się z Wyrwijem.

I w tej chwili Wyrwij się zachwiał.

Nastąpiło ledwie nieznaczne zakłócenie rytmu, jakby zgubił krok, ale Will wyczuł je i wiedział, że już jest po wszystkim. Ujrzał to również Piaskowy Wicher, więc podwoił jeszcze wysiłek i wyprzedził ich o metr... dwa... pięć... Kopyta rumaka ciskały piasek prosto w twarz Willa, uderzając boleśnie w skórę wokół oczu, aż chłopak musiał je zmrużyć, w końcu zaś prawie zamknąć.

Od mety dzieliło ich jeszcze trzysta metrów, a Piaskowy Wicher prowadził o piętnaście. Łzy przesłoniły Willowi pole widzenia, bo zdał sobie sprawę, że przegrał ten wyścig – i swojego konia.

Wiedział, że mógłby zażądać od Wyrwija większego wysiłku. Mógłby nakłonić go, żeby spróbował nadrobić stratę, niemożliwą już do nadrobienia. A jego mały konik posłusznie czyniłby to, aż padłby z wysiłku. Tego za żadną cenę nie wolno zrobić. Wyrwij osiągnął już szczyt swoich możliwości. Piaskowy Wicher okazał się dla niego zbyt szybki. I zbyt wcześnie wysunęli się na prowadzenie. A teraz biegli już dwadzieścia metrów w tyle.

Lecz wtedy zachwiał się Piaskowy Wicher.

Will dostrzegł, że wierzchowiec rywala zmylił krok i zwolnił pędu. Jaka szkoda, że dopiero teraz, pomyślał. Bo teraz na wszystko było już za późno. Wyrwij zbyt szybko się pospieszył. Pomimo zmęczenia, dwudziestometrowa przewaga wystarczy, by Piaskowy Wicher dotarł jako pierwszy do linii mety, nie pozwalając się doścignąć swojemu nie mniej zmęczonemu rywalowi.

Ledwo zdążył to pomyśleć, kiedy poczuł, że Wyrwij przyspiesza.

Znów był w pełni sił, pewien siebie, doskonale zrównoważony – tylko szybszy, o wiele szybszy niż kiedykolwiek, odkąd Will go znał. Wyrwij dognał i wyprzedził Piaskowy Wicher, jak gdyby tamten stał w miejscu. Oszolomiony Will skulił się i pochylił nisko do szyi Wyrwija. Zrozumiał, że jest tylko balastem na końskim grzbiecie. Nigdy nawet nie wyobrażał sobie, że Wyrwij potrafi pędzić aż tak szybko. Tak jakby nie istniało dla niego żadne ograniczenie; Wyrwij po prostu pocwałuje tak prędko, jak będzie trzeba – i już.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to Wyrwij rozegrał cały wyścig po swojemu, że udał,

iż traci siły, by podstępem nakłonić Piaskowy Wicher do ostatecznego zrywu. Tylko udawał – a Piaskowy Wicher dał się oszukać, przyspieszył i opadł z sił o trzydzieści metrów za wcześnie. Taka właśnie dzieliła ich odległość, kiedy Wyrwij wpadł galopem na linię mety.

Will zdążył już zsiąść na ziemię i tulił szyję swojego ulubieńca, kiedy Piaskowy

Wicher, zwolniejszy już do klusa, ociekający potem i robiący bokami, dotarł do celu. A teraz Bedulini wprost nie posiadali się z zachwytu i wiwatowali na cześć cudzoziemskiego wierzchowca. Cenili dobre konie jak mało kto, a ten okazał się jednym z najlepszych. Co więcej, ponieważ nikt w zakładach nie obstawiał zwycięstwa Wyrwija, nikt też nie przegrał pieniędzy – choć niektórzy z tych, co obstawiali trzydzieści metrów różnicy, skłonni byli domagać się wypłaty wygranej.

Gdy Hassan zsunął się z siodła, Omar pochwyił wodze Piaskowego Wichru. Nim młody Bedulin zdołał się odezwać, aszejk poklepał go po ramieniu.

–Zrobiłeś, co mogłeś – stwierdził. – Piękny wyścig.

Inni współplemieńcy podzielali jego zdanie, ale Hassan przepchnął się przez tłum i wyciągnął dłoń do Willa. Potrząsnął głową z podziwem.

–Nie miałem żadnych szans, prawda? – spytał. – Wiedziałeś o tym.

Will, uśmiechnięty od ucha do ucha, uściskał jego dłoń.

–Ja? Skąd, nie miałem pojęcia – odpowiedział i wskazał ruchem głowy Wyrwija. – Tylko on wiedział.



## ROZDZIAŁ 34

Według oceny Halta po zboczu wzgórza zbliżało się ku nim około trzydziestu jeźdźców.

–Z tej strony też nadciągają – odezwała się Evanlyn, stojąca za jego plecami. Obejrzał się – z tyłu ścigała podobna liczba napastników, wyraźnie przygotowując okrążenie arydzkiego oddziału. Halt znowu spojrział przed siebie. W mgnieniu oka wraz z Gilanem określili prędkość, z jaką nacierali Tualegowie.

–Teraz – rzekł półgłosem Halt. Niemal jednocześnie wykonywali te same ruchy: naciągnęli i wypuścili, każdy z nich w równym tempie, pierwszą, potem drugą, trzecią i czwartą strzałę, za każdym razem opuszczając nieco łuk, by uwzględnić malejącą w oczach

odległość. Po czterech dwustrzałowych salwach Evanlyn zawołała:

–Pięćdziesiąt metrów z tyłu!

Obaj łucznicy odwrócili się natychmiast i posłali kolejne pociski w stronę oddziału Tualegów nacierającego od tej strony. Sześć spłoszonych wierzchowców pozbawionych jeźdźców siało już zamęt w szeregach napastników od frontu, a ciała powalonych nomadów zaległy w piachu za nimi. Pięciu następnych Tualegów runęło ze swych koni, lecz wówczas zwiadowcy musieli zaprzestać ostrzału, bowiem nacierający znaleźli się już w bezpośredniej bliskości ściany utworzonej z tarcz. Evanlyn nie mogła wyjść z podziwu dla szybkostrzelności i celności obu zwiadowców. Jedenastu żołnierzy nieprzyjaciela wyeliminowanych z walki w ciągu kilku sekund!

Później przyszła kolej na żołnierzy dzierżących tarcze, by przyjąć na siebie impet uderzenia jeźdźców.

Jednak tylko nieliczne konie parły dalej przed siebie. Większość zwierząt na widok lśniących w promieniach słońca grotów lanc wyciągniętych w ich kierunku skręciła w ostatniej chwili, choć jeźdźcy, chłoszcząc je i spinając piętami, usiłowali zmusić odporne wierzchowce do kontynuowania szarży. Stracili impet, więc teraz Arydzi, dysponujący długą bronią, uzyskali przewagę nad wrogiem. Większość napastników zeskoczyła z koni,

pozostawiając je pod opieką towarzyszy, którym wyznaczono rolę podręcznych, i przystąpili do walki pieszo. Zapanował bitewny tumult, jak to zwykle bywa, gdy przychodzi do bezpośredniego starcia; krzywe szable wznosiły się i opadały, siekły i dźgały; po obu stronach ranni w starciu wrzeszczeli z bólu, po czym padali. A potem krzyczeli znów, kiedy towarzysze i nieprzyjaciele deptali po nich, zmagając się z wrogiem.

Horace obserwował uważnie, ze zmrużonymi od skupienia oczami, obronną ścianę tarcz, wypatrując pierwszej powstałej w niej luki, przez którą Tualegowie mogliby dostać się do środka. Od frontu, po jego lewej stronie, jeden z arydzkich żołnierzy osunął się na ziemię; został śmiertelnie raniony przez tualeskiego napastnika, który natychmiast rzucił się do przodu, siekąc na prawo i lewo, dzięki czemu udało mu się poszerzyć wylom, za nim zaś przedarli się następni dwaj; linia obrony zaczęła się kruszyć.

Horace zaczerpnął tchu, odwracając się do przydzielonych mu czterech żołnierzy. Nim jednak zdążył cokolwiek zrobić, obok niego rozległ się dziki ryk i w tamtą stronę puścił się pędem Svengal, wymachujący nad głową toporem. Horace zdał sobie sprawę, że jeśli doń teraz dołączy, będzie tylko zawadzał, toteż zatrzymał się i dał znać swoim ludziom, by uczynili to samo.

Svengal uderzył w Tualegów niczym taran. Odepchnął ich tarczą i zmusił do cofnięcia się, choć z tyłu napierali już kolejni; napastnicy poczęli się chwiać, tracąc równowagę. W następnej chwili, nim zdolali ją odzyskać, posypały się na nich wściekle ciosy topora.

Wyłom w murze tarcz został naprawiony niemal tak szybko, jak powstał, formacja zwarła się na nowo. Svengal powrócił do miejsca, gdzie czekał Horace.

–Gdybyś przypadkiem potrzebował pomocy, daj mi znać – zaproponował młody rycerz.

Svengal spojrział na niego spode łba. W oczach Skandianina lśnił niebezpieczny błysk.

–Wątpię, by tak się miało stać – odparł. Potem znów runął w bitewny wir, bo

Tualegowie przedarli się w innym miejscu; miażdżył ich tarczą, rąbał toporem, zmuszając do panicznego odwrotu i deptał tych, których powalił. Jednak Horace nie miał już czasu, żeby się

przyglądać. Potrzebny był gdzie indziej; biegiem poprowadził swych czterech ludzi w miejsce, gdzie cała grupa Tualegów zdołała przerwać szereg arydzkich obrońców. Nim inni Tualegowie zdołali dobiec, już jeden z napastników padł ze strzałą w piersi, a w następnej chwili spadł na nich jak burza Horace wraz ze swoimi czterema pomocnikami.

Nie było tu czasu ani miejsca na szermierze sztuczki. Trzeba było ciąć i dźgać ile sił, parować uderzenia tarczą, po czym znowu uderzać, uderzać, uderzać! Jednak również pod tym względem Horace wykazywał zdumiewającą zręczność, zasypując przerażonych

Tualegów morderczymi ciosami z siłą i szybkością, która prędko zmusiła ich do ucieczki w popłochu.

Wkrótce przerażenie ogarnęło wszystkich napastników, którzy zaczęli cofać się od muru tarcz, najpierw pojedynczo, dwójkami, potem coraz liczniej. Dopadali czekających wierzchowców, wskakiwali na nie i uciekali pod górę, ścigani triumfalnymi krzykami oraz gwizdami obrońców.

Gilan uniósł luk i spojrział pytająco na Halta, który potrząsnął jednak głową.

–Oszczędzaj strzały – powiedział. – Przydadzą się później.

–Nie powiem, żebym miał ochotę strzelać uciekającym w plecy – przyznał Gilan.

Odłożył strzałę do kołczana.

Zbliżył się do nich Selethen. Jego biała szata była rozdarta, poplamiona krwią i kurzem. Ocierał klingę szabli.

–To ich zabolalo – stwierdził. – Dobrze strzelaliście – dodał, czemu towarzyszyło pełne uznania skinienie głowy w stronę obu zwiadowców. Zdawał sobie sprawę, że ich błyskawiczny ostrzał znacznie osłabił siłę uderzenia.

–Wątpię, by zechcieli jeszcze raz próbować bezpośredniego ataku – powiedział Halt, a wakir przytaknął. Wskazał na wzgórze, gdzie stało trzech jeźdźców. Obserwowali rozwój sytuacji. Cofających się napastników obrzucali wyzwiskami. W pewnej chwili najwyższy z nich pochylił się w siodle i smagnął uciekiniera batem. – O ile się nie mylę, ten tam, to Yusal Makali. Jeden z ich najlepszych wodzów. Jest szczwany jak lis, poza tym okrutny. Nie jest też głupcem, więc z pewnością zorientował się, że kolejny frontalny atak kosztowałby go zbyt wiele.

Wkrótce przekonamy się, co nowego wymyśli.

–My także ponieśliśmy niemałe straty – rzekł cicho Gilan. Wielu arydzkich żołnierzy

zajętych było opatrywaniem rannych, zbyt licznych, by starcie dawało się potraktować jako zwycięstwo, choćby prowizoryczne. Rzeczywiście, jak to się zwykle dzieje, atakujący pozostawili na placu boju więcej swych towarzyszy, lecz spośród Arydów co najmniej dziesięciu zostało zabitych lub ciężko rannych, niezdatnych do dalszej walki.

Teraz podeszli do nich Svengal z Horace'em. Każdy ocierał ostrze swej broni z krwi, tak jak przedtem Selethen. Twarz Svengala wciąż pozostawała zaczerwieniona od bitewnej furii, oczy nadal dziko błyszczały.

–Na co oni czekają? – zawołał, o wiele za głośno, bo przecież zwracał się do swych towarzyszy, którzy stali tuż obok. – Dawać mi tu ich, dawać mi wszystkich!

Halt spojrział na niego z niepokojem.

–Svengalu, opanuj się – ostrzegł. Widać było, że Skandianin, rozeźlony po całych tygodniach bezczynności, bliski jest teraz wpadnięcia w bojowy szal berserkera, ową swoistą przypadłość zdarzającą się Skandianom podczas bitwy. – Istnieje spora szansa, że więcej nas nie będą atakować. Zbyt wielu z nich położyłeś trupem. A i ty, Horace, nieźle się spisalesz –dodał. Widział, jak skuteczny okazał się kontratak młodego rycerza. Horace skinął głową na znak podziękowania. Klinga jego miecza została już oczyszczona, więc schował broń do pochwy.

–Jak sądzisz, co oni teraz zrobią? – spytał Halta.

Zwiadowca, nim odpowiedział, spojrział przez zmrużone powieki na słońce, które wisiało niemal bezpośrednio nad ich głowami i wylewało z nieba bezlitosny żar.

–Pewnie zaczekają, aż upał oraz pragnienie wykonają za nich całą robotę – stwierdził.

–Przynajmniej ja tak właśnie postąpiłbym na ich miejscu.

\*\*\*

Obawy Halta okazały się niestety słuszne. Przez całą resztę dnia Tualegowie już nie atakowali. Za to Aralueńczycy i ich arydzcy towarzysze cierpieć musieli nieznośny upał w pełnym słońcu.

Na domiar złego mieli małe zapasy wody. Spodiewając się, że tegoż dnia dotrą do studzien Khor-Abash, Selethen zezwolił na nieco mniej oszczędne gospodarowanie cennym płynem. Teraz pozostało im życiodajnego napoju najwyżej na dwa dni.

Tymczasem Tualegowie mogli oczywiście posyłać jezdnych, którzy dowiozą tyle wody, ile będzie im trzeba. Nie musieli robić nic prócz tego, by strzec małego obozowiska w kotlinie. Zorientowawszy się, że Arydzi posiadają w swych szeregach wyborowych łuczników, kryli się za wzgórzami, lecz od czasu do czasu ujawniali własną obecność przez krótki moment, kiedy zmieniali warty. Halt był pewien, że rozstawili namioty w pobliżu, na przeciwległych zboczach wzgórz.

Gdy zapadł zmierzch, Selethen zacieśnił krąg swoich żołnierzy, tak by czuwała z nich tylko połowa, a pozostali mogli zażyć snu. Nie na wiele się to jednak zdało, bo już godzinę później Tualegowie podjęli atak.

Każdy atakujący oddział liczył nie więcej niż kilkunastu wojowników. Podpełzali pod osłoną nocy w pobliże obozowiska, po czym zrywali się z wielkim krzykiem, rzucali się na obrońców, czasem raniąc któregoś, czasem też i tracąc jednego ze swoich, a potem wycofywali się, unosząc poszkodowanych towarzyszy. Była to taktyka obliczona na nękanie nieprzyjaciela, nic więcej, o tyle jednak skuteczna, że nikt w arydzkim obozie nie mógł ani na

chwile zmrużyć oka, zdrzemnąć się i odpocząć – i tak przez całą noc.

Tualegowie przeprowadzali co prawda ataki pozorowane, jednak każdemu ich wypadowi należało stawić czoło, bowiem ani Halt, ani nikt inny nie mógł wiedzieć, czy w którymś momencie wróg nie rzuci do boju wszystkich swoich sił.

Spędzili więc noc na niespokojnym oczekiwaniu, przerywanym gwałtownymi utarczkami, po których znów zapadała złowroga cisza.

Kiedy wreszcie nastął świt, Halt powiódł wzrokiem po bliskim horyzoncie utworzonym przez grzbiety otaczających pagórków. Dostrzegł tu i ówdzie ruch, ale żadnego wydarzenia godnego szczególnej uwagi. Arydzi w pierwszym starciu stracili czterech ludzi, w ciągu nocy jeszcze dwóch następnych. Wielu odniosło ciężkie obrażenia, a brakowało wody, żeby obmyć ich rany. Selethen, choć niechętnie, nakazał, by rannym wydzielać takie same skromne racje płynu, jak wszystkim innym. Podjął decyzję niełatwą, lecz nie miał żadnego wyboru.

Doglądał rannych, kiedy usłyszał, że zawołał go Halt. Na grzbiecie jednego ze wzgórz pojawiła się biała flaga.

–Chcą paktować – stwierdził Halt.

\*\*\*

Wysoki nomada, w którym Selethen rozpoznał Yusala Makalego, zjechał po zboczu w towarzystwie jeźdźca dzierżącego białą flagę. Przed szereg arydzkich żołnierzy wystąpił wakir, obok niego szedł Halt z taką samą flagą. Ruszyli na spotkanie wrogiego poselstwa.

–Yusal wie, że uszanuję znak rozejmu. Jednak on sam podepcze go, gdy tylko będzie mu to odpowiadało – stwierdził kwaśno Selethen. – Żałuję, że nie mogę cię poprosić, żebyś po prostu go zastrzelił.

Halt wzruszył ramionami.

–Mógłbym to zrobić, jasne. Tylko że likwidując go, w niczym nie zmienilibym naszej sytuacji. Zostaliśmy okrążeni, wróg ma przewagę. A potem mogłaby już nie nadarzyć się druga sposobność do prowadzenia rozmów.

Zatrzymali się kilka metrów przed jeźdźcami. Yusal zeskoczył z siodła i podszedł do nich.

Był wyższy od przeciętnego Arydy lub Tualega. Przerastał Halta o głowę, a Selethena o kilka centymetrów. Miał na sobie białe, lekkie szaty i taką kefię. Biel stanowiła odpowiedni kolor na pustynny skwar, lecz o ile Selethen nosił po prostu biały strój, szatę

Yusala obrębiono ciemnym błękitem. Poza tym krańce chusty okrywającej głowę Selethen zawiązał dla osłony twarzy, natomiast kefia Tualega powiewała swobodnie na wietrze. Jednak dolną część jego oblicza zakrywała ciemnoniebieska zasłona, sprawiająca wrażenie maski. Halt słyszał niejednokrotnie, że Arydzi określali swoich nieprzyjaciół mianem „Zapomnianych przez Boga”, lecz zwali ich także „Jeźdźcami bez twarzy”. Teraz mógł ujrzeć z bliska jednego z nich.

Z tego, co dawało się dostrzec ponad zasłoną, skóra Yusala – spalona przez lata słońcem i wichrem pustyni – miała odcień ciemnobrązowy. Choć dolną część twarzy zasłaniała maska, wyraźnie rysował się pod nią wydatny haczykowany nos, przypominający dziób drapieżnego ptaka. Głęboko osadzone oczy spoglądały spod ciężkich powiek. Yusal brwi miał gęste, ciemne, niemal czarne. Halt stwierdził, że gdyby ujrzał Yusala bez zasłony jedynie po oczach rozpoznałby go z pewnością. Zimne, czarne, bezlitosne oczy, w których nie widać było choćby

**śladu litości lub ciepła. Oczy zabójcy.**

**–Wakirze Seley el'thenie – rzekł Yusal – czemu za mną podążasz?**

**Zaslona tłumila nieco głos wodza Tualegów, ale i tak brzmiał on nieprzyjaźnie, ostro, był równie nieprzyjemny, jak spojrzenie jego oczu. Żarty się skończyły, pomyślał Halt. Selethen od razu przeszedł do rzeczy.**

**–Zabiłeś dwudziestu moich ludzi. I masz ze sobą więźnia, który do nas należy.**

**Yusal pogardliwie wzruszył ramionami.**

**–No, to chodźcie do nas i go sobie weźcie – rzucił. Przez chwilę panowało milczenie.**

**Potem dodał: – Sprawy źle się dla ciebie przedstawiają, Seley el'thenie. Zostaliście otoczeni.**

**Moich ludzi jest cztery razy więcej niż twoich i kończy wam się woda.**

**Rzecz jasna to ostatnie stwierdzenie opierało się tylko na domyśle. Yusal nie miał pojęcia, jak mało wody im pozostało, a Selethen nie zamierzał wyprowadzać go z błędu.**

**–Wody mamy pod dostatkiem – zapewnił spokojnie, na co Yusal znów wzruszył ramionami.**

**Cóż go obchodziły zapewnienia Selethena?**

**–Tym lepiej dla ciebie. Albo i tym gorzej, bo prędzej lub później wyczerpiecie wszystkie zapasy, podczas gdy ja mogę w każdej chwili posłać swoich ludzi do studni. Nie spieszy mi się, poczekam, aż upał i pragnienie zaczną zabijać twoich żołnierzy. Ja mogę sobie na to pozwolić, ty nie.**

**Kolistym ruchem ręki wskazał wzgórze otaczające ich ze wszystkich stron.**

**–Możesz spróbować szturm, jeśli masz na to chęć. Tylko pamiętaj, że droga wiedzie pod górę, a ja mam czterech ludzi na twój jednego. Każda taka próba musi skończyć się**

**tylko w jeden sposób.**

**–Tego nikt nie może wiedzieć z pewnością – rzekł Halt i badawcze, przewiercające na wskroś spojrzenie ciemnych, złowrogich oczu zwróciło się teraz na niego. Halt zdał sobie sprawę, że tualeski wódz chce go w ten sposób zbić z tropu, toteż uniósł jedną brew, przybierając równocześnie znudzoną minę.**

**–Ty jesteś jednym z łuczników, czyż nie? – stwierdził Yusal. – Wasze strzały są celne, lecz kiedy przyjdzie do walki wręcz, liczniejsi wezmą górę.**

**–Chciałeś paktować, Yusalu – wtrącił Selethen. – Czy zatem tylko po to nas wzywasz, by oznajmić, że nasza sytuacja jest beznadziejna? Czy może jednak masz do powiedzenia coś wartego naszej uwagi? – W jego głosie pobrzmiwała taka sama wzgarda, jaka towarzyszyła słowom Tualega.**

**Yusal wlepił w niego spojrzenie czarnych oczu.**

**–Poddajcie się – powiedział po prostu, na co Selethen zaśmiał się krótko.**

**–Żebyś mógł nas wyrznąć w pień, nie narażając się przy tym na straty? Wódz Tualegów potrząsnął głową.**

**–Jesteś dla mnie wart dużo pieniędzy, Seley el'thenie. Mogę zażądać wysokiego okupu za twoje życie. Musiałbym być niespełna rozumu, gdybym chciał cię go pozbawić.**

**Nie**

**wątpię też, że znajdzie się ktoś, kto i za cudzoziemców zechce zapłacić. Z tej samej przyczyny nie uśmierciłem tamtego Skandianina. Dlaczego miałbym z tobą postąpić**

inaczej?

Selethen nie odpowiedział. Dobrze znał chciwość Tualegów, toteż skłonny był uwierzyć słowom Yusala. Tymczasem tualeski wódz nie omieszkał przedstawić mu niewesołej alternatywy dla proponowanego rozwiązania:

–Albo zostańcie tutaj i zdychajcie z pragnienia. To wyłącznie kwestia czasu. Gdy osłabiecie, przyjdziemy tu i wyjmemy wam broń z rąk. Ale jeśli każesz mi czekać, mogę okazać się mniej wspaniałomyślny.

Odwrócił się, okazując całkowity brak zainteresowania wyborem, jakiego dokona Selethen. Wakir pociągnął Halta za rękaw i odprowadził go kilka kroków na bok.

–Ta sprawa dotyczy także twoich ludzi. Co o tym sądzisz? – spytał półgłosem. Halt zerknął na wysoką postać Yusala odwróconego do nich plecami.

–Wierzysz mi? – spytał, a Selethen nieznacznie skinął głową.

–Tualegowie zrobią wszystko dla pieniędzy – powiedział. – A my w ten sposób dostajemy przynajmniej jakąś szansę na przetrwanie. W przeciwnym razie stanie się tak właśnie, jak on mówi – będziemy coraz słabsi, aż w końcu i tak przyjdzie nam się poddać.

Halt zastanawiał się przez chwilę. Owszem, prawdopodobnie on i Gilan zdołaliby pod osłoną ciemności przekraść się przez linię Tualegów. Ale i to nie było wcale pewne. Co prawda potrafili poruszać się bezgłośnie i niepostrzeżenie, lecz teren dookoła nie zapewniał jakichkolwiek naturalnych kryjówek. Obserwować zaś ich będą liczne pary oczu. Poza tym, nawet jeśli zdołają wydostać się z tualeskiego okrążenia, co dalej? Co wskórają pieszo, skoro od najbliższych arydzkich garnizonów dzieli ich wiele, wiele kilometrów? Zanim zdołają dotrzeć do któregoś, by sprowadzić pomoc, Selethen i jego ludzie będą już martwi. A także Evanlyn, Horace i Svengal. Jeśli poddadzą się teraz, pozostanie im przynajmniej dość sił, żeby uciec, jeśli pojawi się okazja, lub jakoś inaczej wywieść w pole przeciwników. – Cóż, trudno – rzekł. – Musimy omówić warunki, na jakich się poddamy.

## ROZDZIAŁ 35

Will właśnie sprawdzał sznurki i rzemienie mocujące jego ekwipunek do siodła Wyrwija, gdy usłyszał za sobą skrzypienie czyichś kroków w piasku. Odwrócił się i zobaczył nadchodzącego Omara. Twarz Bedulina wyrażała zatroskanie.

–Jest coś, o czym powinieneś się dowiedzieć, zanim odjedziesz – oznajmił.

Działo się to cztery dni po wyścigu – wyścigu, który przeszedł już do legendy, jako część niepisanej bedulińskiej historii. W jednej chwili Will, a także Wyrwij, stali się ulubieńcami całego plemienia; swojego dokonała także czuła, troskliwa opieka, jaką otaczała przybysza z północy żona aszejka, Sulejma. Zawsze uśmiechnięty, wesół chłopak, właściciel niedoścignionego beczułkowatego wierzchowca cieszył się teraz powszechną sympatią.

Również Hassan nie żywił wobec niego urazy z powodu przegranej w wyścigu i utraty Wyrwija – przeciwnie, stali się z Willem dobrymi przyjaciółmi. Will miał tym samym okazję przekonać się, że choć Bedulini są niepoprawnymi hazardzistami, potrafią pogodzić się z przegraną.

Tym łatwiej przyszło im zawrzeć przyjaźń, że Omar, zadowolony z wyniku zawodów, podarował Hassanowi jednego ze swych koni – ogiera, w którego żyłach płynęła krew tych samych przodków, od których wywodził się Piaskowy Wicher. Hassan nie posiadał się z radości. W rezultacie ofiarował się, że posłuży Willowi za przewodnika w drodze do Mararoka.

Wyjaśniła się ponadto tajemnica kompasu, który tak fatalnie wprowadził Willa w błąd na pustyni. Gdy Omar zapytał chłopca, jak zamierza orientować się w bezdrożach, Will pokazał mu urządzenie i wyjaśnił sposób działania igły magnetycznej. Aby zademonstrować jej własności, dobył saksy i przybliżył główkę zwiadowczej broni do kompasu. Igła odchyliła się w stronę noża, przestając wskazywać kierunek pola magnetycznego Ziemi – a Omar w jednej chwili pojął, w czym rzecz.

–Ha, powiadasz, że jechałeś przez Czerwone Wzgórza? – upewnił się, a gdy Will potwierdził, wyjaśnił: – Przecież te pagórki to niemal czyste żelazo. Tam znajdują się potężne

złoża rudy. Dam głowę, że to przez nie twoja igła wskazywała zły kierunek, a ty zmyliłeś drogę.

Gdy Will zdał sobie sprawę, dlaczego zablądził, odetchnął z ulgą. Choć wydawało się mało prawdopodobne, jednak do tego czasu nie dawało mu spokoju podejrzenie, iż Selethen podsunął mu sfalszowaną mapę. Poza tym dręczyło go poczucie winy, sądził bowiem, że nie stanął na wysokości zadania, okazując się niegodnym uczniem Halta. Teraz, gdy zorientował się, że błąd w ocenie kierunku wynikał z czynników naturalnych, których przecież nie mógł przewidzieć – wreszcie przestał się trapić zarówno jedną, jak i drugą kwestią.

Kiedy przygotowywał Wyrwija do drogi, do obozowiska nadjechał jakiś jeździec -okryty kurzem i zdrożony, na zmęczonym koniu. Widać było, że przebył długą drogę przez pustynię. Udał się prosto do namiotu Omara. Wydarzenie to nie zainteresowało zbytnio Willa. Z początku uznał, że chodzi o jakieś sprawy dotyczące wyłącznie Bedulinów – ale po chwili nie był już tego taki pewien.

Poszedł za Omarem do rozłożystego, niskiego namiotu, który aszejk zajmował wraz z Sulejmą. Musiał się schylić, by wejść, po czym wykonał zwyczajowy powitalny gest. W ciągu kilku dni zdążył się już do niego przyzwyczaić.

Namiot zaścielał gruby kobierzec, na którym ułożono miękkie poduszki. Usiadł na jednej z

nich, krzyżując nogi, jak nakazywały tutejsze zwyczaje. Obok siedział Bedulin, którego dotąd jeszcze nie widział; jadł łapczywie i pił, a Sulejma donosiła mu kolejne porcje owoców i wody. Spojrzał na Willa, a potem pytająco na Omara.

–To jest Dżamil, jeden z naszych wywiadowców – wyjaśnił Omar, a Bedulin skinął głową na powitanie. Na oko mógł mieć trzydzieści parę lat, chociaż Willowi trudno było określić wiek Bedulinów, zwłaszcza mężczyzn, bowiem wszyscy mieli ciemną skórę i już w całkiem młodym wieku pojawiały się na niej zmarszczki. – To cudzoziemiec, o którym ci mówiłem. Na imię ma Will.

Will uznał, że wypada powtórzyć powitalny gest, unosząc dłoń do ust – czoła – i znów do ust. Dżamil sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego, że cudzoziemiec zachowuje się zgodnie z bedulińskimi obyczajami, ale czym prędzej odpowiedział mu takim samym ruchem. Will spojrział na Omara, jego twarz wyrażała niewypowiedziane pytanie. Aszejek zwrócił się do Dżamila:

–Powiedz Willowi to samo, co rzekłeś nam.

Dżamil skończył jeść pomarańczę, oblizal resztę soku z palców i otarł usta chustą.

–Podróżowałeś wraz z oddziałem arydzkich żołnierzy? – spytał, choć właściwie było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie. Will skinął potakująco głową. Przeczynał złe wiadomości – choćby z poważnego tonu, jakim wypowiadał się tamten.

–Zgadza się – przytaknął.

–A byli tam też inni cudzoziemcy... Dwaj z nich odziani tak samo jak ty – wskazał upstrzony brązowymi plamami płaszcz Willa. Will przytaknął znowu. Bedulin potrząsnął głową z widocznym ubolewaniem; teraz Will zyskał już pewność, że jego niepokój był uzasadniony.

–Co się stało? – spytał.

Bedulin spoglądał na niego przez chwilę, ale na szczęście zaraz potem przeszedł do rzeczy, nie próbując owijać niczego w bawełnę.

–Zostali pojmani przez Tualegów – rzekł. Will rzucił spojrzenie Omarowi.

–Przez Tualegów? – powtórzył.

Aszejek skrzywił się z wyraźnym niesmakiem.

–Tualegowie to bandyci. Robójkownicy. Zapomniani przez Boga. Są nomadami, tak jak my, ale żyją z tego, że napadają na podróżnych oraz na bezbronnych mieszkańców wiosek. Otoczyli twoich przyjaciół i wzięli ich do niewoli. Teraz prowadzą wszystkich ze sobą w stronę Masywu Północnego, razem z wakirem Seley el'thenem i tymi z jego ludzi, którzy przeżyli starcie.

Will zaniepokoił się na dobre.

–To znaczy, że doszło do walki? Czy coś się stało któremuś z cudzoziemców?

Dżamil potrząsnął głową.

–Nie. Pojmano ich wszakże co do jednego i zakuto w łańcuchy razem z tamtym innym cudzoziemcem. Są więźniami Tualegów, tak samo jak on. Wydaje mi się, że...

Will nie mógł się w tym wszystkim połapać. Uniósł dłoń, by powstrzymać opowieść Bedulina.

–Chwileczkę, chwileczkę! Co to za „inny cudzoziemiec”? O kim mówisz?

Dżamil skłonił przepraszająco głowę, zrozumiał, że wyraża się niejasno i winien jest przybyszowi wyjaśnienia.

–Poprzednio Tualegowie pojмали jeszcze innego cudzoziemca. Jednego z tych dzikich



wojowników północy. Twoim współplemieńcom także towarzyszył jeden z nich – dodał.

Willowi od tego wszystkiego omal nie zakręciło się w głowie. Zdumiewające, bo przecież mogło tu chodzić tylko o jedną osobę. Ale przecież, o ile wiedział, Erak znajdował się w rękach Arydów.

–Nie rozumiem – powiedział. – Musi tu chodzić o Eraka, ale on przecież wędrował z arydzką karawaną do Mararoka. Jak to się stało, że pochwycili go Tualegowie? Dżamil rozłożył bezradnie ręce. Omar w zamyśleniu podrapał się w nos.

–Może po prostu napadli na tę karawanę i pojмали wojownika z północy? – wyraził przypuszczenie.

Will skinął głową. Zastanawiał się gorączkowo: jeśli tak właśnie się stało, Gilan oraz Halt z pewnością natrafili na ślady w miejscu napaści. Potem zaś wyruszyli tropem bandytów, zapewne towarzyszył im Selethen, a także jego żołnierze. Wreszcie jakimś sposobem wpadli w zasadzkę... Otrząsnął się. Nieważne, jak do tego doszło. W tej chwili liczył się tylko fakt, że takie wydarzenie miało miejsce.

Mimo wszystko dziwił się, że Halt i Gilan dali się tak zaskoczyć tualeskim bandytom.

–Z tego, co mówisz, wnioskuję, że moi przyjaciele ruszyli w ślad za Tualegami. Ale czy może wiesz, jakim sposobem doszło do tego, że Tualegowie się o tym dowiedzieli? – spytał.

Bedulin, wyraźnie zawstydzony, spuścił wzrok. Minęła dłuższa chwila, nim zdobył się na odpowiedź:

–Obawiam się, że to przeze mnie. To ja poprowadziłem ich do obozowiska Seley el'thena – wyznał.

Will już miał się zerwać z miejsca, gdy tamten szybko wyciągnął dłoń.

–Nie! Proszę! Wszystko stało się wbrew mojej woli! Skąd miałem wiedzieć, że ono tam się znajduje? Nie wiedziałem! Ujrzałem w oddali oddział Tualegów i przybliżyłem się, żeby czegoś się o nim dowiedzieć. Był liczniejszy niż zazwyczaj – dwustu wojowników, może

nawet więcej. Gdy zapadł zmrok, podkradłem się pod same ich obozowisko, żeby przyjrzeć

się z bliska. Wtedy ujrzałem wojownika północy – trzymali go w łańcuchach, pod gołym niebem. Odszedłem przed świtem, kierując się prosto ku tej oazie. Nie wiedząc o tym, przeszedłem tuż obok obozowiska twoich przyjaciół, choć ich nie dostrzegłem. Jednak tylna

straż Tualegów natrafiła na moje ślady i podążyła za nimi – to stało się później, rankiem następnego dnia. W ten sposób natrafili na żołnierzy wakira oraz na twoich towarzyszy, którzy wędrowali równolegle do Jeźdźców bez twarzy, w odległości kilku kilometrów. Tualegowie nigdy by się o nich nie dowiedzieli, gdybym niechcący nie wskazał im drogi.

–Skąd wiesz o tym wszystkim? – spytał Will.

Wywiadowca pospiesznie wyjaśnił:

–Wróciłem następnego dnia, żeby dalej obserwować Tualegów. Wtedy zdałem sobie sprawę, że poprzedniego dnia natrafili na mój ślad. Potem szli za mną; odnalazłem miejsce,

w

którym natrafili na trop twoich przyjaciół. Wyczytałem ze śladów, że Tualegowie ruszyli

za

nimi. Z pewnością zaliczyli mnie do oddziału Seley el'thena. Wybacz mi. Nie wiedziałem, że sprowadzam niebezpieczeństwo na twoich towarzyszy.

Will tylko machnął ręką. Zrozumiał już, że nie Dżamil zawinił, tylko nastąpił wyjątkowo niefortunny zbieg okoliczności, inaczej mówiąc zadziałał przeklęty pech. Dżamil znalazł się tam przypadkiem i bezwiednie zapoczątkował ciąg wydarzeń, który doprowadził do pojmania Halta i reszty jego rodaków. Cóż, Halt niejednokrotnie powtarzał, że jeżeli coś może się nie udać, to z pewnością się nie uda.

–Daj spokój. Nie wiedziałeś, nie mogłeś wiedzieć – rzekł. – A czy macie jakieś przypuszczenia, co do tego, dokąd mogli ich zabrać? – pytanie skierował zarówno do Dżamila, jak i do Omara.

–Moim zdaniem prowadzą ich w stronę masywu – odpowiedział Dżamil.

Will spojrzał pytająco na Omara.

–Chodzi o duży łańcuch górski ciągnący się na północny wschód stąd. W tamtejszych dolinach znajdują się rozproszone arydzkie wioski, które Tualegowie często napadają, rabując

plony, a także bydło. Oddział liczący dwustu wojowników bez trudu zdoła opanować wioskę

–a nawet małe miasto. Istnieje możliwość, że taki właśnie jest ich zamiar, w którymś z takich

miejsz zatrzymają się na miesiąc albo dwa. Potem zaś, kiedy wyczerpią się zapasy żywności,

ruszą dalej.

Will sięgnął za koszulę i wydobył mapę otrzymaną od Selethena.

–Muszę jechać za nimi! Pokaż mi, gdzie to jest – zażądał. Ale Omar położył dłoń na jego ramieniu.

–Powoli, mój przyjacielu – powiedział. – Niczego nie wskórasz, jeśli wyruszysz na pustynię, nie wiedząc, co robić dalej. Tualegowie to niebezpieczny wróg. Muszę omówić tę sprawę z moją radą, a wówczas zobaczymy, co da się zrobić.

Will chciał się z nim spierać, lecz Omar zacisnął tylko mocniej dłoń.

–Zaufaj mi, Willu. Potrzebuję trochę czasu – zażądał.

Will ustąpił, choć niechętnie. Zwinął mapę i schował ją z powrotem.

–No cóż, dobrze – powiedział. – Zaczekam godzinę. Ale potem wyruszę.

\*\*\*

Will powrócił do miejsca, gdzie Wyrwij czekał na niego cierpliwie. Od razu poluzował popręg, żeby wierzchowiec mógł odetchnąć swobodniej przed długą drogą. Potem usiadł, opierając się plecami o pień palmy. Zamknął oczy, próbując uporządkować myśli.

W jakiś sposób będzie musiał ich uwolnić. To rzecz całkowicie jasna. Tylko jak tego dokonać? Jest sam, w obcym dla siebie kraju, a jego przyjaciele znaleźli się w rękach uzbrojonej bandy liczącej dwustu ludzi – osobników okrutnych i bezlitosnych, którzy bez wahania gotowi są poderżnąć im gardła. Jako cudzoziemiec będzie rzucał się w oczy, nie zdoła przecież niepostrzeżenie wmieszać się między arydzkich wieśniaków – o ile w ogóle uda mu się odnaleźć właściwą wioskę. Teraz uświadomił sobie, że nawet nie wie, gdzie należy podjąć trop

Tualegów. A sądząc po jego ostatnich usiłowaniach odnalezienia właściwego kierunku na pustyni, nigdy na ich ślady nie natrafi.

Zmęczony niespokojnymi myślami i upałem, zdrzemnął się. Obudził go Omar, który siadł obok chłopca na piasku i sapnął głośno.

–Omówiliśmy sprawę – oznajmił.

Will spojrział na niego. Pozbawiona wyrazu twarz aszejka nie pozwoliła się domyślić, co właściwie zostało postanowione na posiedzeniu rady.

–Czy pozwolisz Hassanowi, żeby zaprowadził mnie w to miejsce, gdzie Tualegowie pojмали moich przyjaciół? – spytał.

Omar uniósł dłoń, by go powstrzymać.

–Pozwól, że najpierw ci wszystko wytłumaczę. Oto, co powiedziałem mojej radzie: Tualegowie nie są naszymi sprzymierzeńcami. Skoro zebrali się w tak wielką bandę, można sądzić, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Niewykluczone, że napadną na naszych pobratymców – zwłaszcza zaś na tych, którzy nie są tak liczni jak my. W dodatku chodzi też o Seley el'thena. Nie podoba mi się, że go pojмали.

–Znasz Selethena? – zdziwił się Will.

–Owszem. – Aszejk skinął głową. – Walczyliśmy ramię w ramię przeciwko Tualegom. To dobry człowiek. I dzielny wojownik. A co ważniejsze, jest uczciwy – można mu zaufać. Rzecz nie do przecenienia, zwłaszcza że jest wakirem. Otóż istnieje spore prawdopodobieństwo, że jego następca nie będzie posiadał tych zalet. Przy tym wielu Arydów nie darzy nas sympatią. Uważają Bedulinów za intruzów w swoim kraju, natomiast wakir Seley el'then zawsze traktował nas dobrze. Gdyby jego miejsce zajął ktoś mniej szlachetny i uczciwy, mogłoby to się dla nas źle skończyć.

Podczas gdy aszejk wyluszczał swój pogląd na sytuację, w sercu Willa zapłonął maleńki płomyk nadziei.

–Chcesz powiedzieć, że...? – zaczął, lecz i tym razem Omar uciszył go ruchem dłoni.

–Należy przy tym wziąć pod uwagę jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze: nie jesteś tylko przypadkowym gościem Bedulinów, a kimś znacznie więcej. Uratowałeś mojego wnuka przed niechybną śmiercią. Dzielnie sprawiłeś się podczas wyścigu. Słowem, stałeś się przyjacielem Bedulinów, a my przyjaźń traktujemy poważnie.

–Mówiłeś o dwóch rzeczach – przypomniał mu Will.

Omar przemawiał z wielką godnością, niemal z namaszczeniem:

–Jak wyznał Dżamil, to za jego sprawą twoi współplemieńcy dostali się do niewoli.

Gdyby nie był tak niezdarny, gdyby należycie zatarł za sobą ślady, Tualegowie nigdy nie dowiedzieliby się o ich obecności. Jego wina, jego uchybienie, staje się uchybieniem całego plemienia. Poczucie winy ciąży na sumieniu Dżamila... i na moim własnym także.

Nadzieja, która zaświtała Willowi zaczęła przybierać realny kształt, lecz wciąż jeszcze nie śmiał uwierzyć. Ostrożnie, jak gdyby zbyt ufną mogła spowodować, że przebudzona nadzieja ulotni się i rozwieje na wietrze, zaczął:

–A więc powiadasz, że...

Nie mógł się zdobyć, żeby dokończyć zdanie. Uczynił to za niego Omar.

–Powiadam: postanowiliśmy jednogłośnie, iż odbijemy Seley el'thena oraz twoich przyjaciół z rąk Jeźdźców bez twarzy – uśmiechnął się, widząc radość i ulgę malującą się

**na**

**twary młodzieńca. – Rzecz jasna, jeśli zechcesz pojechać z nami, będziesz mile  
widzianym  
towarzyszem.**

## ROZDZIAŁ 36

Arydzkich żołnierzy rozbrojono i kazano im sięść na ziemi. Otaczało ich ponad stu tualeskich wojowników. Selethena, czworo Aralueńczyków oraz Svengala odprowadzono na bok. Związano im ręce, następnie postawiono obok nich straż. Tymczasem Yusul, wraz z dwoma przybocznymi, przechadzał się pośród siedzących na ziemi Arydów.

–Mógłbym teraz zabić was wszystkich – powiadomił ich. – Wiecie o tym. Lecz nie, okażę wam łaskę.

Halt przysłuchiwał się jego słowom.

–Doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli zacznie ich zabijać, będą się bronić – rzekł półgłosem do Evanlyn. – Co prawda Arydzi są nieuzbrojeni, ale i tak Tualegowie straciliby niejednego ze swych ludzi.

Wiedział, że wobec pewnej śmierci żołnierze broniliby się rozpaczliwie aż do końca. Jednak skoro Yusul dał im choć odrobinę nadziei, nawet jak najniklejszej, uczepią się jej kurczowo i nie stawiają oporu.

–Zatrzymam wasze konie – ciągnął Yusul – zabierzemy wam też buty. Potem możecie odejść.

Selethen szarpnął się gwałtownie, lecz natychmiast powstrzymał go tualeski strażnik.

–Mogą odejść? A niby dokąd? – wykrzyknął.

Wysoki wojownik spojrział na niego znad błękitnej maski, w jego oczach nie było ani krzty litości. Wzruszył ramionami.

–To już nie moja rzecz – odparł ostrym tonem. – Kto im kazał, żeby szli za mną przez pustynię? Ja czy ty? Jeśli zginą pośród piasków, ich krew spadnie na twoją głowę, nie moją.

Ja dam im szansę na przeżycie.

–Jaką szansę na ocalenie będą mieli bez wody? – zawołał Selethen, na co Yusul rozłożył ręce w szyderyczym geście.

–Czy ja powiedziałem, że zostawię ich bez wody? – spytał kpiącym tonem. – Rzekłem tylko, że zabiorę im buty i konie. Nie chcę, żeby ruszyli w ślad za nami. Jednak Prawo głosi,

że nie wolno nam opuścić podróżnych na pustyni, zostawiając ich bez wody. – Skinął na jednego ze swych ludzi. – Dajcie im dwa bukłaki – rozkazał.

–Dwa bukłaki dla czterdziestu ludzi, wśród których są ranni? Nie taki jest sens Prawa, a ty o tym wiesz, morderco!

Yusul wzruszył ramionami.

–W przeciwieństwie do ciebie, Seley el'thenie, nie twierdzę, bym znał wolę Boga.

Prawo powiada, że obcy na pustyni winien otrzymać wodę. Nie przypominam sobie, by określało, ile tej wody powinno być.

Selethen, nie posiadając się z gniewu, potrząsnął głową.

–Nic dziwnego, że zwą was Zapomnianymi przez Boga, Yusalu!

Na tę obelgę Tualeg wzdrygnął się, jakby smagnięto go batem. Rzucił krótki rozkaz swoim podwładnym i w tej samej chwili rozległ się szcęk dobywanego oręża. Nad głowami bezbronnych Arydów wzniosło się sto obnażonych brzeszczotów.

–A więc wybieraj, Seley el'thenie. Powiedz tylko słowo, a moi ludzie w tej samej

chwili zabiją więźniów. Czy może jednak wolisz, bym okazał im swoją litość?

Uniósł rękę, by wydać rozkaz. Selethen zacisnął szczęki, starając się zapanować nad gniewem i rozpaczą. Jeden z jego żołnierzy, młody oficer, podniósł głowę i zawołał:

–Wasza jasność, proszę się o nas nie martwić! Poradzimy sobie! Sprowadzimy pomoc i ruszymy za wami!

Yusal roześmiał się głośno.

–Dzielny młodzik! Tego chyba, tak czy inaczej, powinienem zabić. Nie byłoby dobrze, gdyby taki odważny wojownik deptał mi po piętach. – Podeszedł do młodego żołnierza

i dobył szabli. Aryda spoglądał na niego wyzywająco. – Twój wybór, Seley el'thenie – powtórzył Yusal. Selethen przygarbił się, pokonany.

–Daruj im życie – powiedział, a Yusal znów się roześmiał.

–Byłem pewien, że jednak zmienisz zdanie.

Kolejny ruch ręki i szable Tualegów wróciły do pochew. Potem pochylił się nad młodym Arydą, który odważył się przemówić. Spojrzenie jego ciemnych, okrutnych oczu, niczym ślepia drapieżnego ptaka, przewiercało młodzieńca na wskroś.

–Mocnyś w gębie, młodziku – rzekł cichym, złowrogim głosem. – Ale zaczekaj, aż język ci wyschnie i spuchnie tak bardzo, że zatka twoje gardło i ledwo będziesz mógł oddychać. Zaczekaj, aż twe stopy pokryją rany od ostrych kamieni i pęcherze od słońca. Twoje oczy oślepną od blasku, a wówczas będziesz żałował, że za sprawą twojego wodza oszczędziłem cię i że nie umarłeś tu, teraz, od razu. Możesz mi wierzyć, twój wakir nie wyświadczył ci dziś przysługi, chłopcze.

Młody żołnierz spuścił wzrok pod świdrującym spojrzeniem Yusala. Wódz Tualegów parsknął pogardliwie.

–Niech idą precz na pustynię! – krzyknął, a potem, do strażników, którzy stali wokół Halta, Selethena i pozostałych, zawołał: – Zaprowadzić tych tutaj do obozowiska!

Odwrócił się, podeszedł do swojego wierzchowca, wsiadł i odjechał, kierując się ku grzbietowi wzgórza. Nie obejrzał się już za siebie ani razu.

Strażnicy skupili się wokół niewielkiej grupki więźniów. Czterech z nich otoczyło Svengala, jeszcze dwóch stanęło za nim. Najwidoczniej po tym, jak mieli do czynienia z Erakiem, wiedzieli już, do czego może być zdolny rozwścieczony wilk morski. Nim Svengal zdołał się zorientować, jeden z nich uderzył go z całą siłą drzewcem włóczni pod kolana. Nogi Skandianina ugięły się od nieoczekiwanego ciosu, upadł na ziemię. Natychmiast czterech bandytów rzuciło się na niego i spętało mu nogi skórzanymi rzemieniami, tak żeby mógł nimi tylko powłóczyć, czyniąc małe kroczki. Potem dźwignęli go do pozycji stojącej. Spojrzał na nich wściekle, aż kipiał od gniewu – ale widok nagich kindżałów wystarczył, by go uspokoić. W tej sytuacji każda próba oporu byłaby równoznaczna z samobójstwem, a do tego Svengal się nie kwapił.

Inny ze strażników odciągnął na bok Evanlyn, oddzielając ją od towarzyszy. Horace chciał mu przeszkodzić, ale powstrzymało go potężne pchnięcie tępym końcem włóczni w brzuch. Skulił się i upadł na kolana, z trudem chwytnąc oddech.

–Ta dziewczyna jest cenną zakładniczką – ostrzegł Halt strażnika. – Yusal nie podziękuje ci, jeśli coś jej się stanie.

Bandyta rzucił mu tępe spojrzenie. W rzeczywistości interesował go wyłącznie naszyjnik Evanlyn. Pochwycił go; dziewczyna zachwiała się, gdy szarpnął ku sobie. Jednak nanizane na rzemyk kamienie nie przedstawiały żadnej wartości, ot, tylko zwykłe marmurowe kulki.

–Co mi po nich! – warknął. – Też mi klejnoty!

Pchnął ją z powrotem w stronę pozostałych, a następnie wydał krótki rozkaz. Strażnicy dosiedli koni i poprowadzili więźniów do obozu. Jeńcy mieli ręce spętane z przodu mocnymi rzemieniami; poganiani drzewcami włóczni i głośnymi przekleństwami, szli, potykając się na nierównym gruncie.

Jeden z oprawców zbliżył się do Gilana. Od strzał łuczników podczas ataku zginęło aż trzech jego przyjaciół, toteż skorzystał teraz z okazji, by się zemścić, i przy każdej okazji uderzał boleśnie zwiadowcę drzewcem włóczni w plecy i ramiona. Gdy uczynił to po raz czwarty, Gilan odwrócił się i spojrzał na niego z dziwnym uśmiechem.

–Czemu mi się tak przyglądasz, przybłądo? – zawołał gburowato oprawca, nieco zbity z tropu. Dziwne mu się wydało, żeby więzień uśmiechał się do tych, którzy go pojmali.

–Chcę cię dobrze zapamiętać, nic więcej – odpowiedział mu Gilan. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może mi się to przydać.

Drzewce znów uderzyło o jego ramiona. Zachwiał się, lecz skinął znacząco głową w stronę Tualega, nim znów zaczął piąć się pod górę.

\*\*\*

Ujrzawszy nowych więźniów prowadzonych ku niemu, Erak podniósł głowę. Ciśnięto ich bezceremonialnie na ziemię.

Jak już poprzedniej nocy zauważył śledzący Tualegów Gilan, oberjarl siedział w obozie na ziemi, przykuty łańcuchami do dwóch hałaśliwych, kapryśnych wielbłądów. Twarz miał poranioną, a na włosach ślady zakrzepłej krwi. Jedno z jego oczu było tak opuchłe, że prawie zamknięte, na plecach i ramionach widniały pręgi od bata.

–Proszę, proszę, jaka miła niespodzianka – odezwał się kpiącym tonem. – Co cię tu sprowadza, Halt?

–Przybyliśmy, aby cię uwolnić – wyjaśnił Halt, a oberjarl uniósł brwi, widząc skórzane więzy pętające jego przyjaciół.

–Dziwnie się do tego zabieracie – stwierdził. Rozpoznawszy Selethena, zmarszczył gniewnie brwi. – Wielkie dzięki, wasza jasność – mówiąc to, wymownym gestem uniósł spętane dłonie.

Selethen potrząsnął głową. I w jego głosie pobrzmiwało rozgoryczenie:

–Nie takie były moje zamiary. Straciłem wielu dobrych żołnierzy – odrzekł.

Erak jeszcze przez chwilę gniewnie na niego spoglądał, lecz w końcu uznał, że teraz Aryda znalazł się w takich samych opałach, jak i on sam, więc skinął głową, przyjmując do wiadomości słowa wakira.

–Svengal, drogi przyjacielu – zwrócił się do swego współplemieńca – kiedy prosiłem cię, żebyś zwrócił się do Aralueńczyków, trochę co innego miałem na myśli.

Svengal wzruszył ramionami.

–Spokojna głowa, dowódco. Cóż zdoła wskórać banda dwustu zbrojnych Tualegów przeciwko kilku bezbronnym i spętanym więźniom?

–No, właśnie – stwierdził sucho Erak.

Evanlyn przykłęka obok skandyjskiego wodza. Ostrożnie zbadala rany na jego glowie i spuchnieta powieke.

–Nic ci sie nie stalo, Eraku? – spytala.

–Można wytrzymać – machnal ręką. – Nigdy nie tluka na tyle mocno, zeby potem czlowiek nie dal rady isc. No i traktuja mnie tu jak honorowego gościa – garść stęchlych daktyli, troche czerstwego chleba, lyk wody, a potem spacer na sloneczku. Kto mógłby chcieć więcej?

–Wspominali cos o Toshaku? – spytal Halt.

Oblicze Eraka pociemnialo.

–Nie, nie wymieniali go po imieniu. Ale ten wieprz Yusal mowil, ze wkrótce spotkam rodaka – i chyba nie mial na mysli ciebie, Svengalu. Juz nie moge sie doczekac. Jesli tylko okazja sie nadarzy, jesli zdołam pochwyć Toshaka za gardlo, zdrajca pożaluje, ze kiedykolwiek sie urodzil. – Zerknal na Halta. – Ciekawa rzecz, ze dales sie zwabić w zasadzke. Czyzbyś sie zestarzal?

Halt uniósł brew.

–Z tego, co slyszalem, tez nie popisales sie w Al Shabah – zauwazył, na co Erak wzruszył ramionami.

–Pewnie wszyscy sie starzejemy – stwierdzil.

–Dowódcu, domyślasz sie, dokad zmierza ta banda? – zapytal Svengal.

–Nikt mnie tu nie zaprasza na narady starszozny. Wleke sie tylko za tym bydlakiem. – Wskazal tego z wielbladow, który znajdowal sie bliżej. Nawet polubiliśmy sie troche – dodal, lecz jego nienawistne spojrzenie przeczylo słowom.

–Niewykluczone, ze prowadzą nas do Masywu Polnocnego – wtracil Selethen, a Erak spojrzal nań z zaciekawieniem.

–Zdaje mi sie, ze slyszalem juz te nazwe – przyznal. – Cóz, radze wam wypoczywac, póki możecie. Jutro z pewnošcia wyruszemy, a gdy czlowiek wędruje w takim skwarze, dzien dluzy sie bez konca.

Horace podrapal sie w ucho, co bylo o tyle trudne, ze mial związane ręce.

–O której daja tu jeść? – spytal.

Erak spogladal na niego przez chwile, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Przynajmniej ty sie nie zmieniles, Horace – mruknal.



## ROZDZIAŁ 37

Will, Omar i stu dwudziestu Bedulinów przemierzało pustynię forsownym marszem.

Wstawali cztery godziny przed świtem, wędrowali jeszcze cztery godziny po wschodzie słońca, a następnie wypoczywali przez najupalniejsze godziny dnia. Późnym popołudniem, czyli kilka godzin przed zmrokiem, wyruszyli znów i jechali jeszcze długo po zapadnięciu ciemności. O ile poczucie czasu Willa nie myliło, rozkładali obozowisko na noc około godziny dziewiętej wieczorem. Jednak te dwie długie przerwy przeznaczone na wypoczynek – w połowie dnia oraz w połowie nocy – zupełnie wystarczały, by napoić oraz nakarmić konie, a także samemu odzyskać siły przed dalszą drogą.

Był to marsz rzeczywiście forsowny, lecz nie ponad możliwości wędrowców i ich koni. Przemieszczali się w stałym tempie, raczej truchtem niż klusem czy galopem. Jednak dzięki temu nie zatrzymywali się częściej, niż to było konieczne. W konsekwencji każdego dnia pokonywali znaczną odległość. Willa kusilo co prawda, by nieco przyspieszyć, bo wiedział, że Wyrwij bez trudu zniósłby także szybsze tempo, lecz zarazem zdawał sobie sprawę, że arydzkie konie, których dosiadali jego towarzysze, na dłuższą metę nie dotrzymałyby mu kroku. Tak więc obrany przez Omara rytm wędrówki stanowił doskonały kompromis między koniecznym pośpiechem z jednej strony, a niezbędną dbałością o wierzchowce – z drugiej.

Omar uznał, że przypuszczenie Dżamila co do tego, że Tualegowie zacierają w stronę jednego z miast Masywu Północnego, jest nader prawdopodobne; w rezultacie mogli podążać prostym kursem i prędzej dognać Jeźdźców bez twarzy, niż gdyby cofnęli się do miejsca, w którym rozegrała się bitwa i gdyby podążali ich śladem. Ten fakt oraz ogromne odległości, jakie pokonywali każdego dnia, znacznie zwiększały ich szanse na rychlejsze doścignięcie przeciwnika.

Will poprosił Omara i Dżamila, by pokazali mu na mapie otrzymanej od Selethena, gdzie ów masyw się znajduje. Jednak okazało się, że tego terytorium mapa już nie obejmuje. Mimo wszystko obaj Bedulini przyjrzeni się dokumentowi z wielkim zainteresowaniem,

zresztą szybko połapali się, czemu służy, choć ich plemię nigdy nie posługiwało się mapami. Nie były im potrzebne, znali bowiem pustynię na wrywki, z własnego doświadczenia i na podstawie wiedzy przekazywanej od niepamiętnych stuleci, z pokolenia na pokolenie. Rozpoznając punkty orientacyjne, zaznaczone przez Selethena, wymieniali nazwy, takie jak „Rzeka jasnych kamieni” albo „Wzgórze Alego” czy też „Koryto Rzeki Wężowej”. Niektóre z tych nazw były zrozumiałe same przez się. Tajemnica pochodzenia innych kryła się w mrokach przeszłości. Na przykład nikt nie miał pojęcia i nawet nie próbował sobie przypomnieć, kim mógł być ów Ali, a jasne kamienie, od których wzięła swą nazwę rzeka, znikły dawno temu – podobnie jak i sama rzeka, po której zostało tylko wyschnięte łóżysko.

Jako że udawali się na wyprawę wojenną, Bedulini z plemienia Khoresh pozostawili kobiety oraz dzieci w obozowisku, którego strzegło siedemdziesięciu wojowników Omara. Aszejk nie był zachwycony, bo o tylu mniej zbrojnych musiała liczyć prowadzona przez niego ekspedycja, lecz nie widział innego wyjścia – na pustyni w każdej chwili groziło takie lub inne niebezpieczeństwo, więc nie mógł sobie pozwolić, by pozostawić mniej mężczyzn dla ochrony swojego ludu.

–Cóż, nieprzyjaciel przewyższa nas liczbą – stwierdził, zwracając się do Willa.

–Lecz zupełnie się nas nie spodziewa – odparł młody zwiadowca, a aszejk przytaknął, nie

bez satysfakcji:

–Już nie mogę się doczekać niespodzianki, jaką im sprawimy.

Trzeciego dnia wędrówki kwestia przewagi liczebnej Tualegów nabrała zgoła innego wymiaru. Jeden z wywiadowców wysłanych przodem nadszedł galopem i zameldował, że wypatrzył grupę czterdziestu pieszych.

Omar, Will oraz Hassan wraz z wywiadowcą wysforowali się przed główny oddział i po trzech kilometrach ujrzeli grupę mężczyzn kryjących się przed słońcem w skrawku cienia rzucanego przez brzeg wyschniętej rzeki. Dzielili się właśnie resztkami wody z bukłaka, który pozostawił im wywiadowca.

–To Arydzi. Żołnierze – stwierdził Omar, rozpoznając ich strój. Will spostrzegł, że żaden z nich nie miał butów, lecz owinęli stopy szmatami dartymi ze zwierzchnich szat i koszul. Jeden bukłak oznaczał zaledwie łyk wody dla każdego z nich, ale młody oficer doglądał starannie, by podział był sprawiedliwy. I choć wszyscy żołnierze bliscy byli wycieńczenia, obszarpani i spragnieni, wciąż utrzymywali żelazną dyscyplinę. Will nie był pewien, ale oficer wydawał mu się znajomy. Miał mianowicie wrażenie, iż ma przed sobą jednego z ludzi Selethena.

Trzej jeźdźcy przywieźli ze sobą dodatkowe bukłaki pełne wody. Dowodzący Arydami oficer przekazał je swoim żołnierzom do podziału, a sam powitał Omara tradycyjnym gestem.

–Dzięki ci, aszejku – odezwał się. Rozpoznał godność Omara po potrójnym splocie liny z końskiego włosia podtrzymującej jego kefię. Głos oficera był ochryply, mężczyzna z trudem artykułował słowa. – Nazywam się Alum i...

Omar powstrzymał go ruchem ręki, następnie wręczył mu swój własny bukłak.

–Wpierw zaspokój pragnienie – rzekł. – Łatwiej ci będzie przemawiać.

Oficer skłonił się, po czym uniósł bukłak do ust. Nie uszedł uwagi Willa fakt, że choć arydzki żołnierz musiał być potwornie odwodniony, pił małymi łyчками, powoli – by nie obciążyć zbytnio organizmu. Siła woli, niezwykle opanowanie tego Arydy imponowało mu tym bardziej, że doskonale pamiętał, jak sam jeszcze niedawno umierał z pragnienia. Kiedy Omar go odnalazł, Will nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by wchłonąć możliwie największą ilość wody w jak najkrótszym czasie.

Tymczasem zbliżała się pora, o której zwykle aszejk Omar dawał sygnał do południowego odpoczynku. Nakazał gestem swym towarzyszom, by zsiadli z koni. Sam także zeskoczył na ziemię.

–Tu się zatrzymamy – oznajmił. – Niech tymczasem Arydzi napiją się, a potem posią.

Oficer imieniem Alum, zaspokoiwszy pierwsze pragnienie, opowiedział im o tualskiej zasadzce, zrelacjonował przebieg bitwy, która się wywiązała, a na koniec poinformował o tym, że Halta i innych wzięto do niewoli, podczas gdy on i jego ludzie zostali porzuceni przez Yusala na pustyni. Bez butów, z symbolicznym tylko zapasem wody. Stało się to dwa dni wcześniej.

–Zachowałeś przy życiu czterdziestu ludzi, mając tylko dwa bukłaki wody? I na dodatek w marszu? – zdumiał się Omar, a w jego głosie słychać było podziw.

Oficer skinął poważnie głową.

–Są dobrymi żołnierzami – stwierdził. – Potrafią utrzymać dyscyplinę, bo wiedzą, że to dla

ich dobra.

–A przede wszystkim mają dobrego oficera – dodał Will.

Najchętniej od razu wypytałby Aluma o swoich przyjaciół, widział jednak, że porucznik jest skrajnie wyczerpany, więc postanowił poczekać na stosowniejszą porę. Tymczasem oficer przyglądał mu się uważnie przez chwilę. Wreszcie rozpoznał młodego zwiadowcę. Kiedy bedulińscy wojownicy wyruszyli z oazy, Will przywdział szaty takie same jak oni – szerokie spodnie, lekką, długą koszulę i płaszcz oraz, rzecz jasna, kefię zakrywającą głowę oraz twarz. Jednak długi luk na ramieniu, a także kolczan wyróżniały go spośród pozostałych.

–Już wiem! Ty jesteś Will – stwierdził Alum. – Myśleliśmy, że dawno nie żyjesz! Will uśmiechnął się kwaśno.

–Cóż, niewiele brakowało. – Lecz uśmiech na jego twarzy zniknął, gdy spytał: – Czy moi przyjaciele są cali i zdrowi? Czy Evanlyn nic się nie stało?

Alum skinął głową.

–Kiedy odchodziliśmy, nic im nie było. Wydaje mi się, że Yusal wspominał coś o okupie. Dziewczynie nic nie grozi. Przypuszczam, że będzie chciał ją sprzedać jako niewolnicę. Cóż, poturbowanej nikt nie kupi. Mężczyzn czeka cięższy los. Spadną na nich liczne razy, to pewne.

–Też tak sędzę – zgodził się z nim Omar, po czym zwrócił się do Willa: – Nie będzie im lekko, ale też i nic tak naprawdę złego im się nie stanie. Chodzi tu o względy praktyczne, co prawda szczególnego rodzaju. Yusal nie dopuści, by któregoś z nich trwale okaleczono, bo to spowolniłoby marsz całego oddziału. Co do dziewczyny, Alum ma rację. Wszystko można zarzucić Tualegom, ale nie to, by nie pilnowali swoich interesów.

–Aszejku, czy wolno mi spytać o twe plany? – odezwał się oficer. Spoglądał w dal, gdzie widać już było nadciągający oddział Bedulinów. Dostrzegł też, że składał się on wyłącznie z wojowników, bez kobiet i dzieci.

–Podążamy w ślad za Tualegami – odpowiedział Will. – Aszejk Omar oraz jego ludzie zgodzili się dopomóc mi i ocalić moich przyjaciół.

–Oraz wakira Seley el'thena? – upewnił się oficer.

Omar potwierdził:

–Wakir z dawien dawna jest naszym przyjacielem. Nie zamierzam zostawiać go w łapskach Yusala.

Siedzieli wszyscy w wąskim paśmie cienia rzucanego przez brzeg wyschniętej rzeki. Teraz Alum dźwignął się na nogi, jego oczy zabłysły.

–W takim razie pozwól, byśmy wam towarzyszyli! – zawołał. – Moi ludzie i ja mamy rachunki do wyrównania z tymi przekłętymi Tualegami! W dodatku ja osobiście obiecałem mojemu władcy, że po niego wrócimy!

Omar zmarszczył czoło.

–Twoi ludzie są zmordowani po dwóch dniach na pustyni i na pół martwi z pragnienia – stwierdził.

Jednak nim zdążył skończyć, Alum już zawzięcie kręcił głową.

–Są silni i zdrowi, nic im nie będzie. Pozwól im tylko wypocząć przez tę noc, daj im jeść i pić do woli. Jutro rano będą gotowi do drogi, przysięgam.

–Nie macie broni – zauważył Will.

–I co z tego? – Alum nie zamierzał ustąpić. – Z pewnością wasi ludzie posiadają kilka zapasowych kindżałów. Większość Bedulinów nosi po kilka sztuk broni. A gdy zacznie się bitwa, każdy zabity Tualeg dostarczy broni jednemu z moich żołnierzy.

Will i Omar spojrzeli po sobie.

–To prawda, że dobrze by było mieć ze sobą dodatkowych czterdziestu wyszkolonych żołnierzy – stwierdził Will, choć zaraz zmarszczył brwi. – Tylko jak oni nam dotrzymają kroku? Nie mają koni – ba, nie mają nawet butów.

Jednak ten problem Omar zbył machnięciem ręki.

–Każdy z naszych koni zdoła unieść dwóch jeźdźców – stwierdził. – Jest ich tylko czterdziestu, czyli – z grubsza licząc – trzy razy mniej niż naszych. Będą się przesiadać, żeby

żaden z wierzchowców nie musiał zbyt długo dźwigać podwójnego ciężaru.

Alum pilnie przysłuchiwał się ich rozmowie, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

Teraz uniósł rękę, by się odezwać.

–Jest tylko jeden problem – powiedział. – Cztery moi ludzie są ranni. Nieśliśmy ich.

Nie są w stanie podróżować ani tym bardziej walczyć.

Omar zastanowił się przez chwilę. W rzeczy samej, chętnie przyjąłby tych wojowników pod swe skrzydła, zwłaszcza że wiedział, iż arydzcy żołnierze z pewnością dobrze się sprawią. Tak, tę kwestię łatwo da się rozwiązać.

–Dwaj z moich ludzi zostaną, by się nimi zająć – oznajmił. – Zostawimy im też trochę wody, jednak nie mamy jej na zbyciu zbyt wiele. Natomiast dzień drogi stąd na wschód,

jadąc

korytem tej rzeki, znajduje się zagłębienie, na dnie którego można wykopać wodę.

Starczy jej

bez trudu dla sześciu ludzi. Tak, tak będzie najlepiej: jeden z moich Bedulinów pojedzie po wodę a drugi zostanie tutaj, z rannymi. Jeśli nam się powiedzie, w drodze powrotnej zabierzemy ich wszystkich ze sobą.

Zastanawiał się nad swoimi słowami przez chwilę lub dwie, po czym skinął głową. To prawda, stracą nieco czasu, który w normalnej sytuacji poświęciliby na dalszą wędrówkę -czyli popołudnie i wieczór. W rezultacie dotrą do celu o pięć godzin później. Poza tym osłabi swój oddział o dwóch wojowników. Jednak w zamian zyska trzydziestu sześciu doskonale wyszkolonych żołnierzy. Mało tego, żołnierzy, którzy mają z Tualegami na pieńku. Korzystna zamiana! – pomyślał.

–Postanawiam, iż tu rozłożymy obozowisko na resztę dzisiejszego dnia i na całą noc – oświadczył. – Twój ludzie dostaną jeść oraz tyle wody, ile im trzeba. Powiedz im, żeby byli gotowi wyruszyć cztery godziny przed świtem. Alum skłonił się. – Będą gotowi – zapewnił.

## ROZDZIAŁ 38

Ponad ich głowami piętrzyła się bryła Masywu Północnego, zza kolejnych łańcuchów spadzistych wzgórz wylaniał się górujący płaskowyż. Nie wędrowali już przez otwartą pustynię, lecz wąską ścieżką pieli się pod górę pośród skalistych zboczy i ścian. Na wysokości około stu pięćdziesięciu metrów powyżej poziomu równiny znajdowała się płaska kotlina otoczona urwiskami. Wznosiło się tam miasteczko Maashava.

Arydzy wieśniacy, którzy uprawiali ziemię u stóp masywu i dalej, na równinach, w owym miasteczku wymieniali zebrane plony na inne dobra lub brzęczącą monetę. Maashavę zamieszkiwało około pięciuset mieszkańców, lecz w dni targowe ściągало tam niemal drugie tyle rolników i pasterzy z pobliskich wiosek.

Dla Tualegów Maashava stanowiła idealną tymczasową kryjówkę – jako miejscowość na tyle duża, że mogła zapewnić całej bandzie schronienie, a ich wierzchowcom spyżę; mogli też mieć pewność, że także dla nich samych nie zabraknie żywności – ani zapasów zgromadzonych w miejskich magazynach, ani pochodzącej ze zbiorów przywożonych na targ przez wieśniaków.

Wiele tutejszych budynków wyglądało tak samo, jak we wszystkich innych arydzkich miasteczkach – pomalowane na białe proste parterowe budowle z glinianej cegły, o płaskich dachach – na wewnętrznych dziedzińcach domostw mieszkańcy mogli rozkoszować się chłodem pod koniec dnia, a w porze największych skwarów spali tam pod gołym niebem. Jednak, oprócz ceglanych zabudowań, w Maashavie znajdowały się też prastare siedziby wykute w skalnym urwisku. Schody wiodące do ich wnętrza wydeptały niezliczone stopy tubylców od stuleci zmierzających tam i z powrotem. Większości z grot używano teraz jako magazynów na żywność oraz inne dobra, lecz niektóre wciąż pozostawały zamieszkałe. Gdy strażnicy wprowadzili więźniów do miasta, Halt dostrzegł, iż jeszcze wiele skalnych siedzib tętni życiem: kobiety obarczone dzbanami z wodą wspinały się po schodach lub drewnianych drabinach prowadzących do wejść położonych wyżej, z wykutych w skale otworów snuły się smużki dymu. Tu i ówdzie na sterczących długich drągach suszyło się pranie, powiewające w gorącym, suchym powietrzu jak sztandary poruszane delikatnymi muśnięciami wiatru.

Więźniowie mieli za sobą trzy dni mozolnej wędrówki. Wleczono ich za związane z przodu ręce, na długich linach umocowanych do końskich siodła, musieli więc niezdarnie truchtać, by dotrzymać kroku jeźdźcom. Gdy któryś upadł – czego nie dało się uniknąć, ponieważ trudno utrzymać równowagę, trzymając ręce wciąż wyciągnięte przed siebie – natychmiast otaczali go jeźdźcy, grożąc żeleźcami włóczni lub szturchając bezlitośnie drzewcami.

Już zresztą po kilku kilometrach Halt spostrzegł, że jeźdźcy dosiadający koni, do których więźniowie zostali uwiązani, szczególnie często zmieniali tempo lub kierunek, specjalnie po to, by jeńców powalić na ziemię.

Oszczędzono tej szykany tylko Evanlyn. Jak trafnie przewidywał Omar, Tualegowie uznali ją za towar zbyt cenny, by narażać go na uszkodzenie, toteż księżniczce darowano brutalne traktowanie. Jechała konno, choć także ze związanymi rękami, a jej wierzchowca prowadził jeden z tualeskich wojowników, dający cały czas baczenie, czy dziewczyna przypadkiem nie zechce spróbować ucieczki.

Najgorzej działo się obu zwiadowcom. Tualegowie gardzili nimi jak wszystkimi cudzoziemcami, lecz tych „przybłędów” darzyli szczególną nienawiścią z racji spustoszeń, jakie poczynili w ich szeregach podczas ataku na arydzki oddział. Zdumiewająca celność ich

strzał tylko potęgowała tę niechęć, a prawie każdy z Tualegów miał przynajmniej jednego przyjaciela, który legł, ugodzony morderczym grotem. Długie luki, które odebrano Haltowi i Gilanowi, jednoznacznie wskazywały winowajców.

W rezultacie, gdy dotarli wreszcie do Maashavy, obaj byli porządnie poturbowani i posiniaczeni. Lewy policzek Halta wyglądał jak jedna wielka fioletowa plama, a za sprawą tualeskiej pięści oko z tej samej strony ledwie spoglądało przez wąską szparkę. Gilan krwawił obficie z rany na głowie zadanej pałą; włosy oraz twarz pokrywała zakrzepła krew.

Wszystko to miało tę jedną względnie dobrą stronę, że odwróciło uwagę oprawców od dotychczasowej ofiary – czyli Eraka. Oberjarla i Svengala w zasadzie zostawiono w spokoju, choć i im od czasu do czasu dostawało się drzewcami włóczni, zwłaszcza jeśli zdarzało się komuś upaść. Selethena także traktowano na ogół dobrze, albowiem Yusal doskonale zdawał sobie sprawę, jak cennym zakładnikiem jest wakir, podczas gdy co do Aralueńczyków nie miał pewności, czy uda mu się za nich uzyskać jakikolwiek okup.

Horace, silny, sprawny i wytrzymały, dawał strażnikom najmniej sposobności do pastwienia się nad nim, choć zdarzyło się raz, że rozzłoszczony Tualeg, kiedy Horace nie zrozumiał jego rozkazu, by paść na kolana, ciał młodego rycerza kindżałem w twarz,

pozostawiając na policzku cienką, krwawą kreskę. Rana okazała się wprawdzie powierzchowna, lecz gdy Evanlyn zajęła się nią wieczorem tego dnia, Horace bezwstydnie udawał, że cierpi bardziej, niż w istocie miało to miejsce. W gruncie rzeczy był zachwycony, że jego ranę opatruje księżniczka we własnej osobie. Halt i Gilan, zmęczeni i potłuczeni, przyglądali się, jak dziewczyna obmywa policzek walecznego młodzieńca, a potem osusza ranę. Horace dał pokaz wyśmienitego aktorstwa, udając, że bohaterstwo znosi straszliwe doprawdy cierpienie. Halt pokręcił głową z dezaprobatą.

–Co za symulant – mruknął do Gilana.

Młodszy zwiadowca przytaknął:

–Otóż to. Całkiem, jakby go wzięli na męki, prawda? – urwał, po czym dodał z niejakim ubolewaniem: – Szkoda, że nie wpadłem wcześniej na ten sam pomysł.

Zdrowe oko Halta zmierzyło go od stóp do głów. Mruczając coś pod nosem, siwowłosy zwiadowca odszedł kilka kroków, oburzony postawą swojego dawnego ucznia.

–Ech, ci młodzi! – rzekł do Eraka. – Wydaje im się, że ładna twarzyczka wyleczy wszystkie bolączki.

–Niektórzy z nas jeszcze pamiętają dawne piękne czasy, Halt – odpowiedział mu ze złośliwym uśmiechem Erak.

–Domyślam się jednak, że dla takiego starego wyjadacza jak ty, to już zamierzchła przeszłość. Svengal wspominał mi, żeś się ustatkował. Rozumiem, że jakaś pulchna matrona skorzystała z ostatniej w swym życiu szansy, by wyjść za mąż i usidliła siwobrodego starca, he?

Rzecz jasna, Erak dowiedział się też od Svengala, że Halt poślubił niedawno prawdziwą piękność. Nie zamierzał jednak przepuścić nadarzającej się okazji, by rubasznie zażartować ze swego towarzysza. Jednookie spojrzenie Halta spiorunowało teraz z kolei oberjarla.

–Radzę ci, byś po naszym powrocie nie powtarzał, że wyobrazileś sobie Pauline jako pulchną matronę, zwłaszcza jeśli mogłaby to usłyszeć. Trzeba ci wiedzieć, że moja żona bardzo sprawnie posługuje się sztyletem, który zawsze trzyma przy sobie, a ty przecież naprawdę potrzebujesz uszu, bo inaczej ten śmieszny hełm spadłby ci na oczy.

Teraz jednak żaden z więźniów nie był w nastroju do żartów. Po całym dniu męczącej wędrówki, ledwo powłócząc nogami, dotarli do Maashavy. Mieszkańcy arydzkiego miasteczka spoglądali obojętnie na nowo przybyłych. Mało obchodził ich los jeńców, bo mieli własne zmartwienia. Najazd Tualegów na miasto oznaczał, że o ile nawet ujdą z życiem, grozi im głód – pozostaną bez grosza i bez zapasów żywności. Trzeba będzie całych lat, żeby nadrobić poniesione straty.

Słońce zapadło już za szczyty gór, więc miasto pogrążyło się w cieniu. Więźniów poprowadzono przez główny plac targowy do jednej z wydrążonych w urwisku jaskiń. Dopiero wtedy odczepiono ich od końskich siodeł i rozwiązano ręce.

–Wygląda na to, że dotarliśmy do celu – stwierdził Halt, rozcierając nadgarstki.

Jeden z Tualegów zaklął szpetnie i kazał mu milczeć.

Więźniów wepchnięto do pustego magazynu, przed wejściem postawiono straż. Po kilku minutach dostarczono żywność, wodę i koce. Następnie drzwi zatrzasnęły się, usłyszeli zgrzyt zamka. Zostali sami.

–Ciekawe, co dalej? – zastanowił się Gilan na głos.

\*\*\*

Nie musiał czekać długo. Minęła niespełna godzina, gdy usłyszeli brzęk kluczy i drzwi znów się otwały. Teraz na zewnątrz było już całkiem ciemno, a wewnątrz jaskini oświetlała tylko jedna słaba świeczka. Ujrzeni w jej świetle rosłą, barczystą postać. Mężczyzna przecisnął się przez wąskie drzwi; musiał zrobić to bokiem, bo w przeciwnym razie po prostu by się nie zmieścił. Podeszedł ku nim, na środek obszernego pomieszczenia, w którym się znajdowali. Towarzyszyło mu kilku zbrojnych Tualegów, którzy trzymali dłonie na rękojeściach szabel i spoglądali groźnie, gotowi krwawo stłumić wszelką próbę oporu ze strony więźniów. Na końcu do jaskini wszedł także Yusal. Jednak żaden z więźniów nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy spoglądali na potężnie zbudowanego brodatego Skandianina, który jako pierwszy wkroczył do ich więzienia.

–Toshak! – zawołał Svengal. Chciał powstać w gniewie z wysypanej piaskiem podłogi jaskini, ale natychmiast trzech Tualegów dobyło szabel. Od ścian jaskini odbił się echem szczęk stali. Erak błyskawicznym ruchem pochwycił Svengala za ramię i zmusił go, by ten usiadł z powrotem.

–Spokojnie, Svengalu – rzekł. – Nie pojmujesz, że trzeba mu tylko pretekstu, żeby cię zabić?

–Zgadłeś, Eraku – odparł renegat. Jego głos brzmiał zaskakująco dźwięcznie – zwłaszcza jak na Skandianina, bowiem większość jego rodaków, jako żeglarze, nawykła do przekrzykiwania wiatrów i burz.

Toshak dał strażnikom znak, by schowali broń. Szable wróciły do pochew.

Yusal, którego twarz nadal zakrywała błękitna zasłona, bez mrugnięcia okiem śledził rozgrywkę między tymi dwoma wielkoludami, spoglądając to na jednego, to na drugiego. Jak jastrząb, pomyślał Halt. Albo nie, poprawił się, raczej jak sęp.

–No cóż, Toshaku, pokazałeś się nareszcie. Tak właśnie przypuszczałem, że właśnie ty okażesz się tchórzliwym zdrajcą, który wszystko uknuł.

Głos Eraka pozostał spokojny, opanowany, ale oberjarl nie mógł dorównać w tym

względnie swojemu przeciwnikowi.

Toshak odpowiedział z uśmiechem:

–Przyznaję, oberjarlu – zgadłeś. Tylko że każdy jest mądry po szkodzie. Lepiej by ci się wiodło, gdybyś tak zdumiewającą przenikliwość okazał nieco wcześniej. Kto wie, może uniknąłbyś mojej pułapki. Nie trzeba na to wielkiego rozumu, żeby powiedzieć: „od początku wiedziałem, że to ty”, skoro właśnie wszedłem. Prawda?

–Wiedziałem, nie wiedziałem, co to ma za znaczenie? Liczy się jedno – okazałeś się zdrajcą. I zasługujesz na śmierć.

–Zapewne, zapewne. Lecz kogo jedni zwać zdrajcą, inni wkrótce nazwać mogą swoim władcą. Zaś co się tyczy śmierci, zdaje mi się, że raczej ty jesteś jej bliższy.

–Tylko że w razie jego śmierci stracisz pieniądze z okupu – przerwał mu Halt.

Spojrzał na tualeskiego przywódcę. – A co na to twój towarzysz broni? Yusalu, zamierzasz wyzbyć się lekką ręką sześćdziesięciu tysięcy srebrnych rojali?

Tualeg postąpił ku niemu, jego oczy płonęły od gniewu. Stał przed zwiadowcą i spojrzał z góry na niższego od siebie mężczyznę. Szturchnął palcem Halta w pierś.

–Ty... – rzekł z naciskiem. – Ty nie będziesz nazywał mnie Yusalem! Masz mówić do mnie „aszejku Yusalu” albo „wasza jasność”. Zrozumiałeś mnie, bezczelny przybłędo? Halt przekrzywił głowę na bok, jakby rozważał pytanie, choć było ono czysto retoryczne.

–Zrozumiałem jedno – rzekł – a mianowicie, że nijakiej jasności, którą potrafiłbym w tobie dostrzec, nie roztaczasz. Natomiast, o ile się nie mylę, tytuł aszejka wiąże się z szacunkiem – a jakim szacunkiem można darzyć kogoś, kto jak niewiasta tchórzliwie kryje

twarz za niebieską woalką?

W oczach Yusala zapaliła się teraz zimna furia. Halt obserwował uważnie spojrzenie Tualega. Zawsze patrzył w oczy przeciwnika – tym bardziej, że reszta twarzy Yusala pozostawała zakryta.

Był gotów, kiedy Yusal zamachnął się pięścią. Odchylił się z lekka w prawo, więc cios chybił celu. Yusal, który spodziewał się, że uderzenie natrafi na opór, zachwiał się i omal nie przewrócił od rozmachu. Nieprzytomny ze wściekłości, podszedł bliżej i chciał uderzyć znów, ale Toshak uniósł rękę, powstrzymując go.

–Zaczekaj! – zawołał. Przyjrzał się uważniej Haltowi, studiując badawczo jego opuchniętą, posiniaczoną twarz. – Jesteś zwiadowcą, prawda? Halt. Tak masz na imię!

Teraz

pamiętam, słyszałem o tobie niejedno. Trzy lata temu siałeś zamęt w Skandii, a obecnie znalazłeś się tutaj. Nie ma takiego kraju, w którym byś nie próbował knuć. Domyślam się, że

ten drugi też był z tobą w naszej krainie? – Wskazał palcem Gilana. W rzeczywistości

Toshak

nigdy nie widział ani Halta, ani tego drugiego. Wiedział tylko, że owego czasu w Skandii Haltowi towarzyszył młodszy pomocnik.

–No, właściwie... – zaczął Gilan, ale Halt przerwał mu:

–Owszem. I co z tego? – rzucił wzgardliwym tonem. Gilan spojrzał na niego, trochę zdziwiony, ale nie odezwał się więcej.



Toshak zwrócił się teraz do Yusala:

–To są ci lucznicy? Ci, którzy położyli trupem tak wielu twoich ludzi? – upewnił się. Tualeg przytaknął.

–Moi ludzie od razu chcieli ich zabić. Ale kto wie, może dostanę za nich okup. Toshak potrząsnął głową.

–Nikt nie zapłaci, żeby ich odzyskać – stwierdził. – Zwiadowcy aralueńskiego króla są zniechęceni nawet we własnym kraju. A przy tym niebezpieczni. Lepiej uśmiercić ich jak najprędzej.

–Ja za nich zapłacę okup! – W ciszy, która zaległa, rozległ się głos Evanlyn. – Jestem... Dobrze, co tu kryć: jestem przedstawicielką króla Duncana, mam wszelkie pełnomocnictwa. Ci ludzie są cenionymi doradcami monarchy, więc bez trudu uzyskacie za nich wysoki okup - szczególnie, jeśli ja wam w tym dopomogę.

Toshak przyjrzał się jej ciekawie. Jak już wspominaliśmy, nie było go w Hallasholmie podczas wojny z Temudzeinami. Słyszał jednak wiele opowieści o wydarzeniach, które wówczas się rozegrały, a niebagatelną rolę w nich odegrała młoda dziewczyna, przybyła podobnie jak zwiadowcy z Araluenu. Rzeczywiście, wszystko wskazywało, że pannica – jeśli była to ta sama – jest kimś znacznym na aralueńskim dworze. Wzruszył ramionami. Nieważne, kim jest lub była, liczyło się tylko to, co znaleziono pośród jej rzeczy.

–Zaiste, zrobisz, jak powiedziałaś. Tak czy inaczej. Zabijemy ich, czy nie – i tak zapłacisz, ile trzeba.

Evanlyn otworzyła usta, by zaprzeczyć, lecz nie odezwała się, bo zobaczyła, co skandyjski zdrajca trzyma w ręce: ścisnął w palcach list gwarancyjny Rady Sylezjańskiej.

–Bez pieczęci ten świstek nic nie jest wart – oświadczyła.

–Ale przecież wiesz, gdzie taką pieczęć można znaleźć, prawda? – odparł na to Toshak.

Evanlyn nie odpowiedziała nic, nie ufając własnemu głosowi, tylko bez mrugnięcia okiem wytrzymała jego spojrzenie. Tuż przed tym, jak się poddali, ukryła pieczęć pod występem skalnym w kotlinie. Teraz okazało się, że postąpiła słusznie.

Toshak skinął głową, milczenie dziewczyny potwierdziło jego przypuszczenia. Zwrócił się do Yusala:

–Aszejku Yusalu, w jaki sposób postąpiłbyś, aby przekonać tę młodą osobę, żeby zechciała odnaleźć pieczęć, która tak niefortunnie gdzieś się zapodziała?

Oczy Yusala zwęziły się, a zasłona na twarzy drgnęła. Evanlyn zdała sobie sprawę, że wódz Tualegów się uśmiecha. Yusal obserwował uważnie swych więźniów przez całą drogę do Maashavy, toteż nie uszła jego uwagi zażyłość między dziewczyną i młodym rycerzem. Wskazał palcem Horace'a.

–Jeśli zaczniemy obdzierać ze skóry tego tutaj, to myślę, że ona prędko sobie przypomni – stwierdził i zaśmiał się. Zabrzmiało to wyjątkowo paskudnie.

Evanlyn zamarła. Zdawała sobie sprawę, że torturowania przyjaciół nie zniesie. Nie wytrzyma, jeśli złączą katować Horace'a. Ale jeśli zdradzi, gdzie ukryła pieczęć, straci ostatni argument przetargowy. Wówczas wszyscy więźniowie niechybnie zginą.

–Toshaku? – zagadnął Svengal niewinnym głosem. Skandyjski renegat spojrzał nań pytająco, unosząc brwi. Svengal dokończył: – Słuchaj, a może byśmy spróbowali się w

zapasach? Ot tak, dla zabawy.

–Dla zabawy? – zdziwił się Toshak.

Svengal uśmiechnął się radośnie.

–Tak jest. Myślę, że byłby doprawdy świetny ubaw, gdybym ci urwał ten wstrętny łeb.

Tobie i twojemu koleźce z długim nosem oraz niebieskim pyskiem! – Ostatnie słowa wyrzucił z siebie nienawistnym, zjadliwym tonem, spoglądając złowieszczo na Yusala. Toshak skrzywił się.

–Trzeba było trzymać gębę na kłódkę, Svengalu. Kto wie, może pozwoliłbym ci żyć. Ale teraz, skoro sam mnie przekonałeś, że to zły pomysł, cóż... – urwał i spojrzał po twarzach wpatrzonych w niego więźniów. Wskazał Selethena. – Wakir zostanie uwolniony, kiedy wpłynie za niego okup. Może to niesprawiedliwe, ale nic do niego nie mam. Natomiast mam, i to sporo, do Eraka oraz Svengala, toteż muszą umrzeć. Podobnie jak obydwaj zwiadowcy. – Spojrzał na Horace'a. – Ciebie będziemy obdzierać ze skóry, a ta młoda dama zapłaci nam mnóstwo pieniędzy za to, żeby nie słuchać twoich wrzasków. – Uśmiechnął się szyderczo. –

Czy nikogo nie pominąłem? Nie? No cóż, w takim razie życzę wam milej nocy, spędzonej na rozmyślaniach o tym, co was czeka.

Uśmiech znikł bez śladu. Skinął głową na Yusala i obaj odwrócili się do wyjścia. W następnej chwili wódz Tualegów udając, że o czymś sobie przypominał, zatrzymał się. Uniósł lewą rękę, jakby chciał prosić wszystkich jeszcze o chwilę uwagi i podszedł do więźniów.

–Pozostał tylko jeden drobiazg – powiedział, po czym rzucił krótki rozkaz swoim strażnikom. Dwaj z nich pochwycili Halta za ramiona, pchnęli go do przodu i w dół, aż upadł

na kolana przed Yusalem.

Tualeski aszejk zamachnął się i trzasnął zaciśniętą pięścią w twarz Halta, potem drugi i trzeci raz, na przemian prawą i lewą ręką. Uderzał i uderzał, bił tak długo, aż całe oblicze zwiadowcy zalało się krwią, a głowa opadła bezwładnie na bok. Toshak przyglądał się tym jatkom z niejakim rozbawieniem. Erak chciał zaprotestować, postąpił krok do przodu, lecz ostrze szabli wymierzone w brzuch skutecznie go powstrzymało. Wreszcie Yusal przestał. Cofnął się, zdyszany.

–Puścić go – rozkazał ludziom trzymającym Halta. Na pół przytomny zwiadowca runął twarzą w piach.

–Proszę, proszę – zauważył Toshak. – Nasz przyjaciel stał się nagle wyjątkowo małowówny. Nie masz już więcej żadnych uwag? – zwrócił się do skulonej na ziemi postaci.

Yusal zaśmiał się krótko. Obaj wreszcie wyszli z jaskini. Strażnicy podążyli za nimi. Nie odwracali się tyłem do więźniów i nie spuszczaali dłoni z rękojeści szabel. Drzwi zatrzęsnęły się. Zapadła cisza, w której rozległ się jeszcze zgrzyt zasuw.

Gilan przypadł natychmiast do skatowanego towarzysza. Uklęknął przy starszym zwiadowcy. Odwrócił go ostrożnie na plecy. W następnej chwili obok pojawiła się Evanlyn. Horace podał im bukłak z wodą. Delikatnie zaczęli obmywać twarz Halta z krwi i piasku.

Horace był zaniepokojony nie na żarty. Nigdy dotąd nie widział, by ktoś zdołał pokonać Halta. Halta, który zawsze panował nad sytuacją. Który zawsze wiedział, co zrobić.

–Obawiam się, że wpadliśmy na dobre – stwierdził.

W następnej chwili Halt poruszył się i podniósł rękę, próbując się podnieść. Evanlyn powstrzymała go. Zrezygnował, ale przemówił, głosem chrapliwym i zduszonym.

–A jednak o czymś zapomnieli – wydobyły się słowa z opuchniętych ust.

Więżniowie spojrzeli po sobie. W obecnym położeniu dopatrywać się jeszcze jakiejś nadziei...? Zdjął ich lęk, że zwiadowca bredzi w malignie.

–Tak, Halt? O czym zapomnieli? – spytała Evanlyn, tak jak pyta się chorego, by go nie drażnić.

Halt wyczuł ten ton w jej głosie i zgromił ją spojrzeniem. Potem rzekł głośniej: – Will. Przecież Will gdzieś tam jest...

## ROZDZIAŁ 39

Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetlały pomalowane na białe domy Maashavy, gdy Will i Omar dotarli wreszcie na szczyt wzgórza, z którego rozciągał się widok na miasto.

Wspinali się na nie przez kilka godzin w ciemnościach, z początku podążając wąskimi ścieżkami, wydeptanymi przez kozy i ich pasterzy, z dala od głównego traktu, po czym skręcili w bok, aż znaleźli się na czubku wzniesienia, z którego mogli bez przeszkód obserwować poczynania mieszkańców miasteczka.

Teraz, gdy rozjaśniło się już na dobre, mogli przyjrzeć się Maashavie. Z trzech stron miścinę otoczono niskim murem, czwartej strzegło urwisko. Wzdłuż owego muru postawiono wieże strażnicze, lecz nie widać było na nich nikogo. Will zwrócił na to uwagę Omara, który pogardliwie wzruszył ramionami.

–Mieszczanie są zbyt leniwi, żeby wystawić strażę, a Tualegowie sądzą, że w promieniu setek kilometrów nie ma żadnych wrogów.

Dym palonych w mieście ogni wznosił się ku niebu. Z aromatem płonącego drewna mieszał się jeszcze inny – który pobudził apetyt Willa: w kuchniach całego miasta parzono właśnie poranną kawę. Mężczyźni i kobiety wędrowali krętą drogą prowadzącą z miasta ku niżej położonym równinom oraz ku uprawnym tarasom umiejscowionym na zboczach gór. Will wskazał w kierunku gościńca i pytająco uniósł brwi.

–To wieśniacy. Pracują na roli – rzekł Omar w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie. – Na równinach rośnie kukurydza i zboże, a na tarasach sadzą drzewka owocowe i jarzyny.

W Maashavie wody było pod dostatkiem. Czerpano ją z licznych studni sięgających do podwodnego strumienia płynącego przez góry. Rurami i kanałami woda spływała na tarasy i pola uprawne. Stworzono tutaj cały złożony system nawadniania, jakiego Will jeszcze nigdy nie widział – niezwykle zwłaszcza w suchym, jałowym kraju.

–Kto to wszystko zbudował? – zdumiał się.

Omar rozłożył ręce.

–Tego nie wie nikt. Tarasy i akwedukty istnieją od setek, może od tysięcy lat. Arydzi tylko odnaleźli to miejsce i odbudowali miasto.

–Ci wieśniacy są dla nas szansą – stwierdził Will; Omar zerknął na niego, ale nic nie powiedział. – Skoro tak wielu z nich opuszcza codziennie miasteczko, a potem wraca odpoczywać w domu, możemy niepostrzeżenie wprowadzić do Maashavy także naszych ludzi. O ile będą poruszać się pojedynczo czy dwójkami, to sądzę, że w jeden dzień uda nam się przemycić pięćdziesięciu ludzi.

–A co dalej? – spytał Omar.

–Mogliby nawiązać kontakt z mieszkańcami miasta, ci zaś pomogliby im się ukryć. Jestem pewien, że mieszkańcy Maashavy jak najserdeczniej powitają każdego, kto im pomoże raz na zawsze pozbyć się Tualegów.

Omar nie podzielał przekonania młodego zwiadowcy.

–Nie każdego przyjmą z otwartymi ramionami. Nie moich ludzi – stwierdził. – Od razu stwierdzą, że to obcy i nie będą im ufać. Niewykluczone nawet, że wydadzą ich Tualegom.

–Ale dlaczego? – Will tak się zdziwił, że przez zapomnienie aż podniósł głos, więc Omar gwałtownym ruchem dał mu znak, żeby się uciszył. W górach głos niesie się daleko. – Wybacz –

ciągnął Will szeptem – ale dlaczego mieliby was zdradzić? Przecież jesteście mieszkańcami tego samego kraju, czyż nie?

Bedulin potrząsnął głową.

–Owszem, zamieszkujemy ten sam kraj, lecz należymy do odrębnych plemion. My jesteście Bedulinami. Oni – Arydami. Inaczej wymawiamy słowa, inne są nasze obyczaje. Najogólniej rzecz biorąc, Bedulini nie ufają Arydom, zresztą z wzajemnością – Arydzi nie dowierzają Bedulinom. A gdy którykolwiek z moich ludzi choćby otworzy usta, natychmiast rozpoznają w nim Bedulina.

–Przecież to śmieszne – mruknął Will. Myśl, że ludzi mogą skutecznie dzielić tak nieistotne, tak niewielkie różnice, wydała mu się pozbawiona sensu, wręcz absurdalna.

Omar jednak tylko wzruszył ramionami.

–Może i śmieszne, ale fakty pozostają faktami.

Will przyglądał się leżącemu poniżej miastu i ludziom, którzy coraz liczniej wylegali na ulice. Przygryzł w zamyśleniu wargę.

–No, tak, ale przecież posłałeś tam zeszłej nocy swojego człowieka? – spytał.

Omar skinął głową. Rzeczywiście, jeden z bedulińskich wywiadowców przekradł się po zapadnięciu zmroku przez mur. Miał spędzić dzień w mieście i powrócić do obozowiska także pod osłoną nocy.

–To tylko jeden człowiek. Łatwo pojedynczemu wywiadowcy przemknąć niepostrzeżenie – zwłaszcza, gdy się nie odzywa, a tylko słucha. Nie możemy jednak mieć nadziei, że uda nam się przemycić w ten sposób aż pięćdziesięciu ludzi. Ktoś prędzej lub później usłyszy, jak przemawiają, i rozpozna obcych.

Uznał, że nie ma po co dalej roztrząsać tej sprawy, więc zmienił temat. Wskazał dłonią jeden z otworów w ścianie urwiska. W przeciwieństwie do innych, których drzwi stały otworem, by wpuścić do środka rześkie poranne powietrze, te zamknięto na ciężkie żelazne antaby. Wejścia strzegło kilkunastu tualeskich wojowników.

–Pewnie w tamtym magazynie trzymają twoich przyjaciół.

Will osłonił oczy dłońmi, by lepiej przyjrzeć się wejściu do jaskini.

–Wygląda na to, że masz rację – zastanawiał się przez chwilę. – Ciekawe, czy jest jakiś sposób, żeby ich stamtąd wydobyć.

Omar potrząsnął głową.

–Nawet gdyby udało ci się dotrzeć niepostrzeżenie do magazynu wraz z tyloma ludźmi, ilu trzeba, żeby pokonać strażników, nie udałoby się tego dokonać po cichu. Powrót przez miasto zmienilby się niechybnie w krwawą jatkę.

Spojrzenie Willa powędrowało wyżej, ku stromym zboczom wznoszącym się nad miastem.

–A może daloby się zejść od góry? A potem wrócić tą samą drogą.

Omar rozważył i ten pomysł.

–Dać, to by się dało. Tylko musielibyśmy mieć do tego celu liny. Całe mnóstwo lin. A nie mamy ani jednej – stwierdził.

Will skinął głową.

–W takim razie najlepiej będzie poczekać, aż wyprowadzą Halta i innych z więzienia - rzekł właściwie sam do siebie.

–Przypuszczam, że jeśli się na to zdecydują, uczynią tak tylko z jednego powodu -

zauważył Omar – a mianowicie, żeby poprowadzić ich na egzekucję.

Will, nim odezwał się, spoglądał na Omara przez chwilę w milczeniu.

–No, pięknie. To mi dopiero pociecha – westchnął.

\*\*\* Yusal przywłaszczył sobie na własny użytek największy i najwygodniejszy dom w mieście. Była to siedziba przewodniczącego tutejszej starszyny, którego wraz z rodziną zmusił do usługiwania sobie i swojej straży przybocznej. Starzec oraz jego żona drżeli ze strachu przed nomadzkim wodzem o zasłoniętej twarzy, co Yusalowi sprawiało niemalą przyjemność. Uwielbiał wzbudzać lęk w sercach, kochał poniżać takich ludzi, unicestwiając ich godność, depreczując autorytet – a tego właśnie dokonywał, każąc im wykonywać najczarniejszą robotę, jak zwykłym niewolnikom. Zadowolony z siebie Yusal rozciągnął się wygodnie na stosie miękkich poduszek w głównym pomieszczeniu domu.

Właściciel dopiero co przeszedł i pozapalał lampki olejne oraz świece, bowiem zaczynało się już ściemniać. Yusal domagał się, by było ich jak najwięcej, dwa albo i trzy razy tyle, ile naprawdę trzeba do oświetlenia tego pokoju. W tak oddalonym od reszty świata mieście oliwa i świece zaliczały się do towarów drogich, nielato dostępnych. Oczywista rozrzutność budziła zgrozę starca – widoczną, a przez to także dostarczającą Yusalowi niemałej satysfakcji. W ciągu kilku tygodni Yusal zmarnotrawi tyle materiałów oświetleniowych, ile ktoś inny zużyłby przez trzy miesiące. Co to jednak mogło obchodzić tualeskiego wodza? Gdy oliwa, świece i żywność się skończą, pojedzie dalej.

Teraz weszła kobieta, która przyniosła kawę. Jak tego wcześniej zażądał, upadła na kolana, podając kubek. Wziął od niej naczynie, następnie wpił w kobietę spojrzenie groźnych oczu, aż spuściła głowę. Dopiero wtedy uniósł zasłaniający usta błękitny woal i skosztował napoju. Odepchnął niewiastę butem, tak że przewróciła się na glinianą podłogę.

–Za słaba! – warknął.

Cały czas z odwróconą twarzą, kobieta wypelzła na czworakach z pokoju. Szybko nauczyła się, że nie wolno jej patrzeć na twarz Tualega podczas jedzenia i picia, kiedy jego błękitny woal pozostaje uniesiony. Gdy za pierwszym razem zbyt opieszale odwróciła spojrzenie, kazał ją bezlitośnie wychłostać.

W rzeczywistości kawie nic nie brakowało. Gospodyni domu była wyborną kucharką, zresztą wszystkie arydzkie kobiety już w dzieciństwie uczyły się parzyć smaczną kawę. Yusal znalazł po prostu pierwszy lepszy pretekst, by okazać swoją wyższość.

Jednak jego dobry nastrój ulotnił się, gdy drzwi wejściowe domu uchyliły się i stanął w nich Toshak.

Zgodnie z wymogami etykiety, ten niewychowany dzikus powinien był poczekać, aż zostanie zapowiedziany, a potem dopuszczony przed oblicze aszejka. Yusal rzucił więc ordynusowi gniewne spojrzenie, pospiesznie zakrywając zasłoną usta i nos.

–Dlaczego wchodzisz nieproszony? – spytał. – Powinieneś poczekać na pozwolenie, żeby wejść.

Toshak machnął niedbale ręką.

–Dobrze, dobrze. Następnym razem będę pamiętał – rzekł tonem, który jednoznacznie dał Yusalowi do zrozumienia, że mało dba o takie ceremonie. – Powiedz mi – dodał ciekawie –

czy ty kiedykolwiek zdejmujesz zasłonę z twarzy?

Wchodząc, dostrzegł szybki ruch, ale nie był pewien, co właściwie się wydarzyło. Niebieski woal noszony przez tualeskiego wodza intrygował Toshaka. Spośród wszystkich swych współplemieńców tylko Yusal zawsze miał zasłonięte oblicze.

–Owszem – uciał krótko Yusal tonem, po którym Toshak zorientował się, że niczego więcej na ten temat się nie dowie. W istocie rzeczy nie istniała żadna konkretna przyczyna,

dla której Yusal nieustannie krył twarz za zasłoną. Niektórzy przypuszczali, iż został kiedyś

potwornie okaleczony; inni twierdzili wręcz, że nie posiada ludzkiego oblicza. Nosił woal, by

podsycać tego rodzaju pogłoski i trzymać swe otoczenie w niepewności. Dzięki temu prostemu wybiegowi roztaczał wokół siebie aurę złowrogiej tajemniczości, która potęgowała

lęk, jaki budził.

Widząc, że Yusal nie zamierza więcej rozprawiać na temat zasłony, Toshak przeszedł do wyjaśnienia właściwego celu swoich odwiedzin. Z kieszeni kamizeli wyjął mały przedmiot i rzucił go aszejkowi.

–Zobacz, co tu mam – powiedział. – Posłałem kilku ludzi, żeby przeszukali miejsce po obozowisku cudzoziemców. No i opłaciło się, bo znaleźli coś, co bardzo nam się przyda.

Yusal przyjrzał się trzymanemu w ręce przedmiotowi. Było to małe puzderko, a w nim pieczęć należąca do Evanlyn.

–Przyszło mi do głowy, że przecież z pewnością dziewczyna trzymała ją przy sobie, tymczasem w jej rzeczach pieczęci nie znaleźliśmy. Pozostawała więc tylko jedna możliwość:

ukryła ją gdzieś, nim się poddali. Tam nie ma zbyt wielu kryjówek, więc zguba znalazła się prawie od razu.

Pod swym welonem Yusal uśmiechnął się z niemalą satysfakcją. Tak dobra wiadomość sprawiła, że postanowił wybaczyć przybyszowi z Północy nieokrzesanie.

–Doskonale. Miałeś świetny pomysł – stwierdził.

–Teraz sami sobie możemy wystawić ten weksel – powiedział Toshak. – Na sześćdziesiąt sześć tysięcy rojali.

–Po trzydzieści trzy tysiące dla każdego – szepnął Tualeg, smakując każde słowo i bogactwo, jakie oznaczały. Jednak, ku jego zaskoczeniu, Toshak potrząsnął głową.

–Nie. Sześćdziesiąt sześć tysięcy dla ciebie – oznajmił. – Nie chcę z nich ani jednego rojala. Powiedzmy, że to tytułem odszkodowania dla ciebie.

–Odszkodowania? Ale za co? Co chcesz, żebym zrobił? – spytał Yusal. Nie spodziewał się, by ktoś chciał oddać za nic tak ogromną sumę. Jednak Toshak uważał, że jego

żądanie jest tyle warte. Wybiorą go oberjarlem, za to warto zaś zapłacić trzydzieści trzy tysiące rojali.

–Zapomnij o okupach – rzekł Toshak. – Chcę, żeby wszyscy więźniowie umarli.

Zaskoczony Yusal otworzył szeroko oczy.

–Wszyscy? Co do jednego? Skandianin skinął głową.

Yusal zamyślił się. Tak, z pewnością, Seley el'then wart jest немало. Lecz bez wątpienia nie sześćdziesiąt sześć tysięcy i nawet nie trzydzieści trzy tysiące rojali. A przy tym w ciągu ostatnich lat wakir mocno dał się Yusalowi we znaki. O ileż piękniejszy stanie się świat bez niego. Istniała też spora szansa, że następca obecnego wakira nie będzie tak gorliwie ścigał Tualegów za rozboje.

Tak, pomyślał, śmierć Seley el'thena oznacza małą stratę, a duży zysk. Co do Skandian i młodego Aralueńczyka, nie miał żadnych zastrzeżeń. Jednak szkoda byłoby uśmiercić dziewczynę.

–Dlaczego dziewczyna? – spytał. – Za nią na targu niewolników można by dużo dostać.

–Chcę, żeby zginęli wszyscy, bo sprawę trzeba załatwić do końca. Ta dziewczyna - wyjaśnił Toshak – ma duże wpływy na aralueńskim dworze, a Aralueńczycy są przyjaciółmi Eraka. Niewolnikom zdarza się uciekać, bywa też, że się ich odsprzedaje. Nie mam ochoty, żeby zaczęły krążyć pogłoski, iż to za moją sprawą Erak zniknął. Tymczasem, jeśli dziewczyna nie będzie żyć, nikomu o tym nie opowie.

Yusal w zamyśleniu pokiwał głową. Owszem, takie rozumowanie nie było pozbawione sensu. Prawdopodobieństwo, że dziewczyna któregoś dnia ucieknie i trafi w jakiś sposób z powrotem do Araluenu, uznawał wprawdzie za nader nikle, lecz nie tak było to zupełnie i do końca wykluczone. Jako żywo, w podobnych sytuacjach lepiej mieć całkowitą pewność. A przy okazji, zbiorowa egzekucja będzie dobrą lekcją dla mieszkańców Maashavy. Tak jak błękitna zasłona, przyczyni się do wzmożenia atmosfery grozy towarzyszącej Yusalowi.

–No, niech będzie – rzekł po chwili. – Ale jeśli mamy uśmiercić ich wszystkich, zróbmy to z rozmachem. Urządźmy taką egzekucję, by głośno się o niej stało w całej Arydii.

Toshak wzruszył ramionami.

–Jak sobie życzysz – stwierdził. – Jeśli chcesz zrobić z tego przedstawienie, proszę bardzo. O ile tylko przy tej okazji pozbędziemy się ich wszystkich, nie mam nic przeciwko temu.



## ROZDZIAŁ 40

–Zabiją ich – zabiją ich wszystkich? – Will nie był w stanie uwierzyć. Wrócił wraz z Omarem do bedulińskiego obozowiska w ślepym kanionie na północ od Maashavy.

Sharik, beduliński szpieg, który spędził dzień w obrębie walących się murów Maashavy, potwierdził raz jeszcze:

–Rozповідаją o tym wszem i wobec wszyscy Tualegowie, których widziałem.

Widać, że chcą z egzekucji zrobić wielkie wydarzenie.

Omar w zamyśleniu ściągnął wargi.

–Tego właśnie można było się spodziewać po Yusalu – rzekł.

Will zwrócił ku niemu pełne zgrozy spojrzenie.

–Ale przecież twierdziłeś, że będzie chciał na nich jak najwięcej zarobić. Ze chodzi mu przede wszystkim o zysk! – zawołał, na co Omar wzruszył ramionami.

–Zazwyczaj – tak. Lecz może ten człowiek, który jak powiadasz, zwie się Toshak, zaoferował mu coś w zamian.

Sharik wspomniał słówko o Skandianinie zadającym się z Tualegami – którego Yusal traktował jak równego sobie. Will nie miał wątpliwości, że chodzi o Toshaka. Jeszcze w Araluenie, wiele tygodni wcześniej, Svengal wyjawiał im, że właśnie jego Erak podejrzewa o zdradę.

Omar tłumaczył dalej:

–Yusal uwielbia okazywać, jaki potrafi być bezlitosny. Zyskuje sobie w ten sposób posłuch wśród przyszłych ofiar. O wielkiej zbiorowej egzekucji wszyscy będą pamiętać całymi latami. Wieści rozejdą się, postać Yusala będzie wzbudzać jeszcze większy lęk.

Czyli,

kiedy znów zechce opanować jakieś miasto czy wioskę, napotka co najwyżej słaby opór.

Will zastanawiał się gorączkowo. Co takiego Toshak zdołał zaproponować Tualegowi, żeby skłonić go do rezygnacji z okupu? Zdał sobie sprawę, że istnieje tylko jedna rozsądna odpowiedź.

–Musiał znaleźć list gwarancyjny i pieczęć Evanlyn – rzekł, właściwie do siebie. Omar i Sharik popatrzyli na niego ciekawie.

–List? – spytał Omar; Will opowiedział mu pokrótce historię okupu, jaki miał być zapłacony za Eraka. Beduliński wódz skinął głową.

–Całkiem prawdopodobne. Takiej sumy starczyłoby aż nadto, by przekonać Yusala. Will spojrział znów na Sharika.

–Udało ci się wywiedzieć, kiedy zamierzają dokonać egzekucji?

–W sobotę – odparł szpieg. – Uroczyste egzekucje urząda się zwykle między dziewiątą a dziesiątą godziną.

Sobota, szósty dzień tygodnia, była w tym kraju dniem wolnym od pracy, niejako wstępem do niedzieli, kiedy odbywano rytuały religijne. W sobotę kupcy rozstawiali swe kramy na rynku, by sprzedawać żywność oraz inne dobra, dla pozostałych nastawał dzień wypoczynku i zabawy. Przynajmniej wtedy, pomyślał Will, kiedy w mieście nie przebywali koczowniczy rozbójnicy.

–W takim razie zostały nam dwa dni – stwierdził Will. Nagle coś przyszło mu do głowy: – Czy w związku z tym odwołają targ?

Omar potrząsnął głową.

–Skądże znowu. Z punktu widzenia Yusala im więcej ludzi obejrzy egzekucję, tym lepiej.

Will potarł dłonią brodę, myśląc intensywnie.

–Dla nas to nawet dobrze – mruknął. – Im więcej bowiem ściągnie ludzi, tym łatwiej przyjdzie nam wmieszać się w tłum.

–Przecież już ci tłumaczyłem – przerwał Omar. – Moi ludzie, gdy tylko się odezwą, natychmiast zostaną rozpoznani jako obcy.

–Twoi, tak – odparł Will. – Ale czyżbyś zapomniał o trzydziestu sześciu arydzkich żołnierzach, którzy zjawili się z nami? – Dostrzegł w oczach Omara błysk zrozumienia. Teraz mówił szybko w miarę, jak plan kształtował się w jego myślach. – Moglibyśmy urządzić to tak, że każdemu z Arydów towarzyszyłby jeden z twoich ludzi. Przedostaną się do miasta razem z wieśniakami przywożącymi towary na targ. Część z nich przekradnie się jeszcze wcześniej, nocą. Niech się odzywają tylko Arydzi, wówczas mieszkańcy miasteczka nie rozpoznają bedulińskiego akcentu. Tym sposobem zgromadzimy w Maashavie siedemdziesięciu ludzi!

–To się może udać – przyznał Omar. – Dobrze się spisaleś, Shariku – rzekł, zdawszy sobie sprawę, że wywiadowca jest zmęczony oraz że nie ma potrzeby dłużej trzymać go na nogach. – Idź, pożyw się, wypocznij. – Spojrzał na siedzącego opodal Hassana, który z uwagą przysłuchiwał się rozmowie. – Poszukaj arydzkiego oficera – rozkazał – i sprowadź go tu zaraz.

\*\*\*

Gdy przedstawili plan Alumowi, od razu na niego przystał. Obiecał przecież Seletenowi, że wraz ze swymi żołnierzami przetrwa na pustyni i wróca po wakira, aby go ocalić. Teraz nadarzała się sposobność, by spełnić przyrzeczenie.

Co więcej, nie mógł się już doczekać, kiedy stanie znów twarzą w twarz z Yusalem -tym razem trzymając broń w ręku. Uświadomił sobie jednak, że Will i Omar pominęli jeden szczegół. Wskazał kefię aszejka.

–Będziecie musieli się przebrać – stwierdził. – Wszyscy twoi ludzie noszą nakrycia głowy w żółtą kratę, a mieszkańcy Maashavy używają kefiu białych, bez żadnych ozdób.

Uwaga z gruntu słuszna. Bedulini tak przywykli do chust służących im za nakrycie głowy, że zapomnieli o tym małym szczególe. W każdym razie Omar, który do tej chwili nie uwzględnił w przemyśleniach ważnego drobiazgu, teraz skrzywił się, niezadowolony.

–Sporządzimy białe kefie – stwierdził. – Możemy zrobić je z płaszczy – przecież białej tkaniny mamy pod dostatkiem.

–Myślę, że ty powinieneś udać się do miasta jeszcze w nocy – rzekł Will do Aluma. – Pójdę z tobą. Muszę rozejrzeć się i znaleźć odpowiednie miejsce, z którego będę strzelał. Jeżeli ktoś zbyt szybko się nami zainteresuje, twoja w tym głowa, aby zbyć natręta.

–Może nawet zdołasz go przekonać, żeby nie stał bezczynnie, kiedy zacznie się walka – zaproponował oschle Omar, na co Alum potrząsnął głową.

–Wątpię – rzekł. – Ludzie z miasta nie kiwną palcem, żeby się bronić. Bo na prowincji przedstawiciele władz powszechnie darzeni są niechęcią. Dla tutejszych porządna egzekucja oznacza mile widzianą rozrywkę.

–Sam widzisz – powiedział Omar, zwracając się do Willa. Słowa Aluma potwierdziły to, co rankiem mówił młodemu zwiadowcy o mieszkańcach Maashavy. – A gdzie ja powinienem się

znajdować? – spytał. Nieświadomie zdał się pod tym względem na cudzoziemca. Omar, jako pustynny wojownik, czuł się doskonale, walcząc na otwartej przestrzeni, miał w małym palcu taktykę szybkich podjazdów stosowaną przez konne oddziały zbrojnych. Natomiast gdy przyszło do planowania walki w mieście, nie bardzo wiedział, jak się do sprawy zabrać. Miał wrażenie, że młody cudzoziemiec lepiej sobie poradzi z rozgryzieniem problemu, bo wyraźnie przecież wiedział, o czym mówi.

–Gdy damy ci sygnał, wprowadzisz resztę naszych sił do miasteczka. – Will czubkiem saksy szybko naszkicował orientacyjną mapkę na piasku. – Na północ od zabudowań miejskich znajduje się płytki żleb, widzieliśmy go dziś rano – spojrzał na Omara; aszejk skinął głową. – W nocy ukryjemy tam naszych ludzi. To jakieś siedemdziesiąt metrów od bram Maashavy. Zaczekamy, aż wyprowadzą Halta i pozostałych... – urwał, po czym spojrzał na Aluma. – Jak to się zazwyczaj odbywa? Wyprowadzają wszystkich naraz, czy pojedynczo?

–Wszyscy wychodzą razem – odrzekł Alum. – Wyprowadza się skazańców na krótko przed dziewiątą.

–A tak przy okazji – spytał Will – w jaki sposób zamierzają przeprowadzić egzekucję? Przez powieszenie?

Omar potrząsnął głową.

–Tutaj nie ma takiego zwyczaju. Do zglądzenia skazańców używa się miecza. Yusal z pewnością każe ich ścinać.

Na twarde słowa aszejka Willa przeszedł zimny dreszcz. Wyobraził sobie straszliwy widok: Halta, Horace'a, Gilana i Evanlyn klęczących przed katowskim mieczem. Evanlyn! Na samą myśl aż poczuł skurcz w żołądku. Oddech Willa przyspieszył, chłopak zamknął oczy, starając się odpędzić złowrogą wizję. Co się zdarzy, jeśli zawiodę? – przemknęło mu przez głowę. Nie potrafił uwolnić się od tej myśli.

Poczuł, że ktoś chwycił go mocno za rękę. Otworzył oczy. Omar pochylił się w stronę młodego zwiadowcy.

–Nie pozwolimy, by do tego doszło – zapewnił.

W jego głosie pobrzmiwała pewność i przekonanie tak silne, że nagły paniczny lęk, który ogarnął Willa, ustąpił. Odetchnął głębiej, uspokoił się. Z wdzięcznością skinął głową pustynnemu wojownikowi. Omar zrozumiał, że młodzieniec odzyskał pewność siebie i cofnął dłoń.

–Czy wymyśliłeś już, jakie miejsce zajmiesz? – spytał. Will skinął głową.

–Chyba na którejś z wież strażniczych przy północnym murze.

Chodziło mu o stanowisko, z którego miałby dobry widok na rynek, gdzie Tualegowie zamierzali przeprowadzić egzekucję. Najlepiej być wysoko, czatując w takim położeniu, żeby nic nie znalazło się na linii strzał. Należało się spodziewać, że Yusal zgromadzi swoich ludzi wokół miejsca, gdzie zaplanował kaźń. Ani się przecież spodziewa ataku z odległości stu metrów.

–Dobra myśl – pochwalił Omar. Obaj z Alumem spoglądali ciekawie na młodzieńca.

Omar miał już okazję przekonać się o celności strzałów Willa. Alum oglądał w akcji Halta i Gilana. Jeśli ten młody zwiadowca jest choć w połowie tak dobry, jak jego towarzysze, będzie na co popatrzeć, stwierdził w myśli.

–Chcesz więc ustrzelić Yusala? – spytał Alum. Prawdę mówiąc, sam miał nadzieję rozprawić się z tualeskim wodzem. Lecz w gruncie rzeczy nie miałby nic przeciwko temu,

gdyby Yusal zakosztował grotu strzały. Will w zamysleniu przygryzł dolną wargę, spoglądając na naszkicowany przez siebie plan miasta.

–Być może – rzekł. – Jednak przede wszystkim zajmę się katem. Nie zamierzam pozwolić, by zbliżył się do moich przyjaciół. Chciałbym, żeby nasi ludzie wmieszali się w tłum, jak najbliżej miejsca egzekucji. Kiedy uśmiercę kata, zwiążą walką Tualegów do momentu, kiedy nadciągnie Omar. Ja będę osłaniał Halta i pozostałych na wypadek, gdyby ktoś inny zechciał ich skrzywdzić. Jeśli Yusal nadal pozostanie gdzieś w pobliżu, postaram się go dopaść.

–Musimy ustalić jakiś sygnał, żebym wiedział, kiedy rozpocząć atak – zauważył Omar.

–Jeden z moich ludzi to trębacz – odpowiedział Alum. – Tualegowie nie odebrali mu instrumentu. Gdy tylko zobaczy, że Will uporał się z katem, odegra sygnał.

–Doskonale – stwierdził Will. – Teraz jeszcze kilka detali. Obserwuj uważnie wieżę. Kiedy spostrzeżesz, że jestem na szczycie, zacznij wyprowadzać ludzi z ukrycia. Wtedy już nikt nie będzie patrzył w tamtą stronę. I mieszczanie, i Tualegowie zgromadzą się na placu targowym.

–Wyśmienicie.

Wszyscy trzej zdali sobie nagle sprawę, że wciąż wpatrują się w mapę wyrysowaną na piasku, choć przeszli już do roztrząsania szczegółów planu. Planu, który zdawał się względnie prosty, co było jego niewątpliwą zaletą, jak stwierdził Will. Prosty plan zawsze ma większe szanse powodzenia, jako że mniej w nim niuansów, o które wszystko może się rozbić.

Omar podniósł głowę i przyjrzał się krytycznie twarzy młodzieńca.

–Jeżeli chcesz tam się wybrać wcześniej, chyba trzeba jednak nieco przyczernić ci twarz – stwierdził.

Ujął oblicze Willa kciukiem oraz palcem wskazującym, po czym skierował je raz w jedną, drugi raz w przeciwną stronę, przyglądając się twarzy zwiadowcy w świetle księżyca. W trakcie pobytu w Arydzie Will opalił się, lecz jego skóra w żadnej mierze nie zyskała tak ciemnej karnacji, jak twarze przeciętnych mieszkańców tego kraju. Ciemne włosy i oczy nie wyróżniały go jakoś szczególnie, co innego jasna cera.

–Posmarujemy ją fusami z kafay, a skóra zaraz ściemnieje – rzekł po namyśle, po czym dodał z uśmiechem: – Szkoda, że twój nos nie jest większy.

Will zaśmiał się cicho, przypomniawszy sobie, jak mimo woli obraził pochylonego nad sobą Omara, kiedy ten odnalazł go na pustyni.

–Kapitanie, czas, żebyś już powiadomił swoich żołnierzy. Ja tymczasem wybiorę trzydziestu sześciu moich najlepszych wojowników, którzy pójdą razem z nimi. Jutro utworzymy pary, więc ludzie przed atakiem będą mogli zaznajomić się ze sobą.

Alum miał już wstać, ale coś go powstrzymało:

–Kapitanie? – spytał. – Jestem tylko porucznikiem.

Omar machnął ręką.

–Właśnie cię awansowałem. Być może będziesz musiał wystąpić wobec mieszczan z pozycji autorytetu, a kto by słuchał jakiegoś tam porucznika?

Alum uśmiechnął się na to.

–Święta prawda – rzekł z ubolewaniem w głosie. – Niestety.

## ROZDZIAŁ 41

Przez cały dzień więźniowie słyszeli stukot młotków. Zdali sobie sprawę, że Tualegowie budują na rynku jakąś drewnianą konstrukcję.

Lub też, ściślej mówiąc, zmusili do jej wybudowania arydzkich mieszkańców miasta, sami zaś stali tylko i przyglądali im się z bronią w ręku, pilnując, by robota szła żwawo. Jednak potężne drzwi wciąż pozostawały zamknięte i zaryglowane, toteż więźniowie nie mogli wiedzieć, co się szykuje na placu. Ciekawość nie dawała jednak Gilanowi spokoju. Zapewne w normalnych okolicznościach nie przysłuchiwałby się z takim zapamiętaniem tajemniczym odgłosom. Ale gdy tkwili beczynnie całymi godzinami w starym magazynie, Gilan nie miał czym zająć umysłu. Tak więc kwestia, co też ich prześladowcy postanowili zbudować, trapiła go nieustannie.

–Uspokój się – poprosił Halt, chyba już dziesiąty raz. Młody zwiadowca przechadzał się po jaskini. Rozpierała go energia, której nie mógł dać ujścia.

–Nie potrafię się uspokoić – odpowiedział. – Chcę wiedzieć, co oni wymyślili. –

Zatrzymał się obok swego dawnego nauczyciela. Spoglądał teraz na niego z góry. – Nie wydaje ci się, że oni coś knują? – spytał.

Halt wzruszył ramionami.

–Jestem pewien, że tak. Ale ponieważ nie znam żadnego sposobu, żeby to sprawdzić – nie zamierzam zawracać sobie głowy.

Gilan rozejrzał się po mrocznym wnętrzu, szukając wsparcia. Erak i Svengal siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, zajęci nader skomplikowaną skandyjską odmianą gry w kości. Grali oczywiście na pieniądze – wyimaginowane, bo nie mieli przy sobie ani grosza.

–Czy was to nie niepokoi? – spytał Gilan. Erak podniósł na niego wzrok i machnął ręką.

–Pewnie budują stragany na rynku – stwierdził. Gilan nie zamierzał dać za wygraną.

–Pewnie? I taki byle domysł wam wystarcza?

Erak zastanowił się przez chwilę nad całą kwestią, po czym skinął głową.

–Tak – odparł po prostu.

Gilan rozłożył ręce, bezradny wobec muru obojętności.

–A nie wolelibyście wiedzieć na pewno, co to takiego?

–Nie.

Erak rzeczywiście przypuszczał, że na placu budowane są stragany, bo co innego? A zresztą, nie miał teraz czasu się nad głupstwami zastanawiać. Musiał wciąż przeliczać w myśli sumy, które przegrywał i wygrywał ze Svengalem w kości. Należało dobrze się pilnować i zachować przytomność umysłu, bowiem Svengal od czasu do czasu zdradzał niejaką tendencję do zapominania niektórych kwot – co ciekawe, wyłącznie swoich przegranych.

–Według mnie, wygrałem od ciebie jak dotąd siedemnaście tysięcy trzysta koron -oznajmił Erak swojemu zastępcy.

–Zgadza się. Ja natomiast wygrałem od ciebie siedemnaście tysięcy dwieście koron -odparł natychmiast Svengal.

Erak zmarszczył brwi.

–Jesteś pewien, że wygrałeś aż tyle?

–Całkowicie – zapewnił go Svengal.

No cóż, Svengal oczywiście się nie mylił, ale zawsze lepiej spróbować, na wypadek, gdyby

jednak zapomniał o tych czterystu koronach, które wygrał tuż przed tym, jak dostarczono im południowy posiłek. Niestety, nic z tego.

– Tym samym jesteś mi winny dwieście koron – rzekł oberjarl niewinnym tonem.

Sięgnął po kości, lecz powstrzymał go zbolący wyraz twarzy Svengala.

– Eraku, wiem, że z dawien dawna oberjarlowie łupią swoich poddanych. Ale czy nie zechciałbyś czynić tego jak zawsze, za pomocą podatków, a nie szachrajskich wyliczeń? – spytał. – Choćbyś nie wiem jak wylał ze skóry, siedemnaście tysięcy trzysta minus siedemnaście tysięcy dwieście, to zaledwie sto koron i ani jednej więcej.

– A, no tak, rzeczywiście – zgodził się Erak, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z pomyłki. Svengal parsknął tylko w odpowiedzi i wyciągnął dłoń po kości, które jego władca trzymał w dłoni.

– A poza tym teraz moja kolej. Nie twoja – stwierdził.

– No, tak. Rzeczywiście – powtórzy Erak. Svengal westchnął ciężko, wznosząc oczy ku niebu, odebrał oberjarlowi kości i potrząsnął nimi, przygotowując się do rzutu.

– Poza tym, jeszcze jedno... – zaczął Gilan.

– Jeszcze? Ratunku – jęknął głucho Halt.

Gilan nawet na niego nie spojrział, tylko gadał dalej:

– Tak, jeszcze jedno – powiedział. – Czy zauważyliście, jak dziwnie patrzą na nas nasi strażnicy? Kiedy przynoszą nam jedzenie, to jakby... uśmiechali się pod nosem.

– Zapewne są pogodni z natury – zasugerował rozwiązanie Halt. Gilan potrząsnął głową.

– Nie, oni sobie z nas kpią. Coś tu się kroi. Czuję to.

– Drogi przyjacielu – wtrącił Selethen. – Po co tracić czas na próżne rozważania?

Odpręż się.

Jednak słowa Selethena nie trafiły Gilanowi do przekonania.

– Chcę być gotów na wszystko, co ma się zdarzyć – oświadczył. Evanlyn przyjrzała mu się krytycznie.

– Jak możesz być na coś gotów, skoro nie wiesz, o co w ogóle chodzi?

– Chcę być gotów na cokolwiek – oświadczył młody zwiadowca.

– Czyli dokładnie tak samo, jakbyś nie był gotów na nic – mruknął do siebie Halt, choć postarał się uczynić to wystarczająco głośno, by Gilan go usłyszał.

Jego młodszy towarzysz już zaczerpnął tchu, by odpowiedzieć, kiedy ich uwagę odwrócił zgrzyt klucza w zamku. Wielkie drzwi otworzyły się z irytującym skrzypieniem przerdzewiałych zawiasów i do środka weszło dwóch strażników, niosąc wieczorny posiłek. Na zewnątrz zapadał już zmierzch. Ponieważ miasto położone było u stóp masywu górskiego ciągnącego się po zachodniej stronie, pogrążało się w cieniu gór, podczas gdy na równinach o tej samej porze panował jeszcze dzień.

Pamiętając, co mówił Gilan, Evanlyn przyglądała się uważniej niż zwykle strażnikom, którzy dostarczyli im zimną kawę, podplomyki oraz garść daktyli. Jeden z nich zauważył uważne spojrzenie księżniczki i wyszczerzył do niej zęby. Tak – pomyślała – Gilan ma słuszość. Nie jest to bynajmniej przyjazny uśmiech, a raczej coś na kształt „wiem o czymś bardzo dla was niemiłym, a wy nie wiecie!”.

Podejrzanie od razu potwierdził jego gest – uniósł kciuk do szyi i przesunął po niej szybkim ruchem, co bez najmniejszej wątpliwości miało oznaczać podrzynanie gardła. A

**następnie przewrócił oczami w parodii śmiertelnego grymasu.**

**Ani strażnicy, ani pozostali więźniowie nie zauważyli, że Horace przesunął się bliżej otwartych drzwi, tak żeby móc wyjrzeć przez nie na zewnątrz. Dopiero kierując się do wyjścia, strażnicy spostrzegli go i brutalnie pchnęli w kierunku towarzyszy.**

**–Nie podoba mi się to wszystko – stwierdziła Evanlyn zatroskanym tonem.**

**Horace wahał się przez chwilę, ale potem doszedł do wniosku, że jego towarzysze niedoli mają prawo wiedzieć, co zobaczył.**

**–Spodoba ci się jeszcze mniej, kiedy dowiesz się, co tam budują. To coś w rodzaju podium czy platformy, która wznosi się około dwóch metrów nad ziemię i prowadzą na nią stopnie.**

**–Czyli coś na kształt sceny? – domyślił się Erak. – Może zamierzają urządzić jakieś przedstawienie?**

**–Raczej egzekucję – stwierdził Horace.**

**\*\*\***

**Will i Alum dołączyli do korowodu wieśniaków udających się do miasteczka. Rzecz jasna w bramie stali tualescy strażnicy, lecz nie zwracali uwagi na przechodzących obok arydzkich wyrobników. Od niepamiętnych czasów Tualegowie napadali na miasta oraz wsie położone w odleglejszych od stolicy okolicach kraju i nigdy nie napotkali prawdziwego oporu. Pilnowali się zawsze, by pozostawić ich mieszkańcom akurat tyle żywności, by ograbieni zdołali jakoś przeżyć i dojść do siebie po odejściu grabieżców. Zazwyczaj nie powracali do takiej miejscowości przez kilka lat po jej spustoszeniu. W rezultacie arydzka ludność pogodziła się z losem, uznając sporadyczne napaści za jeszcze jedną niedogodność życia na odludziu, rzecz zwyczajną – z pewnością nader niemiłą, lecz też i niewartą narażania życia. Tualescy bandyci mogli więc czuć się bezpiecznie.**

**W otaczającym ich tłumie Will rozpoznał co najmniej trzech arydzkich żołnierzy, a także towarzyszących im bedulińskich wojowników. Spojrzał na Aluma, ten również ich dostrzegł.**

**–Rozejrzyjmy się za jakąś gospodą – rzekł półgłosem. – Zaczynają mnie boleć plecy.**

**Obaj dźwigali wielkie pęki drewna na opał. Całe popołudnie spędzili na zbieraniu chrustu w okolicznych wąwozach i jarach. W przeciwieństwie do nagiej pustyni, zbocza Masywu Północnego porastały wyschnięte o tej porze roku krzaki. Podziemne strumienie dostarczały niezbędnej ilości wody, która umożliwiała roślinności wegetację.**

**Zebrane drewno stanowiło coś na kształt ich przepustki. Po pierwsze, bez trudu mogli je sprzedać właścicielowi którejś z gospód lub oberży w mieście albo dostać za nie nocleg. Tutaj opał zawsze był potrzebny, toteż nie bez racji spodziewali się, że powitani zostaną jako mile widziani goście. Chrust pomógł dodatkowo zamaskować cudzoziemski wygląd Willa, kiedy przekraczali strzeżoną przez Tualegów bramę. Nic dziwnego, że ktoś dźwigający taki ciężar szedł przygarbiony, z opuszczoną głową – a jego twarz pozostawała praktycznie niewidoczna.**

**Wiązki chrustu pełniły jeszcze jedną pożyteczną rolę: wewnątrz tej, którą dźwigał na swych plecach, Will schował luk oraz kołczan ze strzałami. Alum w swojej ukrył szablę.**

**Przeszli przez plac targowy. Will spoglądał kątem oka na okazałych rozmiarów podium, wznoszące się w jego zachodnim krańcu. Bez trudu dawało się domyślić, w jakim celu je wzniesiono.**

**–Wygląda na to, że są gotowi – szepnęła, na co Alum skinął głową.**

–Znikajmy stąd co prędzej. Na placu zbytnio rzucamy się w oczy.

Dali nura w jedną z wąskich uliczek prowadzących od rynku, oddalając się od złowrogiego szafotu. Żaden z przybyszów nie miał pojęcia, dokąd dojdą, ale zdawali sobie sprawę, że nie wolno im rozglądać się na wszystkie strony, bowiem od razu wydałoby się, że nie znają miasta. Szli więc pewnym krokiem, jakby zmierzając do określonego celu. Po jakimś czasie kręta uliczka zaczęła piąć się nieco w górę, zgodnie z naturalnym nachyleniem terenu.

Poczuł, że Alum pociągnął go za rękaw. Spojrzał w stronę, którą wskazał mu arydzki porucznik.

W bocznej uliczce wznosił się piętrowy budynek, większy od pozostałych. Nad drzwiami w poprzek ulicy wisiał szyld, na którym dostrzegli wyblakłe arydzkie litery.

–To gospoda – powiedział Alum i ruszył w stronę budynku.

Już wcześniej postanowili, że ci z Arydów i Bedulinów, którzy zdołają znaleźć dla siebie miejsce, spędzą najbliższą noc w jednym z takich przybytków. Rzecz jasna, w miasteczku nie było takich przybytków dość, żeby pomieścić aż siedemdziesięciu ludzi. Co więcej, mogłoby się wydać podejrzane, gdyby pod dachem zajazdów zaczęło naraz szukać schronienia bardzo wielu obcych. Szczęśliwie, w miasteczkach targowych, takich jak Maashava, by zapewnić prowizoryczną osłonę mniej zamożnym przybyszom, na domach stojących przy rynku rozpinano płócienne markizy. Właśnie pod nimi miała spędzić noc część bedulińskich oraz arydzkich wojowników, którzy przekradli się do miasta.

Dzięki temu zyskiwano też pewność, że żołnierze nie poblądzą w obcym mieście, a następnego ranka od razu staną w gotowości bojowej na placu. Tymczasem Alum i Will pragnęli być jak najbliżej muru obronnego i jednej z wież strażniczych, którą Will obrał sobie za pozycję strzelecką.

Obok głównego budynku gospody znajdowała się przylegająca do niego stajnia. Weszli tam i zrzucili z grzbietów ciężkie wiązki chrustu. Szybko ukryli broń w żłobie do

połowy wypełnionym starym sianem. W stajni stało niewiele zwierząt – tylko dwa konie i wynędzniały osioł. Czworonogi zerknęły na nich z umiarkowanym zainteresowaniem i zaraz powróciły do pracowitego przeżuwania.

–Widać, że nie mają tu zbyt wielu gości – stwierdził Alum. – Myślę, że znajdzie się dla nas wolny pokój.

Znów zarzucili chrust na ramiona i udali się do gospody.

Znaleźli się w głównej sali. Gdyby chodziło o gospodę w Araluenie lub Gallii, raczono by się tutaj piwem albo winem. Jednak Arydzi w większości stronili od alkoholu, a ich ulubionym napojem była mocna, gorzka kawa. Will złożył ciężką wiązkę na podłogę, po czym rozejrzał się. Przy niskich stołach siedziało ośmiu czy dziewięciu mężczyzn, w grupkach po dwóch albo trzech. Obrzucili przybyłych wzrokiem, a następnie, stwierdziwszy, że to nikt znajomy, powrócili do swych rozmów. Tylko jeden z gości siedział samotnie. Był to grubas, który uporczywie przyglądał się Willowi i Alumowi, gdy ci podeszli do kontuaru, prosząc o nocleg oraz posiłek w zamian za przyniesione drewno i niewielką sumę pieniędzy.

–Nie przypominam sobie, że bym was tu kiedyś widział – zagadnął oberżysta, kiedy dobili targu. Zabrzmiało to jak pytanie, choć raczej grzecznościowe, bo zadane niezbyt natarczywym tonem.

–Pewnie dlatego, że zawsze trzymamy się na uboczu – odpowiedział spokojnie Alum,



tonem na tyle oziębłym, że nie zachęcał do dalszej rozmowy. Tłumaczył przedtem Willowi, że mieszkańcy takich małych miasteczek bardzo nie lubią, gdy ktoś wtyka nos w ich sprawy, za to wykazują wręcz niezdrowe zainteresowanie sprawami bliźnich.

Oberżysta najwyraźniej zadowolił się zdawkową odpowiedzią. Nie rzekł już nic, tylko nalął dwa kubki kawy, po czym postawił je na drewnianej tacy obok talerza świeżych podplomyków, miseczek z aromatycznymi korzennymi sosami oraz czterema plastrami pieczonej jagnięciny.

Alum zaniósł jedło oraz napoje do stołu, który wybrał dla nich Will, i zajęli się posiłkiem. Jednak o ile właściciel gospody przestał się nimi interesować, to przez cały czas Will czuł na sobie spojrzenie tłściocha.

–Obserwuje nas – rzekł cicho do Aluma.

Arydzki oficer podniósł wzrok i napotkał spojrzenie tamtego.

–Coś cię trapi, przyjacielu? – rzekł ostrym tonem. Tamten jednak nie zmieszał się.

–Jesteście tu obcy – stwierdził.

Alum skinął głową.

–Za to ciebie, jak słyszałem, znają w Maashavie aż za dobrze – odparł nieuprzejmym tonem.

–A zatem, skąd jesteście? – spytał niezrażony tłścioch.

Alum zmierzył go nieprzychylnym spojrzeniem. Poruszył się na swojej poduszce i wyciągnął zza pasa kindżał, choć nie wyjął go z pochwy. Broń położył na stole przed sobą.

–Coś mi się zdaje, że to nie twoja sprawa – rzekł, po czym dodał, zwracając się do Willa, ale na tyle donośnie, by go było słyhać: – Wścibski mieszcuch. Co on taki ciekawski? Że też zawsze musi się znaleźć ktoś, kto pcha nos w nieswoje sprawy.

Will mruknął tylko i wepchnął do ust kawał gorącego mięsa, unikając w ten sposób odpowiedzi.

–A twój towarzysz to niemowa, czy co? – wciąż interesował się grubas. Alum odłożył kawałek podplomyka, którym właśnie owinał mięso i westchnął ciężko.

–Nie. Słyszałem, jak kiedyś powiedział „o, do licha!”, a było to wtedy, kiedy obciął uszy takiemu jednemu, który zadawał zbyt wiele pytań.

Kilku gości przyjęło ciętą replikę z uznaniem. Najwyraźniej tłścioch nie cieszył się tutaj powszechną sympatią.

–Daj im spokój, Saoud! – zawołał któryś z nich, siedzący w przeciwległym krańcu sali. – Niech sobie zjedzą w spokoju.

Odpowiedział mu pomruk innych głosów, wyrażających poparcie dla jego słów. Grubas rozejrzał się, spoglądając z wyraźnym wstrętem na pozostałych gości. Wydał pogardliwie usta i nie odezwał się już więcej, tylko rozsiadł się na poduszce, sięgając po kubek z kawą. Wciąż jednak nie spuszczał cudzoziemców z oczu.

Gdy skończyli posiłek i udali się schodami na górę do swojego pokoju, Will nadal czuł spojrzenie grubasa przewiercające jego plecy. Zdecydowanie, ten tłścioch zanadto się nimi interesował.

Alum wyczuł jego niepokój.

–Nie przejmuj się – powiedział, gdy wchodzili po schodach. – Do jutra zapomni o nas i znajdzie sobie kogoś innego, komu będzie suszył głowę pytaniami.

**Will nie był przekonany. Mógł tylko mieć nadzieję, że Alum się nie myli.**

## ROZDZIAŁ 42

W drzwiach magazynu zazgrzytał klucz. Więźniowie odruchowo spojrzeli w tamtą stronę. Był poranek, kilka godzin po wschodzie słońca i przywykli już, że mniej więcej o tej porze otrzymują śniadanie. Popadli w swoiste otępienie, rytm ich dnia wyznaczały trzy posiłki. Jedzenie dostawali niesmaczne, karmiono ich monotennie; każdy posiłek składał się zazwyczaj z wczorajszych podplomyków, czerstwych, pozbawionych smaku oraz garści daktyli – w dodatku wszystkiego otrzymywali zbyt mało, żeby którekolwiek z nich zdołało się naprawdę nasycić.

Przynajmniej jednak dostawali kawę. Choć w najlepszym wypadku okazywała się zaledwie letnia, dla Horace'a, Halta i Gilana kawa stanowiła jakąś pociechę. Oczywiście Svengal i Erak wciąż wyrzekali na brak mocnego piwa. Svengal niekiedy z tęsknotą wspominał do połowy pełną beczułkę, którą pozostawił na pokładzie „Wilczego wichru”. Ciekaw był, jak jego ludzie radzą sobie w Al Shabah. Przypuszczał jednak, że wiedzie im się znacznie lepiej niż jemu.

Każdy trwał pogrążony we własnych rozmyślaniach. Gilan wciąż roztrząsał kwestię owego podestu, czy też szafotu, który zdołał dostrzec Horace. Młody rycerz stwierdził, że najbardziej przypominało mu to platformę, na której dokonuje się egzekucji. Gilan zdawał sobie sprawę, że zarówno on, jak i Halt nie cieszą się sympatią Tualegów. Jeśli ktokolwiek miał zostać stracony, to z pewnością oni dwaj. Przyjmował jednak ze spokojem nieuniknione. Zwiadowcy nieraz ocierali się o śmierć, zawsze byli na nią gotowi. Przywykli też, że to właśnie oni budzą szczególną nienawiść przeciwników. Od lat życia Gilana towarzyszyła więc świadomość, że taka chwila może kiedyś nadejść. Obecnie nie pozostawało mu nic innego, jak wypatrywać sposobności ucieczki.

Zrozumiał także, iż obojętność Halta była udawana. Starszy zwiadowca po prostu nie chciał martwić ani niepokoić Evanlyn. Kiedy Gilan to sobie uzmysłowił, zrobiło mu się wstyd, że drażnił go brak zainteresowania ich losem ze strony Halta. Cóż, niezależnie od tego, co ma się stać, trzeba być gotowym. Halt także nie zawiedzie. Gadanina na nic się nie przyda, a mogłaby tylko spowodować, że Evanlyn się załamie.

Horace zachowywał spokój. Wierzył w Halta i Gilana. Wiedział, że jeśli istnieje jakieś wyjście z tej sytuacji, oni z pewnością je znajdą. Podobnie jak Gilan, Horace nie dał się zwieść pozornej apatii Halta. Był pewien, że szpakowaty zwiadowca aż pali się do działania i tylko czeka na okazję.

Spodziewali się dwóch tualeskich wojowników, którzy zwykle o tej porze przynosili im posiłek. Jednak, ku ich zaskoczeniu, zamiast dwóch mężczyzn niosących tacę z jedzeniem i dzbanek kawy, do wykutego w skale więzienia wkroczyło kilkunastu zbrojnych, dierzących w dłoniach obnażone szable. Wojownicy ustawili się wokół nich.

Halt, który siedział oparty plecami o ścianę, chciał się unieść, ale powstrzymało go ostrze, które przyłożono mu do gardła.

–Zostań tam, gdzie jesteś – rozkazał tualeski siepacz. Ponaglił gestem siedzącego zwiadowcę, nie spuszczając oczu z jego twarzy: – Ręce przed siebie – polecił, a gdy Halt wykonał rozkaz, rzucił komendę jednemu ze swych podwładnych: – Związać.

Spętano mu dłonie w nadgarstkach, z przodu. Z początku Halt spróbował pewnej starej sztuczki, mianowicie napiął mięśnie ramion, w nadziei, że gdy później je rozluźni, więzy

poluzują się i – kto wie – może uda się z nich oswobodzić. Jednak tualeski dowódca nie dał się zwieść. Boleśnie trzasnął Halt po przegubach pejczem.

– Nawet nie próbuj – warknął gniewnie.

Halt wzruszył ramionami. Rozluźnił ręce. Cóż, spróbować zawsze warto. Gdy rozejrzył się po pomieszczeniu, stwierdził ze zdumieniem, że pozostałych jego towarzyszy skrepowano w ten sam sposób. Zmarszczył brwi. Wszyscy? Dlaczego? Mógł zrozumieć, że zechcą pozbyć się jego oraz Gilana. A także Horace'a. Lecz przecież pozostali byli cennymi zakładnikami. Gdy ujrzał, jak tamtych rozbójnicy szarpnięciem zmuszają do powstania, poczuł lęk ściskający go za serce. W następnej chwili kapitan pociągnął gwałtownym ruchem za linę krępującą jego dłonie. Halt wstał.

– Dokąd nas prowadzicie? – spytał, ale tamten tylko zaśmiał się i pchnął Haltę w stronę drzwi.

– To nie wygląda dobrze – zauważył Horace, gdy kazano mu iść za Haltem.

\*\*\*

Will i Alum spali dość długo. Większość pozostałych gości wstała już, zjadła śniadanie i opuściła gospodę wkrótce po świcie.

Uznali jednak zgodnie, że skoro muszą czekać do dziewiątej, nie ma sensu wstawać wcześniej i zwracać na siebie uwagi, włócząc się w okolicach wieży i przy murze okalającym miasto. Zeszli więc do sali jadalnej wtedy, kiedy większość pozostałych gości opuściła już podwoje gospody.

Większość, lecz nie wszyscy. Grubas, z którym ścięli się poprzedniego wieczoru, wciąż jeszcze siedział w swoim pokoju. Przez wąziutką szparkę w uchylonych drzwiach spoglądał, jak tamci dwaj zmierzają korytarzem ku schodom. Saoud czuł się urażony w swej godności. Był człowiekiem próżnym, a poza tym zamożnym kupcem bławatnym, do którego należało kilka kramów na rynku. On sam od dawna już nie kalął sobie rąk pracą, czynili to zatrudnieni przezeń wyrobnicy. Zadawanie się z klientami, dźwiganie na własnych barkach ciężkich bel tkanin – to wszystko Saoud już miał za sobą. Był zbyt bogaty, we własnym mniemaniu zaliczał się do zbyt ważnych osobistości – na coś takiego. Spędzał więc czas w gospodach i oczekiwał, że będzie tam traktowany z należnym bogaczowi respektem. Saoud uważał się za personę, której od napotkanych ludzi należy się czolobitne, pełne lęku uszanowanie.

Tymczasem poprzedniego wieczoru Alum okazał Saudowi jawny brak szacunku. Mało tego, wręcz pozwolił sobie na zawołane pogróżki, które w dodatku spotkały się z aprobatą pozostałych gości. Nie, tego Saoud nie mógł puścić płazem.

Ci dwaj są podejrzani, bez dwóch zdań – stwierdził. A znał kogoś, kogo mogłoby to zainteresować.

Gdy Alum i Will zeszli na dół do jadalni, wysunął się cicho z pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. Skrzywił się, gdy cicho trzasnęły. Z pewnością go usłyszeli...

Ale nie. Z dołu dochodziły ich głosy, nie przerwali rozmowy, a więc nie zwrócili uwagi na hałas. Ruszył ostrożnie ku schodom, stąpając najlżej jak mógł, i trzymając się blisko ściany, aby deski podłogi nie zaskrzypiały pod jego ciężarem.

Znieruchomiał, gdy usłyszał otwierające się, a później zamykające drzwi gospody. Sądził przez chwilę, że obaj już wyszli. Potem jednak usłyszał, jak ten starszy rozmawia z oberżystą. Czyli wyszedł tylko młodszy. Dlaczego? Po co?

Zszedł kilka stopni, nastawiając uszu, bo w każdej chwili spodziewał się powrotu tamtego. Chwilę potem istotnie usłyszał znów odgłos otwierających się drzwi i ujrzał młodszego z obcych. Chłystek przechodził przez jadalnię, tuż obok schodów.

Tym razem niósł w prawej ręce dziwny przedmiot, który przypominał długą laskę, owiniętą i zawiązaną płótnem. Saoud zmarszczył czoło. Nigdy jeszcze nie widział takiej laski. Ostrożnie, skradając się, zszedł na sam dół, następnie zaś wymknął się bocznymi drzwiami na ulicę.

Kilka metrów na prawo znajdowało się wejście do jeszcze węższej alejki. Pobiegl tam, po czym skrył się pospiesznie w cieniu, by poczekać, aż tamci wyjdą.

Minęło kilka minut. Wkrótce nieznanymi opuścili gospodę, kierując się na lewo, w północnym kierunku. Saoud spoglądał za nimi przez chwilę, po czym ruszył tropem obcych. Zrobiło się już pół do dziewiątej, więc znakomita większość ludności Maashavy kierowała się przede wszystkim w stronę placu targowego. Więźniowie, których miano uśmiercić, nie uczynili tubylcom żadnej krzywdy, ale zbiorowa egzekucja to przecież niecodzienne widowisko, więc wszyscy pragnęli je obejrzeć.

Dlaczego więc ci dwaj zacierają się w stronę przeciwną do rynku? W północnej części miasta nie znajdują niczego ciekawego, tam są tylko wałace się rudery, w których roi się od szczurów. A dalej jest już wyłącznie zrujnowany mur obronny i wieże.

Zawróciwszy na pięcie, tłusty kupiec ruszył z powrotem. Był pewien, że Talish zainteresuje się obcymi. Talish, czyli jeden z tualeskich wojowników, pomniejszy watażka, któremu zazwyczaj towarzyszyło dwóch przybocznych wykonujących jego polecenia. Pośród arydzkich mieszkańców miasta ci trzej szybko zyskali sobie reputację złodziei i bandytów. Jakoś tak się działo, że zawsze udawało im się odgadnąć, gdzie zamożni arydzcy kupcy chowają pieniądze lub najcenniejsze towary. W rzeczywistości dowiadywali się, czego trzeba, od Saouda. Kupiec donosił na swych sąsiadów i konkurentów, a w zamian bandyci pozostawiali w spokoju jego kramy oraz magazyny.

Talisha tudzież jego przybocznych najczęściej można było zastać w pewnej gospodzie, mieszczącej się na skraju rynku. Saoud przyspieszył kroku, jego opasłe cielsko trzęsło się, gdy przemierzał wąskie uliczki, by trafić do tualeskiego bandyty. Jeśli Talish nie zainteresuje się dwoma obcymi, wówczas Saoud szepnie mu, że mieli przy sobie kiesę pełną złota. To z pewnością pobudzi chciwość Tualega.

Później Saoud będzie mógł się upierać, że cudzoziemcy swoje złoto gdzieś ukryli. Jeśli brak kruszcu wprawi Talisha w gniew, stanie się to tylko z niekorzyścią dla cudzoziemców. A więc, z punktu widzenia Saouda – tym lepiej.

\*\*\*

Will z Alumem przedzierali się przez rumowisko usypane ze stosów śmieci i resztek budowli. Północna część miasta okazała się najbardziej zniszczona. Wznoszące się tu kiedyś domy porzucono, toteż wiele z nich rozpadło się, inne przedstawiały sobą oplakany widok, zajęte przez dzikich lokatorów – miejską biedotę, a także wyjętych spod prawa rzezimieszków. Zwiadowca i porucznik widywali więc od czasu do czasu twarze ukazujące się w ziejących czernią otworach okien lub drzwi – twarze, które natychmiast zniknęły w czeluściach ruder.

Ulice tutaj były wąskie i wiły się bezładnie, w dodatku należało omijać zawałone domy,

których szczątki po prostu pozostawiono na miejscu: stopy przegniłych cegieł, sterczące wśród gruzu belki. Will już jakiś czas temu stracił poczucie kierunku. Miał nadzieję, że Alum wie, dokąd go prowadzi. I rzeczywiście, arydzki porucznik szedł przed siebie zdecydowanym krokiem, nie tracąc pewności siebie.

Will odetchnął z ulgą, gdy wydostali się w końcu z labiryntu krętych ulic. Ujrzał resztki północnego muru.

W dawnych czasach po wewnętrznej stronie obwarowań wiodła szeroka aleja, której nie pozwalano zabudowywać. Jednak gdy Maashava straciła rangę dumnej twierdzy na rubieży, popadając w kompletne zapomnienie jako mała, nic nie znacząca miejscina, wyrosły tu lepianki i rudery, często przyklejone do muru, niejednokrotnie zbudowane przy użyciu wyszarpanych zeń glinianych cegieł.

Przedzierając się przez kręte uliczki, wciąż obchodząc gruzowiska, za sprawą których powstawały ślepe zaułki, nadłożyli niemało drogi. Okazało się, że w rezultacie zawędrowali o wiele dalej na wschód, niż zaplanowali. Wieża strażnicza, którą wybrał Will, wznosiła się w odległości dobrych dwustu metrów od nich. Rozpoznał ją po zapadniętym dachu, którego krawędź oparła się o poręcz tarasu obserwacyjnego. Z boku wieży sterczała wysunięta pod dziwnym kątem belka.

Spojrzał w górę, na słońce. Stało już wysoko na niebie, a od wieży dzielił ich spory kawał drogi. Teraz znaleźli się znacznie bliżej innej baszty, odległej o zaledwie pięćdziesiąt metrów. Zanim uda im się obejść wszędobylskie lepianki i zagrządzające drogę ruiny, by dotrzeć do tamtej, dalszej wieży, może już być za późno. Mozolna wędrówka przez zrujnowaną część miasta nie tylko wyprowadziła ich w inne miejsce niż chcieli, lecz także zmitrężyli na bezsensownej włóczędze nadspodziewanie wiele czasu.

Wskazał bliższą basztę.

–Ta chyba też się nada – stwierdził.

Alum skinął głową. Wyraźnie się niepokoił.

–Robi się późno – powiedział. – Egzekucja zaraz się rozpocznie.

Ruszyli biegiem, omijając wyrwy w ziemi, przeskakując przez stopy gruzu piętrzące się na ich drodze.

## ROZDZIAŁ 43

Przykucnięty za wielkim granitowym głazem u ujścia wąwozu Omar wpatrywał się w wieżę, którą wybrali z Willem poprzedniego dnia. Dzięki sterczącej belce łatwo ją było odróżnić od pozostałych.

Usłyszał jakiś ruch za sobą i obejrzał się. Spozstrzegł obok Hassana; młodzieniec przekradł się do niego z pozycji zajmowanych w głębi kanionu przez główne siły Bedulinów.

– Pokazał się, aszejku? – spytał Hassan. Omar potrząsnął głową.

– Nie. A już powinien tam być. Już prawie czas.

– Może ceremonia została przełożona na później? – wyraził przypuszczenie Hassan. Omar w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– Może. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, dla jakich przyczyn Yusal miałby tak uczynić. Z pewnością nie zrezygnował, bo to dla niego nie lada okazja, jeśli zamierza wyrzucić wrażenie na tutejszych mieszkańcach – uniósł dłoń, jakby chciał uciszyć samego siebie. Przechylił lekko głowę, nasłuchując. Od strony Maashavy, niesiony przez poranny, orzeźwiający wiatr, rozległ się dudniący, rytmiczny dźwięk basowego bębna. – Nie – stwierdził. – Egzekucja właśnie się rozpoczyna. Co do wszystkich szejtanów dzieje się z Willem i z Alumem?

– Mam wyprowadzić ludzi z ukrycia, aszejku? – spytał Hassan.

Omar zawahał się. Istniała szansa, że nikt w tę stronę nie będzie spoglądał, więc zdolają niepostrzeżenie przemierzyć odsłonięty odcinek drogi prowadzący do miasta. Odrzucił jednak tę myśl. Ryzyko było zbyt wielkie. Wystarczy jedna para ciekawskich oczu, jedno przypadkowe spojrzenie, a wówczas cały plan obróci się wniwecz.

– Zaczekamy na zwiadowcę – oznajmił.

\*\*\* Siedmioro więźniów, otoczonych wianuszkami strażników, sprowadzono do miasta po długim ziemnym nasypie, prowadzącym z jaskini służącej im dotąd za więzienie.

Bici i popychani, potykali się na nierównym gruncie. Szli gęsiego, zabroniono im rozmów. Arydzy mieszkańcy Maashavy gapili się na skazańców, a twarze tubylców wyrażały mieszaninę apatii i biernego współczucia. Jednak, jak zawsze w tłumie, znaleźli się też tacy, którzy naigrawali się z więźniów, ciskali w nich kamieniami, odpadkami, grudami ziemi. Halt przyjrzał się jednej z tych grup. Tworzyli ją ludzie o zacerwienionych oczach. Młodzi, mogli liczyć sobie co najwyżej po dwadzieścia lat. Większość Arydów stroniła od trunku, ale ci najwyraźniej już z samego rana nadużyli tutejszej mocnej gorzalki, zwanej arariki. Zataczali się, przytrzymywali się za ramiona. To oni rzucali najgłośniejsze obelgi na kroczących więźniów. Halt odwrócił się i spytał przez ramię Selethena idącego tuż za nim:

– Wydawało mi się, że wasza religia zabrania alkoholu?

Selethen spojrział ze wzgardą na zgiełkliwą hałastrę.

– W każdej społeczności istnieją wyrzutki – stwierdził. – Ci tutaj cieszą się, że to nie ich spotyka nasz los.

Jeden ze strażników smagnął najpierw jednego, potem drugiego węzlastym sznurem.

– Trzymać języki za zębami! – wrzasnął na nich. – Nie wolno ze sobą gadać, przecież uprzedzałem!

Po chwili znaleźli się na placu. Wypełnił się już gapiami po brzegi. Eskorta musiała rozpychać tłum, żeby utorować drogę do podwyższenia. Halt stwierdził, że połowę

zgrupowanej publiczności stanowili Tualegowie. Obiecywali sobie wyśmienitą rozrywkę, zwłaszcza jeśli w ostatniej chwili więźniowie załamią się i zaczną błagać o łaskę, podnosząc krzyk, a także płaszcząc się przed oprawcami. Czyniliby tak zresztą na próżno – bowiem okrutnym jeźdźcom pustyni obca była wszelka litość.

Po drugiej stronie rynku, opodal drewnianego szafotu, który dopiero teraz ukazał się w całej okazałości, rozległo się miarowe łomotanie w bęben. Powolne, rytmiczne, jakby bicie wielkiego serca. Usłyszawszy sygnał, motłoch zaczął wrzeszczeć jeszcze głośniej.

Halt spojrział w górę. Yusal stał nad nimi; na tę okazję przywdział luźną ciemnogrnatową szatę. Obute stopy rozstawił szeroko, rękami wsparł się pod boki. Jak zawsze jego twarz zasłaniał błękitny woal. Widać było tylko oczy tualeskiego herszta, jak zwykle zimne, bezlitosne. Yusal odwrócił się do tłumu, spoglądając po twarzach zgromadzonych gapiów w oczekiwaniu, aż zapadnie cisza.

Stopniowo okrzyki zamarły, tylko czasem rozlegał się czyjś pojedynczy komentarz. Jednak zgromadzeni w tłumie Tualegowie szybko nakłonili krzykaczy do milczenia, tłukąc ich po plecach i głowach. Niech nikt nie ośmiela się gadać, skoro chce przemówić ich wódz.

Na rynku zapanowała martwa cisza.

–Wprowadzić więźniów na szafot – rozkazał Yusal; teraz jego chrapliwy głos dobiegał nawet do najodleglejszych krańców rynku.

Strażnicy pchnęli więźniów do przodu. Halt jako pierwszy wstąpił na wykonane z topornych, nieoheblowanych desek stopnie. Poczul, jak schody drżą pod jego stopami, gdyż Selethen ruszył tuż za nim, a dalej, za Arydą – Svengal.

Halt zamierzał wyjść na środek platformy, ale Yusal chwycił zwiadowcę za ramię i odciągnął na bok, żeby otworzyć przejście pozostałym.

–Ty zostaniesz tutaj – rzekł do niego Tualeg. – Będziesz pierwszy.

Pośród tualeskich wojowników zgromadzonych w tłumie rozległ się nienawistny pomruk gniewnej aprobaty. Egzekucja pozostałych więźniów miała stać się dla nich rozrywką i widowiskiem, ale wobec obu zwiadowców łaknęli pomsty.

Bęben, który zaprzestał na chwilę złowrogiego dudnienia, odezwał się znów.

Gdy po Eraku i Evanlyn na szafot wstąpił Gilan, Yusal kazał mu stanąć obok Halta. Tę decyzję zgromadzeni pod szafotem Tualegowie również powitali z radością.

Potem w tłumie niejaki zamieszanie; do pierwszych rzędów przepchał się bowiem Toshak. Rzucił Haltowi triumfalny uśmiech.

–Okazuje się, że nawet taki wielki zwiadowca może stracić głowę! – zawołał Skandianin, po czym zarechotał.

Halt nie zwracał nań uwagi. Spoglądał w dal, sondował wzrokiem tłum, wbrew nadziei licząc, że wypatrzy gdzieś Willa. Wciąż nie porzucił niczym nieuzasadnionej wiary, że jego uczeń zdołał przeżyć na pustyni, odnalazł ich ślad i nie pozwoli teraz, by zginęli, że spróbuje w jakiś sposób ich ocalić.

Gdyby ktoś go spytał, skąd czerpie tę wiarę, nie potrafiłby udzielić rozsądnej odpowiedzi. Wierzył w Willa i tyle. Wierzył w odwagę, wierzył w pomysłowość tego chłopaka, którego pokochał jak własnego syna. Will przybędzie tu, bo jest potrzebny. Will, który jeszcze nigdy go nie zawiódł.

Na wpeł świadomie zarejestrował słowa Eraka, który zamiast niego odpowiedział



**Toshakowi, zapraszając zdrajcę, by wstąpił na platformę.**

**– Nawet ze związanymi rękami dam radę urwać ci ten zdradziecki łeb, Toshaku! – zakrzyknął.**

**Toshak uśmiechnął się paskudnie.**

**– To ja twój czerep zawiozę do Skandii, Eraku – odparował. – Z twojej czaszki zrobię sobie kufel do piwa.**

**Yusal zgromił wzrokiem obu przybyszy z Północy. Tualeski rozbójnik miał zamiłowanie do teatralnych gestów, spektakularnych wystąpień i górnolotnych słów. A gburowate połajanki cudzoziemców psuły cały nastrój.**

**– Milczeć, obaj! – rozkazał.**

**Toshak spojrział na niego krzywo, wzruszył obojętnie ramionami i oparł się o jeden z pali podtrzymujących drewnianą platformę. Yusal, upewniwszy się, że nikt nie będzie mu już przerywał, uroczyście uniósł dłoń.**

**– Niech przybędzie Hassaun! – zawołał gromko. Okrzyk podjęli Tualegowie na całym placu.**

**– Hassaun! Hassaun! Hassaun!**

**Echo okrzyków niesło się daleko, grzmiało echem pośród ścian budynków w rytm dudniącego bębna. Niektórym z tubylców udzielił się entuzjazm, więc oni także przyłączyli się do wrzawy wzniesionej przez Tualegów. Zdarzało im się już widzieć niejedną egzekucję, toteż orientowali się doskonale, czego mogą się spodziewać i jakie widowisko ich czeka. Okrzyki rozlegały się coraz głośniejsze, mocniej, stawały się coraz bardziej nagłać.**

**Aż wreszcie w odległym końcu rynku pojawiła się nadludzkich rozmiarów postać, wznosząca się wysoko ponad głowy widzów. Przez chwilę zdawało się, że płynie w powietrzu, ale w następnej chwili Halt zdał sobie sprawę, że człowiek ów stoi na wielkiej drewnianej tarczy i niesie go czterech Tualegów, przedzierających się przez tłum w kierunku szafotu.**

**Bicie bębna przyspieszyło, krzyki także. Hassaun okazał się osobnikiem potężnie zbudowanym, odzianym od stóp do głów na czarno; długa szata powiewała na porannym wietrze, podobnie jak końce czarnej keffii. Dolna część jego twarzy zasłonięta była jak u wszystkich Tualegów ciemnobłękitnym woalem.**

**Dłonie oprawcy spoczywały na rękojeści ogromnego, dwuręcznego miecza o czarnej klindze.**

**\*\*\***

**Will i Alum dotarli do najbliższej wieży, gdy rozległy się głębokie i dojmujące dźwięki bębna.**

**– Już zaczynają! – zawołał Alum. – Pospiesz się! Mamy mało czasu!**

**Will nie odpowiedział. Zerwał płótno, w które uprzednio owinął łuk, zgął łączysko o prawą lydkę, zahaczywszy jego koniec o lewą kostkę, i nawlekł cięciwę, stękając przy tym z lekka, bo musiał pokonać siłę oporu pięćdziesięciu kilogramów naciągu.**

**Odrzucił płaszcz na bok, ukazując zawieszony na ramieniu kołczan z dwoma tuzinami strzał. Zarzucił na ramię także łuk, po czym jął wspinać się po przegniłym wewnętrznym belkowaniu baszty.**

**Nie było to zadanie łatwe. Pomimo ponagleń Aluma i choć sam doskonale zdawał sobie sprawę z konieczności pośpiechu, wiedział także, iż trzeba ostrożnie dobierać punkty oparcia**

dla stóp oraz uchwyty dla dłoni. Wieża była w jeszcze gorszym stanie, niż się spodziewał; zaczął poważnie obawiać się, że cała konstrukcja runie, jeśli wykona zbyt gwałtowny ruch.

Wspiął się na wysokość czterech metrów, minął szczyt muru i przesunął się ostrożnie w stronę ostatniej poprzecznej belki, którą musiał przejść, by dotrzeć na górny podest.

Kilka minut temu bęben umilkł na krótko, ale teraz w oddali znów rozległ się jego łoskot, kolejne uderzenia stawały się coraz szybsze i szybsze. Potem doszedł jego uszu okrzyk wzniesiony przez setki głosów:

–Hassaun! Hassaun! Hassaun!

–Co to za jeden, ten Hassaun? – mruknął do siebie, przesuwając ostrożnie stopami wzdłuż bardzo niepewnie wyglądającej belki.

Wisiał już całym ciężarem na ramionach. Po chwili sięgał nogą w stronę solidniej wyglądających desek podestu, toteż nic nie mógł zdziałać, gdy – właśnie wtedy – usłyszał w dole okrzyk:

–Co z ciebie za jeden, do wszystkich diabłów? I co tu robisz?

Spojrzał. Alum stał prawie pod nim, odwrócony w stronę, z której przybyli. Trzej Tualegowie przyglądali mu się podejrzliwie, a za nimi stał ten tłuścioch, którego widzieli minionej nocy w oberży – i uśmiechał się obleśnie.

## ROZDZIAŁ 44

Monstrualnych rozmiarów kat bez trudu utrzymywał równowagę na chwiejącej się tarczy; wędrował jak triumfator pośród falującego tłumu, niesiony na ramionach czterech Tualegów przedzierających się przez tłum ku miejscu, gdzie wzniesiono podwyższenie. Na jego cześć wznoszono dłonie i dobywano broń, potrząsając nią w zapale; potężna postać bez wątpienia cieszyła się wśród pobratymców nieklamany uwielbieniem.

Dzierżący tarczę Tualegowie zatrzymali się przy platformie, Hassaun przeskoczył na nią lekko. Gdy to uczynił, znów rozległy się pełne zapалу okrzyki.

Teraz, gdy Halt mógł się przyjrzeć temu człowiekowi w całej okazałości, stwierdził, że kat w istocie jest prawdziwym olbrzymem. Mierzył dobrze ponad dwa metry, a zbudowany był potężnie, jakby stworzono go przy użyciu jakiejś większej niż przeznaczona dla zwykłego człowieka miary.

Uniósł wielki dwuręczny miecz do góry, pionowo nad głową i przeszedł uroczyście wzdłuż krawędzi platformy, potrząsając złowrogim orężem pod wtór gromkich wiwatów tłumu.

Bezladne głosy znów złączyły się w chór skandujący jego imię.

–Hassaun! Hassaun! Hassaun!

Doszedł do końca drewnianego podwyższenia, a potem równie paradnym krokiem skierował się na środek szafotu, upajając się rykiem tłumu. Następnie wyciągnął dzierżące miecz ramiona najwyżej, jak tylko zdołał, jednym ruchem nadgarstków obrócił głównię w dół i wbił klingę z łomotem w deski.

Cofnął się o krok, by wszyscy mogli podziwiać drżące wciąż z lekka ostrze wczepione w drewno.

Sięgnął do zapięcia szaty, zdjął ją, po czym cisnął precz za siebie.

Teraz był ubrany tylko w parę ściągniętych w pasie oraz w kostkach szerokich spodni, a także w czarną kefię i granatowy woal, znak wszystkich Tualegów. Nagi tors lśnił, wysmarowany oliwą, przez co potężne mięśnie ramion, klatki piersiowej i brzucha prezentowały się jeszcze okazalej.

Postąpił przed siebie. Bez widocznego wysiłku wyrwał miecz wbity w deski, po czym zaczął zataczać ostrzem kręgi oraz łuki wokół tułowia i nad głową. Czynił to z oszalamiającą lekkością, jakby obracał dziecinną zabawkę. Lecz dla każdego, kto posiadał choć nikle pojęcie o broni i umiał ocenić, ile ważyć musi tak długa klinga, był to zdumiewający pokaz, który świadczył o niewiarygodnej wprost sile i koordynacji ramienia, mięśni tułowia, nadgarstków. Wypolerowana, czarna głównia chwytala promienie porannego słońca, rzucając wokół błyski i mamiła oko, bowiem chwilami poruszała się tak prędko, iż zdawało się, że olbrzym dzierży w dłoni nieruchomą czarną tarczę – a nie wirujące wąskie ostrze.

–Hassaun! Hassaun! Hassaun!

Okrzyki zagrzmiały jeszcze głośniej, lecz tym razem przyłączyło się do nich znacznie więcej Arydów, zachwyconych zdumiewającą siłą tualeskiego olbrzyma. Bądź co bądź, sześciu z siedmiu więźniów oczekujących na szafocie to cudzoziemcy – czym więc tu się martwić? Arydzi nie znali ich i nie widzieli powodu, by obcym współczuć. Co zaś tyczyło się siódmego, rozeszła się już wieść, jaki urząd piastuje Selethen – a mieszkańcy położonych w oddali od stolicy miast takich jak Maashava nie darzyli zbyt wielką miłością emrikira oraz wakirów, rządzących z jego mocy arydzkimi prowincjami. Jak wspominaliśmy już wcześniej, urzędnicy w

tym kraju byli przekupni, zawsze skłonni przyznawać rację temu, kto poparł swe starania hojnym prezentem; laskawi dla bogaczy, lecz obojętni na los zwykłych, szarych poddanych. Selethen był chlubnym wyjątkiem od powszechnej arydzkiej reguły, lecz o tym maashawici nie wiedzieli. Zarządzał bowiem odległą, nadbrzeżną prowincją, od której dzieliła ich niezmierna pustynia.

Należy też wziąć pod uwagę, że zazwyczaj kontakty między władzą a poddanymi z odległych miast, takich jak Maashava, sprowadzały się do poboru podatków. Raz do roku poddani musieli uiścić haracz proporcjonalny do wysokości zbiorów i zarobków. Rzadko zdarzało się przy tym, by władcy okazywali wówczas wspaniałomyślność nieszczęśnikom doprowadzonym do nędzy przez grabieżcze napady Tualegów.

„My głodujemy, a Mararoko porasta w sadło” – głosiło stare powiedzenie, znane wszystkim na odległych rubieżach. W mniemaniu mieszkańców Maashawy było ono jak najzupełniej zgodne z prawdą. Tak tedy, jeśli dobrze opłacany i odżywiany wysoki urzędnik miał stracić głowę, nikogo ów fakt nie napawał żalem. Wszyscy wiedzieli, że łatwo znajdzie się na jego miejsce inny chętny.

Skoro więc mogli stać się świadkami jedyne w swym rodzaju widowiska w wykonaniu mistrza katowskiej sztuki, jakim bez wątpienia był Hassaun, oni także zaczęli wznosić okrzyki ku czci oprawcy, by zagrzać go do dalszych popisów.

A Hassaun nie dał się prosić. Zaczął przemierzać podium tanecznym krokiem, dokonując wypadów na boki, prezentował ciosy znad głowy, cięcia na boki i dalekie pchnięcia potężnym mieczem, który w jego rękach migotał i świstał z prędkością wężowego języka. Rzucił się na prawo i lewo, na lewo i prawo, i znów na lewo.

Potem wyskoczył wysoko, wyprowadzając potężny cios wymierzony w dół, jakby dokonywał dekapitacji klęczącej ofiary. Ostrze z loskotem wbiło się w drewniane deski, a on znów wypuścił rękojeść z dłoni i skoczył do tyłu; oręż zadygotał od siły ciosu.

W następnej chwili pochwycił znowu uchwyt, wyrwał miecz i zaczął paradować w inny sposób wzdłuż krawędzi platformy, mianowicie za każdym krokiem opadał na jedno kolano, wciąż to rozdając błyskawiczne ciosy wymaganemu przeciwnikowi, to znów kręcąc mieczem młyńca, by zaraz powrócić do cięć oraz pchnięć. Tłum skandował jego imię w rytm bębna i pod takt ruchów wojownika.

Z klęczącej pozycji wybił się w powietrze, a gdy opadał, odwrócił się w stronę więźniów i – wykonawszy dwa potężne cięcia – zakreślił głownią w powietrzu wielką literę X. Następnie znów odwrócił się ku widzom. Przy całej swej potężnej masie poruszał się niezwykle lekko. Dał teraz znak jednemu z ludzi, którzy przynieśli go na tarczy. Wojownik zgarnął z pobliskiego straganu melon i cisnął go w powietrze nad olbrzymem.

Miecz śmignął w błysku dwóch ukośnych cięć. Pierwsze z nich przepołowilo melon, a drugie dodatkowo jedną z jego połówek, nim trzy kawałki owocu spadły na deski szafotu.

W następnej chwili żołnierz rzucił drugi melon, lecz tym razem Hassaun rozchlastał owoc poziomym cięciem, po którym w następnym ułamku sekundy nastąpił cios z góry – i znowu jeden z kawałków został przecięty jeszcze w powietrzu na pół.

Tłum zawył z zachwytem.

Hassaun w odpowiedzi zaczął przerzucać wirujący miecz z ręki do ręki, wciąż utrzymując rytm uderzeń zadawanych z tą samą mocą jedną i drugą dłonią dzierżącą rękojeść tuż przy

długim jelcu. Dzięki nie ludzkiej sile ramion i nadgarstków panował nieomylnie nad orężem.

Wyrzucił wirujący miecz wysoko w powietrze, po czym znów schwytał go za rękojeść. W następnej chwili podskoczył wysoko, obrócił się w powietrzu i opuścił klingę potężnym uderzeniem wymierzonym w głowę więźnia, naprzeciw którego się znalazł.

Tak się złożyło, że więźniem tym był Horace.

Tłum zamarł nagle i ucichł, gdy monstrualna postać wzbila się w powietrze, wykonała obrót i zadała cios. Widzowie spodziewali się, że ujrzą przepołowione ciało cudzoziemca – co najmniej aż po ramiona. Jednak w ostatniej chwili, dając pokaz zdumiewającej siły oraz panowania nad mieczem, Hassaun zatrzymał cięcie, tak że potężne ostrze ledwie musnęło włosy Horace'a.

Rozległ się ryk tłumu, który umilkł równie nagle, jak się rozpoczął, bo oto wszyscy zdali sobie sprawę, że młody cudzoziemiec nawet się nie poruszył, nie zmrużył choćby oczu. Nie uniósł związanych rąk w próżnym usiłowaniu, by zasłonić się przed morderczym uderzeniem. Po prostu stał bez ruchu i tylko spoglądał na kata, a na jego twarzy malowało się coś jakby pobażanie dla sztubackich popisów.

W rzeczywistości serce Horace'a biło jak oszalałe, a od przyływu adrenaliny omal nie zakręciło mu się w głowie. Nie zamierzał jednak niczego po sobie pokazywać. Ruch wielkoluda nie zaskoczył go zresztą tak bardzo, bowiem gdy ten wzbil się i obrócił w powietrzu przed nim, Horace zorientował się, co zaraz nastąpi, gdyż w trakcie obrotu olbrzym wziął jednocześnie zamach nad głową. W tym samym ułamku sekundy postanowił, że nawet nie drgnie, gdy brzeszczot opadać będzie na jego głowę. Wymagało to heroicznej wprost siły woli, ale udało mu się zachować niewzruszoną postawę. Uśmiechnął się.

Kicaj sobie i płasaj, ile tylko zechcesz, małpoludzie, pomyślał. Ja ci pokażę, z jakiej gliny ulepieni są aralueńscy rycerze.

Hassaun znieruchomiał. Zdołał tylko zmarszczyć brwi, przypatrując się z niedowierzaniem uśmiechniętemu młodemu człowiekowi, który wciąż sterczał przed nim. Dotąd za każdym razem jego markowany cios przynosił nieodmiennie ten sam skutek, ofiara padała na ziemię, zasłaniając głowę rękami i błagała o litość. Tymczasem ten młodzik grzecznie się do niego uśmiechnął. I nie do wiary, wyciągnął jeszcze przed siebie spętane ręce, zwracając dłonie ku rękojeści miecza.

–Bardzo mi się podobało – rzekł. – Pozwolisz, że teraz ja spróbuję? Chyba też tak potrafię.

Sprawił wrażenie, jakby naprawdę spodziewał się, że Hassaun odda mu miecz.

Oszołomiony kat cofnął się o krok. Czuł, że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Co gorsza, teraz odezwali się ci dwaj brodaci, niewychowani Skandianie, jeden po drugim:

–Pięknie, Horace – pochwalił młodego rycerza Erak, śmiejąc się radośnie.

Svengal także wyraził swoje uznanie:

–Świetnie, chłopie! Straszny Hassaun trochę się zdziwił, a kto wie, czy nie zgłupiał od tego zdziwienia do reszty!

Hassaun odwrócił się ze wściekłym wrzaskiem w stronę dwóch pokpiwających z niego Skandian. Miecz zatoczył krąg nad jego głową, lśniące ostrze zadało cios, tym razem poziomy, wymierzony prosto w szyję Eraka. Tak jak poprzednio, zatrzymał głównię zaledwie o milimetry od gardła Skandianina. Jednak, wzorem Horace'a, Erak zachował niczym

niezmałony spokój.

Odwrócił się tylko do swego towarzysza i rzekł lekceważąco:

–Ten człek ma krzepę w łapach. Ciekawe, czy tak samo dobrze poradziłby sobie z toporem w dłoni.

Svengal skrzywił się, ponieważ widział tę rzecz nieco inaczej.

–Ja tam bardziej jestem ciekaw, jak by sobie poradził z toporem w głowie – odparł i obaj zarechotali, nic sobie nie robiąc z kata.

Hassaun czuł, że tłum zaczyna się niecierpliwić i że podziw dla jego sprawności ustępuje uznaniu dla odwagi cudzoziemców. Zarówno Arydzi, jak i Tualegowie aż nadto obeznani byli z gwałtowną śmiercią, która była na porządku dziennym w tym dzikim kraju, toteż jedni i drudzy darzyli podziwem każdego, kto potrafił tak nieugięcie stawić jej czoło. Hassaun uświadomił sobie, że musi natychmiast odzyskać poważanie motłochu. Przeszedł wzdłuż rzędu skazańców, wypatrując słabego ogniwa.

Wzrok oprawcy padł na dziewczynę.

Ta nie zniesie grozy wymierzonego w nią morderczego ostrza. W jednej chwili zmieni się w szlochający, zalany łzami cień samej siebie. A wówczas – czuł to! – także i pozostałych, zdjętych litością dla niej, opuści niepojęta odwaga, jakiej jeszcze nigdy nie widział.

Pozwolił, by jego wściekłość nabrzmiała i nagromadziła się w nim, niczym wody wzburzonego górskiego potoku napierające na tamę, po czym dał jej upust przeciągłym, pełnym nienawiści okrzykiem. Przypadł do dziewczyny z uniesionym mieczem. W następnej chwili brzeszczot świstał wokół niej, nad nią, przed nią, wokół głowy; wbijał się w deski tuż obok jej stóp, aż całe podwyższenie drżało od siły ciosów. Każde z uderzeń miało ją o milimetry. Hassan dawał mrozący krew w żyłach pokaz wściekłości i siły.

Ale dziewczyna nawet nie drgnęła.

Evanlyn stała bez ruchu, wiedząc, że nie wolno jej nawet skrzywić się ani mrugnąć, kiedy głownia wielkiego miecza rozcinała powietrze o włos od jej twarzy i ciała. Zdawała sobie sprawę, że każde z tych uderzeń mogłoby rozplatać ją na pół, lecz zmusiła się, żeby nie okazywać lęku. Serce tłukło się w jej piersi, ale cokolwiek czuła, ukrywała to skrzętnie pod maską obojętności. Z początku nie była w stanie się nadziwić, jakim cudem Horace zdołał znieść coś takiego, jakby uczucie strachu o własne życie było mu całkiem obce. Teraz zrozumiała: nic podobnego, bał się, tak jak każdy. Tyle że okiełznał własny strach, bowiem jedynie tym sposobem mógł poniżyć tego podskakującego, napuszonego, nadętego głupca, który teraz wymachiwał swoim żelastwem przed jej nosem.

Postanowiła więc dopiec wielkoludowi wedle tej samej miary. Słyszała przecież, jak Yusal oświadczył, że Halt umrze pierwszy. Zresztą i przedtem wszyscy więźniowie spodziewali się tego, bowiem właśnie zwiadowca wzbudził największy gniew tualeskiego wodza. Czyli wszystkie te cięcia i podskoki wymierzone były tylko na pokaz, ku uciesze gawiedzi. Hassaun chciał za pomocą szermierczych sztuczek przerazić ją i upokorzyć. Ją, córkę króla! Ha, niedoczekanie. Z drugiej jednak strony, nie miała cienia wątpliwości, że najmniejszy błąd popełniony przez Hassauna kosztować ją będzie życie. Jeśli zaślepi go wściekłość, straci równowagę i chybi, nawet o pół centymetra, Evanlyn umrze.

Lecz wciąż stała bez ruchu, mając oczy otwarte, choć z rozmysłem nie skupiała wzroku, gdy ostra jak brzytwa i długa na niemal półtora metra klinga świstała w powietrzu tuż przy jej

twarzy, szyi, przy całym ciele.

Aż wreszcie Hassaun pojął swoją porażkę. Cofnął się, opuścił miecz. Jego tors lśnił od potu. W oczach widocznych znad zasłony malowało się ogłupiale zdumienie. A tłum milczał.

Potem zaś rozległ się gdzieś w oddali pojedynczy głos:

–Uwolnić ją!

Przyłaczył się do niego drugi, potem następny. Chwilę później już znaczna część zgromadzonych domagała się głośno jej ulaskawienia. W większości chodziło o Arydów, lecz Yusal zmrużył gniewnie oczy, widząc, że niejeden z jego współplemieńców i poddanych również uniósł rękę, domagając się uwolnienia Evanlyn.

Nieprzytomny z wściekłości, wystąpił do przodu. Dobył szabli dla dodania mocy swym słowom:

–Dosyć tego! – wrzasnął. – Milczeć! Milczeć, psy!

Gdy złowrogie spojrzenie Yusala omiotło zgromadzony tłum, okrzyki domagające się wolności dla Evanlyn zamarły. Stojący za nim Halt zdał sobie sprawę, że teraz właśnie grozi jej największe niebezpieczeństwo.

W tej chwili Yusal mógł wydać rozkaz, by uśmiercono ją natychmiast – aby uciszyć tych wszystkich, którzy domagali się ocalenia skazanej. Musiał odwrócić uwagę watażki, a znalazł na to tylko jeden sposób: skupić gniew Yusala na sobie. Postąpił więc krok do przodu i – starając się uczynić to tonem tak pogardliwym, jak tylko potrafił – zawołał głośno:

–Yusalu, doprawdy, robi się okropnie nudno. Długo jeszcze zamierzacie ciągnąć te jarmarczne popisy? Może miejmy to już wreszcie, hm – z głowy?

Yusal, jak smagnięty biczem, odwrócił się w jego stronę. Natychmiast zapomniał o Evanlyn. Tego człowieka wszyscy jego ludzie darzyli nienawiścią. Zajmie się więc nim, odzyskując panowanie nad sytuacją. Nikt nie będzie się domagał uwolnienia Halta. Wskazał ostrzem szabli na siwobrodego mężczyznę o zmierzwionych włosach.

–Zabij go! – rozkazał Hassaunowi. – Zabij go w tej chwili!

Dwaj z jego podwładnych powlekli Halta ku krawędzi szafotu, gdzie ustawiono katowski pień. Wielki kłoc drewna ociosano tak, żeby można było oprzeć klęczącą ofiarę tułowiem o ukośną powierzchnię. Kształt kłoca sprawiał, iż skazaniec żadnym sposobem nie zdołałby się uchylić od ciosu katowskiego miecza. Siepacze zmusili Halta, by uklęknął, po czym pchnęli go z całej siły na pień i przłożyli związane ręce do przodu, aby unieruchomić go w tej pozycji. Halt rozejrzał się, ujrzał przerażony wyraz twarzy Gilana. Uśmiechnął się ponuro.

–Will coś zwleka – stwierdził. – Już ja mu nagadam do słuchu, jak go zobaczę.

–Milczeć! – wrzasnął Yusal. Z trudem panował nad głosem, który zabrzmiał dziwnie cienko. – Odwróćcie go, odwróćcie, niech wszyscy zobaczą! – dodał, już trochę spokojniejszym tonem. Jeden z Tualegów pochwycił głowę Halta obiema rękami i zmusił go, by zwrócił się twarzą w stronę tłumy.

Teraz Halt spoglądał na wpatrzone w niego twarze. W tłumie zapanowała cisza, oczy widzów znieruchomiały. Nie zdołał jednak dostrzec w nich współczucia, a tylko tę niezdrową fascynację, z jaką motloch przypatruje się człowiekowi, który w następnej chwili ma umrzeć. Nagle jego wzrok zatrzymał się na obliczu, które wydało mu się dziwnie znajome. Tamten, gdy ich spojrzenia spotkały się, skinął nieznacznie głową. Halt przypomniał sobie, gdzie widział tego człowieka – oto jeden z arydzkich żołnierzy wakira, których Yusal pozostawił na pustyni. Tak,

**z całą pewnością!**

**Zgromadzeni wstrzymali oddech, kiedy Hassaun podszedł, wysunął do przodu prawą stopę, uniósł wielki miecz i wziął rozmach.**

**Chwila ciszy. A potem uszu Halta dobiegł syk, gdy coś z wielką prędkością przecięło powietrze. Odgłos zabrzmiał bardzo znajomo. Przez głowę zwiadowcy przemknęła myśl, że usłyszał właśnie świst brzeszczotu, który zakończy jego życie.**

**Zawsze go ciekawiło, jak to się stanie i co wtedy będzie czuł. Jeszcze ułamek sekundy i się dowie.**



## ROZDZIAŁ 45

Podejrzanie przerodziło się w pewność, gdy Talish, tualeski złodziej, spojrzal w górę i dostrzegł Willa, który wisiał uczepiony obiema rękami belki. Na ramieniu chłopaka ujrzał luk oraz kołczan pełen strzał.

Tualeg nie znalazł tego młodzika, lecz broń mówiła sama za siebie. Takie luki widział w rękach obcych, kiedy wraz z pobratymcami atakowali arydzkie obozowisko.

–To jeden z cudzoziemców! – krzyknął, wyciągając krzywe ostrze z pochwy. – Brać go!

Jego dwaj przybocznicy sięgnęli po broń i ruszyli za Talisem. Drogę zastąpił im Alum; odrzucił płaszcz, także dobył szabli.

–Dalej, Willu! – zawołał. – Ja się nimi zajmę!

Miał jednak do czynienia z trzema wytrawnymi zabijakami, którzy rzucili się na niego z furją. Alum bronił się dzielnie, lecz wobec znacznej przewagi nie miał szans. Oparł się plecami o mur i desperacko odbijał ciosy, jednak już po chwili jedna z głów ominęła jego zasłonę; ostrze trafiło porucznika w prawe ramię. Następny cios rozciął udo; zachwiał się i tylko w ostatniej chwili zdołał uniknąć cięcia wymierzonego wprost w gardło.

Will pozostawał bezradny; wisząc na rękach, nie zdołał w żaden sposób sięgnąć po luk ani tym bardziej z niego strzelić. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego towarzysz za chwilę zginie. Zasłony Aluma były coraz słabsze, coraz mniej zręczne; w następnej chwili otrzymał kolejny cios, tym razem w czoło, tak że krew zalała mu oczy, prawie oślepiając Arydę.

Od strony rynku Will słyszał głos tłumu, który skandował coraz głośniej i głośniej, coraz prędzej i prędzej:

–Hassaun! Hassaun! Hassaun! Hassaun!

Głos dobywał się z setek gardzieli i niósł się po ulicach miasta jak grom, budząc echo pośród ścian domostw i górskich zboczy.

Will wahał się przez chwilę. Alum umrze, jeśli natychmiast mu nie pomoże. Ale zarazem wrzask tłumu świadczył, że emocje na rynku sięgają zenitu. Jeszcze moment i może być za późno. Halt potrzebuje jego pomocy...

Jednak Alum walczył tu i teraz, zmagał się desperacko, byle tylko go ocalić. Will potrafił podjąć tylko jedną decyzję. Wymierzył dystans i puścił belkę, by natychmiast spaść, lądując w samym środku nierównej walki rozgrywającej się poniżej.

Wylądował stopami na ramionach Talisha. Tamten wrzasnął z bólu i przerażenia, gdyż spadające z wysokości czterech metrów ciało Willa dosłownie zmiażdżyło bandytę – rozległo się ohydne chrupnięcie łamanych kręgow, a za chwilę głuchy stuk czaszki uderzającej o twardą, kamienistą ziemię. Will potoczył się na bok siłą bezwładu, lecz cały impet upadku przeszedł na bezwładne już teraz ciało Tualega.

Zerwał się na nogi, bo dwaj pozostali opryszkowie od razu zwrócili się w jego stronę. Jednak zostali na tyle zaskoczeni nagłym pojawieniem się intruza, że wahali się przez moment – o sekundę zbyt długo. Will przyskoczył do nich, skracając odległość do bliższego z nich w ten sposób, żeby tamten nie zdołał dosięgnąć go klingą szabli.

*Jeśli jest taka możliwość, zawsze dąż do walki na bliski dystans.*

Halt wtoczył mu tę maksymę w głowę, powtarzając ją setki razy. A także drugą: *Ten z walczących, który posuwa się do przodu, dysponuje impetem, pozwalającym przejąć inicjatywę.*

Will zastosował teraz wpojona zasadę bez chwili zastanowienia. Ruszył do gwałtownego wypadu. Runął naprzód, jednocześnie dobywając długiego noża i jednym płynnym, ciągłym ruchem wykonał pchnięcie. Ugodził Tualega w brzuch.

Rozbójnik wydał krótki okrzyk zaskoczenia i bólu, po czym osunął się na ścianę; wypuścił z dłoni szablę, która z brzękiem upadła na kamienie.

Od strony rynku dobiegł odgłos wiwatów. Tłum znowu zaczął skandować imię Hassauna. Potem nagle nastąpiła cisza. To zaniepokoiło Willa bardziej niż chóralne okrzyki. Czas mijał nieubłaganie, a tymczasem pozostał jeszcze jeden bandyta, z którym należało się rozprawić.

Gdy Will zeskoczył na ramiona pierwszego z rozbójników, Alum oparł się o ścianę, by odetchnąć. Próbował tamować krew płynącą z ran na ramieniu, w nodze i tułowiu. Młody zwiadowca na jego oczach unieszkodliwił dwóch przeciwników, a trwało to ledwie kilka sekund; trzeci z Tualegów znajdował się w zasięgu szabli Aluma, toteż arydzki oficer postanowił znów włączyć się do walki.

Dźwignął się na kolana i ciał bandytę, lecz jego uderzenie okazało się zbyt słabe, w dodatku niecelnie wymierzone. Tualeg spostrzegł zagrożenie, odparował cios z łatwością, wytrącając jednocześnie szablę z dłoni Aluma. Następnym ruchem uniósł własny brzeszczot, by dobić Arydę. Był doświadczonym wojownikiem i nie wątpił, że zdąży zadać jeden szybki, zabójczy cios, nim będzie musiał stawić opór atakującemu cudzoziemcowi.

Will machinalnie wymierzył i gwałtownie wyrzucił ramię przed siebie tym ruchem, który ćwiczył niemal codziennie przez ostatnie pięć lat.

Tualeg, który uniósł rękę do zadania decydującego ciosu, stał całkowicie odsłonięty, kiedy w powietrzu błysnął ciężki nóż Willa. Poczul silne uderzenie w bok, tak mocne, że się zachwiał.

W następnej chwili z trafionego miejsca rozszedł się niepojęty, piekący ból; zbir zdążył jeszcze przez ułamek sekundy zastanowić się, co...

A potem nie czuł już nic.

Will doskoczył do Aluma, lecz w następnej chwili stanął jak wryty. Od strony rynku znów dobiegały głosy. Z początku pojedyncze, a potem coraz liczniejsze i liczniejsze, wspólnie powtarzające te same słowa. Zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, o co chodzi.

–Uwolnić ją! Uwolnić ją!

Zdał sobie sprawę, że wołanie z pewnością dotyczy Evanlyn. Przez chwilę poczul nawet przyływ nadziei. Czyżby zamierzali puścić wolno jego przyjaciół? Jednak w następnej chwili rozległ się ostry, gniewny głos Yusala, który przebił się nad okrzyki tłumu.

–Milczeć! Milczeć, psy!

Tłum ucichł. Alum, krzywiąc się od bólu, z wysiłkiem uniósł rękę, wskazując w stronę wieży. Usiłował wytłumaczyć Willowi, żeby wracał, żeby wspinał się czym prędzej na górę.

–Idź...! Spiesz się! Nie ma już czasu!

Alum zaniósł się kaszlem, szkarłatna krew splamiła przód jego szaty. Dalej jednak trzymał rękę wyciągniętą w stronę wejścia do wieży. Will zdał sobie sprawę, że istotnie nie ma chwili do stracenia. Być może potem zdoła zaopiekować się Alumem, teraz jednak trzeba ratować przyjaciół i dać znak Omarowi, by poprowadził do ataku resztę ludzi.

Nie zwracając już uwagi na przegnięte belkowania, zaczął znów wspinać się na szczyt wieży. O ile przedtem poruszał się powoli i ostrożnie, teraz wdrapywał się w gorączkowym pośpiechu. Nie dobierał starannie punktów oparcia, lecz przyjął założenie, iż im krócej ciężar

jego ciała będzie spoczywał na tej czy innej spróchniałej belce, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ta się pod nim załamie. Tak więc przemieszczał się błyskawicznie, zarówno z tego względu – jak i dlatego, że teraz już każda sekunda opóźnienia mogła pociągnąć za sobą fatalne następstwa. I rzeczywiście, tu i ówdzie kawałek rusztowania, na którym stał jeszcze przed chwilą, kruszył się, a potem spadał w dół, podczas gdy on balansował już na następnej belce – jeszcze nim szczątki spróchniałego drewna zdążyły roztrzaskać się o ziemię.

–Zabij go, w tej chwili! – usłyszał rozkaz wykrzyczany przez Yusala i jakimś tajemniczym sposobem wiedział, że chodzi właśnie o Halta.

W następnym momencie znalazł się na górnym podejściu, który na szczęście okazał się dość solidny. Zrzucił luk z ramienia, pochwycił go lewą dłonią. Prawa odnalazła strzałę w kołczanie i nałożyła ją na cięciwę. Kolejne ruchy wykonał machinalnie, nawet się nad nimi nie zastanawiając. Z tej wysokości widział doskonale płaskie dachy domów, a za nimi wypełniony po brzegi ludzkimi głowami rynek. Odnalazł wzrokiem szafot. Właśnie wtedy oprawcy zmusili Halta, by ukląkł przed katowskim pniem. Jego towarzysze stali nieco dalej, w tyle. Yusal z boku – złowroga postać o zasłoniętej twarzy, w ciemnych szatach. A po drugiej stronie – potwór. Gigantycznej budowy Tualeg, nagi do pasa, lecz z zakrytą głową i twarzą. Potężnie umięśniony, lśniący od oliwy, z ogromnym mieczem w dłoniach.

A więc oto jest Hassaun, zrozumiał Will. Hassaun, imię kata.

Widział, że Halt odwrócił się w stronę Gilana i coś do niego powiedział. Potem nastąpił rozkazujący ruch ręki Yusala. Dwóch bandytów odwróciło głowę Halta twarzą w stronę tłumu.

Kat podszedł do skazańca. Miecz powędrował nad jego głowę.

Will napiął luk, aż czubek palca wskazującego prawej ręki musnął kącik ust chłopca. Umysł i zmysły w ułamkach ułamków sekund dokonywały analizy strzału, który miał oddać. Odległość? Nieco ponad sto dwadzieścia metrów. Grot strzały uniósł się odrobinę. Wiatr? Nieznaczny, bez istotnego wpływu na trajektorię lotu pocisku.

Kat, teraz już całkiem wyprostowany, znieruchomiał, mierząc uważnie, by zadać nieomylny cios. Will zdawał sobie sprawę, że jego strzała nie może chybić. Nie starczy czasu na wypuszczenie drugiego pocisku. Nie pozwolił, by zwątpienie osłabiło jego pewność, nie dopuścił do siebie myśli, że mógłby nie trafić.

*Jeśli zastanawiasz się, czy aby na pewno trafisz, to z pewnością chybisz - zapewniał go po wielokroć Halt.*

Usłyszał przeciągłe westchnienie, gdy kilkuset widzów wstrzymało oddech. Oczyścił umysł z wszelkich wątpliwości i niepokoju, po czym pozwolił, by cięciwa uwolniła się z uchwytu jego palców, prawie tak, jakby uczyniła to z własnej woli. Strzała poszybowała ku swemu celowi.

## ROZDZIAŁ 46

Gilan przyglądał się bezradnie, jak potężny miecz wznosi się coraz wyżej i wyżej. Jego twarz zastygła w wyrazie bezsilnego przerażenia. Oto miał ujrzeć na własne oczy, jak ginie człowiek, którego kochał jako przyjaciela oraz poważał bezmiernie jako swego nauczyciela. I nie mógł zrobić nic, zupełnie nic, by temu zapobiec. Chciał choćby wykrzyczeć imię Halta, lecz głos ugrzązł Gilanowi w gardle, a tylko lzy ciekły mu po policzkach.

Ostrze miecza uniosło się jeszcze wyżej. W każdej chwili mogło opaść. Wówczas...

Wszelako, co zdumiewające, ostrze unosiło się wciąż, aż dźwignęło się do pionu, po czym przechylało się dalej w tył, choć przecież znalazło się już w pozycji najlepszej do zadania ciosu. Jednak minęło tę pozycję, wędrując wciąż dalej w tył...

Z kilku punktów dobiegły okrzyki zdumienia. Gilan zmarszczył brwi. Co ten Hassaun wyprawia?

Tymczasem miecz wędrował swym dziwnym torem, aż wyprostowane teraz całkowicie ramiona kata i ciężka broń pociągnęły Haussauna za sobą, gdy padał na deski z głośnym trzaskiem. Dopiero wtedy skazańcy na platformie ujrzeli to, co zgromadzony na rynku tłum widział już wcześniej: szare pióra beltu strzały, która wbiła się głęboko w pierś oprawcy. Kiedy Hassaun upadł obok swego miecza, był już martwy.

–To Will! – zakrzyknął Gilan, rozglądając się gorączkowo po tłumie, by wypatrzyć kryjówkę przyjaciela.

Kłęczący przy drewnianym bloku Halt opuścił głowę, zamknął oczy i odmówił szeptem dziękczynną modlitwę.

Wokół nich rozpętało się istne piekło. Najpierw Yusal z niedowierzaniem przyglądał się katowi, który jeszcze przed chwilą dał tak imponujący pokaz sprawności, a teraz po prostu nie żył. W następnej chwili, gdy ujrział strzałę, domyślił się natychmiast, kto stanie się kolejnym celem. Wciąż dzierżąc szablę w dłoni, zawahał się przez chwilę, bo kusilo go, by samemu rozprawić się z kłęczącym skazańcem. Wiedział jednak, że nie zdąży tego uczynić. Odwrócił się w prawo, żeby uciec.

Nim pierwsza strzała powaliła Hassauna, już druga pędziła swoim torem. Gdy Will wypuścił śmiertelny pocisk, wiedziony nieomylnym instynktem wyborowego strzelca wiedział, że strzała nie chybi celu. W czasie krótszym, niż się o tym opowiada, nałożył kolejną strzałę, naciągnął luk i wypatrzył sylwetkę Yusala w ciemnych szatach. Zwolnił cięciwę.

Yusala ocalał wyłącznie dlatego, że odwrócił się w prawo. Strzałę wycelowano w jego serce, tymczasem, odwróciwszy się, nastawił ramię – ostry grot rozharatał mięśnie w górnej części lewej ręki. Wrzasnął z bólu i wściekłości, upuścił szablę, osłonił ranę prawą dłonią. Zachwiał się, lecz wiedział, że nie zostało mu ani chwili do stracenia, toteż, skulony w pół, zeskoczył z drewnianej platformy, wciąż ściskając kurczowo lewe ramię, z którego tryskała krew.

Will dostrzegł to i zrozumiał, że tym razem chybił, lecz na trzeci strzał zabrakło czasu. Były teraz pilniejsze sprawy. Yusal co prawda znikł, ale na całej platformie kręciło się jeszcze pełno uzbrojonych Tualegów, którzy bezpośrednio zagrażali jego przyjaciołom. Kolejną serią wyćwiczonych ruchów posłał następne i następne, a potem jeszcze następne pociski. Rozległy się okrzyki bólu i przerażenia trafianych jeden po drugim strażników.

Czterech leżało martwych lub ciężko rannych, nim pozostali zorientowali się, jakie

niebezpieczeństwo im grozi. Zrozumieli, że dopóki nie opuszczą drewnianego podium, wystawiają się na mordercze strzały, toteż już po chwili ogromnymi susami czmychali co prędzej w tłum na dole. Bedulini oraz arydzcy żołnierze odrzucili płaszcze, dobyli broni i zaatakowali Tualegów. Wkrótce liczne zawzięte starcia rozgorzały na całym rynku. Mieszkańcy Maashavy starali się uciec, lecz wielu z nich ucierpiało od szabel Tualegów, którzy walczyli na oślep, siekąc bronią, jak popadło, bowiem nie mogli się zorientować, kto w tym ścisisku jest ich wrogiem, a kto tylko przypadkowym widzem.

Na szafocie pozostało ledwie kilku strażników. Nie na długo: Erak ze Svengalem wspólnymi siłami pochwycili jednego z nich, a potem wespół miotnęli żywym pociskiem w trzech towarzyszy zbira. Cztery ciała zwały się bezładnie w walczący tłum. Tymczasem Gilan pochwycił szablę porzuconą przez Yusala i rozciął nią szybko więzy krępujące dłonie Evanlyn.

Horace, niewiele myśląc, także natychmiast przystąpił do działania – jak przystało na wytrawnego wojownika. Przede wszystkim przypadł do Halta, który usiłował się uwolnić; zresztą zdążył już podźwignąć się z klęczek i próbował przełożyć związane ręce przez pień. Horace dopomógł mu, a potem odwrócił go w stronę stojącego kilka metrów dalej Gilana, który rozcinał pospiesznie więzy Eraka oraz Svengala.

–Gilan rozetnie także twoje sznury! – zawołał, popychając lekko zwiadowcę w stronę towarzysza. Następnie młody rycerz rozejrzał się znów po placu oraz sięgnął wzrokiem dalej, próbując wypatrzeć Willa. Tym razem dostrzegł sylwetkę na wieży strażniczej. Druh Horace'a nosił jakieś dziwne ubranie, lecz długi luk w dłoni nie pozostawiał wątpliwości. Horace zaczerpnął tchu i wykrzyknął:

–Willu!

W szkole rycerskiej uczono go, jak modulować głos, by przekrzyczeć zgiełk bitewny, toteż Will usłyszał przyjaciela wyraźnie. Uniósł dłoń na powitanie. W odpowiedzi Horace wznosił nad głowę obie związane ręce i wskazał na nie wzrokiem. Pochylił się, oparł obie dłonie o katowski pień, starając się zarazem rozsunąć ramiona jak najszerzej, aby napiąć pętające je sznury. Odwrócił twarz, następnie zaś zamknął oczy – w nadziei, że zwiadowca dobrze zrozumiał przekazaną w ten sposób wiadomość.

Świst i głuche uderzenie.

Poczuł, że więzy nieco ustąpiły. Otworzył oczy, ujrzał drżącą strzałę wbłą w drewno. Will przeciął w ten sposób jeden z krępujących go sznurów, dwa pozostałe nadal pozostały nienaruszone.

–Wyszedłeś z wprawy – zganil go pod nosem Horace. Jednak rozwiązanie problemu miał tuż przed sobą – ostrą niczym brzytwa krawędź grotu. Horace potrzebował już tylko sekund, żeby rozciąć pozostałe więzy i uwolnić dłonie.

Tymczasem na rynku zdołała uformować się niewielka grupka Tualegów, którzy teraz, ustawieni w bojowy klin, zmierzali ku schodom prowadzącym na platformę. Horace uśmiechnął się ponuro, pochylił się i sięgnął po wielki dwuręczny miecz, który jeszcze niedawno należał do kata. Wykonał kilka cięć w powietrzu, by sprawdzić wyważenie broni.

–Może być – stwierdził.

Gdy pierwsi dwaj Tualegowie wbiegali po schodach na szafot, ujrzeni obraz rodem z najstraszniejszych koszmarów. Zaatakował ich rosły cudzoziemiec, kręcący młyńca potężnym mieczem. Klinga furkotała w powietrzu, intonując złowrogi zew śmierci. Pierwszy zdołał

zasłonić się tarczą. Ciężka głownia roztrzaskała wykonany z drewna oraz metalu puklerz, który złożył się w pół na żołnierskim ramieniu. Siła uderzenia okazała się tak wielka, że cisnęła Tualegiem z powrotem o schody; spadając, przewrócił jeszcze dwóch swoich towarzyszy.

Drugi, który skradł się nieco z tyłu, po prawej stronie, machnął szablą, by sięgnąć Horace'a. Lecz kontrując uderzenie młodego rycerza trafiło w klingę przeciwnika, tuż u nasady, odcinając brzeszczot, jakby został wykonany z drewna. Tyle że koczownik okazał się mocniejszy oraz waleczniejszy niż większość Tualegów. Gdy ujrzał, co stało się z jego bronią, nie zatrzymał się nawet, wypuścił tylko z dłoni bezużyteczną rękojeść, po czym dał susa do przodu, nurkując pod mieczem, który wznosił się już w rękach Horace'a do następnego cięcia. Czyniąc to, dobył kindżału zza pasa i trafił nim Horace'a w ramię.

Z miejsca pojawiła się cienka czerwona linia, z której zaraz pociekła krew. Horace nie zwróciłby uwagi na skaleczenie, poczuł jednak gorąco krwi ciekącej po skórze, toteż zrozumiał, że został trafiony. Nie miał pojęcia, czy doznał poważnego zranienia, gdyż brakowało choćby chwili, żeby się nad tym zastanawiać: jego życiu zagrażało bowiem prawdziwe niebezpieczeństwo, skoro Tualeg znalazł się tak blisko, że nie sposób go było sięgnąć ostrzem potężnego miecza.

Na szczęście każdym orężem posłużyć się można na różne sposoby. Horace po prostu zadał napastnikowi potężne uderzenie mosiężną głowicą rękojeści, roztrzaskując opryszkowi czaszkę. Częściowo impet uderzenia wyhamowało nakrycie głowy, lecz i tak rozbójnik przewrócił oczyma, z miejsca tracąc przytomność. W tej samej chwili, nim Tualeg zdążył runąć bezwładnie na deski, Horace pchnął go ramieniem i zrzucił z platformy tam, gdzie kotłowały się ciała wrogów, którzy spadli chwilę wcześniej.

Horace stanął teraz na szczycie schodów, szeroko rozstawił nogi, zataczając kręgi klingą miecza. Widząc, jaki los spotkał tych, którzy próbowali wspiąć się na górę, pozostali Tualegowie uznali, że nie warto próbować szczęścia. Halt i Selethen zajęli pozycję po przeciwnej stronie szafotu. Plac tymczasem stopniowo pustoszał – w miarę, jak mieszkańcy Maashavy przedzierali się przez tłum walczących w kierunku dochodzących do rynku uliczek. Na placu boju zostali tylko arydzcy żołnierze, Bedulini oraz Tualegowie. Przewaga liczebna zbirów Yusala stawała się coraz widoczniejsza.

–Tubyłcy jakoś nie kwapią się, żeby nam pomóc – zauważył półgłosem Halt.

Zwiadowca, a także wakir, podobnie jak chwilę wcześniej uczynił to Gilan, uzbroili się w szable odebrane powalonym strażnikom. Skandianie zaopatrzyli się we włócznie, również do niedawna pozostające na wyposażeniu tualeskich bandytów. Evanlyn tymczasem dokonywała jakichś tajemniczych czynności, odplątując rzemień, który dekorował jej szeroki skórzany pas. Halt zerknął na dziewczynę z zainteresowaniem, bo w pierwszej chwili nie potrafił zrozumieć, po kiego licha w takiej chwili zajmuje się przede wszystkim porządkowaniem własnych szatek. Lecz jego uwagę od królowy odwrócił Selethen, odpowiadając na rzuconą przed chwilą uwagę Halta:

–Nawykli poddawać się, a nie walczyć. Potrafią myśleć tylko o ocaleniu własnej skóry

–stwierdził wakir. Niczego więcej, żadnej pomocy nie spodziewał się po mieszkańcach miasta. Wręcz przeciwnie, przecież tak niedawno na własne uszy słyszał okrzyki wyrażające radość, że zostanie stracony urzędnik emrikira.

Zgodnie z ustalonym wcześniej planem, arydzcy i bedulińscy wojownicy skupili się teraz

wokół szafotu. Selethen rozejrzał się; na jego twarzy widniał niepokój.

–Jest ich zaledwie kilkudziesięciu – stwierdził. – Skąd oni się wzięli?

–Sprowadził ich Will – odpowiedział Halt. Wskazał w stronę rozwalającej się wieży, na której dostrzegł wreszcie drobną postać dzierżącą luk. Pomachał mu ręką i jakoś Haltowi lżej na sercu się zrobiło, kiedy chłopak odpowiedział tym samym. Na razie Will oszczędzał strzały – szczególnie, iż miał nadzieję, że uda mu się wypatrzeć Yusala.

–Will? – zdziwił się Selethen. – Ten twój uczeń? Jakim cudem znalazł ludzi, którzy przyszli nam na ratunek?

Halt uśmiechnął się.

–Will ma własne sposoby. Selethen zmarszczył czoło.

–W takim razie szkoda, że nie użył tych sposobów, by sprowadzić więcej ludzi.

–Nie sądzisz, że powinniśmy zejść i przyłączyć się do nich? – Halt wskazał wojowników, którzy otoczyli platformę szafotu. Selethen zerknął na niego, śmignął raz i drugi szablą w powietrzu, a następnie przytaknął:

–Chyba najwyższy czas – stwierdził.

\*\*\*

Hassan chwycił Omara za ramię, wskazując mu basztę wznoszącą się obok tej, na którą obaj dotąd spoglądali.

–Jest! – zawołał. – Jest, tylko że siedzi na tej drugiej wieży!

Jak usłyszeli wyraźnie, nagle w miasteczku zapadła grobowa cisza – stało się to wtedy, gdy Hassaun padł bez życia. Potem doszedł ich szcęk broni i krzyki. Widocznie bitwa rozgorzała, co do tego nie mogło być dwóch zdań. Lecz cudzoziemiec wciąż nie pojawiał się na umówionej pozycji. Trębacz Aluma także się nie odezwał. Pech chciał, że zabito go na samym początku utarczki, niemal przypadkowo. Tak to już zdarza się na wojnie, że jeśli coś może pójść źle, najczęściej idzie źle.

Hassan dopiero teraz zauważył jakiś ruch na szczycie drugiej wieży. Will zasypywał strzałami strażników, nim zdążyli uciec z platformy.

–To nie ta wieża! – oburzył się aszejk.

Hassan potrząsnął głową.

–I co z tego? Jest na wieży. Na co czekamy?

Omar zdążył już dojść do tego samego wniosku, bowiem dobył szabli, po czym zwrócił się do ukrytych w wąwozie wojowników.

–Naprzód! – wrzasnął, a oni pobiegli za dowódcą pylistą drogą wiodącą do Maashavy, wznosząc bojowe okrzyki.

\*\*\*

Gilan zajął miejsce w szeregu obrońców opasującym teraz platformę szafotu. Wkrótce okazało się, że fechtując krzywą klingą szabli, radzi sobie nie gorzej, niż kiedy dzierży w dłoni prosty miecz. Wyprowadzał uderzenia szybkie jak błyskawica, a przy tym nad wyraz skuteczne. Przeciwnicy fechmistrza z Araluenu padali lub cofali się chwiejnym krokiem, chwytali się za zranione miejsca, by po chwili osuwać się na ziemię. Jednak, mimo całego bitewnego zamieszania, Gilan wciąż rozglądał się przede wszystkim za jedną z zamaskowanych twarzy – szukał mianowicie Tualega, który tak zawzięcie znęcał się nad nim w drodze do obozowiska i potem, kiedy zmierzali do Maashavy.

I oto spostrzegł go teraz. Co więcej, dojrzał w jego oczach błysk. Tamten nie zamierzał unikać cudzoziemca; przeciwnie, zaczął przedzierać się przez tłum, by skrzyżować klingę z młodym zwiadowcą. Gilan powitał przeciwnika uśmiechem, choć uśmiechem złowrogim.

–No, proszę. I oto znów się spotykamy – stwierdził. Tualeg nie rzekł ani słowa.

Spojrzał tylko na Gilana znad niebieskiej zasłony. Już przedtem znienawidził do szpiku kości

przeklętych cudzoziemskich łuczników, a teraz jego towarzysze znów padali jak muchy od zdradzieckich strzał. Pragnął zemsty, lecz nim zdążył zadać pierwszy cios, Gilan odezwał się

znowu: – Chyba warto przyjrzeć się twej obmierzłej mordzie, parszywcu! – zawołał.

Ostrze

szabli tylko mignęło, wznosząc się z szybkością atakującego węża, a już w następnej sekundzie opadając.

Szabla zwiadowcy rozcięła błękitny woal z boku, tam gdzie umocowany był do kefilii.

Niebieska zasłona opadła, zwisając z boku.

Twarz, która ukazała się spod woalu, nie wyróżniała się niczym szczególnym – może tylko tyle, iż jej dolna połowa okazała się nieco jaśniejsza od górnej – spalonej słońcem, ogorzałej od smagnięć wiatru. Oczy Tualega pały nienawiścią do Gilana i jemu podobnych. W następnej chwili zbir śmignął do przodu, przeprowadzając morderczy wypad.

Brzęknęła stal, Gilan sparował uderzenie. Tualeg zadał następny cios, tym razem próbując ciąć w rękę. Gilan jednak wziął jego ostrze na jelec swojej broni, po czym potężnym ruchem, wiążącym żelazo przeciwnika, odchylił je na bok, przechodząc do błyskawicznego ataku. Zadał kilka ciosów; komuś obserwującemu pojedynek mogłoby się wydawać, iż padają ze wszystkich stron jednocześnie. Szabla w dłoni Gilana cięła z góry i z boków, zadawała pchnięcia i znów cięła...

Tualeg także był doświadczonym szermierzem, więc bronił się wcale skutecznie, lecz miał do czynienia z mistrzem. Gilan zmusił go do cofnięcia się; wojownicy walczący obok młodego zwiadowcy także postąpili do przodu, by chronić go po bokach. Tymczasem Tualeg, z którym walczył, znajdował się już u kresu sił. Dyszał ciężko, pot zalewał mu twarz, choć wciąż bronił się rozpaczliwie, odbijając kolejne uderzenia. W pewnej chwili odsłonił się jednak. Gilan natychmiast wykorzystał błąd. Zrobił wypad prawą nogą, po czym zadał klasyczne pchnięcie przy użyciu ostrza odwróconego krzywizną do góry. Szpic szabli wniknął głęboko w ramię Tualega.

Gilan cofnął się, a tamten wypuścił szablę z dłoni. Z rany pociekła krew, czarna szata przesiąkła posoką w jednej chwili. Gilan opuścił klingę. Na ten krótki moment walka wokół nich ustała, bowiem wszyscy przyglądali się pojedynekowi.

–Możesz poddać się, jeśli zechcesz – rzekł spokojnym głosem Gilan.

Tualeg skinął głową, choć jego oczy wciąż płonęły od nienawiści.

–Tak. Poddaję się – wycharczał głosem niewiele donioślejszym od szeptu. Gilan cofnął się od razu. Ale w tej samej chwili, nastąpił na ramię bedulińskiego wojownika powalonego wcześniej w bitwie. Zachwiał się, zerknął pod stopy. Odwrócił uwagę najwyżej na mgnienie oka. Lecz to wystarczyło pokonanemu Tualegowi. Dobywszy lewą ręką zza pasa



**krzywy sztylet, od razu skoczył w stronę zwiadowcy.**

**Rozległ się świst, następnie odgłos potężnego uderzenia.**

**Tualeg zamarł w pół kroku. Jakby złamał się w pasie, gdy dosięgła go głownia Horace'a. Horace błyskawicznie wyszarpnął miecz, a wówczas tualeski wojownik runął na bruk niczym szmaciana lalka.**

**–Nigdy nie spuszczaaj przeciwnika z oka – pouczył Horace Gilana. – MacNeil cię tego nie nauczył?**

**Gilan skinął głową, by podziękować rycerzowi. Bitwa wokół tymczasem ustała, przeciwnicy głównie spoglądali teraz po sobie, mierząc się wzrokiem... Być może pomimo liczebnej przewagi Tualegowie zrezygnowaliby z dalszej walki lub wycofali się, lecz wtedy z przeciwległego krańca placu rozległ się głos.**

**To Yusal zwoływał do siebie poddanych, zagrzewając ich do dalszego boju.**

## ROZDZIAŁ 47

–Jeźdźcy Błękitnej Zaslony! Tualescy wojownicy! Słuchajcie mnie!

Ostry, chrapliwy głos Yusala zabrzmiał donośnie pośród ciszy, jaka zapanowała przez chwilę na rynku. Jak na komendę nie tylko Tualegowie, lecz także Arydzi i Bedulini odwrócili się ku niemu.

Stał po wschodniej stronie placu. Wspiął się na stragan, by było go lepiej widać oraz słyhać. Halt zauważył, że jego ramię jest owiązane prowizorycznym opatrunkiem. Wodzowi rozbójników udało się opuścić platformę szafotu, korzystając z zamieszania, jakie powstało, kiedy nadleciały pierwsze strzały Willa. Teraz zdołał zgromadzić wokół siebie dwudziestu wojowników, którzy stali z dobytą bronią, gotowi do walki, spoglądając groźnie znad ciemnobłękitnych zasłon.

Z placu zniknęli już mieszkańcy miasta, z wyjątkiem tych, którzy dostali się w śmiertelną pułapkę, trafiając między wojowników obu walczących stron. Ich ciała spoczywały na bruku.

Ze swego stanowiska na wieży Will także usłyszał słowa zbójckiego aszejka. Yusal jednak zadbał o to, by skryć się przed jego strzałami za budynkami północnej pierzei rynku.

–Spójrzcie na siebie i spójrzcie na wrogów! Jest ich ledwie pięćdziesięciu! – przemawiał dalej Yusal. Nie mylił się, wielu Arydów i Bedulinów padło, by nie powstać już nigdy więcej. Ci, którzy pozostali, zgromadzili się wokół drewnianego podwyższenia, na którym miała się odbyć egzekucja Halta i jego towarzyszy. – Jest nas więcej, o wiele więcej!

Jeśli złączymy siły, damy im radę! Zmiażdżymy ich!

Tualegowie zdali sobie sprawę, że wódz ma rację. Skwitowali słowa Yusala gniewnym pomrukiem, dobytym z dziesiątków gardzieli. Owszem, oni także ponieśli straty. Skoro jednak rozpoczęli walkę, dysponując ponad trzykrotną przewagą – to przecież stosunek sił nadal nie uległ zmianie. Teraz, gdy Yusal im to uświadomił, zdali sobie w pełni sprawę, że stać ich na rozgromienie stosunkowo nielicznych przeciwników.

–Seley el'thenie! Daję ci jedną, ostatnią szansę. Rzućcie broń, poddajcie się!

Selethen zaśmiał się kpiąco.

–Mamy się poddać? Sądzisz, że uwierzymy w twoją łaskawość, Yusalu? Dopiero co o mało nie zabiłeś nas wszystkich!

Yusal rozłożył ręce.

–Lepiej uwierz mi, Seley el'thenie – odparł. – Jest w mojej mocy zapewnić ci dobrodziejstwo szybkiej śmierci. W przeciwnym razie będziecie umierali przez długie dni. Wiesz dobrze, że moi ludzie są mistrzami powolnej tortury.

Selethen zerknął z ukosa na Halta.

–To akurat święta prawda – rzekł półgłosem. – Dlatego bez wątpienia lepiej dla nas, byśmy umarli z bronią w ręku.

Halt chciał odpowiedzieć, ale powstrzymał się. Doszedł go dziwny odgłos, jakby buczenia, a może brzęczenia, które narastało i stawało się coraz wyższe. Nie miał pojęcia, co to takiego. Potrząsnął głową, by nie zaprzętać sobie tym myśli. Odpowiedział:

–Jestem tego samego zdania – stwierdził. – Walczmy do końca. A zresztą, któż to wie, nigdy nie wiadomo, kiedy zdarzy się odmiana losu!

Yusal odczekał chwilę. Kiedy zorientował się, że nie otrzyma odpowiedzi od Selethena,

uniósł ramię nad głowę. Za chwilę da swym ludziom sygnał do ostatecznego ataku, który definitywnie unicestwi słabszych liczebnie nieprzyjaciół.

–Doskonale! Skoro odrzucasz moją wielkoduszną propozycję, gorzko tego pożałujesz! Wojownicy Tualegów, niech...

Urwał niespodziewanie. Wydał stłumione stęknienie, chwycił się nagle obiema dłońmi za czoło. Coś pacnęło o bruk, a potem ręce Yusala opadły, odsłaniając krwawą maskę zamiast oczu i górnej części twarzy. Krew momentalnie zalała błękitną zasłonę. Tualeg postąpił chwiejnie do przodu, uczynił krok, trafił stopą w próżnię i zwałił się jak długi na kamienistą nawierzchnię rynku. Zamarł w bezruchu.

Wśród Tualegów zapanowało niespokojne poruszenie. Ich dowódca padł jak rażony gromem z jasnego nieba – gromem, którego nikt nawet nie usłyszał. Żaden z rozbójników nie miał pojęcia, jakaż to broń powaliła ich herszta. Tylko jedno głuche stuknięcie, a potem struga krwi, która zalała mu oczy.

Jeźdźcy pustyni byli przesądni. Wierzyli, że pośród gór mieszkają dżiny, demony i duchy. Od razu przyszło im więc na myśl, że zjawił się któryś z owych nadprzyrodzonych stworów i zadał cios ich wodzowi, posłużywszy się nadnaturalną siłą. Kilku uczyniło krok czy dwa w tył, potem także inni zaczęli cofać się przed niewytłumaczalną mocą, która najwyraźniej postanowiła opowiedzieć się po stronie Arydów i Bedulinów. Rozmawiali ze

sobą półgłosem, gorączkowo wpytując się wzajemnie, co też mogło przytrafić się Yusalowi. Wszakże jeden z jego zastępców, dzielniejszy od pozostałych, wskoczył na stragan, by zająć miejsce, które przed chwilą zajmował wódz. Teraz on postanowił poprowadzić wojowników do boju.

–Tualegowie! – zawołał, przekrzykując gwar ich głosów. – Już czas, by...

Znów rozległo się głuche uderzenie. Tak samo jak Yusal, człowiek ów chwycił się za czoło. Próbował przytrzymać się sterczącego drągu, nie trafił w niego rękami, więc osunął się na ziemię. Tam skulił się na klęczkach. Trzymając się oburącz za twarz, jęczał z bólu.

Tym razem Halt zauważył, jak Evanlyn opuszcza procę. Dostrzegła jego spojrzenie i posłała mu zbójcecki uśmiech. Zauważył także, iż nie miała już na szyi dziwacznej kolii z okrągłych kamieni.

–Proszę, proszę. Kto by pomyślał? – zadał pytanie, nie skierowane zresztą do nikogo konkretnego.

Przestraszeni, zdeorganizowani, a przy tym przepelnieni przesądnym lękiem, Tualegowie zaczęli się wycofywać. W tej samej jednak chwili rozległy się bojowe okrzyki i na scenę wkroczyli Bedulini pod wodzą Omara. Wpadli na plac, w mgnieniu oka utworzyli półokrąg, otaczając Tualegów, którzy zostali nagle wzięci w dwa ognie – z jednej strony mieli za przeciwników nowo przybyłych zbrojnych, a z drugiej zacięcie broniących się pięćdziesięciu z górą obrońców oraz niedoszłych skazańców.

W gruncie rzeczy „Jeźdźcy bez twarzy”, „Zapomniani przez Boga” Tualegowie, byli przede wszystkim bandytami i złodziejami. Potrafili bezlitośnie walczyć, ale tylko wtedy, gdy dysponowali zdecydowaną przewagą. Póki zdawało im się, że liczebność przemawia na ich korzyść, bez oporów nadstawiali karku. Teraz, gdy szanse się wyrównały, a nie mieli już przywódcy, nagle ostygł w nich wojenny zapal.

Z początku pojedynczo, a potem coraz gęściej szable zaczęły padać na ziemię u ich stóp.

\*\*\*

–Jest jeszcze jedna sprawa, którą koniecznie trzeba się zająć... – stwierdził Erak.

Wojownicy Omara rozbili pozostałych Tualegów. Obecnie zajęci byli

obezwładnianiem ich – wiązali jeńcom ręce na plecach i sadzali ze skrzyżowanymi nogami na bruku. Yusala także skępowano, po czym zabrano pod strażą do tego samego magazynu, w którym więził Halta, Selethena, a także innych. Aszejk był nadal oszołomiony i tylko na poly przytomny. Ciężka kula z procy Evanlyn przyprawiła go o wstrząśnienie mózgu.

–Toshak? – domyślił się Svengal. Erak skinął głową.

–Owszem, Toshak. Ten zdradziecki wieprz skorzystał z zamętu i dał nogę.

–Kiedy wszystko się zaczęło, stał tuż pod platformą – przypomniał Halt. Evanlyn przytaknęła:

–Istotnie, ale kiedy Will zaczął strzelać, pognął w stronę kolumnady – powiedziała i rozejrzała się wokół. – Właśnie, gdzie podziewa się Will? Czyżby coś go powstrzymało?

\*\*\*

Will klęczał wśród gruzów, u stóp wieży strażniczej. Odrzucił luk oraz strzały, oparł głowę Aluma o swoje kolano. Arydzki oficer umierał. Odniósł zbyt liczne rany, utracił zbyt wiele krwi. Kiedy Will zeskoczył z najniższej belki, aby się nim zająć, spojrzal opodal i ujrzał tłustego kupca, który ich wydał bandytom. Grubas stał przerażony, nie wiedząc, co ze sobą począć.

–Znajdź jakiegoś medyka! – rozkazał, a gdy tamten wciąż się nie ruszał, powtórzył niecierpliwie: – No, idź już! Znajdź mi medyka! Tylko migiem!

Kupca zdradził wyraz oczu. Spuścił wzrok, odwrócił się, chciał się oddalić. Głos Willa powstrzymał go.

–Czekaj!

Tamten odwrócił się, ale wciąż omijał oczy Willa.

–Spójrz na mnie – rozkazał zwiadowca; opornie, niechętnie, zdrajca popatrzył mu wreszcie w oczy. – Posłuchaj uważnie: jeśli nie wrócisz, możesz być pewien, że cię odnajdę.

Wytropię cię, gdziekolwiek się skryjesz – zapewnił go. – A wtedy pożałujesz, żeś się w ogóle

urodził.

Widział, jak w źrenicach tłuszciocha obawa przed nieuchronną karą natychmiast bierze górę nad zdradzieckim zamiarem ucieczki. Szybko przytaknął. Odwrócił się i znikł w jednej z uliczek.

Alum gorączkował, szeptał coś cicho, niewyraźnie. Will odpiął od pasa porucznika małą manierkę, przyłożył ją do ust rannego. Na kilka chwil spojrzenie Aluma rozjaśniło się. Podniósł wzrok na Willa.

–Zwyciężyliśmy? – spytał.

–Tak – powiedział Will. Ujrzał ulgę w oczach Aluma. Oficer próbował nawet dźwignąć się do pozycji siedzącej, ale Will powstrzymał go łagodnie. – Wypoczywaj – rzekł. – Wkrótce zjawi się medyk.

–Co z wakirem? – zaczął Alum, lecz zaraz przerwał, z trudem chwytając oddech, jakby wypowiedzenie tych trzech słów wyczerpało go do cna. – Czy... jest bezpieczny? Will przytaknął.

–Nic mu się nie stało. Widziałem go, jak rozmawiał z Haltem, kiedy było już po wszystkim. Za to coś stało się z Yusalem – dodał, wciąż nie wiedząc, jakie wydarzenia rozegrały się na rynku. Słyszał tylko, że Yusal zaczął przemawiać, a potem nagle urwał i wydał z siebie okrzyk bólu. Nie miał pojęcia, jak mogło do tego dojść, skoro przecież

żaden z

jego przyjaciół nie miał przy sobie łuku.

Alum znów pograżył się w malignie, jakby porucznikowi wystarczała świadomość, że jego wodzowi nic nie grozi. Ramiona oraz nogi wpadły mu w dygot, oddychał krótko, urywanie.

Will usłyszał czyjeś kroki, więc sięgnął po rękojeść saksy. Wyrwał ją z ciała martwego Tualega, gdy tylko zszedł na dół. Z cienistej uliczki wyłoniły się dwie postacie. Rozpoznał grubego kupca, towarzyszył mu starszy mężczyzna, dźwigający na ramieniu skórzaną torbę.

–Ten człowiek jest uzdrowicielem – wyjaśnił kupiec. Mężczyzna, który przyszedł razem z nim, uklęknął obok rannego. Rozejrzał się, spostrzegł odrzucony przez Willa

plaszcz,

zwinął go i sporządził prowizoryczną poduszkę. Umieścił ją pod głową Aluma, dzięki czemu

Will mógł wstać. Zbadał pospiesznie oficera, po czym spojrzął na Willa.

–Twój przyjaciel? – spytał.

Will skinął głową. Znał Aluma dopiero od kilku dni, lecz człowiek ów przecież osłonił go, stawiał samotnie czoło trzem uzbrojonym bandytom, aby Will zyskał szansę ratowania towarzyszy. Ktoś zdolny do takiego poświęcenia z pewnością zasługiwał na miano przyjaciela.

Medyk potrząsnął głową.

–Mogę dać mu coś, co złagodzi ból, ale nic tu więcej nie wskóram – stwierdził. – Zbyt wiele krwi utracił.

Will skinął smutno głową na znak, że przyjmuje do wiadomości słowa uzdrowiciela.

–Uczyń tak – powiedział. Przybysz wydobyl z torby małą fiolkę i wkroplil z niej kilka kropeł płynu do ust Aluma. Po kilku sekundach porucznik zaczął oddychać swobodniej,

jego

pierś unosiła się i opadała miarowo. A potem unosiła się coraz wolniej i wolniej, wreszcie oddech ustał.

Medyk popatrzył na Willa.

–Odszedł – oznajmił. Will nie odpowiedział nic. Spojrzął na kupca, który przyglądał mu się, przerażony. Tłuscioch niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że wydał tych dwóch cudzoziemców Tualegom – teraz zaś jeden z nich nie żyje, a drugi dopiero co udowodnił, że choć jest jeszcze młody, nie warto mu wchodzić w drogę. Kupiec złożył dłonie w błagalnym geście i podszedł do Willa, a potem upadł na kolana.

–Panie, proszę... Ja nie wiedziałem, że wy... – zaczął.

Will przerwał mu gwałtownym gestem ręki. Tak, ten człowiek był zdrajcą. Ale przecież mimo wszystko powrócił z medykiem. Nagle Willa ogarnęło zmęczenie. Poczul, że na dziś już dość zabijania.

–Odejdź – powiedział cicho. – Po prostu... odejdź.

Oczy tamtego rozwarły się szerzej. Nie mógł uwierzyć, że wywinie się tak łatwo. Wstał powoli, odwrócił się. Potem zerknął przez ramię, bo nie był pewien, czy Will nie zmieni zdania i

nie wbije mu noża w plecy. Widząc jednak, że nic podobnego nie następuje, ruszył przed siebie. Potem przyspieszył jeszcze kroku. Przez chwilę słychać było tupot biegnących stóp, wreszcie nastąpiła cisza. Uzdrowiciel spoglądał na Willa ze współczuciem. A także z uznaniem, bo domyślił się znaczenia sceny, która dopiero co rozegrała się na jego oczach. Ułożył Aluma na wznak, ręce porucznika splótł na piersi. Will zabrał swój płaszcz -Alumowi nie był już potrzebny. Osłonił postać arydziego porucznika jego własnym płaszczem, przesłonił także twarz. Sięgnął do sakiewki, wręczył medykwowi srebrną monetę.

–Zostaniesz tutaj? – spytał. – Czuwaj przy nim, zanim nie wrócę.

Sięgnął po łuk oraz kołczan, po czym skierował się ku wylotowi ulicy, która zdawała się prowadzić w stronę rynku.

## ROZDZIAŁ 48

Toshak wyjrzał ostrożnie zza rogu wąskiej alejki prowadzącej na główny plac miasteczka. Czterdzieści metrów dzieliło go od głównej ulicy, która prowadziła do bramy. Ujrzał, jak Erak i jego towarzysze kierują się w stronę kolumnady ciągnącej się wzdłuż przeciwległej pierzei placu. Z pewnością ktoś widział, jak Toshak biegnie właśnie w tamtą stronę.

Uśmiechnął się złowrogo. Owszem, z początku tam właśnie się udał. Potem jednak zawrócił i obszedł rynek, przemierzając labirynt wąskich uliczek, by ostatecznie znaleźć się właśnie tutaj. Opodal czekał na niego osiodłany, gotowy do drogi koń, do stajni zaś było już tylko kilka kroków. Skoro wrogowie oddalili się, droga stała otworem. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że przekłęci zwiadowcy nadal pozbawieni są swych śmiercionośnych luków. Teraz trzeba tylko iść po konia, doprowadzić go do rogu ulicy, na którym właśnie czatował, wskoczyć na grzbiet zwierzęcia i pędzić do bramy.

Kiedy wydostanie się z Maashavy, nim ktokolwiek zdoła ruszyć za nim w pościg – kto wie? – może zdąży oddalić się na dystans, który niełatwo zdołają odrobić. Miał świeżego konia oraz duży zapas wody. Od wybrzeża dzieliło go ledwie sześćdziesiąt kilometrów, a tam już czekał nań okręt – „Wilczy szpon” – zakotwiczony w małej zatoczce. Toshak nie potrzebował map ani znaków, ponieważ doskonale orientował się według gwiazd. Będzie podróżował nocą, tak że wścibscy zwiadowcy nie zdołają go wytropić. A za dwa dni dotrze do okrętu.

Najpierw jednak trzeba wydostać się z Maashavy. Lepsza sposobność już się nie nadarzy. Cofnął się powoli kilka kroków, potem odwrócił się i pobiegł do stajni.

\*\*\*

–Kłopot w tym, że skoro dotarł aż tutaj, mógł udać się w każdym kierunku – stwierdził Horace.

Halt skinął głową, przygryzając wargę. Za krążgankami ciągnącymi się wokół placu rozpościerała się istna płatanina uliczek, wąskich i krętych.

–Będziemy szukać, dopóki nie znajdziemy – stwierdził. – Przynajmniej łatwo go odróżnić od tubylców...

–Co się tam wyprawia? – przerwała Evanlyn.

Od strony placu dobiegły podniesione głosy. Wbiegli wszyscy z powrotem tylnym wejściem do gospody, przez którą chwilę wcześniej przeszli, a potem ruszyli na rynek.

–Toshak! To on! – zakrzyknął Svengal.

W rogu placu, po przekątnej od miejsca, w którym się znajdowali, dosiadającego konia zdrając otoczyła grupa bedulińskich wojowników, próbując go powstrzymać; Skandianin rąbał na prawo i lewo ogromnym bojowym toporem.

Jeszcze chwila i przedarł się, pozostawiając dwóch przeciwników znieruchomiałych na ziemi. Od razu skierował wierzchowca w stronę szerokiego wjazdu na główną ulicę prowadzącą do bramy. Svengal przebiegł parę kroków, cisnął za uciekinierem włócznią, odległość jednak okazała się zbyt wielka, więc pocisk z brzękiem wylądował dobre dwadzieścia metrów za jeźdźcem, nie czyniąc mu najmniejszej szkody.

Wówczas Halt znów usłyszał to dziwne buczenie, które narastało i stawało się coraz wyższe. Zerknął ku Evanlyn, która, stanąwszy w rozkroku, obracała nad głową długą skórzaną procą, coraz szybciej i szybciej.

–Uważaj, on ma hełm na głowie – ostrzegł ją. Toshak spodziewał się, że będzie musiał

walczyć o swe życie i wolność, toteż uciekał w pełni uzbrojony, a głowę zakrył rogatym hełmem. Halt zdawał sobie sprawę, że uderzenie kamieniem w żelazo nie odniesie żadnego skutku.

–Widzę – odparła krótko Evanlyn, skoncentrowana na celu.

Ciężka marmurowa kula świsnęła w powietrzu za umykającym Toshakiem, zbyt prędką, by można ją było dostrzec, po czym uderzyła boleśnie w cel – którym okazał się koński zad.

Ugodzony tak niespodziewanie, a dotkliwie wierzchowiec wspiął się na tylne nogi, poślizgnął się na kamiennej nawierzchni i skręcił tułów na bok, próbując odzyskać równowagę. Ten nieoczekiwany, gwałtowny ruch w połączeniu ze zmianą kierunku sprawił, że Toshak nie zdołał utrzymać się w siodle. Zsunął się do tyłu i runął z głośnym łomotem, waląc plecami o kamienną nawierzchnię placu.

–Dobry strzał – pochwalili ją Halt.

Odpowiedziała uśmiechem.

–Tak mi się zdawało, że kiepski z niego jeździec, jak na Skandianina przystało – odrzekła.

Oszołomiony przez chwilę Toshak dzwignął się i spostrzegł, że otacza go tłum żądnych zemsty Bedulinów. Jeźdźcy pustyni utworzyli krąg wokół zdrajcy, lecz trzymali się w bezpiecznej odległości, bo topór znów zafurczał w powietrzu. Jako Skandianin, Toshak zaiste źle trzymał się w siodle, lecz – będąc nieodrodnym synem własnego narodu – upadając, nie wypuścił broni z ręki. Spoglądał teraz dzikim wzrokiem po swych prześladowcach, gotów drogo sprzedać życie. Toshak był zdrajcą, lecz z pewnością nie zaliczał się do tchórzy.

–No, dobrze – rzucił, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Który pierwszy?

–Chyba ja się dam namówić.

Erak przepchnął się przez bedulińskich wojowników. Stał twarzą w twarz z wrogiem. Toshak pokiwał głową i zarechotał tylko. Wiedział, że nie ujdzie z życiem, ale przynajmniej dołoży wszelkich starań, by zabrać ze sobą w zaświaty znieawidzonego oberjarla. Rzucił pogardliwie okiem na tualeską szablę, w którą uzbroił się tymczasem Erak. W wielkiej dłoni oberjarla wyglądała raczej jak zakrzywiony sztylet.

–Porywasz się na mój topór z takim scyzorykiem, Eraku? – parsknął krótkim śmiechem.

Erak także zerknął na swój oręż. Zmarszczył brwi. Spojrzał po zgromadzonych i od razu dostrzegł stosowniejsze narzędzie dla swych celów. Zerwał z głowy kefię, owinał ją szybko wokół lewej dłoni. Odrzucił szablę, wyciągnął prawą dłoń w stronę Horace'a.

–Pożyczysz mi na chwilę to żelastwo, Horace? – spytał.

Horace postąpił krok w jego stronę, odwrócił wielki katowski miecz rękojeścią w stronę Eraka.

–Ależ, z przyjemnością – zapewnił.

Erak śmignął nim kilka razy w powietrzu, po czym z zadowoleniem skinął głową.

–Nada się – oznajmił. – A teraz, cofnąć się. Wszyscy. Mam tu sprawę do załatwienia.

Krąg widzów poszerzył się z niejakim pośpiechem, Erak zaś bez dalszych wstępów rzucił się na Toshaka, zadając znad głowy cięcie, którym powinien przerażać zdrajcę aż do pasa.

Rozległ się głośny, metaliczny zgrzyt, kiedy Toshak odbijał cios dwusiecznym żeleźcem



topora. Czarna głownia miecza opadła; Toshak, nie tracąc czasu, rąbnął swym orężem, celując w bok oberjarla.

Erak odskoczył w samą porę, bo mordercze ostrze minęło jego zebra o włos. W następnej chwili już kontratakował; teraz Toshak musiał wykonać gwałtowny unik, gdy klinga przemknęła tuż obok, po czym skrzesła iskry o bruk.

Odpowiedzią był cios toporem znad głowy. Dopiero teraz Evanlyn zrozumiała, po co Erak owinął dłoń chustą. Pochwycił nią ostrze swojego miecza, prawą wciąż dzierżąc rękojeść. Otóż gdyby trzymał swoją broń tylko jedną ręką, nie zdołałby powstrzymać przeważającego ciężaru rozpędanego topora.

Przez chwilę obaj mężczyźni mocowali się w zwarciu. Obaj potężnie zbudowani, każdy silny niczym byk. Jednak Erak spędził całe tygodnie w niewoli, na nędznej diecie, maltretowany, bity przez porywaczy. Gdy więc przyszło mu mocować się z wypoczętym Toshakiem, okazało się, że zdrajca bierze górę. Renegat zdołał zmusić oberjarla, by ten cofnął się, najpierw o krok, potem o drugi.

Erak zdał sobie sprawę, że rywal zaczyna przeważać, zatem kopnął go z całej siły w udo. Toshak stracił równowagę, dzięki czemu Erak zdążył odskoczyć do tyłu i uniknąć kolejnego szybkiego jak błyskawica ciosu topora, gdy Toshak znów stanął pewniej na nogach.

Natychmiast rzucili się ku sobie; teraz żaden nie ustępował pola. Cios padał za ciosem. Odbijali, parowali, uchylali się przed uderzeniami, tłukąc zarazem co sił przeciwnika. W ostatecznej próbie brakowało miejsca na subtelności czy na wykwintną szermierkę. Każdy starał się wykorzystać przewagę, jaką dawała mu posiadana broń: Erak mógł sięgnąć dalej długą klingą miecza, potężne żelźce bojowego topora Toshaka było jednak o wiele cięższe.

I to właśnie sprawiło, że zasypywany gradem morderczych ciosów oberjarl zmuszony był w końcu przejść do defensywy.

Svengal przyglądał się bezsilnie, z narastającym niepokojem, jak jego wódz zaczął znów oddawać przeciwnikowi pole, najpierw cofając się tylko o kilka centymetrów, potem ustępując coraz większymi krokami. Dostrzegł błysk triumfu w oczach Toshaka, który wyczuł, że oberjarl słabnie, że wkrótce całkiem opadnie z sił. Renegat zaatakował ze zdwojoną mocą, pragnąc ostatecznie przełamać słabnący opór Eraka, pod którym za każdym uderzeniem uginały się kolana. Na jedno uderzenie zadane przez oberjarla przypadły dwa ze strony Toshaka. Zdrajca całkowicie przejął inicjatywę. Jego zwycięstwo w pojedynku stawało się już tylko kwestią czasu.

Oczy Eraka zamglily się, dyszał ciężko. Przyjął ostatecznie, potężne uderzenie topora na klingę miecza, a okazało się ono tak silne, że nie zdołał utrzymać się na nogach. Zachwiał się i padł plecami na kamienie bruku.

Widzowie jęknęli glucho. Toshak tymczasem, ze zwycięskim okrzykiem, uniósł oburącz topór, gotując się do zadania śmiertelnego ciosu. Dopiero wtedy zauważył coś bardzo dziwnego.

Erak uśmiechał się.

Toshak zbyt późno zorientował się, że został wywiedziony w pole. Erak wcale nie był aż tak zmęczony, jego rzekome osłabienie było tylko fortelem. A miał do swej dyspozycji broń o znacznie większym zasięgu niż jakikolwiek topór bojowy. Wydając z siebie potężny ryk, Erak odepchnął się lewą ręką od podłoża, zerwał się błyskawicznie i wbił miecz głęboko w nieosłonięte ciało Toshaka. Natychmiast wypuścił z ręki broń, odskoczył na bok, by uniknąć

**rąbnięcia rozpedzonego topora – uderzenia, które zostało zadane o sekundę za późno. Jego przeciwnik, przebity na wylot czarną gównią, zachwiał się, wypuścił z rąk oręż i runął na ziemię.**

**Oczy miał wciąż otwarte, a widniał w nich ból oraz lęk. Zakrzywionymi jak szpony palcami usiłował dosięgnąć czegoś, czego dosięgnąć nie mógł, wydawał z siebie niezrozumiałe rżenie, jakby chciał coś rzec Erakowi, jednak oberjarl pojął, o co mu idzie. Przytaknął. Czubkiem buta przysunął drzewce topora, by mogła je pochwycić dłoń pokonanego wroga. Palce Toshaka zacisnęły się, powalony Skandianin z wysiłkiem skinął głową.**

**Również wszyscy Aralueńczycy wiedzieli, że wedle skandiańskich wierzeń, wojownik, który w chwili śmierci wypuści broń z ręki, będzie musiał błądzić w zaświatach, szukając oręża przez całą wieczność. Nawet Toshak nie zasługiwał na taki los.**

**–Dzięki... – westchnął niemal niedosłyszalnie Toshak. Chwilę potem jego oczy zamknęły się. Zdrajca wyzionął ducha.**

**–Należało pozwolić, żeby zdechl, jak na to zasłużył i niechby błąkał się bez końca! – rzucił nienawistnym tonem Svengal.**

**Erak poważnie popatrzył mu w oczy.**

**–Ty byś tak zrobił? – spytał. Svengal zawahał się. Bądź co bądź, Toshak walczył dzielnie, a to dla każdego Skandianina znaczyło wiele.**

**–Nie, chyba nie – przyznał.**

## ROZDZIAŁ 49

Długa kolumna jeźdźców wędrowała niespiesznie przez pustynię, zmierzając do oazy, w której rozłożyło obóz bedulińskie plemię Khoresh.

Dosiadający koni Bedulini pędzili przed sobą zakutych w kajdany tualeskich więźniów, którzy szli na piechotę. „Zapomniani przez Boga” nie byli już postrachem pustyni, tylko bandą nędzarzy o obolałych stopach – bardziej przypominali żebraków niż budzących grozę rozbójników. Aby upokorzyć ich tym bardziej, Selethen – w asyście trzech żołnierzy – zerwał zasłony z twarzy wszystkim bandytom, po czym cisnął je na ziemię. Co więcej, pamiętając, w jaki sposób potraktowali jego podwładnych, wakir kazał odebrać pokonanym buty, musieli więc brnąć przez palące piaski pustyni boso.

Jednak, w przeciwieństwie do Yusala, arydzki przywódca nie skąpił jeńcom wody.

Nim opuścili Maashavę, Selethen zwołał ludność miasteczka na plac targowy. Wszedł na drewniane podwyższenie, to samo, które miało stać się jego szafotem, i w ostrych słowach zbesztal tubylców, przypominając im, że ledwie kilka dni wcześniej domagali się jego krwi. Słuchali ze zwieszonymi głowami, przestępując niespokojnie z nogi na nogę. Usłyszeli następnie, że Selethen porozumie się z wakirem ich prowincji i dołoży wszelkich starań, by nałożono na tutejszą ludność wysoki podatek. Dochód z podatku zostanie przeznaczony na naprawę fortyfikacji otaczających miasteczko – czyli murów i baszt – a także zorganizowanie skutecznych sił dla jego obrony. Maashawici przyjęli informację z ponurą rezygnacją. Trudno zaprzeczyć, iż fortyfikacje znajdowały się w opłakanym stanie, lecz tym bardziej zdawali sobie sprawę, że ich naprawa będzie wymagała długich miesięcy morderczej pracy w palących promieniach słońca. Jednak ostatni najazd Tualegów uświadomił im, że przygotowanie miasta do obrony stanowi zwykłą konieczność, więc nawet wygórowana danina kosztować ich będzie mimo wszystko mniej niż straty, jakie mogą ponieść w przyszłości, gdy znów jakaś potężna banda wyjętych spod prawa grabieżców obierze ich sobie za cel.

Na koniec Selethen zostawił lepszą wiadomość: postanowił mianowicie przydzielić mieszkańcom miasteczka trzydziestu tualeskich jeńców jako niewolników do pomocy przy wykonywaniu najcięższych prac.

–Nielekki los im zgotowałeś – zauważył Erak, zwracając się do Selethena.

Wakir rzucił mu chłodne spojrzenie.

–Już zapomniałeś, że ci sami ludzie, mieniący się „wojownikami”, wymordowali bezlitośnie wszystkich żołnierzy twojej eskorty, a i ciebie nie zamierzali oszczędzić? – spytał.

Erak nie zamierzał się z nim spierać. Nie znajdował żadnego powodu, by darzyć Tualegów sympatią.

Pozostali więźniowie mieli zostać zaprowadzeni do oazy Jass Par, a potem do Mararoka, gdzie spędzą resztę życia na niewolniczej pracy. Selethen porozumiał się z Omarem, który zapewnił odpowiednią eskortę. Zgodził się zresztą chętnie, bowiem za jednym zamachem zostało wyeliminowanych wielu potencjalnych wrogów jego plemienia – a zresztą, podobnie jak Erak, nie widział powodu, by opryszkom współczuć.

\*\*\*

Powracającym z wyprawy wojennej Bedulinom oraz ich nowym towarzyszom zgotowano w oazie owacyjne przyjęcie. Bedulińskie niewiasty, ustawione w dwóch szeregach, wznosiły

wysokie, śpiewne okrzyki, które tworzyły ogłuszającą wprost wrzawę. Pod wtór kobiecych wiwatów mężczyźni z plemienia zbliżali się do rozłożonego w cieniu drzew obozowiska.

Wędrujący w tyle tualescy więźniowie powitani zostali złowrogą ciszą. Przymaszerowali ze spuszczonej głowami, ze wzrokiem wbitym w ziemię, pomiędzy dwoma szeregami milczących kobiet. Nie przywykli ujawniać światu swoich twarzy, poza tym aż nazbyt dobrze zdawali sobie sprawę, że ich życie wciąż wisi na włosku.

Herszt rozbójników, Yusal, przybył na noszach ciągnionych za wielbłądem. Wciąż nie otrząsnął się ze skutków potężnego uderzenia w czoło kamiennym pociskiem Evanlyn. Co prawda odzyskiwał niekiedy przytomność, ale i wtedy bredził od rzeczy. Zdarzało się nawet, że po jego policzkach spływały łzy. Stan tualeskiego wodza budził w Evanlyn mieszane uczucia.

– Czy sądzisz, że kiedykolwiek przyjdzie do siebie? – spytała uzdrowiciela, który dołączył do bedulińskiego oddziału.

Starzec dotknął potężnego sińca widniejącego na czole Tualega i wzruszył ramionami.

– Z ranami w głowę nigdy nic nie wiadomo – odparł. – Może jutro mu się poprawi. A może za rok. A może nigdy! – uśmiechnął się do niej pocieszająco. – Nie przejmuj się tym zbytnio, pani. On nie zasługuje na ani krztę litości.

Musiała przyznać rację, lecz to nie poprawiło jej nastroju. Trudno było księżniczce pogodzić się z faktem, że za jej sprawą istota ludzka – choćby nawet i do szpiku kości podła – przeistoczyła się w zaślinionego idiotę.

Jej humor poprawił się jednak, gdy drugiego wieczoru po powrocie do oazy Bedulini urządzili ucztę dla uczczenia zwycięstwa.

Wśród podawanych potraw znalazły się pieczona jagnięcina oraz papryka smażona nad ogniem tak długo, że skórę z niej zdejmowało się palcami. Paprykę nadziewano aromatycznym ryżem, a także tradycyjną bedulińską kaszą, zwaną kuskus – lekką, puszystą, przyprawioną szafranem, kminkiem, kardamonem z dodatkiem wielkich, słodkich rodzynek i cienkich płatków palonych migdałów. Serwowano też inne wyśmienite potrawy z baraniny lub kurcząt, przyrządzone w dziwnych naczyniach z gliny, zwanych tadżin, także obficie przyprawione, z daktylami, morelami, z warzywami. Stożkowate pokrywki tadżin zatrzymywały aromat, przez co mięso stawało się tak soczyste i delikatne, że samo odchodziło od kości.

Jedzono rękami, pomagając sobie co najwyżej kawałkami świeżego podplomyka. Słowem, Bedulini wyprawili wyborną ucztę, podczas której wszyscy objadali się do syta, oblizując palce. Oto bowiem nastąpiła chwila radosnego wytchnienia po wszystkich trudach i uciążliwościach, jakie musieli znosić na pustyni.

Halt, Gilan, Evanlyn, Horace i dwaj Skandianie zostali potraktowani szczególnie; gości usadowiono na honorowych miejscach w kręgu wokół wielkiego ogniska. Jednak najzaszczytniejsze siedziska przypadły w udziale Selethenowi oraz Willowi: wakir zasiadł po prawicy Omara, a młody zwiadowca tuż obok jego małżonki, Sulejmy. Evanlyn uśmiechnęła się do Horace'a i wskazała kciukiem Willa, który pograżył się w ożywionej rozmowie z bedulińskim aszejkiem oraz jego żoną. Małżonkowie śmiali się do rozpuku, gdyż właśnie opowiedział im coś wesołego, a on również uśmiechał się od ucha do ucha, rad, że ich rozbawił.

– Ten to wszędzie znajdzie przyjaciół – zauważyła królowa, nie bez nutki zawiści w głosie.

Horace spojrzal przez ogień na przyjaciela i skinął głową.

–Ludzie go lubią – stwierdził, dodając: – zresztą nic dziwnego, bo trudno go nie lubić.

–Owszem – przyznała Evanlyn, wciąż przyglądając się Willowi.

Bedulini z zasady nie używali trunków, lecz z uwagi na obecność dwóch Skandian wystarali się o kilka butelek arariki, gorzałki sporządzanej ze sfermentowanych daktyli i brzoskwiń. Pod wpływem palącego napoju Erak oraz Svengal uparli się, że wykonają żeglarską pieśń ku uciesze, tudzież nauce zgromadzonych. Powstali, niezbyt pewnie trzymając się na nogach, po czym wspólnie uraczyli wszystkich przydługą balladą o pingwinie, który uderzał w konkury do garbatego wieloryba.

Składająca się z mieszkańców pustyni publiczność nigdy nie widziała żadnego ze wspomnianych zwierząt, nie zdawała więc sobie sprawy, jak różnią się one rozmiarami i umknął jej sens większości nader krotkich zwrotek. Melodyjność opisu również pozostawiała wiele do życzenia, lecz oklaskiwano zapał obu pieśniarzy i ich potężne głosy. Dla obu wilków morskich burzliwe oklaski starczyły za dowód, że godnie zaprezentowali osiągnięcia kulturalne swej nacji, toteż zasiedli z powrotem w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Jak zauważył Gilan, Halt siedział w milczeniu. Ale przecież Halt zazwyczaj podczas takich uroczystości trzymał się na uboczu. Przypatrywał się swemu młodemu uczniowi, który z ożywieniem rozprawiał i żartował w towarzystwie bedulińskiego aszejka oraz jego żony.

–Dobrze się spisał – stwierdził Gilan. Halt odwrócił się ku niemu i na jego twarzy pojawił się rzadko widywany uśmiech.

–Owszem – zgodził się.

–Mówiłem ci, że tak będzie – przypomniał Gilan. Halt znów przytaknął:

–Owszem. Mówiłeś. I miałeś rację.

Gilan przesunął się, żeby lepiej widzieć twarz swojego dawnego nauczyciela, bo już od kilku dni nie dawała mu spokoju pewna kwestia:

–Ale ciebie to nie zaskoczyło, prawda? Kiedy siedzieliśmy w Maashavie stwierdziłeś, że Yusal nie bierze pod uwagę jednej rzeczy i że Will gdzieś tam jest. A więc wiedziałeś, że

przeżył. Wiedziałeś, ale skąd?

Zastanawiając się nad jego pytaniem, Halt spoważniał.

–Słuchaj... Chyba nie tak trzeba rzecz ująć. Trudno powiedzieć, że wiedziałem. To byłaby przesada. Ale czułem to. Zawsze gdy chodziło o Willa, przeczucia mnie nie myliły. Już od pierwszego dnia, kiedy tylko go ujrzałem.

–A teraz zbliża się pora, by wypuścić ucznia w szeroki świat – zauważył Gilan półgłosem.

W oczach Halta dostrzegł mieszaninę smutku i zarazem dumy. Szpakowaty zwiadowca westchnął:

–Owszem.

\*\*\*

Gdy uczta miała się już ku końcowi, Evanlyn wraz z towarzyszami i Omarem oraz Selethenem zasiedli przy mniejszym ognisku. Sulejma poczęstowała ich kawą.

–Może nadszedł czas, by pomówić o interesach – zaczął Selethen, nie spuszczać księżniczki z oczu. – Pozostaje jeszcze pewna drobna kwestia do załatwienia. Mianowicie

okup za Eraka.

Umilkł, spodziewając się, że Evanlyn sięgnie teraz po pieczętny sygnet i list gwarancyjny. Oba te przedmioty odebrano Yusalowi. Evanlyn jednak ani drgnęła.

–Okup? – powtórzyła.

Selethen niecierpliwie skinął głową.

–Tak. Przecież uzgodniliśmy, ile wyniesie. Nie wątpię, że jeszcze pamiętasz – dodał z lekka kpiącym tonem.

Evanlyn pokiwała głową z wielką powagą, nawet otworzyła usta, by się odezwać.

Zamknęła je wszelako od razu i uniosła dłoń, po czym, jakby niepewnie, z wahaniem, spytała wakira:

–W istocie. Lecz czy moglibyśmy wyjaśnić sobie teraz, na czym zasadza się instytucja okupu?

Selethen zmarszczył brwi. Miał nadzieję, że uda mu się uporać z tą kwestią szybko i nim ktokolwiek przemyśli ją głębiej, będzie już po wszystkim. Nic jednak na to nie wskazywało.

–Chyba wszyscy wiemy, co to jest okup – stwierdził.

–Ale jednak wyjaśnijmy to sobie. – Evanlyn obdarzyła go czarującym uśmiechem. – Pamiętaj, że jestem tylko kobietą, w dodatku młodą, nie mam więc w tych sprawach takiego doświadczenia, jak wy, wojownicy.

Sulejma skryła uśmiech dłonią. Omar, który znał całą historię z opowieści Willa, ochoczo zaoferował pomoc:

–Chętnie wytłumaczę: okup płaci ktoś, gdy ktoś inny zostanie pojmany przez kogoś trzeciego.

–Sporo tych ktosiów – szepnął Horace do Willa. Młody zwiadowca zachichotał bezgłośnie.

–Aha – odezwała się Evanlyn. – Czyli gdybym ja była tym kimś, miałabym zapłacić komuś, kto pojmał innego człowieka? Dobrze zrozumiałam?

–Doskonale – stwierdził Selethen, ściągając usta.

Evanlyn spoglądała na niego, jakby jednak zupełnie nie potrafiła go zrozumieć.

–Nie do wiary. Czyżbyś spodziewał się, że zapłacę Yusalowi sześćdziesiąt sześć tysięcy srebrnych rojali?

–Yusalowi? – wykrzyknął wakir i o mało nie Zakrztusił się kawą. – Dlaczegoż na wszystkie świętości miałabyś płacić okup Yusalowi?

Evanlyn rozłożyła ręce bezradnym gestem.

–Przecież ten drugi ktoś, to właśnie on! Prawda? Kiedy zawarłam z nim znajomość, w jego rękach znajdował się Erak. Nie w twoich – dodała po krótkiej pauzie.

–Ach, to przecież nieistotne – rzucił Selethen lekceważącym tonem, ale miał nader niemile wrażenie, że sprawy wymykają mu się z rąk. Przechytrzone go. Uznał, że najlepszym

wyjściem będzie zmiana tematu, do kwestii okupu spróbuje powrócić później. – A zresztą, decyzja co do przyszłości Yusala jeszcze nie została podjęta – stwierdził.

–Trafna uwaga – wtrącił Halt. – Właśnie, co stanie się z Yuselem?

Selethen skłonił się w stronę Omara.

–Moim zdaniem, powinni zdecydować o tym Bedulini. Omarze, co zamierzasz

zrobić z Yusalem?

Omar wzruszył ramionami.

–Nic. Nie chcę mieć z nim do czynienia. Możesz go sobie wziąć, jeśli zechcesz.

Po raz pierwszy od początku tej rozmowy Selethen uśmiechnął się błogo.

–O, tak. Z pewnością zechcę. Ten człowiek to zabójca i buntownik. Cela w Mararoku już na niego czeka. Od niepamiętnych czasów dawał się nam we znaki. Kiedy przestanie bruździć, znacznie łatwiej przyjdzie nam radzić sobie z Tualegami. Co więcej, emrikir wyznaczył za niego wysoką na...

Urwał o sekundę za późno, zdawszy sobie sprawę, że ujawnił zbyt wiele. Udał, że nagle chwycił go kaszel.

Evanlyn odczekała, aż minie ten niespodziewany atak, po czym pociągnęła wakira za rękaw, zmuszając, by na nią spojrział.

–Słucham? Wysoką „na...”? – odpowiedziała mu. – Czy miałeś może na myśli „nagrodę”?

–Owszem. – Selethen musiał to przyznać.

–W takim razie, postawmy sprawę jasno – rzekła Evanlyn z namysłem. – Kto właściwie schwytał Yusala? To znaczy, kto go pokonał? – spojrzała w gwiazdy, marszcząc czoło, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała, lecz w następnej chwili oblicze jej rozjaśniło się. – O, już pamiętam. To ja! Za pomocą mojej dziecinnej procy!

–W rzeczy samej – stwierdził Omar, wielce rozbawiony. – Jeśli ktokolwiek ma prawo przesądzić o jego losie, to właśnie ona, księżniczka z Araluenu!

–Czyli to mnie się należy owa „wysoka nagroda”, o której się tu wspominało?

Selethen znalazł się w niezręcznej sytuacji. Gdyby prowadzili tę rozmowę w Al Shabah albo w Mararoku, miałby na poparcie swych racji poważny argument w postaci zastępów zbrojnych wojowników. Jednak tutaj siłą byli Bedulini – a ich przywódca najwyraźniej podzielał zdanie Evanlyn. Co więcej, wakir musiał przyznać, że jej twierdzenie nie było pozbawione słuszności. Bo też rzeczywiście – to nie on, Seley el'then więził ostatnio Eraka, lecz Yusala – i to aralueńska królowna powaliła rozbójnika. Z formalnego punktu widzenia tualeski watażka stał się więc jej więźniem. W związku z tym nie była Selethenowi nic winna, a przeciwnie, raczej on powinien wypłacić jej nagrodę za rozbójnika. Nie tak to wszystko sobie zaplanował!

–No, dobrze. Skoro już wyjaśniliśmy sobie stan faktyczny, przejdźmy do konkretów – oznajmiła Evanlyn, która przestała udawać małą dziewczynkę i przybrała rzeczowy, spokojny

ton. – Seley el'thenie, uważam, że zaciągnęliśmy wobec ciebie dług. Tyle że nie wynosi on sześćdziesiąt sześć tysięcy rojali. Bez wątpienia mamy też dług wobec Omara i Bedulinów, ponieważ bez ich pomocy Erak wciąż pozostawałby w rękach Yusala. A ściślej mówiąc, już by nie żył. Podobnie zresztą, jak ty i ja.

–Nie uczyniliśmy tego dla pieniędzy. Postąpiliśmy tak ze względu na przyjaźń – zaznaczył Omar, wskazując dłonią w stronę Willa.

Evanlyn skinęła potakująco głową.

–Co do pieniędzy, zawsze możesz oddać je z powrotem, jeśli zechcesz – stwierdziła, a gdy Omar wykonał przeczący gest, uśmiechnęła się. – Oto, co proponuję: pragnę, by Omar

oraz jego ludzie otrzymali za udzieloną nam pomoc dwadzieścia tysięcy rojali.

Umilkła, spoglądając po zebranych. Nikt się nie sprzeciwił; wymieniła godną sumę,

Bedulini z pewnością zasłużyli na taką nagrodę. Mówiła więc dalej:

–Tyle samo chcę zapłacić tobie, Seley el'thenie. Dwadzieścia tysięcy. Uważam, że taka kwota ci się należy. – Nim wakir zdołał cokolwiek powiedzieć, uzupełniła: – I puszcze

w

niepamięć kwestię nagrody za pojmanie Yusala. Zostawiam go tobie. Oddaję ci go. Obetnij mu uszy. Wrzuć go do studni, jeśli masz ochotę. Ja go nie chcę. Przystajesz na moją propozycję?

Selethen zawahał się, lecz poczucie sprawiedliwości przeważyło. A przy tym, jej oferta oznaczała dla niego łączny dochód w wysokości ponad czterdziestu tysięcy. Mało tego – równie dobrze mógłby nie dostać od niej ani grosza!

–Zgadza się i przyjmuję z wdzięcznością – oznajmił.

Erak także skinął głową na znak zgody. Uważał, że Evanlyn przeprowadziła trudną rozmowę ze zrzecznością godną męża stanu. A może żony stanu? – przemknęło mu przez głowę. Tylko że to przecież jeszcze panna.

–Jesteś bardzo szczodra, księżniczko – stwierdził, zwracając się do niej z uśmiechem. Evanlyn uniosła brwi.

–Ja? Nic podobnego – odparła. – To ty jesteś szczodry. Twój dług wobec mojego ojca wynosi teraz czterdzieści tysięcy.

–Ach... No... No tak – przyznał Erak. Nagle poczuł się tak, jakby ktoś mu wbił nóż w serce. Rzecz jasna, księżniczka miała słuszość, lecz mimo wszystko Erakowi odeszła cała ochota do żartów.

\*\*\*

Rozeszli się wkrótce do swoich namiotów. Księżniczkę odprowadzał Halt. Evanlyn ujęła zwiadowcę pod ramię. Gdy odeszli na tyle daleko, że nie mogli ich już usłyszeć ani Bedulini, ani Arydzi, spytała, z odrobiną niepokoju:

–I co powiesz, Halt? Jak się spisałam?

Zdawała sobie sprawę, że – podobnie jak wszyscy inni – nade wszystko pragnęła zasłużyć na uznanie mrukliwego, szpakowatego zwiadowcy. Ten zaś zwrócił ku niej brodate oblicze i pokręcił z wolną głową.

–Panie, wybac mi. Stworzyłem potwora – stwierdził. A potem uśmiechnął się i dotknął lekko jej dłoni. – I bardzo jestem z tego dumny.



## Epilog

Will i Halt siedzieli naprzeciwko siebie przy zwykłym drewnianym stole w należącej do zwiadowcy małej chatce na skraju puszczy.

Po raz piąty w ciągu kilku minut Will spojrzał po sobie, by sprawdzić, czy jego strój jest czysty i schludny, jak przystało. Czy skórzany pas i pochwa na dwa noże lśnią tak, jak powinny. Starając się uczynić to jak najdyskretniej, uniósł dłoń i przyglądał włosy. Potem zerknął na swoje paznokcie, by upewnić się, że w ciągu minionych czterdziestu sekund nie zgromadził się za nimi brud.

–To nie żadna defilada ani pokaz mody – zwrócił mu uwagę Halt.

Sprawiał wrażenie, że niczym się nie przejmuje. Tylko że Halt zawsze sprawiał takie wrażenie. Tymczasem Will był cały w nerwach. Z jednego tylko się cieszył – że nie musiał przywdziać na tę okazję nowo wymyślonego przez Crowleya uniformu galowego, zaprojektowanego na ślub Halta. Zgodnie z tradycją, zwiadowczy czeladnik w Dniu Wyzwolenia miał być ubrany w strój codzienny. Will był przekonany, że przyodziawszy paradny mundur, nie umiałby myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, żeby nie pobrudzić białej, jedwabnej koszuli i wytworzonego kaftana. No i oczywiście w związku z tym na pewno oblałby się kawą albo czymś podobnym.

–Ciekaw jestem, gdzie też podziewa się Crowley? – mruknął pod nosem Halt. Jakby na zawołanie rozległ się odgłos kroków na ganku przed domem. Drzwi otworzyły się; do środka wpadł dowódca Korpusu – ze spuszczoną głową i skórzaną tubą pod pachą.

–Jestem, jestem! Wybaczcie, że kazałem na siebie czekać. Coś zatrzymało mnie po drodze, no ale wreszcie udało mi się tu dotrzeć.

Gdy tak niespodziewanie pojawił się dowódca wszystkich zwiadowców, Will zerwał się z krzesła, natychmiast stając na baczność. Właściwie nie wiedział, dlaczego to zrobił, ponieważ dotąd nigdy w obecności Głównodowodzącego nie odczuwał takiej potrzeby. Crowley popatrzył na niego nie bez zdziwienia, po czym machnął ręką, dając chłopcu znak, żeby usiadł.

–Willu, nie wstawaj. Nie trzeba. Sam wiesz, że nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi do musztry i ceremonii.

–Tak jest! – odparł służbiście Will.

Halt spojrzał na Crowleya, unosząc jedną brew.

–Do mnie nigdy nie zwracał się w ten sposób – zauważył.

Crowley wzruszył ramionami.

–Pewnie próbuje wziąć mnie pod włos. Chodzi o to, żebym nie zmienił zdania i nie kazał mu czekać na Wyzwolenie przez następny rok.

Halt ze zrozumieniem pokiwał głową.

–To by wyjaśniało sprawę.

Will spoglądał to na jednego, to na drugiego. Zwilżył wargi koniuszkiem języka. Nie bardzo wiedział, w jaki sposób powinien przebiegać Dzień Wyzwolenia. Oczekiwał, że wiąże się z tym jakaś ceremonia. Mniej lub bardziej uroczysta. Ale z drugiej strony, jak słusznie zauważył Crowley, zwiadowcy nie przywiązują większej wagi do ceremonii. Kto wie, może Dzień Wyzwolenia to taki sam dzień jak każdy inny. Poza tym, że kończy się naukę.

Crowley przysunął sobie krzesło. Usiadł. Wyjął ze skórzanej tuby rulon papierów, sięgnął po gęsie pióro oraz kałamarz. Odkorkował pojemnik z inkaustem, po czym zaczął przeglądać

stronice, mrużąc pod nosem, bardziej do siebie niż do Willa i Halta:

–Dobra, dobra. Miejmy to już z głowy. A więc... Willu... odbyłeś szkolenie jako uczeń zwiadowcy Halta z lena Redmont, co trwało pięciokrotnie po dwanaście miesięcy i tak dalej,

i

tak dalej... I tak dalej, i tak dalej. Wykazałeś stosowną sprawność w posługiwaniu się

bronią

używaną przez zwiadowców – czyli łukiem, saksą, a także nożem do rzucania...

Przerwał, zerknął na Halta.

–Wykazał się sprawnością, prawda? Ależ tak, oczywiście – ciągnął, nie czekając na odpowiedź Halta. – Co więcej, jesteś godzien zaufania i wykazałeś się w służbie korony...

I

tak dalej, i tak dalej, i temu podobne... No, właśnie – podniósł znowu wzrok znad

dokumentu.

–Co za nudziarstwo, te wszystkie papierzyska. Nie uważacie? Ale muszę... To jest,

musimy

przez to przejść. No więc... i tak dalej, i tak dalej – przerwał, pokiwał głową. – Otóż, w zasadzie... – podjął, przerzucił kilka kolejnych stron, odnalazł tę, której szukał i odezwał się

się

znów: – Jesteś pod każdym względem przygotowany, by objąć stanowisko pełnoprawnego zwiadowcy Królestwa Araluenu. Zgadza się?

Spojrzał na Willa, unosząc brwi. Chłopak dopiero po kilku sekundach zorientował się, że Crowley czeka na odpowiedź czeladnika.

–Tak... – rzekł pospiesznie, po czym na wypadek, gdyby ta odpowiedź okazała się niewystarczająca, dodał: – Tak, to znaczy... Jestem... Tak, jestem. Tak.

–Aha. No, to dobrze. Czyli... Pozostaje jeszcze jeden detal. Otóż musimy obdarzyć cię czymś więcej niż tylko tytułem zwiadowcy, a to dlatego, iż w Korpusie służy jeszcze

trzech

innych Willów. Na przykład Halta to nie dotyczy, bowiem Halt jest tylko jeden. Zazwyczaj posługujemy się nazwiskiem rodowym, ale ty jesteś sierotą. Tak więc w twoim przypadku, musieliśmy dobrać ci przydomek, który nawiązywałby do twych osiągnięć w ciągu minionych pięciu lat... Zastanawialiśmy się nad czymś takim: „Will Pogromca Odyńców”. – Skrzywił się z niechęcią. – Ale to brzmi fatalnie. Ktoś proponował, żeby nazwać cię

„Willem

Od Mostu”, na pamiątkę zniszczenia owej pamiętnej konstrukcji Morgaratha. Tylko że to

za

bardzo brzmiało jak „Will spod mostu” – czyli do niczego. Aż wreszcie twój mistrz i nauczyciel – tu skłonił się lekko ku Haltowi – zaproponował przydomek, który odnosi się

do

jednego z twoich największych osiągnięć podczas służby na rzecz Królestwa. Otóż przypomniał nam wszystkim, że miałaś niemały udział w zawarciu traktatu między Araluenem i Skandią – co było i pozostaje ważnym wydarzeniem w historii naszego kraju. Tak więc proponujemy, byś odtąd nazywał siebie „Will Treaty”. Treaty, jak Traktat. Co

na to

powiesz?

Will skłonił się, z lekka oszołomiony.

–Bardzo... Bardzo mi się podoba. Dziękuję, Crowleyu... Proszę pana – poprawił się, ponieważ nie wiedzieć czemu, uznał, że z uroczystej okazji tak właśnie powinien

tytułować

dowódcę.

–No i doskonale! Zatem, odtąd nazywasz się Will Treaty! – Crowley zapisał postanowienie u dołu wypisanego na pergaminie dokumentu, odwrócił stronicę, podając jednocześnie Willowi pióro. – Podpisz tutaj, na dole i sprawa załatwiona.

Przyglądał się, jak Will z namaszczeniem kreśli swój podpis na papierze, po czym pisał obiema dłońmi w blat stołu.

–No, i po wszystkim! Gratulacje, Willu. Teraz jesteś zwiadowcą. Cieszysz się? Macie tu coś do picia? – To ostatnie pytanie skierował w stronę Halta.

Will nie mógł ochłonąć ze zdumienia. Naprawdę, już wszystko? Spodziewał się...

Właściwie nie wiedział, czego ma oczekiwać, ale z pewnością nie tak... hm, bezceremonialnej ceremonii. Tu podpisać, dziękuję, jesteś już zwiadowcą, do widzenia.

–I... to wszystko? – wypalił.

Crowley i Halt spojrzeli po sobie, zdziwieni. W następnej chwili Crowley wyraźnie się nad czymś zastanowił.

–A co? Nie?... No, zaraz. Była mowa o wyszkoleniu, o co istotniejszych osiągnięciach... Że wiesz, z której strony strzały jest grot, żeby się nie skaleczyć...

Zapadła decyzja, co do nowego przydomku, czy też nazwiska... No, to chyba... – Potem jakby go olśniło. – Ależ tak, tak. Oczywiście! Przecież musisz otrzymać srebrną... No, tę tam, odznakę. Prawda? – Pochwycił łańcuch, na którym nosił Srebrny Liść Dębu i potrząsnął nim lekko. – Bez wątplenia, skoro Will został wreszcie zwiadowcą, powinien otrzymać odpowiednią odznakę! – Crowley sięgnął do jednej kieszeni, potem do drugiej. Zmarszczył brwi. – Miałem ją! Mówię wam, że ją miałem! Gdzie... Niech to diabli! Ale zaraz, zaraz. Jak tu wchodziłem, słyszałem, jak coś brzęknęło. Tuż przed drzwiami, na ganku. Pewnie wtedy mi wypadła. Nie chce mi się wstawać. Zechciałbyś sprawdzić, Willu?

Oglupiały do reszty Will wstał i podszedł do drzwi. Gdy dotknął dłonią klamki, spojrzął za siebie na obu zwiadowców, którzy siedzieli przy stole. Crowley wykonał nieznaczny ruch dłonią, jakby poganiając go – a może raczej wyganiając na zewnątrz. Will wciąż jeszcze spoglądał na nich, kiedy otworzył drzwi i wyszedł na ganek.

–GRATULACJE!!!

Okrzyk dobył się z co najmniej czterdziestu gardzieli. Odwrócił się, zaskoczony i ujrzał wszystkich swoich przyjaciół zgromadzonych na łące przed domem. Siedzieli, rozpromienieni, przy stole zastawionym do uczyty. Był tam baron Arald, sir Rodney, lady Pauline oraz mistrz Chubb. A także Jenny i George, dawni towarzysze z zamkowego sierocińca. Oraz kilkunastu młodszych i starszych mężczyzn w strojach zwiadowców -których poznał w ciągu pięciu lat swego zwiadowczego terminu. A również, o dziwo, Erak ze Svengalem, którzy grzmiącymi głosami wykrzykiwali jego imię, wymachując w powietrzu bojowymi toporami. Obok nich – Horace i Gilan potrząsający mieczami. Willowi przemknęło przez myśl, że ta okolica stołu może być niebezpieczna dla biesiadników.

Gdy wybrzmiał pierwszy okrzyk, wykrzyczany chórem, każdy z osobna wykrzykiwał jego imię. Rozległy się śmiechy i wiwaty, machano doń rękami.

Halt i Crowley stanęli teraz obok niego na ganku. Głównodowodzący zanosił się od śmiechu.

–Doprawdy, doprawdy. Gdybyś mógł siebie widzieć w tamtej chwili! – wysapał. – Miałaś taką minę... No nie, tego się nie da ująć słowami! „To wszystko?” – pisnął, niby to naśladowując płaczliwy ton Willa i znów ryknął śmiechem.

Will rzucił Haltowi oskarżycielskie spojrzenie. Jego mistrz uśmiechnął się szeroko.

–On ma rację. Wyraz twojej twarzy był zaiste godny uwagi – stwierdził.

–Czy coś takiego spotyka wszystkich uczniów? – spytał Will. Halt przytaknął ochoczo:

–Każdego, bez wyjątku. To ostatni punkt szkolenia: żeby nie przewróciło im się w głowie. Aha, musisz przysiąc, że nigdy nie wyjawisz żadnemu uczniowi tego sekretu. Dotknął ramienia Willa.

–Lecz tylko najwięksi szczęściarze – a zresztą, niech będzie: tylko najlepsi z uczniów otrzymują taką oto nagrodę.

Wskazał dłonią.

Will spojrzał w tamtą stronę i poczuł, że coś ściska go za gardło. Przez polaną szły w jego stronę uroczystym krokiem Alyss i Evanlyn, niosąc razem poduszkę z czerwonej satyny.

Alyss – wysoka, smukła, o jasnobłond włosach: elegancka w uroczystym stroju kurierki.

Evanlyn – złotowłosa piękność o łobuzerskim wyrazie ślicznej twarzyczki.

A na niesionej przez nie obie poduszce lśniła w słońcu późnego popołudnia sączącym się przez liście drzew prosta, srebrna odznaka przedstawiająca liść dębu – symbol tego, co Will pragnął zdobyć przez pięć lat. Jego odznaka zwiadowcy.

Obie dziewczyny uniosły razem odznakę i razem zarzuciły mu łańcuszek na szyję, podczas gdy zgromadzony tłumek wivatował na cały głos. A potem, powodowane tym samym impulsem, również jednocześnie ucałowały go – Alyss w lewy policzek, Evanlyn w prawy.

A potem spiorunowały się spojrzeniami jak sztylety.

–Czas na ucztę, najwyższy czas! – zawołał czym prędzej Crowley. Pochwycił Willa za ramię i poprowadził go do stołu, gdzie przyjaciele czekali, by powinszować mu odznaki – wszyscy razem i każdy z osobna.

\*\*\*

Odbyła się uczta, której wspomnienie warto by zapisać w annałach Zamku Redmont - gdyby nie fakt, że uczestniczyło w niej zamknięte grono przyjaciół dopuszczonych do zwiadowczych tajemnic. Biesiadnicy świętowali wciąż nawet wtedy, kiedy słońce weszło ponad horyzont. Will i Horace, jego przyjaciel jeszcze z czasów dzieciństwa, siedzieli na ganku, gdy ostatni z tancerzy opuścili polaną, by udać się na spoczynek.

–I co? Czujesz się wreszcie prawdziwym zwiadowcą? – spytał Horace.

Will potrząsnął głową.

–Nie mam pojęcia. To wszystko mnie przerasta – stwierdził. Umilkł na kilka chwil, po czym wyznał: – Wiesz co? Jeszcze kilka tygodni temu miałem wrażenie, że wcale nie jestem

gotów.

–No, tak. Ale teraz? – dopytywał się Horace.

–Teraz wiem, że jeśli ktoś czeka, aż będzie gotów – to będzie czekał przez całe życie.

Młody rycerz zrozumiał go od razu.

–Nie potrafiłbym ująć tego lepiej – rzekł. – Tak właśnie się czułem, kiedy wróciliśmy ze Skandii, a król Duncan pasował mnie na rycerza. Jedyne, co przychodziło mi do głowy,

to

„Nie, jeszcze nie. Nie jestem gotów”.

–Ale przecież... – zaczął Will.

Horace skinął głową.

–Tak, to prawda. Kto wie, może nasi mistrzowie wiedzą, co robią. Halt – na wypadek, gdybyś o tym nie wiedział – nie może się ciebie nachwalić. Kiedy byliśmy uwięzieni w Maashavie, był pewien, że pojawisz się, choćby w ostatniej chwili, i wydobędziesz nas z matni. Musiał być dzisiaj strasznie z siebie dumny, kiedy dostałeś tę odznakę. Raduje się, że podążysz jego śladem.

–To niemal wyzwanie i zbyt wielkie ślady na moje stopy – stwierdził Will. – Chyba właśnie dlatego uznawałem w głębi duszy, że nie jestem jeszcze gotów. Wiedziałem, że nigdy nie stanę się tak mądry ani tak odważny czy przebiegły jak Halt. I to prawda, nigdy nie będę taki jak Halt. Crowley sam to dziś powiedział: Halt jest tylko jeden.

Horace spoglądał na niego z wielką powagą, uświadamiając sobie, jak wiele niezwykłych cech tego młodego człowieka, który siedział obok, dane mu było poznać w ciągu minionych pięciu lat.

–Pewnie nigdy nie staniesz się taki sam, jak on – rzekł wreszcie. – Ale niewiele ci brakuje.

Potem zaś obaj przyjaciele spojrzeli w stronę słońca wschodzącego nad drzewami.

–Najpiękniejsza pora dnia – rzekł Will.

–Pewnie – zgodził się z nim Horace. – Ciekawe, co dziś na śniadanie?

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

# Table of Contents

[Zwiadowcy](#)

[DONG!](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

[ROZDZIAŁ 43](#)

[ROZDZIAŁ 44](#)

[ROZDZIAŁ 45](#)

[ROZDZIAŁ 46](#)

[ROZDZIAŁ 47](#)

[ROZDZIAŁ 48](#)

[ROZDZIAŁ 49](#)

[Epilog](#)